

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

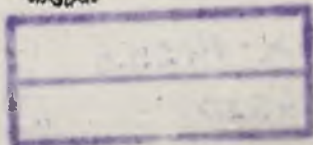
OGÓLNEGO ZBIORU TOM 153.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1879.

— 35 —



Tom pierwszy.

W A R S Z A W A.

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

1879.

4620. 1879. 1

II



30.000,-

Довнолено Цензурою
Варшава 26 Декабря 1878 года.

X-14253	
4620/	II 1.
/ 1879	

W SPRAWIE
SZCZERBCA BOLESŁAWOWEGO ¹⁾.

I.

SKARBIEC KORONNY.

PRZEZ

Kajetana Kraszewskiego.

Veritas nunquam latet.
(Sen.)

Podana przez sprawozdawcę z wystawy paryzkiej, wiadomość o *Szczerbcu*, we wrześniowym z. r. numerze *Bibl. Warsz.*, sprostowaną i objaśnioną została w numerze następnym, przez znakomitego badacza p. Ernesta Swieżawskiego. Dla ludzi, którzy czują się związanymi z przeszłością kraju, którzy tę przeszłość kochać i szanować umiają, taka pamiątka, jak ów Bolesławowy Szczerbiec, jest nad wszelakie ceny drogim narodowym klejnotem, i wątpić się nawet nie godzi, iż każda, najdrobniejsza bodaj o nim wiadomość, obojętną być nie może. Z téj zasady wychodząc, śpieszę przesłać, o owym sławnym *mieczyku*, jako i o skarbcu koronnym, niejaki historyczne materyały, które udało mi się, bądź z ustnego podania, bądź z przeglądania starych dokumentów, otrzymać.

Najprzód, wraz z panem Swieżawskim, prostujemy mylne podanie korrespondenta, jakoby ów stary miecz zaginał, przed koronacją Augusta II. Szanownemu korrespondentowi, sprawiedliwa a zasłużona należy się wdzięczność, za zwrócenie uwagi na ten szacowny zabytek; kwestya jednak podjęta objaśnioną być winna. W istocie: ani August II, ani Leszczyński, nie mieli do koronacyi insygniów koron-

¹⁾ Jednocześnie prawie, nadesłane nam zostały dwie prace, dotyczące się Szczerbca Bolesława, które, jako dopełniające się wzajemnie, razem czytelnikom naszym podajemy. Pan Kajetan Kraszewski przysłał nam odpis ciekawego dokumentu, znajdującego się w archiwum Romanowskiém, t. j. akt rewizyi skarbcza koronnego, w r. 1739 dokonanego. Pan Seweryn Smolikowski przywiózł nam z Paryża, wykonany przezeń rysunek miecza, znajdującego się na wystawie przeszłorocznej, a uchodzącego za Szczerbiec Bolesława, oraz opis takowego wraz z krytycznemi uwagami, tyczącemi się całej téj sprawy. Obie te prace, jakkolwiek nie rozwiązują ostatecznie kwestyi spornej, przecież przyczynić się mogą do przedszego jéj wyjaśnienia.

Przyp. Red. Bibl. Warsz.

Tom I. Styczeń 1879.



nych; skoro bowiem napływać zaczęły cały kraj, plądrujące wojska cudzoziemskie, skarbiec koronny, jak mówi Otwinowski (*Pamiętniki*, fol. 95), deponował gdzieś w Szlązku Szembek, natenczas biskup kijowski. Że miecz jednak nie zaginął, ani inne klejnoty, przekonywają nas lustracje skarbcza koronnego, tak z lat poprzedzających, jako i późniejszych, znajdujące się w zbiorze *Pamiętników o dawnéj Polsce*, Niemcewicza (t. III, fol. 40), mianowicie rewizye z lat: 1599, 1633, 1676, dalej 1730 i ostatnia z roku 1792. O téj ostatniej mówi właśnie i p. Swieżawski, cytując słowa naoczego świadka: Czackiego. Niemcewicz, podając tylko wstępny akt téj rewizyi z 1792 r., pisze dalej: „Nie powtarzamy opisu koron, berek, mieczów, jabłek, gdyż właśnie téż saméj (?), jak było (?) w r. 1733. Rewizyi z 1733 r., w zbiorze Niemcewicza niéma wcale: miałaby to być omyłka druku? Autor chciał może odesłać czytelnika do rewizyi z 1730 r., którą, jako przedostatnią podaje. I ta jednak przedostatnią nie jest, posiadamy bowiem w archiwum naszym rękopism, jak się zdaje, Niemcewiczowi nieznaną. Szacowny ten dokument jest aktem całkowitym, rewizyi skarbcza koronnego, z roku 1739, który, jako ciekawy historyczny zabytek, podajemy.

Na tytule wypisano: Komisya przez *Senatus Consultum* w Warszawie, roku niniejszego, dnia trzeciego M-ca Kwietnia naznaczona, a przy oddaniu Skarbcza Koronnego JW. JMci Panu Janowi Anzgaremu Czapskiemu Podskarbiemu W. K. Bratyańskiemu, Łąkorskiemu etc. Staroście, odprawiona—1739 r.

Actum.

In arce Cracoviensi, in Conclavi vero Residentiae Custodialis Thesauri Feria Secunda ante Festum Sanctae Mariae Magdalenae proxima die, scilicet, Vigesimo mensis Julij. An. Dom. Millesimo Septingentesimo Trigesimo Nono.

Obserwując *resultatum Senatus consilii* w Warszawie, dnia 3-go M-ca Kwiet. roku niniejszego 1739 *expediti*, tudzież stosując się do prawa Koronnego o oddawaniu skarbu od Ministerium Podskarbstwa należącego a osobliwie do Konstytucyi 1563 r., *titulo* Skarb Koronny. Za deklaracją y denuncyacją przez Najswietlejszego w Bogu Jana Kardynała Lipskiego Biskupa Krakows. Xiążęcia Siewierskiego Commisarza pierwszego listownie intimowaną.

Na terminie dzisiejszym *circa praesentiam* JW. JMP. Jana Anzgarego Czapskiego Podskarb. W. K. Bratyańskiego, Łąkorskiego etc. starosty *ex ministerio*, JW. JMP. Antoniego Łodzka Ponińskiego, Wojewody Poznańs. *ad mentem legis*, to jest według Konstytucyi 1576 r. *ad hunc Actum ex Senatoria dignitate* należącego, tudzież JW. JMci Xiędza Jerzego z Miroszewa Pierószewskiego Kustosza Koronnego Kanonika Kath. Krak. Deputata na Przeswietny Trybunał Lubels. Koronny z Kapituły Krak. *ex officio*.

Z Małej Polski.

Jan Kardynał Lipski Bisk. Krak. Xiążę Siew.
Bogusław z Łubny Łubiński (sic) Kasztel.
Sandomierski *Ex Senatu.*

Z Wielkiej Polski.

Michał Nieborski Płocki, Kazmierz Rudziński Czerski Kasztelanowie przez *Senatus Consilium* do oddania Skarbcza Koronnego y zweryfikowania kleynotów *ex Archivi Regni* naznaczeni Commisarze. Przeczytawszy *punctum Resultati 3-ium etc. etc.*

Przy prezydencyi JWW. Ich Mciow. Xięży:

Michała z Granowa Wodzickiego, Dziekana Kat. y officyała Generalnego Krak. Opata Wąchockiego; Samuela Szwykowskiego, Franciszka Borowskiego, Józefa Bleszyńskiego, Hieronima Wielogłowskiego Kanoników Krakowskich, Woyciecha Ceyplera Dziekana Kollegiaty WW. ŚŚ. w Krakowie y Kieleckiego, Jana Kantego Wosińskiego Kieleckiego, Jana Chrzonowskiego, Zbudzińskiego proboszczów, Kamillego Garardyniego Scholastyka Kollegiaty Krak. WW. ŚŚ., tudzież JW. JMCi Panów Antoniego Nieborskiego Ciechanowskiego Starosty, Jakuba z Działyna Działyńskiego Chorążego Wschowskiego Starosty Powickiego, Franciszka z Dębin Dębińskiego Sędziego Generalnego Wojew. Krak., Stefana y Adama na Zakliczynie Jordanów Wojewodzców Braclawsk., Kazmierza z Łubny Łubińskiego Starosty Jadowickiego rachmistrza Żupp Bocheńskich JKMci, Józefa Czapskiego Kasztellanica Gdańskiego, Krzysztofa z Zagorowa Rogowskiego Burgrabiego Zamkowego Krakowskiego, Stanisława Jaszewskiego Wielkorządcę Krak. Oberszt Leitnanta JKMci, Michała Głińskiego Cześnika Rawskiego, Józefa na Piegłowie Piegłowskiego Cześnika Jana Brzozowskiego Miecznika—Ciechanowskich, Woyciecha Wężyka Rudzkiego Stolnika Łukowskiego, Ludw. Zabłockiego Stolnika Ruskiego, Józefa Wężyka Rudzkiego Czesnika Łabęciowskiego, Ignacego Burgrabiego Płockiego y Antoniego Stolnikowicza Podolskiego—Aremboszów, Jana Józefa na Lipym Lipskiego, Kaspra Radzieckiego Sędzica Ziems. Zakroc., Józefa z Wrzący Brzechffy, Piotra Paprockiego, Tomasza Firleja Konarskiego Kaszt. Bieckiego, Antoniego z Dobni Dobińskiego Burgr. Krak., Antoniego Brzozowskiego Regenta Grodz. Kowalewskiego, Jana y Stanisława Jaszewskich, Ignacego Łonowskiego, Piotra Dłuskiego, Franc. Miklaszewskiego Subdelegata Grodzkiego Podrzęcogo y Sędziego Wielkorządców Krakowskich, Piotra Gordona Sędziego Wojewodz. Superintendenta Cełł. Rzplitey y Prowincyi Małopolskiej, Francisz. Tadeu. Miklaczewskiego, Stanisława Bedońskiego, Franc. Garlickiego, Stanisł. Korytowskiego, Kazmierza Morawskiego.

Jurisdycyę naszą Komissarską zafundowawszy do dnia jutrzejszego zalimitowaliśmy.

Actum. Feria Tertia ante Festum Sanctae Mariae Magdalenae etc. (Do przejrzenia archiwów, dokumentów do Ekonomij należących etc. wyznaczono księdza Miroczewskiego Kustosza Koronnego, Franciszka Miklaszewskiego Subdeleg. Grodz. Piotra Gordona i Antoniego Brzozowskiego).

Actum. Feria Quinta ante festum Sancti Jacobi Apostoli. (Dla nieskończonej rewizyi papierów ekonomicznych posiedzenie limitowano).

Actum. In ibidem feria Scelta etc. (widząc, że opis Rewizyi ekonomicznych tak prędko skończonym być nie może, limitowano do dnia 27-go).

Actum. Feria Secunda post Festum Sancti Jacobi Apost. proxima A. D. 1739.

Przy dzisiejszej reasumpcyi Sessyi naszej Komisarzkiej, wysłuchawszy relacji o rewidowaniu Munimentorum do Ekonomij *spectantium* tudzież wszystkich papierów które się znajdowały w sklepie sub N. 6-to złożone a osobnym rejestrem teraz według zlecenia naszego przez deputowanych *modo supra scripto Summarie*, opisanych. Do rewizyi i weryfikacyi *Clenodiorum Regni totius Archivi* przystąpiliśmy, y kluczami *a successoribus* ś. p. JW. JMP. Moszyńskiego Podskarbiego W. Kor. przysłanemi, sklepy skarbcza koronnego dalsze, osobliwie sklep narożny otworzyć zleciliśmy, *Sepet z Skrzyni* siedmią kłódkami zamknięty, odemknawszy rewidowaliśmy, które *Clenodia* jako 1731 r. opisane, tak zupełnie *in eodem numero et specie* zostające zweryfikowaliśmy, a tej weryfikacyi tenor takowy.

Korona Pierwsza, Originalis sive Privilegiata nazwana. Od Najjasniejszego Ottona Cesarza Bolesławowi Chrobremu Królowi Polskiemu dana: ta miała porcyi dziesięć. A że jedna porcyja skruszona, z której tylko *in fragmentis* niektóre znajdują się kamienie, zamiast zaś tej porcyi znalazła się sztuka albo ósma porcyja z korony *Reginalis* nazwanej sub N. 7 opisanej. W której według inwentarza 1690 et 1730 siedm tylko porcyi opisano a teraz ósma pokazała się *in fragmentis ejusdem formae* jak te siedm (o czém w inwentarzach pomienionych *nulla mentio*). Dlatego do porcyi trzeciej *Coronae Originalis* tamte fragmenta należeć powinny. Ta zaś porcyja jako *conformis portionibus Coronae Reginalis* tam przystosowana z rozkazu naszego. Tej zaś Korony Oryginalnej porcyje opisują się. (Następuje opis dziesięciu części korony, w których pomieszczone są wielkie i mniejsze rubiny, szmaragdy, szafiry oraz perły z inkrustowanemi kamieniami lub bez takowych w liczbie sztuk 359. Na jednym dużym szafirze wyrżnięty lew).

Te kamienie wszystkie nie slifowane w wszystkich porcyach, zawarcie korony na krzyż szczerozłote, na wierzchu jabłuszko z krzyżkiem, aksamit zbutwiały wyrzucony.

Ta korona włożona teraz w osobne pudło, przy niej włożone jabłko złote *cum sphaera mundi* składane, sztyft przez całe jabłko złoty,

na wierzchu jabłuszko y krzyżyk z pereł czterech y rubinów dwóch zrobiony.

Korona Druga, Szczerozłota, której używają *ad Coronationem* Królowej Polskiej, w sobie ma porcy siedm szczerozłotych, gdyśmy weryfikowali znajduje się ósma w której też same kamienie jako i w innych o czem się już namieniło przy opisanu Korony Oryginalnej na początku. (Następuje opisanie korony w której znajduje się rubinów 40, szafirów 40, pereł 63).

Ta korona bez zawarcia wierzchu nie mająca, Jabłko złote włożone w pudełku przy tej koronie.

Korona Trzecia, *Homagialis* nazwana, szczerozłota ma w sobie porcy dziewięć (według podanego opisu znajduje się rubinów 45, szafirów 45, pereł 85).

Zawarcie tej korony na krzyż, z krzyżykiem ułamanym, jabłuszko przy teje koronie w pudełko włożone, axamit stary zgniły wyzucony.

Korona Czwarta, Węgierska, szczerozłota.

Ta korona w jednym cyrkule mająca w sobie kamieni. Szafirów wielkich w tablice szlifowanych *cztery*, rubinów w tablice *cztery*. Jeden tylko na wierzchu połamany tak jak było zdawna.

Fragmentów do niej należących siedm różnych mniejszych i większych, które teraz zaraz włożone w pudło przy teje koronie *cum specificatione*.

Korona Piąta, Szwedzka nazwana w której porcy *wielkich* pięć, zepsuta jedna z nich, fragmenta z osobna w papierze, te na jednym cyrkule wszystkie. (Następuje opis pięciu większych i pięciu mniejszych części korony, w nich: szmaragdów 34, szafirów 20, rubinów 70, dyamentów 28, pereł 141).

Zamknięcie tej korony na krzyż, złote jabłko maleńkie z krzyżykiem odszrubowane wiszące na drócie.

Sceptra, Pierwsze szczerozłote na szyćcie żelaznym pod gałką wierzchnią dyamentów *dwa*, dyamentu jednego nie dostaje. *Item* w tym sceptrum kamieni trzy. Szmaragd skruszony szlifowany 1, szafir szlifowany 1, topaz szlifowany 1, rubiny małe u dołu 3.

Drugie sceptrum małe złote od korony węgierskiej, u góry listki złote, na szyćcie żelaznym.

Trzecie sceptrum srebrne, złociste na wierzchu, w koronie wyszczerbione.

Czwarte sceptrum, srebrne złociste całe.

Pierwsze jabłko szczerozłote na niem *sphaera mundi* rysowana, na szyćtach złotych krzyżyk na niem z pereł czterech i rubinów dwuch złożony. To jabłko włożone do pudła przy koronie oryginalnej.

Drugie jabłko złote z krzyżykiem złocistym, włożone do pudła przy koronie królowej.

Trzecie jabłko srebrne złociste.

Czwarte jabłko srebrne złociste.

Piąte jabłko srebrne złociste z krzyżkami takiemiż.

Łańcuchy „dwa złote drótowej roboty, opisane w dawniej rewizyi Anno 1690, ale teraz nieważone, ponderis czerwonych złotych *sto czterdzieści y dwa, dico auri* 142.

Item, łańcuchy dwa szmelcowane; jeden w rycerskie węzły waży czerwonych złotych *trzysta sześćdziesiąt y jeden dico Aur.* 361. Drugi łańcuch kręcony złoty, waży czerwonych złotych *dwieście osmdziesiąt y ośm, dico Aur.* 288.

Insuper znajdują się fragmenta, które w przeszłym inwentarzu nie są opisane jako to: (opisanie pięciu części różnych złotych w których mieści się szafirów 5, rubinów 3 i pereł 4).

Pas. Ten na axamicie *zgniełym*, w którym sztuk szesnaście rachując w *przecie* dwie sztuki między którymi aspisowych sztuk pięć, gagatkowa jedna rznęta, inne szczerozłote.

Miecze.

Pierwszy w pochwach srebrno złocistych na kształt koncerza, Sigismundi I, rękowisć (sic) teraz oporzadzona z kapturkiem y krzyżkiem srebrnemi, włożony w skrzynię żelazną wielką w średnim sklepie.

Drugi Szczerbiecz nazwany, w pochwie teraz nowo zrobionej, wychędożony, bo dawną pochwę rdza ziadła, krzyż przy nim z rękowiscią włożony na wierzchu *sepetu*—pod klucze senatorskie, o czém niżej.

Sztuka jednorożca mało większa nad pół łokcia.

Miedniczka mała suto złocista srebrna z greckim pismem, w środku z portretem N. P. Maryi.

Relikwiarz moskiewski srebrny złocisty, na wierzchu kaszt próżny.

Krzyżek srebrny złocisty otwierający się *unus effigie Christi Crucifixi.*

O Klejnotach Zastawnych.

(Tu następuje opis klejnotów zastawionych królowi Janowi III, na zapłatę wojsku litewskiemu z konstytucyi sejmu *electionis* 1674 r. taki sam jaki podany jest w rewizyi z roku 1730, u Niemcewicza fol. 108, dalej zaś pisze):

Opisanie klejnotów Rzplitej, które *per tractatum Elbigensem* dane są w zastaw *electori brandeburgio A. 1700* (właściwie być powinno 1699).

Korona Moskiewska, sama w sobie okrągła, z blachy złotej trybowanej, wewnątrz nakształt jamużki, u góry cztery pałaki wyniesione z blachy złotej, z wierzchu gałka (wedle opisu szafir gruszkowaty wielki) z krzyżem, okrąg trybowany szmelcowany, zieloną koroną w koło reprezentujący, kasztami z różnych kamieni sadzona.

(Następuje opisanie szczegółowe, w którym wyliczono kamienie następujące: szafirów 23, szmaragdów 70, rubinów 83, dyamentów 48, pereł 468. Dalej wyliczenie innych jeszcze klejnotów mniejszych i *noszeń*).

Z których to klejnotów każda sztuka z osobna w skórkę obszyta, a tych sztuk jest sześć i wszystkie w pudełku posrebrzanym porządnie ułożone. Pudełka zaś pieczęcią na wstędze błękitnej obwarowane przez kardynała XJMci prymasa, JMPanów plenipotentów, kurfirsta JMci y komisarza pierwszego na sprowadzenie klejnotów do Krakowa ordynowanego.

Toż samo pudełko pod koronę w puzdro inkludowane, w którym sama korona która pieczęciami XJMci prymasa, JMPanów plenipotentów Kurfirsta JMci Brandeburskiego, JMPanów komisarzów Rzplitey JM Xiędza kustosa skarbu koronnego na wstędze czerwonej zapieczętowana y dobrze opatrzona odesłała się. JMPauom komisarzom *ad retraditionem* Elbląga ordynowanym. Dan w Warszawie *Die et Anno ut supra*. Michał Radziejowski Prymas Korony Polskiej y W. X. Lit.

(Dalej następuje: sumaryusz rejestrowy Inwentarzów, tudzież różnych percept y Expens Wielkorządców krakowskich w skarbcu koronnym znajdujących się etc.).

W akcie powyższym na szczególną zasługuje uwagę paragraf zob. tyt. *O klejnotach zastawnych* z tego względu, że rewizorowie z r. 1730 (Niemcewicz, fol. 109) po wymienieniu klejnotów oddanych królowi Janowi III piszą dalej: „o koronie moskiewskiej testamentem od ś. p: Władysława IV Rzplitey legowanej w tymże inwentarzu (1676) specyfikowanej, *nie mogliśmy dość (dojść) żadnego vestigium jako y djamentu wielkiego in anno 1638 w skarbie zaległego.*”

Dziwném się to wydaje, skoro komisarze późniejsi z roku 1739 w rewizji którąśmy z naszego archiwum wyżej podali, najdokładniej powiadomieni są i o owój koronie i o innych kosztownościach na mocy welawskiego traktatu kurfirstowi brandeburskiemu oddanych, cytując nawet sam akt wręczenia przez prymasa Radziejowskiego podpisany. Tak więc, Szczerbiec, szacowna po Chrobrym pamiątka, wraz z koroną jego, przeleżała aż do czasów ostatnich.

Korrespondent z Wystawy paryzkiej pisze: „niema tu jednak szczyrby i można zaręczyć że nigdy jój nie było; ostrze bardzo szerokie w proporcją długości nie mogło być o tyle ściętém aby znikły ślady uszkodzenia. Wreszcie sam rozmiar niezgodny z tradycją. Wprawdzie ojcowie nasi używali krótkich orężów, nazywali je *mieczkami*; przejrzyjmy tymczasem kronikarzy, czyż z nich aby jeden zwał mieczykiem szczyrbiec Chrobrego.” Tu, stanowczo zaprzeczyć musimy szanownemu korespondentowi; najprzód bowiem, Szczerbiec jako mający głównie nie wygiętą, nie może się zwać pałaszem, jak go Czacki nieopatrznie mianuje, ani szablą, ani ordynką, ani karabelą; w porównaniu zaś z również jak on prostemi koncerzami i wielkimi mieczami używanemi przez naszych sąsiadów, mógł się zwać *mieczkiem* i *był nim w istocie*, skoro w lustracyi skarbcza z roku 1676 pod N. 13

umieszczono *mieczyk Bolesława, alias szczerbik* (Niemcewicz, *Pamięt. o daw. Pol.* t. III, fol. 73).

W numerze 694 *Kłosów* powtórzone są cenne objaśnienia p. Swieżawskiego z opisem Szczerbca jaki Czacki podaje „uważałem że ten pałasz miał szczerbę w środku głowni, ale nie w ostrzu.” Widzimy więc, że w Paryżu mógłby być tym samym, lubo w nim szczerby na ostrzu niema, tu więc trafne jest spostrzeżenie korespondenta. Autor wszelako artykułu w *Kłosach*, robi uwagę, że to określenie Czackiego o szczerbie trudne jest do pojęcia „głownia bowiem, jak mówi, w słownictwie polskim znaczy to samo co brzeszczot, czyli klinga.”

Tak jest rzeczywiście, ale Czacki przez *środek głowni a nie ostrze*, rozumie *środek szerokości napłask*, gdzie skazę, czyli szczerbę uważał, co jest rzeczą najpewniejszą, gdyż każdy co miał z bronią do czynienia wie dobrze, iż na wielu brzeszczotach *które były w robocie*, podobne szczerby spotykać się dają. Przypuszczając dalej prawdziwość legendy o Szczerbcu, ze wszelkiem prawdopodobieństwem domyślałby się wolno, że owe symboliczne tylko uderzenie w bramę dokonanę ręką zwycięzkiego monarchy, uskutecznione zostało *raczej płazem niż ostrzem*, które, bądź co bądź, szanowane jest przez każdego rycerskiego człowieka. Skaza więc na szerokości głowni byłaby w takim razie rzeczą najzupełniej dającą się wytłumaczyć.

Co do skarbcza koronnego, tradycja ustna podaje dwa szczegóły; odnoszą się one do chwili, kiedy po bitwie pod Szczekocinami, Prusacy podstąpili pod Kraków. Kościuszko, jak wiadomo, Wieniawskiemu powierzył obronę starej stolicy, lub w ostatecznym razie oddanie jej w ręce Austryaków. Na sam widok zbliżającego się nieprzyjaciela— lubo Prusacy, jak współczesne podają źródła, do dobywania twierdzy, acz słabiej, nie byli wcale przygotowani, Wieniawski straciwszy głowę wymknął się pośpiesznie do obozu austriackiego, gdzie cały dzień ten i następny przesiedział. Tymczasem, podpułkownik Kalk, Wieniawskiego zastępca, nie otrzymawszy od niego żadnych rozporządzeń, targował się niby z nieprzyjacielem aż do dnia 15 czerwca, w którym, niedoczekawszy się powrotu Wieniawskiego z *trzema* (sic) mieszczanami kapitulacją podpisał. W dniu tedy 14 czerwca gdy nieobecność komendanta, a ztąd, zupełny rozstrój słabych sił miejscowej załogi i trwoga powszechna, rokowały już nieuchronne wejście nieproszonych gości, jak wieść niesie, przybyły jakoby z wieczora do zamku dwie osoby opatrzone w klucze od skarbcza, wzięły ztamtąd niektóre insygnia, skarbiec napowrót zamknęły i odjechały. Te więc główne koronacyjne klejnoty, według podania, miały się, czy mają jakoby w rękach jakiejś rodziny, pod pieczęcią tajemnicy, jako depozyt narodu przechowywać. Według tegoż podania, Prusacy po wejściu do Krakowa, za poradą miejscowego ślusarza, *ślawnego* pijaka, podrabawszy próg skarbcza wyprzątnęli go do czysta, zrabowawszy kosztow-

ności i wszystko co się w nich znajdowało ¹⁾. Prawdziwość drugiej części tego podania zdaje się nam wątpliwości nieulegać, obecnie bowiem czyniąc właśnie poszukiwania w tym przedmiocie, wpadliśmy niespodziewanie na artykuł niestrudzonego, a tyle zasłużonego badacza naszej przeszłości p. Łepkowskiego (*Encykl. Pow.* t. XV, str. 857), który jako bardzo ciekawy podajemy.

„Oto wyjątek z udzielonych mi pamiętników Ksawerego Kratzer. Ów Kratzer (ur. 1740) pełnił już podczas pobytu Prusaków w Krakowie urząd kantora katedralnego i mieszkał w zamku (ma Kratzer nagrobek w katedrze krakowskiej, właśnie obok ks. Sierakowskiego, a umarł 1818 roku, będąc kantorem lat 54), był więc tego co się działo naocznym świadkiem. Piszę on tak o chwilach owych. Stali Prusacy w Krakowie i okolicy, aż do czasu gdy się ostatni podział Polski zdecydował. Niejaki Zubrzycki, wysłużony kapitan artylerji polskiej był wtedy magazynierem w zamku i żywił się z rodziną swoją przy Prusakach. Gdy widział że mu bięda zagraża, powziął myśl haniebnego zabezpieczenia sobie przyszłości. Udaje się tedy do Ludwika Antoniego von Hoym, tajnego konsyliarza i pełnomocnego komisarza JMci króla pruskiego w Krakowie, oświadczając, że jeśli mu wyjedna urząd dostatni, to wskaże miejsce gdzie skarbiec koronny ukryty... Stało się zadosyć życzeniu, bo Zubrzycki dostał nominacyą na komisarza porządku w Częstochowie, z pensyą roczną 180 talarów i mieszkaniem.

Dopełnia tedy Zubrzycki obietnicy, ostrzegając że trzeba bieglego ślusarza do otwarcia zamku, *a dla uniknienia w mieście tumultu*, lepij majstra takiego zkądinąd sprowadzić. Posłano więc do Wrocławia po cechmistrza ślusarskiego; tymczasem nadchodzi wiadomość, że wojska austriackie mają zająć województwa: sandomierskie, lubelskie i krakowskie. Trzeba się było śpieszyć. Przybywa wreszcie ów ślusarz z Wrocławia; więc Hoym, sekretarz jego Lang, generał-major Leopold von Rüts i starsi wojskowi udają się na otwarcie wskazanych drzwi. Usiłowania majstra chcącego pilnie służyć, okazały się bezskuteczne. *Pan generał* radził zatoczyć armatę, twierdząc, że jednę kuli dość na otwarcie okutych wrót. Kowalski, murgrabia zamku zreflektował gorących, że wystrzał wstrząśnie i zawali sklepienie. Przywołano tedy krakowskiego majstra ślusarskiego Franciszka Weissa; ten obejrawszy drzwi, osądził, że innego niema sposobu, tylko spodni węgier wybić, tak, aby się tam człowiek pod nie przecisnął i rygle z wnętrza zasunięte otworzył. Rada praktyczna, więc stanęło na tém i wyrąbano próg kamienny; otworem wpełzał się majster, krzyżowe rygle odsunął i drzwi otwarł. Oddalono przytomnych, a tylko Hoym, Lang, Rüts i murgrabia krakowski weszli do sklepu. *Wzięto zamknięte i zapieczętowane pudro i to karetą gubernatora do miesz-*

¹⁾ Wspomnieliśmy o tém, w opowiadaniu pod tytułem *Skarb stolnikowicza*, drukowanym w *Ognisku domowém*, r. 1876.

Przyp. autora.

kania jego odwieziono. Zubrzycki czekając na dziedzińcu, oświadczył gubernatorowi, że w komnatach królewskich co nieco znaleźć się może. Odebrano tedy Kowalskiemu klucze od pokojów pałacowych, z poleceniem: aby się jutro z domu nie oddalał aż przyjdą. Nazajutrz zrana przybyli znów Hoym, Lang, Rüts i komendant zamku major Mask. Na pokojach Lang prenotował sprzęty a niemi się wedle stopni dzielono. Pozwolono brać i kapitanom i ober- i unter-lejtnantom, feldfeblom, kapralom i knechtom nawet. Gdy zabrano sprzęty, lustra, obicia, opony, stoły i stołki, wyjinowano nawet okna i posadzki, odrywając zamki, zabierając wreszcie drzwi w fasony cięte.

Tak pałac królewski stał się i bez wojny pustką, a rudera jakby po ogniu... Murgrabia Kowalski, drzwi główne wchodowe żelazem okute zamknąwszy, ze zgryzoty zaraz zachorował i umarł. Stróż więc zamkowy Urban, klucz od bramy owój oddał Prusakom. To wszystko stało się w końcu roku 1795, bo 5 stycznia 1796 r. wojsko austriackie Prusaków obluzowało w Krakowie. Austriackiemu generałowi Foulonowi oddali Prusacy to, czego już zabrać nie mogli; oświadczając: „że zamek zdają jak zastali, nie tknąwszy go.” Z całą uprzejmą grzecznością i wiarą przyjęli to oświadczenie austriacki generał.”

Ten pomnikowy dokument najzupełniej aż do szczegółów zgodny z podaniem, któreśmy znali na wiele lat jeszcze przed wydrukowaniem urywka z pamiętników Kratzera, szacowną jest i niewątpliwą wskazówką, a staje się już *niezbitym dowodem* prawdy, zestawivszy go z tém, co spotykamy w pamiętnikach Feliksa Żubieńskiego, gdy opisuje pobyt swój w Berlinie w r. 1797 i przedstawienie u dworu (*Pam. Żub.*, str. 164). „Skoro deputaci otrzymali posłuchanie, Działyński, jak sam sobie życzył, przemawiał do króla, ale zmieszany obecnością mnóstwa osób uprosił Żubieńskiego, aby wystąpił z przemową do królowej. Nie podaję treści tych mów w pamiętniku (mówi wydawca Wł. Chomętowski o Żubieńskim), ale zapisał pewną okoliczność, która nie mało nabawiła go kłopotu. Kiedy królowa odpowiadała na jego mowę, *spostrzegł starosta w naszyjniku jój i w dyademie klejnoty z koron, które widział niegdyś w skarbcu krakowskim.* Nie mógł ukryć wzruszenia i pomieszania, co nie uszło uwagi królowej; zatem po skończonej audyencji, zapytała przez hrabiego Massau o przyczynę. Rozumię się, że zagadniony Żubieński niechciał z początku wyznać prawdy, atoli nie przestała królowa na pierwszym tłumaczeniu i tak nalegała usilnie, że w końcu przyznał się szczerze, jako przyczyną jego pomieszania było zauważenie podobieństwa klejnotów w jój naszyjniku, do zdobiących korony, które złożone były niegdyś w Krakowie. Poprzestała królowa na tém tłumaczeniu, pisze Żubieński, rozkazała odnieść klejnoty do skarbcu, i odtąd już ich nigdy nie używała.”

Zestawivszy te wszystkie świadectwa, niema już dziś wątpliwości najmniejszej, że skarbiec koronny dostał się do Berlina. Część więc podania któreśmy wyżej przytoczyli, okazuje się zupełnie prawdziwą. Co do drugiej części tradycyi, czyli ukrycia przed zaborem Prusaków

niektórych koronacyjnych klejnotów, nie tu napewno powiedzieć nie można; a co gorzej, niestety, z opowiadania Kratzera wnioskować należy, iż główne klejnoty wcale przed tém naruszone nie były, skoro, jak mówi tenże „zapieczętowane puzdro, karetą gubernatora do mieszkania jego odwiezione zostało.” Ztąd nawet daje się jakoby widzieć początek popularnej legendy o owych *nieznanych* osobach, które klejnoty uwieźć miały (z różnicą czasu zdarzenia). *Rabunek* bowiem skarbcza otaczał się, jak widzieliśmy, pewną tajemniczością *dla uniknięcia w mieście tumultu* (Kratzer), jakby się białego dnia wstydził, na co, przy odrapywaniu komnat zamkowych *nazajutrz rano* już nie zwracano uwagi, jako na rzecz w porównaniu głównej zdobyczy, mało znaczącą.

Z mieczami wszakże które się w skarbcu znajdowały, koncerzem Zygmunta I i Szczerbcem, rzecz się ma wcale inaczej.

Wszystkie rewizye skarbcza koronnego przekonywają nas, że przechowywane tamże pamiątki i kosztowności, układane były i trzymane, zawsze muić więcej w jednakim, raz przyjętym porządku. I tak, z rękopismu znajdującego się w naszym posiadaniu, lustracyi 1739 r. z końcowy ustęp, umyślnie nie podany przez nas wyżej, brzmi jak następują: *Zamknięcie skarbu.* „*Insignia Regni* wyżej opisane w sepecie tymże w którym *continebatur* ułożywszy, trzema zamkami zamknięte w skrzyni żelaznej z zamkiem i ryglami, z sepetem złożone...” etc. i dalej: „klucz zaś podwoyny od zamku skrzyni żelaznej w której ten sepet *cum insigniis* pieczęciami naszymi stwierdzony włożyć rozkazaliśmy JWMci Panu Podskarbiemu W-mu Kor. oddaliśmy.” W rewizyi z r. 1730 czytamy: „To wszystko to jest insignia y inwentarze w tymże samym sepecie zamknięte do skrzynki, w której przywiezione z sepetem włożone, *miecze zaś na spodzie w skrzyni pod sepetem włożyliśmy.*” Inwentarz zaś nasz z 1739 r. mówi o mieczach: „koncerz Sigisnundi I włożony w skrzynię żelazną wielką, Szczerbiec włożony na wierzchu sepetu” w skrzynię.

Z powyższego więc okazuje się, porównywając rewizye z lat różnych, że przedmioty znajdujące się w skarbcu pakowano w sposób następny. Każda korona z jabłkiem w osobnym pudełku; łańcuchy, bersta i drobniejsze rzeczy w innych osobnych pudełkach, to wszystko w sepecie, czyli kuferku jednym zamkniętym i opieczętowanym. Sepet ten, czyli puzdro, złożone było w skrzyni żelaznej, zamczystej, pod kluczami senatorskimi; a że miecze jako przedmioty większe, w sepecie z koronami i klejnotami mieścić się nie mogły, wkładano je do skrzyni żelaznej razem z sepetem, pod spód, albo na wierzch jego.

Ztąd nietylko przypuszczać, ale niemal napewnoby twierdzić można, że gdy Prusacy sklep otworzyli, skrzyni żelaznej zabrać do karety nie mogli; odbito więc ją i następnie „sepet, czyli, jak mówi Kratzer, puzdro opieczętowane” z owej skrzyni wyjęto i odwieziono do gubernatora. Miecze zaś leżące w skrzyni *obok sepetu*, bez żadnego już skrupułu mogli sobie *na pamiątkę* (zwłaszcza że w kosztownych opra-

wach) zatrzymać waleczni zdobywcy stariej stolicy, panowie konsyliarze albo generałowie.

Tak więc, gdy korony i berła nasze spoczywając w skarbcu berlińskim, czekają dalszych, a nieznanym przeznaczeń losu; nic nie byłoby dziwnego, aby szacowniejszy może od nich Szczerbiec Chrobrego, z rąk do rąk od sukcesorów którego z dygnitarzy pruskich przechodząc, zawędrował aż do Paryża, ku ozdobie jakiegoś antykwarskiego składu.

Zewszeh miar ciekawe byłyby wiadomości zebrane w tym przedmiocie przez ś. p. Podczaszyńskiego, o których wspomina w *Bibliotece Warszawskiej* szanowny pan Ernest Swieżawski. Sądzymy, że postaranie się o ten rękopism i ogłoszenie go drukiem, na nikogo nie przypada właściwiej, jak na *Bibliotekę Warszawską*. Z wieku jej i z urzędu ten zaszczyt należy; a nawet śmiemy powiedzieć—obowiązek. *Czteryście pięćdziesiąt sześć tomów* cnej *Biblioteki Warszawskiej*, które, nawiasem mówiąc, przez zbytnią skromność chyba każą się nazywać zeszytami; ten poważny zbiór najzdrowszego duchowego pokarmu, trzecie już żyjącego pokolenie, stanowi bowiem, sam w sobie, prawdziwy *skarbiec* narodowy, którego nam żaden nawet następca tajnego sekretarza Hoyma odebrać nie może.

w Romanowie, 5 listopada, 1878 r.

II.

OPIS I RYSUNEK MIECZA ¹⁾,

ZNAJDUJĄCEGO SIĘ NA WYSTAWIE PARYŻKIEJ W ROKU 1878, ORAZ KILKA UWAG W SPRAWIE SZCZERBKA BOLESŁAWOWEGO.

PODAŁ

Seweryn Smolikowski.

Reliquias veterumque vides monumenta virorum.

Na wystawie paryżkiej, w pałacu Trocadero mieścił się dział historyczny, zawierający w sobie cenne nader zabytki minionej przeszłości, zgrupowane w taki sposób, by mogły widzom naocznie niemal przedstawić barwę i cywilizacyjną doniosłość różnych wieków i różnych krajów. W pośród wielu sal, na cel ten przeznaczonych, mogły każdego zająć drogie dla nas, a ważne dla nauki zabytki i pamiątki, odnoszące się do dziejów naszych. Korrespondent z Paryża opisał je w sposób zajmujący, właściwem sobie, pociągającym i pięknem piórem, a co ważniejsza w dziale nienależącym do sali, zawierającej rzeczy polskie, umiał on dopatrzeć miecza, dzieje którego, losy i autentyczność

¹⁾ Dołączone do artykułu niniejszego tablice, wykonane zostały w drzeworytni *Kłósów*, podług rysunków p. Smolikowskiego. *Przyp. Red.*

stanowić odtąd będą, o czém przekonani jesteśmy, przedmiot badań archeologów i dociekań historyków.

Mała tarczka z orzełkiem, do miecza tego przyczepiona, zwróciła uwagę korespondenta, a dzięki wiadomościom o mieczu tym, poraz pierwszy w *Bibl. Warsz.*, w miesiącu wrześniu 1878 r. (str. 441) przezeń podanym, sprawa Szcerbca Bolesławowego weszła na stół i czeka obecnie *gruntownego, naukowego* rozwiązania.

Nie potrzebujemy mówić o ważności téj sprawy. Pomijając już pamiątkowe znaczenie jéj dla nas, przyczyni się ona zapewne do rozwinięcia u nas zamiłowania do studyów starożytnych i wzbogaci archeologię krajową.

Sprawa miecza Bolesława będzie téż miała i doniosłość w nauce archeologii w ogóle. Miecz bowiem z XI wieku, a może i dawniejszy (jeśli to rzeczywiście jest Szcerbiec), w takim nadto zachowaniu, jak się przedstawia na wystawie, jest przedmiotem tak rzadkim i tak w dziejach sztuki średniowiecznej ważnym, iż sprawa Szcerbca stałaby się powinna sprawą nauki w ogóle, a stwierdzenie autentyczności jego, byłoby zjawiskiem nader doniosłym i zewszecmiar ważnym w dziejach archeologii.

Sprawozdawca z wystawy paryzkiej pierwszy, jak wyżej wspomnieliśmy, zaznaczył zjawienie się na niéj danego miecza, z góry jednak uprzedzonym będąc o jego nieautentyczności, nie dał dokładnego opisu, poprzestał tylko na skreśleniu ogólnych cech jego. Nie będąc zresztą biegłym w ocenie tego rodzaju przedmiotów, niemiał zamiaru dać naukowego opisu, t. j. w ogóle opisu, jakiego wymaga się od sprawozdawców w rzeczach archeologii. Dodać przytém musimy, że utrudniony dostęp do przedmiotu badań, niemożność przyjrzenia mu się zblizka, wzięcia go do ręki, z natury rzeczy czynią opisy takowego zbyt ogólnymi, niemającymi cechy zupełnie autentycznej. W rzeczach zaś archeologii trzeba wszystkie niemal zmysły na pomoc przywołać, *pondere, numero et mensura* doświadczać, a przytém chemia gra tam także swoją rolę. Są wypadki sztucznych podrobień, artystycznych niemal naśladowań, a ztąd i omamień bezwiednych. Ztąd téż uważamy, że opieranie się na pierwszym tym opisie, nie może być wystarczającym, a zwłaszcza dla snucia hipotez lub budowania całych teorii.

Przystępując obecnie do powtórnego opisania przedmiotu spornego, zgóry jednak uprzedzić musimy, że niemogąc, z powodów od nas niezależnych, mieć go w rękę, nie rościmy bynajmniej prawa do *najściślej* dokładności, zwłaszcza co do wymiarów. Widzieliśmy nieraz dany miecz, wpatrywaliśmy się w niego z uwagą i każdy szczegół w pamięci przechowany, przenosiliśmy następnie na papier; nie mogliśmy jednakże zmierzyć go inaczej jak okiem, a ztąd wymiary, jakie podajemy, są tylko przybliżone. Kształt zato miecza, rysunki i ozdoby na rękojeści, oraz stosunek wymiarów, o ile sądzimy, są wierne. Napisy odczytaliśmy, bo są dość wyraźne; po wypisaniu takowych, sprawdzaliśmy je często, kształty i charakter liter staraliśmy się naśladować.

Otóż nim zdjęta zostanie fotografia i podobizny odtworzone, co jest koniecznym dla dalszych badań, rysunek nasz podajemy prowizorycznie dla tych zwłaszcza, którzy przedmiotu tego przed oczyma nie mieli lub i tych wreszcie, co go już mieć nie będą mogli, z powodu zamknięcia wystawy. Jakkolwiek więc za wyniary, jakie przybliżenie podajemy, nie odpowiadamy w zupełności, gdyż te, jakto już wyżej wspomnieliśmy, wzięte są na oko; to przecież z uwagi, że rysunek nasz daje kształt miecza, odtwarza wiernie ozdoby i przedstawia podobizny napisów, a ztąd daje ogólny charakter przedmiotu spornego i szczególony jego: sądzimy, że rozpowszechnienie takowego, jako mogące posłużyć do prędszego wyjaśnienia rodowodu miecza, wystawionego w Trocadero, okaże się pożytecznym dla dalszego toku sprawy Szczerbca Bolesławowego.

Drugi rysunek, jednocześnie z powyższym robiony, złożyliśmy w darze korespondentowi z wystawy, jako pierwszej osobie, która, wzmianką o mieczu tam będącym, dała impuls tej sprawie. Pani S. z Żoch. Duchińska, spraw miecza tego wzięwszy do serca, zdoła zapewne nadać jęj obrót odpowiedni; stosunki z kołem uczonych paryzkich, ułatwią jęj zasięgnięcie zdania archeologów francuzkich i zainteresowanie tym sposobem całego świata uczonego sprawą miecza polskiego. Staraliśmy się też pozyskać dla tej sprawy pana Żm., gorliwego badacza starożytności, który, podczas bytności naszej w Paryżu, przybył tam dla dalszych swych studyów. W tym też celu pan Żm., obiecał rozstać do uczonych niemieckich podobizny napisów, jakie odczytaliśmy, a to dla zasięgnięcia zdania specjalistów, mogących prędczej i łatwiej niż inni zdefiniować epokę tego zabytku pod względem charakteru i znaczenia napisów, wyjaśniając styl i wiek liter.

Słowem, sprawa miecza spornego niebawem pchnięta zostanie, jakby sądzić należało, na właściwe tory; ludzie dobrej chęci, a co najważniejsza specjaliści, zapewne zechcą wziąć ją w swoje ręce. Że zaś nadto posiadamy w grodzie naszym, podobno nader cenny zabytek, t. j. materyały, odnoszące się do rodowodu i dziejów Szczerbca, w papierach po ś. p. Podczaszyńskim pozostałych, niedługo może rzecz cała da się wyjaśnić. Papiery te przedewszystkiem na widok publiczny wydaćby należało. Łączymy też głos nasz, z odezwą pana Kajetana Kraszewskiego, wzywając szanowną redakcyą *Bibl. Warsz.* do podjęcia tego zadania i wywiązania się tym sposobem ze swego obowiązku względem kraju i nauki.

W materyałach, przez ś. p. Podczaszyńskiego zebranych, mieści się prawdopodobnie klucz do rozwiązania zagadki, *curriculum vitae* miecza Bolesławowego. A tak, historia wypowiedzi może swe słowo stanowcze; będzie to przynajmniej pół sprawy wygranęj.

Druga połowa przypada na archeologią; ta następnie powinna nam odpowiedzieć przedewszystkiem:

1^o czy miecz na wystawie będący jest autentycznym, t. j. czy jest rzeczywiście z tej epoki, cechy której nosi na sobie, jednem słowem, czy nie jest podrobionym;

2° czy jest mieczem z epoki Szcerbca, a raczej wogóle, z jakiej jest epoki, tak pod względem stylu, jak i napisów i t. d.

Na tém jednak niedosyć. Po twierdzących nawet odpowiedziach historii i archeologii, t. j. po zaznaczeniu tak historycznego, jak i rzeczywistego istnienia Szcerbca, przywołana w pomoc wyższa krytyka dziejowa, krytyka filozoficzna, krytyka, oparta na charakterze pojęć legendarnych i prawach ogólnych formowania się takowych, posiłkując się zarówno porównawczą metodą, jak i materiałem przez historią i archeologią dostarczonym, rozstrzygnąć powinna: czy prawda dziejowa odpowiada prawdzie legendowej, czy np. nazwa Szcerbca nie powinna się łączyć raczej z postacią Bolesława Śmiałego, niż Chrobrego; czy mianowicie nie nastąpiła tu *transmisja* faktu, a raczej ubarwienie faktu głównego, prawdziwego, przymiotem zapożyczonym od faktu późniejszego, a to siłą skupiania się przymiotów w centrum bardziej znanem i bardziej sympatycznem.

Punkt ten ostatni stawiamy w skutek niektórych danych, jakie niżej rozwinemy, a które, jak sądzimy, usprawiedliwią ten skrupuł.

Otóż dopiero, po rozwiązaniu pytań powyższych, oraz wielu innych z nich wyływających, sprawa *naukowo* rozstrzygniętą zostanie. Dotąd wolno o niej mówić wszystkim, którzy z nowymi przychodzą wskazówkami lub nowe przynoszą materiały. Owszem, sądzić, że przy ogólnem przedmiocie tym zajęciu się, może ztąd owad cenny jak dokument, jako nowe źródło wytryśnie. Z tego też stanowiska wychodząc i autor artykułu niniejszego głos swój słaby i w sprawach tego rodzaju jeszcze mało doświadczony, nie waha się podnieść, a to w nadziei, że może w czémkolwiek bądź do wyjaśnienia tej sprawy przyczynić się zdoła, a przynajmniej opisem stanu rzeczy przyspieszy odpowiedź, jak dotąd milczących jeszcze specjalistów naszych, t. j. archeologów z powołania.

Opis miecza, znajdującego się na wystawie paryżkiej i wyjaśnienie rysunku (tab. I, II, i III, nr. 1—8).

Nim przedstawimy dane, przemawiające za lub przeciw możliwej autentyczności przedmiotu spornego, przedewszystkiem podać zamierzamy opis onego *ex visu*, uprzedzając jednak, że z powodu pozycyi miecza, t. j. zawieszenia go w witrynie przy samej ścianie, widzialną być mogła jedynie jedna strona takowego. (Patrz tab. I, II i III).

Jestto miecz prosty, obosieczny; rękojeść czyli głowica w kształcie krzyża, ramiona nieco w łuk zakrzywione i ku dołowi wygięte, głownia czyli brzeszczot szeroki, płaski, ku środkowi nieco szerszy; brzegi miecza czyli ostrze niezbyt ostre, w pośrodku klingi rowek, czyli wyżłobienie, idące niemal ku samemu końcowi miecza.

Długość całego miecza wraz z rękojeścią, mniejwięcej półtora łokcia, rękojeść, rachując od osady brzeszczota, niema więcej nad 6 cali, ramiona od środka osady po 3½ cala, czyli długość całego łuku wynosi 7 cali. Szerokość klingi przy osadzie mniejwięcej dwa cale; poniżej, w trzeciej części swęj długości ma prawdopodobnie nieco więcej.

Rękojeść. Ramiona rękojeści w łuk lekko wygięte, zakończone są rozszerzeniem, w którym mieści się z każdej strony w obwódce rysunek; z lewej (od widza) postać skrzydlata ze zwojem w ręku; z prawej strony orzeł, z rozwiniętymi nieco skrzydłami, ale siedzący. Pierwszy przedstawia zapewne ewangelistę Mateusza, drugi Ś-go Jana. Dziwna rzecz tylko, dlaczego niemają aureoli nad głowami, gdy inne postacie symboliczne na samym trzonku miecza umieszczone w *nimbę* są ubrane. Trzonek czyli sama rączka w rękojeści, długości przeszło $3\frac{1}{2}$ cala, ma kształt graniasty znacznie wydłużonego prostokąta, zwężającego się nieco ku górze i kończącego się zaokrągleniem czyli główką albo gałką o powierzchni ściętej, lecz wystającej dość znacznie nad powierzchnią samego trzonka (tab. I, nr. 1 i 2). Jest to właściwie ów guz o ściętej powierzchni, charakterystyczny we wszystkich ozdobach romańskich, zjawiający się głównie na końcach ramion krzyżów lub na powierzchniach i osadach kielichów kościelnych, monstrancy i t. p.

Trzonek, którego brzegi, podobnie jak i brzegi ramion rękojeści, ścięte są prostokątnie, jest znacznie grubszy od tych ostatnich; grubość jego przedstawia się oku na $\frac{1}{2}$ cala, podczas gdy ramiona rękojeści nie mają połowy tej grubości.

Na powierzchni trzonka obłożonej obwódką, podobnie jak i powierzchnia ramion oraz główki miecza, i podzielonej na trzy kondygnacye, widzimy: w pierwszym polu od góry, niezgrabnie zrobione zwierzę skrzydlate z *nimbą* nad głową: jestto zapewne lew skrzydlaty, symbol Ś-go Marka ewangelisty; poniżej podobny potwór, lecz z rogami i także z *nimbą*, co znamionuje Ś-go Łukasza; w trzecim polu najniższym, lecz dłuższem nieco od poprzedzających, wyrysowany baranek również z *nimbą* (tab. II); w jednej nóżce, niezgrabnie wygiętej, trzyma on chorągiewkę zakończoną krzyżem; przy nim stoi kielich charakterystycznego kształtu (podstawa równa górnej części i takiéjże formy); do tego kielicha wpada strumień krwi, wytryskający z piersi baranka: to znany symbol Chrystusa, średniowieczny *Agnus Dei* a strumień krwi, to ów *zdrój żywota*, który wedle słów Zbawiciela prawdziwym jest napojem, jako ciało Jego, prawdziwym pokarmem. (Symbolistykę Chrystusa pod postacią jagnięcia (Jan, I, 29) znajdujemy już w I w. ery chrz.).

Nie ma wątpliwości, iż rysunek na rękojeści uwydatniony, przedstawia Chrystusa wespół czterech ewangelistów. Takie otaczanie Chrystusa symbolicznymi zwierzętami ewangelicznymi jest charakterystyką krzyżów romańskich. W ogóle symbolistyka powyższa zwierząt skrzydlatych i anioła (Ezechiel I, 5—11), występuje od nader dawnych czasów w dziejach sztuki chrześcijańskiej. W różnego rodzaju apoteozach Chrystusa widzimy Go zawsze niemal w otoczeniu tych czterech znaków symbolicznych. Zwierzęta skrzydlate występują, jako symbole, zarówno na krzyżach metalowych, jak i na miniaturach książkowych. W kolei wieków, symbolistyka ta utrwalałą została i wszyscy niemal nią się posługują, a nawet najznakomitsi malarze, idąc za daną tradycją, jednakowo ją traktują (Rafaël w obrazie przedstawiającym widzenie Ezechiela, a znajdującym się w galerii florenckiej). Utrwalił się

przycém pewien porządek, a mianowicie: ewangeliści grupują się zawsze niemal parami i to tak, że Ś. Mateusz ze Ś. Janem, a Ś. Marek ze Ś. Łukaszem; przycém anioł i orzeł jako istoty górnych stref, umieszczają się zwykle w górze, a w czworokącie po prawej stronie. (Ezechiel, I, 10). Harmonia rysunku także na grupowanie to wpływa; skrzydła anioła i orła, charakterem swoim zbliżone, powodują tę symetryą, zwłaszcza gdy są w narożnikach krzyża lub czworokąta; tak jak postacie lwa i wołu skrzydlatego, stanowią jedność pomiędzy sobą. Podany niedawno w *Tygodniku Ilustrowanym*, w nr. 999 ogólnego zbioru, rysunek krzyża z X wieku, ofiarowanego do kaplicy Ś-go Leonarda na Wawelu przez kardynała Ledóchowskiego, może, między innymi, służyć za wzór traktowania tego rodzaju symbolistyki i ornamentacyi w wiekach średnich. Podobnie jak na tym krzyżu, Chrystus uosobiony jest pod postacią baranka, w pośród czterech postaci symbolicznych; tak samo téż i na rękojści miecza, o którym mowa, widzimy Chrystusa i czterech ewangelistów.

Wiele takich ugrupowań baranka, w pośród symbolicznych postaci ewangelistów, znajdzie czytelnik w najdostępniejszym dla siebie dziele: *Życie Chrystusa* Veillot'a, w którym na szczególniejszą uwagę zasługuje miniatura z-VIII wieku (Fig. 119), przedstawiająca widzenie apokaliptyczne S-go Jana. W tém widzeniu symboliczne postacie ewangelistów występują już w całej pełni swego charakteru. Inna miniatura apokaliptyczna, znajdująca się w rękopiśmie z XIII wieku, w bibliotece Firmin-Didot (Fig. 177 dzieła Veillot'a), uwydatnia znowu postać baranka wspartego na kolanach Chrystusa. Podobny baranek, trzymający chorągiewkę z krzyżem lub tylko z podniesioną nóżką obok chorągiewki stojący, figurował i na monetach średniowiecznych, głównie zaś francuzkich. Najczęściej w około rysunku biegnie napis: *Agnus Dei qui tollis peccata mundi miserere nobis*. Ciekawe w tym względzie są monety Ludwika X, Filipa V i Karola IV, podobiznę których znajdzie czytelnik w *Słowniku średniowiecznej łaciny* du Cange'a (wydanie 1840 r.), w tomie IV pod nr. 17—18 w VII-jej tablicy numizmatycznej. (Por. *Wykopaliszko głębokie* ks. Polkowskiego, Gniezno, 1876, (str. 74). *Wykop. wielęskie* K. Beyera, Warsz., 1876, (str. 40, nr. 195).

Nadmienić przycém musimy, że na wystawie w sali poprzedzającej salę Bazylewskiego, widzieliśmy krzyż romański z narożnikami zupełnie tegoż charakteru co w opisanym przez nas mieczu. Zaznaczymy fakt ten z powodu wielkiej między przedmiotami temi analogii, a która przy porównawczém badaniu rysunku przydać się może.

Wspomnieliśmy, iż ramiona rękojści dość są cienkie, rączka zaś, czyli trzonek właściwy znacznie grubszy. Długość ramion i trzonka już oznaczyliśmy; co zaś do szerokości takowych, ta w proporcyi do ich długości tak się przedstawia: ramiona w części zwężającej się, mają nieco więcej nad pół cala szerokości, w części najszerszej, to jest przy końcach swoich przechodzą nieco cal. Rączka sama przy osadzie szeroką jest przeszło na cal, ku górze zwęża się zlekka i zakończoną

jest guzem charakterystycznym, cechującym średniowieczne sprzęty romańskie. Powierzchnia ścięta téj wypukłości, wielkości cała kwadratowego, ozdobiona jest ornamentem roślinnym, przedstawiającym się jakby drzewo dębowe (patrz rysunku mego tab. I, szczegół pod nr. 2). Wokoło guza okolonego wąską, ściętą powierzchnią (tab. I, szczegół nr. 1) biegnie również ornament roślinny (zlekka na nr. 2 zaznaczony); jestto rodzaj girlandy lub listowia, niezbyt kształtnie zrobionego.

Cała ornamentyka rękojeści, czyli wszystkie jéj ozdoby na powierzchni są czarne, szmelcowane w ogniu, na tle brązowo-żółcistém i przedstawiają się przeto jako czarna emalia, z tą tylko różnicą, że, gdy ozdoby liściaste, to jest wzmiankowany już rysunek na wypukłości rączki, oraz podobnegoż kształtu ornament rośliny biegnący wzdłuż ramion rękojeści (tab. II), dalej ozdóbki w narożnikach owalów mieszczących w sobie symbole ś. Mateusza i ś. Jana, a nadto i litery napisów, są wypełnione ciemnym tłem (*niette*), a przeto przedstawiają się czarno; to rysunki, jakie opisaliśmy, a które oddzielone od brzegów miecza liniami lekkiego zacięcia, są tylko konturowane a ztąd przedstawiają się jasno.

Kształt klingi (Tab. II). Ostrze szerokie na dwa cale. Długość brzeszczota pięć ćwierci łokcia. Brzegi, ostrze miecza albo *brzuśce*, począwszy od osady klingi łukowato rozszerzają się ku środkowi (rozszerzenie to jednak nader mało akcentowane) a następnie wolno zwężają. Końca samego niewiadać, gdyż zasłonięty jest innym przedmiotem w szafie stojącym. Sądząc jednak z ogólnego kształtu klingi, takowa kończyć się musi językowato, w formie przecięcia się dwu łuków. Wzdłuż klingi środkiem wyniosłości miecza czyli jego *grzbietu* biegnie rowek, czyli wyżłobienie dość duże i dokładnie oznaczone. Zpod rękojeści znowu wybiega mały języczek, a raczej listewka metalowa przykuta do miecza a może i na nim w całości wyrobiona. Powierzchnia listewki przedzieloną jest wzdłuż, linią równoległą, na dwie równe części, w których napisy spływają ku dołowi. Koniec listewki zakryty jest małą tarczką metalową (tab. I i II) do miecza drucikiem, albo sznureczkiem metalowym przyczepioną. Tarczka ta zasłania końce napisów na listewce będących, podobnie jak i początek wyżłobienia w kłindze. Tarczka wielkości półtora cała kwadratowego, ale kształtu nieco wydłużonego, jest mosiężną, w obwódce niemięci się pole brunatnoczerwone ciemne, a na niém orzełek z koroną tak jak na rysunku przedstawiony (tab. I, nr. 3). Obwódka na tarczy wygląda pozłocisto, podobnie jak cała rękojeść miecza, jakkolwiek śladu złocenia niéma nigdzie; ta pozorna pozłocistość jest cechą dawnego mosiądzu. Styl tarczki zgodny z całością, jednakże rysunek orzełka z późniejszej zdaje się być epoki; widocznie téż nie na swoim znajduje się ona miejscu; jeśli zaś należy do całości, to mogła być osadzona jedynie na pochwie i to przy osadzie u góry. Przedewszystkiem więc, trzeba by zbadać odwrotną jéj stronę; być może, iż znajdują się tam ślady lutowania lub mechanicznego przymocowywania, co byłoby znaczną wskazówką. Tarczka mogła być ozdobą jednéj z pochew, które miecz przechowywały a wtedy i jéj charakter późniejszy niż miecza

wyjaśniłby się z łatwością; miecze zmieniały zwykle w skarbcach pochwy jak sukienki, co wynika z natury pochwy, łatwiej zniszczeniu ulegającej, zwłaszcza gdy w miejscach wilgotnych przechowywaną bywa, co, nawiasem mówiąc, miało też często miejsce ze skarbcem krakowskim, jak to niżej pokażemy.

Na brzeszczocie, przynajmniej z tej strony cośmy go widzieli niema żadnej skazy, ani szczyrby i to ani na ostrzach jego, ani na głowni w środku. Być może, że na samym końcu miecza, niewidzialnym z powodu zasłonięcia go przez inny przedmiot, jest jakie stępienie lub skaza. Czego jednak nieprzypuszczamy, z tego względu, że cała klinga zdaje się być znacznie nowszą niż rękojeść, a przytém przedstawia się w tak dobrém zachowaniu i tak zdrowo, że i o skazy na drugiej stronie, lub na samym jej końcu posadzać ją niema powodu.

Napisy (tab. III). Spotykamy w trzech miejscach miecza napisy: na trzonku samym, to jest na oprawie rękojeści (nr. 1 i 2), na dwu ramionach rękojeści t. j. jelicach (nr. 3 i 4), oraz na listewce (nr. 5 i 6) przy osadzie klingi, czyli brzeszczotu. Litery prostokątne, kanciaste przeważają, są jednak: okrągłe, łukowate, a nawet jedna greckiego kształtu (T).

Na *trzonku* pod lwem i wołem skrzydlatym są dwa napisy odpowiadające znaczeniu tych postaci symbolicznych: *Marcus* i *Lucas*.

Zaznaczyć jednak musimy, iż w każdym z tych wyrazów jedna litera przedstawia pewną wątpliwość. I tak pierwszy wyraz dla oka nieuprzedzonego rysunkiem, zrazu wygląda na *parcus* (nr. 1) a drugi na *luchs* (nr. 2). Prawdopodobnie litera *M* w wyrazie *Marcus* jest okrągłą, złożoną z dwu części, z których pierwsza jest niewyraźna i dlatego druga tylko jest widzialna (w pewnej przynajmniej odległości) i przedstawia się na pierwszy rzut oka jako niewyraźne *P* (nr. 7). Ta jeszcze okoliczność wprowadza czytającego w błąd, iż oko jego nawykłe do symetrii w napisach, nie przypuszcza zrazu, by litera początkowa umieszczoną była przy samym brzegu ściany, gdy po wyrazie jest jeszcze dość pola wolnego. Tymczasem podobne położenie drugiego napisu (*lucas*), który lubo jeszcze krótszy, nie na samym jednak umieszczony jest środku, lecz także ku lewej stronie posunięty, usuwa tę wątpliwość a daje przekonanie, że jej przyczyną jest kształt litery *M* odmienny od kształtu tej litery w napisach poniżej będących, zwłaszcza, że taka mieszanina kształtów w tychże samych literach powtarza się dość często na napisach średniowiecznych. Co zaś do wątpliwiej litery w wyrazie *lucas*, ta jest zapewne niezgrabnym *A*, przytém nieco zatartém, i dlatego przedstawia się oku jako niewyraźne *h* małe (nr. 8). Zresztą rysunek ewangelistów i ogólny charakter miecza ostatecznie skrupuła ten usuwają. Choć jednak przekonani jesteśmy, że wyrazy te oznaczają dwu wzmiankowanych wyżej ewangelistów, podaliśmy je na rysunku, tak jak zrazu w odległości przeszło łokciowej oku naszemu się przedstawiły. Nic bowiem łatwiejszego, jak dodać jaką krótką, lub ująć jaki punkcik dla uproszczenia odczytania niewyraźnych napisów; ale to droga nader niebezpieczna, bo tym sposobem odpisy przechodząc z rąk do rąk, w koń-

cu, pod wpływem bujnej wyobraźni odczytujących je, zupełnie na inne się zmieniają. Takięj metody trzymano się u nas niestety, dosyć długo. Niechcąc też krępować się napisami, staraliśmy się niezależnie od takowych, dowieść znaczenia rysunków, ustalając przytém w ogóle, przynajmniej, datę téj symbolistyki, témbardziej że napisy często w następstwie czasów zacieraają się, lub bywają przeinaczane, a czasem nawet z umysłu podrabiane.

Na *rękojeści* na każdym z ramion krzyża, spotykamy po kilka grup liter łączących się zapewne w jeden napis.

I tak, na prawém ramieniu (od patrzącego) widzimy dwa wyrazy przedzielone kropką i biegnące od osady miecza ku końcowi ramienia:

SEDALAI · EBREBEL (tab. III, nr. 4).

Na lewém ramieniu znajdujemy trzy takie grupy liter, także odzielone kropkami:

CON · CIT OMON · · EEVE (tab. III, nr. 3).

Uderzyła nas w tym napisie litera C, która co do kształtu niczém się nie różni od litery D, a przeto zrazu przedstawia się jako D odwrócone, tak, że bierze chęć czytać z prawej ku lewej stronie, od czego wstrzymuje jednak normalne położenie innych liter (E i T a zwłaszcza téj ostatniej), oraz i ten wzgląd, że ta dążność do ujednostajnienia liter, zapewne dla harmonii napisu, cechuje często średnio-wiecznych rytowników ¹⁾.

Zresztą w ogóle w danym napisie ciężkiy łuków, czyli słupki liter są nader wcięte, nader akcentowane, tak, że np. E okrągłe wygląda na B odwrócone.

Łącząc teraz wszystkie grupy liter na ramionach rękojeści wyryte, otrzymujemy ogólny napis:

CON · CIT OMON · · EEVE SEDALAI · EBREBEL ²⁾.

Napis na *listewce* (tab. III, nr. 5 i 6) nie przedstawia się w ca-

¹⁾ Podobną charakterystykę przedstawiają niektóre monety polskie, np. grosz krakowski Kazimierza W., (*Kazimierz Wielki*, przez M. W. Moiszcza, 1805 r. Grosz ten reprodukowal także Czacki w swoim *Zbiorze XIV tablic numizmatycznych*, por. wydanie z 1844 r., Wilno, tab. I, nr. 7), oraz monety wielkich ksiąząt litewskich Aleksandra i Zygmunta, co do liter D i C w wyrazie *ducis* (Czacki, l. o., tab. I, nr. 15—17; a także *grossi cracovienses, kwartniki ruskie* Kazimierza W., rzadki półgroszek księstwa pruskiego bity w Toruniu, i w. i. (por. Bandtkie-Stężyński, *Numizmatyka krajowa*. Warszawa, t. I, 1839 r. Tab. 1, nr. 3—9. Tab. III, IV, nr. 62. Tab. VII, nr. 98). Co zaś do tożsamości liter L i N, za przykład służyć mogą monety jagiellońskie od końca XIV do połowy XV w. (Czacki, tab. I, nr. 9—13). Por. także tab. VII, nr. 114 dzieła dr. Piekosińskiego: *O monecie w Polsce w XIV i XV w. Rozpraw Ak. Krak.* t. IX, co do liter L N i D E; oraz nr. 10 tab. I, broszury J. Tyszkiewicza: *Skorowidz monet litewskich*, Warszawa, 1875, co do charakterystycznego podobieństwa liter D i E. We wszystkich tych monetach, litery powyższe różnią się nie kształtem, ale jedynie kierunkiem.

²⁾ Sebastyan Ciampi Włoch, profesor filologii w byłym uniwersytecie

łości z powodu przykrywającej go tarczki, ztąd trudne zrozumienie całości *legandy*. Zrazu napis ten wygląda na sentencją biblijną. W konkordancyi biblijnej nie znaleźliśmy jednak odpowiedniego mu zdania. *Miles Christi* w wiekach średnich szerokie miał zastosowanie; w Piśmie Świętém wprawdzie raz tylko wyrażenie to jest użytém a mianowicie: *labora sicut bonus miles Christi* (2, Tim. 2, 3) ale kościół sam jako *wojujący* występując, nadawał też nazwę tę wiernym swoim ¹⁾.

Oto napis na mieczu wzdłuż listewki biegnący:

HIC · GLADIVS · EST · FO MILITIS · XPI · SICVT · GLAD ²⁾.

Warszawskim, miał w ręku rysunek tegoż samego miecza i opisał go w 1819 roku w *Feriae Varsavienses*, wydawanych przezeń naprzemian w Warszawie i Medyolanie w latach 1818, 1819 i 1820. Miecz ten był podówczas w posiadaniu księcia Łabanowa, a rysunek dostarczył mu hr. Wincenty Krasieński, na którego żądanie, Ciampi studyum swoje napisał. Otóż Ciampi czyta powyższy napis w następujący sposób: „*conditor mundi Deus servabit ab rebelione*,” co jak to niżej (str. 34) zobaczymy, jest zbyt dowolném.

¹⁾ Nie przesądzając bynajmniej autentyczności Szcerbca, nawiasowo podajemy następującą wiadomość. Na nagrobku Bolesława Chrobrego, obecnie już nieistniejącym, czytano między innymi: „*Tu possedisti Velut verus athleta Christi Regnum Sclavorum, Gothorum sive Polonorum etc.*” (Bielowski, *Monumenta*, t. I, str. 320). Lelewel nie uważa tego *Epitaphium* za owoczesne, ale odnosi do wieku XIV. (*Grobowy napis Bolesława Wielkiego w Poznaniu etc.* Poznań, 1856, str. 12—15). W każdym razie jednak, Bolesław miał prawo do nazwy *miles Christi*, skoro mianowanym jest i to przez obcych kronikarzy *rex christianissimus* (*Scholiasta* Adama bremeńskiego, u Pertz, VII, 318; Helmold, *Chron. Slav.*, t. I, 15) a w *Listie Matyldy*, córki księcia Swewów Herimana, do Mieczysława II pisanym, powiedziano jest o ojcu tego ostatniego: *qui in illa mundi parte, quam regis quasi quidam fons et origo sanctae catholicae et apostolicae extitit fidei. Nam quos sancti praedicatorum corrigere non poterant verbo, ille insecutus est ferro, compellens ad caenam dominicam barbaras ac ferrocissimas nationes.* (Bielowski, *Monumenta*, t. I, str. 324).

²⁾ Być może że sentencya ta znaczy: *Hic gladius est fortis (et bellatoris) militis Christi sicut gladius Gedeoni*. Rzecz ta w przyszłości łatwo da się sprawdzić, gdyż przeszkoda w odczytaniu tego napisu jest czysto przypadkową, a więc usuniętą być może. Nim jednak to nastąpi, nawiasowo zaznaczamy, że Gedeon nazwany był *Jerobaal*, co znaczy mściciel Baala, oraz, że wyraz *Baal*, często przechodził w *Bel* a w takim razie może istnieje jaki związek pomiędzy napisem na listewce, a ostatnim wyrazem w napisie na rękojeści (I. EBREBEL.)

Wyraz *SEDALAI*, powyższy wyraz poprzedzający, mimowoli przywodzi nam na pamięć *brakteat wielki* Mieczysława I (?), wzmiankowany w katalogu monet piastowskich Tad. Wolańskiego, dodanym do cennego dzieła p. Kuz. Stronczyńskiego: *Pieniądze Piastów od czasów najdawniejszych do r. 1300*, Warszawa, 1847. Spotykamy tam wyraz *SLVLEBAID* oznaczający wedle Wolańskiego „*Lucius'a Alebanda, pierwszego w r. 965 biskupa Kruszwickiego*” (*Katalogu* str. 7). Pan Stronczyński odnosi tego rodzaju brakteaty do czasów Bolesława Krzywoustego i uważa je nie za monety, ale za amulety; co zaś do

Materiał, ogólny charakter miecza, oraz kształt liter. Klinga żelazna kuta, obosieczna, płaska, o powierzchni eliptycznej a nie graniastej, rękojeść mosiężna w ogniu szmelcowana lub czernią (nielle) napuszczana, pola wolne od liter i ozdób, mają kolor i połysk złocisty, lubo śladu złocień nieznac i zapewne nie było, a kolor ten pochodzi od mosiądzu dobrze zachowanego. Ogólny charakter miecza jest ten, iż przedstawia cechy dość estetyczne, cechuje go mianowicie prostota kształtu i ornamentyki; można powiedzieć, że jest pięknym, nie w ozdobach wprawdzie, ale w całkowitym swoim kształcie; linie, czyli zarysy jego, są szlachetne a wymiary harmonijne. Rysunek w figurach niezbyt poprawny, niewykończony, z gruba tylko konturowany (ryty). Ornamentyka roślinna szmelcowana, ztąd przedstawia się czarno. To co zwraca w niej uwagę, to jednostajność listowia, girlandy zdobiącej zarówno ramiona rękojeści jak i zakończenie jęj, kształtu guza wypukłego; co mogłoby przemawiać za jednoczasowością tych części mie-

wyrazu *SLVLEBAIDI* (bo taką formę wyrazu tego znajduje p. Stronczyński na widzianych przez siebie brakteatach) uważa, iż w napisie tym „z małą przemianą porządku liter można znaleźć *SADALBEILI*, albo *SADALBILEI*, to jest imię ś. Wojciecha” (*Pieniądze Piastów*, str. 7, przypisek 1, w dodanym tam *Katalogu Wolańskiego*).

Wogóle z porównania napisów numizmatycznych pokazuje się, że napisy oznaczające ś. Wojciecha (podobnie jak się to dzieje z innymi nazwami) nie są jednostajne na monetach z różnych epok, i to nie tylko co do skrótów, ale nawet w pisowni imienia. I tak co do ś. Wojciecha, począwszy od nazwy słowińsko-łacińskiej *Wociejkus* piszącej się *VOCEIKVS* a w skróceniu *VOCE* (patrz monety pod nr. 21, 22 i 23 w dziele Kaz. Wł. Stężyńskiego-Bandtkie: *Numizmatyka krajowa*. Warszawa, t. I, 1889) i prawidłowej łacińskiej *Sanctus Adalbertus*, a w skróceniu *SADALBERTVS* (Bandtkie-Stężyński l. c. na pieniądzach *Krzywoustego*; Stronczyński l. c. typ 90 monet piastowskich, str. 322, 203) spotykamy najrozmaitsze fazy pisowni; a mianowicie prócz wzmiankowanych już *SADALBEIL* i *SADALBIL* o których wspomina p. Stronczyński, czytujemy następujące odmiany imienia ś. Wojciecha na monetach *Trzebuńskich*: *SADALBIBTVS*, *SADALBIB*, *SADLCALBIB*, *SAALBERTVS*, *ZADADALBVRTVS* (Bandtkie-Stężyński l. c. t. I, nr. XXV i dalsze).

Podobnie się dzieje z pisownią innych imion jak *Bolislav* (Bandtkie l. c. na monetach *Bol. Chrobrego*), *Bolzelaus* (Ibid. *Bol. Krzywousty* nr. XXVI—XXXI), *Voldizl* a w skróceniu *Vozl* (Ibid. *Wład. Laskonogi*); zamiast *Boleslaus*, *Vladislaus*. Por. *Voldizlaus*, *Voldcit*, *Lodislaus*, *Lodi*.. (Stroncz. 125—127).

Nie są to wprawdzie dostateczne wskazówki dla wyrozumienia napisu, w każdym razie jednak zaznaczamy pewną łączność powyższych dwu ostatnich wyrazów na rękojeści (tab. III, nr. 4) z nazwą *Gedeona* i ś. Wojciecha oraz niejaki, lubo dalekie, powinowactwo tych ostatnich z wyrażeniem *miles Christi* na listewce brzeszczota wrytym.

Ciampi napisu tego (tab. III, nr. 5 i 6) nieznał, gdyż na rysunku danym mu przez hr. Kraszińskiego, miecz ten przedstawiony jest w pochwie. (Tab. IV).

cza. Listewka na kłindze ma napis drobniejszy niż na ramionach krzyża i staranniejszy. Wogóle litery lubo dość równolegle ryte, nie przedstawiają co do kształtu swego wielkiej staranności w wykonaniu. Tarczka do miecza przyczepiona a raczej przywiązana, ma kształt nieco podłużny, lubo mało kwadrat przechodzący; w ogóle trzymaną jest w charakterze miecza, ma podobnie jak i rękojeść obwódkę zlekką oznaczoną, tylko znacznie szerszą. Brzeg jój i rysunek, to jest orzełek, metalowym swym, pozłocistym kolorem odbijają od tła samego, brunatno-czerwonego i wyglądającego na emalią. Rysunek orzełka poprawniejszy od reszty rysunku na rękojeści miecza, a zwłaszcza różnica ta widoczna jest przy porównaniu go z symbolem ś. Jana ewangelisty, przedstawiającego także orła lubo w innéj postawie. Co się tyczy kształtu liter, (tab. III, nr. 1—8) przypominamy najprzód, że litera M w wyrazie *Marcus* na trzonku, czyli ręczce rękojeści, jest okrągłą, gdy na jój ramionach i na listewce też litera w innéj występuje postaci, a mianowicie jako prostokątne rzymskie M i tém charakterystyczne, że wewnętrzne ramiona téj litery przecinają się nie u podstawy, ale w połowie wysokości ramion zewnętrznych, czyli jój boków. Toż samo ma miejsce z literą S, która odróżnia się nieco co do kształtu w trzonku przedstawionego, od kształtu téjże litery w miejscach poniżej będących. I tak, gdy na trzonku ma węzły niemal równe, to poniżej przedstawia się wszędzie z górnym zwojem znacznie większym niż dolny. Już to wogóle w napisach tych uderza nas mieszanina kształtów liter. I tak, T na rękojeści jest w stylu greckim, gdy na listewce występuje jako rzymskie T. Litera E znowu na listewce jest kształtu okrągłego, a na rękojeści, lubo takż jój kształt przeważa, bo widzimy ją tam sześć razy pod tą postacią, to jednak zjawia się i w formie prostokątnego E w wyrazie BEL, a cechuje ją dolna nóżka nieco dłuższa, co kwadrduje z takimże kształtem litery L i z jedném B o dwu wypukłościach, w którém dolna wypukłość jest wydatniejsza. Drugie B jest o jedném tylko zakrzywieniu. Słowem, mieszanina liter wielka i żaden napis nie odróżnia się swym charakterem stanowczo, tylko w jednym jest przewaga liter okrągłych (na rękojeści), w innym kanciastych (na listewce). Choć i w tym względzie trudno uogólnić, bo litera E w wyrazie BEL oraz G na listewce trzymana w stylu okrągłym litery T będącej na rękojeści, odwracają ten porządek. Na ręczce saméj zaś, litery C różnią się także między sobą w końcach łuków.

Oto opis szczegółowy rysunku miecza, jaki widzieliśmy na wystawie paryżkiej, w sali firmy starożytniczej Bazylewskiego; sądzymy, iż opis ten jest dokładny o tyle przynajmniej, o ile to możliwém było przy nieprzyjajnych warunkach, wśród których rysunek nasz był sporządzanym. Byłoby może najroztropniej na tém poprzestać i nie narzązać się na niechybną ze strony specjalistów krytykę, za zbyt wczesne wnioski co do wieku miecza tego. Nie roszcząc też bynajmniej

prawa do stanowczego głosu, przedstawimy tylko co z dotychczasowych poszukiwań naszych i to zaledwie rozpoczętych, wynika, nie przeceniając bynajmniej względnej i tymczasowej wartości takowych i nie przesądając spornej kwestyi miecza tego.

Za znaczną starością miecza (a przynajmniej rękojeści) przemawiają figury. Tego charakteru mistyczne figury, symboliczne postacie, jak ewangeliści na rękojeści, spotykamy często od wieku VIII począwszy w obcych zabytkach starożytnych, jak o tém już wspomnieliśmy (str. 17). Co zaś do zabytków naszej przeszłości, podobne symbole mamy na *pierwszym* kielichu Dąbrówki, w Trzemesznie przechowywanym, a pochodzącym prawdopodobnie z X wieku ¹⁾.

Jeżelibyśmy mieli wnosić z kształtu rękojeści i charakteru figur, oraz rozmieszczenia ich, podobnego jak w krzyżach romańskich, i to niezależnie od napisów, odnieślibyśmy wiek miecza przybliżenie do wieku X—XIII, z przewagą prawdopodobieństwa dawniejszego czasu, t. j. X lub XI wieku. Za wskazówkę w tym względzie, służy nam także i symbol Chrystusa, ów *Agnus Dei* na trzonku wyryty, a umieszczony w pośród czterech ewangelistów, podobnie jakto na krzyżach średniowiecznych często spotykamy. Rękojeść bowiem zastępuje tu miejsce krzyża i z tym ostatnim z ławością porównaną być może. Otóż *Agnus Dei* takiego kształtu, jak na danym mieczu, znajdujemy na krzyżach i monstrancyach przeważnie w X wieku. Od XIII wieku ulega on pewnej zmianie, a mianowicie zmiana ta uwewnętrznia się w sposobie umieszczenia na rysunku chorągiewki. I tak: albo baranek nie trzyma wcale chorągiewki, choć nóżkę ma podniesioną, podobnie jak dawniej i chorągiewka w prostopadłym jest położeniu, ale opartą o podstawę rysunku ²⁾; albo chorągiewka jest pochyloną, ale baranek nie trzyma jej końcem nóżki, tylko w zgięciu, nóżkę zakładając na drzewce. Typową, pod tym względem, jest monstrancya w sty-

¹⁾ *Wzory sztuki średniowiecznej w dawnej Polsce*, A. Przędziockiego i E. Rastawieckiego. Mówimy na *pierwszym*, znaczy to na *pierwszym* z kolei w dziele powyższem reprodukowanym; gdyż istnieją dwa kielichy Dąbrówki. Co do epoki pochodzenia kielicha tego, zdania są różne; wydawcy wspomnionego dzieła pomnikowego odnoszą go do wieku X, a E. Raczyński uważał oba kielichy za dzieło XII lub XIII wieku. *Wspomnienia Wielkopolski* t. II, str. 377. Kielich ten wraz z patyną do niego należącą może służyć za nader ważną wskazówkę przy porównaniu nie tylko symbolów, ale i liter. Jest tam pewne wspólne tło. Znajdujemy także podobne symbole i przy ewangelistach na *Rekwiarzu Łęczyskim* z XI w. (Ibid.) ale to dodane zostały w znacznie późniejszym czasie.

²⁾ Porównaj monety kapetyńskie, z pierwszej połowy XIV wieku (Ludwika X, Filipa V i Karola IV), jakie podaje Ducange w *Glossarium mediae et infimae latinitatis*. Parisiis, 1840. t. IV, tab. VII, nr. 17, 18 i 19. Porównaj także monety, tamże umieszczone pod nr. 13, tab. IX, nr. 46, tab. XXIII, oraz aiguel Karola VI, tab. IX.

lu gotyckim z XV wieku, w skarbcu katedry akwizgramskiej przechowywana, a mająca w otoku symbolicznego baranka napis, najwinnie w duchu średniowiecznym wierszowany: *Qui crimina tollis agne Dei, miserere mei.*

Otóż, sądząc z samego rysunku danego miecza, zdawałoby się, iż ten ma prawo do wieku X lub XI, a najdalej XIII. Jednakże stanowczo twierdzić tego niemożna, często bowiem w późniejszych wiekach, odtwarzają dawne rzeczy, albo przez poszanowanie tradycji do przedmiotu jakiego, w pewnych miejscowościach a zwłaszcza w zakonach, przywiązanej, albo mimowoli, bezwiednie, indywidualność artysty zwraca się ku dawniejszym typom, jak również prześciga wyjątkowo w jakim wypadku ogólną jakąś normę, później ustalić się mającą. Czasem znowu względy czysto mechaniczne, że tak powiemy, *architektoniczne*, zniewalają artystę do pewnych odmian w rysunku; i tak na monetach często, dla zrobienia miejsca jakiejś literze, nieodzownej w otoku, odwraca się kierunek broni, lub jakto ma miejsce z *Agnus Dei* przechyla się chorągiewkę. To też np. w krzyżu romańskim z X wieku ¹⁾, widzimy także przy *Agnus Dei* pochyloną chorągiewkę, ale zostaje tam inna, jak się zdaje, cecha wieku, t. j. trzymanie takowej końcem nóżki, a zbroczenie chorągiewki, jak w tym przynajmniej okazie, wywołanem zapewne zostało przypadkowo, formą łamaną otoku, w którym mieści się ta symboliczna figura.

Teraz co do liter. Tu większa jeszcze trudność zachodzi w określeniu wieku miecza. Wspomnieliśmy już o pomieszaniu takowych. Otóż, o ile dotąd udało nam się przepatrzyć najróżnorodniejsze napisy z różnych epok, dziwić to nas nie powinno, i dlatego też żadne wzory pisma, jakie zwykle podają archeologowie z oznaczeniem abecadła, jakoby odpowiedniego dla każdego wieku, za bezwzględnie obowiązujące przyjąć nie możemy; więcej zacięcie, styl liter, coś orzekać tu mogą; chociaż i w tym względzie indywidualność artysty, podobnie jak w rysunku (o czém już wspomnieliśmy), uwzględniać należy. Łatwiej jeszcze śledzić styl albo ruch liter w pewnym kraju, w jednakowym środowisku społecznym (*milieu*), bo tu naśladownictwo łatwiejsze; ale czyż niemożna przypuścić, by zdała ktoś wpadł na pewien zakręt wprzód lub później od tego, jaki archeologii służy za typ, niewiedząc wcale o ustalonym takim typie w pewnym kraju. Te nieprawidłowe zbroczenia od typów, jeśli można tak się wyrazić, są tém częstsze, im bliższe nam wieki, t. j. im sztuka wzrasta, a z jej wzrostem i indywidualność artysty wyzwala się bardziej z więzów tradycji i daje śmielszy polot swojej samodzielności.

Nieorzekając przeto stanowczo wieku napisu, podamy tu, jako wskazówki, pewne dane z porównania napisów na monetach i pieczę-

¹⁾ Krzyż, ofiarowany przez kardynała Ledóchowskiego do kaplicy ś. Leonarda na Wawelu, a rysunek którego pomieścił *Tygodnik Ilustrowany* w nr. 999 ogólnego zbioru.

ciach, przeważnie naszych wynikię. Nie mieliśmy pod ręką podobizn napisów obcych, w jaki obfituje zagranica; po bibliotekach naszych nie znaleźliśmy bowiem odpowiednich dzieł, a i nasza literatura archeologiczna nie jest w nich kompletną.

„Pismo wieku Bolesława, wieku X i XI, powiada Lelewel ¹⁾, jest podobniejsze do pisma prostego rzymskiego, pisma wieku XVI i dziesiętszego, aniżeli pismo zakonne, tak zwane gotyckie, wieku XIII.” We wspomnianém już, a szacowném dziele p. Stronczyńskiego, jedyném źródłowém opracowaniu pierwotnych pieniędzy Piastowskich po r. 1300, podane są najrozmaitsze typy tych monet, a z przejrzenia ich wypada, że napisy proste, kanciaste, stanowią ich cechę. Litera E jest przeważnie prostokątną, chociaż spotykamy i E okrągłe, a mianowicie na monetach, przypisywanych Bolesławowi Chrobremu (Stronczyńskiego *Typ* 1, str. 246, *Typ* 3, str. 249), Bolesławowi Krzywoustemu (*Ibid.* str. 203), Bolesławowi Kędzierzawemu (*Ibid.* *Typ* 35, str. 284). Są to jednak wyjątkowe zjawiska; inne litery proste. Toż samo wypada z porównania pierwotnych pieniążków Bolesławowskich, reprodukowanych we wspomnioném już dziele Kaz. Bandtkie-Stężyńskiego: *Numizmatyka krajowa*. Widzimy, że napisy na nich są przeważnie proste, łacińskie, gdzie indziej tylko wkrada się e okrągłe, a nadto litery są tam najczęściej ujednostajnione (jak np. l, n, a, na monetach Bolesława Śmiałego, *Ibid.* nr. VII). Wogóle na pierwotnych monetach Bolesławów, a nawet Władysława Hermana i Laskoniego u, a, v, l są zupełnie podobne, a części je przypominają *poniekąd* kształty pisma klinowego. Porównyując dalej tablice numizmatyczne, przydane do najnowszej pracy d-ra Franciszka Piekosińskiego ²⁾, spostrzegamy, że z rokiem 1333 mniejwięcej, t. j. z początkiem panowania Kazimierza W., litery okrągłe zastępują coraz częściej prostokątne. N wszędzie niemal jest okrągłe; co do M jednakże spotykamy mieszaninę, a najczęściej oba typy na jednym i tym samym pieniążku ³⁾; przytém E okrągłe ustala się i występują na widownię T i G odmienne, pierwsze greckie (jak na danym mieczu w wyrazie CIT), drugie do niego zastosowane (jak tamże w wyrazie *gladius*), lubo i tu stałej normy stawiać niemożna, gdyż za tegoż Kazimierza Wielkiego widzimy również M

¹⁾ *Grobowy napis Bolesława Wielkiego*. Poznań, 1856 r., str. 12.

²⁾ Praca ta wyszła świeżo w IX tomie *Rozpraw i sprawozdań wydziału historyczno-filozoficznego akademii umiejętności w Krakowie* p. t.: *O monecie i stopie menniczej w Polsce w XIV i XV w.* Dopełnia ono ważnej luki w naszej literaturze menniczej i stanowi ogniwo, łączące prace Stronczyńskiego i Ig. Zagórskiego, prace przedstawiające skrajne tylko epoki dziejów mennicy polskiej.

³⁾ Ta mieszanina litery M. uderza zwłaszcza na półgroszach Kazimierza W., najpóźniejszego bicia, świeżo w okolicach Krakowa odkrytych. Porównaj *Wiadomość o wykopalisku krakowskiem monet Kazimierza W.*, przez dr. Fr. Piekosińskiego, wydrukowaną w *Dwutygodniku naukowym, poświęconym archeologii*. Kraków, 1878 r., nr. 16 z 15 sierpnia.

proste, podobne jak na mieczu. Od roku jednak 1370, M okrągłe i w ogóle dążność do tego rodzaju pisma znowu się ustala i odtąd M N E okrągłe stale występują po rok 1502. Mówimy tu o literach, które są pod tym względem najwybitniejsze; inne litery, jak A B D C, nie decydują charakteru pisma dla obojętnej swój formy.

Z porównania monet, pomieszczonych w tablicach numizmatycznych zebranych i objaśnionych przez Czackiego ¹⁾, wypada też samo. Tam okrągłe E i M spotykamy do r. 1510, od tego czasu prostokątne litery wogóle, a w szczególności powyższe dwie ustalają się w swym typie. Co do M prostokątnego, to ono występuje już w swój nowszej, a raczej odnowionej formie w monecie z 1506 r., na owym groszu głogowskim, pierwszej monecie, jaka nosi datę. (*Ibid.*, nr. 18) ²⁾.

Nareszcie, śledząc zmiany pisowni i powolne ustalanie się takowej na monetach z ostatnich trzech wieków dziejów naszych ³⁾, widzimy, że fazy napisów monetarnych u nas, dadzą się ująć w pewne normy. I tak, uogólniając spostrzeżenia nasze na monetach z różnych epok robione, powiedzieć możemy, że pierwotne napisy są u nas przeważnie proste, rzymskie, następnie powoli zaczyna wkładać się niezgrabne pismo gotyckie, scholastyczne (z początkiem panowania Kazimierza W.). Odtąd gockie napisy przeważają aż do początku XVI wieku, a mianowicie w ciągu następnych panowań Ludwika Węgierskiego, Władysława Jagiełły, Władysława Warneńczyka, Kazimierza Jagiellończyka, Jana Olbrachta i Aleksandra Jag. ⁴⁾. Następnie zjawia się epoka pisma prostego. Panowanie Zygmunta I, które słusznie uważa się, pod względem mincarstwa naszego, za przejście od wieków średnich do nowszych czasów ⁵⁾, jest także kresem dla gockiego okrągłego pisma na monetach. Można nawet w przybliżeniu ustalić datę, przynajmniej, o ile to z zachowanych dotąd monet okazuje się. Na pieniądzach głogowskich z 1506 r., przeważają już proste litery (Zagórski, nr. 1 i 2), ale istnieją tam jeszcze *e* okrągłe i *m* nierównoramienne, następnie boki *m* powoli przedłużają się, ale *e* okrągłe jeszcze pozosta-

1) Czacki: *Zbiór ciekawy XIV tablic numizmatycznych*. Wilno, 1844 r.

2) Pierwsze koronne monety datą oznaczone, są półgroszki, czyli kwartniki z 1507 r., z siódemką owoczesną w kształcie V przewróconego.

3) Porów. tablice Ig. Zagórskiego, wydane przez Ed. Rastawieckiego w Warszawie, 1845 r.

4) Porów. monety z tych panowań u Bandtkiego. Napisy tam gockie, prawie bez różnicy, a przynajmniej litery: *a*, *k*, *m*, *n*, *e*. Podane u Żebrowskiego (zeszyt II) pieczęcie z epoki Jagiellonów odznaczają się także gotyckim napisem, a mianowicie pismo to panuje w nich od r. 1386 do 1530. Za Zygmunta I. zjawiają się jednak i inne napisy z mieszanymi literami, zwłaszcza *e*. Od Bony ustala się prawidłowe łacińskie pismo na pieczęciach.

5) Porów. tekst Rastawieckiego do tablic Zagórskiego, Warszawa, 1845 r., str. 1.

je ¹⁾. Dalej na półgroszach Zygmunta (od 1507—1523 r.), oraz na półgroszach świdnickich z r. 1518—1526, *e* okrągłe jeszcze istnieje. Słowem, lubo pismo proste przeważa zaraz z początkiem panowania Zygmunta I, to jednak nie jest odrazu jednolitem, ale ustala się powoli. Wszystkie litery proste, a *m* ustalone w kształcie równoramien- nym, widzimy dopiero w r. 1527 (tab. Zagór.; u Bandt. pierwsza taka moneta z r. 1533), którą téż datę za epokę wznowionego u nas i osta- tecznie ustalonego (na monetach) pisma prostego, łacińskiego przyj- mujemy.

Ciekawém jest także porównanie napisów na pieczęciach dyplo- mataryuszy naszych. Tu także trudno stanowczego co powiedzieć. Zresztą tu podobnie, a nawet więcej niż w monetach, brak materiału. Być może, że z wydaniem czwartego tomu *Kodexu Wielkopolskiego*, który obejmuje w programacie swoim reprodukcją pieczęci po 1400 r., będzie można cośkolwiek uogólnić. Pan Teofil Żebrawski ²⁾, w cen- ném dziele, sumiennie wydaném, podał już taki uogólniony alfabet, wskazujący napisy w odstępach trzech epok, od 1050—1200, do 1370 i do 1386 r., t. j. dla Piastowskiego okresu. Otóż tylko trzecia z tych epok ma wybitny charakter w rzeźbionych literach, przeważnie okrąg- łych ³⁾: dwie pierwsze zlewają się ze sobą, gdyż wiele typów liter wspólnych danym epokom, wprowadza zamieszanie i utrudnia formowanie ogólnych norm. A i te nie są zbyt pomocne przy odczytywaniu napisów, bo w ocenie wieku nie typy ale ich odmiany, najczęściej drobiazgi są decydującymi.

Oto próbka trudności, raz w formowaniu ogólnych norm, zarów- no w numizmatyce, jak sfragistyce, a powtóre w podciąganiu danego napisu pod jedną jakąś stałą normę.

Gdyby jednakże zażądano zdania naszego, co do wieku napisu na rękojeści, widzianego na wystawie miecza, na mocy podobieństwa liter a głównie stylu, czyli ich zacięcia, oraz charakterystycznego onych pomieszania, z obawą wprowadzie i z wielkiem zastrzeżeniem odnieślibyś- my jednak takowe do X—XIII wieku.

Co do turezki, téj epokę łatwiej możnaby określić, lubo także w przybliżeniu. Uważamy ją za późniejszą, dodaną w biegu czasu; miejsce jój jedynie możebnym było na pochwie u góry lub w jój środ- ku. Co do kształtów, rysunek orzełka przypomina herb narodowy z czasów Piastowskich i jest najpodobniejszym do orzełka, jaki widzi- my na monetach z połowy XIV wieku.

¹⁾ Co do *m* okrągłego, literę tę, jako przybliżoną, znajdujemy jeszcze wraz z *e* i *n* okrągłymi na półgroszku litewskim z r. 1510.

²⁾ *O pieczęciach dawnej Polski i Litwy*. Kraków, 1865 r.

³⁾ Tego rodzaju napisy gotyckie, rzeźbione, spotykamy u nas w XIII a przeważnie w XIV w. na sprzętach kościelnych. Patrz *czara obwodowa* i *pa- tyna* z XIII w. we *Wzorach sztuki średniowiecznej w Polsce*, oraz tamże kielich Kazimierza W., w Stobnicy.

Wogóle, przeglądając nasze tablice numizmatyczne, uważamy, że w kolei czasów orzeł jednogłowy, jako herb państwa zmienia swą postać; rzecby można, że powoli coraz więcej skrzydła swe rozwija, i gdy początkowo trzyma je przy sobie równoległe do tułowia i końcami ku dołowi (do XV wieku), następnie coraz bardziej wznosi je do góry, a w miarę tego ruchu rozkracza nogi i głowę zadziera: słowem nabiera fantazyi. Z początkiem XVII wieku ustala się już jego typ ostateczny i odtąd skrzydła zawsze do góry, jakby do lotu podniesione.

Z badań pieczęci, oraz medali historycznych ¹⁾, prawie toż samo wynika, spostrzeżenie to potwierdza się. Orzeł z rozpostartemi do góry skrzydłami, jako typ ostateczny zjawia się na nich za Batorego ²⁾. Węzeł u dołu, przedstawiający ogon, z trzylistnego przechodzi w wielolistny; w miarę, jak skrzydła podnoszą się i rozszczepiają i on ulega rozszczepieniu. Wogóle, pieczęcie dają wyraźniejszą charakterystykę kształtów orła. Otóż, porównując orzełka na mieczu z pieczęciami epoki Piastowskiej, znajdujemy największe jego podobieństwo do kształtów orła, na pieczęciach Władysława Łokietka i Kazimierza W., a mianowicie wspólną ich charakterystyką jest to, że głowę i barki mają wysoko podniesione, zaokrąglenia u góry skrzydeł wydatne, lotki pionowo na dół spuszczone, odstępami oddzielone, a końce na zewnątrz wygięte; a przytém (co wyróżnia je od poprzedzających epok) lotki te przedłużają się ku kadłubowi orła, t. j. skrajne są krótsze.

Itak, porównując pieczęcie, jakie zebrał p. T. Żebrawski, najpodobniejszego orła widzimy najprzód na owęj sławnej pieczęci Przemysława na dyplomacie z r. 1295, dalej na pieczęciach Władysława Łokietka z 1328 r. i Kazimierza W. z 1336 i 1338 r. ³⁾. W tych rysunkach wiele podobieństwa, tylko pierścień, obejmujący węzeł pierzasty

¹⁾ *Gabinet medalów polskich*. Ed. hr. Raczyńskiego, Berlin, 1845.

²⁾ T. Żebrawski: *O pieczęciach dawniej Polski i Litwy*. Kraków, 1865 r. str. 15. Por. tab. VI, XI nr. 29, tab. XII nr. 31, tab. XIV nr. 33.

³⁾ Znajdujemy nadto u Żebrawskiego (L. c. tab. VIII i X) bardzo podobnego orła, na pieczęciach Waclawa, króla czeskiego, gdy był księciem krakowskim i sandomierskim. Są to pieczęcie z lat: 1291, 1293 i 1300. Ale tu może nasuwać się pewna wątpliwość co do polskiej pochodzistości danego miecza. Orzeł na tarczy u jeźdźcy, przedstawiającego Waclawa króla czeskiego w epoce, gdy był jeszcze zaledwie księciem morawskim, a z tego względu uważany przez Żebrawskiego za herb czeski, wielkie ma podobieństwo do orzełka, epokę którego określić usiłujemy. Żebrawski uważa ten herb za dawne godło Czech (*Ibid.*, str. 32), opierając się głównie na tém, że pieczęć majestatyczna Otokara V, króla czeskiego, przedstawia na tarczy podobnego orła w koronie, a którego Karol Sava uważa za stare godło Czech. Porównaj: *Mittheilungen der K. K. Central-Commission zur Erforschung und Erhaltung der Baudenkmale*, zeszyt grudniowy, 1864 r., str. 264. Wątpliwość tę usuwa tło brunatno-czerwone na tarczy.

sterówek a charakteryzujący orła owoczesnego, nie figuruje na mieczu; gdyby nie ta okoliczność, możnaby tarczę powyższą z pewnością odnieść do czasów Kazimierza W. W każdym razie można go odnieść do XIV wieku. Co zdaje się potwierdzać jeszcze jeden orzeł u Żebrawskiego pomieszczony, z pieczęci królowej Elżbiety z r. 1374. Orły zaś na pieczęciach Jagiellońskich odznaczają się tém, że są znacznie wysmuklejsze, niż ten, jaki na danej tarczy widzimy ¹⁾.

Na tém kończymy pierwszą część pracy naszej, to jest opis miecza, jaki oglądaliśmy na wystawie paryżkiej. Nie mogliśmy przytém wstrzymać się od dodania niektórych uwag, co do oceny wieku danego przedmiotu. Zanadto jednak przekonani jesteśmy, raz o trudności w tego rodzaju określeniach, z drugiej zaś strony o szczupłości materiału jaki dotąd zebrać się dało, by eoś stanowczego orzekać. Oczekując przeto rozwiązania zagadki co do wieku danego miecza od specjalnych w tym względzie badaczy, radzi będziemy, gdy opis nasz przyczyni się do prędszego wystąpienia w tej sprawie znanych uczonych starożytników naszych, na stanowczy głos których z niecierpliwością czekać będziemy.

Przystępując teraz do drugiej części pracy niniejszej, a mianowicie pracy czysto historycznej, na celu mającej krytykę naszych źródeł dziejowych o Szczerbcu mówiących, oraz odszukanie śladów miecza pod nazwą tą w dawnym naszym skarbcu koronnym przechowywanego, przedewszystkiém wykazać musimy łączność, jaka pomiędzy podaniem o Szczerbcu, a mieczem przez nas opisanym istnieje a mianowicie jakie są dowody a przynajmniej wskazówki możliwego prawdopodobieństwa ich tożsamości. Wskazówki te znajdujemy głównie w przejrzanych lustracyach skarbcia koronnego od roku 1455 po czasy ostatnie, to jest po rok 1792; dotąd bowiem nieudało się nam odszukać wcześniejszych *urzędowych* (oficyalnych) wskazówek o istnieniu miecza pod nazwą *Szczerbca*. Rezultaty poszukiwań naszych podamy w dalszym ciągu tej pracy.

Nim jednak rzecz tę obszerniej rozwiniemy, tymczasem podajemy do wiadomości czytelników to, co zdaniem naszym, stanowi nader ważną wskazówkę a z czasem stały punkt wyjścia w poszukiwaniu za-

Co do kształtu samej tarczy dodać musimy, iż ten przypomina nam tarozkę z orłem, umieszczoną na kielichu Kazimierza W., znajdującego się w Stobnicy (wiek XIV), a reprodukowaną we *Wzorach sztuki średniowiecznej Przewodzieckiego i Rastawieckiego*. Już tam widzimy pole czerwone na herbie Piastowskim. Czy jednak ta czerwona emalia pochodzi z czasów Kazimierza Wielkiego, co do tego niema pewności.

¹⁾ Styl ich odpowiada charakterowi napisów z tej epoki; podobnie jak litery, lotki ich wązkie, skrzydła pierzaste, pręty dopiero od Zygmunta Augusta szersze. Por. Żebrawski (zozyt II), Raczyński (*Medale*, tom I).

ginionego klejnotu narodowego, to jest owego miecza tradycyjnego, nazwą Szczerbca ochrzczonego. A mianowicie w lustracyi skarbcza koronnego w roku 1669, 26 stycznia dokonanej, przy opisie przedmiotów znajdujących się wówczas w *skrzyni wtórej* a w *szkatulce* czyli *szufladzie dziesiątej*, pod dwoma numerami mamy zapisane dwa miecze temi słowy:

13. *Miecz wązki, pochwa u niego srebrna pozłacana z napisem na stali: Sigismundus rex justus.*

14. *Miecz krótki szerszy, króla Bolesława Śmiałego, Szczerbiec nazwany, pochwa w pozłacane srebro oprawna, na rękojeści czterej ewangelisci ¹⁾.*

Na inném miejscu wykażemy ślady tych mieczów dawniejsze i późniejsze. Tu zwracamy tylko uwagę na opis tak zwanego *Szczerbca*, jedyny opis charakteryzujący go i co do rodzaju, oraz wielkości (*miecz, krótki, szerszy*, w porównaniu z poprzedzającym, *wązkim*) i co do rysunku zdobiącego rękojeść (*na rękojeści czterej ewangelisci*).

Jest to nader ważna wskazówka, wszystkie inne opisy są zbyt ogólne i niedokładne; najczęściej tylko wzmianki o istnieniu miecza pod tą nazwą i opisy pochew. Ostatnia wzmianka o Szczerbcu, jaką podał Tadeusz Czacki (1792), jest także nader ważną wskazówką, ale mniej cenną niż ta, *dawniejsza*.

Otóż, powtarzamy jeszcze raz, opis, jaki znaleźliśmy w *lustracyi* z r. 1669 a zwłaszcza wskazanie na czterech ewangelistów zdobiących rękojeść *Szczerbca*, daje przynajmniej punkt oparcia dla szukania zaginionej pamiątki narodowej, a przytém usprawiedliwia przypuszczenie w mieczu, w antykwarni Bazylewskiego znajdującym się, pewnego podobieństwa ze Szczerbcem, a ztąd i *prawdopodobieństwa* tożsamości przedmiotu. Nie przesadzamy bynajmniej tej sprawy, zbyt mało na to jest danych, ale ta ostatnia wskazówka usprawiedliwia przynajmniej wystąpienie, w celu rozwiązania zagadki tej, podjęte.

Niemcewicz w *Zbiorze pamiątek o dawniej Polsce* (tom trzeci) nie podał tej lustracyi ²⁾, uważamy ją jednak za nader ważną i z innego nadto powodu. W niej mianowicie znajdujemy szczegółową kopię lustracyi odbytej w 1455 r., która w tę ostatnią wcielony została i tym sposobem treść jej przechowała się w oryginalnym tekście *Rewizyi skarbu koronnego* z r. 1669 w archiwum warszawskiem dawnych ksiąg metrycznych. Otóż i w tej pierwszej znanj nam rewizyi wzmiankę o Szczerbcu znajdujemy w słowach:

¹⁾ *Pamiątki historyczne*, wydał Leopold Hubert, Warszawa, 1861, tom I, str. 123. *Inwentarz skarbu koronnego z roku 1669*. Opis powyższych mieczów na str. 149.

²⁾ W przytoczonj przezeń rewizyi z 1730 roku, lustracya ta jest wymienioną. Niemcewicz, *Pamiątki*, tom III, str. 90. Rykaczowski w wydaniu w Paryżu dzieła: *Inventarium omnium et singulorum privilegiorum etc. Lutetiae Parisiorum, 1862*, podaje także niکتóro lustracyo skarbcza koronnego.

Item gladius Styrbecz in cista ¹⁾.

Powiedzieliśmy już wyżej, że nawet udowodnienie tożsamości miecza Bazylewskiego z tym jaki za Szczerbiec był podawanym, nie rozwiąże jeszcze sprawy Szczerbca. Sprawa ta, a raczej wyjaśnienie legendy o mieczach pierwszych naszych bohaterów dziejowych, wymaga osobnej pracy, osobnego studium. W każdym razie jednak, niezależnie od rezultatów badań w kierunku tym podjętych, może iść równoległe poszukiwanie, czy miecz przez nas opisany jest tym, a może *jednym z tych* mieczów, które naród do legendarnej podniosłszy apoteozy, za klejnot narodowy uważał.

Uprzedzając ostateczny w poszukiwaniach tych wynik, dzielimy się z czytelnikami jeszcze jedną wiadomością, którą dorzucićby można na szalę prawdopodobieństw. Wiadomość tę czerpiemy z listu łaskawie udzielonego nam przez p. E. Swieżawskiego. „Niebojętną przytém będzie Ci może i ta wiadomość, (pisze p. Ant. Por.), że za autentycznością wspomnianego miecza przemawia i to, że w zbiorach ś. p. Rastawieckiego był mieczyk maleńki, dziecinny, z kości słoniowej, zupełnie na wzór owego jaki opisuje Ciampi, i tego jaki był w Paryżu ²⁾. Rastawiecki przypuszczał, że był ów mieczyk wyrobiony na wzór pradziadowskiego po kądzieli miecza, dla którego z królewiatek, mianowicie zaś dla Władysława IV.”

Nieprzesądając jednak pytania o tożsamości miecza danego a nawet o związku jego ze Szczerbcem, nadmienić jeszcze musimy, iż w każdym razie, miecz przez nas opisany, zyskał pewne prawo do dziejów archeologii krajowej, choćby i przez to samo, że był już przedmiotem studyum w grodzie naszym przez Ciampi'ego dokonanego. Ciampi wprawdzie miecza samego nie widział ³⁾, ale jak o tém już wspomnieliśmy, wyczytał napisy na nim będące z rysunku, jaki mu dostarczył Wincenty hr. Krasiński ⁴⁾. Rezultat tych badań ogłosił Ciampi w pracy pod tytułem: *Gladius antiqui operis illustratus* a umieszczono-

¹⁾ Hubert, *Pamiętniki historyczne*, tom I, str. 128.

²⁾ Uprzedzić musimy, że szanowny autor niniejszego listu, miecz ów paryzki zna jedynie z rysunku naszego, jaki miał sobie komunikowany.

³⁾ *Feriae Varsavienses*, r. 1819, str. 4: *non enim potui gladium ipsum oculis subjectum accurate observare*. W przypisku a, do str. 6 mówi Ciampi toż samo, użalając się, że przedmiotu opisywanego przez się niemógł mieć przed oczyma: *non enim... gladium ipsum vidi, neque ex imagine quae tradita mihi est, genus operis colligi clare potest*.

⁴⁾ Z broszury Ciampi'ego pokazuje się, że książę Łabanow, podówczas posiadacz miecza danego, twierdził, iż go przywiózł z Serbii, gdzie go w jakimś rowie (*fovea*) pomiędzy Białogrodem i Ruszczukiem miał jakoby znaleźć wraz z innemi starożytnemi zabytkami i na wyborze tego przedmiotu, sztuką odznaczającego się (*ob artificii praestantiam*), poprzestać. Por. Ciampi *l. c.* str. 8 *in fine* i 9. Otóż wiadomość tę dopełnia poniekąd cytowany już przez nas autor listu uprzejmie udzielonego nam, w którym po stwierdzeniu tożsamości

něj na czele jednego z zeszytów wydawanych podówczas przezeń w Warszawie, a następnie w Medyolanie: *Feriae Varsavienses sive quae vacans ab academicis lectionibus scribebat mense Augusto Sebastianus Ciampi*. W broszurze těj (wydanėj w Warszawie u Glücksberga, w r. 1819) znajdujemy w końcu dodany rysunek przedmiotu opisanego, w naturalnej wielkości odtworzonego i to z dwu stron. Po porównaniu rysunku tego z tym jaki sami w Paryżu robiliśmy, przekonaliśmy się o tożsamości miecza widzianego przez nas a opisanego przez Ciampi'ego. Znajdujemy w nim jednakże i pewne zmiany dowodzące, że miecz ten był nąprawiany a przynajmniej rozkładany na części a następnie składany nieco inaczej niż w r. 1819. I tak co do gałki albo guza kończącego rączkę rękojeści ta jest przekreconą, obecnie. W r. 1819 a raczej w chwili gdy pierwotny rysunek nadesłany przez Łabanowa był robionym, (być może jeszcze dawniej), kwiat czy těj ozdoba liściasta na innej figurowała stronie niż obecnie, a mianowicie jeśli stronę na naszym rysunku nazwiemy prawą, to kwiat znajdował się na lewej stronie, to jest těj którą z broszury Ciampi'ego przerysowaliśmy. Przeciwnie, na stronie prawej, zupełnie w najdrobniejszych szczegółach odpowiadającój naszemu rysunkowi, figuruje w broszurze powyższej nie kwiat ów jak u nas ale znak symboliczny Chrystusa, oraz napis wedle czytania Ciampi'ego oznaczający:

Christi Rectoris figura trahet ad amorem Regum. Judicat me et principum iras.

Kwiat zaś zupełnie takiż sam, jak go narysowaliśmy w Paryżu, odwrócony jest u Ciampi'ego na stronę lewą. Dlatego těj, by dwa razy rzeczy danėj nie rysować, przenieśliśmy powierzchnią guza z napisem na lewą stronę rękojeści a co do pochwy dołączyliśmy obok rysunek, przedstawiający, jak takowa wygląda u Ciampi'ego, przy stronie prawej rękojeści. (Patrz tab. IV). Napis na lewej stronie rękojeści, czyta Ciampi w następujący sposób:

Quicumquae haec Christi nomina Dei secum tulit ei omnino non dabit victoria ullum periculum in Christi nomine.

Podpisy pod symbolami ewangelistów Ś. Jana i Mateusza: *Johannes, Matheus*.

Otóż mamy, dzięki odnalezionemu dziełku Ciampi'ego, całość miecza przed oczyma. Napisy, jakie z rysunku jego skopiowaliśmy, są dość wyraźne i możnaby zgodzić się na *legendę* Ciampi'ego. Co

i zgodności rysunku naszego z rysunkiem w broszurze Ciampi'ego widzianym, powiada, iż miecz ten „od księcia Łabanowa przejść miał do Demidowa, a następnie do dzisiejszego posiadacza. Co zrobiono z pochwą, dodaje p. Ant. Port., nie wiadomo. Stawiano těj zarzut w Paryżu, że klinga jest osadzona inna, znacznie późniejsza. Jak przypuszczali *patrowie* (?) w Paryżu, z czasów Władysława Łokietka.”

Ponieważ autor listu powyższego nie przytacza źródła zkąd wiadomość těj zaczerpnął, podajemy ją z zastrzeżeniem.

zaś do napisu z prawej strony rękojeści będącego (na rysunkach przez nas w Paryżu wykonanych pod nr. 3 i 4 tab. III), t. j. owego: *Conditor mundi Deus servabit ab rebelione* (jak czyta Ciampi), niema pewności, owszem czytanie jego jest naciągane. Wogóle Ciampi należał do tych uczonych, którzy w rzeczach archeologii trzymali się ułatwiającej metody, pokonywali oni *trudności bez trudności*; gdzie im litera zawadzała, usuwali ją, a gdzie był brak, luka, dopełniali ją bogatą swą wyobraźnią. Byle tylko wypadło to, co przeczytać zamierzali, archeolodzy owocześni, zwłaszcza amatorowie, nie wstrzymywali się od żadnej, choćby najradykałniejszej *epuracji*, danego im do odczytania tekstu. Za przykład takiej dowolności przy badaniu napisów starożytnych służyć może sposób, w jaki Ciampi odczytał ów niezrozumiały dla nas dotąd napis. Oto argumentacya własnymi słowami jego przedstawiona. Po przytoczeniu całkowitego napisu:

CON . CIT . OMON EEVE SEDALAI . EBREBEL .

Ciampi tak argumentuje:

„Czwarta litera w CONCIT, podobna do pierwszej i dla tego podobieństwa była z nią zmieszana, ztąd téż odwracając ją otrzymamy D.

W *mondi*, zwykle litera *o*, pisze się zamiast *v*.

W wyrazie EEVE, z powodu takiegoż podobieństwa liter (mówię o literach narysowanych na mieczu), pierwsza litera E, stoi tu zamiast D, podobnie jak ostatnia, zamiast S.

W SEDALAI zmieniam trzecią literę D na R, literę L na B, sylabę AL na LL. *Servabit*.

Co do reszty napisu, wszystko jest jasne; z łatwością bowiem litera A, w dźwięku AB, mogła być pomieszana z E.” (*l. c.* pag. 5).

Dla nas ważnym jest jednak to, że napis, jaki zdjęliśmy z miecza w Paryżu, odpowiada w zupełności napisowi w broszurze Ciampi'ego. Kształt nawet liter ten sam, tylko kropka, po wyrazie CIT u góry przy T, przez nas nie była dostrzeżoną. Ta zgodność napisów usuwa ostatecznie wątpliwość, co do litery okrągłej w wyrazie *Marcus*, a co ważniejsze: nadaje autentyczność wszystkim napisom, na rysunku do broszury Ciampi'ego dołączonej, podanym. Z drugiej zaś strony osłabia argument Ciampi'ego, usprawiedliwiający go w oczyszczeniu tekstu napisu, t. j. że rysownik, w kopiowaniu miecza zapewne poprzestawiał lub poprzekręcał litery (na co zresztą, jak widać ze słów autora broszury, zwracał już uwagę jego Krasiński).

Wobec wierności napisów, na podanej przez nas stronie miecza znajdujących się a rysunkiem moim, jak się zdaje, stwierdzonej, przypuszczać należy, że i druga strona w Ciampim przedstawiona, przynajmniej co do napisów swoich, jest autentyczna; a w takim razie błędy lub przestawienie liter odnieść należy raczej do chwili rycia takowych na mieczu, aniżeli do chwili odtwarzania takowych na rysunku. Za złożeniem zaś błędów na karb twórcy samego, nowe następcza się pole dla domysłów, a z nimi i nowe wskazówki. Może miecz ów jest ko-

pią innego miecza i to kopią, dokonaną albo przez nieznanego się na piśmie płatnerza lub też z oryginału, na którym napisy już były niewyraźne, koleją czasów lub przez używanie broni zatarte.

Musiny jeszcze zwrócić uwagę czytelników, że jakkolwiek rysunek, podany u Ciampi'ego, zdaje się być bardzo wiernym w odtworzeniu napisów, to jednak w naśladowaniu symbolów i ornamentyki, jest on w stosunku do oryginału *zapięknym, zbyt wykończonym*. Figury w oryginale (mówimy o jednej tylko stronie) są też same, ale daleko niezgrabniejsze, wcale nie tak wykończone, ani cieniowane, jak to z rysunku, w tej broszurze będącego, sądzićby należało. Ztąd też naszą podobiznę uważamy za dokładniejszą i bardziej autentyczną, co do charakteru i wartości estetycznej miecza. Widocznie pierwszą kopią zdemował dobry rysownik, artysta wyrobiony, który nie mógł niewolniczo odtwarzać niezgrabnych konturów, ani też oprzeć się chęci niewykończenia tam zaledwie naznaczonych tylko szczegółów. O ile więc, pod względem artystycznym, rysunek owego nieznanego nam kopisty, stoi wyżej od naszego, o tyle znowu nie daje on cechy wieku, ani miary wartości estetycznej danego przedmiotu. Jak powiedzieliśmy, jest za- nadto *pięknym*, a ztąd z łatwością w błąd wprowadzić może. I tak, nie mówiąc już wogóle o błędnem wyobrażeniu, jakie kopia nadaje o smaku estetycznym danej epoki przez poprawienie rysunku, zaznaczamy, jako przykład, dwa zmienione szczegóły, które począł charakteryzują epokę i styl przedmiotu, a mianowicie: zmieniony kształt kielicha przy *Agnus Dei*, oraz co ważniejsza, zmiana cech orzełka na tarczce, przez zbytne wykończenie rysunku.

Ciampi nie daje nam opisu przedmiotu, tylko komentuje napisy, oraz daje wnioski swoje *bardzo ogólne* co do miecza tego. Wnioski te oparte są głównie na orzełku, po tém jednak, cośmy o rysunku orzełka nadmienili, nie potrzebujemy dodawać, jaką wnioski te mają wartość; w każdym razie jednak wnioski Ciampi'ego, oraz ocenę takowych przedstawimy niebawem.

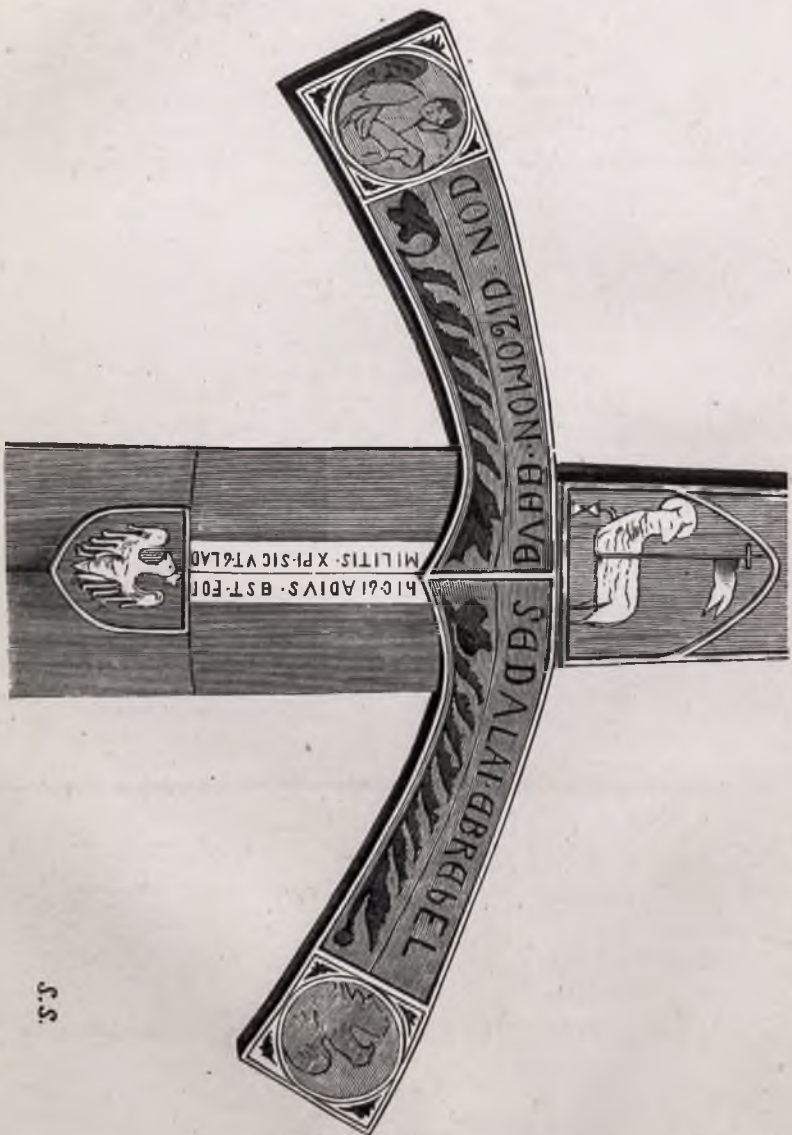
Uwaga. Dołączoną na tab. IV, podobiznę odwrotniej strony miecza, zrobiliśmy wedle rysunku, znajdującego się w broszurze Ciampi'ego, zachowując też same co tam rozmiary, które odpowiadają wielkości, widzianego przez nas w Paryżu oryginału; czy jednak rozmiary te są zupełnie wierne, ó tém nie wiemy, w każdym razie mamy pewną wątpliwość, gdyż znaleźliśmy, niewielką wprawdzie, różnicę w wymiarach pomiędzy obiema stronami rękojęści na tymże samym rysunku w broszurze Ciampi'ego.

O zmienieniu położenia główki, kończącej rękojeść, już wspomnieliśmy. Jestto jedyna zmiana w rysunku, jaką zrobiliśmy, upoważnieni do tego będąc obecnym stanem oryginału. Trzy monogramy, jakie do napisów podanych na tab. III, pod nr. 9, dołączyliśmy, wzięte są z VII tomu Ducange'a: *Glossarium mediae et infimae latinitatis...* Parisiis, 1840 r., a mianowicie z rozprawy jego o monogramach niektórych cesarzy rzymskich. Są to monogramy cesarza Ottona III w kronice *Mindelnskiej* znajdujące się, przerysowaliśmy je na wszelki przypadek, mając na myśli opis *Szczerbca* przez Czackiego podany, a to w celu ułatwienia porównania tych monogramów z napisem na gałce rękojeści umieszczonym. (Tab. IV).

Otóż uprzedzamy jeszcze raz, że odpowiadamy jedynie za *własne* nasze rysunki robione w Paryżu, to jest: tablice oznaczone numerami I i II, z których pierwsza przedstawia całą rękojeść wraz z częścią klingi i niektóre szczegóły (nr. 1, 2, 3), druga zaś głównie jej ramiona z listewką; oraz tablica III, dodana dla ułatwienia czytania napisów oznaczonych numerami 1—8. Numer zaś 9 na téjże tablicy, przedstawiający monogramy Ottona III, dodaliśmy obecnie (z Ducange'a), podobnie jak i całą tablicę IV, przedstawiającą drugą stronę danego miecza, a którą przerysowaliśmy z Ciampi'ego z niektórymi zmianami wskazanymi i usprawiedliwionymi przez nas na str. 33 niniejszej pracy.



Tab. I.
Szczerbiec: Podług rysunku S. Smolikowskiego.



S.S.

Tab. II.

Szerzbiec : Rękopiś. Podług rysunku S. Smolikowskiego.

1
ORARDVS

2
LVCKS

3.
DON·DIZOMON·EBAE

4
SEDALAI·EABREBEL

5
HIC·GLADIVS·EST·FOR

6.
MILITIS·XPI·SICVT·GLAD

7
OR OR

8.
A A

9
27. 28. S 29.
H M R M T S

Tab. III.

Napisy na Szczerbcu, oraz trzy monogramy z Ducange'a.
Podług rysunku S. Smolikowskiego.



Tab. IV.

Szczerblec: Rękojeść naturalnej wielkości. — Osada górna pochwy. — Osada dolna pochwy. Podług rys. Ciampiego.

WPŁYW DRÓG ŻELAZNYCH NA RUCH EKONOMICZNY W ROSSYI.

PRZEZ

Jana Blocha.

Rossya jest krajem zmian odbywających się co chwila oraz szybkich przeobrażeń, nietylko w dziedzinie prawodawstwa i życia obywatelskiego, ale i w porządku gospodarczym. Kiedy inne państwa europejskie przechodziły przez pewien szereg przekształceń politycznych, przedstawiających kolejne zdobycze, dokonywane przez klasy obywateli coraz liczniejsze, Rossya się unieruchomiła, uosabiając się całkowicie we władzy Panujących. Panujący jest dla ludu rossyjskiego ojczyzną, źródłem wszelkiego prawa, porządkiem społeczności ludzkiej. Toż samo pojęcie wszechwładzy Państwa jest również głęboko zakorzenione w umyśle klas ukształconych kraju; tylko przedstawia się im ono w odmiennój postaci. Chłop ma dla niej poświęcenie ślepe, cześć niemal zabobonna; przeciwnie, człowiek ukształcony, mówi tylko o zobowiązaniach Państwa i od władzy nieograniczonej oczekuje on inauguracji wolności. W gruncie, pojęcie jest toż samo.

W zakres naszego badania nie wchodzi wyszukiwanie przyczyn tej charakterystycznej właściwości, jaką napotykamy w dziejowym rozwoju Rossyi, a polegającej na tém, że wszelka moc początkowania w tym kraju, zdaje się ześrodkowywać w rządzie. Dostyc nam zaznaczyć fakt, a jako przykład dowodzący, że fakt ten objawił się nietylko w formach życia politycznego, ale i w sferze zjawisk gospodarczych, przypomnimy działalność Piotra Wielkiego.

Nie zdarzyło się nigdy, aby jednemu człowiekowi daném było uczynić to, co on uczynił. Ku temu potrzeba było być nietylko człowiekiem genialnym i monarchą potężnym, ale być mianowicie Carem. Tym jedynie sposobem Piotr W. mógł nietylko dokonać istotnego przeobrażenia społecznego, bezprzykładnego w dziejach, ale zdołał w krótkim przeciągu czasu obdarzyć 250 fabrykami kraj, zgoła ich przedtém pozbawiony.

Wielkie zmiany gospodarcze, jakie za dni naszych zaszły w położeniu Rossyi, przedstawiają pewną analogią z tym godnym uwagi faktem, a badanie tych zjawisk nie z jednego powodu obudza zajęcie. Sama nawet szybkość tych przeobrażeń ciekawemi je czyni, ztąd że w okresie względnie szczupłym ukazują one obraz bogaty we wskazówki.

Ale badanie to wywołuje nadto interes ze stanowiska przede wszystkim praktycznego. Ogromna ludność Rossyi, skutkiem samego wzrostu naturalnego, daje przewidywać czas niezbyt odległy, w którym kraj ten przemysłowi naszemu otworzy potężne ujście, obliczone na potrzeby blisko stumilionowej swojej ludności.

Jasna rzecz tedy, że krainy, przyszość których jak nateraz leży głównie w rozwinięciu sił produkcyjnych, bezpośrednio są interesowane w tém, ażeby każdy mieszkaniec Rossyi stał się względem ich przemysłu konsumentem. Owóż urzeczywistnienie mniej więcej blizkie tego faktu zależy przede wszystkim od rozwoju dobrobytu, oświaty i nowych potrzeb z tych przyczyn w masie ludu rossyjskiego powstających, jakoteż od łatwości komunikacyi, która, skoro potrzeby te się zjawią, powołaną jest uczynić im zadosyć.

Poświęciwszy kilka lat na zebranie materyałów do obrazu statystycznego, wykazałem na inném miejscu szczegółowo wpływ tegoczesnych sieci dróg rossyjskich na rozmaite gałęzie wytworów przemysłowych, rolnictwa i handlu w tymże kraju. Do téj pracy dołączyłem atlas, w którym zmiany zasze przedstawione są metodą graficzną ¹⁾. Sądzilem, że przedmiot ten nieobojętnym będzie i dla ogółu czytelników interesujących się najbliższymi stosunkami ekonomicznymi. Karty tedy następne streszczają różnorodne fakta, będące przedmiotem dzieła obszernego, którego szczegółów specjalnych unikając autor, w pracy niniejszej zamierzył głównie przedstawić obecność i przeszłość ekonomiczną Rossyi, z uwzględnieniem cech charakterystycznych położenia finansowego i nawet przesilenia ostatniej chwili, po dowody zupełne tego rozbioru odsyłając czytelnika do dzieła wspomnianego.

I.

Jeżeli się zwrócimy do okresu oddzielonego od naszych czasów przeciągiem lat około 35, staniemy wobec osobliwego kontrastu pomiędzy Rosyją i innemi krajami europejskimi. Czas, objęty Restauracją i monarchią Lipcową we Francyi, był dla całej Europy epoką istnie odrodzenia się ekonomicznego. Głębokie zmiany zasze w porządku politycznym, w połączeniu z nowemi a świetnemi zdobyczami w naukach ścisłych i ich zastosowaniach, nadały silny popęd działalności przemysłowej, wymianom i rozwojowi kredytu. Wyswobodzenie się mass z ostatnich więzów feodalnych; uwolnienie się jednostki od zawad zadziergających ją wespół korporacyi i cechów; ośmielenie się oszczędności do wyjścia nareszcie z ukrycia, dzięki udokładnieniom wprowadzonym do procedury cywilnej; wolne stowarzyszenia następujące w miejsce robocizny przymusowej i monopolu: cały, słowem, szereg faktów nowych, miał prawo do inaugurowania ery nowej w wy-

¹⁾ Praca ta jest pod prasą i ukaże się niebawem.

tworze i rozdziale bogactw. Powstała potężna dźwignia, mająca poruszyć z miejsca świat ekonomiczny: to para. Potrzeba było tylko dla tej dźwigni punktu oparcia, poszukiwanego przez Archimedesę, a punktu tego dostarczyła swoboda.

Neufność obudzona przez rewolucją francuzką w rządach europejskich przeżyła pierwsze Cesarstwo i zamykającą je katastrofę. Ale w krajach Europy zachodniej reakcja, niezdolna już położyć tamy trwałej prądom postępu politycznego, nie pokusiła się nawet o powstrzymanie zmian ekonomicznych i wznowienie zapór w postaci przywilejów i wszelkich monopolów, które ongi dzieliły państwo od państwa, w każdym państwie miasto od miasta, a w każdym mieście i osadzie korporacyą od korporacyi.

Nasamprzód, i same już rządy wychodziły dobrze na rozwoju wytwórczości i kredytu, na powiększeniu i rozprzestrzenieniu przedmiotów, spożycie których będąc obłożone podatkami, przynosiło znaczne dochody. Powtórę, duch inicjatywy i stowarzyszalności, krzepkość w wyszukiwaniu dróg nowych oraz wytrwałość w przeprowadzeniu założeń stanowiły właściwość całej społeczności europejskiej i rysy charakterystyczne jej oblicza, w porównaniu z fizyognomią ludów wschodnich. Dość było rządóm patrzeć przez szpary, a działalność prywatnych dosyć miała siły żywotnej, by służyć za czynnik główny w przeobrażeniach ekonomicznych, rozwijających się w owym okresie z szybkością w dziejach bezprzykładną.

Inaczej rzecz się miała w Rossyi. Kraj ten oddzielały od reszty Europy, nasamprzód wielkie przestrzenie, oddalające jego środkowiska główne od linii zetknięcia z Europą, czyli od jego granicy zachodniej; następnie, natura jego rządu, charakter instytucyi, stopień nierównie niższy kultury i zupełny brak oświaty w ludności wiejskiej, wyłączały Rossyą bardzo długo z ruchu ogólnego. Wiek prawie upłynął, odkąd Rossya dała u siebie przystęp pojęciom europejskim, ale pojęcia te musnęły zaledwie po wierchu to ogromne państwo, a zmiany jakie się tam dokonały, miały za jedyne źródło działalność rządową. Oczywiście więc rzecz, iż w takim kraju, reakcja zgęzła inne wydać musiała owoce niż w reszcie Europy. Dość było rządowi zaniechać usiłowań podejmowanych w celu zbliżenia się z Europą, a wrota przez Piotra W. otwarte nowościom przyciągającym z Zachodu, zamknęły się natychmiast. Ale rząd ówczesny poszedł dalej. Raz przenikniony myślą zasadniczą reakcyi, rząd rossyjski nie potrafił wynaléźć środka pomiędzy niebezpieczeństwem, jakim duch nowoczesny groził systematowi poddaństwa a korzyściami, jakie dla niego samego wyniknąć mogły z postępów materyalnych iszczających się w Europie. I nic dziwnego. Reformy ekonomiczne i odwołanie się do sił żywotnych kraju, trudno było pogodzić z panującym założeniem utrzymania w całej nietykalności takiego porządku rzeczy, który wyłączał wszelką wolność osobistą, ujarzmiął pracę, gęstą osłoną tajemnicy okrywał środki państwowe

wraz z ich użyciem, a z niespokojną zazdrością czuwał nad tém, ażeby nie wymknęło się żadne słówko tchnące najmniejszą przymówką do trybu, w gruncie podkopywanego przez nadużycia wszelkiego rodzaju.

Okres téż reakcyi, który dla Zachodu był epoką rozpowszechnienia kultury i rozwoju ekonomicznego, przez krótką dobę mnożąc w dziesięcioro mienie publiczne, dzięki parze, rozszerzeniu kredytu i rozpowszechnieniu oświaty w massach—dla Rossyi stał się zwrotem do zupełnego niemal odosobnienia i stagnacyi tém zgubniejszej, że była ona pożądaną i zdawała się ideałem doskonałości dla społeczeństwa ludzkiego dostępną. Czas ten w Rossyi miał swoją filozofią, w której idee de Maistre'a, Bonalda i Stahla, dziwnie mieszały się z tradycjami bizantyjskimi, z dzikością tubylczą ozdobioną mianem ducha narodowego, oraz z praktykami cancellaryi tajnych i czarnych gabineatów XVIII wieku.

Owocześni statyści rossyjscy przejęci byli tą myślą, że ludy w ogóle nie dojrzały do tyła, ażeby przyjąć mogły udział w kierowaniu swą dolą i że w szczególności lud rossyjski nie miał tak silnego żołądka, ażeby strawić swobody chochy najelementarniejsze, jak naprzykład rozporządzanie własną pracą, używanie równości obywatelskiej wobec prawa, i słuchania jakiegokolwiekbądź prawdy.

Wzięli oni sobie za prawidło, opierać się wszelakiemu ruchowi i inowacyom, a wielkie zmiany w Europie dokonywające się, które ich oburzały, nie wydawały im się niczém inném, jeno szacem społeczeństwa biegnącego fatalnie ku zgubie. Same nawet postępy materyjalne nie znajdowały u nich względu. Ci mężowie polityczni odwracali wzrok od obrazu przedstawiającego wzrost potęgi innych krajów i ich postęp w dobrobycie. Widzieli w tém tylko odwrotną stronę medalu, to jest przesilenia przemysłowe, od czasu do czasu nieuniknione, które służą za wskazówkę zła cząstkowego, a które same na siebie przynoszą lekarstwo potrzebne, jakkolwiek ciężkie czasami bywają ich bezpośrednie następstwa.

Jeden z najświetlejszych statystów owego czasu w Rossyi, hrabia Kankryn, minister skarbu, wydał orzeczenie nader charakterystyczne co do wpływu kolei żelaznych. Było to w r. 1842, a rzecz o połączeniu dwu stolic Państwa drogą żelazną toczyła się w radach rządowych. Rossya posiadała już od r. 1838 linią, ciągnącą się 25 wiorst pomiędzy Petersburgiem, Carskiem-Siołem i Pawłowskiem, letniami rezydencyami Dworu. Ale minister skarbu, w memoriale przedstawionym Cesarzowi, wyraził się nieprzychylnie o téj zachciance nowości. Koleje żelazne, zdaniem hrabiego Kankryna, „mnożą tylko niepokój, pobudzający jednostki do wyruszania z miejsca bez istotnej potrzeby, pod wpływem pochopności zanadto właściwej naszej epoce, a tym sposobem narażają jedynie publiczność na wydatki niepotrzebne”. Zdanie hrabiego Kankryna podzieliła większość kommissyi specyjalnej, ustanowiona dla zbadania kwestyi dotyczącej wybudowania kolei żelaznej, która połączyć miała Moskwę z Petersburgiem, i tylko na skutek wyraźnej woli Cesarza Mikołaja, budowę tę przedsięwzięto.

Podobnież działo się z próbami stowarzyszeń w celach przemysłowych lub handlowych, towarzystw akcyjnych i komandytowych. W raportach swych do Cesarza, hrabia Kankryn, ideę stowarzyszenia przedstawiał zawsze za „objawiającą raczej chorobę, niż mogącą służyć jako środek właściwy do rzeczywistego ulepszenia naszego stanu społecznego.“ Jednakże dążność ogólna do podejmowania przedsięwzięcia akcyjnych, zbyt była silną, aby nie miało się ich kilka utworzyć nawet w Rosyi owoczesnej. Ale czyto skutkiem przeszkód stawianych przez rząd działaniom prywatnym, czy dla braku ludzi umiejętnych i rzetelnych, przedsięwzięcia powstałe w owym czasie mały odniosły skutek.

Owóż, kiedy tak Rossya odosabniała się w nieruchomości prawie bezwarunkowej, Europa zachodnia doczekała się faktu wielkiej wagi, który przyłączył się do tych, jakie odznaczyły wielki ruch ekonomiczny wieku. Niezmierna rozciągłość nadana sieci kolei żelaznych okrywającej Europę, oraz żegludze regularnej, za pośrednictwem statków parowych, utrzymujących stałą komunikacją z drugą półkulą, ułatwiła wychodztwo i nadała mu rozwój dotąd nieznan. Odkrycie w Kalifornii pokładów złotodajnych, nadzwyczaj bogatych, w roku 1848, oraz kopalni złota jeszcze rozleglejszych w Australii r. 1851, doprowadziły wychodztwo do stopnia przechodzącego wszystkie przewidywania. Niebawem wielka masa wychodźców, odstręczona od poszukiwania złota droższą przedmiotów spożywczych, pochłaniającą wszystkie zyski dzienne, jęła się uprawy żyznych pól Ameryki i Australii, a dzięki płodności tych dziewiczych gruntów, jako też swobodzie niekępowanej niczém, w krótkim czasie powiększyła do rozmiarów istnie zadziwiających ilość wytworów rolnych rozporządzalną na wywóz do Europy. Jednocześnie, napływ złota kalifornijskiego i australskiego do Europy, ciągnący się nieprzerwanie, wywoływał zarazem wywóz wytworów dokonywanych w Europie na potrzeby osadników i stosownie do środków, jakich im dostarczało rozwinięcie się wytworu rolnego, oraz podniesienie płacy tak w Ameryce jak w Australii.

Tymto sposobem wychodztwo nadawało nowy pęd wytworowi rękodzielniczemu w Europie, popierało w niej potężnie przemysł, a powiększając masę kapitałów puszczonych w obieg i obitość gotówki, tworzyło nową pobudkę do inowacyi i udoskonaleń wszelkiego rodzaju w zakresie przemysłowym.

Rossya tymczasem pozostawała wciąż za obrębem tego wielkiego ruchu, a jej statysci ani myśleli zajmować się kwestyami, które jednak musiały oddziaływać niepomyślnie na rossyjski handel, gdyż Ameryka i Australia występowały w charakterze współzawodników Rosssyi, i poczynwały dostarczać wytworów rolnych na te rynki europejskie, które dotąd niemal wyłącznie polegały na wytworach rossyjskich.

Inny jeszcze rys charakterystyczny objawił się w kierunkach przemysłu zachodniego w owym czasie. Przemysł zaczął coraz bardziej stosować się do potrzeb wyszukianszych, zagęszczających się wpośród warst

niższych. Wytwory spożywcze i rękodzielnicze, przeznaczone przedtem dla małej tylko liczby ludzi zamożniejszych, a mieszczące się w kategorii przedmiotów zbytkowych, stały się dostępne warstwom pracującym, stanowiącym większość ludności.

Handel, ożywiony wzrostem wytworu i spożyciu, rozwinął czynność nadzwyczajną. Zaznaczmy i tę nadto szczególność owego czasu, że środkowiska czynności handlowej, mieszczące się dotąd raczej wzdłuż komunikacji wodnych, poczęły zmieniać położenie, sadowiąc się w punktach łączących warunki najprzyjaźniejsze co do siły wytworu i środków kredytu.

Naturalnie, ogromne postępy przemysłu i handlu obróciły się na korzyść narodów najbardziej przedsiębiorczych, najlepiej umieszczonych pod względem geograficznym i najbardziej w przeszłości przygotowanych do roli potężnych pośredników w wielkim rozwoju handlu powszechnego. Krajami, w których warunki te połączyły się, były: Anglia, Francja, Belgia, Holandia i, do pewnego stopnia, Niemcy. Nic dziwnego więc, jeżeli wśród narodów tych zakwitł dobrobyt, i że tam gromadziły się poważne środki materialne i umysłowe, zapewniające im zarazem większe znaczenie polityczne.

Ilość złota zwiezionego do Europy z Kalifornii i Australii w ciągu lat 9, pomiędzy r. 1848 a 1856, dochodziła do 5 miliardów franków i stanowiła przeto 13% całkowitej wartości wszystkiego złota i srebra, jakiem rozporządzano wtedy tak w Europie jak w Ameryce. Ten napływ złota rozdzielił się po rozmaitych krajach, stosunkowo do zdolności, jaką posiadał każdy z nich w wymierzaniu w zamian swoich wytworów. Oczywiście, najmniejszy w tej zdobyczy udział należy kapitałom i pracy, przypadł dla Rosyi, której przemysł starczył zaledwie na potrzeby samegoż kraju.

Owocześni statyści rossyjscy, wierni swemu programatowi odzienia narodu od życia politycznego, okalając go pewnym rodzajem chińskiego muru, bardzo niewiele zastanawiali się nad postępami gospodarczemi, dokonywanemi w reszcie Europy, i nie przewidywali tego nieuniknionego wyniku, że inne mocarstwa o tyle będą silniejszymi, o ile bogatszymi się staną. Siła państw mierzyła się wówczas tylko liczbą wojska. Później dopiero, i to kosztem bolesnego doświadczenia, trzeba było przyznać, że od czasu udoskonalenia środków komunikacyjnych i technicznego materiału wojennego, już nie ilość tylko ludzi rozporządzalnych do walki, ale nadto stan zasobów materialnych i umysłowych, nagromadzonych przez państwo, stanowią o losie zastępów wojennych.

II.

Rosya tedy pozostała w stagnacyi i nie przyjęła udziału w wielkim ruchu ekonomicznym z pierwszej połowy tego wieku w Europie. Została poza obrębem tych postępów, i nie otrzymała działu z ich ko-

rzyści. Już zacofana dawniej, dała się ubiedz innym krajom w tém wszystkiém, co te pozyskały w potęgde i dobrobycie przy wielkim przezwrocie ekonomicznym, który się dokonał. Ale czy przynajmniej we wnętrzu swém, niejako obmurowaném, cieszyła się ona położeniem finansowém zadawalniającém? czy jój dochody wyrównywały wydatkom? czy mogła starczyć samej sobie, nieświadoma reszty świata, jak niegdyś Paragwaj za dyktatury dr. Francyi? Nieszczęściem, nie; a jeżeli pozory były świetne, rzeczywistość wiele pozostawiała do życzenia.

Pozory mogły istotnie złudzić postrzegaczy współczesnych, i za dni naszych zdarza się nawet, że niektórzy pisarze wyobrażają sobie iż Rossya owoczesna posiadała kwitnące finanse. Fundusz 149 milionów rubli metalicznych, przeznaczony na zaopieństwo wymiany biletów kredytowych, których emisya nie przechodziła sumy 348 mil. rubli; nadto 6½ mil. rubli, znajdujących się w rękach bankierów zagranicznych: w ogóle więc 155½ mil. metalicznych dla podtrzymania stanu biernego, wynoszącego 348 mil. w monecie papierowej, z której zresztą tylko 311 mil. znajdowało się w obiegu; bilety kredytowe obiegujące przeto na równi z metalem; przeciętny dowóz w latach 1850—1853, wyrównywający przeciętnemu wywozowi w tym samym czasie, czyli 88 mil. rubli; obligacye pożyczki państwowej 6% notowane w r. 1852 po 131%, — wszystko to stanowiło całość, która wydawała się niewzruszoną, a złudzenie trwa po części aż do dziśdnia.

Ale tegość ta była tylko pozorną, podobną do tych grubych baszt, jakie zarysowują się w zjawiskach powietrznych. Zarząd interesów, choćby najdokładniej uiszczzał wypłaty, nie będzie sadawalniającym, jeżeli czerpie z przyszłości, nie przyspasabiając środków równoważących nakładane jój ciężary. A tak właśnie postępował ówczesny rząd rossyjski. Nigdy on nie mógł związać końca z końcem potrzeb państwowych, a przy upływie roku musiał zawsze uciekać się do pożyczki, i to tylko dla uiszczenia rachunków. Deficyty roczne od roku 1832—1852 wzrosły ogółem do 570 mil. rubli, nie licząc wykreslenia z rachunków cyfry 427 mil. rubli, skutkiem wykupu dawnych asygnat po kursie 1 za 3½ niżej wartości ich nominalnej. Ta ustawiczność deficytów nie była wynikięścią ani wojen (gdyż od r. 1835 aż do 1853, prócz krótkiej wyprawy do Węgier, utarczek partyzanckich na Kaukazie, Rossya wojen nie prowadziła)—ani tęż jakichbądź zaliczeń na przyszłość. Jakoż, ponieważ ideałem rządu była nieruchomość, nie przedsiębrano więc wydatków płodnych czy to na prace publiczne, czy na rozpowszechnienie oświaty, czy na zreorganizowanie administracyi i wymiar sprawiedliwości. Nie: miano na względzie to tylko, co nazywano nieodzowną koniecznością, a z budżetu wynoszącego (w r. 1850) 266 mil. rubli, armia pochłoneęła 38,73%, marynarka 6,73%, a umorzenie dęgu 16,04%; pozostawało więc 38,50% na wszystkie inne razem wzięte potrzeby. Środki regularne, których całość prawie użyęta była niepłodnie, nie starczyły na tę nieodzowną potrzebę. Jednocześnie kraj obarczony był podatkami, które musiały być nadmierne, skoro

poбір wpływów corocznie przedstawiał znaczne zboczenie od rubryki do pobrania zatwierdzonej. To zboczenie czyli zaległość roczna w podatkach nigdy nie była mniejszą od 28% całości wpływów zwyczajnych (rok 1833), a nawet w r. 1853 podniosła się do 59 $\frac{1}{2}$ % tejeż całości.

W gruncie, takiem było położenie. Opodatkowany ponosił ciężary nad siły, a skarb nie korzystał nic. Sprawa szła coraz gorzej, i dzisiaj zbyt jest oczywistém, że taki stan rzeczy doprowadzić musiał do katastrofy, przy pierwszym wstrząśnieniu, jakie przerwie tę naiwną egzystencją z dnia na dzień.

Wstrząśnienie to w finansach rossyjskich sprawiła wojna krymska. Jest faktem obecnie stwierdzonym, że Rossya nie była do téj wojny przygotowaną, nawet pod względem wojskowym. Brakowało jéj prochu i materyałów do jego wyrobu; nie miała broni palnej udoskonalonej; nie miała biegłych dowódców. Wszystko poświęcono gwoli armii, a armia nie była zdolną walczyć z wojskiem narodów, mających za sobą zamożność, wyższość umysłową, swobodę. Owóż, jeżeli siła zbrojna, jedyny przedmiot zajęcia rządu rossyjskiego w ciągu lat 28, szwankowała, toż tém bardziej finanse nie były zdolne wytrzymać walki.

Nowe deficyty, powodowane wojną krymską, w ciągu lat od roku 1853—1856 wzrosły do 701 mil. rubli, a dla ich pokrycia, rząd uciec się musiał do pożyczek zagranicznych na sumę 83 $\frac{3}{4}$ mil. rubli, do pożyczek zaciąganych w instytucjach kredytowych państwa na 188 $\frac{1}{2}$ mil., i do nowych emisji monety papierowej aż do konkurencyi 390 $\frac{1}{4}$ mil. rubli. Trzeba było wykreślić całą sumę zaległości podatkowych, oprócz cyfry odpowiadającej rokowi 1854: tymczasem w r. 1855 zaległości w podatkach osobistych jedynie, podniosły się do 10 $\frac{1}{2}$ mil. rubli, w porównaniu z rokiem poprzedzającym. A jednakże okazała się potrzeba nowych wydatków dla zreorganizowania armii nanowo i dla zreformowania przyrządu wojennego. Komisya nadzwyczajna, ustanowiona w r. 1857 dla obmyślenia nowych dróg i środków finansowych, doszła do tego wyniku, że podniesienie stopy ciężarów istniejących lub utworzenie ciężarów nowych, ze względu na opłakane położenie kraju, nie doprowadzi do żadnego rezultatu, i że jedynym środkiem mogącym zaradzić brakowi wpływów, jest odpowiednie ograniczenie wydatków. Ale ograniczenie to w słabym stosunku oddziało na wydatki wydziału wojny i marynarki, prawie całkowicie zastosowało się do budżetu innych wydziałów, którym przyznano na trzy lata uposażenie, ogółem nie mogące przenosić cyfry 65,828,000 rubli. Oszczędność więc zwróciła się na niekorzyść tych słabych środków, któremi rozrządzano dotąd na rzecz wydatków najwięcej płodnych: sądownictwa, oświaty, administracyi cywilnej i t. p.

Nie zdobywszy się na środki nadzwyczajne, mające zastąpić brak wpływów i pokryć wydatki wojenne, rząd uciekł się nietylko do pożyczek zagranicznych i do emisji biletów kredytowych, ale nadto do funduszków specjalnych rozmaitych zakładów kredytowych, zalez-

nych od państwa, jako to Bank Narodowy, Komisyja Umorzenia i kasy Depozytów, zostającą pod wyłącznym zarządem instytucji dobroczynnych. Skarb rozpoczął czerpać z tych sum dobrze jeszcze przed wojną, a podczas wojny zwrócił się do téj formy pożyczki aż do konkurencyi więcej niż 188½ mil., jakieśmy to już zanotowali wyżej. Cały dług rządu względem instytucji kredytu publicznego dochodził w r. 1857 do 553 mil., z których jedna część użytą została na wybudowanie dróg bitych, oraz na inne przedmioty publicznej użyteczności, ale których beźmała trzy czwarte części pochłonęły potrzeby bezpośrednie skarbu, tak że wydatki na procenta i umorzenie téj ostatniej sumy, dochodziły do 30½ mil. rubli rocznie.

Dla ulżenia temu ciężarowi, umyślono rozłożyć umorzenie na okres 56-letni, z ograniczeniem stopy umarzalności aż do ½% rocznie, a odsetków do 4% nasamprzód, potem do 3, a nareszcie do 2%. Bezpośrednią wynikiłością tego środka było cofnięcie depozytów, powierzonych kasie przez osoby prywatne. Ażeby dać wyobrażenie o ogromnym popłochu, sprawionym przez poruszenie kapitałów w kraju, dość powiedzieć, że ogół kapitałów, dochodzący jeszcze 967 mil., kiedy stopa procentu uległa już dwóm ograniczeniom (do 3%), obniżył się w ciągu półtora roku (1859 i sześć miesięcy 1860) do 338½ mil. rubli, kiedy skutkiem ograniczenia odsetki do 2%, zażądano wydania z kasy więcej niż 580 mil. rubli w przeciągu 18 miesięcy i kilku tygodni, ażeby je spożytkować gdzieindziej.

Oczywiście, ażeby starczyć temu ogromnemu upustowi i zabezpieczyć banki od grożącej niewypłacalności, należało zwrócić się do środków nadzwyczajnych. Głównemi z nich były: zaniechanie pożyczek hipotecznych, udzielanych dotąd przez kasę kredytu państwowego, oraz nowe zwiększenie monety papierowej. Nastąpiło zjawisko dziwne. Ponieważ kredyt gruntowy prywatny jeszcze nie istniał a państwo odmawiało pożyczek na nieruchomości, przeto właściciele pozostawali czas jakiś zgoła bez możności pozyskania kredytu, chyba wyszukując osobiście kapitalistów, którzyby zgodzili się wydobyć ich z kłopotu.

Rynek przepełnił się już monetą papierową, której ilość przechodziła potrzeby tranzakcyi, a przepełnienie to jeszcze się powiększyło skutkiem emisji nowych. Jednocześnie, gwałtowne wyrugowanie oszczędności prywatnych, powierzonych kasie depozytowej, i służących niejako za zbiornik ochronny przeciw nawałowi papieru będącego w obiegu, zły stan jeszcze powiększyło. Depozyta w biletach kredytowych, znowu puszczone w obieg już przewyższający potrzebę wymienności, spowodowały ogólne podrożenie wartości ruchomych i wywołały mnóstwo przedsiębiorstw niepewnych, spekulacyi ryzykownych i źle obliczonych, które téż niebawem przywiodły do powszechnego rozstroju przedsiębiorstwa publiczne i zbudziły nieufność ogółu do spraw nawet pewniejszych i lepiej kierowanych.

Podrożenie wartości ruchomych objawiło się w przesadzonej zwyzce funduszów publicznych, skutkiem czego niebawem okazał się

napływ do Rosyi tychże samych funduszków przysyłanych z zagranicy, a tego prostym wynikiem był przyspieszony wywóz złota. Już i wtedy dla utrzymania kursu wymiany rząd poświęcał od czasu do czasu sumy znaczne. Jakoż, w roku 1861 operacya ta kosztowała rząd więcej niż 20½ mil. rubli dobytých z funduszu metalicznego, nie licząc sumy przeszło 11 mil. w złocie sprzedanej prywatnym i rozdzielonej na różne gałęzie służby publicznej.

Rząd poszedł dalej. Probował przywrócić obieg kruszcu, rozpoczynając napowrót wymianę biletów kredytowych na złoto i srebro w biurach banku państwa. W tym celu zaciągnięto kilka pożyczek, a ich wartość służyła na podparcie funduszu kruszcowego. Wymiana zaczęła się dnia 1/13 maja 1862 r. i trwała do 1/13 listopada 1863 r., kiedy trzeba było ją znieść, widziano już bowiem wyczerpujący się fundusz kruszcowy. Ogół biletów kredytowych, przedstawionych bankowi i wymienionych na kruszec, doszedł do 72,615,427 rubli papierowych. Niemożność zrównoważenia budżetu powinna była przekonać, że publiczność nie uwierzy w długotrwałość wymiany, i że tém samém ogół nie omieszką z niej skorzystać, dla wydostania z banku tyle kruszcu, ile będzie mógł, tém bardziej iż cena kruszcu niechybnie się podniesie, skoro tylko wymiana z konieczności będzie musiała być przerwana. W każdym razie przyznać trzeba, że ta próba przywrócenia wymiany uprzędziła większe obniżenie rubla papierowego. Obniżenie to było możliwém, bo w r. 1846 rubel papierowy wart był tylko 26% ceny nominalnej. Otóż w latach 1862 i 1863 rubel kredytowy zszedłszy zrazu na 85,5%, podniósł się do 93, a nawet do 98,2%, opadłszy na 77% w październiku r. 1864 i wzmoższy się do 80% w grudniu tegoż roku.

Usiłowania czynione dla sztucznego utrzymania kursu wymiany i przywrócenia stopy kruszcowej przy wymianach wewnętrznych, przedstawiają fakt ciekawy sam w sobie, i z tego też tytułu dotknęliśmy tego przedmiotu mimochodem. Cóżkolwiekby, jedna rzecz zdawała się oczywistą od pierwszych lat następujących po wojnie krymskiej: trzeba było za jakąby cenę wyjść z ciasnoty, w którą duch reakcyjny zaprowadził Państwo.

Nie może wchodzić w ramy niniejszego obraz ważnych reform dokonanych w Rosyi pod panowaniem obecném. Wyzwolenie włościan, reforma sądownictwa, ustanowienie zebrań doradczych miejscowych, wybierających zarząd prowincjonalny, obowiązany do rozkładu podatków miejscowych, do zakładania szkół początkowych, do wytykania dróg prowincjonalnych, do zaprowadzania służby lekarskiej; ogłaszanie budżetów i sprawozdań finansowych, ustanowienie kontroli państwa czyli izby obrachunkowej, działającej na nowych podstawach, reorganizacya armii, dozwoleńskie dyskusyjności w prasie bieżących kwestyi prawodawczych i skarbowych, wybudowanie sieci dróg żelaznych około 20 tysięcy wiorst wynoszącej: wszystko to tworzy całość imponującą, jeżeli zwłaszcza pomyślimy, że wielkie te zmiany dokonywały się w cią-

gu najwyżej lat 20. Prawie niepotrzeba dodawać, że Rossya taka jaką ją widzimy, daleką jest jeszcze od tego co się nazywa koroną budowy. Nie chodzi jeszcze o jej uwieńczenie, ale o utrwalenie podstaw i złutowanie części, a by osiągnąć to, praca niemała.

Wszystko cokolwiek uczyniono, dalekiem jest od zupełności; a ograniczenia, namysły i wahania, które łatwo zaznaczyć w wielkiem dziele reformy dokonanej, sprawiają, że niektóre jej strony są źle utwierdzone, inne ułudne. Jakoż, dla zacytowania kilku przykładów, reforma nie dotknęła systematu podatkowego; zebrania wyborcze prowincjonalne, czyli ziemstwa, wyobrażające samorząd, wegetują w kółku atrybucyi tak ścieśnionem, że reprezentacya ta nie posiada żadnej siły żywotnej; nauka początkowa, pierwsza potrzeba kraju liczącego co najwięcej 5 milionów osób umiejących czytać na 80 mil. dusz, zaniedbaną została przez rząd na korzyść wymarzonego odrodzenia nauk klasycznych w szkołach średnich; prawo dyskusyi oddane jest samowoli systematu ostrzeżeń i poufnych przestrog; równowaga budżetu pozostaje na łasce układów pomiędzy zarządami specyjalnymi i debatów toczących się po cichu w radzie państwa, złożonej z wysokich dygnitarzy, bez żadnego udziału ze strony kontrybuentów. Wszystko to składa zbiór sztuk źle spojonych i przedstawia lepiankę pojęć kłócących się z sobą, jako to, z jednej strony odwołanie się do zasady reprezentacyjnej, a z drugiej wszechwładztwo politycy państwowej.

Jednakże, pomimo widniejących luk dzieła reformistycznego, Rossya dzisiejszych czasów nie jest już Rossyą przeszłości, której ogólnemi rysami nakreśliliśmy fizyognomią ekonomiczną. Rossya nie jest już wyosobnioną w Europie. Przegrody wzniesione w duchu wrogim postępowi, upadły. Jeżeli nie idzie ona krokiem dość stanowczym na drodze postępu, utworowanej przez Europę, nie marzy już przecie o pozostaniu na miejscu, pogrążona w kontemplacyi błogości kłamliwej, wyobrażającej ostatnią granicę tego, co społeczność ludzka osiągnąć jest zdolna.

III.

Widzieliśmy wyżej, że z początkiem wojny krymskiej, kwestya ekonomiczna w Rossyi obracała się w zakłętém kółku. Ponieważ skarb był wyczerpany, przeto trzeba było nałożyć na kraj ciężary nowe; ponieważ produkcyja była słabą, rynek zawalony monetą papierową, ujścia na zewnątrz zatamowane przez współzawodnictwo amerykańskie i australskie, wywóz utrudniony brakiem dróg:—przeto należało koniecznie wyjść z ciasnoty, w której kraj się zawikłał przez długi okres stagnacyi. Trzeba było ażeby komunikacye łatwe i liczne przyspieszyły puls ekonomiczny kraju, ażeby jego wytwory mogły świadczyć o sobie stając się dostępniejszemi dla zagranicy; zachodziła potrzeba gwałtowna, ażeby kapitały innych krajów znalazły w Rossyi pomieszczenie korzystne i przyszły w pomoc temu państwu ożywiając w niem pro-

dukcyą, zaś morzom świeżo wyzwolonym dostarczyły nowych płodów pracy i oszczędności: słowem, potrzeba było, aby powiększenie pracy i płacy mające wyniknąć z wielkich dzieł użyteczności publicznej, ułatwiły kontrybentom zapłacenie podatków. Tym tylko sposobem pobór podatków mógł stać się skuteczniejszym, równowaga finansowa przestałaby wydawać się mrzonką, a kurs wymiany zdołałby może utrzymać się na stopie wystarczającej przynajmniej do uchylenia możliwej niewypłacalności państwa w zobowiązaniach poczynionych za granicą.

Widzimy ztąd, jak ważną rolę w gospodarstwie wewnętrzném Rossyi odegrać miała budowa wielkiej sieci dróg żelaznych. I rzecz to bardzo naturalna. Para, która sprawiła istny przewrót w stosunkach innych krajów między sobą, zbyt długo lekceważoną była przez Rossyą. Trzebaż było przedewszystkiem odzyskać stracony czas i starać się uskutecznić w lat 10 lub 15 to, czego nie zrobiono przez lat poprzednich 30.

Powiedzieliśmy wyżej, że pierwsza droga żelazna w Rossyi datuje od r. 1838: to linia z Petersburga do Pawłowska, mająca zaledwie około 25 wiorst długości. Gdy osobiste życzenie cesarza Mikołaja wzięto górę, nad trwożliwem zdaniem Jego ministrów, przystąpiono w r. 1843 do budowy pierwszej wielkiej linii, łączącej Moskwę z Petersburgiem: ruch na tej drodze otwartym został w roku 1851. Ta pierwsza droga znacząca (600 wiorst), kosztowała rząd sumy ogromne, których ogół, łącznie z wydatkami budowy i procentami po rok 1852, wzniosł się bez mała do 131½ milionów rubli, czyli do 217,583 rubli na wiorstę. Czysty dochód z wyzysku, po rok 1862, nie przechodził 2½ mil. rubli rocznie, gdy tymczasem procenta od pożyczek, zaciągniętych na budowę, wyczerpywały rocznie 6 do 7¼ miliona.

Wynik ten nie był wcale dla rządu zachęcającym, do przedsięwzięcia linii nowych, a dla nadania nowego popędu do budowy kolei w Rossyi, potrzeba było, żeby aż wojna Krymska okazała całą bezwładność, w jakiej znajdowało się Państwo, gdy chodziło o obronę granic, niezmiernymi oddzielonych przestrzeniami. Nie potrzebujemy zwracać się do skutków moralnych tej wojny, które otworzyły oczy rządu, na nieodzowną konieczność podniesienia sił wytwórczych i poważnych kraju, przez ułatwienie komunikacji i poddanie pod obieg wymienny niedostępnych zasobów krajowych.

Kilka zaledwie miesięcy upłynęło, od podpisania traktatu paryskiego, kiedy rząd rossyjski, w r. 1857, udzielił sankcyą na założenie stowarzyszenia akcyjnego, pod nazwą: „Wielkie Towarzystwo dróg żelaznych rossyjskich,” grupie kapitalistów, mających na czele domy: Baring, Hope, Stieglitz, Pereira. Stowarzyszenie to, z kapitałem 250 mil. rubli, zobowiązało się wybudować sieć 4 tysięcy wiorst. Emisye akcyi tego Towarzystwa w latach: 1857 i 1858, na sumę 110 mil. rubli, rozeszły się łatwo, dzięki obfitości monety papierowej i próżnowaniu kapitałów, wycofanych z kasy depozytów. Ale to przyjazne usposo-

bienie nie trwało długo, a gdy Towarzystwo nie zdołało umieścić w całości kapitału dodatkowego, ofiarowanego w obligacjach, rząd musiał mu przyjść w pomoc, przez udzielenie zapomogi 35 mil. rubli, oraz przez zwolnienie go z obowiązku wybudowania kilku linii, figurujących w jego umowie pierwotnej.

Drogi, zbudowane przez „Wielkie Towarzystwo,” ograniczyły się do linii: Petersburg - Warszawa i Moskwa - Niżnijnowgorod. Pierwsza kosztowała: 125,1 mil., czyli 104 tysiące rubli za wiorstę; druga: 36,1 mil., czyli 88 tysięcy rubli za wiorstę.

Wielkie Towarzystwo dróg żelaznych rosyjskich działalność swą zawdzięcza zostającemu wówczas przeważnie pod wpływem p. Pereiry, *Kredytowi ruchomemu*, który, pomiędzy tylu innemi przedsiębiorstwami, uskutecznił i to. Inni współuczestnicy założycielstwa, byli tylko członkami syndykatu finansowego; kredyt ruchomy był istotnym promotorem Towarzystwa i prac przez nie dokonanych, pod kierunkiem inżynierów francuzkich z wydziału dróg i mostów. Rywalizacya między tymi inżynierami francuzkimi a rosyjskimi z korpusu komunikacyi, wzniesiła wielkie trudności w postępie robót i jak to zwyczajnie zdarza się w podobnych wypadkach, naraziła w końcu skarbną znaczne zwiększenie ofiar. Lubo zarzucano inżynierom francuzkim, że często spuszczały z uwagi warunki klimatyczne, które wypadało uwzględniać w projektach budowli i rozkładzie robót, słuszność każdej przyznać z jednej strony, że można im było oszczędzić niepotrzebnych trudności; z drugiej, że inżynierowie francuzcy złożyli znakomite przysługi w budownictwie dróg żelaznych w Rosyji, zaprowadzając w niem więcej systematyczności, oraz sposoby wydoskonalone.

Przychylnie przyjęcie, jakiego działalność „Wielkiego Towarzystwa” doznała od ogółu, wywołało w r. 1858 przedsięwzięcie budowy dwu innych linii, a mianowicie: z Rygi do Dynaburga i z Dynaburga do Witebska, podjęte przez inżynierów angielskich. Rząd zabezpieczył dwum tym liniom *minimum* dochodu czystego, zarówno jak zbudowanym przez Wielkie Towarzystwo, z tą różnicą, że kiedy *minimum* tym ostatnim, jakoteż linii Dynaburg-Witebsk zapewnionem było w stosunku 5%, linia od Rygi do Dynaburga otrzymała tylko 4½.

Po téj, nastąpiły koncesye inne, lecz zrealizowanie ich kapitałów napotkało pewne trudności. Już w r. 1857, koncesya udzielona domowi: Thompson, Bonar i komp., we wspótcie z hrabiami: Rzewuskim, Adlerbergiem II, Goleniszczewem Kutuzowem i Łubieńskim, z książętami: S. Dołgorukim i L. Koczubejem, z pp.: Benkendorfem i Sofronowem, na budowę drogi z Odessy do Kijowa, z przedłużeniem aż do zetknięcia się z jedną z dróg zamierzonych, czyto z Teodozyjską, czy z Libawską, nie mogła przyjść do skutku, dla niemożności zrealizowania potrzebnych kapitałów, pomimo korzystnych warunków, podanych przez rząd, t. j. pomimo zabezpieczenia 5%, w stosunku kapitału 53,000 rubli na wiorstę, przez lat 60. Koncesya ta cofniętą została, kiedy termin wykonania minął bez skutku.

Podobny los spotkał kilka jeszcze koncesyi, udzielonych w latach: 1858, 1861 i 1863, na budowę różnych linii, przeznaczonych na połączenie Moskwy z morzem Czarném, a Odessy z Kijowem i Kurskiem, pomimo zabezpieczenia przez rząd *minimum* dochodu, oraz warunków widocznie korzystnych, zdających się wynikać z samego kierunku tych linii. Niemożność znalezienia kapitałów, w jakiej znaleźli się koncesyonaryusze, zmusiła rząd do przedsięwzięcia na własną rękę budowy rozmaitych tych linii, mianowicie: między Odessą i Bałtą, między Moskwą i Orłem, między Orłem i Kurskiem.

Podobnież niepowodzenie spotkać miało przedsięwzięcie linii Orł-Witebsk, oddane Towarzystwu, które utworzoném być miało przez sir Mortona Pitto w r. 1865, z warunkiem zabezpieczenia rządowego $5\frac{1}{2}\%$, od kapitału 83,449 rubli na wiorstę. Termin, dobiegający bez skutku, przedłużonym został na rzecz brukselskiego domu Bischofstein i spółki, który zastąpił sir M. Pitto, ale i ta nowa kombinacya spełzła na niczém jak pierwsza.

Gdy to daremne poszukiwanie kapitałów przez koncesyonaryuszy, uznanych przez rząd, złe wrażenie sprawiało na kredycie rossyjskim, rząd zamierzył zastąpić koncesye stanowcze, aż do zebrania odpowiednich funduszów, przez świadectwa tymczasowe. Pierwsze podobne świadectwo wydane zostało hrabiemu E. Baranowowi i jego współnikom, na budowę linii z Kurska do morza Azowskiego, z kapitałem rs. 84,037 na wiorstę. Ale i to świadectwo także spełzło bez skutku.

Nowy zwrot w budowie kolei żelaznych w Rossyi, poczyna się od uskutecznienia linii z Ryazania do Kozłowa, oddanej w r. 1865 panu Dervis, z kapitałem 75,965 rubli wartości metalicznej za wiorstę, który utworzyć się miał przez emisją akcyi w wysokości 66% cyfry całkowitej, oraz obligacyi dodatkowych na 33%, z zabezpieczeniem 5%. Kombinacya ta zawierała żywioły nowe, które wpłynąć miały znacznie na uskutecznienie sieci żelaznej w Rossyi. Jakoż, aż dotąd do emisyi akcyi uciekano się najradziej dla zgromadzenia kapitałów. A ponieważ zabezpieczenie dochodu urzeczywistniało się dopiero z chwilą rozpoczęcia wyzysku, przeto budowa linii przedstawiała pewne ryzyko, odstręczające kapitalistów zbyt ostrożnych. I oto powód, dla którego począwszy od epoki, o której mówimy, by zbierać fundusze ucieczono się do innego sposobu to jest, zwrócono się do obligacyi, od których odsetki liczyły się z chwilą emisyi takowych. Stosunek obligacyi do akcyi w gromadzeniu kapitału jeszcze silniej zmienił się potem, w tém znaczeniu, że akcye stanęły zupełnie na drugim planie i trzy czwarte kapitału pokrywały się obligacyami, a tylko jedna czwarta akcyami.

Innym rysem charakterystycznym nowych koncesyi jest to, że obligacye obliczone zostały na talary pruskie, a to dla ułatwienia obiegu ich na targach niemieckich. Zauważyć nakoniec tę jeszcze wypadła okoliczność, że droga Ryazańska-Kozłowska zbudowaną była i otwartą w czasie bardzo krótkim, dotąd bez przykładu w budownictwie kolei żelaznych rossyjskich będącym.

Ażeby dobrze zrozumieć doniosłość reformy, polegającej na oznaczeniu ceny normalnej obligacji w talarach pruskich, trzeba wyrzec słów kilka o widokach finansowych, przedstawiających się onego czasu w budownictwie sieci rosyjskiej.

Fakta, przytaczane wyżej wykazały, jako targ angielski niedostępnym był lokacyi wartości, wypuszczanych przez Towarzystwa dróg żelaznych rosyjskich. Targ francuzki pochłonięty był przez częste emisye, stosujące się do niezmiernych prac budowlanych, przedsięwziętych przez rząd drugiego Cesarstwa. Targ holenderski proteguje głównie fundusze publiczne i wogóle nie jest dobrze usposobionym dla wartości tak zwanych spekulacyjnych, w liczbie których onego czasu mieściły się akcye i obligacye kolei rosyjskich.

Z wielkich targów europejskich pozostawały więc tylko niemieckie, jako dostępne dla lokacyi tych papierów. Owóż, wielcy kapitaliści tego kraju, w czasie, o którym mówimy, głównie zwracali uwagę na fundusze amerykańskie, przynoszące bardzo wysokie odsetki. Tymczasem kapitaliści drugorzędni niemieccy, a zwłaszcza prowincjonalni, poszukiwali przedewszystkiem lokacyi pewnych, dla swych miernych oszczędności i ubiegali się o papiery państw niemieckich, i obligacye dróg żelaznych, mających bezwarunkowe zabezpieczenie rządowe.

Dla utworzenia więc sobie targów niemieckich, koncesyonaryusze dróg żelaznych rosyjskich musieli zwrócić się właśnie do tych małych kapitalistów, przez pośrednictwo tych kantorów bankierskich z Berlina i Frankfurtu n. M., które przez związek swój z drobnymi bankierami i wekslarzami z prowincyi, stają się zwyczajnymi doradcami małych kapitalistów krajowych w umieszczaniu ich funduszów. Dzięki więc wdaniu się pośredników tej kategorii, koncesyonaryusze rosyjscy zdołali wytworzyć sobie całkiem nowe źródło potrzebnych funduszów. Łatwo zrozumieć, że przysługi te opłacić się musiały bardzo wysokimi cenami komisowego, albo też udziałami, przyznanemi pośrednikom w korzyściach spodziewanych z budowy. Wielka liczba znacznych fortun, posiadanych przez domy dziś pierwszorzędne we Frankfurcie, a zwłaszcza w Berlinie, temu właśnie źródłu zawdzięcza swój początek.

Kiedy eksploatacya drogi Ryazańsko-Kozłowskię przyniosła nader wielkie zyski, a przykład ten nadał nowy popęd budownictwu sieci rosyjskiej, rząd zarzucony został żądaniem o koncesyje, a w liczbie współubiegających się stanął żywioł nowy: ziemstwo; lubo po największej części, ilekroć ziemstwo jakiej prowincyi otrzymało koncesyę, odstępowo ją niebawem przedsiębiorcy prywatnemu.

Nie pisząc tu zgoła dziejów budownictwa kolejowego w Rosyji, chcieliśmy pokrótce wskazać główne trudności, z jakimi one walczyły w swych początkach. Dla uzupełnienia jednak tego szkicu, dodamy kilka słów o modyfikacyach, przez jakie budownictwo to przeszło następnie.

Pierwszą było wezwanie do współzawodnictwa. Rząd mając za sobą kilka żądań dotyczących koncesyi na pewną linię, układał

licytacją *in minus*, która odbywała się przez podanie cen budowy na całość, w wiorstach, po ujawnieniu z góry przez rząd warunków obowiązujących dla wszystkich konkurentów. Koncesya przyznawana była temu, kto z pomiędzy nich podał cenę najniższą, jeżeli złożyłby współubiegający się ten przedstawił dostateczną rękojmię pewności. Inną inowacją było bezpośrednie wdanie się rządu w utworzenie większej części kapitału. Gromadziło się go około trzech czwartych części przez wypuszczenie obligacyi państwowych na rachunek Towarzystwa, które zobowiązywało się następnie powrócić skarbowi z wyzysku pobudowanej drogi kapitał i procenta tych obligacyi. Reszta kapitału tworzyła się z akcyi Towarzystwa, które po większej części pozostawały w posiadaniu głównego koncesyonaryusza. Nareszcie, rząd rozmaicie próbował oddzielić obie te operacye od budowy i wyzysku kolei żelaznych, usiłując odsunąć koncesyonaryusza zwykle jednocześnie będącego przedsiębiorcą głównym budowy, od przewagi w Towarzystwie akcyjnym. Usiłowania te jednakże nie doprowadziły do pomyślnego skutku. Wspomnieć trzeba nadto i ten fakt, że ponieważ obligacye kolei żelaznych były papierem wypuszczonym przez Państwo, o procencie zabezpieczonym bezwarunkowo; przeto pożyczki przeznaczone na budowę sieci, poczęły być negocjowanemi nie tylko w Niemczech. Targ angielski otworzył się z wolna dla nich. Towarzystwo linii Orel-Witebsk było pierwszym, które zdołało zbywać swe obligacye w Anglii.

Coraz liczniejsze współubieganie się sprawiło to, że koszta budowy zniżyły się w stosunku nadzwyczajnym. Jakoż, w roku 1869, kiedy rząd wezwał 12 grup konkurentów do starania się o koncesyę na drogę Libawską, jeden syndykat na odbytej licytacji podał cenę 43½ tysięcy rubli metalicznych za wiorstę, i temu też przyśadzono budowę linii. Owóż, cena ta była o połowę niższą od tych za jakie budowało linię Wielkie Towarzystwo, i stanowiła tylko $\frac{1}{3}$ kosztu wiorsty, jaki poniósł rząd na budowę kolei z Petersburga do Moskwy. Budowa drogi Libawskiej miała stanowić uzupełnienie poprawy portu Libawskiego, którego roboty kosztowały już rząd przeszło 1½ mil. rubli. Droga, pomimo niskiej ceny, doprowadzona została pomyślnie do końca, ale roboty dokonane dla pogłębienia portu okazały się niedostatecznymi, a nawet anszlagi obliczyły sumę potrzebną dla osiągnięcia celu zamierzonego na 5 mil. rubli zamiast na 1½. Ponieważ roboty te odłożono, przeto port pozostaje aż dotąd takim jakim był, a droga Libawska, mająca służyć do zasilenia w nim ruchu zbożem pochodzącym z wewnątrz kraju, zaledwie pokrywać może koszta wyzysku. Połączoną ona została z linią Landwerowo-Romny, a nowe roboty około urządzenia portu Libawskiego uznane są za nieodzwonne. Lecz taki los spotkał nie tylko jedną Libawską. Jednocześnie z drogami wielkiej doniosłości dla handlu i przemysłu, powstawały drogi nie mające żadnej racyi bytu.

IV.

Rossya w dniu 1 stycznia 1857 r. posiadała tylko 979 wiorst dróg żelaznych; w dniu 1 stycznia 1865 miała ich 3566 wiorst; narazcie w ostatnim okresie 1866—1875 r. sieć przybrała rozwój tak nagły, że przestrzeń zajęta drogami żelaznymi doszła do 17,658 wiorst. W dziesięć lat przeto wybudowano przeszło 14 tysięcy wiorst kolei żelaznej. Łatwo pojąć, że zjawisko to nie mogło pozostać bez wpływu na ekonomiczne położenie kraju. Wpływ ten rozważany być może pod dwoma względami, to jest, jako wpływ budowy dróg żelaznych na położenie finansowe Państwa, i jako wpływ ogólniejszy dróg żelaznych, w charakterze czynników ekonomicznych.

Ale nim przystąpimy do tego studyum, winniśmy podać rysy cechujące drogi żelazne w Rossyi, tak iżby czytelnik mógł sobie zdać sprawę z różnic jakie przedstawia charakter budowy i wyzysku dróg żelaznych rossyjskich w stosunku do takichże warunków sieci innych krajów.

Porównyując sieć rossyjską z sieciami znaczniejszych krajów zachodnich za rok 1874, przychodzimy do tego wniosku, że powierzchnia sieci rossyjskiej mniejszą jest od powierzchni okrytej sieciami wszystkich wielkich krajów Europy, wyjąwszy Austro-Węgry i wydaje się mało znaczącą w porównaniu z siecią Stanów Zjednoczonych. Ogół wiorst sieci rossyjskich wynosi zaledwie 14½ procentu sieci dróg żelaznych Stanów-Zjednoczonych, i stanowi nie więcej niż 63% w porównaniu z siecią Wielkiej-Brytanii. Owóż, Rossya posiada powierzchnią daleko większą niż każde z wielkich Państw europejskich. Co zaś do kapitału użytego na koszta budowy, był on także mniejszym w Rossyi niż w jakimkolwiek innym kraju. i stanowi tylko 78% kapitału użytego na ten cel w Austro-Węgrzech, 29% użytego w Wielkiej Brytanii, a tylko 22% kapitału użytego w Stanach-Zjednoczonych. Ażeby nie nużyć czytelnika nadmiernem przytaczaniem cyfr, uzupełnimy to porównanie zwracając uwagę, że chcąc, aby sieć rossyjska rozciągała się w takiej proporcji do rozległości kraju jak sieć belgijska, pierwsza powinna zajmować powierzchnią 32 razy większą niż pokryta w 1872 roku, po który posiadamy dokładne cyfry porównawcze między obu krajami.

Te cyfry porównawcze służą do poświadczenia, że wielki ruch jaki objawił się w Rossyi w ostatnich latach dziesięciu co do rozprzestrzenienia sieci, nie miał nic przesadzonego, i że przeciwnie, mógł być odpowiadać należycie rzeczywistym potrzebom kraju.

Koszta budowy w Rossyi były mniejsze niż we wszystkich znaczniejszych krajach europejskich, nie wyłączając i Stanów-Zjednoczonych Ameryki, a czynność sieci rossyjskiej, to jest wyzysk obrachowany na liczbę podróżnych i ilość ciężaru przewożonego na wiorstę, niewiele ustępowała czynności dróg belgijskich, przewyższała czynność dróg austriacko-węgierskich, a nawet w porównaniu z sumami przed-

stawiającymi całość czynności sieci wielkobrytańskich, dochodziła do 71%.

Powierzchnia Państwa rosyjskiego jest tak wielką, że wszystkie porównania oparte na stosunku liczby podróźnych, lub ilości ciężaru przewiezionego po drogach żelaznych, czyto do liczby mieszkańców, czy do rozległości kraju, przedstawiają wyniki niekorzystne dla Rosyji; czyli, że w cyfrach otrzymanych przez tego rodzaju porównania, Rosya zajmuje zawsze ostatnie miejsce. Z innej strony, jest rzeczą naturalną, iż odległości przeciętne przebieżone przez podróźnego lub przez ciężar, muszą być wyższe w sieciach rosyjskich niż innych. I tak, średnia odległość przebiegu przypadająca na jednego podróźnego w Rosyji, jest wiorst 114; kiedy w Austrii wynosi ona wiorst 44, we Francyi 35, w Niemczech 28, w Belgii 19 a w Anglii tylko 15. Średnia odległość przebiegu w Rosyji odbywanego przez pud towaru wynosi wiorst 209, we Francyi 142, w Austrii 97, w Niemczech 82, w Anglii 55 a w Belgii 44. Tym sposobem średnia odległość przebiegu podróźnego w Rosyji, jest $7\frac{1}{2}$ razy większą niż w Anglii, gdzie większość podróźnych przebywa zaledwie dwie stacye. Średnia przypadająca na ruch pudu towaru w Rosyji jest prawie 4 razy większa niż w Anglii, $2\frac{1}{2}$ razy większa niż we Francyi. Zauważyć trzeba wreszcie, że długość linii wpływa na te dane. I tak: we Francyi, gdzie większa część sieci dzieli się pomiędzy sześć wielkich towarzystw, średnia odległość, odnośnie do towarów, najbardziej się zbliża do tej, jaką otrzymujemy w Rosyji.

Dochód obrachowany na tysiąc pudów przebywających wiorstę, w proporcji do odnośnych taryf, niższym jest w Rosyji niż gdziekolwiekbądź indziej i czyni tylko 80% od odpowiedniego dochodu według taryfy angielskiej. Co do wydatku za przewiezienie tysiąca pudów przez wiorstę, to niższym on jest w Rosyji, od takichże danych w innych krajach, wyjąwszy Francyi.

Z danych liczebnych, jakie tu przytaczamy, wynika, że w stosunku do dróg żelaznych innych krajów, rosyjskie wyróżniają się: 1) niską ceną budowy; 2) taryfami względnie niskimi; 3) taniością wyzysku w porównaniu do ruchu i 4) długością i ruchem mało rozwiniętym w porównaniu przestrzeni i cyfry zaludnienia. Ostatnia ta okoliczność, oraz nizkość taryfy, powodowana naturą głównych przedmiotów przewozu (materye surowe), jakoteż względną słabością ruchu podróźnych; sprawiają to, że pomimo nizkiego kosztu budowy i taniości wyzysku, dochód czysty sieci rosyjskiej wogóle, nie może pokryć opłaty $5\frac{1}{10}$ procentu od kapitału zakładowego. Ale toż samo porównanie dostarcza dowodu, że przyszłość kolei rosyjskich przedstawia się w warunkach nie więcej niekorzystnych, niż w krajach gdzie poczęto eksploatować gałąź przemysłową dróg żelaznych i że wydatki na ich budowę, ogółem wzięte, były tak przynajmniej użyte produkcyjnie, jak w reszcie Europy.

V.

Teraz, naszkicowawszy rysy charakterystyczne budowy sieci rosyjskiej i jój względnego znaczenia, musimy powrócić do położenia finansowego i ekonomicznego kraju. Budowa kolei żelaznych, których Rossya, aż po panowanie obecne, była prawie zupełnie pozbawioną, przedstawiała się jako potrzeba pierwszego rzędu, ażeby podnieść siły żywotne kraju, popchnąć go na drogę powszechnego postępu przez wyruszenie go ze stagnacji, a ożywiając w nim produkcją i konsumcją, wzmódz zasoby państwa bez obarczenia ludności ciężarami zbytecznymi i nieprodukcyjnymi.

Niebyłoby zapewne sprawiedliwém, całe ulepszenie jakie można zauważyć w położeniu ogólném, przypisywać jedynie budownictwu kolei żelaznych: inny czynnik potężny stanął w pierwszej linii działania na rzecz dokonanych postępów. Mówimy tu o reformach zaprowadzonych w administracji, procedurze sądowej, finansach, a nadewszystko o wielkim środku usamowolnienia poddanych, który położył kamień węgielny nowego życia dla masy ludowej, modyfikując warunki jój pracy. Ale wpływ ekonomiczny wywierany przez reformy, nie da się ocenić za pomocą cyfr dokładnych. Bardzo jest trudno, jeśli nie niepodobna, oznaczyć liczebnie udział, jaki na nie przypada w ulepszeniu stanu ogólnego finansów, produkcji i konsumcji. Powrócimy do tój kwestyi w artykule, w którym zamierzamy mówić specjalnie o zmianach zaszytych w wyzysku, przywozie i użytkowaniu w Rossyi. Dostyc nam nateraz, po wskazaniu innych przyczyn współdziałających, uwydatnić wyniki budowy sieci dróg żelaznych, oraz przeciwstawić je zmianom w położeniu finansowém.

Jakkolwiek wielkim był udział reform w polepszeniu ogólném, niepodobna zaprzeczyć, żeby udział budowy sieci wynoszącej około 20,000 wiorst, w przeciągu lat 20 i w kraju, który dotąd miał pod kolejami żelaznymi zaledwie dwudziestą część powierzchni obecnej, nie był znacznym. Pozostawiając chwilowo na stronie wpływ, jaki drogi żelazne powinny wyrzucić na siły produkcyjne kraju, zauważymy, że sieć rosyjska wyobraża kapitał zakładowy równający się 1544 milionom rubli. Ponieważ z cyfry tój 441 mil. pochłonęły procenta i kosztta zgromadzenia kapitału, a 337,2 mil. wydano na materyały i różne obsługi zagranicą, przeto 765,8 mil. rubli wydatkowano w samym kraju. Wydatki na skład osobisty, techniczny i administracyjny, korzyści przedsiębiorców wyniosły 217 mil., a rozchód na samą robociznę 405 mil. rubli.

Nie koniec na tém. Koszta wyzysku przez lat dziesięć, 1866—1875, czynią ogółem 535,7 mil., a rachując od pierwszych lat budowania dróg żelaznych w Rossyi, dochodzą do 674,3 mil. rubli w ogólności. Ograniczając się na pierwszej z tych cyfr, i rozdzielając ją na części składowe, dowiadujemy się że 154,8 milionów przypada na obsługę

wyższą i korzyści przedsiębiorców, 64,3 mil. na materyały zagraniczne, 161,8 mil. na materyały krajowe, a 154,8 na robociznę.

Nie można wątpić, że puszczenie w obieg tak wielkich kapitałów w kraju względnie ubogim, stworzenie nowych źródeł pracy za opłatą znaczną w kraju o przemyśle tak mało rozwiniętym, nareszcie napływ kapitałów obcych na rynek dotąd dotknięty stagnacją: wszystko to musiało spowodować wielkie zmiany w położeniu finansowem i ekonomicznem.

Polepszenie dało się uczuć już w lokowaniu łatwiejszém i w wyższych cenach wartości dróg żelaznych rosyjskich na giełdach europejskich. Jeszcze niedaléj jak w r. 1868, obligacye pięcio-procentowe wypuszczone przez Towarzystwo rosyjskie, nie stały wyżej nad 74 za sto na giełdzie berlińskiej. W r. 1872 podniosły się do 95, w r. 1873 do 96, a w r. 1874 do 99. Obligacye konsolidowane (wypuszczane przez rząd na rachunek Towarzystw), dochodziły w Londynie r. 1870 zaledwie do 83½ względnie do wartości nominalnej, ale skutkiem niestającego wzrostu, w ostatnich czasach poprzedzających obecne przesilenie, doszły do 105.

To podnoszenie regularne i stałe było wskazówką zaufania jakim drogi rosyjskie, z pomocą kredytu państwowego, potrafiły natchnąć rynki zagraniczne. Zaufanie to wreszcie usprawiedliwiło się w zupełności temi dwoma wymownemi faktami, że rząd nie uciekał się już do pożyczek zagranicznych dla sptacenia deficytów budżetowych, oraz że fundusze zapożyczone u kapitalistów zagranicznych na budowę dróg żelaznych, używane były roztropniej i oszczędniej niż przedtém. Rzeczywiście, te 14,092 wiorst przestrzeni ogólnej, wybudowane, począwszy od roku 1865, kosztowały około 38% taniéj, niż drogi budowane poprzednio.

Równolegle z tym faktem, dotyczącym bezpośrednio dróg żelaznych samych, widzimy występujące inne fakta finansowe znaczenia ogólniejszego i przyczyniające się do wykazania stanowczego polepszenia stanu. I tak: rezerwa kruszcowa wynosząca 85,7 mil. w r. 1866, w r. 1875 wzmaga się do 231,2 mil. Pomimo nowych emisji biletów kredytowych, których suma dochodzi 634,1 mil. rubli w roku 1866, a do 797,3 mil. w r. 1875; kurs wymiany, ten nieomylny barometr położenia finansowego i stanu handlowego w kraju, polepszał się wciąż, aż po rok 1874, a średnia wartość rubla papierowego względnie do kursu, wzniosła się r. 1867 do 0,846, a w r. 1874 do 0,861.

Fundusze publiczne, czyli obligacye pożyczek rządowych rosyjskich, doznawały przez ten czas podwyżki bezprzykładnej, od czasu przymusowego wyparcia kapitałów prywatnych z kasy depozytów. Renta sześcioprocentowa, notowana w r. 1867 po 92%, a nawet po 82%; w marcu roku 1876 doszła do 122½%. Obligacye pięcioprocentowe Banku państwa w r. 1867 podnoszą się do 77½%, a w pierwszej połowie r. 1876 do 100%.

Badania ekonomiczne przedstawiają tę niedogodność, że lubo nie można dosadniej przemawiać niż językiem cyfr, boć cyfry są samemiż

arkusz
zle złożony

faktami przedstawionemi przed oczy czytelników, łatwo jednak chybić celu, odstręczając tych których chciałoby się przekonać przez mnogość takowych. Ograniczymy się przeto na zaznaczeniu kilku cyfr nieodzownych, wykazujących zgodnie polepszenie stanu finansowego Rosyyi, od chwili gdy drogi żelazne poczęły kraj ten wyprowadzać z martwoty w jakiej był pogrążony.

Faktem nader ważnym a może najistotniejszym tego polepszenia ogólnego jest znaczny wzrost produkcji i konsumeyi, dowiedziony cyframi porównawczemi przywozu i wywozu. Niéma pół wieku, kiedy wywóz roczny w Rosyyi nie przechodził wartości 62,8 mil. rubli, a przywóz summy 44,3 mil. Upłynęło lat 30, a w okresie od 1860 do 1863 wywóz roczny nie przechodził jeszcze 161 mil. rubli, a przywóz 134 mil. Ale przez 15 lat następnych, które były okresem szybkiego rozprzestrzenienia się sieci, cyfry te wzrastają nareszcie tak w r. 1875, że na przywóz wypada do 411 mil., a na wywóz do 498 mil. rubli. Zbytecznym byłoby szukać dobitniejszego dowodu wpływu jaki wywiera na finanse budowanie kolei żelaznych. Stwarzając krajowi nowy system komunikacyi, budowa sieci przyspieszyła obieg ekonomiczny do tego stopnia, że bez mała w 15 lat kraj osiągnął takie rezultaty, do jakich otrzymania trzebaby było drugie tyle czasu bez tój potężnej pomocy. I trudno nawet przypuścić, ażeby rozwój handlu osiągnął cyfry z roku 1875, nawet w okresie dłuższym nierównie, gdyby mu zbrakło tego bodźca, o którym mówimy.

Uiszczanie podatków skarbowych staje się téż w tym czasie elastyczniejszym i regularniejszym. Wydatki dochodzą do 413 mil. w r. 1866, do 543 mil. w 1875; ale pomimo tego podwyższenia wydatków, spowodowanego reorganizacją armii i wielkimi robotami użyteczności publicznej, pokrywają się one bez trudności odpowiednim wzrostem wpływów. Miasto deficytów rocznych ukazują się pozostałości od wydatków. Remanent dochodzi do 14 milionów w roku 1874, a w roku 1875 do 33 mil. rubli, czyli przedstawia prawie 6% ogółu dochodów zwykłych.

Ponieważ cyfry nasze czerpane są z ostatniej kontroli rachunków państwowych za każdy rok, jasną jest rzeczą że one nie mogłyby wykazać tego rezultatu, gdyby zaległości w uiszczaniu podatków szły proporcjonalnie z wzrostem cyfr budżetowych. I rzeczywiście, okazał się objaw przeciwny w tym czasie; zwiększenie dochodów państwowych odbyło się bez ogólnego obarczenia ludności ciężarami nadmiernymi. Zaległości na rzecz Skarbu wynosiły jeszcze w 1860 r. 10% ogółu dochodów zwykłych, ale ulegają one regularnemu umniejszeniu, z wyjątkiem jedyne go roku 1870. W r. 1871, zaległości wynoszą tylko 9,3% wpływów zwykłych; a w latach następnych obniżają stopniowo do 8,3%, 7,6%, 7,1%, aż nareszcie w r. 1875 dochodzą do 5,5% ogółu dochodów zwykłych.

Wysokość eskonty, pod wszelką formą, również zmierza do obniżenia się. Przedsiębiorstwa przemysłowe i handlowe już nie są

tamowane drożyzną kapitałów i brakiem kredytu, a stopa procentowa skupu weksli w Banku Państwa na początku r. 1875 dochodzi do 4^o/, cyfry przedtém bezprzykładnej w Rossyi, gdzie kapitały były tak rzadkie a kredyt tak mało zabezpieczony.

Może zdołaliśmy w szkicu niniejszym wykazać, jakim sposobem Rossya, pod wpływem dobroczynnym reform i utworzenia dość rozległej sieci dróg żelaznych, wydobyła się ze stagnacyi politycznej i martwoty ekonomicznej. Ale czytelnik dostrzegł zapewne iż cyfry, przywzodzone przez nas na poparcie owój tezy, zatrzymują się ogólnie na latach 1874 i 1875. Powodem tego jest, iż odtąd ruch normalny, wiedący Rossyę po drodze postępu ekonomicznego, zwicchnął się i przerwał, zrazu skutkiem ogólnego przesilenia ekonomicznego, jakie uczuć się dało w Europie zachodniej a następnie skutkiem powikłań politycznych, które wybuchły w r. 1876 i sprowadzając nową wojnę Wschodnią, zawiodły wiele nadziei i przerwały dokonanie wielu zamiarów pożytecznych. Porównawczy nasz szkic przeszłości i terażniejszości Rossyi, nie mógł, oczywiście, wcielić epoki anormalnej. Dostyc nam było wykazać, że w obszerném tém Państwie istniały już przed wojną wyraźne dane do pomyślnój przyszłości ekonomicznej.

W następnym artykule postaramy się uzupełnić to studyum, charakteryzując przesilenie spowodowane okolicznościami obecnymi, przesilenie, które przy pewnych warunkach mogłoby być przechodniém, pomimo nowych i ważnych ofiar, jakie wojna nałożyła na Skarb rossyjski, i powrócimy do punktu naszych badań nad wielkimi zmianami ekonomicznymi, dokonanymi w Rossyi, traktując specjalnie o produkcji i konsumcyi.

WARSZAWA, JĘJ ŻYCIE UMYSŁOWE I RUCH LITERACKI

W CIĄGU LAT TRZYDZIESTU *).

(od 1800 — 1830 r.).

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

II.

Księztwo Warszawskie.—Organizacya jego.—Departamenta.—Kodeks Napoleona.—Objasniające podręczniki nowych ustaw.—Stanisław Węgrzecki.—Życie duchowe.—Jan Paweł Woronicz.—Teatr narodowy.—Imioniny Napoleona.—Transparent rzeźnika warszawskiego.—Hugo Kollątaj i jego dzieło.—Feliks Lubieński.—Bal wydany.—Książka obejmująca mowy i wiersze ówczesne.—Tragicy.—Komedyo-pisarze.—Franciszek Wężyk.—Kajetan Koźmian.—Rok 1812.—Wyprawa do Moskwy.—Kłeska.—Rozczarowanie.—Przybycie Napoleona do Warszawy i tajemny wyjazd.—Bitwa pod Lipskiem 1813 r.—Śmierć księcia Józefa Poniatowskiego.—Zachwiane losy Księztwa Warszawskiego.—Cisza literacka.—Zabytki literackie.—Wyrobienie języka ojczystego.—Klasyeczny kodeks.—Podział poezyi.—Gazeta Warszawska.—Listy, dodatek do niej.—Przegląd prac ważniejszych treści.—Pamiętnik Warszawski, pod redakcyą L. Osieńskiego.—Ocena i wartość tego organu.—Nowi urzędnicy sądowi i administracyjni.—Tradycye stare i nowe: O królu Sobku i jego nadwornym trefnisiu.—Podania z XVIII stulecia.

Jeżeli słabym płomykiem życie duchowe gorzało w Warszawie, w czasach tak zwanych *pruskich*, to zajaśniało do razu więcej, gdy utworzonem zostało Księztwo Warszawskie w r. 1807.

Organizacya tego księztewka, na sposób francuzki, podział kraju na departamenta, wprowadzenie Kodeksu Napoleona I, w miejsce dawnego prawa polskiego, zmiana w całej administracyi krajowej, wywołały potrzebę objaśnień i wskazówek nowych, nieznanych tak urzędnikom, jak i obywatelom. W téj myśli zaczęła wychodzić coraz większa liczba dzieł, jako podręczników niezbędnych. Na czele tych pra-

*) Dalszy ciąg — patrz zeszyt za styczeń r. z.

cowników gorliwych, należy postawić Stanisława Węgrzeckiego, późniejszego prezydenta miasta Warszawy ¹⁾.

Jakkolwiek okres istnienia Księztwa Warszawskiego trwał lat tylko ośm, pozostało w literaturze naszej mnóstwo broszur, mów, wierszy, wywoływanych okolicznościami, które żywo zajmując społeczeństwo téj epoki, niemalą wiązaną stanowią.

Życie duchowe zagrało w całej pełni. Niebrakło téż ludzi gruntownej nauki, poważnych statystów, głębszych myślicieli, utalentowanych mówców i poetów.

Na czele pierwszych stanęli: Stanisław Staszic, Stanisław hr. Potocki, Feliks Żubieński, Józef Kalasanty Szaniawski, Wawrzyniec Surowiecki i w. i.

Wymowa kaznodziejska miała godnego reprezentanta w osobie Jana Pawła Woronicza, który zarówno zachwycał wyższą inteligencją, potęgą myśli i wystąpieniem, jak umiał się zniżyć w prostocie ducha, a jasnością języka, do pojęcia ludu miejskiego i wiejskiego.

Teatr narodowy w tym okresie odegrał w życiu społecznym niepospolitą rolę. Umiał on chwycić zrećźnie każde silniejsze poruszenie ogółu i w formie to artystycznej właściwej, to osłoniętej szatą starożytnych wieków Hellady czy Romy, uwydatniać je na scenie.

Gniotła wprawdzie klasyczność, koloryt i wyraz szczerój narodowości, ale widzowie umieli, z pod téj twardej łupiny, dobrać się zdrowego i smakowitego ziarna.

Zapał, który porywał ogół, objawiał się we wszystkich kierunkach. Imieniny Napoleona I wywoływały niestłuchane manifestacje. Warszawa oblewała się łuną iluminacyi, a liczne przezrocza wymownie świadczyły o uczuciach dla tego zwycięzcy świata.

Pamiętam, na Krakowskim-Przedmieściu transparent, w wielkim oknie rzeźnika. Przedstawiony w nim był sam pan starszy rzeźniczy, który ogromnemu wołowi, wielkim, ostrym toporem, łeb odcinał. Strugi krwi tryskały w okoto, zalewając podnóże, przy którym jaśniał dwu wiersz taki:

¹⁾ Stanisław Węgrzecki, znakomity prawnik, należał do pierwszych pisarzy w czasach Księztwa Warszawskiego i znakomite położył zasługi dla kraju. Urodzony w r. 1765, wykształcony w Krakowie i za granicą, za powrotem do kraju wszedł do służby publicznej; wybrany na prezydenta miasta Warszawy, kilkakrotnie w latach 1814—1815 i 1830 piastował tę godność. Jako członek Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk brał udział w jego pracach. Umarł w Warszawie 12 lutego 1845 r. Ogłosił drukiem wiele prac, które miały w swoim czasie doniosłe znaczenie. Przytoczymy ważniejsze: *Pismo o prawach dla Księztwa Warszawskiego*, 1809 r., *Rozprawa o profesjach oraz o systemacie administracyjnym* (1809 r.). *Uwagi nad powszechném moratorium z dołączeniem historii o zbiorze praw przez A. Zamoyskiego* (1810 r.). *Dzieje o znaczeniu władzy duchownej obok świeckiej w Polsce* (1818 r.) i wiele innych pomniejszych.

„Kto nie będzie wierny Polsce i Napoleonowi,
To mu łeb utnę jak temu wołowi.”

Rozważniejsi niepodzielali tego zapału, w smutnej zadumie rozmyślając nad przyszłą dolą swojego kraju. Do takich mężów należał Hugo Kołłątaj, który wydał wówczas wielce ważne dzieło p. n.: *Uwagi nad terażniejszym położeniem Księstwa Warszawskiego*; było to po zawartym pokoju w Tylży. W dziele wzmiankowanem wykazuje, że ta cząstka dawniej Rzeczypospolitej, w samym pomysle niedołączna, w zarodzie swoim już nosi śmiertelną chorobę, albowiem małe państwo nie podoła zadaniu, ażeby był swój ustalić i przyszłość zapewnić na gruntownych podstawach.

To przekonanie dzieliło wielu poważnych statystów, ale nie mieli tej cywilnej odwagi, co Kołłątaj, występowania publicznie. Lękali się powszechnego uwielbienia Napoleona I, które w szal nieraz przechodziło, uważając go nawet za coś *wyższego nad człowieka*.

Tymczasem nowa organizacja burzyła wszystko, co było godne poszanowania, co mogło być użytecznie odżywione i odpowiadało zwyczajom narodowym i potrzebom krajowym.

Na miejsce dawnych województw podzielono Księstwo na departamenta; odrzucono dawne prawodawstwo, nad którym wieki pracowały i wprowadzono nowy Kodeks Napoleona.

Trudno zaprzeczyć, że w tej rzeczy zmiana była na lepsze. Tak też współcześni ją przyjęli i gorąco się zabrali do przyswojenia sobie nowego prawa i rozwinięcia władz sądowniczych. Minister sprawiedliwości, Feliks Łubieński położył tu ogromne zasługi. Dla przygotowania cichych sarkau ludzi starzej daty, co zapamiętali dawne statuta, w dniu 1 maja 1808 r. wyprawił suty bal w swoim pałacu, podczas którego śpiewano pieśni, ułożone z tego powodu. W nich oczywiście należało pierwsze miejsce cesarzowi Francyi, to też pieśni te zowią go *największym czasów mężem*.

Ustanowiono trybunały, sąd apelacyjny, sąd najwyższy, a przy otwarciu każdego odbywały się świetne uroczystości, z odpowiedniami mowami i wierszami, które przepisywano na wyjści. Łubieński znalazł w społeczności prędko dzielnych pomocników, którzy wykonywali jego polecenia i patrzymy dziś z podziwem i uwielbieniem, w jak krótkim czasie przeprowadzono organizacją sądów, wprowadzono Kodeks, podług którego wymiar sprawiedliwości szedł należycie i z pożytkiem dla ogółu.

Formacja nowej armii Księstwa, dawała też obszerne pole do wylewania uczuć: w mowach, pieśniach i wierszach. Pisał je po większej części, znany z talentu Ludwik Osiński i o nie się też skwapliwie ubiegano.

Wyszła wtedy osobna książka p. n.: *Krótki zbiór wierszy, pieśni i mów patryotycznych*, która obejmuje te wszystkie objawy, odzwierciedla też zarazem wybornie owe gorące czasy.

Na scenie narodowej w Warszawie, obok tłumaczeń Kornela, Rasy, Woltera, wystąpili oryginalni tragicy: Franciszek Wężyk, Ludwik Kropiński, Antoni Hoffman. Dwaj aktorzy ulubieni: Aloizy Żółkowski i L. A. Dmuszewski, w komedijkach i wodewilach chwyтали gorętsze chwile z życia publicznego i przedstawiali na scenie, ku uciesze serdecznej, licznych zawsze widzów i słuchaczy. Poeci współcześni odami, kreślonymi z zapalem w natchnieniu prawdziwym, jak Wężyk i Kajetan Koźmian, podnosili jeszcze nastrój ogółu. Powtarzano sobie strofkę z ody Wężyka:

Czyliż dotąd nie słyszycie,
Jak Pan niebios gromy miota?
Dziś lub nigdy, śmierć lub życie:
Chwała lub wieczna sromota!

Rok 1812 i wyprawa Napoleona do Moskwy, w której cała jego potęga zdruzgotaną została, zapal ten powoli studzić zaczęły: w miejsce jego przyszło u jednych zwątpienie, u drugich wywołana rozpacz bez granic!

Niedowierzenie pierwszym nadbiegłym wieściom o poniesionej klęsce, zastąpiła straszna pewność, gdy sam Napoleon saneczkami przybył do Warszawy, i przenocowawszy w hotelu Angielskim, nazajutrz cicho i tajemnie opuścił mury naszego miasta. Wkrótce wymowniejsze dowody stanęły przed oczyma, gdy oddziały zwyciężkiego wojska ukazywać się zaczęły w granicach Księstwa, a niedługo wkroczyły i w same mury Warszawy.

Przepowiednia Kołłątaja sprawdzać się zaczęła. Niedobitki armii francuskiej i polskiej wywołały smutek powszechny. Wszystko to po krótkim spoczynku pociągnęło ku Saksonii.

Księżę Józef Poniatowski wyruszył z pułkami zagranicę, które zebrać potrafił.

Głosy dawne tryumfu umilkły, wraz z objawami życia duchowego w Warszawie. Przyszłość nie ukazywała się z uśmiechniętym obliczem!

Marzono, że „największy mąż czasu“ jeszcze się podniesie z tryumfem, i losy przeciwne zwycięży. Daremna otucha!

Trzydniowa bitwa pod Lipskiem 1813 r. okazała mylnością tej rachuby. Armia Napoleona po krwawym boju cofać się zmuszona, a ofiarą tej bitwy został w nurtach Elstery księżę Józef Poniatowski.

Napoleon dobiegał do ostatniego kresu swego zawodu. Bitwa pod Waterloo i klęska poniesiona, postanowiły o jego losach: zmuszony abdykować, na samotnej, skalistej wyspie dokończył żywota.

Losy Księstwa Warszawskiego zachwiały się bez nadziei. Literatura w niem obumarta.

Wiele prac i zacnych pomysłów czekało spokoju, ażeby mogły być spożytkowane. Tak projekt Onufrego Wyczzechowskiego o Towarzystwie Kredytowém Ziemijskiém należycie opracowany, dopiero później, w lat jedenaście po upadku Księztwa, przez księcia Lubeckiego podniesiony i prawem sejmowém 1825 roku w życie wprowadzonym został.

Przeglądając zabytki literackie z okresu Księztwa Warszawskiego, widzimy, że ani w poezyi, ani w wymowie nie posunięto się dalej nad wiek XVIII. Jednej zasługi wszelako zaniedbać nie można: że język ojczysty zyskał ogromnie na wyrobieniu swoim. Nabrał on harmonii, melodyi, oczyszczony został z obcych naleciałości, lubo go kaziła jeszcze nieraz składnia francuzka, zwroty i wyrazy nawet francuzkie, czego ślady najwyraźniejsze mamy w utworach literackich tego okresu.

Ale potoczystość harmonijną polskiemu wierszowi dał Ludwik Osiński, jedrność i siłę dawną odnowił Franciszek Wężyk, jasność i dobitność wyrażen Kajetan Koźmian i Jan Paweł Woronicz w pismach swoich prozą i wierszem.

Przepisy *Kodeksu klasycznego* nie dozwalały żadnego wybryku w formach raz przyjętych, ztąd dzielono poezją polską na: liryczną (pieśni, ody, anakreontyki, dytyramby i wiersze uczuciowe); poezją dramatyczną; bajki i powieści; poezją heroiczną (w dział ten liczono Homera, Wergiliusza, Ossyana, Tassa, Walter-Skotta, *Wojnę Chocimską* Krasickiego); epigramata: satyrę podciągniono do działu dydaktycznego.

Tego podziału trzymano się ściśle aż do czasów Mickiewicza.

Wymowa również na właściwe sobie działy podzieloną została.

I była cisza i spokój w świecie literackim: nikt nie śmiał się wyrwać z jakąś nowostką. Stali bowiem na pilnej straży owych przepisów mężowie zasługi, talentu i wielkiej powagi, których imiona brzmiały chlubnym rozgłosem po całym kraju.

Prasa peryodyczna słabym oddechem zaledwo dawała oznaki życia. *Gazeta Warszawska* jako pismo polityczne, z początkiem roku 1807, bo w pierwszej połowie maja, zaczęła dołączać Listy co tydzień, co dwa, poświęcone kwestyom najważniejszym społecznym i sprawom narodowym; w objętości pół arkusza lub arkusza ścisłego druku, nosiły adres do kogo pisane, i więcej żadnego nie miały tytułu. Najwięcej jednakże jest adresowanych do Józefa Kalasantego Szaniawskiego, członka Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, i autora wielu dzieł treści filozoficznej. Jakiś wówczas pisarz ten używał opinii w całym kraju, najlepiej odmaluje nam ustęp z listu pułkownika Neymana do Piotra Maleszewskiego, b. kontrolera wojsk francuzkich, zamieszkałego w Paryżu. Neyman pisze do niego, tak się wyrażając o J. K. Szaniawskim:

„Znasz tego męża prawne pióro i zajęte miłością ojczyzny serce, znasz jego talenta, geniusz, nieskazitelne i staro-rzymskie cnoty

i obyczaje: są one cenionemi i uwielbiane przez świątłych a zawsze wiernych narodowi Polaków.“

Listy te pisały znakomitsze postacie, które w sprawach publicznych przeważny brały udział.

Rozpoczyna Horodyski konsyliarz w Administracji publicznej Departamentu Warszawskiego, A. Gliszczyński, poseł na sejm konstytucyjny i Józef Neyman, pułkownik głośnego imienia z 1794 roku. Sam J. K. Szaniawski, Aleksy Dembowski, Jan Nepomucen Małachowski referendarz koronny, Ignacy Stawiarski prawnik, Józef Lipiński tłumacz Tassa *Jerozolimy Wyzwolonej*, Wawrzyniec Surowiecki mąż wielkiej nauki, wykładający wówczas w Szkole Prawa statystykę Księstwa Warszawskiego: drukował obszerny List o potrzebach krajowych, oparty na gruncie podstaw narodowych. Józef Łęski, profesor matematyki i fizyki w Liceum Warszawskiem, dotykając nauk ścisłych, ztąd prace swoje nazywał Listy fizyczne. Łęski będąc rytownikiem dobrym na miedzi i stali, do Listu swego (w porządku ogólnego zbioru XXV-go) przyłączył kompozycją Regnault'a, przedstawiającą: *Wjazd tryumfalny Napoleona do świątyni nieśmiertelności*.

Jestto wyborny rysunek w konturach, a sztychowany przez Łęskiego. Przedstawia na wozie wspaniałym siedzącego Napoleona. Wsparty lewą ręką na księdze praw, prawą ma wspartą na mieczu, który trzyma bożek wojenny, umieszczony na tynże wozie. Minerwa uzbrojona dzidą i egidą, siedzi po lewej stronie mocarza, którego czoło zdobi wieniec laurowy. Cztery dzielne rumaki ciągną ten wóz wspaniały do świątyni nieśmiertelności. Nad siedzącym Napoleonem wznosi się orzeł cesarski i Chwała trzymając wieniec. Na przodzie poprzed rumakami w galopie ulatują postacie niewieście, uosabiające Sprawiedliwość i Religiją. Obok postępującego wozu i koni, widzimy Pokój trzymający gałązkę oliwną, prowadzi Obfitość i Bogactwo, ucharakteryzowane dwoma Geniuszami, z których jeden niesie róg napełniony kwiatami i owocami, a drugi skrzynkę ze złotem i drogiemi kamieniami. Przy tej grupie idzie Lew jako zamię Mocy, na którym siedzi Geniusz Legii Honorowej.

Pochód ten poprzedza Zwycięztwo rozdające palmy i wieńce, bieży wyprzedzając orszak, który się kończy grupą wojowników, obciążonych zwycięzkimi łupami. Wokoło Szczęśliwość i Wesołość rozrzucają kwiaty, a młode dziewice palą wonne kadzidła.

Na drugim planie, wprost tryumfatora wznosi się Świątynia Nieśmiertelności, przy której frontonie unoszą się w obłokach Francya i jój Geniusz: pierwsza wskazuje bohaterowi tron, który na niego czeka; drugi przedstawia mu koronę i berło dawnych monarchów francuzkich.

Z przeciwnej strony poza wozem tryumfalnym, Herkules uzbrojony w maczugę, gromi ciemnotę, zabobon, niezgodę, anarchią i wściekłego lamparta. Przed tą grupą Czas, który zawsze utrwała pamięć

i sławę prawdziwych bohaterów, ujmuje tablicę spiżową, na której Klio ryje historią Bonapartego.

Oryginał tego obrazu około 30 stóp szeroki a 16 wysoki, uznany był za najlepsze dzieło pędzla Regnault'a, gdyż wedle wyrażenia J. Łęskiego: „ostateczną swą świetność otrzymuje ze świetności karnacy, żywości draperyi i wdzięku pędzla.“

List ten redakcyja *Gazety Warszawskiej* musiała odbijać w podwójnej liczbie egzemplarzy, a i te nie wystarczyły tłumowi ciekawych, aby ujrzeć apoteozę ulubieńca wszystkich.

Listy te budziły niesłychane zajęcie w kole czytelników polskich. Treścią ich bowiem były: poważne poglądy na stan ówczesny kraju, badanie położenia politycznego, zarazem wskazówki potrzeb naglących i ofiar, poświęcenia, któremi je zaspokoić można. Jeżeli z tej strony wydatniejsze wyniosły duch obywatelski co do spraw krajowych, nie spuszczały te listy z uwagi i rozwoju literatury ojczyściej, oraz ważniejszych dzieł jak np. *Statystyka Polski*. Zawadzi tu i wiersz przydłuższy. Tak cały List XVIII z daty 3 lipca 1807 r., pisany przez Alojzego Orchowskiego do pułkownika Neymana, obejmuje długi, ale pełen zapału i uczucia jedyny wiersz Orchowskiego p. n.: „Na popis batalionów II i III Legii Polskiej, na żołdzie Rzeczypospolitej Włoskiej zostających, w dniu 27 września 1802 r. przy mieście Pawii pod wodzą generała dywizyi i inspektora Dąbrowskiego odbyty.“

Spojrząwszy na datę, widzimy, że Orchowski pisał ten wiersz w Medyolanie, kiedy jeszcze myśli nie miał Napoleon o Księstwie Warszawskim: nasz poeta-obywatel uniesiony widokiem legionistów, cześć im oddając za ich wytrwałość i bohaterstwo, jakby w wieszczem przeczuciu, przepowiada blisko szczęśliwszą dla nich przyszłość, gdy spoczną na rodzinnej ziemi. Sprawdziło się to rzeczywiście, ale w pięć lat później.

List XXIX z tego powodu wielce jest zajmujący, że odsłania nam nieznanne stosunki Surowieckiego z Woroniczem, wówczas kanonikiem warszawskim, nad czém pracowali i co głównie mieli na myśli.

Surowiecki tak ów list zaczyna:

„Do autora *Lechiady*, do miłośnika starożytności narodowych, do tak szanownego przyjaciela, nigdy się nie przemawia innym językiem, tylko tym, który mu jest najprzyjemniejszy.

„Kiedy świat gorzał w pożogach wojny, a ludzie trapili się nawzajem mozolnemi wróżbami o przyszłych wypadkach: my w samotnym ustroniu spokojni, zwiędzali naprzemian przedwieczne ludy Indu, Kaukazu, Tanaizy i Erydanu. Przegarniając ich szczątki, rozmięcione od tysiąca burzących czasów, szukaliśmy w nich najdrobniejszych śladów początku, obyczajów, religii wielkiego narodu Słowian. Ta zabawa zawsze nam była najmiłszą, zawsze ukazywała nowe coraz pojęty nienasyconej naszej ciekawości. Czasem, gdy szcęk oręża rozszerzył trwożę aż do samych progów naszej samotności, gdy spokojne umysły już przerażał smutkiem, jedno wspomnienie o sławnych wy-

roczniach Światowita, o wspaniałych świątyniach potężnego Trójgłowa, o srogich karach mściwego Prowa, zacierało w momencie cały ten obraz nieprzyjemny. Doczekawszy się nareszcie lepszych czasów, pomówmy jeszcze przed świątłymi rodakami o tém, co nam tak wiele sprawiało ukontentowania na osobności.“

I dalej podaje program, a jak sam nazywa „Obraz dzieła o początkach, obyczajach, religii dawnych Słowian.“

Wczytując się w ten obszerny zarys, dostrzegamy, że kreśliła go ręka prawdziwie uczonego meża, znającego ten przedmiot do gruntu, oznajmionego dokładnie z najważniejszymi źródłami do takiej pracy, szukającego pomocy i objaśnień w podaniach, zwyczajach i obrzędach ludowych. To nam wskazuje, że Surowiecki pierwój niż Zoryan Dołęga Chodakowski (Adam Czarnocki), oceniał ważność badań etnograficznych, tylko sam ich jak tamten niemiał sposobności zbierać.

Objemuąc myślą ogrom dzieła, zwątpiwszy czyby sam podolał tak mozolnemu zadaniu, nie zrażał się trudnościami, ale skrętnie materiał cenny zgromadzał do budowy, którą czy samby dźwignął, czy silniejszym dłoniom powierzył. Ze skromnością téż właściwą mężowi prawdziwej nauki, pisze w tym liście:

„Te trudności nie były mi tajne, nie dałem się im jednak odstraszyć; znalazłem sposoby, które, chociażbym nie ukończył w tak rozmaitych przedmiotach połączoną pracę, zapewniają jój jednak zupełną wartość.“

„Ułożony porządkiem materyi sumaryusz wyjątków z najrzadszych dzieł, wraz z uwagami do 300 arkuszy druku wynoszący, będzie obfitém źródłem, z którego uczeni, bez mozolnego szperania, bez rzadkich lub mało znanych autorów, w pięciu lub sześciu językach, śmiało będą mogli czerpać. Za jednym rzutem oka, znajdą osobno wszelkie podania z wielu przypiskami o bóstwach, obrządkach, uroczystościach, o obyczajach, o prawach, o charakterze, początkach, o orężu, stroju i t. d. narodów słowiańskich. Obok zaś tych, dla stosunku historycznego pod podobnemi względami Greków, Celtów, Skitów, Persów, Indów, Egipcyan, Gotów, Germanów, Laponów, Normanów i t. d. Za pomocą takiego dzieła nietrudno będzie ciekawym objaśnić się w każdym przedmiocie, a uczonym wypracować i rozszerzyć, a niekiedy sprostować w nawale rzucone moje uwagi. W każdym razie spodziewam się mocno, że ta praca z wielu miar oświeci dzieje narodów europejskich, i obali niejedno błędne zdanie, o którym dotąd nikt nie śmiał wątpić.“

Zgromadzeniu tak obfitego materiału poświęcał Surowiecki kilkanaście lat pracy, o której nikt nie wiedział, tylko najbliższy jego przyjaciel J. P. Woronicz. Z listu, o którym mówimy, spostrzegamy, że autor jego w rozświetleniu pierwotnych dziejów Polski, stanął do razu na tém stanowisku, do którego daleko później dobierało się dopiero grono badaczy naszych. Spójrzmy na plan pomyślanego dzieła W. Surowieckiego, jaki sam na początku pomienionego listu podaje:

„Wywód początków wielkiego narodu Słowiańskiego.

„Obyczaje, prawa, postać i charakter tego ludu.

„Religia, bóstwa jego pogańskie, obrządki, uroczystości stosowane z obcemi.

„Zaprowadzenie osad w różne strony świata i los tych do panowania Władysława Jagiełły.

„Przemysł, handel, rękodzieła tego ludu.

„Nakoniec, obyczaje, prawa, przemysł, rękodzieła, charakter, stan topograficzny, polityczny i statystyczny Polski w szczególności, aż do wieku XV.”

Cóż spowodowało Surowieckiego do pomysłu tak ogromnego dzieła, gdy po kilkunastu latach zbierania doń zasobów, przyszedł do wątpliwości, ażali go potrafi sam wykonać?

Spowiedź jego piękną, szlachetną, jako przedwstęp do programu swego pomieścił. Surowiecki przeżył najsmutniejsze chwile w dziejach naszych, bo trzy rozbiory Polski. Z ostatnim ujrzał, że kraj jego stracił nie tylko byt swój polityczny, ale jego imię wymazanem zostało z rzędu państw europejskich. Zaprzagnął więc pocziwają jego pamięć przechować w historii, i dlatego z młodzieńczym zapałem rzucił się do badań dziejów pierwotnych, ażeby następnie zejść do Jagiellońskiej epoki. Do biografii Surowieckiego, który stoi w rzędzie pierwszych literatów polskich w r. 1830, list ten drogocennym jest przyczynkiem.

Głośnego imienia w czasach Księstwa Warszawskiego Rajmund Rembéliński prefekt departamentu, a następnie prezes departamentu Białostockiego, w liście (XXX) do J. K. Szaniawskiego, w wymownym obrazie maluje ostatnie lata XVIII-go wieku, upadek moralny wielu warstw społecznych, wskazując zarazem naglące potrzeby wymagające zaspokojenia.

To ciągle odwoływanie się i adresowanie listów do J. K. Szaniawskiego, stawia dowód, jak stał wysoko w znaczeniu i opinii publicznej, którą, o ile się nam zdaje, starał się podtrzymywać. Ślad tego widzę w drukowanym w tym zbiorze liście Józefa Bogusławskiego ucznia klasy V Liceum Warszawskiego, który w całości pomieszczamy:

Szanowny Mężu!

„Od wieku dzieciństwa mego jesteś na mnie łaskaw, że mnie i książkami i dowodami gruntownymi prowadzisz do światła. Bądź tym samym dla współuczniów moich, których niedostatek majątku czyni ich niesposobnymi brania edukacji. Masz więcej wpływu do rządu niżeli kto inny, a témbardziej ja, który dopiero żyć zaczynam, wnieść projekt do rządu, aby dla młodzieży otwarte zostało pole nauk, aby biedny bez opłaty jaka teraz panuje, mógł się uczyć wszystkiego. Niech majątny płaci, kiedy mu szczęście dozwoliło mieć się lepij, a biedny prawdziwie niech będzie od tego wolnym. Im więcej będzie światła w narodzie, tém potężniejszemi uważać nas będą. Szanowny Mężu! robiłeś wiele, czynisz; zrób i to: a kiedy to ułatwisz, wszystko ukończysz.”

Wdzięczne echo list ten studenta znalazł w społeczności krajowej: znaczenie J. K. Szaniawskiego urosło więcj. Utrzymać go i opinii pochlebnj nie potrafił w następnym okresie, ale to już do późniejszych czasów należy: w epoce Księstwa stawiano go jako wzór cnoty obywatelskiej, uczonego pierwszego rzędu i rozumnego rzecznika, pożytecznych prac dla kraju.

Ogólny zbiór tych Listów przy *Gazecie Warszawskiej* wynosi 44, i zamyka go w dniu 19 grudnia 1807 roku list J. B. Rakowieckiego (późniejszego autora *Prawdy Russkiej*), stanowiący odczwę: „O potrzebie dzieła elementarnego o rolnictwie i ekonomii.“ J. B. Rakowiecki adresuje swój list do pp.: „J. B. R. Stowarzyszonych w celu roztrząsania Materyów, obraz kraju i narodu rozjaśniających.“ To napomnienie nasuwa myśl, że i publikacya tych Listów wyszła z tegożona Stowarzyszonych, którzy w chęci ich spopularyzowania, przyłączyli do *Gazety Warszawskiej* jako *Dodatek bezpłatny*, sami ponosząc kosztą wydawnictwa. I zaprawdę, tym celom odpowiada dobrze treść Listów, gdyż we wszystkich kierunkach społecznych objawia się działalność ich autorów. Jedni badają stan ekonomiczny kraju, drudzy stan ówczesny polityczny Księstwa: jego ustrój społeczny. Badają przeszłość narodu, wykazując jasne strony i błędy.

W. Surowiecki maluje trafnie *charakter historyczny Polaków* i wypowiada tę wielką prawdę: „że Polak XIV i XVI wieku nie różni się co do istotnych przymiotów od Polaka XVIII wieku. To, co go dziś wyszczególnia przed innemi, już wówczas było główną jego własnością.“

W Listach znajdujemy niemało zwracanej uwagi na lud wiejski usamowolniony osobiście. W tej treści zajmującym jest list (XXXIII) pułkownika Neymana do J. N. Małachowskiego, referendarza koronnego, w którym przedstawia nam rozmowę chłopów naszych, jak pojowali konstytucyą nadaną przez Napoleona. Jestto scena wybornie pochwycona, w której występują do dyalogu: stary Józwa okupnik, wieśniacy, gmina i szlachcic, łącząc się w bratnim uścisku.

Alojzy Orchowski w pięknym Liście (VI) do Horodyskiego, odaje cześć należną powabnym Polkom jako żonom i matkom, co umiały wychować młode a dzielne pokolenie. Pragnąby im postawić ołtarze za ich poświęcenie i miłość do ojczystej ziemi. Ciekawy nam zarazem daje obrazek, malujący cząstkę współczesnego świata:

„Klasa nieroztropnych trzpiotów (pisze), modnisiów, wprowadziła lekkość i roztargnienie w zabawy i nasze towarzystwa. Gadactwo połamane cudzoziemczyzną, popsutym narodowym językiem, jakiemi was bawią trefnisie, szeptania pod uchem niewinném, szydzącego ze skromności adonisa, mamily wasze umysły, ale wrodzonego wam przywiązania do ojczyzny nie starły. Nie jeden Polak był zdrajcą: Polka jeżeli zbłądziła, było to nierozsądku lecz nie zbrodni rozmyślnj pojędem.“

Po roku istnienia, publikacya ta, zajmująca się tak gorliwie najżywotniejszemi kwestyami społecznemi, przerwana została, i już ani w ciągu istnienia Księztwa, wskrzeszoną nie została, chociaż forma, jaką od początku przybrała, dawała swobodne pole do przeprowadzania najrozmaitszych przedmiotów.

Listy zebrane razem wyszły później w oddzielnéj książce p. n.: *Korrespondencya o materyach, obraz kraju i narodu polskiego rozjaśniających*. W Warszawie, 1807. W drukarni *Gazety Warszawskiej* (w 8-ce str. 302).

Pamiętnik Warszawski jako pismo naukowe pod redakcyą Ludwika Osińskiego, to z *Gazetą Warszawską* były dwa tylko organa ówczesnej prasy.

Pamiętnik ten wychodził z przerwami, nieregularnie, z powodu zawichrzeń wojennych, szczególnież napadu armii austriackiej 1809 r. pod dowództwem księcia Ferdynanda d'Este i zajęcia Warszawy po krwawéj bitwie pod Raszynem, w której poległ bohaterską śmiercią Cypryan Godebski, żołnierz-poeta. Co do swéj wartości wewnętrznej, przewyższał on poprzedni *Pamiętnik Warszawski* Franciszka Dmochowskiego (tłómacza *Iliady*), nietyle bogactwem treści, ile doborem artykułów. Dział poetyczny świetnie się w nim przedstawiał; na szczególną zaś wzmiankę zasługuje umieszczony w nim (bezimiennie) program do napisania *Historyi Polskiej* od najdawniejszych czasów do powstania Księztwa Warszawskiego. Znać w nim znakomitego znawcę dziejów ojczystych, głębszego myśliciela, z wyższym poglądem badacza.

Księztwo Warszawskie w krótkim okresie swego istnienia, było jakby szkołą przygotowawczą dla Królestwa Polskiego przez wprowadzenie Kodeksu Napoleona i organizacyą licznych sądów, przygotowała się niemała liczba zdolnych i sumiennych prawników, którzy stanowiąc czoło inteligencji polskiej, łączyli naukową teorię z praktyką sądową. W linii administracyjnej przygotowali się również urzędnicy w ministeryach, którzy postęp z nowemi ideami wprowadzali w życie. Nieznane nauki: ekonomii politycznej, gospodarstwa narodowego i finansowości, przy ich pomocy stały się przystępnemi, oznajamiając ogół z nowemi potrzebami społecznemi. Rolnictwo samo przestało się zasklepiac w tradycyjalnej *trzechpolówce*, i z czynszowaniem włościan, płodozmiany zaczęły kiełkować. Słowem, w każdym kierunku, na każdym polu widzimy pracę sumienną, usiłowania wielkie, ażeby dążnościom wieku nastarczyć.

Resztki dawnéj Rzeczypospolitéj w czasie Księztwa dogorywały: to co pamięć z jéj okresu przynosiła, już nie wystarczało potrzebom chwili obecnej.

Jak podwójnym krokiem zwycięzka armia Napoleona przechodziła Europę od Zachodu ku Północy, tak równie szybko na końcach bagnetów przynosiła nowe myśli, nowe idee, z pragnieniem postępu

każdój społeczności. Jak słońce, co obliczem swoim oświeca i ogrzewa ziemię, tak Orzeł Francyi z piorunami w szponach, gdzie zabuają, przynosił wszędzie radość i swobodę. Siła pięści zwycięzcy gniotąc wroga, zarazem sypała cenne dary duchowe.

Do księgi wspomnień i tradycyi narodowych, Księstwo Warszawskie dołożyło kart niemało; szczególnież téż od czasu wstąpienia armii francuzkiej w granice Polski, a głównie téż z powodu napadu Austryaków na Księstwo Warszawskie w r. 1809. Pomiędzy literackimi zabawkami był jeden osobliwy ze swój treści i układu; dostać go można było za sześć groszy polskich po wszystkich straganach przy-kościelnych, na których wśród szkaplerzy, paciorków, krzyżyków poświęcanych, obrazków świętych i książek nabożnych, przewijały się broszurki światowe. Jedna z nich właśnie wierszem pisana, zawierała opowiadanie huzara węgierskiego, łamanym językiem słowacko-madziarsko-polskim, przygody jego i jego towarzyszków w kampanii 1809 r., gdy byli bici i wypędzani z granic Księstwa, nie tylko przez regularne wojska ale przez oddziały powstańców i pojedynczych ochotników.

Jakkolwiek w dowcipnem tém opowiadaniu było niemało przesady, rzeczą jest historyczną, że po bitwie pod Raszynem, pomimo opanowania Warszawy, padł taki popłoch na armię grasującą w Księstwie, że przed patrolami jazdy, pułki całe, brygady i dywizye z trwogą uciekały ¹⁾.

¹⁾ Bawiąc w Węgrzech w latach 1829 i 1830, gdy przyszło wspomnieć te czasy, Węgrzyni zawsze się wypierali, że należeli do armii księcia Ferdynanda d'Este, która napadła niespodzianie Księstwo. Tak się ten szlachezny naród wstydził udziału, jaki wziąć musiał w téj wyprawie najezdniczej.

O strachu panicznym w wojsku austryackiem mogą poświadczyć żyjący jeszcze świadkowie. Przytoczę tu wypadek, który mi opowiadał b. kapitan z pułku Rzeczypospolitej, ś. p. Józef Raciborski, dziedzic wsi Załucza nad Prutem, gdyśmy razem przejeżdżali miasto Stanisławów w Galicyi. Miasto leży w nizinie, od strony Lwowa są wyniosłe pagórki, a na jednym z nich wiatrak.

— Spójrzj na wiatrak—mówił do mnie Raciborski—to ten sam, z którego padł postrach na sześciotysięczną dywizyę piechoty austryackiej. W jednym z oddziałów jazdy polskiej, który wpadł do Galicyi, był podoficer i zarazem doskonały trębacz Jaszczold, szalonej odwagi, ale wielki zwolennik kieliszka. Ten po sutěj uczcie i wysuszeniu niemało wina i śliwownicy, wraz ze swym towarzyszem trębaczem przyjechali pod ten wiatrak o północy, ale znużeni drogą i rozmarzeni kieliszkami, przywiązawszy konie do wiatraka, legli na trawie i smaczno zasnęli. Noc była ciepła ale rosista, słońce jak latem, wczesnie weszło i ciepłemi promieniami najpierw ogrzało to wzgórze, na którym dwaj ułani spali. Pierwszy zbudził się Jaszczold: przetarł oczy, przeciągnął się i spojrział w około. Z miasta usłyszał gwar głuchy: po gęstych wedetach zmiarkował, że wojska jest w niem niemało. Zbudził więc swego

Zbiór tradycyi z dawnych wieków przechowywano starannie w pamięci. Przypominano sobie wojnę chocimską z Turkami 1621 roku za Zygmunta III, i bohatera głównego Jana Karola Chodkiewicza, którego potomek po kądzieli mieszkał w Warszawie, miał swój pałac na Miodowej ulicy, i stynał z nauki ¹⁾.

Zachowywanie i powtarzanie tych tradycyi było nietylko najmilszą rozrywką dla społeczności tego okresu, ale stało się niejako potrzebą jej życia duchowego. Byle zebranie bliżej znajomych w kółku przyjacielskiem, przy lampce węgryzna lub czarce starego miodku rozpoczynała się gawęda o obecnych czasach, przeplatana wspomnieniami dawniejszych wieków.

Najczęściej na czoło występowały wspomnienia o królu Janie III. Że to był Polak z rodu, naród go szczególniej ukochał i pieszczotliwie nazywał *królem Sobkiem*. Warszawianie żywą o nim pamięć przechowywali długo.

Król Sobieski przebywał często w zamku warszawskim, a pod Warszawą, nad łąką wiślaną, po zwycięztwie pod Wiedniem w 1683 r. rękoma brańców tureckich zbudował sobie wspaniały pałac w Willa-

trębacza i radził siadać co rychlej na konia, żeby się niedostać do niewoli. Kiedy już dosiedli siodeł, przypadek zdarzył, że ze wsi pobliskiej owczarz pędził gromadę owiec po drodze piaszczystej, która pobudziła ogromną kurzawę. W tej chwili właśnie piechur austriacki stojący na czatach, ujrawszy dwóch ulanów polskich, wystrzelił i wydał okrzyk trwogi. To zatrzymało Jaszczolda. Niedługo gwar w mieście powstał wielki, i ujrzał z podziwem, że prawie kłusem dywizya austriacka uchodzi do Stanisławowa. Nienamysłając się więc długo, łyknął wódki z manierki, poczęstował towarzysza a kazawszy mu trąbić do ataku, najprzód kłusem, a potem galopem rzucili się ku miastu. Odgłos trąbki kawalerji dającój hasło do ataku, wielki okrzyk Jaszczolda, a poza niemi ciemna kurzawa zwiastująca jakby gęste szyki idącój jazdy, rzucały po płoch straszny. Mieszkańcy Stanisławowa z podziwieniem spoglądali na uciekających cotechu Austryaków, a niedługo na rynku zabrzmiała trąbka i ujrano dwóch polskich ulanów. Tłumem rzucili się więc ku nim, witając serdecznie. Jeden z bliżej stojących szepnął Jaszczoldowi, że pięciu huzarów węgierskich stoi w murowanej pobliskiej austeryi i chce uciekać. Jaszczold zwraca więc do niój, wzywa mieszczan do pomocy, i spóźnionych huzarów zabiera do niewoli.

Pojedziemy gościńcem do Chocimierza—mówił mi dalej Raciborski—to ci pokażę drogę, którądy bataliony piechoty zmykały przed Jaszczoldem. Niedaleko za Stanisławowem był lasek.

Tutaj—rzekł—po przemarszu uciekinierów, mieszkańcy z Chocimierza i Stanisławowa, znajdowali kapelusze stosowane, obszywane szerokimi galonami: oznaki godności wyższych oficerów, które uchodząc pogubili.

¹⁾ Aleksander hr. Chodkiewicz, literat i chemik, mąż uczony, który pierwszy u nas wprowadził litografię, nie żałując szkatuły własnej na liczne próby i udoskonalenie tego wynalazku.

nowie, założył obszerny ogród, w którym sadił własną ręką ulubione lipy, dotąd jeszcze przechowane, a grubością pni, wzrostem i olbrzymiemi konarami świadczące o swój starości. Niemało czasu przemieszkował w Willanowie wraz ze „śliczną swoją Marysieńką“ i licznym dworem.

Bliskość Warszawy ułatwiała stosunki niemal codziennie z dworzanami królewskimi; to też każde zdarzenie na nim, każdy najdrobniejszy wypadek, z niesłychanym zajęciem chwytało i opowiadano sobie w kótkach mieszczkańskich. Jeden wypadek szczególnie, który się wydarzył w zamku willanowskim, stał się ulubioną gawędką, którą częstowano upragnionych gości jak marcepanem. Opowiedział go uroczym słowem Wincenty Pol. Powtarzamy go tu dla odświeżenia dykteryjki, będącej rozkoszą zebrań mieszkańców Warszawy.

Na dworze króla Jana Sobieskiego Winnicki był trefnisiem czyli błaznem nadwornym. Król lubił jego żarty i nazywał go „kochanym Winnisiem.“ Kiedy go dzień jaki nie widział, wyraźnie tęsknił za nim; Winnicki też nie odstępował nigdy króla. Jeszcze z hetmanem był na potrzebie chocimskiej 1673 r. i we wszystkich następnych wyprawach, nieodstępując od boku pana swego. Królowa wszakże miała niechęć do Winnickiego, bo jój często Francuzów kąsał. Pomimo to, jakby na przekorę, chwalił się Winnicki przed całym światem, iż się zaszczyca osobistemi względami królowej, tak dalece, że rzecz ta królewskich nawet uszu doszła. Gdy go król zapytał czemu tak kłamię?

— Ja nie kłamię, Miłościwy Panie—odpowiada—lecz gdzie panu radzi, tam też i jego czeladzi. Królowa Pani musi mnie mieć w łasce swojej, kiedy na Francuzów jest tyle łaskawą, bo ja wypijam codziennie to piwo, które oni nawarzą. Odpraw mnie, Miłościwy Panie, a zaraz jutro podziękują wszystkie francuziki za służbę, albo rokosz będzie w kraju. Jeżeli nieprawdę mówię, bogdajżem z fałszem (z łata) nosił żupan całe życie.

— Nie odprawię cię, Winnisiu, nie odprawię—rzekł król — ale staraj się tylko zastugiwać królowej.

Winnicki przyrzekł tak miarkować swe sprawy, iżby sobie zasłużył na względy królowej i to w krótkim czasie. Wszystkich przytomnych zdziwiła ta obietnica, Winnicki bowiem zwykł był danego dotrzymywać słowa, a tutaj potrzeba było poprzestać płatać psikusy Francuzom, których pełno było na dworze, a tém samém wypaść z łaski dworu całego, samego króla, który z niechęcią patrzył na Francuzów i fawory jakich podówczas doznawali na dworze królewskim. Wszyscy tedy byli w największym oczekiwaniu, jak się Winnicki tą razą wyrąbie. Wyrąbał się jak trefniś, konceptem. Zamknął się w oficynach i niepokazywał się na dworze. A działo się to w ulubionym królowi Sobieskiemu Willanowie.

— Gdzie Winnicki?—pytał król codziennie.

— Słaby—odpowiadano.

Król Jan posyłał do niego księdza plebana i lekarza swojego, ale Winnicki nie chciał nikogo przypuścić do siebie. Tak minął tydzień i drugi, nie było komu bawić pana przy stole: jak na toż nastąpiła ślota i dwór cały zesmutniał. Król począł cierpieć na niestrawność, był codziennie gorszej fantazyi i odmówił królowej prośb kilka. Dwa starostwa właśnie do rozdania były: rozszafował je król nie według jój myśli. Dąsała się tedy pani, król stawał się codziennie nudniejszym, i nie pojmował sam nawet przyczyny, która mu tyle humor kwasiała. Winnicki tymczasem jak siedzi tak siedzi.

Zniecierpliwna w końcu królowa, kazała przywołać jednego z towarzyszów swoich i rzekła mu w gniewie:

— *Je sais que ce fou Winnicki n'est pas malade! Coûte qui coûte! faites le venir au Roi.*

Francuz, który znał królowę, pomiarkował, że to nie przelewki i jeżeli mu szczęście nie dopisze, to się potrzeba będzie rozstać i z dworem. Udał się tedy do błazna. Długo prosił, długo błagał i pukał podedrzwiami; w końcu, po godzinie prośby i groźby, otworzył mu drzwi pacholek i poprowadził do drugiey komnaty, gdzie na środku, na niskiem siedzeniu, dokoła osłoniiony, siedział Winnicki.

Winnicki kilkoma językami mówił *expédite*, tém więcéj bali się go Francuzi, że częstokroć własną ich bronią pobijał, drwiąc z nich po francuzku, a jak dziś tak i wówczas, nie obawiał się Francuz niczego więcéj, jak stać się śmiesznym po francuzku.

— Cóż ci takiego? kochany przyjacielu!—zapytał go Francuz.

— Cicho! cicho! dla Boga!—zasyczał Winnicki, i ilekroć Francuz się odezwał: „cytl!” znowu Winnicki i niewiele brakowało, że się Francuz nie porwał do szpady. Widząc, że go już do ostatniey przywiódł niecierpliwości, powiada w końcu Winnicki:

— Powiedz mi jegomość, czy dobry z niego naturalista?

— Co za pytanie!—odrzekł Francuz rozgniewany—wszak jestem Francuzem i byłem na akademii w Paryżu.

— Powiedz mi jegomość—pytał daléj Winnicki—z kąd się kurczęta na świecie biorą?

— Zamyślasz więc drzwi sobie ze mnie!—rzekł Francuz—*mais eh bien, ce votre metier*—dodał, miarkując swój gniew. Kurczęta tedy, jak wszystko na świecie, rodzą się.

— Więc, zdaniem akademii paryzkiej, powiadasz jegomość, że się kurczęta rodzą? a u nas w Polsce inaczej tę rzecz chcą mieć baby i powiadają, że potrzeba kury nasadzać na jaja i że dopiéro z jaj kurczęta wyłazą.

— I do czego ma nas doprowadzić ten uczony traktat?—zapytał Francuz złośliwie.

— Do kurcząt!—rzekł Winnicki—które królowa, a pani nasza najmiłościwsza, tyle lubi. To zapewne wiadomo będzie przydwornym królowej, bo zawsze mnie mówiono, że z Paryzkiej akademii bieglejsi

jeszcze dworacy, niż naturalisci wychodzą. Czy wiesz *monsieur* o tém, że teraz zima?

Francuz jadt się od złości, rzucił się w szerokie krzesło i milczał, a gdy się ta chwila milczenia przewlekła, zmrużył Winnicki oczy i udał że chrapi.

— Panie Winnicki!—zawołał Francuz w końcu żartobliwie—nie dręcz mię, tu o los mój chodzi; król nudzi się bez ciebie, a królowa pani powiedziała mi, żeby mój się na oczy nie pokazał, jeżeli W Pana nie sprowadzę do króla.

— I przyrzekłeś?—zapytał Winnicki.

— Nie byłem pytany, ale rozkaz rozkazem!—odrzekł Francuz.

— Zły z waszności dworak, mój panie!—mówił Winnicki—a potrzeba ci znać o tém, że ze mnie dobry myśliwy; idziesz mi na połać, znam słabą stronę! któż ci zaręczy, że cię w miękusz nie ugodzę?

— Jakto?—zapytał Francuz.

— Miesiąc jeszcze posiedzę tutaj zamknięty—mówi Winnicki,—a jednego Francuza niestanie na królewskim dworze. Sama pani da wam odprawę. Ale nie obawiaj się tego, ja nie jestem tyle złośliwym. Zacny kawalerze, podaj mi rękę do zgody! Ciesz mi to tylko, żeście przecie w końcu poznali, iż dwór, na którym Francuzi goszczą i bez błazna obyć się nie może. A teraz mów, czego żądasz odemnie?

— Na Boga!—suplikował Francuz—zaklinam Waćpana, pokaż się u dworu i rozwesel nam pana!

— To być nie może!—odrzekł twardo Winnicki, licząc zcicha na palcach, powiada—za siedm, i ośm dni uczynię dopiero według waszej woli.

— Zgubisz mnie!—zawołał Francuz.

— Mój panie!—rzekł Winnicki—my mamy przysłowie, że wojna będzie bez jednego żołnierza. Waćpan dowiodłeś sam tego, nie idąc na potrzebę Chocimską; a jużci więcej znaczy rycerz niż błazen, a kiedy się wojna bez jednego rycerza odbyła, to też i dwór bez jednego błazna nie przepadnie.

— O kim mówisz?—zawołał Francuz—biorąc się do szpady.

— Powolił powoli! jużciż mówię o sobie—rzekł Winnicki.—Złóż gniew i szpadę, bo i cóżby zresztą świat na to powiedział, że na gołe łby poszedł z błaznem rycerz nawaryjski? Złóż gniew i szpadę, a pomówmy szczerze.

— Czy wiesz o tém *monsieur*, że królowa kurczęta lubi?

— Wiem.

— Czy wiesz o tém, że królowa pani błazna nie lubi?

— Wiem! i cóż ztąd?

— Czy wiesz o tém, że teraz zima?

— No! wiem!

— Czy wiesz o tém, że nawet królowa pani śród zimy kurczęt mieć nie może?

— Wiem! ale dalej cóż ztąd?

— Ztąd wypływa—rzekł Winnicki—iż przez to, co królowa Jęjmość lubi, chce się wkraść do łaski ten, którego nie lubi: przez kurczęta—błazen.

— Nie rozumiem!—zawołał Francuz, i rzucił się znowu na krzesło.

— A przecie za dowcipnych was mają. Słuchaj tedy: żadna kura w całej Polsce nie chce na jajach siedzieć, a więc błazen musi. Tutaj rozkrył kołdrę i pokazał mu gniazdo, pełne jaj kurzych, na którym siedział okryty.—Patrz tu! zacny kawalerze!—mówił dalej—ile sobie cenię względuj najmiłościwszej pani naszej, kiedy tutaj tak od dwóch niedziel siedzę? *Mais figurez vous* przynoszą kurczęta na dwór pański; królowa zdziwiona pyta: „Zkąd kurczęta w tym czasie?” Wszyscy zgadują, iż tu się pokazuje w końcu, że Winnicki wywiódł kurczęta. Co za tryumf! co za zaszczyt! zrobić to, czego nikt dotąd nie potrafił.

— To są żarty, panie Winnicki!—rzekł Francuz niedowierzając.

— Jak Bóg żywy, nieżarty!—zawołał Winnicki—i kłął na to duszę i ciało. Wyczytałem tę tajemnicę w uczonej księdze i najmniej dni siedm jeszcze siedzieć muszę, bo kurczęta wyłożą dopiero dwudziestego pierwszego dnia.

— Więc, choć na godzinę, pokaż się królowi; dam ci kiesę złota i protekcją moją u królowej.

— Za złoto dziękuję!—odrzekł Winnicki—bo filozofom i błaznom złoto niepotrzebne; lecz jeżeli szczerze protekcją swoją u królowej pani przyrzekasz zacny kawalerze, to....

— To cóż—zapytał nagle Francuz.

— Tobym się zdecydował pójść do króla, ale tylko pod jednym warunkiem.

— Pod jakim?

— Jeżeli tutaj *monsieur* zajmiesz moje miejsce i pod słowem honoru będziesz siedział póty, póki ja nie powrócę: inaczej zaziębłoby gniazdo i cała moja mozoła byłaby za nic; tylko ostrzegam, jak będziesz siadał, więc zlekka wspieraj się na rękach: tylko zlekka!

Pasując się z sobą, chodził Francuz długo po pokoju: tu śmieszność, której się więcej bał niż kuli; tam niełaska królowej, gorsza od śmierci.

— Ha! daję ci słowo honoru!—rzekł w końcu—tylko śpiesz się, bo dzwonią do stołu.

Dał tedy rękę, złożył szpadę i tupet, rozebrał się, siadł na gnieździe i okrył się kołdrą.

Posadziwszy Francuza, szepnął coś Winnicki pachółkowi do ucha, przebrał się i uderzając błazeńską buławą Francuza po plecach, rzekł doń z powagą uroczyście:

— Jak wtóry Karol Wielki, pasując na rycerza i daję za herb kurze jaja.

— A, bałamucie niegodziwy! a gdzież się zadykał?—zawołał król Jan ujrawszy Winnickiego, a była to prawie pora, kiedy król zasiadał do stołu.

Jak mógł wyłgać się Winnicki i bawił króla jak nigdy. Król kazał sobie nalać wina; śmiał się, jadł dobrze i był dobrej myśli, a Winnicki nadskakiwał Francuzom i pochlebiał królowej.

— *Ce fou est bien aimable, quand le vont rarement!*—rzekła królowa łaskawie.

— *Le dessert fini le repas!*—powiedział Winnicki w pół głośno.

Po stole pytał go król:

— Przyznaj się teraz, gdzieś siedział tyle czasu? bo żeś nie podupał na zdrowiu, to już ci widzę, kiedy tak broisz!

— Siedziałem w oficynach willanowskich!—odrzekł Winnicki—gdzie z łaski Miłociwego Pana mam pomieszkanie.

— To nie sekret, żeś w oficynach siedział; ale i cóż tam jeden robił? Przychodzi mi się domyślać, żeś rekolekcyi nie odprawiał, kiedy nawet nasz ksiądz kapelan nie miał przystępu.

— Com robił? O! tego opowiedzieć niepodobna, a nawet nanie się nie przyda, bo nikt mnie nie uwierzy; ale niestworzone i po wszystkie czasy niewidziane rzeczy mam w swoim pokoju.

— Cóż takiego?—pytali wszyscy ciekawie.

— Nikt nie da wiary, kto na własne nie zobaczy oczy!—odrzekł Winnicki.

— Dajże mi czapkę!—rzekł król—wszakże Winnicki *wety* nam obiecał.

— I owszem, osobliwości, o jakich w tych królestwach niesłyszano.

Królowa, która tego dnia chciała już we wszystkiem królowi dogodzić, kazała przywołać fraucymer i cały dwór francuzki. Król kazał prosić panów polskich, którzy pod tę dobę na dworze bawili i wszyscy razem się zebrawszy, szli dużym dziedzińcem, ku oficynie na górkę. Największą cichość zalecał Winnicki. Na znak jego otworzył pacholek w największej cichości drzwi. Weszli wszyscy do pierwszej komnaty, kędy wchód do drugiej ujrzeni oponą zawieszony; na tej oponie była karta, a na niej wielkimi literami był napis: *Osobliwości niewidziane!*

— Król gościem u błazna!—zawołał Winnicki—a zdzierając oponę dodał: *I Francuz na kurzych jajach.*

Z wygoloną, jak kolano, głową, bez peruki, siedział zdrętwiały od trwogi i wstydu Francuz, na gnieździe. Porwał się nagle i chciał w kołdrze uciekać, ale uciekać nie było kędy: w oknie krata, a w drzwiach królestwo! Tu dopiero parsknęli wszyscy od śmiechu, bo Francuz powstawszy, odkrył całe gniazdo.

— *Ce mechant fou!*—zawołała królowa udając gniew, a nie mogąc się wstrzymać od śmiechu uciekła, a za nią fraucymer panien. Ale król z panami polskimi nie mogli się nacieszyć, a naradować tak dziwnym konceptem. Francuz do komina uciekł.

— A gdzie słowo honoru?—wołał na niego Winnicki—wyłaż panie kawalerze z komina, bo zaziębisz mi gniazdo!

Król śmiał się serdecznie, panowie toż samo, ale Francuzów jak wymiółł. Winnicki powiedział królowi cały proceder rzeczy i rzekł kończąc: „A że się udało w pole wywieść Tatara, o tém wié niejeden; ale że można Fraucuz na kurzych jajach osadzić, to widzieliście mościwe państwo dzisiaj, poraz pierwszy na własne oczy.

Cały dzień jeszcze śmiano się z Francuza, panowie rozpisali listy po całej Polsce o pociesznej sprawie, a nocą jeszcze opuścił dwór królewski ów Francuz skonfundowany i wielu innych. Królowa chciała się niby gniewać, ale nie wypadało. Król darował bogaty sygnet Winnickiemu, panowie obdarzyli go także sowicie za pocieszną krotoczwilę, którą im wyprawił. Tegoż samego dnia wieczorem, już cała Warszawa gwarzyła radosna o przygodzie Francuza; powtarzano sobie ochotnie wszystkie szczegóły z upodobaniem, gdyż nie cierpiąc dworskich Francuzów, lubili i kochali Winnickiego, jako swojaka, dowcipniejszego od Paryżanów.

Krążyły téż podania liczne z XVIII wieku, z okresu panowania Sasów i Stanisława Augusta o Panu Kochanku Radziwille, o dzikim Mikołaju Potockim, staroście kaniowskim i o innych magnatach, jak powtarzano dowcipy i anegdoty ze *Czwartkowych uczonych obiadów* u króla na Zamku warszawskim, niezawsze przyzwoite, ani godne pamięci. Zacierała je powoli szlachetniejsza tradycyya, gdy powstały legiony polskie we Włoszech, gdy pułki Księżtwa Warszawskiego walczyły w Hiszpanii. Krwawy dramat szturmów i zdobycia Saragossy, wszystkich umyślał zajmował.

Te wszystkie podania, w żywém słowie, przechowane w Księztwie, długo jeszcze w czasach istnienia Królestwa Polskiego, były przedmiotem rozmów i zajęcia społeczności warszawskiej.

III.

Królestwo Polskie.—Zmniejszone granice.—Józef Zawadzki zamierza wydawać pismo naukowe w Warszawie.—Jego odezwa do miłośników literatury.—Warunki podane.—Pamiętnik Warszawski.—Pierwsi współzawodnicy i redaktor Feliks Bentkowski.—Fortece Serock i Modlin.—Antoni Górecki.—Kantorbery Tymowski.—Jego utwory poetyczne.—Rozwój Pamiętnika Warszawskiego i ważniejsze w nim prace.—Kazimierz Brodziński.—Historja Polska.—Józef Mroziński.—Oblężenie Saragossy.—Wawrzyniec Surowiecki.—Pierwsze objawy Romantyzmu.—Fryderyk Szopen.—Pierwszy utwór ósmioletniego kompozytora, polonez przypisany hrabiance Wiktorji Skarbak.—Adam Mickiewicz jako krytyk.—*Jagiellonida*, poemat bohaterski Dyzmy Bończy Tomaszewskiego.—Odpowiedź Mickiewiczowi na jego krytykę *Jagiellonidy*.

Z końcem 1814 roku zamyka się okres dziejów Księztwa Warszawskiego, które z karty europejskiej wymazane zostało, a w jego

miejsce powstaje z kongresu Wiedeńskiego (rozpoczęty 1-go listopada 1814 r. w Wiedniu) Królestwo Polskie, w szuplejszych jednak granicach. Prusy z Księztwa Warszawskiego zabierają 538 mil kwadratowych, odcinając zeń departament Poznański o 327 a Bydgoski o 211 milach kwadratowych, wytwarzając z tego zaboru Wielkie księstwo Poznańskie.

Po wieloletnich krwawych walkach i ciężkich zapasach, zawitał wreszcie pożądany pokój, a społeczność polska, oddychając nieco swobodniej, zaczęła rozmyślać o zaspokojeniu swoich potrzeb dochodowych.

Od r. 1810 niebyło w języku polskim pisma peryodycznego poświęconego naukom, po upadku *Pamiętnika Warszawskiego* pod redakcją Ludwika Osińskiego, mężowie czuwający nad dobrem kraju, i podniesieniu literatury ojczystej zapragnęli organu naukowego. Pozostało grono, chociaż szuple z doby *Wielkiego Sejmu*, szersze daleko koło z okresu Księztwa Warszawskiego, biorące udział przeważny w sprawie organizacyi tej części dawniej Rzeczypospolitej. Wszyscy razem oddychali jedną myślą, wszystkich ogrzewało jedno gorące uczucie, gotowości do ofiary i poświęcenia swęj pracy dla ogólnego dobra.

W takim usposobieniu Józef Zawadzki typograf uniwersytetu Wiedeńskiego i księgarz Warszawski będąc latem 1814 r. w Warszawie, słyssał w ich poważnem gronie, ogólne życzenie, ażeby mogło powstać w Królestwie nowém, pismo peryodyczne naukowe. Zachęty były ze wszystkich stron, w szczególe zaś od Aleksandra hr. Chodkiewicza, który przyszedł dostarczenia potrzebnych rękopismów. W skutek tego Zawadzki pod datą 5 września 1814 r. wydrukował odezwę: „Do miłośników krajowej literatury, w Warszawie przebywających.”

Mniej na czele położywszy nacisk o potrzebie pisma peryodycznego w Warszawie, zażądał, ażeby jak wyraził: „z talentów i uczonej swęj pracy, na raz jeden raczyli zrobić ofiarę, i dać rękopismów *gratis* stosownych dla pisma, każdy na dwa arkusze druku. Prace te mają być dostawione na dzień 1 listopada tegoż roku, prosząc zarazem, o rękopisma czysto i wyraźnie napisane.”

W dalszym ciągu pozostawił do wyboru tytuł sam: odnowiony *Pamiętnik Warszawski*, albo *Pandora*, *pismo peryodyczne*, albo wreszcie *Miesięcznik Warszawski*.

Każdy z literatów aprobujący ten projekt, na jednym egzemplarzu raczy napisać: „Przyrzekam i na to się podpisuję.” Wydawca tym sposobem otrzymał bezpłatnie zasobu na kilkadziesiąt arkuszy druku, skromnie się wyrażając o honorarium literackiem.

Sam wziął na siebie koszta druku i papieru, i przyrzekł, że od 1 stycznia 1815 r. już pismo naukowe wychodzić zacznie w Warszawie, zeszytami miesięcznemi po pięć arkuszy druku. Roczna prenumerata oznaczoną została złp. 40, licząc XII zeszytów, a trzy tomy rocznie. Iz tak wydrukowanym programmatem udał się do znanych pisarzy i do

razu pozyskał przyrzeczenia rękopismów *gratis*, od Potockiego hr. Stanisława senatora wojewody dyrektora edukacji publicznej; Prażmowskiego Adama prałata katedry warszawskiej i członka dyrekcyi edukacyjnej; Osińskiego Ludwika słynnego tłumacza Kornela, pisarza przy sądzie kassacyjnym; Niemcewicza J. Ursyna sekretarza senatu; Molskiego Marcina pułkownika, popularnego wierszopisarza; Chodkiewicza hr. Aleksandra pułkownika; Lipińskiego Józefa członka dyrekcyi edukacyjnej; Kruszyńskiego Jana sekretarza generalnego w ministerstwie skarbu; Bandtkiego Jana Wincentego profesora w szkole prawa i notaryusza Księstwa Warszawskiego; Surowieckiego Wawrzyńca autora dzieł ważnych: *O upadku miast w Polsce* i *O rzekach i splawach*, w Księstwie Warszawskim; Szaniawskiego Józefa Kalasantego filozofa, i b. prokuratora królewskiego przy sądzie kassacyjnym; Szweykowskiego Wojciecha kanonika katedralnego płockiego, profesora wymowy w Liceum Warszawskim (późniejszego zacnego rektora uniwersytetu Warszawskiego); Szaniawskiego Ksawerego kanonika katedralnego warszawskiego i profesora w szkole prawa; Woronicza Jana Pawła prałata katedry warszawskiej, radcy stanu.

J. Zawadzki zebrał dorazu czterestu, którzy przyrzekli mu swą pomoc. W ich ślady idąc powiększył to grono orszak młodszej generacyi w liczbie siedmiustu: tak, że wydawca miał zapewnione poparcie od trzydziestu jeden osób.

Pomiędzy temi, którzy w drugim rzędzie stanęli, byli: Górecki Antoni, Brodziński Kazimierz, Kantorbery Tymowski, poeci, a historycy Joachim Lelewel i Majewski Walenty Skorochód notaryusz Księstwa. Nie odmówił też swój pomocy Stanisław Węgrzecki zasłużony pisarz z czasów Księstwa Warszawskiego i prezydent miasta Warszawy późniejszy, kilkakrotnie wybierany na tę godność.

Zawadzki mając już zapewnione grono poważnych pracowników zaczął się troszczyć o wybór redaktora głównego, któryby tém wydawnictwem kierował. Szczęśliwie zwrócił uwagę na Feliksa Bentkowskiego, profesora Liceum Warszawskiego i autora przed rokiem wydanego wielce szanownego dzieła p. n. *Historja literatury polskiej w spisie dzieł drukowanych wystawiona*, w dwu dużych tomach. (Warszawa 1814 r.).

Bentkowski przyjął chętnie obowiązki redaktora, którym mógł godnie odpowiedzieć. Nakładca ofiarował mu rocznie za pracę redakcyjną, przeglądanie rękopismów, ich poprawę i dobór, oraz korekty, rocznie dukatów sto, z warunkiem nadto, że się postara o rękopisma *gratisowe* dla zapełnienia XII zeszytów.

Przyjął i ten ostatni, chociaż najtwardszy warunek Bentkowski, licząc na gotową ofiarność literatów polskich, z których żaden wówczas nie zamarzył nawet, ażeby z pióra swego mógł jakikolwiek zarobek osiągnąć. Znał on dobrze swą społeczność, i w zaufaniu swém zawodu nie znalazł.

Zaledwie ogłosił prospekt na *Pamiętnik Warszawski*, stanęli przy jego boku do pomocy: Kazimierz Brodziński, Antoni Górecki, Kantorbery Tymowski. Pierwszy, profesor języka polskiego i literatury w szkołach księży Pijarów, dał się poznać z poetycznego talentu i wykładów swoich. Górecki Litwin, zaciągnąwszy się do armii Księstwa Warszawskiego, z nudów zaczął pisać poezye. Kiedy Napoleon I-szy utworzył Księstwo Warszawskie, wyszukiwał pozycyi strategicznych dla wzniesienia silnej fortecy, któraby mogła dlań stanowić zabezpieczoną miejscowość na skład amunicyi, żywności, przyborów wojskowych, a niepotrzebowała licznej załogi: Serock, przy ujściu Buga do Narwi, ze wzgórzami swemi, wybranym przez niego najprzód został na taką fortecę; wydał téż rozkazy, ażeby roboty ziemne bezwzględnie rozpocząć.

Stało się woli jego zadosyć; ale gdy wkrótce ujrzał pozycyę Modlina pod Zakroczymiem, przy ujściu Narwi do Wisły, polecił zarzucić Serock, a całe siły tu zwrócić, aby co rychléj Modlin został ufortyfikowany. Do robót ziemnych, kopania fos, a sypania wałów, przeznaczoną została kompania piechoty, w której był porucznikiem, Górecki.

Mając dozór nad swoimi grenadyerami, ażeby robota szła zwa-wo, całą wiosnę i lato, aż do mrozów i śniegu, spełniał te obowiązki. Nudniejszego życia nigdy niemiał, szczególniej w gorące lato: to téż gdy mógł dopaść cienistego chłodu, z roskoszą w nim zasiadał, brał okówek i na kartkach pugilaresu zaczął pisać wierszyki pod chwilą natchnienia. Były to bajeczki, pełne myśli nowych jak i zwrotów, albo téż wiersze liryczne lub wywołane okolicznością. Każdy z tych pierwiastków odznaczał się prześlicznym językiem i wykwiintną formą artystyczną. Koledzy nieraz schwytawszy na gorącym uczynku z okówkiem w rękę Góreckiego, zmusili go że im odczytywał co napisał, a radość i uniesienie ich nie miało granic.

Ze wzgórz piaszczystych Modlina, wprędce sława młodego oficera, a znakomitego poety doleciała do Warszawy; nie dziw więc, że Bentkowski postarał się o pomoc dla *Pamiętnika*, już wówczas kapitana Góreckiego, i w drugim zeszytcie I tomu *Pamiętnika Warszawskiego*, pierwszą bajkę jego wydrukował p. n. *Miejska Wrona*.

Raz miejska wrona wpadłszy między wiejskie ptaki,
By dać poznać słuchaczom, godności jest jakiej,
Poczęła rozpowiadać, jak ona w Warszawie,
Po wszystkich pierwszych domach codzień lata prawie;
Jak po Saskim ogrodzie przechadzki używa,
Jak często pod zamkowym dachem przesiadywa:
Jak nieraz w Willanowie.... Wtém kruk co tam siedział,
Znudzony jój rozmową, tak do niój powiedział:
„Przestań! jakżeś z pochwały swemi naprzykrzona!
Cóż ztąd że wszędzie bywasz? kiedyś zawsze wrona!

Górecki lubił czasem docinki: tak gdy raz podporucznik młody robił mu uwagi, nad sypanemi wałami przez jego grenadyerów, a on widział w tych zarzutach dzieciństwo, zaimprovizował zaraz bajeczkę:

„Co ty mnie gniewiesz daremnie!
 Nie będzie tak kurczę ze mnie;”
 Wołało jajko pod kurą,
 A ta mu rzekła ponuro:
 „Milcz! jeszcze tego nie było,
 By jajko kurę uczyło!”

Młody podporucznik, jakkolwiek otrzymał gorzką naukę, roześmiał się wesoło z bajeczki, a jój autora serdecznie uściskał.

Kantorbery Tymowski, również żołnierz z armii Księstwa Warszawskiego, bił się w Hiszpanii, a po odbyciu kampanii 1812 r. do Moskwy, za powrotem do kraju, mianowany referendarzem stanu, stale zamieszkał w Warszawie. Lubo pisał poezye niepośledniej wartości i tłómaczył ody Horacego, ale nic nie drukował i dopiero poraz pierwszy w *Pamiętniku* Bentkowskiego wystąpił z przepysznym wierszem p. n.: *Dumania żołnierza polskiego w starożytnym zamku Maurów nad Tagiem*; napisane w r. 1810, które wywołało powszechny zapamiętanie i oklask.

Stanisław hr. Potocki, mając wiele prac przygotowanych, wspierał dzielnie usiłowania Bentkowskiego: liczył on téż na pomoc innych uczonych, zasiadających w gronie Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, oczekując z upragnieniem otwarcia już zapowiadanego uniwersytetu Warszawskiego, spodziewając się, że po jego zorganizowaniu i obsadzeniu katedr, nowe siły *Pamiętnikowi* przybędą. Te nadzieje sprawdziły się rzeczywiście.

Bentkowski napisał *Przedmowę* do *Pamiętnika* i położył na nią datę 23 grudnia 1814 r., a zeszyt pierwszy ukazał się już 1 stycznia 1815 r. Pismo więc to z ostatniem tchnieniem słabego Księstwa Warszawskiego, a pierwszym oddechem Królestwa kongresowego powstało i rozpoczęło swe życie.

Pierwszy zeszyt dobrze się przedstawiał czytelnikom i zwolennikom literatury ojczystej, tak doborem artykułów jak i ich opracowaniem. Na czele redaktor położył rozprawę p. n. *Z filozofii: O przyczynach wielu uprzedzeń i sarkau przeciwko prawnictwu*. Drugim artykułem była: *Wiadomość historyczna o życiu s. p. księcia Józefa Poniatowskiego, naczelnego wodza wojska polskiego, ministra wojny Księstwa Warszawskiego, marszałka państwa Francuzkiego, przez Józefa Lipińskiego*.

Wiadomość ta, o życiu ulubionego bohatera, którego zwłoki Warszawa rok przedtém gorącemi łzami oblała, żywe obudziła zajęcie; wrywano sobie z ręki do ręki ten zeszyt *Pamiętnika*, tém bardziej, że w nim, obok tego, znajdowano owo *Dumanie* K. Tymowskiego, które przepisywano na gwałt i uczono się na pamięć.

Przypomnijmy chociaż początek tego wiersza, jedrnyim językiem skreślonego.

„Umilkły bębny, gasną tlejące ogniska,
 Księżyc z srebrnego wozu blady promień ciaska;

Drżą w bystrych nurtach Tagu niebotyczne bramy
 Zamku, gdzie panowały kiedyś *Abderamy* ¹⁾.
 Wiatr uparto bałwany roztrąca o wieże,
 Których spiż polskiej broni, a odwaga strzeże.
 Stokroć odgłos: „Kto idzie?” wiekami nieznanym,
 Obija się o czarne sklepienia i ściany.
 Bezpieczni tarczą hasła: *zginę lub zwyciężę!*
 Oparci na żelazie spoczywają męże;
 Noc, spokojułość rozlewa na całą naturę,
 Mnie tylko sen przerywa wspomnienie ponure!”

Bo przyszła mu na myśl ojczyzna ziemia, od której tak daleko się oddalił i musi walczyć przeciw swobodzie hiszpańskiego ludu. Wspomina walecznych towarzyszy broni, którzy w krawych walkach tu zginęli. Wspomina obok walecznego pułkownika Sobolewskiego, prostego żołnierza Suryna; obaj polegli, pokazawszy nadzwyczajne męstwo. Nie zapomina o zdobyciu sławnych wąwazów Somo-Sierra, przez szwoleżerów polskich, pod dowództwem Koziatulskiego.

Zakończa *Dumanie* wyrażeniem gorącego pragnienia swego w klasycznej formie:

„Marsie! coś z walki w walkę wiodąc krok mój śmiały,
 W utrudach dla ojczyzny, szukać kazał chwały
 I stawil w rotach mężów na Ibru podbicie,
 Nie oszczędzaj krwi mojej, lecz ochraniaj życie!...
 Pozwól jeszcze widoku ulubionych brzegów,
 Szczęściem mojem śmierć będzie, wśród bratnich szeregów!
 Głowę moję na roli ojczystej położę,
 - A dłoń Wandy zaszczepli na mym grobie różę!”

Wcześni poeta-żołnierz doczekał się spełnienia swych życzeń; wrócił do kraju, ale w 21 lat później, opuściwszy go, na obcej ziemi, 1854 r., w Bordeaux znalazł mogiłę dla swoich kości strudzonych.

Tymowski niezawsze swą lutnią nastrojał na taki ton poważny i rzewny, nieraz lubiał przygrywki i humorystyczne, jak np. w *téj Odzie do brzucha*, którą czytamy w III tomie *Pamiętnika*.

„Sprężyno życia, wielowładny brzuchu,
 Co ziemię całą utrzymujesz w ruchu;
 Także, któremu hołdują i trony:
 Brzmią moje stróny.
 Skroń się odchmurza Olimpijskiego pana,
 Gdy piękna Hebe, ugiąwszy kolana,
 Boską prawicą leje ci nektary
 Z Wulkana czary!
 W obliczu twojem równemi są ludzie:
 Ubogi wieśniak w pochylonej budzie,

¹⁾ Nazwisko kilku kalifów, którzy panowali w Hiszpanii.

Mocarz, przed którym sto narodów klęka,
Ciebie się lęka!

Na twe rozkazy uniża się pycha,
Tyś jednym z celów dobrego jest mnicha;
Nieraz on wspomni, nawet przy ołtarzu
O refektarzu.

Ojczy przemysł! ojczy twórczój pracy!
Daromnie z tobą walczyć chcą próżniacy;
Leniwa ręka, skoro głód dokuczy
Robić się uczy.

Kiedy poecie żołądek się zcieśni,
Stygnie w nim zapał, przerywa swe pieśni
I z uniesieniem za kawał pieczeni
Dramę zamieni.

Ciąglém o tobie staraniem zajęty,
Poci się rolnik, pracuje z bydłętą;
Tobie wybite silnym cepem ziarna,
Trą ostre żarna.

Z twego natchnienia młoty iskry sypią,
Chrupią nożyce i podeszwy skrzypią;
Warczy kołowrót, sprzeczne śruby piszcza
I heble świszczą.

Wiatrak się kręci, prędkie szumią młyny,
Wrą kotły, płoną rozległe kominy;
Goreją piece, kołacz się rumieni,
Garnek szepleni.

Wśród zgiełku miasta i w ustroniu wioski,
Kiedy ty łakniesz, głucho rządzą troski;
Gdyś syt: swoboda i wesołość pusta
Otwiera usta.

Tobiem poświęcił język mój i zęby,
Służyć ci mojej rozkoszy jest gęby;
Miło jój, czyli parzy się, czy dmucha,
Byle dla brzucha!"

Syn poważnego kupca warszawskiego, mieszkającego w Bramie Krakowskiej, w tych czasach, Józef Dyonizy Minasowicz, studyjąc naukę prawa w uniwersytetach niemieckich, pierwszy zapoznał nas z utworami poetycznymi Szyllera i przez to rozszerzył sferę naszej wiedzy, że nietylko w literaturze francuzkiej znajdują się piękności, są one może wyższe i w innych. Po nim Kazimierz Brodziński zabrał się także do przekładów Szyllera. Minasowicz w r. 1816 dał się poznać świetnie z talentu, następnym wierszem oryginalnym p. n.: *Człowiek*, który wszystkich znawców zwrócił wówczas uwagę,

„Nieścisły czas sprężyny ujarzmił słabemi,
W krótkich znakach, na martwym głos kreślić papierze;

Drogi blask koron z łona twardój krzesać ziemi,
 Na piędzi płótna, życie naturze dać świeże:
 Ziejące śmiercią w spiżu zawrzęd błyskawice,
 Dźwięk wabiący, w uczonym znaleźć strun przycisku!
 Postrach ludzkiej natury, srogie kielznać lwice,
 Żar słoneczny w krągłego szkła więzić ognisku.
 Cienką rozbrajać igłą niebios zgubne groty,
 Krążyć w z nikomėj kuli, pod niebem dalekiem;
 Dzikie korzyć balwany, liczyć gwiazd obroty:
 Jestto być częstką Twóroy, jestto być człowiekiem!

Ale zdradzać niewinność zjadliwą słodyczą,
 Deptać ubogą cnotę, zbrodnię wieńczyć możną;
 Tracić żonę i dzieci na kartę zwodniczą,
 Palić stopy niewinnych z wściekłością pobożną,
 Zmysły topić i rozum w powolnej truciznie,
 Mrzeć głód na worach złota, które zbytki strwonią;
 Dla podłych zysków, własnej być wrogiem ojczyźnie,
 Rwać krótki życia wątek świętokradzką dłonią!
 Wdzierać się w dzieje świata, przez mordy, pożogi,
 Zabijać się o fryny, co twe łoża splamią,
 W niedołącznych szemraniach wieczne sądzić bogi,
 Lub belkotać przysięgi, co na ustach klamią!
 Grzeszyć z młodemi laty, gnuśnić z późnym wiekiem:
 Oto są dzieła twoje, oo się zwiesz człowiekiem!
 Ty! coś zwalczył żywioły, zmierzyłeś świat cały,
 Gdy tak wielkim być możesz! czemużes tak mały?"

Wiersz ten czytano z zajęciem, uczono się go na pamięć, tysiące rąk go przepisywało. Był on zapowiedzią wzorowego tłumacza „Precycozy” dramatu muzycznego, który zachwycał naszą publiczność ze sceny teatru narodowego; pierwszy raz bowiem, po większych przekładach tragedyi Kornela, obił się o uszy słuchaczy wiersz poety, mistrzowską mową ojczyzną oddany, w którym jędrność języka XVI wieku umiał z powabem i melodyą wymaganą, później powabnie połączyć.

Resztę tego zeszytu pierwszego *Pamiętnika Warszawskiego* wypełniły prawie same tłumaczenia, jak: z dzieła pani Stáel-Holstein, wprawdzie głośnego w owe czasy, ustęp: *O obyczajach i charakterze Niemców*: z poematu Jakóba Delilla, w modzie będącego poety: *O imaginacyi*, pieśń piąta, w przekładzie Tadeusza Matuszewicza. Recenzya dzieła J. W. Bandtkiego: *O potrzebie nauki prawa*. Aleksandra hr. Chodkiewicza z chemii: *O nowój istocie, odkrytėj w roślinie zwanėj wareck*, a wiadomo, że dostojny autor z zapałem oddawał się chemii i tój nauce, nietylko najpiękniejsze lata poświęcał, ale i część znaczną majątku: terminologii zaś, w tój nauce, oddał znakomite usługi. Zamyka ten zeszyt powiastka, na dwóch kartach, pod napisem: *Spis Przyjaciół*.

Rzecz godna uwagi, że powieść w *Pamiętniku* żadnej roli nie gra. W ciągu lat 7, istnienia tego pisma, znajdujemy 10 powiastek króciutkich, więcej mających na celu myśl moralną i zdrową, niż dramat, lub romans, a żadna z nich nie przeciąga się na dwa zeszyty, bo obejmuje od 2 do 8 lub 12 kartek.

Pamiętnik Warszawski dobrze się zaleciwszy, szczupłemu kółku czytelników polskich książek, rozwijał się dosyć szczęśliwie; współpracowników ciągle przybywało: na stałego współredaktora Bentkowski przyzwał Kazimierza Brodzińskiego, który najpiękniejsze utwory poetyczne w nim umieszczał. Tu poraz pierwszy ukazała się jego sielanka krakowska: *Wielstaw*, oraz doborowe przekłady z Szyllera; później dopiero drukował w *Pamiętniku* głośnie swoje rozprawy estetyczne: *O klasycyzności i romantyczności*, jakby zapowiedź, zbliżającego się króla poetów polskich, Adama Mickiewicza.

Dział poezji poczesne zajmuje w tym organie miejsce i warto zapisać więcej oryginalnych utworów, niż przekładów.

W rzędzie popierających ten dział w *Pamiętniku Warszawskim*, stoi na wydatniejszym miejscu J. Dyonizy Minasowicz. Woronicz pojawia się poraz pierwszy, jako wzniosły narodowy wieszcz, dając ułomek z poematu swego: *Sejm Wiślicki*, albowiem głośny poemat *Sybilli* w cztery lata dopiero, przyjaciel mu wykradł z teki i wydrukował oddzielnie.

Występuje tu Bruno hr. Kiciński z wyjątkami z *Przemian Owidiusza*; Fryderyk hr. Skarbek, który wkrótce, z podziwieniem wielu z arystokracji, objął katedrę ekonomii politycznej w uniwersytecie Warszawskim, a teść jego dumny szlachcic, namawiał z tego powodu córkę, ażeby się z nim rozwiodła, gdyż podług jego wyobrażenia, zhańbił herb swój szlachecki i mitrę hrabiowską, robiąc się *bakalarzem*. Córka, rozsądna niewiasta, głuchą była na te namowy ojcowe. Skarbek, powtarzamy, dał tu satyrę wierszem p. n.: *Konkurent*. Koźmian, Rajmund Korsak, Józef Lipiński (tłómacz Tassa *Jerozolimy Wyzwolonej*), Jan Gorczyzewski, Franciszek Morawski, Ludwik Kropiński, Jan hr. Mieroszewski, Władysław hr. Ostrowski, słowem, wszyscy głośniejsi poeci tamtego okresu, zasilali *Pamiętnik*: już oryginalnemi pracami, już tłumaczeniami. *Walter-Skottu* przekładał K. Brodziński, *Odysseę* Homera Fr. Dmochowski (tłómacz *Iliady*), *Ossyana* Władysław hr. Ostrowski i K. Brodziński. Walenty Skorochód Majewski zapoznał nas z „Rękopismem królowy węgierskiej”, dając prozą przekłady z niego, starożytnych pieśni czeskich: *Zaboj*, *Sławoj* i *Ludiek* (tom XVII), które później, w lat trzydzieści zgórą, po mistrzowsku przełożył wierszem Lucyan Siemieński.

Jakkolwiek Ludwik Kamiński dawał tłumaczenia z angielskiego, przez cały ciąg istnienia *Pamiętniku*, nie znajdujemy, tylko jeden przekład wiersza z Byrona: *Rozstanie się z żoną*, chociaż już używał poeta Albionu wielkiej sławy w Europie. Znać pod tę dobę niemiał jeszcze wielbiciele w gronie naszych poetów, kiedy niedotknięto więk-

szych jego poematów, gdy tłómaczono Ossyana i Walter-Skotta. Dodajmy do tego, że raz przytoczono jedynie (w t. XIX *Pam. Warsz.*) zdanie Francuzów o Lordzie Byronie i jego poezjach, bo nikt się w kraju nie znalazł, któryby umiał samodzielnie ocenić wielkiego poe-
tę angielskiego.

Historja Polska najświetniej się przedstawia w *Pamiętniku Warszawskim*. Bogate materyały dostarczał, z biblioteki zasobnej Willanowskiej, jój bibliotekarz Hipolit Kownacki i pierwszy opracował obszerną monografię: *Dzieje w Księstwie Mazowieckiem*, które się ciągnęły w 4 zeszytach *Pamiętnika*, a w dwóch tomach XVI i XVII. Tomasz Święcki, który już miał przygotowany *Opis Starożytnej Polski*, w rok później wydany; dał do tomu I *Pamiętnika: Opis Podlasia*. Książd Ks. Szaniawski drukował zajmujący ustęp, z księgi oryginalnej wzięty, a pisanęj w Babinie z biblioteki puławskiej: *O Rzeczypospolitej Babińskiej*, który odczytywano z równem zajęciem, jak *Dzieje Mazowsza* H. Kownackiego. Joachim Lelewel wsparł *Pamiętnik: Dziejami panowania Stanisława Augusta* i rozbiorami dzieł historycznych.

Ze wszystkich jednakże prac, w tym dziale pomieszczonych, najwięcej ogół zajęło: *Oblężenie i obrona Saragossy 1808 i 1809 r. podług dzieł pp. Rogniarda i Cavalleros, ze względem szczególnym na czynności korpusu polskiego*, przez Józefa Mrozińskiego, pułkownika. Przypomnieć tu muszę zajmujący szczegół. Mroziński, urodzony w Galicyi i wychowany w szkołach austriackich, nie posiadał dobrze ojczystego języka. Od r. 1807 wszedłszy do armii Księstwa Warszawskiego, w przemarszach po Europie niemiał czasu i sposobności wyuczyć się go lepij. Gdy przyniósł pracę swoją Bentkowskiemu, ten, po odczytaniu, zwrócił autorowi rękopism, dla niegodziwego języka, a chwalać przedmiot, poradził mu, ażeby popracował nad ojczytą mową i napisaną po polsku tę monografię przyniósł, a on, jako rzecz dobrą i zajmującą, chętnie wydrukuje.

Mroziński usłuchał dobrej rady: zaczął się uczyć pilnie, poprawił pracę tamtę i po trzech latach mozolnych studyów, ogłosił drukiem: *Pierwsze zasady gramatyki języka polskiego* (Warszawa, 1822 r.). Dzieło to postawiło go w rzędzie pierwszych gramatyków polskich. Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk mianowało autora członkiem swoim. Krytyka ówczesnie błędnie osądziła głębokie pomysły Mrozińskiego, który w dziełku: *Odpowiedź na recenzje* (1824 r.) wiele ważnych pytań, należących do filozofii gramatyki polskiej, rozstrzygnął, a krytykom zarazem dał tak stanowczą odprawę, że więcej głosu podnieść nie śmieli. Odtąd poczęto układać gramatykę języka polskiego na zasadach Mrozińskiego. Gdy Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk wyznaczyło z grona swego deputacją, dla ustalenia pisowni polskiej, Mroziński z całą usilnością w niej pracował. Pomnikiem prac deputacyi zostało dzieło p. n.: *Rozprawy i wnioski ortografii polskiej* (Warszawa, 1830 r.), w którym są zamieszczone i jego rozprawy.

Mroziński poprawiwszy *Oblężenie Saragossy*, przepisał na czysto, które bezwzględnie w tomie VIII Bentkowski wydrukował (1819 r.).

Zaledwie zeszyt się ukazał, w którym był początek tego oblężenia, cała inteligencja miejska niesłychanie się tém zajęła.

— Czytałeś oblężenie Saragossy? czytajże, to się zachwycisz!

Takie głosy brzmiały po mieście przez kilka miesięcy, dopóki druk się téj monografii nie ukończył i później jeszcze dobijano się o te zeszyty.

Rzeczywiście, opis jest malowniczy, a nieraz porywający. Poprzestaną tu na jednym tylko ustępie, gdy po krwawych walkach i szturmach postanowiono wziąć na przebój ulicę Cosso, w środku Saragossy będącą. Owoż, jak tę walkę opisuje Mroziński.

„Nakoniec pułk pierwszy polski i batalion 70, czyli raczej ich oddziały dostały się na Cosso, ulicę bardzo szeroką, ogromnemi domami zabudowaną, do której ulice od bramy Engracia i od mostu prostopadle wychodzą. Wszystkie wychody na Cosso, miały przerwy i tamy, w większej części działami uzbrojone. Bateria, wysypana w środku Cosso, miała kierunek przeciw ulicy Engracia, którą kolumna zwycięzka nadszła. Na wychód téj ulicy patrzali Hiszpanie z kilkuset okien obszernego Cosso, z bronią na przykładzie. Polacy rzucili się na baterię i odegnali od niej nieprzyjaciela, lecz Hiszpanie ze wszystkich stron niszczyli garstkę tych mężnych. Ranni kapitanowie: Godlewski, Egersdorf; porucznicy: Borowski, Chajęcki, Narwoy; podporucznik: Borakowski Fabian.

Pułkownik Henriot z pułkiem 16, który za 1-szym polskim, już zajęta (oprócz wieży ś. Franciszka) ulicę Santa Engracia, postępował, pokazał się wtenczas w kolumnie w całej sile na ulicy Cosso. Zjawienie się téj masy, zdawało zatrząść nieco obrońców. Kiedy wtém wyszedł naprzeciw nich ksiądz z krzyżem w ręku, wznoszonym ku niebu i wśród głośno wymawianej modlitwy, prowadzący przy sobie panienkę, ledwo 12 lat mającą, ubraną podług wizerunku *Virgen del Pilar*. Wśród ognia i mordów, widok ten dziecka i kapłana modlącego się, zajął wszystkich; cichość wstąpiła na chwilę. Żołnierze z zadziwieniem poglądali na to zjawisko, lecz nakoniec zniecierpliwieni dali ognia do kapłana; ten spokojnie i bez szwanku ustąpił z Cosso, a wtym momencie ze wszystkich dachów, okien i piwnic grad kul sypanął się wśród okropnego ognia i nowy ten atak bezskutecznym uczynił.

Pułkownik Chłopicki zebrał jednak jeszcze ludzi pierwszego pułku i koniecznie z niemi na drugą stronę ulicy Cosso przejść postanowił. Jakoż, lubo nieliczny już wtenczas był ten oddział, przeszedł jednak nakoniec, tę tak trudną do przebycia ulicę, opanował uliczkę Arco de Cineja, przeciwległą ulicy Engracia, zdobył kilka w niej domów; lecz, będąc rannym, zaledwie z téj uliczki przez żołnierzy wyniesionym został, a pułkownik Fondzielski z trudnością uprowadził resztę oddziału.”

Scen podobnie zajmujących, nie braknie w opisie Mrozińskiego, a tak żywe opowiadanie musiało zachwycać współczesnych, gdzie, wśród walczących znajdowali imiona swoich ojców, synów, mężów, braci i krewnych, którzy brali przeważny udział w tej *walce na noże*, jak się wyraził dowódzca Saragossy.

Obfitość historycznego materiału, z jakim poraz pierwszy zapoznaliśmy się z *Pamiętnika Warszawskiego*, nadawała mu znaczenie i powagę, a dla młodych badaczy dziejów, otwierała się bogata skarbnica wiedzy. Nietylko z biblioteki Willanowskiej i Puławskiej nowe zdobywaliśmy wiadomości, ale znajdowaliśmy i z dalekich archiwów wydobyte, jak: *List Jana Długosza do Zbigniewa Oleśnickiego*, zaświadczenie z r. 1469, iż Mikołaj Kopernik, obywatel toruński z żoną i dziećmi swojemi przyjęci do uczestnictwa dobrodziejstw duchownych, od prowincyi polskiej zakonu kaznodziejskiego, Kazimierza Jagiellończyka układ w przyjęciu ludzi, w dyalekcie czesko-polskim; wyciągi zajmujące, z rękopismów księdza Stanisława Górskiego i wiele innych.

Adam Czarnocki, pod pseudonimem Zoryana Dołęgi Chodakowskiego, w *Cwiczeniach Naukowych* wystąpił z rozprawą pełną młodzieńczego zapału, p. n.: *O Słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiej*, która wywołała piorunujące wrażenie na młode umysły i stała się powodem, że zaraz znaleźli się ochotnicy do zbierania podań, pieśni i obrzędów ludowych. Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk pobudziło nawet do ogłoszenia konkursu do badań etnograficznych. Praca ta, prozą napisana, czytała się jak poemat: wrywano ją sobie. Dobry znawca w tym przedmiocie Wawrzyniec Surowiecki, pomieścił zdanie swoje o niej, wykazując gruntownie i ze znajomością rzeczy, dodatnie i ujemne strony tej rozprawy. Jeżeli surowym, a sprawiedliwym poglądem ostudził zbyt czyny, młodzieńczy zapał, nie zniechęcał przecież do badań w tym kierunku i utwierdził raczej gotowych ochotników do wędrówki po kraju.

To bogactwo historycznego materiału nadało i nadaje wysoką wartość zbiorowi tego organu w XXI tomach; ztąd i dziś, pomimo przeszło półwiekowego przedziału czasu, pożądanym jest *Pamiętnik Warszawski* dla każdej staranniejszej biblioteki prywatnej.

W pośród klasycznego spokoju i ślepego naśladownictwa francuzczyzny, która, z powodu bliższych stosunków, trzymała przewagę w wychowaniu domowém i w literaturze; w samym *Pamiętniku* dostrzegamy już objawy romantyzmu, lubo nie pod tym tytułem.

Pieśni Ossyana, nie dziwimy się, że znalazły w ogóle przyjęcie, gdyż wiadzano, że utwory kaledońskiego barda są ulubione przez Napoleona. Ale ukazały się przekłady Szyllera: *Pieśni litewskie, serbskie, czeskie* z „Rękopisu królodworskiego;” ukazał się nawet jeden sonet W. Reklewskiego, rzecz niesłychana w literaturze naszej, od czasów Sępa Szarzyńskiego. Romantyczne dramata Grillparzera, Szyllera, poemata Walter-Skotta, jak: poemat „Ostatniego barda w VI pieśniach.

Największy tu udział, w tych nowościach, bierze Kazimierz Brodziński, który je tłómaczy, a Bentkowski drukuje.

W *Pamiętniku Warszawskim* pojawiają się dwa imiona, zwłaszcza największych geniuszów polskich w muzyce i poezyi: Fryderyka Szopena i Adama Mickiewicza. O pierwszym wyczytujemy w r. 1818 (tom X), następną wiadomość. „Lubo kompozytorów muzyki nie liczymy do pisarzy literackich (niemniej jednak są i ci autorami), przemilczć jednakże przed publicznością niemożemy, kompozycyi następującej, przez przyjacielskie ręce sztychem upowszechnionój: *Polonaise pour Piano-forte, dedie a son Excellence Mle. la Comtesse Victoire Starbek par Friderio Chopin age de 8 ans*. Kompozytor tego tańca polskiego, młodzieniec ośm dopiero lat skończonych mający, jest synem Mikołaja Chopin profesora języka i literatury francuzkiej w *Liceum Warszawskim*, prawdziwy geniusz muzyczny; nie tylko bowiem z łatwością największą i smakiem nadzwyczajnym, wygrywa sztuki najtrudniejsze na fortepianie, ale nadto jest już kompozytorem kilku tańców i waryacyi, nad którymi znawcy muzyki dziwić się nieprzestają, a nadeszłyżko zważając na wiek dziecinny autora. Gdyby młodzieniec ten urodził się w Niemczech lub we Francyi, ściągnąłby już zapewne uwagę na siebie wszystkich społeczeństw; niechże wzmianka niniejsza służy za skazówkę, że i na naszej ziemi powstają geniusze, tylko że brak głośnych wiadomości ukrywa je przed publicznością.”

Uznanie Fryderyka Szopena za geniusz muzyczny, nie było czczą przechwałką, późniejsze lata uznały tego muzyka w całej Europie za prawdziwy geniusz.

Adam Mickiewicz występuje w *Pamiętniku Warszawskim*, nie jako poeta, ale jako krytyk. W r. 1818 w Berdyczewie wyszła z druku epopeja p. n. *Jagiellonida Dyzmasa Bończy Tomaszewskiego*. Wyjątki z niej autor na rok przedtém pomieścił w *Dzienniku Wileńskim*. Mickiewicz temu utworowi poświęca obszerny rozbiór.

„Nim biegleszy krytyk (mówi na początku) dokładniej oceni piękności i wytknie uchybienia poematu o którym mowa, przedsięwziętem tymczasem, krótkie tak co do rzeczy, jako i co do stylu poczynić nad nim uwagi? Następnie podawszy pogląd swój na całość utworu, przechodzi szczegółowo każdą pieśń” (a jest ich XII).

Wspomina o piękniejszych ustępach jako téż i o ujemnych. Z całą ścisłością klasycznego krytyka, nie przepomina usterków języka, jak i wierszy niegładkich, nieharmonijnych. W ogóle w tym przeglądzie wykazuje Mickiewicz niepospolitą znajomość starożytnych literatur, jak i późniejszych: włoskiej, angielskiej, francuzkiej.

Tomaszewski urodził się w okresie Sasów, wychowany w szkołach Jezuickich, niemałych zdolności, pracował w kancelaryi króla Stanisława Augusta, zkąd idąc za popędem wrodzonym przystąpił do konfederacyi Barskiej, i mianowany w jój wojsku rotmistrzem, raniony pod Landskroną dostał się do niewoli. Za wstawieniem; się króla Stanisława Augusta z niej uwolniony, wrócił do poprzednich obowią-

ków przy jego boku. Otrzymane ze spadku po ojcu pieniądze, pożyczką Szczęsnemu Potockiemu, wziął od niego w dzierżawę wieś Popówkę i przeniósł się na stałe mieszkanie do Tulczyna. Stawszy się zażyłym ze Szczęsnym i dzieląc jego przekonania polityczne, chętnie przyjął powołanie na sekretarza konfederacji Targowickiej. Jako autor już drukował swoje utwory w wieku ubiegłym, komedye gładkim wierszem (*Małżeństwo w rozwodzie*, w trzech aktach, 1781 r. *Pierwsza miłość*, w trzech aktach, 1805 r.). Na początku naszego stulecia w Krakowie wydał poemat: *Rolnictwo* (1802 r.), a w r. 1818 *Jagiellonidę czyli połączenie Litwy z Polską*. Poemat ten miał wielkie powodzenie. Drukowano go po dwakroć w Berdyczowie, oraz w Połocku. Drobniejsze jego prace wyszły w dwu tomach w Warszawie p. n. *Pisma wierszem i prozą*, 1822 r. Umarł na Ukrainie r. 1825.

D. B. Tomaszewski w przedmowie daje do zrozumienia, że utwór swój uważa za *poemat rycerski* i pisze dalej, nazywając Jagiellonidę: „za pierwszą na ziemi Polskiej urodzoną dziecinę, która ani z dzieł narodowych, jakiego wzoru, ani z pisarzy krajowych, żadnego nauczyciela niemiała.”

Stusznie więc Mickiewicz mu odpowiada w końcu swęj krytyki: „autor, widocznie Jagiellonidę chciał uważać za *epopeę*; historycznych albowiem poematów w polskim języku, liczne mamy wzory, pod tym względem Jagiellonida, *pierwszą dzieciną* nazywaćby się nie powinna. Dalej czytamy: „W kolebce będąca (dziecina) słabemi się tylko tłómacząc wyrazami, nie jest zdolną rozwinąć swęj myśli, i niemi zachwyć czytelników.”

„Chce więc autor (dodaje Mickiewicz) tym sposobem wymawiać niedokładność dzieła swojego, bardzo, jak się zdaje niestusznie: co do rzeczy albowiem i co do układu, można w niedostatku polskich, z równą korzyścią zagranicznych wzorowych radzić się pisarzy. Co do języka, chyba go autor uważał za niewyrobiony i niezdolny do wydania górnych epopei myśli. Co iż tak nie jest, dowiodły nam, (że nie wspomnę wojny Chocimskiej, która pomimo swoich niedokładności, jest od Jagiellonidy wyższą), piękne tłómaczenia *Jerozolimy wyzwolonej*, *Liady* i poezye Trembeckiego, do których gdyby się autor przybliżył, nadałby daleko wyższą wartość dziełu; dziś jednak jako pamiątka czynów narodu naszego, z przyjemnością od ziomków czytana będzie.”

Zamknięcie w tych słowach krytyki Mickiewicza, daje nam miarę małej wartości Jagiellonidy, gdy wyżej nad nią stawia wojnę Chocimską, jeden z najświetniejszych utworów I. Krasickiego, który jak wiadomo napisał na usilne żądanie króla Stanisława Augusta. Ten bowiem uważał za ubliżenie, że gdy francuzi cieszą się *Henryadą* Woltera, a nasza literatura nic podobnego niema, Krasicki postuszny woli monarchy, przemógł własne natchnienie, i dał podobiznę *Henryady*, równie bładą i słabą.

Autor Jagiellonidy, pisarz kancelaryi królewskiej, konfederat Barski, w końcu Targowiczanin, wielbiony przez współczesnych jako

znakomity poeta; dotknięty żywo krytyką Mickiewicza, chociaż już w latach sędziwych, mieszkając na Ukrainie porwał za pióro, ażeby recenzentowi swemu odpowiedzieć. Że jednak nie uważał za stosowne samemu występować, uprosił jednego z przyjaciół swoich, który zaraz w następnym tomie Pamiętnika Warszawskiego (tom XIV), złożył redaktorowi pomienionego pisma: „Odpowiedź na uwagi nad Jagiellonidą, umieszczoną w pierwszym numerze Pamiętnika Warszawskiego 1819 r.”

Z niej się dowiadujemy, że Tomaszewski używał takiej sławy pod owe czasy, że go zwano *Delilem polskim* i jego poemat dydaktyczny *Rolnictwo*, przełożony na język niemiecki, wydany został w Wiedniu 1802 r.

Bezimienny obrońca, stając po stronie autora Jagiellonidy, odpierając przywiedzione przez Mickiewicza prawidła, jakich się powinna trzymać epopeja i co ją stanowi: osłania się tarczą powagi Woltera, przywołując we wstępie do *Henryady* wyrzeczone przez tegoż słowa: „Osobliwie téż w poezyi, krytycy i rozbieracze napełnili prawidłami całe tomy, nad kilku wierszami, które wyobraźnia poetów igrając z niemi, utworzyła. Są to tyrani, którzy chcieli ujarzmić prawami swemi naród wolny, charakteru jego nieznając. Dlatego téż częstokroć, mniemani ci prawodawcy pomieszali wszystko w tym narodzie, którym zarządzać usiłowali.”

Pomijamy dalszą obronę, co do szczegółów wypadków i postaci wprowadzonych do działania jak i słabych wierszy i ustępów wykazanych przez Mickiewicza, ale przywiedziemy jeszcze zakończenie tej odpowiedzi.

„Że wojna Chocimska Krasickiego jest od Jagiellonidy wyższą, zapewne na to autor się, powodowany zawsze swą skromnością, zgodzi. Nie chciał on iść o spór z tym wielkim naszym poetą: napisał Jagiellonidę nie żeby zostać autorem, ani aby zazdrościł komu nabytej chwale, ale pisał w chwilach wolnych nachylonego wieku, dla swych przyjaciół i ziomków, którzy mieć ją potem wydaną pragnęli. Nie drukował jój w Wilnie ani w Warszawie, dla prędszego się jój rozejścia, ale w ustronném ukraińskiem miasteczku. Doszło jednakże wprędce to dzieło do zbioru sławnych mężów akademii Wileńskiej, uznali go na posiedzeniu swoim dnia 15 października 1818 r., godném swego przeznaczenia i oddawszy autorowi zasłużone pochwały, w liście pisanym do niego przez JW. Malewskiego rektora, mianowali go tegoż uniwersytetu członkiem honorowym, odsyłając mu do jego domu dyploma. Drukował to dzieło własnym kosztem, nie zbierając za nie prenumeraty, i dla tego za zawód wyłudzonych częstokroć na wiarę autora składek, odpowiadać publiczności nie winien. Życzyłbym krajowi, żeby wszyscy literaci, podobnie życie swoje przepędzając, tak go kończyli. Łatwiej jest krytykować i ganić niż pisać: zbyt ostrą krytyką literatura krajowa się nie wzmoże. Komu los nie dał złota lub srebra, choćby się znał doskonale na ich cenie i próbie, ani sam nie będzie bogatym, ani drugich takimi nie uczyni. Potrzebna jest zape-

wne na dzieła wychodzące, na światło publiczne, uczona krytyka, byle była sprawiedliwą: tą smak się kształci; ona geniuszowi narodowemu, często wyższy polot nadaje, lecz choć mała szczypta *grzeczności* do niej przymieszana, nietylko jój nie osłabi, ale ją przyjemniejszą i spodobniejszą do użytkowania z nią uczyni."

Tak pan A. C. kończy swoje *odpowiedź*. Dyplom nadesłany autorowi Jagiellonidy, nie podnosi bynajmniej wartości tego utworu; dostojni profesorowie uniwersytetu pragnęli poetę wynagrodzić za myśl i treść poematu, ale nie za jego wykonanie. Wiodło ich obywatelskie uczucie, a nie zachwyty z samego utworu. Zatrzymaliśmy dłużej uwagę czytelnika nad tym drobnym napozór sporem; ale wedle naszego zdania zajmującym, raz że występuje w nim po raz pierwszy i ostatni w Warszawie Mickiewicz, a powtóre, że daje nam sposobność bliższego poznania pojęć ówczesnych literackich. We trzy lata później Tomaszewski doczekał się wystąpienia Mickiewicza jako genialnego poety, i nim zakończył dni swoje, imię twórcy *Dziadów* i *Grażyny* zabrzmiało już sławą po całej Polsce.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Kronika lwowska.

Książę Leon Sapieha.—Wystawa obrazów.—Trzy wykłady publiczne Wojciecha Dzieduszyckiego: *O enocie i występku*.—Wydawnictwo Biblioteki filozoficznej: Kartezyusza: *Rozprawa o metodzie poszukiwania prawdy w naukach*.—Wydawnictwo księgarni polskiej: *Historja wielkich odkryć geograficznych w XV i XVI wieku*, przez Oskara Peszla.—*Rzecz o pojedynku* przez d-ra Rosenblatta.—*Choroby Galicyi*, serya druga, przez Józefa Rogosza.—*Wrażenia z podróży na Wschód* przez Józefę Treterową.—Eugeniusz Janota.—Hipolit Stopnicki.

Piszę pod wrażeniem smutnej wieści, która obiegła i żalem przejęła kraj cały, pod wrażeniem wiadomości o śmierci księcia Leona Sapiehy, który zmarł w Krasiczynie w siedmdziesiątym piątym roku życia i tam w grobach rodzinnych w zamkowej kaplicy pochowany. Straty takie, jaką kraj poniósł przez ubytek męża takich zasług i zacności obywatelskiej, jak s. p. książę Leon, nie mierzą się chwilowem wrażeniem. Pamięć jego pozostanie zapisaną w dziejach Galicyi, ostatnich lat czterdziestu, w dziejach jój najgłówniejszych instytucji publicznych, których zmarły był po części twórcą, a po większej części osobistym też kierownikiem.

Aby ocenić rozległą działalność ś. p. księcia i jej doniosłe skutki, zwłaszcza w sferze ekonomicznego rozwoju stosunków krajowych, jego prace podjęte w tym kierunku, zasługi jakie położył, stanowisko jakie sobie zdobył w kołach obywatelskich; potrzeba spojrzeć jaką i czém była Galicya przed laty czterdziestu, w chwili, gdy ś. p. książę Leon, przybywszy i stale tutaj zamieszkawszy, jął się pracy publicznej, aby ile siły i okoliczności dozwoliły przyczynić się do podniesienia dobrobytu kraju i otworzyć mu źródła tych zasobów, które kraj wprawdzie posiadał, ale które pozostawały lub całkiem nieznane, lub zaniebane, bo nie było nikogo, coby je umiał należycie wyzyskać lub stworzyć, przyłożywszy umiejętną do tego rękę. Śmiało można powiedzieć, że Galicya nie dalej jak przed laty czterdziestu była jakby zupełną pustką, w której nie było nic zgoła z tego wszystkiego, co daje oświatę i zamożność społeczeństwu, co jest warunkiem postępu i powodzenia. Galicya była z natury krajem rolniczym, i z rolnictwa jedynie ciągnęła swe dochody; ale rolnictwo prowadzone nieumiejętnie, stało na najniższym stopniu, uprawiane wedle zasad zwyczajowych, tradycyjnie z pokolenia w pokolenie przekazywanych, a raczej bez żadnych zasad, bez świadomości jego postępu za granicą, bez znajomości jego właściwych podstaw i środków pomocniczych. Galicya posiadała surowe materyały, ale nie miała fabryk, aby takowe u siebie w domu przerobić i zużytkować; a nie miała i mieć nie mogła fabryk ani przemysłu, bo nie miała ku temu usposobionych ludzi, którzyby je umiejętnie i z zastosowaniem do okoliczności miejscowych prowadzić potrafili, bo nie miała ani jednej szkoły technicznej, przemysłowej lub gospodarskiej; marniały więc zasoby, które dobrze prowadzony przemysł gospodarski, fabryczny i rękodzielniczy mógłby być z korzyścią kraju wyzyskać. Handel wreszcie cały był w ręku obcém, a rozwinąć się nie mógł, bo Galicya nie posiadała dwu głównych rzeczy, bez których obrot handlowy nie może się ożywić jak należy: nie posiadała komunikacji i instytucji kredytowych, tych koniecznych dwu warunków rozkwitu handlu i zamożności krajowej.

Wszystko zatem było do zrobienia. Od lat wielu, pod wpływem rozmaitych składających się na to warunków, pozostawała Galicya jakby w śnie apatycznym, w beczynnym letargu, z którego nie było komu ją wyprowadzić. Potrzeba było na to wyższego energicznego umysłu, bogatego świadomością rzeczy, obdarzonego duchem inicjatywy, będącego w stanie objąć szerokim poglądem położenie kraju, jego potrzeby i zasoby, i zdolnego do wytrwałej i wszechstronnej pracy w obranym kierunku. Takim był właśnie ś. p. Leon Sapieha. Oprócz zdolności osobistych, mianowicie wielkiej bystrości w rzeczach finansowych i ekonomicznych, którą szczególniejszą się odznaczał, przywiózł on z sobą do Galicyi doświadczenie nabyte rozpatrzeniem się w doskonale uorganizowanej wówczas administracji Królestwa Kongresowego, praktyczną znajomość skarbowości, stosunków handlowych, przemysłu w jego rozmaitem rozgałęzieniu, wreszcie rutynę urzędniczą i wytrwa-

łość, znamionującą przez całe życie wszystkie jego czynności. Umiął on gromadzić w około siebie ludzi dobrych chęci i wyższych zdolności. Talent i dobra wola marnowały się przedtém nie mając punktu oparcia, z którego płynęłaby ożywiająca pobudka działań. Tym punktem stał się wnet po przybyciu do Galicyi, książę. Wnet poznał czego krajowi potrzeba, w czém leżą przyczyny wszystkich jego niedostatków i gdzie źródła zaradczych szukać należy. Aby podnieść gospodarstwo rolnicze staroświeckim sposobem prowadzone, podczas gdy wszędzie za granicą rozwijało się torem umiejętnego postępu, książę zawiązał w roku 1840 *Towarzystwo gospodarskie*, które pierwotnie przez wiele lat pod jego rozwijało się kierunkiem. Za jego pobudką, a powiększając części i za jego pieniądze, gdyż on był jednym z głównych akcyonaryuszów, zakupiło Towarzystwo położony pod Lwowem majątek Dublany i założyło tamże *Szkołę rolniczą*, która obecnie wraz z całym gospodarstwem przeszła na własność kraju, pod opiekę sejmu i władz autonomicznych. Szkoła ta wydała już całe pokolenie umiejętnie wykształconych rolników i gospodarzy, i od jój założenia datuje się wzrost umiejętnego gospodarstwa w Galicyi. Przemysł i handel nie mógł się podnieść, bo potęgą spółek i stowarzyszeń była tu podówczas wcale nieznaną. Jeżeli ktoś sam własnymi siłami założył jaką fabrykę, miała ona już w swém założeniu zaród upadku i zazwyczaj też upadała po kilku latach, najprzód dla braku umiejętnego, stosunkom miejscowym odpowiedniego prowadzenia, bo kraj nie mający przysposobionych do tego krajowców, musiał się posługiwać sprowadzonymi z zagranicy ludźmi, nie znającymi zasobów ni potrzeb kraju; powtóre zaś dla tego, iż ciężar tych przedsięwzięć przechodził pojedyncze siły tych, co się na nie kasali. Tak upadła po niedługim byciu na wielki rozmiar założona fabryka maszyn rolniczych hr. Uruskiego w Biłce pode Lwowem i ogromna pierwsza w Galicyi cukrownia hr. Henryka Dzieduszyckiego w Tłumaczu. Książę Sapieha usiłował wprowadzić przemysł i handel krajowy na drogę właściwą, przez zawiązywanie spółek w rozmaitym kierunku gospodarskim i handlowym. I tak: zawiązał był spółkę wywozu zboża za granicę, przez co zamierzał wyrwać handel zbożowy z ręki cudzoziemskich kupców, którzy korzystając z nieporadności gospodarzy galicyjskich, opanowali go byli ze wszystkiém. Równocześnie wyjednał u rządu pozwolenie na założenie pierwszej w Galicyi instytucyi kredytowej hipotecznej, *Towarzystwa Kredytowego*, i sam zajął się jego organizacją, pracując jako prezes Towarzystwa przez lat wiele, około doprowadzenia go do tego świetnego stanu, w jakim się obecnie znajduje. Miał tu książę najobszerniejsze pole rozwinięcia swych zdolności finansowych i swego w tym zawodzie doświadczenia. Jakoż Towarzystwo Kredytowe rozwinęło się bardzo świetnie i jest dzisiaj pomiędzy instytucjami publicznymi w Galicyi, jedną z najznakomitszych. Podał też pierwszy książę myśl założenia *kasy oszczędności* we Lwowie i zajął się jój organizacją. Zakład ten równie świetnie dzisiaj stojący, posiada już znaczny fundusz

rezerwowo, z którego, w myśl statutów swoich, część pewną obraca na cele dobroczynne i humanitarne, głównie ku podniesieniu oświaty i moralności niższych warstw społecznych. Na dziesięć lat przed rokiem 1848, który sprowadził wraz ze zniesieniem poddaństwa i uwłaszczeniem włościan, zupełną zmianę stosunków społecznych, starał się książę utorować drogę tej wielkiej reformie, podjąwszy wiele wcześniej myśl *oczyszczania włościan* w Galicyi, którą usilnie popierał u rządu, w sejmie i w kołach obywatelskich. Wypadki wyprzedziły jednak jego starania, urzeczywistniając odrazu i niespodziewanie to, do czego w zwykłych okolicznościach nie można było dojść inaczej, jak stopniowo, powolną pracą reformatorską i organizacyjną. Równocześnie mając na względzie podniesienie handlu galicyjskiego, starał się ś. p. książę Sapieha o *budowę kolei żelaznej*, któraby, wzdłuż całą przerywając Galicyą, stworzyła dla handlu galicyjskiego niezmiernie ważną arterią komunikacyjną, łączącą Lwów z Wiedniem i targowiskami zachodniej Europy. Tym celem kazał swoim własnym kosztem wykonać trasowanie tej pierwszej, proponowanej przezeń linii, i wypracować kosztorysy. Wypadki, które przyspieszyły uwłaszczenie włościan, przeciwnie odroczyły budowę kolei. Wszelako nie odstąpił od swęj myśli książę i przeprowadził ją później w inny sposób, i w innych okolicznościach; a Galicya jemu przeważnie winna pierwszą swą *kolej*, tak zwaną *Karola Ludwika*, której przez lat wiele był prezesem rady nadzorczej.

Jeżeli zważymy doniosłość tych wszystkich, powyżej wymienionych instytucyi, które żyją, rozwijają się i plon przynoszą; jeżeli rozglądnijemy się w dzisiejszym stanie Galicyi i porównamy z tém czém była przed laty czterdziestu, to zrozumiemy zasługi księcia Sapiehy, których mu najzawziętsi nawet nie mogą zaprzeczyć przeciwnicy. W roku 1861 mianowany marszałkiem kraju, złożył prezesostwo Towarzystwa gospodarskiego i Kredytowego, na co już przy nowych zatrudnieniach w wydziale krajowym, czasu nie stawało; i usunąłszy się od prac ekonomicznych, które go wpięć głównie zajmowały, poświęcił się zupełnie niemal sprawom konstytucyjnym i autonomicznym, przewodnicząc sejmom i kierując pracami wydziału krajowego. Na tamtém polu zastąpili go inni ludzie, których zastęp wykształcił się z czasem, których instytucye same sobie zwolna przysposobiły. Okoliczności zmieniły się w ciągu lat czterdziestu. Obudziło się życie we wszystkich kierunkach i Galicya weszła pod każdym względem na drogę postępu, co jęj i najzawziętsi pesymiści przyznają. Jeżeli porównamy Galicyą dzisiejszą z jęj stanem przed laty pięćdziesięciu, zdumiewającą zobaczymy różnicę! Wówczas ubóstwo zupełne moralne i materyalne—cisza i pustkowie, w pośród którego z Dyogenesową latarką potrzeba szukać człowieka: dziś skrzętnych pracowników na każdym znajdziemy polu; a chociaż wiele do zrobienia pozostaje, choć praca zaledwo zaczęta, przecież niepodobna zaprzeczyć, że weszliśmy przynajmniej na drogę, po której stąpając

zblizamy się acz zwolna ku temu celowi, u którego oświecone społeczeństwa znajdują dobrobyt i potęgę moralną. Mamy przynajmniej ku temu środki nagromadzone, mamy zakłady publiczne będące źródłem zamożności społeczeństw i postępowego ich rozwoju. Historyk, któryby zamierzał opisać dzieje tych wszystkich instytucji, od pierwszego ich zawiązku do chwili dzisiejszej, i skreślić stan ich obecny, przedstawiłby zajmujący obraz usiłowań podjętych w rozmaitym kierunku, zwłaszcza w zakresie ekonomicznym; pomimo tego w znacznej części pomyślnym zostały uwieńczone skutkiem, dzięki jedynie niezmiernej wytrwałości i roztropnemu, a umiejętnemu prowadzeniu. Z dziejami temi biografia ś. p. Leona Sapielhy, ściśle musiałaby być połączona.

Wystawy obrazów pominąć niepodobna. Jest to uczta artystyczna, którą nam sprawia co rok nasze Towarzystwo Sztuk Pięknych. Bywa ona bogatszą lub uboższą, wedle okoliczności i zamożności gospodarza, który ją urządza. W tym roku, gdy wszystko co znakomitszego na polu sztuki się znalazło, odbywało podróż do Paryża, na tamtejszy popis międzynarodowy, z której my Polacy z taką wyszliśmy chlubą; wystawa lwowska tém samém musiała być uboższą niżeli lat innych, zmuszona niejako poprzestać na tém, co pozostało w domu. Niemniej przeto było tu wiele pięknych rzeczy, a liczba dzieł wystawionych dochodziła dwustu, co jak na Lwów jest liczbą dosyć poważną. Dodać tu jeszcze winienem, że komitet znawców, oceniający dzieła mające być umieszczonemi na wystawie, staje się z każdym rokiem coraz więcej wymagającym, tak iż od niejakiego czasu nie widzujemy już, a przynajmniej z małym bardzo wyjątkiem, owych niedołączonych nieraz prób pędzla, z którymi początkowo bywało zdybywalismy się na tutejszej wystawie. Pomyślny to objaw wzrostu sztuki, jeżeli być można coraz surowszym w krytyce, a pomimo tego mieć czém zapełnić doroczną wystawę. Nie będę szczegółowo opisywać wystawy, chociażby dla tego, iż po większej części znajdujące się na niej obrazy malarzy krakowskich, mnichowskich, warszawskich, pomiędzy którymi kilka Gersona i t. d., znane są w Warszawie z wystawy Towarzystwa zachęty sztuk pięknych. Poprzestaną zatem na pobieżnej jedynie wzmiance o utworach naszych tutejszych miejscowych artystów, aby dać niejaki przynajmniej wyobrażenie, jak, nad czém i w jakim kierunku pracują malarze nasi lwowscy, nie znajdujący w szczupłym tutejszym zakresie artystycznym innych zasobów i pobudki, oprócz własnego talentu i zamiłowania sztuki, dającego wytrwałość w pracy, wraz z natchnieniem w własnej zacierpniętém duszy.

Mamy we Lwowie kilku malarzy, którzy sławę polskiej sztuki chlubnie utrzymują na wielkich wystawach światowych. Rodakowski, Tępa, Grabowski uzyskali medale lub dyplomy honorowe w Paryżu,

Wiedniu i Filadelfii. Ale mamy już i młodszy zastęp artystów, na których pierwsze niedawno patrzyliśmy kroki, a którzy dziś już tak wysoko stanęli, że godnymi starszego pokolenia będą następcami. Do tych zaliczyć wypada przede wszystkim Sidorowicza, którego dwa krajobrazy i portret kobiety, powszechną zwróciły uwagę. Szczególniej krajobrazy okazały, jak znakomity w tym rodzaju przybywa nam artysta. Dotąd znaliśmy go tylko z portretów i prób pomniejszych. Sidorowicz, to dziecko lwowskie: kształcił się w wiedeńskiej szkole sztuk pięknych kosztem tutejszej rady miejskiej, która, jak się z świetnych okazuje wyników, nie mogła lepiej użyć udzielonego mu przez lat kilka stypendyum. Dzisiaj to już malarz skończony, nie tylko władający doskonale techniką pędzla, ale umiejący odczuć piękność przyrody i odtwarzać ją w całym wdzięku, widocznym tylko wtajemniczonymu oku artysty i poety. Jego *Droga do wsi* i *Zachód słońca* posiadają urok kompozycji, wynikającej z takiego właśnie pojmowania i zrozumienia przyrody. W pierwszym okolica samotna, na dali wioska, i pusta po piaskach ciągnąca się droga; wreszcie samotny błyskający w dali płomyczek ognia palonego przez pastuszków w lasu krawędzi: wszystko to jakby jakąś melancholijną owiane atmosferą, przypomina wioskę naszą i step podolski, w którym długo i tęsknie buja oko i myśl się kąpie w zadumie. Rozleglejszą gamę barw i wrażeń obejmuje drugi krajobraz, przedstawiający *Zachód słońca*. Ten lazur nieba zorzami zachodu ozłocony, ta wód przejrzystość, ta samotna kępa drzew z rzadka rozrzuconych na wzgórzach, jakże to wszystko urocze, harmonijnie piękne; zdaje się że przeglądamy wielomilowe przestrzenie, taka rozległość perspektywy, taka powietrza obfitość. Słowem w Sidorowiczu będziemy mieli znakomitego pejzażystę, a dziś już widoki jego mogą się śmiało mierzyć nawet z krajobrazami Świeszewskiego, Maleckiego i innych zdawna znanych i doświadczonych w tym rodzaju mistrzów.

Penter to także Lwowianin, chociaż od lat ośmiu bawi stale za granicą. Tu urodzony, tu pierwsze odbywał pole, tu się po części kształcił; ukończonym już będąc artystą, przed wyjazdem do Włoch tutaj stale miał swą pracownię, a na wystawie tutejszej co rok prace jego oglądamy. Penter studjuje starych mistrzów włoskich i na nich się kształci. Z nich bierze szlachetność stylu i harmonią kolorytu, którego tajemnicę w wysokim stopniu posiadali starzy. Pentera kopia z Palmy Vecchio *Głowa kobieta*, tudzież drugie studyum w tym rodzaju jest świadectwem tego kierunku, którym postępując młody Lwowianin, wysokie już w sferze artystycznej zajął stanowisko.—Najmłodszym z lwowskich malarzy jest Gottlieb, ale niemniej utalentowany i także znakomicie wykształcony. Jest to malarz rodzajowy, a dwie jego kompozycje *Uryel Akosta* i *Szyllotk z Jesiką* zwróciły już na zesłorocznej wystawie uwagę na niego, jako na wielce obiecujący talent. Obecnie dał znowuż większą kompozycją *Żydów modlących się w bożnicy w dzień sądny*, tudzież cztery stu-

dya głowy mężkie, i portret zmarłego niedawno w podróży naokoło świata ś. p. Władysława Tarnowskiego, zdjęty przed wyjazdem, z natury. Gottlieb naśladuje Matejkę, usiłuje pochwycić jego styl, jego sposób malowania, jego technikę i z tego względu możnaby go nazwać uczniem Matejki, chociaż kształcił się w akademii Wiedeńskiej. Wszelako wpatwienie się w obrazy Matejki, chęć przejęcia się jego duchem, a gdzieś tam niemal powtórzenie pewnego motywu, lub pojedynczych rysów, daje się poznać w kompozycjach Gottlieba. Dobra to szkoła i dobra droga, którą obrał, a talent wielki, przy gorliwej pracy i zamiłowaniu ideałów sztuki, nabierać będzie coraz więcej samoistnego charakteru i udoskonalenia. Jego studia przedstawiające portrety mężkie, różnego wieku i charakteru, są malowane z taką śmiałością i wprawą, a przytém z takim wykończeniem artystycznym, jakie u najznakomitszych znajdujemy malarzy. Mniej wykończeni są *Żydzi w synagodze*. Byłoby tu co zarzucić kolorytowi, ale jako obraz typowy, pod względem rysunku i ugrupowania, jestto kompozycja odszczególniająca się wielu zaletami. Wszystkie postacie pomimo różnicy osobistej, zachowują typ plemienny, dobrze uchwycony i wydany w każdej z nich, począwszy od starca z Dziesięciorgiem przykazań w ręku, przewodniczącego modlitwom, do małego pacholęcia na uboczu modlitwą zajętego. Na wyższym krążanku widać grupę kobiet różnego wieku, pod sklepieniami, których załomy z doskonałym zachowaniem perspektywy rysowane. Jestto już kompozycja większych rozmiarów. Poznać w niej myślącego artystę, posiadającego doświadczony już pędzel i znajdującego się na drodze postępu, którą wysoko zająć może. Portret ś. p. Tarnowskiego jest wprawdzie tylko szkicem naprędce podmalowanym, ale jest w nim to, co stanowi główną istotę i warunek portretu, jest wyraz z głębi duszy wydobyty, jest podobieństwo dające poznać na pierwsze wejrzenie portretowaną osobę. Na tém wysokim czole, w jasno-niebieskiem oku, znać myśl przysłoniętą obłokiem marzycielskiej zadumy, poznać marzyciela-poetę, co więcej żyje w świecie idealnym, niżeli na ziemskim poziomie, znać w téj niezwykłej fizyognomii szlachetność i młodzieńczą siłę ducha. Chociaż p. Gottlieb podejmuje się wykończyć ten portret w razie gdyby się znalazł nabywca, wolelibyśmy gdyby pozostał nie ruszany, takim jaki jest, w obawie, ażeby przy wykończeniu z pamięci, nie zatarty się właśnie owe rysy, stanowiące wierność podobieństwa, będące głównym wyrazem portretu. Chociaż nie wykończony, tak jak jest może on znakomicie przyozdobić zwłaszcza galerią portretów rodzinnych.

Mamy dwu znakomitych portrecistów we Lwowie: Rodakowskiego i Andrzeja Grabowskiego, i o nich dodam jeszcze słowo na zakończenie niniejszej wzmianki o tegorocznej wystawie. Rodakowski dał portret ś. p. księcia Leona Sapiehy, zrobiony z polecenia wydziału krajowego do sali marszałkowskiej, mającej zawierać portrety wszystkich z kolei marszałków krajowych, w nowo budującym się

gmachu sejmowym. Książę Sapięha przez lat piętnaście piastował tę godność. Na portrecie Rodakowskiego przedstawiony jest z godłami tego urzędu, z laską marszałkowską w rękę, siedzący w krześle, w stroju polskim. Wykończenie tego portretu nie pozostawia nic do życzenia; Rodakowski celuje w tym względzie. Każdy jego portret jest sam w sobie przepysznym obrazem, gdzie rzecz najmniejsza swém wykończeniem podnosząc wrażenie, tworzy razem bogatą całość. Portret, o którym mowa, malowany ostatnimi czasy, przed samą niemal śmiercią księcia, przedstawia go z siwą brodą, z łagodnym wyrazem dobroci, z obliczem pociągającym otwartością, w którym więcej jest ludzkiej zacności i rozumu, niżeli dygnitarskiej powagi. Jestto portret wykonany w stylu bardzo szlachetnym, właściwym Rodakowskiemu.

Portrety Grabowskiego są jak żywe. Życie przemawia w nich z każdego muszkułu, z każdego pociągu pędzla. Grabowski nie idealizuje, ale przenosi na płótno to, co widzi w naturze, tylko że umie w niej znaleźć to, co jest właśnie godne widzenia, co jest jej istotą i duszą, i oddaje to z prawdą, a wyraziście. Każdy jego portret ma swój właściwy charakter, odpowiedni charakterowi portretowanej osoby. Ztąd i podobieństwo bywa wierne, co wiele także znaczy, bo portret niepodobny, może być pomimo tego dobrym obrazem, ale jako portret traci zawsze. Najnowszém dziełem Grabowskiego jest portret księcia Adama Sapięhy, wypracowany bardzo starannie; jestto nietylko najnowszy, ale może i najlepszy obraz Grabowskiego. Artysta malował go widocznie ze szczególniejszém zamiłowaniem; jakoż jest to postać godna pędzla. Czoło myślące, wzrok bystry, przenikający, oblicze z wyrazem energii i siły młodzieńczej; wszystko to malarz wybornie uchwycił i połączył w obrazie, który przemawia podobieństwem.—Tępa dał w tym roku tylko jedną, mniejszych rozmiarów akwarelę.

* * *

Hr. Wojciech Dzeduszycki, podczas sejmu przebywając tój je-sieni we Lwowie, miał w zeszłym miesiącu trzy publiczne wykłady na dochód Towarzystwa bratniej pomocy akademików: *O rozwoju historyczném pojęć o cnocie i występku*. Wykłady te tak treścią, jak i wymowném treści przedstawieniem, a zwłaszcza głębokiém pojęciem przedmiotu ze stanowiska etyki i historyzofii, zwróciły na siebie uwagę powszechną, wyróżniając się pod wielu względami od wykładów publicznych, jakie każdej zimy tutaj miewamy. Założywszy sobie zbadać w toku dziejów czy pojęcie cnoty i piękna jest jedno, czyli téż różne, u różnych narodów i w rozmaitych czasach; skreślił prelegent ze znajomością rzeczy, opartą na rozległych filozoficzno-etycznych i historycznych studyach, objawy będące głównym wyrazem ducha ludzkości, z których następnie wyprowadził odpowiedź na zadane powyżej pytanie. W pierwszym wykładzie objął świat

starożytny, będący, jak wiadomo, szczególniejszym studjów jego przedmiotem. Najpierw podał charakterystykę bohaterów pieśni Homerowych, Achilla i Odysusza. Być dobrym dla przyjaciela, a strasznym dla wroga, było w owych mitycznych czasach najwyższym pojęciem cnoty. Siła była cnotą i szła w parze z bohaterstwem. Oba te pojęcia łączyły się z sobą nierozdzielnie. Następnie wyłuszczył prelegent treściwie filozofią Platona i Arystotelesa, będące wyrazem dwu kierunków cywilizacyjnych Grecji, jońskiego i doryckiego, skreślił kontrastując z sobą postacie Aleksandra Macedońskiego i Kaliguli, w końcu filozofią Epikura i Stoików.

Drugi odczyt obejmował charakterystykę pojęć etycznych i religijnych w wiekach średnich. Świat starożytny upadł w poniżeniu i zepsuciu; sąd na siebie znajduje w bezwzględnej satyrze Juwenalisowej. Dawne pojęcia przeobrażają się w półmgliste mrzonki neoplatonizmu; wyobrażenia Kościoła katolickiego objawiają się trzema wybitnymi kierunkami: ascezą wieków początkowych, potęgą kościoła nauczającego i mistycyzmem wieków późniejszych. Prelegent skreślił wydatnymi rysami typowe postacie, będące każdego z tych kierunków wyrazem; między niemi wielką postać Grzegora VII, którą ze stanowiska historyzoficznego, w należytem przedstawił świetle. W dalszym toku dał obraz społeczności rycerskiej, w której pojęcie *honoru* stało się najwyższym cnoty wyrazem. Jako piękny typ owego poczucia obowiązku i godności, przedstawił poświęcającego się, w imię krzyża księcia Henryka Lignickiego, podczas gdy matka jego św. Jadwiga, jest wyobrazicielką pojęć i cnót chrześcijańskich pierwotnej surowości. Jako kontrast, obok Henryka pobożnego postawił prelegent goniącego awanturczo bez myśli i celu po świecie Władysława Białego, sławionego pieśnią *króla Lancelota*. Wykład o wiekach średnich zakończył treściwą wzmianką o reformacji, wywołanej protestantyzmem Lutra, i o zreformowaniu służby Kościoła przez św. Ignacego Lojotę, które to oba wielkie wypadki wchodzi już w zakres dziejów nowożytnych; są ich początkiem, torując drogę nowym wyobrażeniom, nowemu kształtowaniu się stosunków społecznych i dziejowych.

Skreśleniem umysłowej i obyczajowej charakterystyki świata nowożytnego zakończył p. Dzieduszycki swe wykłady. Przebrzmiały wielkie ideały—walkę orężną zastąpiła dyplomatyczna, walka palestrancka na słowa: zasadę—kompromis. Podniosłe charaktery zniżyły się do poziomu powszedniego, a bohatera i rycerza zastąpił człowiek *porządny*, ukazany w *Zwierciadle* Reja i w przykrojonym z włoska *Dworzaninie* Górnickiego. Tym torem postępując, doszedł świat nowożytny do najwyższego wyrazu sceptycyzmu i szyderstwa z wszystkiego co podniosłe i święte; w Wolterze, który także był *porządnym* człowiekiem, czepiał się dworów, rozróżniał ludzi na porządnym i na gmin—*kanalię*. Takim był typ demokracji i liberała XVIII w., a jako konieczny zwrot tego ostatecznego kierunku pojawił się jego antagonistą, marzycielski Rousseau, upatrujący szczęście

człowieka w powrocie na łono natury, po swojemu przykrojonej. Rewolucya francuzka stanowi ten wielki przełom w dziejach, od którego się nowy kierunek ludzkości, nowe jęj poczynają ideały. Prelegent podał przepyszna charakterystykę trzech najwybitniejszych postaci wielkiej rowolucyi: Dantona, Marata i Robespiera, jakobinizmu i żyrondy, następnie poezyi Bajronowskiej; a mówiac o poezyi polskiej, najdłużej zatrzymał się nad Krasińskim, w którego metafizycznych poglądach odbił się wyraźny wpływ filozofii spekulacyjnej niemieckiej; z którego tęż powodu prelegent dłużej nieco, jakkolwiek trzymając się zawsze ściśle ram swojego przedmiotu, wyłuszczył zasadę filozofii Kanta, jego pojęcia o cnocie i panteistyczne poglądy jego następców, aż do Hegla. Trudny ten sam z siebie niezmiernie przedmiot, z powodu tkwiącej w nim zawikości abstrakcyjnej, wyłożył tak zrozumiale, przystępnie, a zarazem gruntownie, jak tylko rzecz na wskrós sobie przyswojona wyłożyć można. Treściwy ten obraz rozwoju najnowszej filozofii spekulacyjnej, zakończył skreśleniem charakterystyki pesymizmu i nihilizmu, szerzących się dziś potężnie zwłaszcza w Niemczech.

Zestawiwszy wynik wszystkich tych systematów i poglądów o cnocie, które ludzkość w przebiegu dziejów sobie urobiła, doszedł prelegent ostatecznie do tego zasadniczego pojęcia, że cnota jestto ściśle pełnienie obowiązków, miłość ludzi i wyższa jeszcze nad nią miłość ideału, rodząca zarówno cnotę i szczęście. Zaiste, piękne i podniosłe pojęcie obowiązku, cnoty i szczęścia, które prelegent umiejętnie i wymownie w całym toku swoich wykładów uzasadnił.

Z wielką precyzyą słowa, ze ściślością pojęć naukowo opracowanych, stylem treściwym i podniosłym, rozstrnuwał p. Wojciech Dzie duszycki przystępnie poglądy historyozoficzne, dotknął najważniejszych chwil dziejowych, najwznioślejszych zagadnień ludzkości, tak wymownie, iż wykład jego improwizowany miał cechy i zalety naukowej rozprawy.

Rozpoczęto tutaj ważne wydawnictwo *Biblioteki filozoficznej*, mającej objąć przekład wszystkich z kolei najznakomitszych dzieł z zakresu filozofii, które na postępek nauk i w ogóle na rozwój cywilizacji stanowczy wpływ wywarły. Przedsięwzięcie olbrzymie, wymagające wiele czasu, siły i kosztów, mogące jednak przynieść pożyteczne owoce. Rzecz dziwna, jak w ogóle mało znane są publiczności polskiej te dzieła, które na postępek umiejętności za granicą największy wpływ wywarły, które w niej epokę stanowiły. Najwięksi myśliciele są nam częstokroć znani zaledwie z imienia, z tytułów dzieł głośniejszych, a o duchu i kierunku, o zasadniczym pojęciu i treści ich systematów zaledwie jakie takie powierzchowne z drugiej ręki mamy wyobrażenie. Cóż ciekawszego jak się przypatrzeć zblizka owym wszechstronnym wysiłkom ludzkiego ducha, dążącym do zdobycia prawdy i wiedzy,

jak śledzić dróg geniuszu szukającego prawdy, chociażby nawet nie-raz zboczył na bezdroże, rozświecając je pochodnią oryginalnych po-oglądów, wielkich pomysłów. Dotąd nie posiadaliśmy dzieł ich w pol-
skim przekładzie, a chcąc się z nimi zapoznać, musieliśmy do obcych uciekać się źródła, co rzecz utrudniało tém samém, iż wymagało gruntownej znajomości języków nietylko nowożytnych, niemieckiego, francuzkiego, angielskiego, ale także łacińskiego i greckiego. Kto tedy poda publiczności naszej przekład główniejszych systematów fi-
lozoficznych, dokonany gruntownie, z należytem zgłębieniem ich du-cha i treści, językiem jasnym i ściśle myśl pierwowotworu wyrażającym, ten, zdaniem naszym, przysłuży się wielce literaturze, a zasługa bę-
dzie tém większa, iż prawdopodobnie wydawnictwo takie nie może liczyć na zyski. Przeciwnie musi się nawet przygotować na straty ma-
teryalne, przynajmniej na razie, bo daleko jeszcze u nas do tego, aby dzieła naukowe, a zwłaszcza filozoficzne, było choć w części tak chęt-
nie czytane i poszukiwane, jak powieść, i ażeby z nią mogło dotrzy-
mać współzawodnictwa. Brzemie trudnego tego zadania przyjęła
zapowiedziana *Biblioteka filozoficzna*. Ma ona, według ogłoszonego programu, pomieścić dzieła najznakomitszych filozofów i myślicieli.
„Jeżeli, są słowa tegoż programu, Newton lub Laplace, w astronomii i fizyce; Lavoisier w chemii, Jussieu, Lamarck, Cuvier, albo Lyell w historii naturalnej; jeżeli Humboldt w geografii, Montesquieu w na-
uce historii, Jakób Grimm w lingwistyce nową epokę wzrostu i roz-
kwitu, a nawet zupełnego odrodzenia utworzyć zdołali: stało to się przy pomocy ogólnych zasad, ogólnych prawideł myślenia, jakie otrzymali od filozofów, których zasiewu owocem jest cały postęp i bo-
gactwo wiedzy tegoczesnej.”

Rozpoczynając wydawnictwo od Kartezjusza, pomieścić ma na-
stępnie *Biblioteka* główne dzieła Bakona, owego twórcy metody indu-
kcyjnej, dzięki której tyle prawd nowych odkryto, tyle zdobyto wy-
nalazków, takie olbrzymie postępy w dziedzinie wiedzy na każdym naukowym uczyniono polu; dalej Lokkego i Condillaca, będących twórcami psychologii; *Duch Praw* Monteskiusza, będący kamieniem węgielnym nowożytnych pojęć polityki i prawa; wreszcie najgłówniejsze dzieła Spinozy, Humego, d'Alemberta i Littrego: naostatek Kanta, będącego ojcem nowożytniej spekulacyjnej filozofii niemieckiej.

Zakres wydawnictwa niema się wszakże ograniczyć jedynie na epokę nauki nowożytniej. Wprawdzie pierwszym celem *Biblioteki* ma być przyswojenie naszemu językowi i literaturze tych dzieł, które stworzyły tę epokę odrodzenia, nauk, sztuk i przemysłu, oraz życia społecznego, na którą obecnie patrzymy, w której żyjemy; wszelako, w dalszym ciągu zapowiada *Biblioteka* przekład główniejszych dzieł Platona, Arystotelesa i Cyserona; dalej nastąpią Ojcowie Kościoła, Ter-
tulian, św. Augustyn i św. Chryzostom; moralisci: Labruyère, Moeser, Shaftesbury, Addison i t. d.

Wyliczenie powyższe daje miarę rozległości zakresu wydawnictwa *Biblioteki*. Daj Boże, aby nie była zniewolona ustać w połowie drogi z braku powodzenia, na jakie zasługuje. Wydawcy przystępując do wykonania powziętego zamiaru, przystępują, jak widać z programu, z celem jasno wytkniętym i poczuciem trudności zadania: „Pragniemy, powiadają oni, społeczeństwu naszemu, przeważającą powieściową literaturą rozmarzonemu, podać strawę umysłową jedrniejszą i bardzo pożyteczną. Pragniemy obudzić samodzielność myślenia w szerszych niż dotąd kołach. Nie jestto przedsięwzięcie księgarskie, ale raczej społeczne. Przeciwno przynębiającemu pesymizmowi, przeciwko niszczącym doktrynom nihilistów, które szerzą wyuzdaną lekkomyślność i rozwiążność obyczajów; przeciw ogłupiającym niedorzecznościom mistyków i spirytystów; przeciw rozmarzeniu i umysłowej gnuśności potrzeba lekarstwa, a znaleźć je najbezpieczniej w tym umysłowym pokarmie, który Anglii i Francji niespożyte moralne, umysłowe i materialne nadał siły.”

Mamy przed sobą pierwszy tom *Biblioteki filozoficznej*, który właśnie co opuścił prasę. Zawiera on *Rozprawę o Metodzie poszukiwania prawdy w naukach*, poprzedzoną *Listem Kartezjusza do księdza Picot*, tłumacza jego *Zasad filozofii*, na język francuzki, wreszcie jako dodatek Kartezjusza *Reguły kierowania umysłem*: wszystko to w przekładzie Wojciecha Dobrzyckiego, wraz z obszernym życiorysem Kartezjusza, przez tegoż, obejmującym przystępnie a treściwie skreślony pogląd na istotę i fundamentalne zasady wielkiego reformatora myśli, od którego rozpoczynają się dzieje nowożytnej filozofii. Kto się chce obznajmić ze stanowiskiem Kartezjusza, z którego wychodząc obalił cały gmach scholastyki średniowiecznej, i nowe myśli ludzkiej nadał tory, znajdzie w tém jego dziele najlepsze objaśnienie. Rozprawa niniejsza jest można powiedzieć kamieniem węgielnym systemu Kartezjuszowego; w niej podał on nietylko główną zasadę, na której cały swój system później zbudował, ale skreślił zarazem genetyczny rozwój swój myśli, drogę ową, po której doszedł do ostatecznych systemu swego wyników. W dziejach filozofii nowożytnej *Rozprawa o Metodzie* jest jednym z dzieł najważniejszych, jest jakby pochodnią, rozświecającą sklepienia tego gmachu, w który nas wprowadza. *List do księdza Picot* objaśnia co to jest filozofia w ogóle, a *Reguły* zestawiają aforystycznie wynik tych badań, treściwie określone zasady, jestto praktyczny niejako kodeks logiki Kartezjuszowskiej. Trzy te rzeczy są w pewnym związku z sobą, uzupełniając się dają dobry obraz filozofii Kartezjusza, i słusznie uczynił tłumacz, że ją razem zebrał i razem ogłosił. Przekład jest bardzo dobry, można powiedzieć, wzorowy. Tłumaczowi chodzi przedewszystkiem o jasność myśli, o oddanie jak najwierniejsze rzeczy, o przejrzystość tłumaczenia, w którejby duch pierwotny, zasadnicza myśl systemu oddaną została z wszystkimi jój odcieniami. Wprawdzie Kartezjusz odniósł tak zawziętego stylu, tak dziwnego języka, najeżonego po-

tworną frazeologią, jaki sobie stworzyli niemieccy spekulacyjni ideologowie; wykład jego sam w sobie jest przystępny i jasny, wszelako zawsze to rzecz trudna być tłumaczem myśli krążących w sferze wywodów metafizycznych i ścisłości logicznej, w sferze najidealniejszych zagadnień umysłowych. Drugi tom *Biblioteki filozoficznej*, będący już pod prasą, ma zawierać Bakona werulamskiego *Nowe zasady wiedzy*, (*Novum organon scientiarum*).

Z wydawnictw księgarni polskiej wyszedł *Biblioteki historycznej* tom XXIV-ty zawierający zapowiadzaną już dawniej *Historią wielkich odkryć geograficznych w XV i XVI wieku*, Oskara Peszla, w przekładzie Józefa Tretiaka. Jestto jedno z tych niewielu dzieł, które chociaż napisane w celach naukowych, usiłując wyczerpać przedmiot, zawierają wielki zasób erudycyi, przecież nie odstraszą szerszych kół czytelnicznych, ale bogactwem i różnorodnością treści, przeciwnie obudzą ciekawość tych nawet, którym niechodzi o badanie systematyczne postępów ducha ludzkiego w tym lub owym kierunku, lecz o przyjemne zajęcie umysłowe. Jakoż tak tłumaczowi, jak i wydawcy chodziło głównie o przystępność dzieła, o jak najszersze rozpowszechnienie zawartych w niem wiadomości, nie zaś o stronę erudycyjną. Z tego powodu opuszczono w niniejszym przekładzie liczne przypisy, któremi znajduje się zaopatrzony przez autora tekst oryginalny. Przypisy te powiększają część dzieła, mają wartość tylko dla uczonych, pracujących w dziedzinie geografii. Słusznie uczynił tłumacz, opuszczając w swym przekładzie większą część przypisów z zasady, że tacy powinni poznać dzieło w oryginale; dla całej zaś publiczności nie mają one znaczenia; byłyby więc i tak już obszerne dzieło niepotrzebnie obciążały. Tłumacz tutaj umieścił tylko te, które mogą zająć czytelnika wykształconego, pragnącego obeznac się z dziejami odkryć geograficznych, ale nie będącego samodzielnym badaczem na tém polu.

Nakładem téjże księgarni polskiej wyszła *Rzecz o pojedynku*, przez dra. Rosenblatta. Jestto treściwie przedstawiona monografia tego zabytku średniowiecznego, przypominającego *krwawe sądy Boże*, który jako złe konieczne związał się tak ściśle z pojęciami i obyczajem tegoczesnym, iż niema, jakby się zdawało skutecznego nań lekarstwa, gdyż najzawziętsi nawet przeciwnicy uchylają czoło przed jego tradycyjną powagą. W monografii p. Rosenblatta, pojedynek uważany jest głównie ze stanowiska prawniczego; autor przeszedłszy pokrótce dzieje jego i pojęcie, jakie o nim w ciągu czasu się wyrobiło, wskazuje w jaki sposób zapatrują się na rzecz tę ustawodawstwa rozmaitych krajów europejskich, jak się pojęcia te w kolei czasu przeobrażały w różnych prawodawstwach u różnych narodów, w końcu wyjaśnia pojęcie pojedynku wobec dzisiejszego prawa karnego w kodeksach obowiązujących.

Choroby Galicyi, serya druga przez Józefa Rogosza, opuściły właśnie prasę. Seryą pierwszą wydał autor przed dwoma laty i ma-
 ło która książka u nas była tak skwapliwie czytana, takiego docze-
 kała się pokupu, jak owe satyryczno-powieściowe obrazki Rogosza,
 co zawdzięczały nietylko swój treści, przedstawiającej w żywych bar-
 wach stosunki galicyjskie społeczne, które autor surowej poddał
 krytyce, ale głównie zdrowemu na nie pogładowi, i stanowisku, jakie au-
 tor obrał do ich oceniania. Nie są to powieści, ale téż i nie rozprawy.
 Tendencya tutaj zbyt widoczna, nie ukrywa się zbytecznie poza osłony
 artyzmu powieściowego, chociaż autor stara się dodać jej powa-
 bu, kręśląc satyrę obrazkowym sposobem i wydobywając ją z opo-
 wieści z życia branż. W pierwszej seryi skreślił p. Rogosz stosun-
 ki lichwiarskie, szeroko zagnieżdżone w Galicyi, jak chwast pasożytny,
 wysysający najzdrowsze soki jęj dobrobytu, tudzież szkodliwe skutki
 loteryi, rozbudzającej namiętności, zwłaszcza uboższych warstw ludno-
 ści. W seryi obecnej przedstawia dosadny, a bardzo wierny obraz
 galicyjskiego świata handlowego i tutejszych stosunków kupieckich;
 przyczém rozsuwa obszernie pogląd swój na przyczyny złego; wcho-
 dząc szczegółowo w rozbiór wpływów i przeszkód, tamujących w Ga-
 licyi wzrost kupiectwa i dobrobyt stanu miejskiego, rzuca zarazem
 myśli zawierające nasiona pożądanęj w tym względzie reformy. Dru-
 ga, większa połowa książki poświęcona jest stosunkom wiejskim.
 Wady ustroju autonomicznego, słabości i próżnostki społeczeństwa
 wiejskiego, błędy wywołujące nieraz wielkiej doniosłości następstwa
 i domagające się jak najrychlejszęj naprawy, pijaństwo włościan,
 lichwa pożerająca i tutaj większą część włościańskiego mienia, a w koń-
 cu bardzo gruntownie wykazane lichwiarskie machinacje tutejszego
Banku włościańskiego, które już tysiące osiadłych niegdyś gospodar-
 zzy o kiju i żebraczej torbie w świat puściły, znajdujemy tu skreślone
 bardzo zręcznie, jakby ręką lekarza kręślącego dyagnozę choroby,
 którą doskonale, długim zbadal doświadczeniem, i zarazem podaje
 na nią skuteczne lekarstwa. Obok tego, co stanowi właściwą istotę
 książki, obok jęj tendecyi społeczno-ekonomicznęj, znajdujemy w nięj
 szereg wybornie z życia uchwyconych typów z rozmaitych warstw
 świata galicyjskiego przesuwających się, niby tło, na którém autor
 zbiera swe spostrzeżenia i kręśli uwagi reformatorskie. Ma tedy
 dzieło p. Rogosza podwójną stronę, artystyczną i tendecyjną, które
 się obie uzupełniają i krytyka je, z tego podwójnego stanowiska
 ocenić powinna.

Nakładem księgarni Beży wyszły *Wrażenia z podróży na
 Wschód*, przez Józefę Treterową. Kto nie zna Wschodu z licznych
 opisów i opowieści, jakie we wszystkich językach posiadamy o Wschodzie?
 Moznaby z nich całe tworzyć biblioteki, a przecież Wschód
 ma zawsze jeszcze jakowys tajemniczy urok nowości, czar bajki z Ty-

siąca i jednej nocy, która się ciągle niby kończy, a którą zawsze na nowo słuchać można. Opowieść podróży na Wschód chwytamy zawsze skwapliwie i czytamy ciekawie, chociażby nic zupełnie nowego dla nas w sobie nie zawierała. Podobnie rzecz się ma i z książką p. Treterowej. Nie można powiedzieć, abyśmy w niej znachodzili coś czego jeszcze nie znamy; od wrzasku Arabów, Murzynów i wszelkiej narodowości posługaczy i oszustów, pomiędzy których zgrają popada Europejczyk, stawiający pierwszy krok na Wschodzie w porcie Aleksandryjskim, aż do opisu miejsc świętych i okolic Jerozolimy, którym poświęcona cała połowa książki; wszystko tu nam mniej więcej znane z wielu innych opisów obszerniejszych i świetniejszych. Wszelako właśnie ta prostota nie wymuszona w opisie doznanych wrażeń, ta, rzekłbym, szczerść opowieści, nie kuszącej się o sztuczne wrażenie, nie obmyślané artystycznie, ale płynącej z duszy, powtarzającej wprost bez żadnej przymieszki obcej, bez żadnych dodatkowych ozdób to—co turystka widziała i uczuła, stanowi powab tej książki, która się z tego też powodu czyta przyjemnie, chociaż nic w sobie nie zawiera nowego.

*

*

*

Smutną kronikę dzisiejszą zacząłem i kończę nekrologiem—wzmianką pośmiertną. Przed kilku dniami zmarł profesor tutejszego uniwersytetu Eugeniusz Janota. Wykładał on na uniwersytecie literaturę niemiecką; wszelako właściwym zakresem prac jego naukowych była historia naturalna, głównie zoologia. W tym zakresie był badaczem samodzielnym i pozostawił liczne prace tej treści. Ś. p. Janota był czas jakiś członkiem Rady szkolnej krajowej, której grono składa się przeważnie z filologów. On więc jako z zawodu badacz nauk przyrodniczych, miał tam pole pożytecznego działania w tej sferze, o ile chodziło o zaprowadzenie i kierunek rzeczonych nauk w szkołach publicznych. Ostatniemi czasy popierał gorliwie usiłowania *Towarzystwa Tatrzańskiego* i zawiązał przed trzema laty tu we Lwowie *Towarzystwo przeciw dręczeniu zwierząt*, którego był prezesem i z którego ramienia wydawał *Miesięcznik* przyrodniczy, poświęcony głównie celom Towarzystwa, a zawierający przytém wiele ciekawych wiadomości przyrodniczych.

Równocześnie umarł Hipolit Stupnicki, postać znana w sferach tutejszego dziennikarstwa od lat blisko trzydziestu. Do pięćdziesiątego prawie roku życia ś. p. Stupnicki służył w straży skarbowej i ani myślał o dziennikarstwie. Opuściwszy służbę, powziął zamiar w roku 1850, w owéj porze zupełnej posuchy na polu literatury w Galicyi, wydawania pisma popularnego dla średnich klas inteligencji, pod nazwą *Przyjaciela Domowego*. Rozpocząwszy wydawnictwo, wpadł na szczęśliwą myśl zaofiarowania części czystego dochodu z przedpłaty na rzecz *ochronek miejskich*, których urządzeniem i opieką zajmowała się podówczas właśnie bardzo gorliwie, namiestni-

kowa hr. Gołuchowska. Zyskał tém odrazu względy i wysoką protekcyą tak dla siebie, jak i dla swego wydawnictwa. Zalecono z urzędu popieranie pisma i przybyło odrazu 60) prenumeratorów, co na razie był pisma ustalilo. W roku 1859, gdy powzięto zamiar wydawania pierwszego po roku 1848 w Galicyi dziennika politycznego, użyto ku temu firmy ś. p. Stupnickiego, który wyjednał na swoje imię koncesyą, nie łataw podówczas do uzyskania komu innemu. Później kilku z kolei zawiązującym się pismom udzielał swęj firmy. Dziennikarzem właściwie nie był, nigdy sam nic nie pisał; ortograficznie nawet pisać nie umiał. W dziennikach pod jego firmą zakładanych, zajmował się ekspedycyą, manipulacyą administracyjną, dostarczaniem pomniejszych wiadomości miejscowych i tym podobnemi, nierozłącznemi z wydawnictwem gazety zatrudnieniami. Przyjmując na siebie odpowiedzialność w obec ustawy prasowej, kilkakrotnie odpokutował ją, poświęcając się zawsze dla celów publicystyki z gorliwością i zacięciem sercem. Odtąd jednak mając rozszerzone szranki publicystyka galicyjska, bujniej rozwijać się zaczęła, a ustawa konstytucyjna ułatwiła możność otrzymania koncesyi na gazetę; dzienniki lwowskie nie potrzebowały już pożyczać firmy, a ś. p. Stupnicki popadł w wielki niedostatek, z którym walczył do końca życia, poprzestając na wydawnictwie *Przyjaciela Domowego* i połączonej z nim *Gazety Wiejskiej*, które to wydawnictwa, jak mógł własnym staraniem i kosztem prowadził. Jakoż prawdziwą jego zasługą jest wydawnictwo *Przyjaciela Domowego*, prowadzone przezeń nieprzerwanie od roku 1850 przez lat 28. Redaktorami rzezonego pisma bywali, kolejno wzywani przez niego znakomitsi literaci tutejsi, zasilając swém piórem pismo, mające pożyteczny cel i zadanie. Redagowali je niegdyś naprzemian Roman Zmorski, Dzierzkowski, Tatimir, Widman. W ostatniem dziesięcioleciu *Przyjaciela Domowy* znacznie podupadł na treści, niemniej przeto zawsze w dobrym duchu i z dobrą prowadzony był tendencyą. Hołd oddany na pogrzebie ś. p. Stupnickiemu przez miejscowych dziennikarzóv, słusznie mu należał za wydawnictwo *Przyjaciela Domowego*.

Władysław Zawadzki.

VOLTAIRE I ROUSSEAU

NA POLU EKONOMII POLITYCZNEJ.

PRZEZ

J. K. Corvin Piotrowskiego.

Nauki społeczne od niedawna dopiero zajęły odpowiednie sobie stanowisko w zakresie wiedzy ludzkiej. Cofnijmy się myślą na jakie kilkadziesiąt lat wstecz, a zobaczymy iż je *uważano jeszcze za jakieś mrzonki*, za systemy dziwaczne, za produkta wybujałej wyobraźni. W najnowszych czasach szybko jednak poczęły się ustalać, aż dziś wreszcie rozrosły się olbrzymio i ogarnęły wszystkie kierunki życia społecznego.

Ekonomia polityczna od czasów Adama Smith'a ujęta w pewien system, ciągle rozwijana, zajęła dziś niezaprzeczenie jedno z pierwszych miejsc w szeregu nauk społecznych. Ośmnastemu to głównie wiekowi zawdzięczamy przyjsście, iż tak rzekę, na świat téj umiejtności. Wiek to, w którym żyli i działali Voltaire i Rousseau. W czasach Adama Smith'a zajęci obaj zadaniem społecznymi, nie mogli zachować się obojętnie w obec kwestyi ekonomicznych, kwestyi tak ściśle połączonych z zagadnieniami, które epoka owa starała się rozwiązać.

W wieku, w którym jubileusze, obchody najróżnorodniejszych, dwudziesto-pięcio-, pięćdziesięcio-, stuletnich etc. rocznic, stały się istotną manią, w którym codzien prawie, gdzieś, na naszej półkuli obchodzimy pamiątkę jakiejś zgasłej wielkości, imiona takie jak Voltaire i Rousseau nie mogły przejść niepostrzeżenie. W roku bieżącym obchodzono więc pamiątkę stuletniej rocznicy ich skonu. Obchodził ją każdy jak to uważał za stosowne, każdy, mówimy, gdyż zaiste obojętnych nie było. I my daliśmy się unieść temu prądowi, a gdy interes ekonomiczny zarówno w życiu społeczeństw jak i jednostek, coraz to ważniejszą poczyną odgrywać rolę, gdy coraz to bardziej przebija się w rozmaitych sferach działalności ludzkiej; gdy znaczenie ekonomiki coraz to bardziej, coraz ogólniej zaczyna być uznawaném; pomyśleliśmy iż nie od rzeczy będzie skorzystać z obchodu téj stuletniej rocznicy, aby choć w krótkich słowach skreślić poglądy, zapatrywania i stanowisko Voltaire'a i Rousseau w téj gałęzi nauk społecznych.

Ekonomia polityczna jest nauką nową. Ani w starożytności, ani w wiekach średnich o jój teorii mowy być nie może. Tacy: Ksenofont, Arystoteles, Plato u Greków, Cycero u Rzymian, zarówno jak Tomasz

z Akwinu lub Nicole Oresme, podnosili tylko pojedyncze kwestye. Zresztą śladów nawet jakiegokolwiek systemu nie napotyamy.

Dopiero gdy spróchniałe instytucye wieków średnich w żaden sposób dłużej utrzymać się nie mogły; gdy system skarbowy ze swemi „*taille*,” „*gabelle*” i t. p., nadzwyczaj skomplikowany, bez żadnych zasad i związku, krepujący tylko rozwój bogactwa publicznego, tamujący na każdym kroku cyrkulacją produktów i wolność osobistą, nie mógł dłużej wystarczyć olbrzymim jak na owe czasy wydatkom i ochronić państw od bezwarunkowego bankructwa; gdy wszystkie wady dawnego systemu w jaskrawém stanęły świetle; gdy szumno-brzmiające frazy owych *despotes éclairés* okazały się być fałszem i obłudą: wtedy poczęły ludy zdychać do lepszego stanu, opinia publiczna się tworzy, a indywidualizm, podtrzymywany przez tę nową a olbrzymią potęgę, staje się coraz mniej usposobionym do rezygnacyi.

Tego rodzaju okoliczności były nadzwyczaj przychylnie tworzeniu się i rozkwitaniu najrozmaitszych teoryi. *Laisser faire et laisser passer* stało się dewizą fizyokratów, domagających się aby pozostawiono wszelką swobodę rozwojowi działalności ludzkiej. Równowaga handlowa również jak inne środki rządowe, któremi samowolne prawodawstwo obciążało działalność indywidualną i gwałciło na każdym kroku prawo własności, zostało zdyskredytowane przez Quesney'a i jego zwolenników. Niepodobna zaprzeczyć jednak, iż fizyokraci obok tych prawd, przeceniając znaczenie rolnictwa popadli w błąd, błąd równie prawie gruby jak zwolenników merkantylizmu, z tą tylko różnicą, iż wprost w przeciwnym kierunku. Ze wszystkich przemysłów, rolnictwo tylko miało być produkcyjnym, ono bowiem tylko stwarza, powiększa najróżnorodniejsze płody ziemi, podczas gdy fabryki i handel, przerabiając, przekształcając surowe produkta i zbliżając je w ten sposób do konsumentów, ograniczają się na przeobrażaniu materji już istniejących. Błędna ta doktryna wywołała błędne także rezultata w praktyce. I zaiste, inaczej stać się nie mogło. Z błędnych bowiem przesłanek (*praemis*), postępując wedle praw syllogistyki, dojdziemy zawsze do błędnych wniosków. Tak też i fizyokraci opierając się na tém, iż tylko przemysł rolniczy daje dochód, przemysł zaś fabryczny i handel nic doń nie dokłada, wywnioskowali, iż wszystkie podatki w jakiegokolwiek bądź formie, zawsze ponoszone będą przez właścicieli gruntu. Opłaty nałożone na przemysłowców i handlujących, spadną zawsze na rolników. Cóż bowiem naturalniejszego, iż pierwsi pokryją je sobie płacąc tanięj drugim za ich surowe produkta, podczas gdy ci ostatni nie będą w stanie zmniejszyć w tym samym stosunku kosztów produkcji. Do czegoż zatem cały ten nielogicznie skomplikowany i zagmatwany system podatkowy? Czyż nie lepiej byłoby zastąpić go i uprościć jedną ogólną opłatą od dochodu czystego z ziemi? Gdy dochód gruntowy jest jedynym bogactwem, gdy wszystkie podatki od zużycia zwracają się zawsze pośrednio na właściciela gruntu; czyż nie lepiej zażądać przeto od niego jednorazowo tego, co się za

pomocą tyłu tak najróżnorodniejszych środków dotąd pobierało? To uprości system skarbowy, zmniejszy olbrzymie nadużycia i koszta poboru, przez ułatwienie cyrkulacyi produktów podniesie handel i przemysł. Podatek taki nie będzie zaciężliwym dla właścicieli gruntu, gdyż ci wprowadziwszy go do kosztów produkcji, odzyskają swe pieniądze w podwyższeniu ceny produktów.

Tak więc odbije się on na konsumentach, a podatek przelewając się w ten sposób z jednych na drugich, będzie ponoszonym przez wszystkich, nie ciężąc na nikim. Takie podwyższenie podatku gruntowego mało obejdzie ziemianina, ponieważ w każdej chwili będzie mógł podnieść cenę swych wytworów.

Błędy tej teoryi uderzają zaiste na pierwszy rzut oka. Czyż cena przy sprzedaży zależy zawsze od woli zbywającego? Czyż przy olbrzymiem międzynarodowem współzawodnictwie, tym naturalnym skutku zniesienia wszelkich zapór i ceł ochronnych, jednem słowem, przy urzeczywistnieniu *laisser faire, laisser passer*, cena nie będzie zależec raczej od stosunku zachodzącego między zaofiarowaniem a żądaniem ¹⁾? Podwyższenie zatem podatku gruntowego, któreby wraz z zaprowadzeniem takiego jedyne go, wyłącznego przez fizyokratów proponowanego podatku, mieć miejsce musiało, będzie ciężyc na właścicieli niemogącym do wolnie podwyższyć ceny produktu. Bądź co bądź, czy produkcya zboża była dlań kosztowną, czy nie, nie weźmie za nie więcej nad cenę targową. Powiększenie zaś podatkiem owym kosztów produkcji zboża w kraju, nie wpłynie o tyle na zmianę ceny tegoż na rynku międzynarodowym, aby podwyżka ztąd wynikła mogła wyrównać temu nowemu ciężarowi. Przeciwnie, cena targowa w skutek otworem stojącego i w każdym czasie odpowiednio do potrzeb powiększyć się mogącego dowozu, pozostanie raczej niezmienną pomimo zwiększenia się kosztów produkcji w kraju. Tak więc producenci będą musieli sprzedawać produkta po cenie nie pokrywającej często nawet kosztów ich produkcji. Ruina, bankructwo będzie naturalnem tego następstwem. Ztąd widać, iż podwyższenie podatku gruntowego spadnie na rolników, iż tego nowego ciężaru właściciele ziemscy zrzucić z siebie nie potrafią; że przeto teorye fizyokratów nie były wolne od błędów, które w praktyce do najsmutniejszych przywiodłyby rezultatów.

Błędy te razily Voltaire'a. W 1768 roku ukazała się praca jego p. t.: *L'homme aux quarante écus*, w której stara się wykazać błędy poglądów i niepraktyczność następstw wypływających z ogólnych teoryi fizyokratów.

Dla dopięcia celu posługuje się znanym dowodem *ad absurdum*, to jest przypuściwszy zrealizowanie zachcianek i marzeń fizyokratów, wykazuje wtędy w jaskrawem świetle zgubne tegoż skutki.

¹⁾ *Zaofiarowanie, żądanie*: wyrażenia te uważamy za stosowniejsze jak powszechnie używane *podat* i *popyt*. Przyp. autora.

Bohatérem opowiadania jest człowiek posiadający dochód z czterech morgów gruntu. Zastanawia się on, dyskutuje, roztrząsa najrozmaitsze kwestye. Jego nieszczęścia, kłopoty, troski: to skutki zguźbionego systemu „zasadniczego porządku społeczeństw ¹⁾).

Według dość wprawdzie niedokładnych obliczeń (co się da łatwo wytłómaczyć niskim stopniem, na jakim w owej epoce stała jeszcze statystyka), wynosiła ludność Francyi 20,000,000 mieszkańców, przestrzeń całego gruntu francuzkiego 130,000,000 morgów; w najlepszym razie gruntu ornego mogło być *maximum* 80,000,000 morgów, ztąd 80,000,000:20,000,000=4, to jest na każdego mieszkańca przypadłoby 4 morgi gruntu ornego.

Dochód z jednego morga nie wynosił przecięciowo więcej nad 25 liwrów. Przypuścmy jednak 30, aby nie zniechęcać bardzo naszych współobywateli, mówi Voltaire. Niejeden bowiem morg przynosi 300 liwrów, są natomiast wprawdzie i przynoszące zaledwie 3; średnia zaś proporcjonalność między 3 a 300 jest 30, gdyż $3 : 300 = 30 : 300$.

Wprawdzie gdyby było bardzo wiele morgów o 3 liwrach dochodu, a bardzo mało o 300, to wypadłoby może nieco odmiennie, „ale pocóż mamy wdawać się w jakieś szykany.“

Przyjąwszy zatem czysty dochód z jednego morga 30 liwrów, otrzymamy: $30 \times 4 = 120$.

Te 120 liwrów wyraża dochód gruntowy jednego udziału czteromorgowego. Człowiek więc o 120 liwrach czyli o 40 talarach jest ten, który niema nic więcej nad przeciętną dochodu gruntowego.

Na taką więc przeciętną jednostkę spada raptem, jak grom, podatek zastosowany z teoryi Mercier'a de la Rivière, jeden ogólny podatek wyrównujący połowie dochodu gruntowego. Przysłuchajmy się, jak przyjmuje go ten, któremu z jego 40 talarów kazano oddać 20.

„Z radością dowiaduję się w *l'Univers*, mówi on, iż posiadam ziemię, która przynosi mi 40 talarów rocznie: gdy oto pojawia się kilka edyktów pewnych osób, co siedząc sobie przy kominku i nie mając nic lepszego do roboty, rządzą państwem. Wstęp do tych edyktów opiewa, iż władza prawodawcza i wykonawcza zrodzoną jest z praw Boskich, które są współwłaścicielami méj ziemi, w skutek czego powinienem jéj oddać przynajmniej połowę tego co sam zużywam. W imię Ojca i Syna, a cóżto za olbrzymi żołądek téj władzy prawodawczej i wykonawczej! Cóżby to było, gdyby jéj zachciało się méj ziemi w całości? Do téj pory płaciłem 12 liwrów, — oj, ciężko mi to przychodziło! Zkąd wziąć ich teraz 60. Już i tak raz odsiedziałem więzienie za długi. Właśnie gdy mnie wypuścili, spotykam jadącego w sześciokonnej karecie rumianego spasionego człowieka, którego znałem jeszcze wtedy, gdy

¹⁾ *Ordre naturel et essentiel des sociétés politiques*, Londre, Paris, 1767, in 12, 2 vol. Pod tym tytułem wyszło w 1767 r. dzieło Mercier'a de la Rivière, jednego z najgorliwszych i najrzęczniejszych apostołów fizyokratyzmu.

był biedniejszym odemnie. Sukcesya po wuju zapewniła mu 400,000 liwrów rocznie. Płacąc połowę mego dochodu na rzecz państwa, nie wątpię, iż i on jest pozbawionym 20,000 liwrów. Trzeba było widzieć jego oburzenie, gdy mu to wyraził. Jakto, ja miałbym jeszcze co dawać na potrzeby państwa, ja, który nie mam ani piędzi ziemi! Moje 8 milionów odziedziczyłem po wuju, i zawdzięczam je jego szczęśliwym operacyom handlowym. Minister finansów żądający czego odemnie, byłby osłem nie umiejącym rachować, nie wiedzącym, iż jedynym bogactwem jest ziemia. Gdyby po opodatkowaniu produktów ziemi, wprowadzeniu jednej ogólnej opłaty gruntowej, domagano się jeszcze czego od mych pieniędzy, od mych biletów, które są niczem innem jeno tylko reprezentantem wartości tychże produktów: to popełnionoby krzyżującą niesprawiedliwość, opodatkowując jedną i tę samą rzecz podwójnie.“

W usta kapitalisty wkłada Voltaire poglądy i zapatrywania fizyokratów. Bogacz ośmiomilionowy, wolny zupełnie od podatków i ciężarów, jest bijącym w oczy przykładem niesprawiedliwości jednego ogólnego podatku gruntowego. Kupcy, fabrykanci, kapitaliści, najróżnorodniejsi spekulanci, jednym słowem, wszelkie możebne rodzaje przemysłu byłyby w ten sposób wolne od ciężarów, których brzemień przyniałałoby właściciele ziemskich.

W ten sposób wykazuje Voltaire niesłuszność i niepraktyczność proponowanego przez fizyokratów „jednego podatku gruntowego.“ Chcąc jednak pokonać ich zupełnie, niedość dowieść wad tego systemu, potrzeba przedewszystkiem zbić ich teorią przelewu podatków; potrzeba wykazać, iż błędną i nieuzasadnioną jest mniemanie, jakoby wszelkie opłaty, wszelkie podatki musiały spadać li tylko na ziemię, jako na jedyne bogactwo, mogące płacić i jakoby jej posiadacze, dowolnym podniesieniem ceny swych produktów, od tych ciężarów uwolnić się mogli.

Tu, w dziedzinie teoryi, występują w jaskrawym, rażącym świetle słabe strony Voltaire'a. Byłto umysł uniwersalny, zdolny obejmować najróżnorodniejsze przedmioty i umiejętności wszelkiego rodzaju. Człowiek jednak, o którym powiedziano: „iż natura, po wydaniu go na świat, musiała sobie wypocząć,“ nie był prawdziwie uczonym. Odgadł, odczuł raczej zdrowym rozsądkiem, instynktowo przeczuł, poznał błąd fizyokratów, ale dowiedzenie go, dowiedzenie ze stanowiska naukowego, dokładne, gruntowne, oparte na analizie zjawisk ekonomicznych, na zużytkowaniu logicznie z tych zjawisk wyprowadzonych wniosków, zastąpił zwykłą sobie bronią: ironią, śmiechem złośliwym, jadowitym dowcipem. Prawda, iż zaiste po mistrzowsku ośmieszył niepraktyczność zastosowania teoryi fizyokratów, ale ośmieszył ją tylko, ośmieszył jej skutki, dowieść błędu nie umiał...

Wiek XVIII, pod względem smutnego położenia finansowego, nie tylko Francyi, ale i innych państw, wchodzących w skład systemu państwowego Europy, niemiał sobie może równego. Zbliżała się szybkim

krokiem chwila przesilenia. Bankructwo, jak miecz Damoklesa, zawisło nad głowami. Rządy bezradne z założonemi rękami, niewiedząc gdzie, nienmiejąc lub niechcąc szukać ratunku, czekały katastrofy. Była to chwila, w której *Polizeistaat* wystarczyć nie mógł.

Wszyscy widzieli grożące niebezpieczeństwo, wszędzie rozlegały się westchnienia do lepszego stanu. Opinia publiczna była zaniepokojona do tego stopnia, iż każdy czuł się powołanym do szukania ratunku, każdy myślał nad radykalnemi zaradczemi środkami. Co projektów śmiesznych i niepraktycznych, co pomysłów dziwacznych, spłodziła wtedy nieudolność przy dobrych chęciach z jednej, przy ambicji i zarozumiałości z drugiej strony? W *Człowieku o czterdziestu talarach* nie zapomniał Voltaire wymierzyć im zasłużonej chłosty.

Wejdziny na chwilę wraz z tym człowiekiem o czterdziestu talarach na audyencyą do generalnego kontrolera finansów. Przybujemy w sam czas: oto kilku ludzi, głębiej zapatrujących się na rzeczy, przedstawia mu swe projekta. Jeden wynalazł podatek nie tylko nieuczciwy, ale zaszczytny, o płacenie którego wszyscy dobijać się będą. To *curiosum*, to podatek od rozumu. Lecz cóż to? Minister już z góry uwalnia twórcę projektu od tej opłaty! Ktoś drugi proponuje obłożenie jednym ogólnym podatkiem śmiechu i piosnek, wychodząc z tej zasady, iż Francuzi, jako najweselszy naród na świecie, z ochotą płacić go będą. Lecz minister już oddawna nie słyszał wesółych piosenek i obawia się, aby podobny środek nie wywołał zbytnej powagi. Znów ktoś inny stara się dowieść, iż niepodobna zebrać z podatków więcej nad 75 milionów liwrów, aby w tejże samej chwili ofiarować z czystej przyjaźni 225 milionów za wydzierżawienie tychże. „Z prawdziwą przyjemnością przyjmemy jego dobre chęci, skoro tylko państwo spłaci swe długi,” odpowiada p. minister.

W ten sposób chłosta Voltaire i wyszydza błędy najróżnorodniejszych teoryj, przechodząc od jednego przedmiotu naukowego do drugiego, z zakresu jednej umiejętności, wdzierając się na pole drugiej. Tu poruszone nauki przyrodzone, tam muśnięta zlekka fizjologia, ów gdzie pedagogika i medycyna. Czego tam niema, ileż najróżnorodniejszych kwestyi nie traktowano w tém dziełku, obejmującym zaledwie 122 stronic druku? Lecz cóż, wszędzie tak, jak na polu ekonomii politycznej, obok wszechstronności, obok dowcipu i bystrości, ta sama powierzchowność, ten sam brak logicznej ścisłości i dokładności w dowodzeniu, brak jakiegóś obszerniejszej, pewniejszej podstawy; jednem słowem brak prawdziwej, głębokiej, rzeczywistej nauki.

* * *

Poglądy ekonomiczno-polityczne Jana-Jakóba Rousseau, są naturalnym wynikiem jego znanych paradoksów, paradoksów, których Rousseau był tak wymownym, tak żarliwym propagatorem.

W jego *Discours sur l'économie politique* napotyamy porównanie państwa, wziętego indywidualnie, do organizmu. Król, książę, jednem

słowem człowiek, stojący u szczytu, to głowa; prawo i zwyczaj—mózgiem, sędziowie i urzędnicy—organami, handel, rolnictwo, wszelkie rodzaje przemysłu mają być ustami i żołądkiem, przygotowującemi pokarm; finanse państwa—to krew, której obieg *Ekonomia*, spełniając funkcje serca, reguluje w całym organizmie. Obywatele państwa, to jego ciało, to zarazem członki, które poruszają całą tę maszynę i której niepodobna uszkodzić gdziekolwiek, aby ból nie dał się czuć całemu organizmowi. Gdy niema tej wspólności, tej łączności; wtedy ciało to jest w stanie rozkładu – organizm obumarł.

Natomiast zbija Rousseau porównanie państwa do rodziny. Gdyby nawet, mówi on, istniało między nimi podobieństwo takie, jakie chcą mieć niektórzy autorowie, to i wtedy jeszcze nie wynikałoby ztąd, aby prawa i przepisy dobre w rodzinie były odpowiednieni i w państwie. Ojcu, fizycznie już silniejszemu od dzieci, potrzebujących jego opieki i pomocy, natura sama dała tę władzę, którą w Rzymie do tak wysoka, jako *patria potestas* posunięto. W państwie urzędnicy od najwyższych do najniższych władzę swą otrzymali nie od samej już natury, lecz prosto w skutek dobrowolnego im poruczenia—umowy. Minęły już czasy, w których majestat otaczano jakąś aureolą niebieską, gdy pomazańców Boskich uważano istotnie za jakichś półbożków, gdy ród ich wyprowadzano z Olimpu. Możliwem było to jeszcze w czasach ogólnej ciemnoty, gdy na jej tle ludzie istotnie wyżsi, czyto fizycznie, czy umysłowo—imponowali masom. W owymto czasie, panujące rody były istotnie czémś wyższem od tłumów swych poddanych; w miarę jednak postępu cywilizacji, w miarę rozpraszania się ogólnej ciemnoty, rozjaśnia się powoli samo tło, coraz więcej w niem jasnych punktów: tak zinniejsza się, ginie wreszcie przestrzeń, dzieląca króla od poddanych. Najpierw pojedyncze, potężne rody równają się z królewskim; szybko idą za niemi inne: coraz ich więcej. Coraz bardziej, coraz jaśniej wytwarza się opinia, iż głowa koronowana niczem nie różni się od innych. Wyższość istotna niknie, a w miarę rozpowszechniania się oświaty i cywilizacji zaciera się coraz bardziej faktycznie, pierwiej istniejąca różnica. Im bowiem więcej słabych, niewykształconych; tém bardziej odbija siła, rozwinięcie i t. p.; stopniowo zaś z zmniejszeniem się liczby pierwszych, bliednieją zalety, rozpowszechniające się coraz bardziej. Śmiesznem byłoby zaiste chcieć jeszcze teraz utrzymywać jakąś istotną wyższość pomazańców Bożych, których zbiór cały, tak nicciekawych okazów, przedstawia nam historia.

Różnica więc pomiędzy rodziną a państwem jest przyczyną rozdziału gospodarstwa prywatnego od publicznego, i jak prawa ludzi, stojących u ich steru, nie pochodzą z jednego źródła, tak téż, pomimo wspólności celu—i środki przez nich użyte, muszą różnić się w istocie rzeczy. W ten sposób zbija Rousseau patryarchalny system Filmer'a.

Podstawą, na której opierać się powinien każdy krok państwa na polu gospodarstwa społecznego, musi być prawo i cnota. Gdzie tych dwu warunków nie uwzględniono, tam nic nie pomogą wszystkie

nędne sposoby i sposobiki, cała polityka gabinetowa. Miłość ojczyzny, poczucie obowiązku: oto *conditio sine qua non*. Lecz jakżeż szukać téj miłości ojczyzny tam, gdzie ludy, upadając pod brzemieniem ciężarów, nie odnoszą z nich żadnej korzyści; gdzie prawo, sprawiedliwość są czczemi frazesami; gdzie państwo domaga się tylko ofiar, narzuca obowiązki, nie dając w zamian praw żadnych. Niech państwo okaże się w rzeczy samej ojczyzną-matką, nie zaś macochą, matką wszystkich bez wyjątku; niech korzyści, które przynosi swym członkom, będą rzeczywistemi nie zaś fikcyjnemi: a gdy prawo da każdemu spokój i opiekę, gdy odpowiednia forma rządu zapewni mu współudział, gdy wszyscy poczują się jak „u siebie:” wtedy miłość ojczyzny będzie miała pewną racjonalną podstawę bytu, wtedy wejdzie ona w czyn, przestając być czczym, szumno-brzmiającym, a w istocie niezrozumiałym frazesem.

Podstawą zatem, na której opierać się powinien każdy krok państwa na polu gospodarstwa społecznego, jest według Rusa prawo i cnota. Aby zadość uczynić tym obu warunkom, potrzeba mieć cnotliwych obywateli. Lecz cnotliwi obywatele nie spadają już gotowi z deszczem, wykształcenie ich nie jest sprawą jednej chwili. Chcąc mieć ludzi, trzeba rozpocząć od dzieci. Od pierwszej chwili należy je uczyć zasługiwania na życie. Jak bowiem od urodzenia korzystamy z opieki praw, tak téż chwila ta powinna być początkiem spełniania naszych obowiązków. Jeśli są prawa dla wieku dojrzałego, powinny téż być i dla dziecięcego. Jeśli słusznie nie pozostawiamy rozsądkowi żadnej jednostki przywileju bycia nieomylnym sędzią jej własnych obowiązków, to tém bardziej niepodobna powierzać wychowania dzieci rozsądkowi lub ciemności rodziców.

Wychowanie publiczne wedle przepisów, udzielane przez urzędników państwowych, oto ideał Jana-Jakóba. Trzy tylko ludy miały coś podobnego u siebie: Kreteńczycy, Spartanie i starożytni Persowie; u wszystkich wydało to najzbawienniejsze skutki. Zdziwiałem jest, iż w Rzymie nie znajdujemy śladów podobnego systemu. Lecz Rzym, mówi Rousseau, był przez lat pięćset czémś niezwykłym, cudownym, czémś, czego nie spodziewajmy się ujrzeć powtórnie. Cnota Rzymian zahartowana nienawiścią i obawą rządów i zbrodni tyrańskich, równie jak miłością wrodzoną ojczyzny, zrobiła ze wszystkich domów prywatnych tyleż szkół, w których kształcili się przyszli *Cives Romani*.

Niedość jednak wychować cnotliwych obywateli, trzeba pomyśleć o ich bycie, o sposobach zapewnienia im egzystencji. Naturalnie nie polega to na napełnianiu zbożem ich śpichlerzy, na rozdzielaniu środków żywności między próżniaków i darmozjadów. Ulżenie indywiduom warunków ich bytu w ten sposób, aby każda jednostka otrzymać mogła przypadającą jej część bogactwa wspólnego, stosowną do usług, jakie społeczeństwu oddaje, tak aby praca zawsze była potrzebną, nigdy zaś bezowocną: oto zadanie państwa na polu gospodarstwa społecznego, oto prawdziwość, które każdym krokiem jego kierować winno.

Wypowiedziawszy na śmierć wojnę zbytkowi, wynosi Rousseau pod niebiosa zalety rolnictwa. Handel, operacje pieniężne denerwiają, osłabiają tylko według niego ludy, budząc w nich egoizm, chciwość i przedajność. Kto chce zyskać „bądźcobańdź,” ten zwykle staje się łotrem, oszustem, słumiwszy w sobie wszelkie uczucia honoru, prawości. Ludzie obracający pieniędzmi, przez których ręce przesuwają się co chwila olbrzymie summy, wystawieni na ciągłe pokusy, ulegają im w końcu, nie wahając się napełnić swych kieszeni groszem publicznym. Czemżeż zaś są ci, którym poruczono ich kontrolę, pewien nadzór? nie ichże to współnicy biorący *pro parte rata* udział w tych spekulacjach „lewą ręką?” Chcąc zatem tego uniknąć, chcąc odjąć wszelką pokusę, proponuje Rousseau, żeby zreformować całkowicie system skarbowy, urzędnikom płacić *in natura*, znieść papier stemplowy, mało dbać o handel i przemysł, otaksować zaś bydło, obłożyć podatkiem ziemię, ziemię przedewszystkiem, jak chcieli fizyokraci, „gdyż to co produkuje, płacić powinno.” Zuów błąd tak rozpowszechniony w XVIII-ém stuleciu.

Cóż mówić teraz w wieku XIX, w wieku kolei, telegrafów, telefonów i fonografów, o tych pomysłach genewskiego filozofa! W praktyce poprowadziłyby najkrótszą drogą do rządów spartańskich, do praw Likurga. „Uprawiajcie nauki, uniejętności, sztuki; oddajcie się duszą całą przemysłowi, handlowi; postarajcie się o dzielną armią, warowne twierdze, zaprowadźcie przedewszystkiem dobry system skarbowy ułatwiający jak najszybszą cyrkulacją pieniędzy, a co najważniejsze dostarczający wam ich dużo, a stanicie się ludem chciwym, słuźalczym, ambitnym, żądnym krwi i zaborów, zdolnym do łotrostw i zbrodni, jak tyle innych. Niepoślednie zajmiecie miejsce w systemie państwowym Europy, stanicie się strasznymi sąsiadom, ubiegać się będą o waszą przyjaźń, skrepują traktatami, układami, w żadnej o was nie zapomną wojnie. Lecz gdybyście wypadkiem nie idąc z duchem czasu zechcieli pozostać ludem wolnym, roztroprnym, spokojnym; to oddajcie się rolnictwu, myślcie o zaspokojeniu niezbędnych li tylko do życia potrzeb, obrzyźdźcie sobie pieniądź, oduczcie się, jeśli można go używać.” (*Du gouvernement de la Pologne*. Chap XI).

Rousseau zapomniał jednak, iż mówiąc o rolnictwie, o opędzaniu najprostszych nawet potrzeb życia, niepodobna pominąć kapitału, jako jednego z niezbędnych trzech czynników każdej produkcji. Niedosć wołać: „Uprawiajcie dobrze swe grunta, a reszta przydaną wam będzie, wkrótce zaczniecie opływać w złoto, będziecie mieli go więcej nad wasze skromne potrzeby.” W żaden sposób nie będzie można dojść do tych rezultatów bez handlu, bez przemysłu, do czego przecież kapitał jest niezbędnie potrzebnym. To téż system ten doprowadza go do tego, iż życzy sobie zniesienia miast, tych ognisk postępu i cywilizacji, cywilizacji, przeciw której wystąpił zaczepnie już w swéj rozprawie nagrodzonej przez akademią w Dijon.

Jego filozofia prywatności, oparta na poskramianiu potrzeb, na ciągłej wstrzemięźliwości raczej, niż na wynajdywaniu środków ku ich zaspokojeniu, nie jestże istotnie negacją wszelkiego postępu, zaporą cywilizacji? Czyż prawo potrzeby, jak mówi Hocfer, nie jest bodźcem geniuszu? Czyż nie pobudza nas ono do wielkich odkryć, znakomitych wynalazków, będących chwałą czasów naszych? To *ascende superius* popychające nas naprzód, to dewiza pracy, czynu. Takie zaś zdania jak np. „Najbogatszym jest ten, kto ma najmniej potrzeb.” „Ten pan zdaniem mojem, kto przestał na swoim;” lub owa zachwalana *aurea mediocritas* to godło próżniactwa, próżniactwa wydającego w praktyce jak najsmutniejsze owoce. Zarówno w życiu narodów jak i jednostek niezliczone spotykamy tego dowody...

Lecz dość już o poglądach ekonomicznych filozofów z Ferney i Genewy. Obecne stanowisko ich na polu ekonomiki oddać można najlepiej jednym wyrazem *überwundener Standpunkt*.

Dorpat, wrzesień 1878.

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA ¹⁾.

Dziela nagrodzone przez Akademię Francuską: dwie konkursowe rozprawy o Buffonie.—*Życiorys kardynała de Retz*, p. Chantelausa.—*Monografia domu Saulz-Tavannes*, p. Pingaud.—*Historya Gwizyuszów*, p. Ferneron.—*Historya Monteskiusza*, p. Vian.—*Życiorysy generała Pojol i Klebera*, p. Pajol.—*Obraz literatury francuskiej*, 1800—1815, p. Gustawa Marlot.—*Epoka odrodzenia*, p. Gobineau.—*Historya Rosyji*, p. Al. Ramband.—*Szkoły w krajach północnych*, p. Hippoau.—*Biografia Dawida z Angers*, p. Jonin.—*O harmonii dźwięku*, p. Rambosson.—Przekład z angielskiego dzieła *O Rosyji p. Makenzie Wallace*, przez Bellanger'a.—*Gramatyka historyczna*, p. Desporouse.—*Filologiczne rozprawy Darmestettera*.—*Człowiek dawnych czasów*, p. Costa de Beauregard.—*Montcalm i Kanada francuska*, p. Bouvechosa.—*Powieść Dosia*, p. Henri Grevillo.—*Wśród pastwisk*, Gustawa Lovasseur.—*Przy ognisku*, Oktawiusza Noel.—*Życiorys panny Sawau*, p. Emila Gossot.—*Poemata i pieśni* p. Blanchemin.—*Zarysy krytyki artystycznej*, p. Bougot.—*Wycieczka na Mont-Blanc*, Karola Durier.—*Podróż po Egipcie*, p. Rhone.—*Od bieguna pod równik*, p. Dubois.—Doroczne zebranie pięciu wydziałów Instytutu.—Mowa Laboulaya przeciwko ewolucjonistom.—Ustęp odczytany przez Legouvego z dzieła p. t.: *Nasze córki i nasi synowie*.—Zbiór poezyi Franciszka Coppée: *Les Recits et les Elegies*.—*Questions d'Art et de Litterature*, pośmiertne dzieło Georges Sand, tomów 3.—*Polieukt*, opera Gounoda, libretto Juliusza Barbier.—Ocenienie narzędzi optycznych p. Prażmowskiego, przez dr. Pelletan.—Nowe hipotezy o pochodzeniu Aryów, Teodora Poesche.—Filibrosy prowansalskie w Paryżu.—*Szczerbiec bez szczyby*.—Malarze i rzeźbiarze polscy na tegorocznej wystawie sztuk pięknych w pałacu przemysłowym.—Statystyka nagród otrzymanych przez różne państwa na wystawie powszechniej.

Wystawa skończona; czas nam wrócić do literatury. Uplątione półtrocze, co tak hojnym sypnęło plonem na polu przemysłu i sztuk pięknych, nie tyle szczerdrem okazało się w literaturze. Wbrew naszym oczekiwaniom, a z wielkim zgorznięciem krytyków francuskich, żaden teatr nie wystąpił z żadnym znakomitym dramatem lub komedią. Na jednych odgrywano same dawne sztuki, na drugich farsy nastreżone swawolnym dowcipem. Dyrektorowie teatrów zbyt lekko traktowali obcą publiczność: wszyscy jak się zdaje, wzięli za hasło: „dla cudzoziemców i to będzie dość dobre!” Sąd bardzo mylny! cudzoziemiec mniej wtajemniczony w połyski dowcipu francuskiego, widział tylko

¹⁾ Spóźnione z powodów niezależnych od woli korespondentki.

plaską i niesmaczną stronę tych krotochwil, któremi karmiono go do tyla, iż przy najlepszej woli, smutne powziął wyobrażenie o teatrach francuzkich.

W wydawnictwie książek, widoczna téż była stagnacya; tę jednak łatwo pojąć. Przeglądy i pisma, zajęte wyłącznie wystawą, nie miały czasu mówić o nowych publikacyach. Przejorni wydawcy woleli téż zatrzymać się z niemi do spokojniejszych czasów. Spodziewać się można, iż nowy rok przyniesie nam wkrótce bujne żniwo.

Jeżeli teatra i księgarnie zawiodły obcych przybyszów, nie zawiodła ich przecież Akademia. Raport stałego jój sekretarza o dziełach uwieczonych, odczytany w sierpniu, dał poznać światłym cudzoziemcom twórczość geniuszu francuzkiego, objawiającą się we wszystkich gałęziach literatury. Od tego raportu i my zaczynamy kronikę naszą.

Przed laty dwoma Akademia ogłosiła za przedmiot do konkursu, *Rozprawę o Buffonie*. Wielki ten pisarz, równie genialny w pomysłach jak i wytworny w stylu, którego Cuvier uznawał za mistrza, upadł był w opinii realistów dzisiejszych. Akademia postanowiła sprostować sąd ogółu: w tym celu głosiła wspomniony konkurs. Nadesłano ośmnaście rozpraw; z tych dwie równej wartości, zwróciły szczególną uwagę. Za każdą z nich przysądzono po 2,000 franków nagrody. Odpieczętowano koperty: jedna zawierała nazwisko młodego profesora Hemon z Rennes, druga Narcyza Michaut, doktora prawa z Nancy: notatka z podpisem ojca i matki, oznajmiała zarazem, że syn ich umarł w trzydziestym roku, ukończywszy zaledwie pracę: nagrodę posłano rodzicom.

Przedmiotem następnego konkursu ma być rozprawa o *Mari-vaux*, autorze dramatycznym z początku XVIII wieku, którego sztuki dotąd jeszcze grywane w teatrze, określają wiernie charakter czasu swego.

Wielką nagrodę *Gaubert* w ilości 20,000 fr. Akademia przyznała p. Chantelauze, za obszerne dzieło pod tytułem: *Kardynał de Retz*. Wkoło téj postaci autor ugrupował wypadki XVII wieku, odnoszące się do tak zwanéj *Frondy*, wojny domowéj przeciw Mazaryniemu, za małoletności Ludwika XIV. Dzieło pisane stylem świeżym, pamiętnikowym, obok głębszycy erudycyi, ma jeszcze tę zaletę, że w jaskrawych barwach odtwarza wiek swój, a tém samém porywa uwagę czytelnika.

Mniejszą nagrodę *Gaubert*, (6,000 fr.) otrzymał p. Pingaud autor *monografi domu Saulx Tavannes*. Jest to historia jednéj rodziny, przedstawiona w szeregu wieków; obyczaje każdéj epoki, odmalowane właściwym kolorytem. Panuje tu nad innemi typowa postać Kacpra de Tavannes, słynnego wodza z wieku XVI. Do jego czasów, Tavanowie służyli książętom burgundzkim; po przyłączeniu feudalnego księstwa do Francyi, Kacper poświęcił się służbie Walezyszów; stał się potężnym ich ramieniem. Był to wierny typ dawnych rycerzy średnio-

wiecznych, zabłąkany wśród nowych ludzi i nowych czasów. Silny jak tur, odważny, chciwy przygód, lubił wojnę dla wojny, nie gardził także łupem. Bez skrupułu szafował krwią nieprzyjaciół, lecz hojnie wytaczał też i własną.

Dwaj synowie jego Jan i Wilhelm: pierwszy gorący przyjaciel Henryka IV, drugi żarliwy stronnik Ligi, w ciągu trzech lat zawzięcie walczyli przeciw sobie. Potomkowie ich nie umieli utrzymać sławy domu: ród ich wygasł ze szczętem.

Tego rodzaju monografie przypadły szczególnie do smaku nowej szkole historyków francuzkich. P. Fornerou napisał w dwu tomach *Historię książąt Gwizyuszów*. Jest to rzecz można historya Francji XVI wieku, Gwizyusze bowiem trzęśli krajem przez lat ośmdziesiąt. Pierwszy z nich Klaudyusz, najmłodszy syn udzielnego księcia Lotaryngii, występuje na widownię, u boku Franciszka I. Zawołany szermierz, łamie dzielnie kopie na turniejach, z równą dzielnością stawia czoło wojskom cesarskim. Chciwą ręką zagarnia łupy, chwytą ziemie i grody z rąk królewskich, wyciska pot krwawy z biednego ludu. Za jego to czasów powstał charakterystyczny czterowiersz.

Gwizyuszów dom bogaty,
Siła złota ma w szkatule;
Swe dzieci stroi w szkarłaty,
A z ludzi zdiera koszule!

Drugi z książąt Franciszek, błyszczy w dziejach, odwagą bohatérską, odpiera Niemców od Metz, wydiera Calais z rąk Anglików: pada wreszcie ugodzony zdradziecko, pod murami obleżonego Orleanu. Trzeci z rządu Henryk *Szramowaty* (le balafre), staje na czele Ligi przeciwko Hugonotom, a zarazem podkopuje tron Walezyuszów. Okoliczności sprzyjają mu; korona przeszła wtedy na głowę zbiegłego z Polski Henryka III: naród gardzi niedołężnym królem. Gwizyusz korzysta z powszechnej niechęci; zniewala sobie lud, podżega Paryż przeciw monarszej władzy. Zwołał już stany generalne; wnet wymierzy ostatni pocisk: koronę wydarta Henrykowi, włoży na własną głowę. Zrozpaczony król ratuje się zbrodnią od zguby. Henryk *Szramowaty* pada, zamordowany przez siepaczy Henryka Walezyusza.

P. Forneron otrzymał za monografią Gwizyuszów połowę nagrodę *Therouanne*. Drugą połowę przyznano p. Luchaire za *Żywot Alana Wielkiego, pana Albretu*. Wierny to obraz wieku XV, historia ostatniej walki feudalizmu przeciw absolutnej władzy królów francuzkich, skreślona żywotnie, w sposób dramatyczny.

Nagrodę fundacyi *Guizota*, Akademia przeznaczyła p. Vian, za historię Monteskiusza. Autor nie rozbiera krytycznie prac sławnego prawoznawcy i filozofa, o którym zapisano już całe foliały; kreśli poprostu ciekawy jego życiorys, wzbogacony mnóstwem nowych, nieznaných

dotąd szczegółów. Opisuje liczne przejażdżki prezydenta: pokazuje go w codziennem życiu, w stosunkach z domownikami i przyjaciółmi.

Generał Pajol otrzymał nagrodę fundacyi *Halphen'a* za zyciorysy dwu generałów: ojca swego Pajola i Klebera. Żywoć ojca opowiedziany poprostu, z wielką werwą, obejmuje trzy tomy. Jest to historia wojen Napoleońskich, w których Pajol brał czynny udział. Piękna to postać w rycerskich dziejach Francyi, z początków tego wieku. Zaciągnąwszy się jako prosty ochotnik do wojsk rzeczypospolitej, Pajol przebiegał szybko ze szczebla na szczebel, aż nakoniec stanął na najwyższym, jako generał dywizyi.

Autor dzieła naśladował wiernie ojcowski przykład. Pierwszém jego polem był Alger; z wojny krymskiej powrócił generałem. Między jedną a drugą kampanią, ledwie wypuścił z ręki szpałę, porwał za długi, oddał się rzeźbie z najżywszym zapalem. Z pracowni jego wyszły dwa spiżowe posągi: jeden z nich, pierwszy hołd oddany ojcowskiej pamięci, zdobi dziś plac publiczny w Besançon: drugi przedstawiający Napoleona I, panuje nad mostem w Montereau. W końcu generał podjął pióro: styl jego zda się ulany ze spiżu; rąbie słowem jak mieczem: łatwo odgadnąć w nim rzeźbiarza i starego żołnierza.

Nagrodę *Bordn* za prace treści czysto-literackiej, akademia rozdzieliła między dwu laureatów. Summę 2,000 franków otrzymał Gustaw Merlet, autor *Obrazu literatury francuzkiej od r. 1800 do 1815*. Głęboki erudyta wziął sobie za cel przypomnieć Francyi zasłużonych pracowników, których słowo przebrzmiało w narodzie zgłuszone szczękiem stali i hukiem armat. Zapełnił tym sposobem szczerbę w literaturze francuzkiej; pokazał dowodami, że wielcy przewodzcy romantycznego przewrotu, jak Lamartin i Wiktor Hugo, mieli już mniej znanych poprzedników, którzy pierwsi łamali dla nich lody i karczowali drogę.

Pozostałą część nagrody otrzymał hr. Gobineau za dzieło p. t. *la Renaissance*. W długiej seryi obrazów, pełnych życia i wdzięku, autor wybornie skreślił ciekawą epokę *odrodzenia*.

Liczba i znaczenie dzieł przysłanych do konkursu, zmusiła również akademię do rozdzielenia nagrody *Guerin* (5,000) pomiędzy czterech autorów: pierwsza przypadła p. Alfredowi Rambaud, profesorowi uniwersytetu w Nancy, za *Historję Rossyjską*, skompilowaną z rozmaitych dzieł i rozpraw. P. Rambaud należy do téjże samej szkoły co i p. Leger; trudno więc wymagać od niego bezstronności. Styl żywy, przedstawienie rzeczy łatwe i zręczne, a może i uprzedzenia tych którzy rozpatrywali jego pracę, wszystko to razem wpłynęło na przychylny sąd akademii.

Drugą część nagrody (1,000 fr), otrzymał p. Hippeau, członek rady wychowawczej w ministryum oświecenia, za raport ze stanu szkół w krajach północnych. Uczony ten pedagog, zwiedziwszy dawniej wszystkie ważniejsze instytucje w Europie i Ameryce, odbył nakoniec podróż do Danii, Szwecyi, Norwegii i Rossyi. Owocem téj

ostatniej podróży jest właśnie uwiecznione dzieło, pełne ciekawych szczegółów o wychowaniu w krajach Skandynawskich.

Inna część nagrody przypadła p. Jouin, za nadzwyczaj zajmującą biografią Dawida z Angers, wydaną w dwu ozdobnych tomach z stalorytami. Postać wielkiego rzeźbiarza oddana z miłością. Żałujemy tylko, że autor, pokazując Dawida poza obrębem życia artystycznego, nie postarał się o bliższe szczegóły, dotyczące się przyjaznych stosunków jego z Mickiewiczem. Wzajemna ta sympatya dwu genialnych ludzi, dwu koryfuszów romantyzmu, zawiązana w Weimarze, jak wiemy z listów szanownego A. E. Odyńca, przetrwała do czasów ostatnich. P. Jouin zbywa ten stosunek zbyt pobieżnym wspomnieniem. Krytyczne ocenienie utworów Dawida, stanowi główną wartość znakomitą z kądinąd pracy.

P. Rambosson, autor dzieła o *Harmonii dźwięku*, otrzymał ostatnią część nagrody Guerin. Jestto traktat patologiczno-muzyczny, pokazujący wpływ muzyki na fizyologią człowieka. O tém dziele, pełnym nowych a śmiałych pomysłów, mówiliśmy już w jednej z dawniejszych korespondencji.

Nagroda *Langlois*, za najlepiej dokonany przekład, przysądzoną została p. Bellanger tłumaczowi angielskiego dzieła p. Makenzie Wallace p. t. *Rossya: kraj, instytucye, obyczaje*. Dzieło to wypracowane z głębokim na rzeczy poglądem, tak wielką znalazło wziętość w Anglii, że w ciągu kilku tygodni, rozbiegło się w 35,000 egzemplarzach. Wartość jego niezmiernie téż większa od wspomnianej wyżej, kompilacyi p. Rambaud.

Nową nagrodę, fundacyi p. *Desperouse*, za filologiczną publikacyą, rozdzielono pomiędzy dwu lingwistów: 2,500 fr. otrzymał z niej pan Marty-Loveaux, wydawca Plejady Ronsardowej, dzieł Rabelais'go i Lafontaine, z obszernymi komentarzami. Oprócz tego uczony filolog wydał *Gramatykę historyczną* nadzwyczaj wielkiej wagi. Tłumaczy tu pozorne sprzeczności francuzkiego języka, pokazuje w nich zabytki różnych epok.

Resztę nagrody (1,500 fr.) przysądzono młodemu lingwiście p. Darmestetter, za dwie filologiczne rozprawy o wyrazach składanych i neologizmach. Uczeń nowej szkoły, wkopuje się głęboko w przedmiot, bada rzeczy do gruntu, z cierpliwością benedyktyńską. Sekretarz akademii pochwała ten kierunek, który w oczach sąsiadów zasłoni Francją od złośliwych szyderstw, z tak zwanéj *leichte literatur!*

Z owych wyzryn naukowych na popularniejsze pole sprowadza nas szereg dzieł uwiecznionych, w myśl fundacyi *Monthion'a*. Z pomiędzy dziewięćdziesięciu trzech przedstawionych do konkursu, jedenaście otrzymało nagrody, trzy w ilości 2,000 fr. inne po 1,500.

Pierwszą przyznała akademia p. Costa de Beauregad, za dzieło p. t. *L'Homme d'autrefois* (człowiek dawnych czasów). Autor, Sabaudczyk rodem, kreśli obraz dziada swojego. Ów dziad Henryk de Costa, przywieziony był do Paryża w r. 1767. W listach do ojca i matki, do-

tańd przechowywanych w rodzinie, wszystko co widzi opisuje najdokładniej, sądzi po swojemu ludzi i rzeczy. Poznał Diderota, od którego stroni ze wstrętem; zaglądał do pracowni najśłynniejszych mistrzów: Vanloo, Greuza i Boucher'a; żartuje dowcipnie z ich słabostek, mierzy skalą własnych pojęć: wielkich ludzi współczesnych.

Później zbliża się do Józefa de Maistr'a, wchodzi z nim w przyjacielskie stosunki; lecz nie podziela jego filozoficznych zasad: protestuje przeciw nim całym szeregiem listów, nadzwyczaj zajmujących. Później jeszcze, po zwycięztwach Bonapartego we Włoszech, spotyka tryumfatora; w imię króla Piemontu wchodzi z nim w układy o zawieszenie broni. Spotkanie to opowiedziane w żywy i dramatyczny sposób.

Stary Costa czuł się więcej Sabaudczykiem niż Francuzem; wnuk wyrosł pod wpływem nowych pojęć. W r. 1871 walczył mężnie na czele mobilów sabaudzkich, brat jego poległ w obronie Francji. Te świeże zasługi, dobrze uprzedziły akademią; przyznała nagrodę p. Costa, z wyraźnym jednak zastrzeżeniem, że uczone grono nie podziela patriotycznych uczuć jego dziada, przyrosłych wyłącznie do kolébki sabaudzkiej.

Drugą nagrodę otrzymał Karol Bonnechose za historyczną pracę: *Montcalm i Kanada francuska*. Mówiliśmy obszernie w swoim czasie o tej znakomitej pracy, w której autor, z wielką potęgą uczucia i talentu, maluje smutny dramat rozwiązany bohaterskim skonem Montcalma, pod murami Montrealu i przejściem Kanady w moc Anglików.

Autorka znana pod pseudonimem *Henri Greville*, odebrała trzecią nagrodę, za powieść p. t. *Dosia*, osnutą na tle społeczeństwa rosyjskiego, tchnącą jak mówi sprawozdawca, aromatyczną wonią salonów petersburskich.

Odmianą całkiem wonią tchnie inne uwieńczone dzieło Gustawa Levasseur: *Dans les herbages* (Wśród pastwisk). Autor, właściciel posiadłości ziemskiej w Normandyi, orze z zamiłowaniem swój zagon, zna każdą piędź swój ziemi, każde źdźbło trawki na żyznych swoich łąkach. W chwilach spoczynku szkicuje obrazki z natury; maluje wieśniaków normandzkich przy pracy, przy zabawie, przy ognisku domowym. Każdy obrazek czy to prozą czy wierszem, uderza barwą prawdziwie oryginalną, i wielką siłą przy całej swój prostocie.

Inne uwieńczone dzieło Oktawiusza Noel, p. t. *Przy ognisku*, przenosi myśl w inne zupełnie sfery. Nie są to już powiastki z życia, ale ekonomiczne teorye przedstawione jak najpopularniej, dla powszechnego użytku. Autor pragnie, aby podniesione przezeń pytania, dotąd rozbiegane tylko naukowo, wnikły w obręb domowych ścian, zajęły umysły tak robotników jak i ludzi światowych. Mówi on o majątku prywatnym i publicznym, tłumaczy utworzenie się własności, znaczenie kapitału, zasady kredytu i instytucji bankowych. Pokazuje dobroczynny wpływ machin, które nie usuwają ręcznej pracy, lecz przychodzą jej w pomoc; odróżnia wreszcie dobrobyt od nagannego zbytku, zakreśla granice między jednym a drugim... Pożyteczne to dziełko,

wchodzi zupełnie w myśl fundatora konkursu Monthion'a, równie żarliwego filantropa jak biegłego ekonomisty.

Toż samo powiemy o uwieńczonej książeczce p. Emila Gossot. Jestto życiorys panny Sauvau, zasłużonej w zawodzie pedagogicznym. Mianowana, przed pięćdziesięciu laty, inspektorką szkół żeńskich w Paryżu, wprowadziła zbawiennie reformy, zwłaszcza do szkółek elementarnych. Pełna serca i energii, rozsiewała światło szczerą ręką; prace o wychowaniu wielokrotnie zjednały jej nagrody. Autor uczcił godnie pamięć kobiety tak zasłużonej w kraju.

Do konkursu Monthion'a wchodzi jak wiadomo, dzieła z rozmaitych gałęzi literatury: osobne nagrody przeznaczone są za poezją, osobne za podróż i krytyczne rozprawy. Nagrodę poezyi otrzymał w tym roku Prosper Blanchemin, za tomik p. t. *Poemata i pieśni*. Powiemy o nich po bliższem rozpatrzeniu.

Nagroda za krytyczną pracę, p. Bouqot, autorowi dzieła: *Zarysy krytyki artystycznej*. W pierwszej części autor rozbiera stronę teoretyczną; wykazuje potrzebę krytyki, określa jej prawa. W drugiej części daje historią krytycznych poglądów we Francyi, zatrzymuje się szczególnie nad Diderotem, twórcą nowych, nieznanych przed nim zasad.

Trzy wreszcie opisy podróży zakończają szereg dzieł z konkursu Monthion'a. Pierwszy podróżnik, Karol Durier porywa z sobą czytelnika na wierzchołek Mont Blanc, wiecznym pokryty śniegiem. Drugi p. Rhone z erudycją ożywioną talentem pisarskim, kreśli ciekawy obraz Egiptu, z jego starożytną cywilizacją i życiem dzisiejszych mieszkańców. Trzeci nakoniec Dubois, przebiega niezmierną przestrzeń od bieguna pod równik; wprowadzie on sam nie widział tych obszarów, wiadomość o nich zaczerpnął tylko z książek i bujnej wyobraźni. Akademia nagrodziła jego dzieło, jako zajmujące i pożyteczne.

Oprócz tych nagród konkursowych, akademia rozporządza jeszcze kilku innymi, których cel pozostawiony wyłącznie do jej uznania, a określony przez fundatorów ogólnem orzeczeniem: *na pożytek literatury*. Jedną z tych nagród, bezimienną fundacyi, w ilości 5,700 fr. rozdzielono w tym roku pomiędzy dwu poetów: Edwarda Grenier i Józefa Souлары. Pierwszy z nich kilkakrotnie zbierał już wieńce akademickie. Ostatni poemat jego *Marcel*, tém bardziej dla nas zajmujący, że akcja dramatyczna odbywa się w kraju naszym, z którym poeta szczerze sympatyzuje. Souлары zamieszkały w Lionie dał się poznać zbiorem bardzo udatnych poezyi. Powiemy o nich później.

Drugą nagrodą *Latour-Laudry*, akademia obdarzyła w połowie Gustawa Toudouze, za pierwsze jego literackie próby, nacechowane pięknym stylem, myślą wzniosłą i zdrową. Powieści: *Czara Herkulesa*, *Skrzynka Salomei*, *Oktawiusz*, zwróciły uwagę sędziów, w sposób zaszczytny dla młodego pisarza. Podzielił z nim nagrodę stary kapitan dragonów, ogorzał słońcem Algeru, Emil Andrieu, autor zajmujących *Scen i obrazów z życia afrykańskiego*.

Ostatnią wreszcie nagrodę, *Lambert*, przeznaczono jednomyślnie Ksaweremu Aubryet. Zdolny ten pisarz, przed dziesięciu laty rozpoczął zawód literacki, szeregiem oryginalnych powieści, i niemniej samodzielnych rozpraw krytycznych. Od r. 1874 dotknięty paraliżem, pozbawiony wzroku, wśród zupełnej bezwładności zachował przecieź zdrowy umysł, a co więcej werwę humorystyczną. Ostatni utwór jego p. t. *U nas i u sąsiadów naszych*, pełen trafnych spostrzeżeń, nie ustępuje pracom dokonany w pełni sił, przewyższa je nawet wytrawnością filozoficznych poglądów.

Jak widzimy, akademia rozdała wszystkie nagrody, jakie miała do rozporządzenia w tym roku. Wiele z nich rozdzieliła na dwie lub trzy części, w skutek wielkiej liczby dzieł nadesłanych na konkurs. Pięknie to świadczy o intelligencji i pracowitości Francuzów.

Kilka tygodni temu, w dniu 25 października, pięć akademii składających Instytut francuzki, obchodziło ośmdziesięcio-dwuletnią rocznicę istnienia swego. W tych uroczystościach, jak wiadomo, każda akademia przemawia przez usta najuczestniejszych przedstawicieli swoich, prezydujący zaś obowiązany zreasumować prace zbiorowego ciała. Na tegoroczném zebraniu prezydował Labouley.

Znakomity mówca przypomniał najprzód słowa Cuviera wyrzeczone sześćdziesiąt lat temu, w podobnej okoliczności, słowa pokazujące silny wpływ nauki na postępek społeczeństwa. Pochwyciwszy tę myśl, Labouley wysnuwa ją dalej; rzuca wzrok na wystawę, to żywe świadectwo tryumfu człowieka nad ujarzmioną przezeń przyrodą. Z ogólnego poglądu przechodzi do szczegółów, pokazuje w druku i dziennikarstwie bezpieczną tarczę samorządu; w kotle parowym, rękojmią nie tylko dobrobytu, ale co więcej, równości między ludźmi.

„Cofnijmy się—ręczę—o lat sto: mamy we Francyi trzy ludy: włościan, mieszczan i szlachtę. Wieśniak w siermiędze i sabotach, chodzi pieszo, nie umie wcale czytać. Mieszczanin w kapocie barakanowej, podróżuje *kukulką*, czyta postanowienia parlamentu; szlachcic strojny w bławat i aksamit, z czerwonymi obcasami u trzewików, nosi przy boku szpadę, jeździ kareta, czyta lub przerzuca Encyklopedyą i Woltera. Dzisiaj wszyscy odziani suknem, obuci jednakowo, czytają też same dzienniki, podróżują ciągnieni tym samym parowozem lub parostatkiem. Kiedy wszyscy żyją w jednaki sposób, kiedy wszystko sprzyśięgło się na rzecz równości, co znaczą przywileje?”

Z kolei rzeczy mówca pokazuje wpływ nauk ścisłych na historią, na ekonomią polityczną, na filozofią, a szczególnie na politykę. Przynajmniej tu jego słowa: „Idea porządnego rozwoju, przykład natury, nie działającej nigdy dorywczo, dały nam poznać, że czas, to jeden z najpotężniejszych żywiołów w sprawach ludzkich. Nie wierzymy już w systemata, sławione w końcu zeszłego wieku, nie oczekujemy odrodzenia ludzkości po deklaracyi praw człowieka, po jakiejś konstytucyi doraźnie zaimprovizowanej. Mędrsi od ojców naszych, nauczani ich

doświadczeniem, nie marzymy już o stanie natury, jak marzył niegdyś Rousseau, nie smakujemy w komunizmie Platona, przestrojonym na krój francuzki przez Mablego; przyjmujemy społeczeństwo jakim uczyniły je wieki, społeczeństwo ucywilizowane, oparte na własności i pracy; są w niém zapewne niedostatki, (doskonałość nie jest udziałem ludzkim), ale jedyny to żywioł, zdolny do przyjęcia trwałych reform."

Po tém silném wystąpieniu na rzecz tradycyi, Labouley rzuca jeszcze śmielęj rękawicę nowym teoryom, głoszonym w imię postępu: „Dziś, mówi on, weszła w modę doktryna, ponętna dla wielu, jako nowość, doktryna *ewolucyi*. Zamiast wyjaśniać podobieństwo istot, prostotę pierwotnego planu, tłómaczą je pochodzeniem od pierwszego zarodu i stopniową jego transformacją. Postawiono linię pionową, w miejsce linii horyzontalnej; wyznajmy jednak, że nie wiemy nic o początku życia i pokrewieństwie wzajemném żywych istot.

„Bądź że teorya ta przeznaczoną, aby odrodzić nauki przyrodzone, bądź że ma ulecieć w kraję mglistych mrzonek, w każdym razie, zastosowanie jej do życia społecznego, nie należy do szczęśliwych pomysłów. Trudno uczynić prawo i moralność, paragrafem historyi naturalnej.

„Walka o byt, t. j. konieczny rozwój siły, walka o byt, ciągnie mówca, sprowadziłaby stan najokropniejszy, cofnęłaby cywilizację, poza kres świata pogańskiego. Nasze prawa i obyczaje, nawskroś przesiąknięte duchem chrześcijańskim, otaczają coraz troskliwszą opieką, wszystko co słabe, wszystko co cierpi: dzieci, kobiety, starców, chorych, więźniów, kaleki i nędzarzy. Teorya ewolucyi tymczasem, w imię prawa natury, poświęca wszystko co słabe, na rzecz silniejszych jestestw. Ostatniem słowem tych nowych doktryn, gdyby zatryumfować miały, byłby powrót do praw spartańskich, byłoby panowanie arystokracji, prowadzące wprost do absolutyzmu.

„Zwolennicy nowego systematu zapomnieli o tém, że, jeśli nauki mieszają się do wszystkiego, nie są jednakże wszystkiem i niemają wcale téj pretensyi. Świat wolności odmienny od świata przyrody; to dwie odrębne całkiem dziedziny: niepodobna złączyć ich razem. Są w człowieku porywy, uczucia, idee, unoszące go nad życie czysto zwierzęce. Z instynktu piękna, z pojęcia dobra i sprawiedliwości, zrodziły się sztuki piękne, literatura, prawo, moralność. Są to objawy szczególnego rodzaju, zaprzeczyć im bytu niepodobna; nauki przyrodzone wytłómaczyć ich nawet nie mogą. Odtrącać myśl, że świat jest harmonijnym zbiorem rozmaitych żywiołów, wszystko poświęcać dla jedności, istniejącej jedynie w słowach, byłoby to, jak mówi Arystoteles, chcieć utworzyć muzykę z jednéj nuty. Sumienie opiera się takim wynikom, a przy całym talencie, logicy nowéj szkoły, nie wzmówią w ludzi, że wolność jest utudą dziedziczną, dobro i zło bajką wymysłu nianiek, że prawo synonimem siły, a moralna odpowiedzialność przesądem wychowania!"

Gorący poklask, jakim publiczność odpowiedziała na te słowa, wymownym był dowodem, że teorye ewolucjonistów mało liczą zwolenników w społeczeństwie francuzkiém.

W inną zupełnie strunę uderzył Legouvé, zaraz po Labouleyu. Zdawało nam się, że wymowny akademik, który przed rokiem, w szeregu konferencyi, ośmielił się zarzucić Francuzom, że czytać nie umieją, którego dziełko, świeżo wydane w tym przedmiocie, stało się bodźcem dla rady wychowawczej, iż kurs czytania wprowadza do szkół wyższych; zdawało nam się, powtarzamy, że Legouvé przemawiać będzie dziś na rzecz téj pożytecznej reformy. Inaczej się stało: Legouvé wystąpił w imię innej reformy, daleko ważniejszej, bo sięgającej najdrażliwszych pytań społecznych: podjął rzecz o wzajemnym stosunku panów domu i służących. Myśl swoją przeprowadził racjonalnie, w sposób najzupełniej przeciwny zasadzie, wygłoszonej przez Labouleya. Gdy temu ostatniemu szło właśnie o połączenie całej ludzkości, a zatém wszystkich warstw społecznych, na prawach miłości chrześcijańskiej, Legouvé tymczasem, nad te zasady, przekłada inną, wprost przeciwną, t. j. zasadę *walki o byt!* Wprawdzie nie wyrzekł tych wyrazów, są one przecież treścią i celem całego przemówienia. Miłość wzajemną, w której Labouley widzi cement, łączący wszystkie stany, odrzuca Legouvé, jako przestarzałą mrzonkę; idzie mu raczej o niepodległość jednostek; tę niepodległość pozwala zdobywać odrzuceniem wszelkiej ofiary w stosunkach łączących ludzi pomiędzy sobą.

Poraz pierwszy tego rodzaju pytanie, podjęte zostało w akademii Francuzkiej i to w sposób nadzwyczaj niebezpieczny, gdyż w imię zimnego racjonalizmu, wystąpił najwymowniejszy z akademików, którego słowo, wypowiedziane zręcznie, wsparte pozorną logiką, czarowny wpływ wyrzucić musiało na słuchaczy. Przypatrzmy się bliżej téj sprawie.

Legouvé odczytał ustęp z dzieła, przygotowanego do druku, p. t.: *Nasze córki i nasi synowie*. W ustępie tym pokazuje wpływ domowników na dzieci. Nie jest to bynajmniej jakaś pedagogiczna rozprawa, ale dramacik domowy, pełen życia, przybrany w formę dzienniczka młodej matki.

Ta matka ma dziewięcioletnią córeczkę Julkę. Przed laty dwoma przyjęła do służby Magdalene, wdowę po robotniku, która ma córkę Teresę, wychowującą się u krewnych, o kilkadziesiąt mil od Paryża. Charakter Magdaleny porywczy i samowolny, ale te wady nagradza sługa wiernością i przywiązaniem do pani swojej, kocha Julkę jak własne dziecko.

Dnia jednego dziewczynka przybiega do matki, opowiada, że Magdalena odebrała list od krewnych, że płacze i łamie ręce, bo córka ję niebezpiecznie chora, już ję zapewne nie zobaczy. Uniesiona litością pani, wyprawia Magdalene z domu; kilkadziesiąt franków, przeznaczonych na suknię, poświęca chętnie na ję podróż.

W kilka dni wraca Magdalena: córka jój przetrwała chorobę, ale biędna matka drży jeszcze o nią; powietrze w górach nazbyt ostre, opieka krewnych niedostateczna. Julka znów pośredniczy. Na próśby jój, pani pozwala studze sprowadzić córkę do domu. Teresa cały dzień przebywać będzie u Siostr Miłosierdzia, wieczorem tylko powracać ma do matki.

Uplłynęło pół roku z powszechném zadowoleniem. Teresa uczy się wybornie, otrzymuje szkolne nagrody. Julka szczęśliwa z towarzyszki, w niedzielę biega z nią po ogródku. Magdalena, zniewolona dobrocią pani, służy jój z zupełném poświęceniem.

Wkrótce potem smutne wypadki 1870 r., pozwoliły wiernój słudze okazać całą wdzięczność. „Nowy węzeł tém ściślej nas potączył, zapisuje pani w dzienniczku. Magdalena dała mi dowód prawdziwego przywiązania: ocaliła nasz domek za Paryżem od łupiestwa Prusaków, przywiozła mi do Bretanii, gdzie schroniłam się z córką, różne pamiątki, do których przywiązuję wielką wagę. Tu poznałam dopiero całą delikatność jój uczuć, całą szlachetność serca. Mąż wyprawił mnie w drogę z niewielką kwotką, miał wkrótce przysłać więcej, ale komunikacya przerwała się nagle, trudno było liczyć na zasiłek. Otóż Magdalena dokazała cudów oszczędności, odmawiała sobie wszystkiego, byleby mnie i Julce na niczém nie zbywało. Publiczne kłęski rozdierały mi duszę; patriotyzm jój nie ustępował mojemu. Ileżto razy wbiegła bez tchu, aby mnie pocieszyć jakąś pomyślniejszą, niestety, utudną nieraz wieścią! Miałymy dwa tylko pokoiki, ztąd zbliżenie większe niż dawniej; dzieci nasze kochały się i bawiły razem, jak dwie siostry: słowem, te kilka miesięcy, spędzone w Bretanii, zdala od najdroższych nam osób, zagładziły między nami wszelką nierówność stanów. Za powrotem do domu, stosunek ten utrzymał się w wielkiej części. Magdalena, gorąco przywiązana do Julki, miesza się do jój zabaw, do jój ubrania, łaje nawet czasami.”

Wszystko szło najlepiej, kiedy w progi tego edenu wślizgnął się wąż, w postaci elegantki światowej. Wypadek to bardzo zwyczajny, ale co najdziwniejsza, oto: że p. Legouvé, przez usta wychowanki salonów, wietrznej istoty, lekkiej jak puch, błyszczącej jak błędny ognek na trzęsawisku, wypowiada swoje racjonalne sentencje. Przytaczamy charakterystyczny ustęp z dziennika.

„Przyjaciołka moja, rzucona w odmet świata eleganckiego, zachowała jednak pamięć naszych młodziuchnych związków: od czasu do czasu odwiedza mnie i ciszę moją domową ożywia potokiem dowcipnych słówek, pełnych pozytywizmu i zdrowego rozsądku. Przybyła właśnie wczoraj.

— Kto jest ta dziewczynka! — zagadnie żywo — co się bawi w ogródku z twoją Julką?

— To córka mojej służącej Magdaleny.

— Jakto? pozwalasz bawić się twemu dziecku z córką służącej?

— Tak jest; nie widzę w tém nic złego!

— Mylisz się!..

— Ależ tu cała historyja!..

I opowiedziałam wszystko, co zaszło. Słuchała uważnie.

— Twoja historia—rzecze nakoniec—dowodzi tylko, żeś zbłądziła, wprowadzając do domu tę dziewczynę; że błądzisz, pozwalając jej bawić się z córką twoją!

— I cóżto może szkodzić?

— To niema sensu! posłuchaj mnie... sądzę, że jestem dobrą kobiętą i dobrą panią dla sług moich: kiedy chorzy, daję im opiekę; kiedy zmartwieni, daję radę lub pomoc; ale poufałości nie dopuszczam najmniejszej; ich dzieci do moich niemają żadnego przystępu. Studzy tém dla mnie, czém figuranci w tragedji: są to osoby powolne, uprzejme, gotowe zawsze działać, lecz mówić im niewolno!

— Pamiętaj! że Magdalena oddała mi prawdziwą przysługę!..

— Tém gorzej! zaciągnęłaś względem niej obowiązek; otóż nie powinniśmy nigdy mieć obowiązku dla sług naszych.

— Ależ Magdalena należy do rodzaju starych, pocziwych domowników!

— Starych domowników!—zawołała przyjaciółka moja z głośnym śmiechem—ja utrzymuję, że należy zmieniać ich co pół roku!

— Jakto? nie rozumiem cię!..

— Rzecz prosta. Czy uważałaś, kiedy bierzesz lokaja lub służącą, w pierwszym miesiącu nie dopatrzysz w nich najmniejszej wady, w trzecim zaś i czwartym trudno dopatrzeć najmniejszą zaletę. Rzecz się ma jak z młodem małżeństwem. Często zmiana służących, powtarza nam raz po raz słodczyce miodowego miesiąca!

— Żartujesz ze mnie!

— Bynajmniej, mówię seryo!

— Przytoczę ci jednak tysiączne przykłady z dawnych czasów.

— Dawne czasy bezpowrotnie minęły, dziś zupełnie inaczej! Dawniej studzy stanowili część domu: rodzili się w nim i umierali; dziś przebiegają tylko domy nasze, jak przybłądne nomady. Dawniej służga poświęcał się dla pana, pewien, że spełnia tylko powinność i samém poświęceniem czuł się wynagrodzony; dziś co innego. I ja też miałam starą służkę, kochała mnie, lecz drogo musiałam opłacać tę miłość! I ty prędzej czy później, usłyszysz gorzką wymówkę z ust twojej Magdaleny. W chwili gniewu, powie ci niewątpliwie: „Po tém wszystkiém, co uczyniłam dla pana i dla pani...”

— Dość już!—zawołałam żywo—mrozisz mi serce twoim zdrowym rozsądkiem: ja temu nie uwierzę!”

Przyjaciółka odjechała, ale zaród kwasu pozostał w sercu młodej matki. Zapisuje w dzienniczku różne przykre wrażenia, świadczące, według autora, o koniecznej potrzebie usunięcia sług od panów, dowodzące, według nas, że matka Julii należała do najpospolitszych kobiet, że niegodną była miłości pocziwej Magdaleny. Gniewa ją, że Teresa większe czyni postępy w nauce u Sióstr Miłosierdzia, niż Julka pod jej

kierunkiem; oburza się na to, że prosta dziewczyna umysł ma bystrzejszy, kibić kształtniejszą, słowem, że ładniej wyrasta od jej córki. „Mój Boże!—mówi z żalem—gdyby ktoś przekładał nad Julkę jedną z jej rówieczniczek, wcaleby mnie to nie obeszło, ale myśl sama, że córka mojej sługi ładniejsza od córki mojej, martwi mnie i oburza: pytam, czy ma do tego prawo?”

Przy takim rozdrażnieniu, łatwo zgadnąć, że przyszło do katastrofy. Dnia jednego, Julka przy obiedzie wyraziła się w sposób nieprzyzwoity. Ojciec podskoczył na krześle z oburzeniem.

— Kto cię nauczył takich słów?—pyta zdziwiony.

— Słyszałam je z ust Teresy.

Odesłano Julkę; małżonkowie radzą, jak się pozbyć źle wychowanej dziewczyny, która przynosi dziś do ucha Julce grube, kuchenne słowa, a jutro wnieść może zarazę do jej duszy.

Autor naciąga rzecz widocznie. Czemuż to, co tak dziś razi i trwoży rodziców, nie raziło ich dawniej? Jak tu przypuścić, aby dziewczę tak bystre, ogładzone w szkole Siostr Miłosierdzia i w atmosferze wytwornego domu, miało dziś w ustach więcej wyrazów grubiańskich, niż przed laty trzema, gdy matka przywiozła ją z góralskiej chaty? Obraza przyzwoitości nie jestże tu prostym pozorem?

— Potrzeba koniecznie—rzecze ojciec—oddalić z domu tę dziewczynę.

Magdalena słyszała wszystko z przyległego pokoju. Wpada do sali drżąca i blada, staje w obronie córki. Zarzuty sypią się jak grad z jednej strony i z drugiej. Sługa, zraniona do głębi serca, nie mierzy słów, nie umie zapanować nad sobą.

— „Dziecko moje wszystkim tu sołą w oku! ona nie zna takich wyrazów, nauczyć ich nie mogła! To kłamstwo!—zawoła z uniesieniem.—I na cóż mi dziś przyszło po tém wszystkiém, com uczyniła dla pana i dla pani...”

Słowa wybiegły same z ust; serce nie wzięło w nich udziału. Biędna Magdalena przepłakała całą noc. Nazajutrz, z oczyma od łez zapuchniętymi, staje przed panią, błaga przebaczenia za porywczosć, obiecuje poprawę. Naprózno!.. wola państwa niezłomna: oddalają z domu wierną służbę; jej ofiarę obliczają na pieniądź. Aby pozbyć się długu wdzięczności, nabywają dla niej jakiś sklepik.

— Po tém, coś uczyniła dla nas—rzecze pani—obowiązkiem naszym zapewnić przyszłość córce twojej!

Magdalena waha się zrazu, żal jej tych progów, do których przystąpiła duszą całą. Na to wchodzi pan domu, głosi nieodwołalny wyrok.

— Spełniłiśmy—rzecze—powinność naszą. Dawniej marzeniem było służących, pozostać nazawsze w domu panów; dziś дума ich polega na tém, aby czempredziej opuścić cudze progi. Czasy się odmieniły; każdy powinien dążyć do samoistności. Służba ma być chwilowym tylko etapem. Wchodźcie do naszych domów, aby zebrać pieniężny za-

siłek, odbyć próbę uczciwości i poświęcenia, mieć przed oczyma dobry przykład, ale waszym celem niepodległość! Pracować u siebie i dla siebie, to przyszłość wasza; dobry sługa nie powinien myśleć o innéj!

Tak się skończył ów domowy dramacik, mówi autor. Czy się skończył? my nie jesteśmy pewni. Kto nam zaręczy, że ta Magdalena złamana w sumieniu własném, przyjęciem zapłaty za miłość i za poświęcenie, że skłócona z sobą, nie uczuje w sercu gwałtownej nienawiści ku tym, którzy sponiewierali jéj uczucia, poniżyli jéj godność? Kto nam zaręczy, że rana w jéj sercu nie stanie się jadowitym skirem, że w danéj chwili obrażona kobiéta nie pochwyci głowni albo faszki petrolu?

Ten rozbrat z tradycją, to racjonalne obliczanie na pieniądz wszelkich uczuć, wszelkich obowiązków wdzięczności; ta walka o byt postawiona jako prawo, nie jestże raczêj początkiem straszliwego dramatu, jaki wstrząsnąby musiał społeczeństwem, gdyby takie zasady odnieść miały stanowczy tryumf? Ufajmy jednak, że społeczeństwo nasze, jak wyrzekł Labouley, przesiąkłe na wskroś Chrześcianizmem, potrafi zażegnać groźną burzę i połączyć prawa postępu z nabytkami odwiecznych tradycji.

Franciszek Coppée wydał nowy zbiór poezyi p. t.: *Les Recits et les Elegies*. Pierwsza część tomu składa się z dwudziestu kilku małych obrazków, przypominających formą i treścią *Legendę wieków* Wiktora Hugo. Nie można przecież zwać ich ślepém naśladownictwem. Coppée wyrobił sobie własny rodzaj; jest on prawdziwym mistrzem co do formy; pod tym względem nikt go nie prześcignął, mało kto mu dorównał. Żałujemy tylko, że poeta wielki swój talent rozprasza niekiedy na drobnostki. Druga część tomu obejmuje kilkadziesiąt erotycznych utworów; każdy z osobna pieści ucho wytwornością prawdziwie atycką, ale wszystkie razem, powtarzając wkółko też same kwilenia miłosne, budzą niesmak i przesyt. Całą wartość zbioru stanowią przedmiotowe poemaciki, objęte w części pierwszej. Znajdziemy tu kilka ślicznych obrazków, jak *Parysą, Głowa sultanki, Odpowiedź ziemi, Żniwo mieczów*. Ostatni z nich dajemy w przekładzie:

Na śnieżno-białej klaczy, w szyszaku i zbroi;
U bram staje dziewica:

— Daléj, bracia moi!

Zawoła na mieszkańców—pochwyćcież za miecze!“
Zgromadził się tłum starców, a jeden wyrzecze:
„Próżno! głos twój umarłych pod ziemią nie zbudził!
Anglicy nam zabili co przedniejszych ludzi;
Wczoraj Talbot nad nami pastwił się do syta:
Kof jego we krwi dzielnych zcierwienił kopyta.
Dziś w grodzie sami starce, sieroty i wdowy,
Na cmentarzu nam przybył szereg krzyżów nowy.“

Żrenica Lotarynki tryumfem zaświeci,
Wykrzyknie: „Chodźcież do mnie, wy starce i dzieci!“

Starzec głośno zapłakał, wskrosz zdjęła go trwoga:

„Niestety, oręż wszystkim przeszedł w ręce wroga:

Oszcepę, dzidy, miecze, i łuki, i strzały.

Iść za tobą, dziewico, pragniem z duszy całej,

Ale noża marnego nie znaleźć w tém mieście!“

Ona ręce złożyła; przez usta niewieście

Zbiegła cicha modlitwa; i obróci głowę

Ku starcom:

„Na cmentarzu macie krzyże nowe,

Wszak słyszałam przed chwilą?“

„Tak, siła ich mamy!“

„Ile tehu śpieszmy, bracia, do cmentarnej bramy!“

Rzekła i klacz swą białą za udę pochwyca.

Tłum idzie, nie jednemu srom upadł na lica,

I nowy żar zapala starców pierś wychłodłą.

Święty Michał nie wzgardził bohaterki modłą,

Bo zaledwie stanęła na ziemi cmentarnej,

One krzyżów tysiące, wśród zielonej darni

Zatknęto ręką bratnią nad umarłym ludem,

Nagle w tysiące mieczów przemienia się cudem:

Jaskrawo promień słońca w ich głowniach odbłyśka,

Wnet zawre bój ostatni, godzina już bliska.

Posłuszne woli niebios trumny się rozwarły,

Oreż w rękę żywemu kładzie brat umarły.

Wonczas tłum przed Joanną upadł na kolana,

A ona słodko rzecze:

„Za mną, w imię Pana!

Powstań wierny mój ludu! Kto żyw, miecz do ręki,

Bóg działa mém ramieniem: Jemu cześć i dzięki!“

Pod tytułem: *Questions d'Art et de Litterature*, spadkobiercy Georges Sand ogłosili drukiem dawniejsze jej rozprawy, przedmowy i artykuły rozrzucone po rozmaitych pismach. Zbiór ich obejmuje trzy tomy. Większa część tych krytycznych rozprawek wybiegła zpod pióra autorki między rokiem 1840 a 1860. W tych czasach Georges Sand zajmowała się gorliwie polityką, a bardziej jeszcze wychowaniem ludu. Powstała wtedy między robotnikami cała plejada poetów, na wzór majstersengerów niemieckich; na czele ich stał tkacz Magu, mularz Poincy i kilku innych jeszcze. Georges Sand wzięła do serca ten ruch, popierała szczerze poetów ludowych: pisała przedmowy do ich książek, broniła ich w dziennikach od pocisków prasy konserwatywnej. Przedmowy te i obrony pomieszczone w pierwszym tomie nowej publikacji, zwróciły uwagę Francuzów; malują bowiem i osobiste przekonania autorki, i czas w którym powstały.

Wśród krytyk jakie pojawiły się o tym zbiorze, uderzyły nas uwagi p. Bernhard-Varagnac, znanego publicysty. Utrzymuje on, że Georges Sand, uważana dotąd powszechnie jako żywotny wyraz ducha francuzkiego, kierunkiem myśli przybliży się raczej do Niemców i do Słowian. „Kto wie, dodaje krytyk, czy nie odziedziczyła tego upodobania w filozofii niemieckiej, od dostojnego naddziada z Polski i Niemiec?”

Wiadomo wprawdzie, że Georges Sand wywodziła się w prostej linii od Augusta II; mogła więc odziedziczyć w spadku usposobienie do mistycznej filozofii niemieckiej; ale pytamy, byłże August Polakiem dlatego że panował w Warszawie? Zresztą, krytyk wyrokuje o duchu filozofii naszój jak ślepy o kolorach. Któż nie wie, że mistycyzm niemiecki, lubo nieraz szczepiony na gruncie polskim, nie mógł tu znaleźć warunków odpowiednich, i nie wydał nigdy owoców?

Świat muzyczny żywo poruszony *Polieuktem* Gounoda. Ta opera, wysnuta z Kornelowskiej tragedyi, wywołała najsprzeczniesze sądy. W oczach wielu, przedmiot zanadto jest chrześcijański, muzyka zabardzo religijną; ogół jednak przyznaje najwyższe zalety kompozycyi mistrza. PP. Juliusz Barbier i Carré w librecie swojém usiłowali trzymać się o ile można Kornelowskiego tekstu; w recitatiwach zwłaszcza całe ustępy żywcem pozostawione z tragedyi. Oto treść w kilku słowach.

Paulina, córka Feliksa senatora rzymskiego, wielkorządzy Armenii, przyrzeczoną była rycerzowi rzymskiemu Sewerowi. W mniemaniu, że Sewer poległ w wojnie przeciwko Scytom, zaślubiła Polieukta, potomka dawnych królów armeńskich. Ten pod wpływem przyjaciela swego Nearka i starca Symeona, skłania się do wiary chrześcijańskiej, głoszonój potajemnie.

Pierwszy akt wprowadza nas w progi Pauliny. Brzask tylko co zaświtał: młoda poganka rozpala ogień na cześć bogów domowych. Pragnie odpędzić dręczące ją przecucia. Opowiada wiernój Stratonice sen, jaki miała téj nocy. Widziała Polieukta z czołem ku ziemi pochylonóm; wody chrztu spływały mu na głowę. Nagle grom uderzył: ołtarz rozsypał się w gruzy. Polieukt pada martwy u jój stóp i oblewa je krwi potokiem.

Wtém rozbiega się wieść ó przybyciu Sewera, walecznego pogromcy Scytów.

Zmienia się obraz: scena przedstawia plac za miastem i bramę tryumfalną strojną w palmy i wieńce. Tłumy ludu garną się ze stron wszystkich. Nadiąga orszak: żołnierze niosą orły i zwyciężkie trofea; za nimi Sewer w rycerskiej zbroi wjeżdża w bramę na wozie tryumfalnym. Chór przy podźwigu trąb bojowych, wita go radosnemi oklaski.

Wszyscy szczęśliwi, sam tylko tryumfator rażony jakby gromem. Miłość Pauliny miała mu być nagrodą; ona dziś małżonką innego!

Paulina spotyka bez trwogi Sewera; Polieukt zapełnia jęj duszę. Akt pierwszy kończy się prześlicznym finałem.

W drugim akcie prokonsul Armenii wyprawia ucztę na cześć zwycięzcy. Scena odbywa się w ogrodzie. Odblask zachodzącego słońca oblewa świątynię Westy. Sewer opuścił salę, pragnie w cieniu drzew odetchnąć pełną piersią. Paulina w orszaku niewiast wychodzi także; ma złożyć ofiarę na ołtarzu bogini. Spotykają się oko w oko. Napróžno Sewer w imię dawnych praw błaga o jedną żę, o jedno westchnienie.

— Zwycięzco Persów i Scytów—odrzecze z godnością Paulina—umiej sam siebie zwyciężyć!—I wchodzi do świątyni.

Nowy obraz przedstawia parów najeżony skałami; w głębi przepływa rzeka. Noc; księżyc oświeca ciemną przestrzeń.

Grupy chrześcian wysuwają się zpomiędzy skał; przewodniczy im starzec Symeon. Neark przyprowadza Polieukta; podczas gdy chór śpiewa pieśń pobożną, Symeon wodą chrztu oblewa głowę neofity. W chwili obrzędu Sewer ukazuje się pośród skał i odchodzi nieopstrzeżony.

Akt trzeci w pałacu prokonsula. Arcykapłan Albin oskarża chrześcian: teży nocy zbirowie uwiadomieni przez pasterza, ujeli całe grono. Polieukt wszedł; i on obecnym jest naradzie. Napróžno szlachetny Sewer podnosi głos w imię nieszczęśliwych; wyrok śmierci wnet ogłoszony będzie w świątyni. Odchodzi prokonsul; arcykapłan i Sewer oddalają się z nim razem. Pozostają na scenie dwaj chrześcianie: Polieukt i Neark; rozmowa ich dosłownie powtórzona z Kornela.

Neark.

Gdzie idziesz?

Polieukt.

Do świątyni: tam powinność woła!

Neark.

Jakto? chcesz-li głos podnieść wśród niewiernych koła?
Ty miałżebyś zapomnieć żeś zlany chrztu zdrojem?

Polieukt.

Zaliż pamięć tej chwili zgasta w sercu twojem?

Neark.

Nienawidzę ich bogów!...

Polieukt.

Przejmują mnie wstrętem!

Neark.

Cześć ich grzeszna....

Polieukt.

Ja pragnę zniszczyć ją ze szczętem!

Neark.

Nam strzedz się ich ołtarzy!

Polieukt.

Obalić je raczėj!

I umrzeć w ich świątyni pod ciosem siepaczy!
Idźmy, drogi Nearku, nie tracić nam czasu,
Idźmy, hydrę pogaństwa wyzwąć do zapasu;
Rozwiąć zmrok, co zaslepia zmysł braci zbtąkany:
Idźmy, w proch te kamienne zdruzgotać bałwany!

Neark.

Daż-ci Pan część swój mocy? Mdłe ramię człowieka!

Polieukt.

Kto wątpi, ten w swój duszy Boga się wyrzeka.

Neark.

Śmierć niechybna!

Polieukt.

Chcę umrzeć!

Neark.

Tweż siły wystarczą?

Serce może się zachwiać!...

Polieukt.

Bóg mi będzie tarczą!

Neark.

Lecz tam, w progu świątyni upadnie twa głowa!

Polieukt.

Ależ tam, w progu niebios już palma gotowa!

Neark ulega, idzie za Polieuktem. Obraz zmienia się znowu: przedstawia na placu świątynię Jowisza uwieńczoną kwiatami; posągi bogów otaczają przedsionek. Orszak przeciąga z wolna: na czele herold, dalej kapłani i ofiarnicy; gędbiarze przygrywają na fletniach. Za nimi Albin idzie między prokonsulem a Seweren, Polieukt między Nearkiem a Pauliną, nakoniec wojsko i lud. Część orszaku wchodzi do świątyni, reszta staje rzędem po obu stronach sceny. Między tłumem widać Polieukta i Paulinę.

Następuje balet. Satyrowie i bachantki płasają na cześć Bachusa i Wenery. Legioniści zataczają rycerskie koło na cześć Bellony i Marsa. Nagle arcykapłan ukazuje się na stopniach świątyni. Płasy ustają, wrzawa milknie.

— Ludu! zaprzestań igrzysk! — woła kapłan — zagniewane bogi gardzą ofiarą twoją! Dym kadzideł nie płynie w górę, niebiosa przemówiły! Aby przebłagać mściwych bogów potrzeba krwi chrześcian!

Słyszysz to Polieukt; wydziera się z rąk Pauliny.

— Kłamiesz kapłanie! — woła z uniesieniem, i biegnie z Nearkiem ku świątyni, druzgocze bożyszczą rozstawione w przedsionku.

— Śmierć im! — wołają wścickłe tłumy.

Albin porywa topór z rąk ofiarnika, ale Paulina zasłania męża własnym ciałem; sam tylko Neark ugodzony w głowę, pada na próg świątyni. Sewer tymczasem rozkazuje żołnierzom zasłonić Polieukta przed wściekłością kapłanów i ludu.

W czwartym akcie, Polieukt za kratą więzienną czeka rychło spełni się wyrok. Paulina przybiega potajemnie. Ona wybłaga mu życie i wolność, niech tylko wyrzecz się swęj wiary, i szczyptą kadzidła przebłaga znieważonych bogów. Polieukt wydobywa kartkę z zanadza, czyta słowa, które Neark nakreślił niegdyś na nięj:

Już godzina się przybliża:
Zsieczonego, w czoła pocie,
Powleczono ku Golgocie
I przybito Go do krzyża.

A kiedy święte wyciągnął ramiona,
W grubym pomroku utonął świat cały;
Pękła na dwoje w świątyni zasłona:
Z żalu niebios płakały.

Rygle żelazne pękły, silną szarpniętę ręką. Wpada szlachetny Sewer. On bądź cobądź wyrwie ztąd więźnia, wyśle go z Pauliną daleko gdzieś za morze; tam będą żyć swobodni i szczęśliwi. Niestety, już zapóźno! Prokonsul przybywa ze strażą: zbrojny oddział uprowadza Polieukta.

Akt piąty bardzo krótki. U bram areny, wobec ludu i kapłanów, Polieukt wyznaje się chrześcianinem. Paulina rzuca się w objęcia małżonka.

— Jam ochrzczona łzami boleści!—woła z uniesieniem—pragnę cierpieć i umrzeć z tobą!

— Śmierć im!—wołają tłumy.

Wrota cyrku rozmykają się i zamykają znowu. Polieukt i Paulina, wtrąceni w głąb areny, klękają, gotowi na męki; promień słońca oświeca ich jasną aureolą.

Kompozytor umiał odpowiedzieć godnie wzniosłej treści Kornewskiego poematu. Znakomici krytycy wysoko stawiają ten utwór. Scena chrztu pełna religijnego namaszczenia; zdruzgotanie bałwanów i klątwy pogan oddane z nadzwyczajną siłą. Ostatni akt godnie uwieńcza całość. Wbrew sarkazmom realistów, którym niepodobna wnieść się do wysokości przedmiotu, sztuka francuzka chlubi się nowym muzycznym arcydziełem.

Wystawa zamknięta już od miesiąca, wrzawa dziennikarska którą wywotała, ustaje, dziennikarzom bowiem potrzeba coraz to nowych wrażeń; ale za to ludzie rzeczywistęj nauki, w chwili właśnie kiedy gorączka przeszła, starają się skierować opinią publiczną ku chłodnemu ocenieniu najgłówniejszych przedmiotów teje wystawy.

Czytamy co chwila skargi na niesprawiedliwe sądy przysięgłych. Skargi te z pod pióra interesowanych osób, nie miałyby tyle znaczenia; miłość własna może zaślepić nie jednego. Inaczej rzeczyć się ma, kiedy zarzut wychodzi od poważnych specjalistów, w imię samej nauki. Ciekawe szczegóły dotyczące tego przedmiotu, znajdujemy w przeglądzie miesięcznym *Journal de Micrographie*; nakreślił je d-r Pelletau, redaktor tego pisma. Pokazuje on najsamprzód wielkie trudności w utworzeniu kompetentnego a bezstronnego sądu (jury), zwłaszcza kiedy potrzeba było rozdzielić go na dziewięćdziesiąt komisji, stosownie do liczby klas, obejmujących 40,000 wystawców! Jeśli trudno znaleźć tylu odpowiednich ludzi, tém trudniej skłonić ich do podjęcia służby tak uciążliwej. Dowcipnie uczony doktor opisuje kłopoty przysięgłych, którzy poddali kark pod jarzmo. On sam był już sędzią na nie jednej wystawie, znane mu zatem ostre kolce, pokryte błyszczącym pozorem. Jak wszędzie tak i tu, odwrotna strona medalu odmienna od zewnętrznej.

„Wyobraźmy sobie, mówi humorystycznie, co to jest biegać tu i tam, od rana do wieczora, wśród szalonego ruchu, zgiełku i wrzawy, oglądać z zajęciem przedmioty, które cię wcale nie zajmują, słuchać wyjaśnień, których częstokroć nie rozumiesz, skłaniać ucho na reklamacje zagorzałych przemysłowców i wynalazców, którzy wszelkimi sposobami, we wszystkich językach, usiłują wmówić w ciebie, że to białe, co oni widzą biało!

Odchodzisz wieczorem zmordowany, z nogami podeptanemi, głowę bolącą i oszołomioną. Taki to los sędziego, przez ośm lub dziesięć dni z kolei! A jakaż za to nagroda? Jeśli próżny, to rad że się pokazuje w tłumie, z pliką papierów pod pachą, z mnóstwem katalogów i prospektów po kieszeniach, z ołówkiem i książeczką w ręku, z medalem zawieszonym u guzika. Jeśli gastronom, nagrodą mu wytworne śniadanie zakropione szampanem. Jeśli zaś radby poprzestał na wewnętrznym zadowoleniu, że spełnił sumiennie twardy obowiązek, że przyczynił się do wyświecenia pożytecznego wynalazku, do uczczenia rzeczywistej zasługi, cóż odbiera w zapłatę? oto powszechną niechęć. Na dziesięciu wystawców, dziesięciu zżyma się i skarży: kto otrzymał pochwałę spodziewał się medalu; kto dostał srebrny medal, pyta czemu nie złoty lub honorowy? Wielu zresztą utyskuje, bo ma do tego najśluszniejsze prawo, bo sąd omylny, bo nazbyt często błędził!”

Od ogólnych uwag, doktor Pelletau przechodzi do szczegółów, w przedmiocie specjalnie go obchodzącym. Wymienia dziesięciu sędziów, którzy na wystawie przeznaczeni byli do ocenienia narzędzi naukowych, objętych ogólną nazwą *Instruments de precision*. „Tu, mówi uczony doktor, obok fizyków, astronomów, meteorologów, wystąpił jeden tylko mikrograf, znakomity profesor anatomii patologicznej, któremu przypadek nazbyt trudny obowiązek, osądzenia wartości mikroskopów, i trudniejszy jeszcze, porównania takich narzędzi i szkieł przedmiotowych, jakie wystawili pp. Prazmowski, Spencer, Gundlach,

Ross, Nachet, Dalbmeyer, Swift, Verich, Cronch i t. d., co wymaga nie tylko nauki zupełnie spćcyalnej, ale długiego doświadczenia i wprawy w obchodzeniu się z mikroskopem."

Pomijamy zarzuty jakie d-r Pelletau czyni przysięgłym, tyczące się obcych nam wystawców, przytaczamy tylko ustęp nie obojętny dla nas, bo uznający wielkie zasługi naszego ziomka, p. Adama Praźmowskiego.

"Wszyscy muszą uznać wraz ze mną, mówi d-r Pelletau, że medal złoty, przyznany p. Praźmowskiemu, niedostateczną jest nagrodą. Uczony ten optyk, który sam jeden we Francyi współzawodniczy z firmami Powel i Lealand, Tolles, Spencer, Zeiss; który mimo tylu przetrwanych trudów, utrzymuje biegłą i dzielną ręką starą chwałę firmy Oberhausera, potem Hartnacha, później Hartnacha i Praźmowskiego, dziś samego tylko Praźmowskiego; który z równém powodzeniem wyrabia lunety astronomiczne, teleskopy, obiektywy fotograficzne i narzędzia mikrografii: p. Praźmowski zasługiwał, i nikt mi nie zaprzeczy, na nagrodę wyższą od złotego medalu. Przekonany byłem, i tak przekonani byli wszyscy, że wielki medal będzie mu przysądzony!"

Przeglądy francuzkie i włoskie zajęły się w tych czasach nową hipotezą tyczącą się Aryów: dało do tego pobudkę dzieło antropologa niemieckiego, Teodora Poesche, p. t. *Die Arier, ein Beitrag zur historischen Antropologie*. Autor utrzymuje, że Aryowie pierwotni, związali się w spótczeństwa w Europie, na bagnach ciągnących się między Niemnem a Dnieprem. Niegdyś jak mówi, mieli oni czarne włosy i także oczy; wpływ klimatu oddziałał na nich. Cera im zbielata, włos stał się płowym, oko przybrało błękitną barwę. Poesche zapewnia, że ten fenomen niema w sobie nic nadzwyczajnego; w wilgotnej bowiem okolicy, w pobliżu Mińska i Pińska, gdzie zamieszkali pierwsi Aryowie, przyroda cała jest, według niego, bezbarwna: „liście drzew mają kolor blado zielony, konie rodzą się zazwyczaj siwe albo srokatę, wypadki albinizmu częste pomiędzy tubylcami."

W miarę wzrostu ludności, Aryowie rozchodzą się znad Niemna i Dniepru, w rozmaitych kierunkach; na zachód i wschód, na północ i południe, nad Bałtyk i Ocean Atlantycki, nad morze Czarne i zatokę Bengalską. W nowych siedzibach pomieszali się z ludami ciemnej cery; ztąd w każdym kraju widzieć można brunetów i blondynów. Typ jednak jasnowłosy przedstawia czystego Aryę, wyższego intelektualnie, od człowieka z czarném okiem i ciemną cerą. Teorya ta nisko stawia ród niemiecki na szczeblu spótcznym, gdy tymczasem wysoko podnosi ród niemiecki. Do tego to jak widać celu, autor nakręcił swoje naukowe wywody.

Uczeni włoscy silnie powstali przeciw tój hipotezie. Bartolomeo Malfatti wystąpił w *Bassegna* z ostrą protestacją. Utrzymuje on, że wpływ klimatu nie działa tak przeważnie; pokazuje w wilgotnych okolicach mieszkańców z cerą śniadą i ciemnym włosem, jak przeciw-

nie znów, w krajach suchych, blondynów z błękitnymi oczyma. Co do wyższości Niemców nad Grekami, zaprzecza jój w stanowczy sposób.

Rozprawy te i spory nie mogą być dla nas obojętne. Ze wzajemnego starcia zdań, wyblśnie zapewne nie jedno światelko, co rozjaśni pomrok zapadłych wieków.

Felibrowie prowansalscy przybyli w końcu października na wystawę paryżką. Przyjmowało ich tu uroczyście Towarzystwo *Cygaliaków* czyli *Koników polskich*, złożone z prowansalów zamieszkałych w Paryżu. Na wielkiej uczcie danej na powitanie przybyłych, obecni byli pierwsi koryfuszowie świata naukowego, między nimi sam minister oświecenia Bardoux, akademik St. René Taillandier i kilku członków Instytutu. Prezydował poeta Bornier, autor *Córki Rolandowej*; po toaście na cześć ministra, odczytał piękny wiersz do Felibrów.

Minister gorącemi słowy odpowiedział na toast. „Kocham poezję, zawołał, kocham ją sercem i duszą całą, szczególnie gdy ożywna uczuciem patriotycznym, jakie przepełnia serca wasze. Jeden z was wyrzekł piękne słowa, niech one będą szczęśliwym godłem tej biesiady: „kochamy Francją nadewszystko!” I ja przekonany jestem jak wy, że prawdziwą, jedyną poezją, godną tego imienia, jest ta, która czerpie natchnienie w gorącej miłości ojczyzny!”

W końcu uczty wniesiono toast na cześć Wiktora Hugo.

Najznakomitszy z Felibrów Fryderyk Mistral, nie przybył do Paryża, zarówno jak Roumanille, twórca pierwszych pieśni w odrodzonym języku prowansalskim; przewodniczył bratniej drużynie Aubanel, uważany przez centralistów za najzawziętszego wroga jedności. Sądzimy, że poeta złagodził obawę podejrzliwych i uwolnił się od zarzutu. Niedawno bowiem wypowiedział on w jasny sposób pragnienia Felibrów, wykazał, że jeśli upominają się gorąco o swój język, myśl separatyzmu daleką przecież od nich. Przytaczamy własne jego słowa.

„Prowansale są częstką wielkiej Francji, i nazawsze z nią pozostaną. A ponieważ kochamy tę Francją błogostawioną, jaką Bóg stworzył i jaką uczyniły wieki, pragniemy, aby przez pamięć naddziadów, przez wzgląd na pełną chwałę przeszłość, Bretończyk przemałował swobodnie mową bretońską, Bask używał mowy baskiej, Prowansalczyk mówił po prowansalsku. I cóż w tém złego? pytam: jakież niebezpieczeństwo zagrażać nam ztąd może? Pod słońcem i rosą, pod kłębam chmur i mgły, pod szronem i śniegiem, Bóg posiewa ziarno i rozwija kwiat właściwy każdej ziemi. Tak samo rzecz się ma z językiem. Dla tego to niechaj każdy lud używa mowy macierzystej; dla tego to, wbrew wszystkim, pragniemy utrzymać nasz język, tak harmonijnie odpowiadający błękitnym polom naszym, lazuruwi naszego nieba, srebrnej barwie oliwnych gajów naszych! My utrzymamy ten język, bo on jeden wyrazić może w pełni, każde drgnięcie serca prowansalskiego, uczucia miłości i nienawiści, uwielbienia i gniewu; on jeden odmaluje piękność naszych dziewic, dumę junaków naszych! Oto myśl Felibrów, oto cel naszego stowarzyszenia!”

Słowa te nie przekonały zapewne wszystkich, nie zniszczyły zakorzenionych uprzedzeń, ale przynajmniej postawiły rzecz jasno i stały się ważną wskazówką dla przyszłości.

Powracamy raz jeszcze do Szczerbca. Spełniając obowiązek korespondenta, byliśmy dla Warszawy echem krążącej tu opinii, jakoby miecz z orzełkiem białym w czerwonym polu, wystawiony w zbiorach p. Bazilewskiego, miał być Szczerbcem wielkiego Piasta. Byliśmy zarówno echem z Warszawy dla osób, którym pogłoska o odkryciu wiekowej pamiątki, nie mogła tu być obojętną. Zdumienie było wielkie na wiadomość, że archeolog warszawski znalazł dowody, upoważniające go do twierdzenia, iż miecz tutejszy był wistocie mieczem Bolesława Chrobrego, wbrew naszym powątpiewaniom. Dziś wątpliwość znikła zupełnie. Oto wyjątek z listu p. Władysława Mickiewicza, uproszonego przez nas w tym względzie: „P. Bazilewski, na zapytanie, uczynione mu przez wspólnego naszego znajomego, odpowiedział, że Szczerbca wcale nie posiada; że mniemany Szczerbiec jest mieczem z czasu wojen krzyżowych” ¹⁾.

Pośpieszamy z zakomunikowaniem téj odpowiedzi archeologom warszawskim. Oświadczenie antykwaryusza tutejszego, w części tylko umniejsza ważność rzeczy. Herb polski na mieczu, sięgającym wojen krzyżowych, godzien szczególnej uwagi naszych archeologów. Nie byłżeby on własnością Henryka, księcia na Lublinie i Sandomierzu, syna Krzywoustego?

Sprawozdania z wystawy powszechnej nie pozwoliły nam zająć się jak zwykle opisem obrazów, wystawionych w ciągu lata na Polach Elizejskich. Widzieliśmy je przecież i wśród utworów obcego dłuta i pędzla, obliczyliśmy pilnie obrazy, rzeźby i pomniejsze prace ziomeków naszych. Liczba ich w tym roku większą była jeszcze, niż zazwyczaj; zapisano bowiem w katalogu trzydzieści trzy polskich imion. Są między nimi nowe, nieznane dotąd w świecie artystycznym; tém większy zaszczyt dla debiutantów naszych, że z powodu napływu cudzoziemców, sąd przyjmujący dzieła, surowiej oceniał je, niż w innych latach i wybierał z nich same tylko godne przedstawienia utwory.

Nie pora dziś dla nas, wdawać się w szczegółowe ocenienie tych prac; uważamy jednak za obowiązek, zapisać imiona ziomeków, którzy zdala od kraju, powtarzają, według sił swoich, znane słowa Galileusza: *e pur si muove!*

P. Stanisław Chlebowski, jak zwykle wziął przedmiot ze świata wschodniego. Przedstawił dwu jego reprezentantów: *Bajuzeta i Tamerlana*. Obaj, niby starożytni Augurowie, patrzą na siebie, a wyraz

¹⁾ Zwracamy uwagę czytelników na artykuły pp. K. Kraszewskiego i S. Smolikowskiego znajdujące się w obecnym zeszycie *Bibl. Warsz.* i pomieszczone tam rewizyc. (Omyłką za 1475 wydrukowano przy jednéj w ostatnim 1455).
P. R. B.

szydlerczy odbija wydatnie w ich oku. Chromy Tamerlan mówi do paralityka Bajazeta: „Allah, jak widać, mało waży panowanie nad światem, skoro go oddał takim, jak my niedołączom!” Wymowny ten obraz powszechną zwrócił na siebie uwagę.

Wspomnienia z Ukrainy Józefa Chełmońskiego, znane w Warszawie z reprodukcji, pozyskały chlubne ocenienie krytyków, którzy przedewszystkiem szukają życia w artystycznym utworze; jakoż w rzeczy samej, każdy rzut pędzla Chełmońskiego tryska życiem i nierównaną siłą.

P. Władysław Bakałowicz znalazł odpowiednie pole do swego talentu, przedstawiając w wielkim obrazie *Henryka Walezyusza*, otoczonego gronem zniewieściałych jak on ulubieńców, przy weselnym festynie hrabiego St. Luc. Bogate stroje XVI wieku oddane z całą wytwornością.

P. Kazimierz Zier, rodem z Warszawy, w pięknym obrazie ściśle historycznym, ukazuje *s. Małgorzatę królową szkocką*, wpośród gromadki dzieciak, wykładającą im zasady wiary. Syn artysty Edward wykonał scenę biblijną: *Debora* siedząc na wzgórzu, pod drzewem palmowym, godzi zwaśnionych synów Izraela.

Wśród rodzajowych scen, zachwycił nas obrazek p. Kazimierza Alchimowicza, przedstawiający *uśpionę dzieciątko*, prześliczne jak aniołek.

P. Walery Brochocki oddał wiernie *lud nasz wiejski*, zebrany przed gospodą. P. Jan Rozen: *Polowanie na zająca i Rycerza polskiego z chorągwią*, wspomnienia XVI wieku. P. Przepiórski: *Dziewczkę wiejską na łące*. P. Jan Piątkowski: *Śmierć młodej kobiety*, oczadzonej zapachem kwiatów.

Z pejzażystów jeden tylko p. Artur Gąsowski przedstawił w ładnym krajobrazie: *Wspomnienia z Dordoni*.

Portrety pędzla artystów naszych zasługują wszystkie na uwagę. Paryż wyborną jest szkołą, w tym szczególnie oddziale sztuki. PP.: Szyndler i Krabański, uczniowie Cabanela, wystawili udatne portrety mężczyzn. Panna Izydora Mikulska, w dwu pięknych pracach okazała wysoki talent: portret jej stryja p. M... bardzo znaczący. Nietylko że piękny model oddany wiernie, z uderzającym podobieństwem, ale co więcej artystka umiała podchwycić stronę psychiczną, tej prawdziwie typowej postaci. Jakaż to smętna zaduma w owym błękitnym, nieco przymglonym oku, zwróconém gdzieś w daleką przeszłość. Jakże te bruzdy na czole wymownie świadczą o długiej tęsknocie i przetrwanych zawodach!

Portret kobiety zasługuje też na uwagę. Postęp w młodej artystce naszej widoczny od roku do roku.

Z przyjemnością ujrzelśmy pracę młodego Kossaka: portret jego własny, w mundurze oficera austriackiego. Śmiałe rzuty pędzla wróżą nam, że jabłko niedaleko padnie od jabłoni.

W dziale akwareli uderzyły nas konie, wykonane przez ojca prawdziwie po mistrzowsku. Dwa obrazki Juliana Kossaka: *Elekoya*

Jana Kazimierza pod Wolą i Przeprowa przez Dziwinę jazdy polskiej w XVI wieku, były prawdziwą ozdobą tego działu wystawy.

Zauważyliśmy tu jeszcze ładną kopię: *Świętój Rodziny*, z obrazu Bonguereau, pędzla panny Maryi Płużańskiej; *Krajobraz Normandyi i Wnętrze pracowni* p. Bolesława Sokolowskiego, *Goląbkę* panny Przepiórskiej, cztery miniatury p. Władysława Ciesielskiego, bardzo starannie wykonane; między temi: jedna Adama Mickiewicza, druga Wiktora Hugo. Wspomnijmy także ładne trzy miniatury panny Felicji Amplewskiej.

Obrazki na porcelanie i fajansie, utworu naszych Polek, ładnie odbijały, w przeznaczonj na nie galeryi. Panna Eufrozyna Rakowska wystawiła śliczną kopją z obrazu Matejki: *Jan Kochanowski nad umarlą Urszulką*; panna Gabryela Kownacka: *Spiącą dziewczynkę* według Chapelin'a; pani Konstancya Boulard: *Portret d-ra Stanisława Lewenhardta*; panna Jaraczewska: *Madonnę* z Rafaela. Co do narodowości ostatniej zachodzi wątpliwość. W katalogu czytamy: panna Jaraczewska, z domu Remond (?).

W pośród rzezb znajdujemy także pięć imion polskich: p. Cypryan Godebski wystawił dwa bardzo piękne marmurowe popiersia; p. Grabowski z Angers statuetkę Wenery; p. Marcelli Gnyski biust hrabiny A. P.; p. Hegel z Warszawy, również popiersie marmurowe i medalion brązowy.

Piąte nazwisko polskie było dla nas prawdziwą niespodzianką; poraz pierwszy bowiem widzieliśmy na wystawie rzezbę utworu Polki. Panna Walentyna Dąbrowska rodem z Wilna, uczennica pani Bertaux, słynnej francuzkiej rzeźbiarki, wystąpiła z pięknym buldokiem, pełnym życia i ruchu.

Wspomnijmy tu jeszcze utwór włoskiego rzeźbiarza p. Lauzirotti, który ma wkrótce ozdobić kościół w Czerwonym Dworze na Litwie. Są to dwa posągi marmurowe, przeznaczone do ozdoby grobu wznoszonego przez hr. Benedykta Tyszkiewicza. Jeden przedstawia *Milosierdzie*, drugi *Wdzięczność*.

Jako dopełnienie sprawozdań naszych z wystawy, dajemy tu stastykę nagród, otrzymanych przez rozmaite państwa. Cyfry to ciekawe, określają bowiem miejsce, jakie zajmuje każde z państw w stosunku do drugich, o ile to mogło się okazać na wystawie.

Francya z koloniami otrzymała w ogólności 14,517 nagród i chlubnych wzmianek. W liczbie tój wielkich medalów 237, złotych 3,213; Hiszpania z koloniami: nagród 2,500, wielkich medalów 20, złotych 147; Anglia z koloniami: nagród 2,455, wielkich medalów 43, złotych 326; Austria i Węgry: nagród 1,770, wielkich medalów 34, złotych 424; Belgia: nagród 1,223, wielkich medalów 22, złotych 162; Włochy: nagród 1,152, wielkich medalów 17, złotych 140; Rosya: nagród 804, wielkich medalów 26, złotych 97; Stany Zjednoczone: nagród 802, wielkich medalów 15, złotych 130; Portugalia: na-

gród 779, wielkich medalów 9, złotych 40; Szwajcarya: nagród 698, wielkich medalów 13, złotych 73; Szwecya i Norwegia: nagród 590, wielkich medalów 11, złotych 59; Rzeczpospolite Ameryki środkowej i południowej: nagród 528, złotych medalów 21; Holandya: nagród 472, wielkich medalów 13, złotych 57; Japonia i Chiny: nagród 387, wielkich medalów 10, złotych 31; Dania: nagród 312, wielkich medalów 6, złotych 21; Grecya: nagród 180, wielkich medalów 1, złotych 11; Egipt: nagród 25, wielkich medalów 3, złotych 3; Tunis: nagród 21, wielkich medalów 2, złotych 3; Monaco: nagród 10; Syam 7; kilkanaście przypadło na Persyą, Maroko, St. Marino i Andorrę.

KORRESPONDENCYA.

Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Od lat ośmiu prowadząc poszukiwania tak zwanych *stacyi krzemiennych*, czyli niejścowości, w których leżały sadyby starożytnych mieszkańców naszego kraju, w czasach użytku krzemienia, mam zwyczaj corocznie podawać do pism naszych wyszczególnienie nowo-odkrytych *stacyi*. Plony zebrane na tém polu w roku 1878, nie były wcale obfite; pomimo to, czuję się w obowiązku zanotować je tutaj.

1. Najprzód więc pod wsią Klizówką, o pół mili od Drohiczyzna na Podlasiu, dziś w gub. Grodzieńskiej, na piaskach w pobliżu rzeczutki (o ćwierć mili do Buga wpadającej), znalazłem wprawdzie nieliczne ułamki krzemienia ręką ludzką obrabianego; strzały żadnej, tylko kawałki nożyków i jedną skrobaczkę krótką, szeroką (*racloir*).

2. Pod wsią Giełczynem w gub. Grodzieńskiej, pow. Białostockim, także na dawném Podlasiu, o pół ćwierci mili od Narwi, również napotkałem nieliczne, ale dostateczne dowody pobytu człowieka w czasach użytku krzemienia.

3. Już więcéj daleko udało mi się zebrać zabytków, przerzuciwszy się na lewy brzeg Narwi i błotnistych jéj wybrzeży: z gub. Grodzieńskiej do Łomżyńskiej, z Podlasia do Mazowsza, ze wsi Giełczyna do Streńkowa. Już dawniej pod Streńkowem wyszukałem stacyą krzemienią, a raczej dwie miejscowości zamieszkiwane przez starożytnych osadników.

W roku bieżącym natrafiłem tam na miejscowość trzecią, o kilkaset kroków od pierwszych odległą, w pobliżu drogi do wsi Wieczork położoną. Znalazły się tu na wywianym piasku wśród jałowców: i no-

że krzemienne, i skrobacze, i inne narzędzia, a zawsze jak wszędzie pełno okrzosków powstałych przy łupaniu krzemienia przez starożytnych; okrzosków, dowodzących jasno, że w owych czasach człowiek wszędzie przygotowywał sobie te narzędzia, gdzie tylko miał jakąkolwiek sadybę. Narzędzia te bowiem, choć łatwo złamaniu ulegające, jednak w niedostatku kruszcowych były jedyną jego ucieczką. Między znalezionemi w tej ostatniej miejscowości, odznacza się jeden nóż z pięknie obrobionym trzonkiem do osady, i charakterystyczne narzędzie o dwu końcach ostrych, które prawdopodobnie służyło jako bełt do strzały na grubszego zwierza.

4. W stronie południowej wsi Leśnik, o milę drogi od Tykocina, w pow. Mazowieckim, na niewielkiej wydmie piaszczystej przy zarosłach, które wedle podania mają być starym cmentarzem wiejskim, napotkałem także okruchy obrabianego krzemienia. Miejscowość powyższa zaledwie zasługiwałaby na wzmiankę, gdyby nie to, że побликуie wzgórze było przed wieki jakimś punktem dość ważnym w tej okolicy. Na wzgórzu tém znajdują się ślady kolistego wału kamiennego, który przypominał mi grodziska noszące ten sam charakter, na szczytach niektórych gór krakowskich, np. pod Lipowcem (na górze sąsiadującej z zamkową). Tu i tam wał kamienny został zniszczony w najwyższym stopniu, z powodu łatwego staczania kamieni z pochyłości, co stanowi zabawkę dla dzieci wiejskich. Tym sposobem stopniały niejedne nawet ruiny, np. kamienne baszty z czasów pogaństwa Litwy pod Liszkowem, na stromiej górze nad Niemnem, w którego korycie połowa zamku liszkowskiego grób znalazła. Kolisty wał pod Leśnikami tém się różni od grodzisk krakowskich, że jest szczuplejszych rozmiarów. Cała bowiem przestrzeń którą zajmuje, licząc razem z wewnętrznym placem, nie przenosi pół morga. Wedle podania miejscowego, miał tu stać kiedyś kościół. Rzecz jednak wiadoma, że okolica ta należała już w wieku XV do parafii Tykocin, a o kościele w Leśnikach żadnej wzmianki i śladu dotąd nigdzie niema. Natomiast znalezione tu dwa kamienie wyżłobione, podobnego kształtu jak mikorzynskie, tylko ma się rozumieć bez napisów, które to kamienie w starożytności do rozcierania ziarna służyć miały, dowodzą, że grodzisko leśnickie z dawniejszych pochodzi czasów. Jeden z tych ciekawych kamieni który posiadam, ma 23 cali długości, 16 szerokości, wklęsłość owalna głęboka jest w środku na cali 4.

5. Ostatnią stacyą krzemienną którą w roku bieżącym znalazłem, jest miejscowość dziś odludna i dzika, wśród lasu przy granicy wsi Sierk i Herman o pół mili od Tykocina położona. Na przestrzeni około włóki ciągną się tu wydmy i doły, a wśród nich były kiedyś dwa małe jeziorka. Miejscowość sprzyjała osadnikom pierwotnym, którzy w piaszczystej ziemi robili swe mieszkania a wody potrzebowali dla potrzeb życia. Znalazłem tu dwie przedziwne piękne strzały i parę nożyków. Na 90 mniej więcej osad z czasów użytku krzemienia, które w przeciągu lat ośmiu wyszukałem nad: Niemnem, Bugiem, Wisłą,

Narwią, Sanem, Biebrzą i w okolicy rzek pomniejszych, jest to pierwsza, gdzie obok narzędzi krzemienych nie znalazły się wcale okrzoski, gdzie więc prawdopodobnie narzędzi tych nie robiono, ale przyniesiono je z sobą. Co prawda, miejscowość ta odznacza się brakiem dzikiego krzemienia, tak pospolitego w całym prawie naszym kraju, lubo gdzieindziej w takim razie przynoszono dziki krzemień z sobą.

6. Od pana K. D. otrzymałem piękny nożyk krzemienny, przeszło 8 centymetrów długi a 1 centymetr szeroki, znaleziony na polu folwarku Stelmachowo w stronie wsi Jeżewa. Poszukiwania, które później robiłem na tych polach, nie doprowadziły mnie jeszcze do wykrycia miejsca osady starożytnej. Tę zresztą mogło tam wcale niebyć, a narzędzie było tylko przypadkowo zgubioném.

Ze stacyi dawniej mi już znanych zwiedzałem w roku bieżącym: Zambrzyce w pow. Łomżyńskim, Pajewo w Mazowieckim, Wnory, Burzyn i Szostaki w Kolnieńskim i Kępę w Białostockim. Wszędzie znalazły się nowe przedmioty, wszędzie dawnego, przedhistorycznego życia naszych poprzedników szczątki. O tej ostatniej bardzo ciekawej *stacyi*, na tak zwanęj Kępie Giełczyńskiej, gdzie ciekawy zbiór zabytków krzemienych zgromadził już właściciel, którego dwór leży w miejscu przedhistorycznej osady, podana była dość szczegółowa wiadomość w numerze 207 Gazety Warszawskiej z r. b.

Jeżewo, w grudniu 1878 r.

Zygmunt Gloger.

Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Nigdy jeszcze nie otrzymywaliśmy tyle przekładów z języków obcych, ile obecnie. Tyle co rok nowych pism naukowych, historycznych i politycznych, tyle powieści. Z przekładów tych jakież wypada nam wniosek pod względem języka? Wniosek nie jest wcale ujemny. Tam gdzie idzie o ścisłość, dobitność, bogactwo zwrotów i terminów, nawet ozdobę, jako o moc, wymowę, poezją i t. p., zalety języka są świetne. Jest jednak w tych przekładach szczegół, a szczegół w utworach historycznych i powieściowych wcale nie rzadki, który brzmi nieraz jak karykatura, a jest to szczegół odnoszący się do oznaczenia stosunku jednostek do jednostek, czyli ich przemawianie do siebie. Wiadomo, że pierwotna, a naturalna forma przemawiania jednostek do siebie (zamiast *ty*), we wszystkich nowożytnych językach zatrzymaną została tylko w stylu uroczystym i przyjacielskim, zaś w stosunkach pośrednich, zatém najczęstszych, forma ta zmienioną jest na liczbę mnogą (*wy*); i wiadomo jest także, iż język nasz (który, jak lud nim mówiący, był w swoim bycie i losach oryginalnym) wyrobił sobie oddzielne i wyjątkowe w tym względzie formy. Zwyczaj mówienia do osoby pojedynczej przez *wy* był oczywiście niegdyś i w języku naszym powszechnym; dowodem tego jest istnący dotąd ten zwyczaj w ustach ludu wiejskiego, dowodem jest ta forma u wszystkich prawie dawnych

pisarzy naszych spotykana (widzieć np. o tém artykuł w Bibliotece Warszawskiej z r. 1874, zeszyt za maj); dowodem wreszcie są dotąd powszechnie używane: *wasza* Król. Mość, *wasza* Książęca Mość, a niedawno jeszcze do każdej jednostki *wasza* mość, czyli *waszmość*, ale wiadomém jest także, iż przy rosnących przywilejach, a ztąd i dumie osobistej każdej jednostki, wyrażenie to *wy*, już od połowy XVI wieku za niskim wydawać się u nas zaczęło, a na to miejsce miano mówić *wasza miłość*, a następnie przez całe jeszcze półtora wieku, grzeczność tę potęgować wyrażając *wielmożna* *wasza* miłość; wielmożna *wasza* miłość *pan*, i wreszcie wielmożna *wasza* miłość *pan dobrodziej*, czyli *WWM. Pan Dobrodziej*. Dopiero w wieku XVIII z różnych zapewne powodów zaczęło wyrażenie to skracać, i mówiono już *waćpan dobrodziej*, a w końcu *waćpan*. Ale początek wieku naszego ukazał nową odmianę, odtrącono od owego pierwotnego *wy* szumny początek i koniec, odtrącono nawet samo *wy*, i z owęj przeciągłej formuły XVII-go wieku, zatrzymano tylko środkowe *pan*, a forma ta będąc i krotką i grzeczną, tak się okazała dogodną, iż mimo rozrzuconie i rozdział prowincyi językiem polskim mówiących, w ciągu krótkich lat kilkunaśtu we wszystkich stanach i klasach ukazała się jednocześnie przyjętą. Zaprzeczyć nie można, iż ta forma mówienia przez *pan* i w ogóle przez osobę trzecią, z rozmaitem uosobieniem przedmiotu, w wielu razach, a mianowicie w stosunkach nie ścisłej znajomości, i znowu w familijnych, do osób starszych i wyższych i t. p., jest nawet krótszą i dogodniejszą, niż w językach innych; wszakże i to jest pewnem, że dla oznaczenia stosunków pośrednich (między uniżonością i poufałością), które języki inne oznaczają samą liczbą mnogą, bez dotykania osobistości, forma ta niewłaściwą się staje. Jednostki przez mowę przynajmniej winnyby się równać i zbliżać; kiedy zatem jednostki np. jednego wieku i stanu, towarzysze jednego zawodu, jednych wspólnych zajęć, powinowaci i t. p., mówią do siebie u nas co chwila *pan*, kiedy nawet używają téj formy zwierzchnicy do swych podwładnych, majstrowie do czeladników, kupcy do swych subiektów, urzędnicy przy indagacyach (choćby złoczyńców) i t. p.; tedy nie można uznać, iżby forma ta w pierwszych razach była zbliżająca, w drugich loiczną, i w nie jednym razie stawać się może powodem upowszechnienia języków mających ową dogodniejszą ogólną formę; jakto już niegdyś uważała pani Tańska, mówiąc o powodach upowszechnienia się u nas francużczyzny. Dziwić się można, iż przy istnieniu od tak dawna tylu urzędów, instytucyi, tylu towarzystw, spółek i t. p. nie upowszechniono u nas w mówieniu i korespondencyach żadnej pośredniej formy. Przypominam, iż niegdyś (było to zdaje mi się w roku 1846 i jest zapewne w aktach) podawałem właśnie redakcyi Biblioteki projekt odważenia się na inicjatywę w tym względzie, przedstawiając zarazem i odpowiedni artykuł; na drukowanie artykułu zgadzano się jednogłośnie, ale wprowadzenie projektu w praktyczny użytek po dwakroć podawane było pod wotowanie i po dwakroć ukazało *paritas*.

Artykuł mój cofnąłem jako bezskuteczny, jakkolwiek cofnięcie to wymawiał mi redaktor z owego roku Biblioteki, stronnik także projektu. Przypadek ten nie przesądza jednak niczego. Być może iż duch języka w danej chwili zapragnie powrócenia do formy pierwotnej, a jeżeli dla wprowadzenia nowej formy mówienia z usunięciem zupełnym dawniej, kilkanaście lat wieku naszego były dostateczne, tedy przy tylu środkach zbliżających obecnie ludzi (koleje, prasa i t. p.) okazałaby się dostateczną zapewne połowa tego czasu dla wprowadzenia jedynie *dodatkowej* formy, bez usuwania już istniejących. Lecz oto nie o tém tu wcale powiedzieć chciałem, wtrąciłem nawias, mając tylko rzecz słówko z powodu przekładów.

Jak się więc rzekło wyżej, ta forma przemawiania do osób drugich, w naszych przekładach jest zwykle kamieniem obrazy dla tłumaczących. Pomijam już utwory imaginacyi, dziwacznym jest zapewne czytać, jak w tych utworach (np. powieściach) para kochanków wśród poufalej schadzki mówi do siebie „pan, pani,” jak dwaj codzienni towarzysze nie przemawiają do siebie inaczej jak „pan, pan,” jak nasi tłumacze zapominając nawet na istnące w języku zaimki, szafują co chwila tym wyrazem pan, jakby liczmanem, i zamiast np. rzecz „niech mi pan wierzy, że w *jego* położeniu, pozostaje *mu* tylko,” tłumaczą: „wierz mi *pan*, że w *pańskim* położeniu, pozostaje *panu* tylko,” lub téż mieszając formy i osoby tak to wyrażają: „wierz mi *pan*, że w *twojem* położeniu, pozostaje *jemu* tylko.” Z takim *galimatias* czytelnik spotyka się dziś ledwo nie na każdej karcie w wielu przekładach; ale pomijając już mówię utwory imaginacyi, gdzie zależnym jest wszystko od imaginacyi, nie tak łatwo się jest rozmijać z prawdą historyczną. W utworach gdzie są na placu figury historyczne, ich stosunki do siebie, do osób innych, winny być określane z całą odcieniem tekstu. Te odcienia czyliż są jednak przestrzegane w naszych przekładach? Bynajmniej. W przekładzie dyalogów, które się spotykają tak licznie w opowiadaniach historycznych, pamiętnikach, podrózach i t. p., albo ich forma zimna przemieniana₂ bywa na poufałą, lub co częściej, forma ta zimna, czyli nieokreślona, na zbyt uprzejmą. Nie jestże niewłaściwem i dziwacznym, kiedy np. w tak licznych przekładanych utworach, o głównym bohaterze naszego wieku, czytamy, jak ten monarcha, takiéj absolutnéj woli i duszy w dniach swoich, mówi do sekretarza swego: „napisz *pan*,” do codziennych doradców, do każdego z poddanych, nawet do osób duchownych, do proboszczów, biskupów i t. p.: „pomyśl *pan*,” „nie zapominaj *pan*,” „oddal się *pan*” i t. p., gdy podobnie przemawia do każdego z swych dworzan taki Fryderyk II, i wreszcie każdy władzca, gdy formę tę znajdujemy w instrukcyach monarchów dawanych posłom, w listach ich do prywatnych osób i t. p.

Pytanie naturalnie wypada, w jaki sposób można usunąć tę i tym podobne karykatury w przekładach, jak im zaradzić? Sposób jest nader łatwy i naturalny, i nie rozumiem zupełnie dlaczego jest uchylany. Wymagać od pisarzy oryginalnych, aby w utworach swoich, jak np. dra-

matach i powieściach wprowadzali nową formę mówienia, byłoby niewłaściwem, utwory te bowiem winny być odbiciem rzeczywistości, jej przechowaniem. Ale nie tak rzecz się ma z przekładami. Pierwszym warunkiem dobrego przekładu jest wierność, a ta wierność jest wtedy, kiedy w przekładzie zachowany jest i odbity charakter tekstu. Jeżeli więc tekst dialogu przełożyć się mającego (czyli to w piśmie historycznym, czy artystycznym), wyraża się przez liczbę mnogą, nie pojmuję zupełnie dlaczego ta forma nie miałaby być zachowaną i w tłumaczeniu, gdy zwłaszcza ta istnieje nawet w języku i tylko nie jest upowszechnioną. Forma ta używaną już nawet była nieraz w naszych pismach i takiej treści i innej, i w każdym razie brzmiała i właściwie i jasno.

Jakżeby mianowicie pożądanem było, gdyby nasze codzienne pisma, te pisma którym niepodobna zaprzeczyć pod tyłu względami zalet, a w których fałszywą nutą jest tylko ten właśnie szczegół, o którym mówimy; przytaczając dialogi społeczne, zwroty słowa np. monarchów do pojedynczych osób, instrukcje ich, spory parlamentarne i t. p., wszędzie też i ową formę tekstu zachowywały. Nie byłoby to, że powtórzę, żadną nowością. Formy przez liczbę mnogą w swoich utworach i korespondencyach używali między innymi u nas pisarze takiej pamięci, jak Niemcewicz, Malczeski, Lelewel i tyłu innych.

Dnia 18 grudnia 1878 roku.

A. T.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Marya Malczeskiego, w nowym przekładzie niemieckim przez Alberta Zipper.

Coraz to szerszy, w oczach prawie naszych dojrzewający pogląd prasy niemieckiej na umysłowość polską, nietylko jest zjawiskiem *dla nas* pożądanem; zadaje on przytém kłam zbyt upowszechnionej opinii, jakoby potężna inteligencya niemiecka nie była w stanie głosem prawdy uczcić klejnotu poezyi, nie zapytawszy się z góry o szerokość geograficzną, pod jaką został on odkrytym. Miło jest dla nas, a zaszczytnie dla owéj prasy, że coraz rzadziej spotykamy się tam z anachronizmami, przypominającemi baśnie prowansalskie o pasowaniu Aleksandra W. na rycerza stołu okrągłego, a co gorsza, z rozmyślném przeoczeniem naszych skarbów. Francya przewodniczyła niegdyś Zachodowi w uznaniu naszych zasług piśmienniczych. Już przed laty czterdziestu

czytaliśmy w *Bibliotece powszechnej* genewskiej o *Konradzie Wallenrodzie* obszernie studyum, z którego główne wywody wielceby się przydać mogły do uzupełnienia literatury Mickiewiczowskiej. W tym samym prawie czasie były w żywym obiegu przekłady jego pism prozą, opatrzone wyborynym wstępem głośnego podówczas myśliciela francuzkiego Lammenais. Dziś pod tym względem przodkują mężowie niemieccy, naturalnie mężowie nauki i serca. Tak monografie, jak i głosy pomieszczane w pismach czasowych, mają dla nas ten wyjątkowy urok, jaki pisarzowi nadać jest mocną: 1) obiektywność stanowiska, wyzwalająca autora od tych słabostek atmosfery, które na małą skalę parafianiszczyzną się zowią, a na wielką skalę fanatyzmem jaźni etnograficznej (Najmilsze pod tym względem wrażenie co do naszej społeczności zostawił po sobie nieodżałowanej pamięci niedawno zmarły Herman Fichte, filozof, syn przywódcy transcendentalistów); 2) obiektywna postawa w obec samej treści i zadania utworu. I na tém to polu, w dziedzinie poezyi, zagojonemi poniekąd zostały szczyby zadane naszej przeszłości przez areopag niemiecki w dziejopisarstwie jój obrabianiu. Uznano tedy widocznie, że w świątyni piękna Bożego, wszelkie podszepty nawiasowych pobudek za bluźnierstwo poczytanemi być winny.

Dwadzieścia lat upływa od chwili, jak Albert Weiss, tłumacz *Kirgiza* i *Stepów* Gustawa Zielińskiego (oba te utwory wyszły niedawno w ponowném wydaniu), powiedział: „Małej tylko liczbie utworów literatury polskiej udało się po dziś dzień w szacie niemieckiej, wyjednać sobie wstęp i trwałe stanowisko tu, w ościennym kraju. Wyjąwszy Mickiewicza, Malczeskiego i Kraszewskiego, publiczność nasza zna pisarzy polskich zaledwo z nazwiska. Owszem, nawet dzieła tych trzech koryfuszów dla większości czytelników są również obcemi, jak obyczaj Kirgizów, z którymi zapoznać ich, lub jak cuda świata stepowego, w który wprowadzić ich zamierzam.“

O święta prostoto! pokazuje się więc, że dla napatrzenia się dzieł wów geniuszu, zwanego ciemnotą etnograficzną, niekoniecznie potrzeba docierać aż do Izb pewnego królestwa.

„Nic przeto dziwnego, mówi dalej Weiss, że w Niemczech często spotykamy się z przesadami, stanowczo odmawiającemi temu narodowi samoistnej literatury. I ja niegdyś hołdowałem takiemu przesądowi.“ Następnie tłumacz opowiada nam, jakim sposobem doszedł do poznania języka polskiego; jak zachwycony prawdziwie poetycznemi, a nawskroś samotownemi obrazami poematu Malczeskiego, uczuł w sobie popęd do przedstawienia go przed oczy ziomków, w postaci o ile można było najwierniejszej.

We dwa lata później, Henryk Niczman wydał w Gdańsku Antologią z liry i epiki polskiej, a przed trzema laty ukazało się już czwarte wydanie jego *Parnasu*, o którym w swoim czasie *Biblioteka Warszawska* podała sprawozdanie.

Jedynym murem chińskim, poza który zaledwo muzyka nasza i malarstwo przedrzeć się zdołały, jest kanał brytański. Wprawdzie dosyć głośny w swoim czasie poeta Smith, w swoim *Dramacie życia* (*Life-Drama*) pokazuje wydatnie, że jest pod wpływem Słowackiego, ale *pośredni* nici tego wpływu nie mogliśmy dotąd odgadnąć.

W przedstawianym corocznie, ku końcowi grudnia „obrazie literatury stałego ładu“ (*Continental Literature*), mamy dosyć obszernie odmalowany ruch piśmiennictwa powszechnego we wszystkich jego gałęziach. W tym obrazie (w *Athenaeum*) niepominęto żadnego narodu, żadnego plemionka grupy europejskiej. Wiele plemionek ztamtąd może dopiero dowiaduje się, że posiada literaturę. O naszję zupełnie przemilczano. Uderzmy się w piersi i zapytajmy, czy i nie nasza w tém wina?... Jeśli się nie mylimy, rok upłynął od chwili, jak jedno z naszych pism (*Kuryer Warszawski*) napełniło nas tą otuchą, że na kartce, gdzie figurują pisana nawet pigmejczyków kultury, ujrzymy przynajmniej wzmiankę treściwą i o naszém. Oczekiwaliśmy więc z niecierpliwością miesiąca grudnia 1877 r., i w końcu jego doczekaliśmy się... milczenia. A przecież: *Aut vere aut nihil*, nie znaczy to *vere* = *nihil*.

Poglądy prasy niemieckiej przeciwnie w tój dziedzinie meźniejszą i wzbogacają się ilościowo i jakościowo. I zaprawdę, chyba ostatnim już będzie głos Szepnera (Shöppnera) o poezji polskiej, wydany przed sześciu laty. Szanowny autor „Kursu literatury (*Literaturkunde mit Proben aus den Meisterwerken der alten und neuen Literatur*), z wyjątkami z arcydzieł piśmiennictwa starożytnego i nowożytnego“, który nie poskąpił miejsca nawet literaturze chińskiej i wyjątkom z jój pieśni i przypowieści, tak się odzywa o poezji polskiej: „W piśmiennictwie polskiém, naśladowanie wzorów obcych, a szczególnie francuzkich, stało na przeszkodzie rozkwitowi poezji prawdziwie narodowej. Najślawniejszy z nowoczesnych poetów Mickiewicz, utworował nową drogę w prawdziwie swojskim duchu, ale ideałem jego jest Bajron, ulubiony w kraju Mickiewicza apostoł ducha nowożytnego. Jest on bezwątpienia największym poetą słowiańskim; głównemi jego utworami są *Konrad Wallenrod* i *Pan Tadeusz*.“ Cóż dalej? zapyta czytelnik... Dalej następuje kréska, i autor znowu kilku wierszami zbywa tak samo Puzszkina; dalej następuje Węgier również w matęj dozie i t. d. Naturalnie o naszym wieku XVI, o wieku XVIII, o kilku *wiekach*, *wieku* XIX, nasz autor nie wie i nie chce, aby jego uczniowie wiedzieli.

Otóż w chwili obecnej te i tym podobne baki Kalderońskie, stanowczo poszły pod klosze. Poezja polska jest dziś w Niemczech już nie przedmiotem „Rozmaitości gazeciarskich,” lecz przedmiotem studyów. Niedawno w uniwersytecie Tybińskim, dwa poemata Mickiewicza były treścią kursu półrocznego (*Dziady* i *Grażyna*).

W *Magazynie literatury zagranicznej* stale pomieszczane są artykuły obszernych rozmiarów, naszego piśmiennictwa dotyczące. Najpoważniejszym z nich jest rozprawa o Słowackim, prowadzona

w nastroju wysoko poważnym, filozoficznym (artykuł Lipnickiego), głównie na podstawie *Listów*.

Z najświeższych przekładów niemieckich zasługuje na szczególne uznanie: *Marya* Malczeskiego, poemat opowiadający, w przekładzie niemieckim Alberta Zippera (*Maria, Erzählende Dichtung von Anton Malczeski, deutsch von Albert Zipper*, Hamburg. Grüning 1878).

Tłómacz należy do rzędu gorących wielbicieli poezji polskiej wieku XIX. Jego zdanie o *Maryi*, mogłoby się przydać jako przestroga i tym z krytyków, którzy w poemacie Malczeskiego widzą za wiele sentymentalizmu i paniczowatej gładkości, a zamało hartu; którzy zarzucają mu zapatrzenie się w jedną warstwę kształtów społeczeństwa i natury; wynikły ztąd duch kwietyzmu i spaczenie typów. Jak gdyby jądro typu tej albo innej doby, istotowo stanowić miał w poezji pewien styl w pokręcaniu wąsem lub brzęczeniu szabelką. Jak gdyby nie było fałszem ostatniego stopnia, sądzić: że z ustaniem pewnych krojów życia zewnętrznego, przerywa się wewnętrzna, prawdziwa ciągłość.

Tłómacz w przedmowie powiada, że trudność w przekładaniu utworów naszej poezji, wynika z jej charakteru wyłącznie rodzimego, że z tego powodu, szczególnież poezya nowożytna, ze strony ducha swojego, nie tak przystępną być może pojęciu obcego ludu. Ale z drugiej strony, mówi A. Zipper, „lud ten posiada tytuł poetów i poematów pierwszej wielkości, że nawet w przekładzie, byle tylko z miłością i wiernym zrozumieniem dokonany został, jeszcze wiele ujrzymy piękności, które zachwycić mogą prawdziwego miłośnika poezji.” „A wreszcie rdzeń każdego utworu pieśniowego jest czysto-ludzka, wszyscy równie zdolni jesteśmy pojąć i poczuć szczęście i ból najgłębszej starożytności, jak i najodleglejszej krainy.”

Niezawsze wprawdzie adoracya daje rekojmię braterskiego usposobienia, szczególnież w stosunkach pomiędzy grupami etnograficznymi; ale cześć artysty dla artysty, ale słowo uznania, przed majestatem arcydzieła, kłamanem być nie może. W tej jedynej oazie, po dawnemu jeszcze obowiązuje teoria Onufrego Kopczyńskiego, że w mowie wyraża się to, co myślimy. Dla przekonania się o niedwulicowym poglądzie Zippera, trzeba by posłuchać, z jaką żarliwością powołuje on ludzi pióra, do zebrania rozproszonych rysów żywota Malczeskiego. Ułożony przez siebie życiorys autora *Maryi*, dostojny tłómacz tak zagaja: „Nie mogę wszakże potłumić głosu żywego pragnienia, aby kiedykolwiek, ktoś z literatów polskich zechciał wnikliwiej zająć się dziejami poety i zasadniczém przedstawieniem genetycznego toku, chciałem powiedzieć: historii jego ducha (bo czémże inném jest biografia apostoła sztuki), zapełnić ten smutny rozdział w dziejach poezji. Ostatnia, kresowa chwila na to przychodzi; żyją jeszcze niektórzy, co znali poetę i jego współczesnych; ale ci już się pochylają ku grobowi i prędko, zbyt już prędko wszelkie badania i dziś już tak wątpliwe, coraz trudniejszemi, co więkzsza nadaremniemi będą. A więc do dzieła!

czujnie, żarliwie, póki czas jeszcze, aby żal nie przyszedł po niewczasie" (str. 5).

W całym życiorysie, skreślonym przez tłumacza, zpod opowiadanych szczegółów kolei, jak z pod pięknego haftu, przebija tło życzliwości i uznania dla wieszczki i jego kraju.

Ale najwymowniejszym o nich świadectwem jest sam przekład; Zipper, obok artystyczności (co już jest rzeczą talentu), wmarzył się, jak widać, w serce poety. „Zrozumiał go, a to dlatego, że zapuścił się w jego krainy.”

Zdanie o wykończeniu formy mniej do nas należy, możemy tylko powtórzyć sąd recenzenta niemieckiego, który, uznając zalety przekładu dawniejszego (przez Niczmana), wyżej stawia tłumaczenie Zippera. Z naszej strony dodać winniśmy, że jest on przytém wierniejszym. Zipper wsłuchał się, nietylko w naturę myśli i ducha mowy, ale nawet w te odcienia, które nazwaiby można dramatyczną intonacją w języku, którą, jeśli jaka, tedy nasza mowa pochłubić się ma prawo. Tak np. apostrofę wstępną do kozaka, pędzącego po stepie, tłumacz intonuje tęp samym *wyzywającym* zacięciem, jak pierwotwórca *Maryi*: „A dokąd to, stepów synu, na lotnym rumaku? czy zwietrzyłeś zajączka, pędzącego wśród trawy? czy duch twój, wykradłszy się z ziemi, w słodkich faluje marzeniach; czy rwiesz się do zapasów z nawałnicą?”

Gdyby *Marya* Zippera była jego utworem własnym, tedy wpatrząc się w jej plan główny, w przecięcie budowy i ozdoby architektoniczne, powiedzielibyśmy: „jest tu i Mars rycerski i miłość rycerska, jest majestat grozy, grzmot namiętnej dumy i promyki niebieskie najsubtelniejszych wzruszeń.”

Tak np. w ustępie VII, pieśni III-jej:

„Dano znak: wrzasły trąby, szczęknęły podkowy...”

gdzie nad głęboką warstwą basową, nad łoskotem zastępów, sunących się przez bramę gotycką, spostrzegamy spokojny krajobraz niebokregu i wzniosłą, pociągającą postać bohaterkiego młodzieńca; w całym tym ustępie tłumacz zachował najwierniej wszystkie akcenta sytuacji, obok dosłownej prawie ścisłości:

„Dopiero teraz w otwartém polu, gdzie już potężny swój okrąg wytoczyło słońce, serca płoną gorąco i nim skronie zyskają wieniec sławy, jak orły kąpią się w żywolsniącym strumieniu słońc;” co w oryginalnie brzmi tak:

„Dopiero to na polu, gdzie ogromne koło,
Wytoczyło już słońce, bujają wesoło
I *psnym* swoim *proporcem*, nim sławy dostąpią,
W żywych strumieniach światła, jak orły się kąpią.”

Jak widzimy, oprócz *psnych proporców*, obraz cały oddanym został dosłownie.

Równie szczęśliwie powiodły się tłumaczowi: *Dumania miecznika pod szaremi lipami* i romantyczne ich zakończenie, przypominające Mickiewiczowskie widmo i odgłos dzwonka porannego:

„To nie dla niego (mówi tłumacz) i spłoszony widokiem ludzi szczęśliwych, cofnął się w zmierzch zamkowego pustkowie, podobny owym straszylom, które trwoga nocy spostrzeża, a które giną w nicłość, skoro zaświta poranek.”

W pierwotworze czytamy:

„Nie dla niego—on nie chciał na widoku zostać,
W niknących cieniach zamku zanurza swą postać;
Jak te straszące mary, które bojaźń nasza
Widzi w bezsennej nocy—poranek odstrasza.”

Niepodobna także pominąć nam owęj perły ludzkiego patos, już dziś unieśmiertelnionej w muzyce, w żywém słowie pamięci estetyków, literatów, uczniów i uczennic naszych:

„Przy nim młoda niewiasta“ (XI, pieśń I).

Tłumacz tak oddaje to miejsce, jakby bezpośrednio z jego duszy płynęło; oto jego wyrazy:

„Przy niém oblicza niewieście zapadły w księgę wiekuistą; jak trwożna gołębica, pochyliła ona myśl swoją ku pierwoźródłu światłości, płochliwe jęj skrzydło zatęskniło do gniazda, tam daleko od dni ziemskich, na gniazdach. A że miłszém nam skinienia daje cicha pokora, niżeli pycha... i drży nić, która seree i niebo wiąże spójnie, więc kropla rosy słodko sączy się na ranę jęj duszy.”

Wierniejszym zaprawdę być niepodobna.

Ale prawdziwym tryumfem tłumacza nad trudnościami zadania, jest scena w łożnicy śmiertelnj, owe straszliwe unisono, z którym chyba tylko Bajronowska wystawa śmierci porównaną być może. W tej scenie tłumacz zamyslał nawet prawdopodobnie o oddaniu ech rozpaczliwego krzyku Wacława, tak przynajmniej zdaje się z rymowego układu, czterech środkowych wierszy.

Albert Zipper znakomitą wyświadczył przysługę ziomkom dobrej woli; jesteśmy pewni, że p. Amelia, której pracę swoją w braterskim upominku poświęca, poemat germański o Maryi, jak my nasz, przycisnie do serca.

F. J.

Poezye Goethego wybrane, tłumaczył Hugo Zathej. W Krakowie w drukarni „Czasu” pod zarządem J. Łakocińskiego 1879.

Żadna może z wielkości duchowych nie wywołała utworami swemi tak krańcowych głosów w swoim czasie, jak Jan Wolfgang Goethe. Kiedy z jednej strony zapaleńcy samobójstwami oddawali tragiczny hołd jego Werterowi, kiedy Bajron na czele swojego Wernera pisał: „przeświennemu Goethemu tragedia ta poświęconą zostaje przez jednego z naj-

korniejszych jego wielbicieli," tymczasem Menzel podnosi najzjadliwszą filipikę przeciw „mniemanemu geniuszowi” przepowiadając rychłe rozczarowanie świata.

Do jakiego stopnia spełniła się przepowiednia, najlepiej o tém świadczą studia, naśladowania i przekłady utworów Goethego, na starym i nowym łądzie dokonywane. Napoleon I-szy, zapewne nie pod urokiem majestatycznej powierzchowności, widząc podobno po raz pierwszy Goethego, zawołał: *Vous êtes un homme*. Rzeczywiście, można mieć głębokie przekonanie, że ów lakonizm cesarski *brevitas imperatoria*, która tak piorunująco oceniała wagę autorską Cezara i Wergiliusza, nie prędko zaprzeczoną zostanie.

Ponieważ w téj chwili mamy przed oczyma przekład utworów Goethego, pozwolimy sobie przytoczyć *jego* zdanie o przekładach. Goethe odróżnia trzy rodzaje tłumaczeń, zaznaczając w nich epokową kolejność: 1) przekład zmierzający do zapoznania nas z zagranicą—i tu najstosowniejszym krojem jest proza; 2) przekład, który wprowadzie przynosi czytelnika w dziedzinę stosunków obyczajny, ale przyswaja dla nas, tylko ducha obcego, kształtując go na ducha krajowego; 3) przekład, zdaniem Goethego, najwyższy, w którym tłumacz zamierza sobie utożsamieć się z pierwtworem, poświęcając mniej więcej oryginalność narodową (swojego języka) na rzecz typu danego. Do rzędu ostatniego z trzech należą przekłady Vossa i takie właśnie zaleca Goethe ze względu, że na téj drodze zachowania wszystkich barw pierwtworu, dostarcza kształcącemu się pokoleniu zapasu najróżnorodniejszych zwrotów typu, miar, rytmów, jakoby z pierwszej ręki.

Znany chlubnie nasz pracownik, p. Zathej, który nas w téj chwili darzy *wybranemi poezjami Goethego*, bezwątpienia miał na uwadze trzeci rodzaj zadań przekładczych, wytkniętych przez Goethego. Widać to przede wszystkim z nader starannie zachowanej ścisłości metrycznej, oraz w pracy *utożsamienie* się z myślą pierwtworu. Zbiorek niniejszy, w piękném wydaniu o 103 stronicach, zawiera przeszło trzydzieści utworów, częścią pieśniowych, częścią ballad, przytem z romansu (*Wilhelm Meister*): *Mignon*, *Harfiarz* i wiersz *do Barona*. Są to, jak widzimy roboty, na drobną skalę, lecz do zaokrąglenia charakterystyki poety wcale przydatne. Kwestya wymiaru zadania do krytyki wchodzić nie może. Poezi pierwszej potęgi niejednokrotnie w drobnych ruchach siłę i giętkość talentu wykazują. Czyliż np. Bajron nie jest całym Bajronem w wierszu swoim umieszczonym w imienniku? albo Szyller czy nie jest całym sobą w dwuwierszu *Nieszczęzożoność*? Jedynie może nie zgodzilibyśmy się na wybór tego rodzaju małostek pojęciowych, jak np. *Chodzący Dzwon*. Sądzimy, że sam tłumacz czuł się zakłopotanym kiedy mu przyszło łamać się z puchem tego rodzaju, jak np. *Matka mówi*, (groząc dziecku, które nie chciało w święto chodzić do kościoła):

„To nie żarty!
Ej! uważaj ty na siebie,
Gdy wciąż będziesz tak uparty!
Przyjdzie dzwon i weźmie ciebie.“
Myśli dziecię: dzwon ten przecię
To nie człowiek i nie chodzi;
Czy to słyszał kto na świecie?
To mię tylko mama zwodzi i t. d.”

Te i tym podobne gwarzenia drzemiącego Homera snadnie opuściłby się dały, skoro tu nie idzie o całkowity przekład dzieł poety, *Kwiatek Cudowny* (str. 89—94) przeciwnie, jest datkiem serdecznym, udatnie przestrojonym w szaty polskie. Dalej mamy piękną balladę o *Śpiewaku*, z nadzwyczaj zrecznie zachowanym taktem metrycznym:

Co to za głos przed bramą tam,
Rozlega się na moście?
W sali ten śpiew niech zabrzmie nam!
Biegnijcie—i poproście.
....Panowie moi, witam was,
Witam was, piękne panie!
Jak gwiazd na niebie, tyle was,
Ach! trudneż ich nazwanie.
...I wziął do ust i duszkiem pił:
Gdzież napój rokoszniejszy?
Oby dom taki długo żył,
Gdzie to, jest dar najmniejszy¹⁾.
Wspomnijcie mię w szczęśliwsze dni
I wdzięczni Bogu bądźcie wy,
Jak wam dziś, śpiewak wdzięczny.

To wiersz rwący się do lotu, prawdziwy śpiew.

Taką samą ścisłość znajdzie czytelnik bezwarunkowo wszędzie; wszakże, jak widzimy, nie krępuje ona pióra tłómacza w pociągach artystycznych. Nie zgadzamy się tylko na nieuwzględnienie przez tłómacza pojęciowój subtelności, jaką sobie duch naszego języka zastrzega *nieodwołalnie* pomiędzy skróconemi a pełnemi formami pewnych części mowy (me, moje—gdy, kiedy i t. p.). Jeżeli język posiada zapas z dwu (a niekiedy i więcej) okresów kształtowania, tedy, jak wiadomo, owe bogactwo fonetyczne zużytkować należy pojęciowo; formę więc dłuższą zachowujemy sobie na wyrażenie przycisku. Otóż zamiast „gdy już prosić” i t. d. powiedzielibyśmy raczej: „kiedy już prosić.” Podobnież w *Uczniu czarownika*:

„Dzisiaj sam rozpocznę czary.
Niech raz, przecie, jego duchy
Spełnią téż i me rozkazy”

¹⁾ Śpiewak nie chciał przyjąć ofiarowanego sobie w nagrodę, złotego łańcucha, prosił tylko o gościnną czarę wina.

lepiej byłoby poświęcić akcent fonetyczny dla myśli, aniżeli odwrotnie.

Z powodu przesłicznej i szczęśliwie przełożonej ballady: *Joanna Sebus*, która ocalając tonących w czasie powodzi, sama pada ofiarą i ginie w nurtach, nasuwa się nam pewna uwaga co do używania archaizmów w poezyi. Tłómacz tak rozpoczyna balladę:

„Już wał przerwany, już fala huczy,
Szalona fala w szalonej tuczy...”

Co do wierności, przekład nic nie pozostawia do życzenia, jak o tém przekonać się może czytelnik z pierwszego lepszego ustępu. Jak np. w pierwotworze ballady *Śpiewak*, czytamy przekład dosłowny:

„Król rzekł tak, paż pobiegł; paż powrócił; król zawołał: wpuście mi tu starego.”

Tłómacz mówi:

„Tak kazał król; paż zaraz biegł;
Powrócił wnet; król głośno rzekł:
Wprowadzić mi starego.”

Śpiewak, ofiarowanego sobie podarku przyjąć nie chce i mówi:

„Ja śpiewam, jak śpiewa ptaszek, który mieszka wśród gałęzi; pieśń, przeciskająca się z piersi, jest nagrodą, która odplaca sownie; lecz jeśli wolno prosić, proszę o jedno: pozwólcie z czystego złota spełnić puhar najlepszego wina.”

Tłómacz tak to oddaje:

„Ja śpiewam, jak w gałęziach drzew
Swobodne ptaszę śpiewa,
Nagrodą hojną jest sam śpiew,
Co z piersi się dobywa;
Gdy już prosić, proszę o to:
Kaź mi czarę szczerozłotą
Najlepszego dać wina.”

Archaizm jestto jakby kostium staroświecki, którego powaga już nie w nim samym leży, ale w dziedzinie abstrakcyi, i z owéjto dziedziny widza zasięga rysów, dopełniających wrażenie wzroku uczuciami tradycyi. Archaizm przeto może być usprawiedliwionym jedynie wtenczas, jeżeli myśl sama wymaga podobnego zgrupowania żywiołów: danych i domysłowych. Forma staroświecka tym sposobem zakrawa na symbolizm. Jeżeli Mickiewicz w hymnie mówi: „Ninie dzień Tobie (Maryo), uświęcamy wierni” baczny czytelnik dozna tu zdwojonego wrażenia, to jest „dośpiewa sobie coś w duszy,” coś dalszego poza dane wyrazowo przez poetę. Wytwarzanie zmarszczków, bez wyrozumowanej estetycznie potrzeby, wkraczanie w narzecza, albo okresy rdzą pokryte: są to czynniki zbyt silne na bieżące sytuacje i dlatego w ich zażywaniu oględność zachować należy, choćby ze względu na to, iż one to właśnie najłatwiejszy dają przystęp pociskom humorystyki.

Oświadczając się zresztą z zupełnym uznaniem dla tłumacza, nie możemy pominąć milczeniem wyrazów jego, wyrzeczonych we wstępie do przyjaciół: przyznajemy z tłumaczem, że „kto zabiera się do takiej pracy, t. j. do przekładu prześlicznej pieśni, która była tak prostą, tak pełną uczucia i rozumu, gdy się z własnej piersi wydobyła—ten pokonać musi wiele trudności.” Przyznajemy również, że nasz język ani lubi, ani może korzystać z prawa elizyi, ściągania zgłosek. Owszem, twierdzimy nawet, że ta niezdolność (do elizyi) dowodzi, iż nasz język wolnym jest stanowczo od niegodnego zazdrości: odrętwienia, które pozwala, gdzieindziej, na odcinanie najistotniejszego organu żywotnego, jakim jest samogłoska. Ale wręcz nie podzielamy zdania, jakoby nasz język nie miał tylu bogatych swobód, co niemiecki. Aby zaś nie zbywać ogólnikami, zadajmy sobie najprostsze zapytanie: gdzie jest owe pełne morze, na którym swoboda języka wszystkie żagle rozwinąć, wszystkich obrotów dokonywać zdoła, jeżeli nie w jego składni? A składnia niemiecka w porównaniu z naszą jestże tak bogatą, aby nasz język mógł jęj pozazdrościć? Nie przekład utworów Goethego, ale przekład poezyi wogóle jest zadaniem trudnym i gdybyśmy chcieli aż do dna wyczerpać całą ścisłość dyalektyczną, w takim razie uznaliby wypadało każdy utwór poetycki, za *semel dictum*, za rzecz raz nazawsze wyrzeczoną tak, a nieinaczej, raz nazawsze wcieloną tak, a nieinaczej, a tém samém zawyrokować stylem Johnsona, że przekład jest rzeczą niepodobną! *E pur si muove*, czyli innemi słowy: Mickiewicz nie przełożył *Giaura*, lecz stworzył drugą osobę *Giaura*. Albert Zipper w nowym przekładzie *Maryi*, mówi także o trudnościach, ale nie tam nie słychać o braku swobody w mowie niemieckiej; każdy z wielkich języków jestto świat w sobie skończony, który jest, żyje i porusza się w pewnym porządku sił, twórczo sobie nadanym. Każdy więc jest i uważanym być winien nietylko za całość uczłunkowaną głósów, ale i za jednostkę metafizyczną. Ile posiada rytmu nasz język, spytajmy o to jednego z tych mocarzy, którzy wiedzieli „co to być ptakiem.”

Wreszcie, na dowód przytaczamy ustęp z przekładu ballady: *O wygnanym i powracającym hrabi*, dokonanego piórem naszego tłumacza; ustęp ten najlepsze da świadectwo o zaletach niniejszej pracy p. Zatheya, oraz o zbrojności naszego języka, ilekroć idzie o wyśłowienie rzeczy wielkich.

(Hrabia, w chwili gdy nieprzyjaciele zamek jego zdobywają, uchodzi, zakopawszy w ziemię skarby i unosi pod płaszczem córeczkę, z którą następnie rozstać się musiał. Wśród pielgrzymki, a raczej żebraczego tułactwa, jako śpiewak obchodzi on świat Boży i w końcu dwaj synkowie księżęcia, naówczas nieobecnego, zapraszają starca do zamku, gdzie później nastąpić ma nadzwyczajne odkrycie. Staruszek, zaproszony przez nich, opiewa im bajeczkę o hrabi; dzieci słuchają go chętnie):

Srożyły się wrogi i burze szalały,
Gdy hrabia opuszczał swój samok wspaniały,

A skarby zakopał był w ziemi.
 Dlaczego tak śpieszy? dlaczego drży,
 Co objął rękami silnemi?
 Co ukrył na piersi i płaszczem otula,
 I w dal co unosi tak skrzącnie?
 Córeczka to była, na rękach mu lula
 (A dzieci słuchają tak chętnie).

Zaświtał poranek, a świat tak szeroki,
 Murawa mu łożem, a dachem obłoki;
 We wioskach ugospzczą śpiewaka:
 Tak mijał on góry, doliny, potoki,
 A broda mu rośnie ot taka.
 I dziecię mu rośnie, aniołek ów złoty,
 Uśmiecha się mile, ponętnie,
 On płaszczem je chroni od zimna i słoty
 (A dzieci słuchają tak chętnie).

F. J.

Kilka uwag o recenzji książki „Filozofia i jej zadanie“ (w zeszycie wrześnieowym Bibl. War. z r. 1878).

Jednanie filozofii z religią, ta najżywotniejsza z kwestyi, które kiedykolwiek rozum ludzki zajmowały, w dwojaki sposób się przedstawia. Można je najpierw pojąć jako *kompromis*, w którym filozofia i religia robią sobie nawzajem jakieś ustępstwa, względem niektórych punktów podają sobie rękę na znak sklejonej przyjaźni, używają tych samych wyrazów; kwestye zaś, w których się zgodzić nie mogą, zamilczają całkiem albo ogłaszają za podrzędne, nie przeskadzające zgodzie i tolerancji wzajemnej.

Po drugie, można to pogodzenie pojąć jako *sąd*, w którym filozofia i religia legitymują się w obec rozumu z swoich pretensyi. Rozumie się jednak, że nie na téj samej stopie obie na tym sądzie stają. Religia wykazuje tylko właściwemi sobie dokumentami, że to a to było jej od Boga objawioném, a cokolwiek w ten sposób wykaże, to zaraz rozum z czcią i wiarą uzna. Filozofia dowodzi, że to i owo logicznie wynika z pewników oczywistych; a co w ten sposób udowodni, to jej rozum przyzna; gdzie zaś dowodów ścisłych nie starczy, powie jej: to nie twoje. W ten sposób na zasadzie, że prawda rozumowa nie może się sprzeciwiać prawdzie objawionój, wszelki spór i wszelkie nieporozumienie się usuwa.

Jakoż, aby w ten sposób pojąć jednanie filozofii z religią, trzeba oczywiście być pewnym, że nie zdarzy się wypadek, aby w téj samej kwestyi co innego wykazała religia jako objawione, a co innego udowodniła filozofia jako rozumowo pewne. Trzeba więc wierzyć w praw-

dę, t. j. być przekonany, że jest coś absolutnie prawdziwego, a prawda i fałsz nie są tylko pojęciami względnymi; trzeba też wierzyć w religią i *wierzyć w rozum*, t. j. być przeświadczonym o nieomyślności obojga w odpowiednich zakresach i należytych warunkach. W czasach zaś jak nasze, gdy i przekonania religijne rozwiewają się w zamieć bezwyznaniowych doktryn, i pewniki rozumowe rdzewieją sceptycyzmem; gdy pod imieniem filozofii nie rozumie się już *systemu prawdy*, ale tylko panoramę różnobarwnych systemów, którym się widzowie z kolei przypatrują jako ciekawym antykom, i każdemu mniej więcej hołd admiracyi oddawają ¹⁾: w takich czasach, mówię, ów drugi sposób godzenia filozofii z religią musi się wydawać niepodobnym i niedorzecznym; pierwszy zaś, t. j. wspomniany kompromis, staje się jedynie możliwym, ba, nawet bardzo łatwym; bo cóż łatwiejszego, jak nagiąć do siebie rzeczy tak wiotkie, jak religia i filozofia w ten sposób pojęte? Nic więc dziwnego, że gdy dzisiaj ktoś wspomni o jednaniu filozofii z religią, to powszechnie narzuca się na myśl ów rodzaj kompromisu, i to nie tylko ludziom bez wiary i zasad, ale nawet ludziom dobrze myślącym i z przekonaniem religijnym; bo, jak powiedziałem, ten sposób pojmowania kwestyi jest w atmosferze umysłowej naszego czasu.

Ta okoliczność była powodem wielu nieporozumień i zarzutów przeciwko książce, którą wydałem w r. 1877 pod tyt.: *Filozofia i jej zadanie*. Właściwem tój książki założeniem nie jest godzić filozofią z religią, ale określić istotę, zadanie i prawy kierunek filozofii; jednakowoż i to jednanie filozofii z religią na dnie tego założenia leży; i tak być musiało, gdyż nie pojmuję filozofii, któraby pomijała swój stosunek do religii, i nie pojmuję filozofii rozumnej, któraby ten stosunek inaczej określała jak ugodliwie. Jakoż ta ugoda w wspomnionj książce pojęta jest i przeprowadzona w ów drugi sposób, który do sądu przyrównałem. Filozofią nazywam nie historyczny przegląd systemów, nie to co Spinoza, Kant, Hegel (i inni mistrzowie) powiedzieli, ale tylko *prawdę rozumową, z pewników oczywistych logicznie płynącą*. O tój filozofii utrzymuję, że takowa w niczém się prawdzie objawionj nie sprzeciwia. Panteizmu zaś, materyalizmu i tym podobnych doktryn nie myślałem nigdy godzić z dogmatem katolickim, ale raczej usiłowałem pokazać, że te teorye, o ile są w sprzeczności z dogmatem, o tyle też są niezgodne z filozofią, t. j. z rzetelnemi rozumem ludzkiego zdobyczami. Ten sposób jednania filozofii z religią uważam za jedynie możliwy i prawdziwy. Ów zaś kompromis jest, mojem przekonaniem, mylny w zasadzie, gdyż zasada się na mylnych filozofii i religii pojęciach; jest zgubny dla religii, bo prowadzi do fałszywego rozumienia i przekrzywiania jej dogmatów; i zgubny dla samj filozofii, bo przywodzi do chwiejności wszelkich pewników i mieszaniny pojęć.

¹⁾ Tak opiewa dosyć powszechna dziś zasada: *Die Philosophie ist die Geschichte der Philosophie*.

Tymczasem, z powodów wyżej nadmienionych, zdarzyło się, że niejednen z moich czytelników, postrzegając na tle tej książki zamiar jednania filozofii z religią, pojął, a przynajmniej przypuścił, że ja przyjmuję to jednanie na sposób owego kompromisu, i żąd, rzecz naturalna, znalazł całą książkę w sprzeczności z założeniem. To nieporozumienie uderza mianowicie w recenzi tej książki, napisanej przez pana Aleksandra Tyszyńskiego i umieszczonej w zeszycie wrześniowym (r. 1878) *Biblioteki Warszawskiej*. Na tę recenzją winienem odpowiedzieć, nie z powodów osobistych, gdyż ona jest w wielkiej części łaskawą i życzliwą; ale dlatego, że niewłaściwie przedstawia moje zdania w tych właśnie rzeczach, w których mi najbardziej idzie o dokładne mego stanowiska określenie, t. j. w kwestyi stosunku filozofii do religii, tudzież w powiązaniem z tą kwestyą ocenieniem idealizmu i materyalizmu. Zaniechanie więc odpowiedzi i wyjaśnienia rzeczy z mojej strony byłoby chybieniem głównego celu mojej pracy.

Poczyna tedy pan T. od zarzutu, że w rozdz. I przedstawiam filozofią „jako całość wszystkiego, co może być przedmiotem myśli ludzkiej“, a w ostatnim rozdziale: „filozofią i religią, za zupełną oddzielność uważam i przeto, rzecz można, cały przedmiot tej ostatniej oddzielam od filozofii rzetelnej,“ nieco niżej nawet podstawia mi „założenie z góry, że religia i filozofia są dwa działy niepojednane;“ i przeciwko temu mniemanemu założeniu silnie występuje. Tu już pokazuje się owo nieporozumienie, o którym wyżej mówiłem, nieporozumienie, do którego przecież w mojej książce nie dałem powodu. Zkądże bowiem pan T. wnosi, że tak odgraniczam dziedziny filozofii i religii? Wszak i w rozdziale I (str. 28, 29) i w ostatnim, i w innych miejscach wyraźnie tłómaczę i z naciskiem powtarzam, że „filozofia i wiara spotykają się mniej więcej w tym samym przedmiocie, na tém samém polu siedzą, te same zagadnienia podejmują i rozwiązują;“ różnicę zaś główną między nimi oznaczam nie w odrębności przedmiotu, ale w powodzie uznania prawdy, czyli w sposobie, jakim każda w tym przedmiocie prawdę poznaje: „wiara mówi: tak trzymam, bo Bóg tak naucza,—filozofia mówi: tak twierdzą, bo wiem dlaczego tak jest“ (str. 29) ¹⁾. Dalej, nie tylko nigdzie nie stawiam założenia, że religia i filozofia są niepojednane, ale przeciwnie, zaraz na wstępie (str. 9) twierdzą, że taka niezgoda jest niemożliwą; następnie w całym ciągu książki, ilekroć się spotykam z systemami anty-religijnymi, tyle razy pokazuję, że takowe są oraz anty-filozoficznymi, i równie rozumowi jak wierze przeciwnymi; w ostatnim zaś rozdziale szczegółowo dowodzę, że przypuszczenie opozycyi między prawdą filozoficzną a prawdą wiary, jest zarazem i grubym błędem przeciwko rozumowi i herezyą przeciwko wierze

¹⁾ Cały ten stosunek filozofii czyli wiedzy rozumowej do wiary, to jest odróżnienie ich pod względem *powodu* (*motivum et principium*), zgodność pod względem prawdy, wzajemne popieranie się i t. d., orseczonym został w ten sam sposób na soborze watykańskim. Tekst soboru podałem w rozdz. XV.

(str. 310, 311); w końcu pozytywnie wykładam, jak wiara i filozofia zgodnie kroczą, i jak wielkie sobie wzajemnie oddają przysługi (str. 313—327).

Jak widać więc, zarzut pana T. nie da się inaczej wyrozumieć, jak tylko przez to, że pojął albo sądził, że ja pojmuję pod imieniem filozofii zbiorowisko wszystkiego, co filozofowie myśleli, a pod imieniem jej zgody z religią rzeczony kompromis. W takim razie, istotnie pokazuje się w mojej książce opozycya między filozofią i religią; inaczej, tej opozycyi niema śladu.

Jakoż i tę opozycyą między fałszywemi teoryami, mianowicie idealizmem i materyalizmem, a wiarą i religią, nie tak pojmuję i przedstawiam, jak mi pan Tyszyński podkłada. Szanowny recenzent zarzuca mi, że pojednanie uniemożliwiam przez to, że z jednej strony przesadzam zarzuty przeciwko idealistom i materyalistom, wmawiając w nich skrajniejsze opinie, niż mieli rzeczywiście, a z drugiej strony przesadzam wymagania dogmatu, przedstawiając jako należące do wiary, to, co do niej niekoniecznie należy. Zarzut ten, gdyby był słusznym, byłby dla mojej książki zabijającym, gdyż, jak powiedziałem, główna jej dążność jest pojednawcza: idzie mi przede-wszystkiem o to, aby wykazać, że można i trzeba filozofować na wspólnych zasadach i zgodzie z wiarą. Atoli sądzę, że na ten zarzut wcale nie zasługuję i że się wiernie trzymał mego założenia: „niezaprzeczania bezwarunkowo jak tylko temu, co się sprzeciwia (bezwarunkowo) prawdzie katolickiej i głównym zasadom zdrowej filozofii” (str. 16).

Obaczmy to w rzeczy samej i zacznijmy od idealizmu transcendentnego. P. Tyszyński zarzuca mi najprzód wogóle, że „uważam ten kierunek za zgubniejszy, niż sam materyalizm.” Przeciwnie temu mocno protestuję i tegom nigdzie nie mówił. Przeciwnie, powiedziałem: „że ten kierunek jest niezawodnie szlachetniejszy od sensualizmu i materyalizmu” (str. 70), przeczytałem mu za zasługę, że „upadlającą doktrynę materyalistów, do czasu przynajmniej stłumił” (tamże); powiedziałem i pokazałem, że materyalizm jest daleko zgubniejszym od transcendentalizmu (str. 180). „Nie odmówiłem więc temu zwrotowi dobrego słowa.”

W szczególności o Kancie mówi p. Tyszyński, że „jego przekonania o bytności Boga i nieśmiertelności duszy, spać mu nie dawały,” że takowe we „wszystkich swych traktatach objawia, że nawet osobne wydał pismo z tytułem: *Dowód bytności Boga* i t. d. To wszystko jest bardzo budujące, ale to nie znosi w niczem moich zarzutów przeciwko filozofii Kanta. Zamiary Kanta mogły być najlepsze, a obok tego wypadki jego filozofii najgorsze. Samego Kanta nićmam za ateusza ani za panteistę, twierdzą jednak, że system Kanta był logicznym powodem i zarodkiem teoryi panteistycznych i ateistycznych, które niebawem w jego szkole wybujały i to udowadniam rozbiorem głównych zasad tego systemu, w *Krytyce czystego rozumu* wyłożo-

nych. W tójto książce, jak powiedziałem, Kant „sadzi się” na zbijanie bytności Boga, bo nietylko poświęca 48 stronic¹⁾, na zbijanie właściwych i klasycznych dowodów, na których przekonanie rodzaju ludzkiego o istnieniu Boga od początku świata, aż do dziś dnia spoczywało²⁾; ale nadto przychodzi do ostatecznego wniosku, że pojęcie Boga jest *ideą a priori*, t. j. (podług jego systemu) czysto subiektywném prawem naszego myślenia, mającém „jeszcze mniej wartości przedmiotowej, niż kategorye,” które jęj wcale niémają; tudzież, że rozum spekulatywny nie może wcale dojść do pewności o Bogu, co znaczy innemi słowy, że niéma *dowodu* na to, że jest Bóg, że tego wcale nie możemy *wiedzieć*. Gdy zaś Kant w *Krytyce rozumu praktycznego* rekonstruuje Boga, co nie cofa tego, co pierwój powiedział, nie daje właściwego dowodu istnienia Boga, ale daje tylko powód przyjęcia tój idei, jako postulatu praktycznego. Innemi słowy: podług Kanta w praktyce mam uważać istnienie Boga za prawdę, aby mi to do życia moralnego pomagało, ale czy rzeczywiście Bóg istnieje, tego wcale nie wiem i wiedzieć nie mogę. Prawda, że Kant w tём przeniesieniu idei Boga z pola spekulacyi, na pole praktyki, ma, jak powiada, za cel, uchronić tę ideę od pocisków ateizmu i panteizmu. Ale, jakem powiedział w książce, dziwny to zaiste sposób ratowania fortecy, aby jęj nieprzyjaciele nie zdobyli, wysadzić ją w powietrze.

Co się tyczy następców Kanta, mianowicie Fichtego, Schellinga i Hegla, p. Tyszyński twierdzi w ogólności, że „byli to nietylko pisarze chrześciance, ale gorliwi chrześciance, którzy wszystkie swe prace poświęcali na racjonalne sprawdzenie głównych twierdzeń swego wyznania.” Czy oni byli chrześciance w prywatném życiu, to nas obecnie nie obchodzi i w to się wcale nie wdawałem; ale twierdzić, że oni byli chrześciance jako pisarze, że bronili pojęć chrześcianceńskich, to doprawdy trudno. Cóż to jest, pytam, chrześciancein? Nie wdaję się w subtelności teologiczne, ale podług powszechnego pojęcia, *crasso modo*, chrześcianceinem jest człowiek, który wierzy w Boga, t. j. w istotę wyższą, która go stworzyła, nim się opiekuje i na cześć jego zastuguje. A czyż wierzy w Boga ten, co jak Fichte mówi, że Bóg to nic innego, tylko porządek społeczny; czy wierzy w Boga ten, co jak Schelling i Hegel twierdzi, że Bóg to najogólniejsze, najoderwansze pojęcie, którego wszystkie rzeczy stworzone są tylko szczegółami, u którego niemasz ani osobowości, ani wolności, ani samowiedzy, chyba dopięro w człowieku. Panteista, jakem to w kilku miejscach wykazał, w sobie uznając najwyższy rozwój absolutu, tylko sobie cześć Boską odda-

¹⁾ Od str. 611 do str. 659, wydanie 4, 1794 r.

²⁾ Św. Paweł do Rzymian roz. I, str. 20: *Invisibilia enim Ipsius a creatura mundi per ea, qua facta sunt, intellecta conspiciuntur etc.*

Księga mądrości roz. XIII, str. 1: *Vani autem sunt... (qui) de his quae viderunt bona, non potuerunt intelligere Eum qui est etc.*

wać może i przeto w gruncie rzeczy od ateisty wcale się nie różni ¹⁾. Dalej chrześcianinem nazywamy człowieka, który wierzy w przyszłe indywidualne życie. A czy wierzą w takowe tacy, którzy z Fichtem, Schellingiem i Heglem, sądzą, że każdy z nas jest tylko chwilowym objawem absolutu, momentem w jego rozwoju, mającym niebawem rozplynąć w głuchym ogóle, nie zachowując żadnego swój indywidualności śladu? Niedosyć na tém; osobowego Boga i przyszłe życie uzna i żyd i turek, chrześcianin zaś od nich przynajmniej tém się różni, że wierzy w Chrystusa. A czy wierzy w Chrystusa ten, u którego Chrystusem jest dziejowy rozwój ludzkości, jak u Schellinga, a Odkupieniem poznanie identyczności człowieka z naturą, jak u Hegla? Iście na takiego Chrystusa z takim odkupieniem i żyd i turek przystanie. Prawią też ci filozofowie o Trójcy i innych Chrystyanizmu dogmatach, ale tak je „racyonalnie sprawdzają,” że czynią z nich coś podobniejszego do indyjskich teogonii, niż do chrześciańskiej myśli. Lepiejby nie byli tykali tych świętych tajemnic, ani imienia Boga wymawiali; bo temi „wytężeniami swój myśli” nietylko Chrystyanizmu nie wsparli, ale raczej *mutaverunt gloriam suam in idolum*.

Przeciwstawia mi p. Tyszyński późniejsze pisemka Fichtego i Schellinga. Cóżto ma do rzeczy? Alboż się nie zdarza ludziom wpadać ze sobą w sprzeczność lub w ciągu dłuższego życia zmieniać zdania? Wiadomo wszystkim i sam p. Tyszyński nadmienia, że Fichte na stare lata pisał ascetyczno-mistyczne traktaciki, że Schelling w późniejszym wieku z gruntu odmienił swe poglądy i niemal wyraźnie odwoływał, co dawniej twierdził. Gdyby szło o osądzenie tych ludzi, oczywiście te późniejsze zmiany i retraktacye należałoby przedewszystkiem uwzględnić; ale kiedy nie idzie o ludzi, lecz jedynie o ocenienie idealizmu transcendentalnego w jego ogólnym rozwoju, wówczas nie należało uwzględniać jak tylko główne dzieła i główne systemy w skład tego rozwoju, jako istotne momenta, wchodzące. Te zaś dzieła i te systemy są w swych najistotniejszych pojęciach i zasadach panteistyczne, a zatem ateistyczne i antychrześciańskie takie, jakem je przedstawił.

Przytacza mi znów p. T. pojedyncze wyrazy Hegla i łaskawie przekłada je na takie niewinne zdania jak np. „Chrystyanizm jest prawdą, Bóg jest Duchem, Bóg jest Jeden we trzech Osobach” i t. d. Potwarzam znowu, że tu nie idzie o same słowa, ale o treść w tych słowach zawartą. Tém zgubniejszy jest Hegelianizm, że używa słów chrześciańskich, podkładając im pojęcia najbardziej antychrześciańskie. Gdy Hegel mówi, że „treść (der Inhalt) Chrystyanizmu jest prawdą,”

1) Nie pojmuję dlaczego p. Tyszyński na str. 475 przyznaje, że system Hegla jest panteistycznym, a zarazem zarzuca mi, że Hegla o panteizm obwiniam. Alboż nie oświadczyłem kilkakrotnie w pomienionj książce, że nie krytykuję ludzi jako takich, ale ich systemy? Zresztą komuż przypisać panteizm systemu Heglowskiego, jeśli nie Heglowi?

rozumieć on, że pod chrześcijańskimi dogmatami jako grubą powłoką, kryje się jego panteistyczna teoria. Chrystyanizm mówi, że Bóg jest Duchem: u Hegla, to znaczy, że trzecim momentem rozwoju Absolutu jest Duch, nie Duch Twórca i Rządca świata, ale ten Duch, który we mnie myśli i który w pierwszym swym momencie bywszy abstrakcją, w drugim materią, w trzecim dopiero t. j. w człowieku przechodzi do świadomości o sobie. Chrystyanizm mówi, że Bóg jest Trójcą i rozumieć przez to troistość Osób realnie różnych: u Hegla Trójca znaczy, że Absolut o ile jest w sobie (an sich) abstrakcją, logicznym pojęciem, ma być *Ojcem*, o ile się na zewnątrz wyłania, stając się naturą, czyli światem widzialnym, ma być *Synem*; o ile zaś znowu się włania przez poznanie się w umyśle ludzkim jest Duchem. Doprawdy, *Trimurti* Braminów podobniejsze jest do chrześcijańskiej Trójcy niż to dziactwo. Wymawia mi p. T., że chwytam autorów za słowa. Sądzę, że odwrotnie, on sam trzyma się słów, abstrahując od nich znaczenia; ja zaś w całej osnowie i w głównych zasadach systemów transcendentálnych pokazałem, że są najistotniej niezgodne z chrześcijańską myślą. Ciekawym np. gdzieby p. T. zmieścić Boga w głównym systemie Fichtego? czy po stronie Jaźni, czy po stronie Niejaźni? Gdzieby Go zmieścić u Schellinga? czy w jego obojętności nierozróżnionej, czy w jej rozwoju subiektywnym czy w obiektywnym? Nie o słowa idzie, ale o rzeczy: pominawszy zaś słowa, ile mi p. T. pokaże chrześcijańskiej myśli w głównych systematach transcendentálnych, tyle ja ich pokażę u Indyjskich Vedantystów i greckich Eleatów.

Co się tyczy skutków tego kierunku, p. T. mi zarzuca, że jeśli obwiniam tę filozofią za jej zgubne następstwa, to tém samym prawem obwiniać trzeba Ewangelią za zbrodnie sekt, co się z nią wyrodziły. Zachodzi przecież mała różnica: ta, że te sekty, jak p. T. przyzna, niezgodne były z Ewangelią, Ewangelia mogła im dać okazją ale nie powód. Zgubne zaś następstwa, o które obwiniam filozofią transcendentálną, zawierają się w niej jak kwiat w pączku i wynikają z jej zasad koniecznością logiki, com o każdym z nich dowodnie wykazał (Roz. VI).

Muszę się jeszcze wytłómaczyć z zarzutów „nieszczerości” i sprzeczności ze sobą samym. W krytyce Kanta, twierdzi p. T., powstaje na *aprioryzm*, a jednak gdzieindziej cały swój system opieram na aprioryzmie; w krytyce Schellinga zowią jego *intuicyą* mrzonką, a jednak za podstawę pewników mego systemu biorę intuicyą; *konieczność* raz uważam za ideę zgubną, drugi raz sam się nią posługuję. Ha! gdybyśmy mieli w filozofii słowa wyrażające myśli, jak w matematyce cyfry wyrażają ilości, to dyskusya szłaby łatwo. Ale ponieważ, niestety, tak nie jest, to oprócz pojedynczego słowa, trzeba zobaczyć kontekst, zwłaszcza gdy pozorna zachodzi sprzeczność. Dawniej *a priori* znaczyło powszechnie to samo, co wiedza dedukcyjna, czyli analitycznie wyprowadzona z pojęcia rzeczy, zkańkolwiek nabytego; u Kanta zaś *a priori* znaczy wiedzę, której umysł znikąd nie nabył, ale z su-

bjektywnego swego prawa wysnuł. Ja używam tego słowa w dawném i utartém znaczeniu; ganię zaś aprioryzm Kanta jako do sceptycyzmu wiodący. Zresztą nie ganiłem nigdy jak tylko *aprioryzm bezwzględny*, t. j. filozofią zamierzającą wszystko zbudować *a priori*; twierdziłem zaś, że filozofia powinna kojarzyć wywody *a priori* i *a posteriori*, czyli opierać się łącznie na analizie i empiryi i tego się wiecznie trzymałem. Gdy więc w jakiejś szczególnej kwestyi broniłem jakiegoś wniosku *a priori*, nie było w tém niekonsekwencyi ani „nieszczérości.” Zresztą, w miejscu, do którego p. T. robi aluzję, nie o tém wcale mowa, na czém filozofia ma się opierać, ale tylko jak się ma filozofia dzielić, ten zaś podział musi się oczywiście wyprowadzić z pojęcia jęj zadania i przedmiotu.

Takie same zachodzi nieporozumienie względem *intuicyi*; tylko tutaj tém łatwiej można go było uniknąć, że w tém samym miejscu, z którego p. T. czerpie zarzut (str. 257), w przypisku wyraźnie objaśniłem, że ta intuicya, którą uznaję, jestto całkiem co innego niż intuicya Schellinga, i właściwie na to samo wychodzi, co bezpośrednio oczywistość, subiektywnie uważana.

Co się tyczy *konieczności*, nie wiem zkąd p. T. wnosi, że to pojęcie w ogóle za zgubne uważam i że zaprzeczam jego rzeczywistości? Przecież jak sam p. T. zauważył, na wielu miejscach konieczność uznaję; twierdzą tylko, że gdzie jest wolność, tam (przynajmniej pod tym względem) niema konieczności; mianowicie, że Bóg z wolnej woli stworzył świat, więc to stworzenie nie było koniecznym. Ale p. T. i temu zaprzecza i przypuszcza, że wolność i konieczność wcale się nie wykluczają. Doprawdy! cóż więc nazywamy wolnością? a co koniecznością? Wolnym jestem w działaniu, gdy mogę działać albo nie działać, tak albo inaczej działać; wolnym jest czyn, który wykonywam, mogąc go nie wykonywać. Gdybym zaś był party musem, tak żeby wcale nie mógł nie działać ani inaczej działać, wówczas czyn byłby konieczny. Jednym słowem: wolność jest o ile jest możność działania i niedziałania, lub działania inaczej; konieczność jest, o ile niema możności, aby było inaczej jak jest; koniecznym jest to, co tak być musi, a nie być lub inaczej być nie może. Bóg rodzi odwiecznie Syna, *koniecznie* a nie dowolnie, tworzy zaś świat *dowolnie* a nie koniecznie. Nie tu miejsce podnosić o tém filozoficzną dyskusję; ale kiedy p. T. powołuje się tu na naukę katolicką, oświadczam z zupełną świadomością i pewnością tego co mówię, że taka jest a nie inna w tej mierze nauka wiary katolickiej ¹⁾. Byłoby zaś wielkim przeciwko tej nauce błędem, mniemać, że zdanie Spinozy: *iz wolność nasza zależy na tém, że jesteśmy swia-*

1) Nie szukając dalej, Pius IX w liście dogmatycznym z r. 1857, w którym błędy Güntera potępia, między innymi i to zdanie, że stworzenie było koniecznym, wytyka jako zupełnie przeciwne nauce katolickiej: *Quae catholicae doctrinae de suprema Dei libertate a quavis necessitate soluta, in rebus procreandis plane adversatur.*

domi swego czynu a nieświadomi wpływów, które ten czyn wywołują, jest równobrzmiącym z tém zdaniem chrześcijańskim, iż człowiek nie czyni niczego bez woli Bożej ¹⁾.

Mylnie również wytyka mi p. T., że odrzucając idee wrodzone „staję w tém przeciwko większości katolickiej.” Kwestya ta oczywiście nie wchodzi w zakres dogmatu; ale jeśli idzie o większość głosów katolickich, to warto wiedzieć, że od Alberta W. i Św. Tomasza aż do Kartezjusza, *wszyscy* filozofowie i teologowie katolicy odrzucali idee wrodzone ²⁾; dawniejsi od Alberta nie traktują w ogóle téj kwestyi *ex professo* i trudno właściwie ich zdanie oznaczyć; późniejsi od Kartezjusza dzielą się już na różne mniemania, ale jeszcze, jak sądzę, obrońcy idei wrodzonych są w mniejszości. Więc wszystkich razem wzięwszy, na jednego obrońcę idei wrodzonych wypadnie może dziesięciu przeciwników.

Jeszcze słówko o Heglowskiej apoteozie państwa, w czém pan T. zarzuca mi niedokładność cytacyi. Prawda, że słowa *dieser wirkliche Gott*, które przytoczyłem, odnoszą się gramatykalnie do poprzedniego słowa *die Idee*. Ale idea, o której tu mówi Hegel, jestto właśnie idea państwa, zrealizowana jako ogół w przeciwstawieniu do państw poszczególnych ³⁾. Zresztą cały kontekst (t. j. cały § 258 *Phil. des Rechts*) najdobitniej tę apoteozę państwa wyraża. Parę wierszy wyżej od przytoczonego miejsca, Hegel powiada: „Państwo jestto Duch (czyli Bóg-Absolut w swym najwyższym rozwoju), który staje wśród świata, i w nim się realizuje z samowiedzą, podczas gdy w naturze ten sam Duch realizuje się jako przedsobność: jako Duch drzemiący. Duch ten będąc świadomy siebie, znający siebie jako rzeczywisty przedmiot—to jest państwo.“ Innemi słowy, Bóg urzeczywistnia się bez świadomości a to jest natura; i ten sam Bóg urzeczywistnia się z świadomością siebie—i to jest państwo. Sądzę więc, że nie skrzywdził Hegla, przyznając mu zaszczyt takiego ubóstwienia państwa, jakiego nikt inny dotąd nie wymarzył.

Teraz o materyalizmie. Tu zwłaszcza pan T. podnosi zarzut, że przesadzam wymagania dogmatu, a przez to „zamiast nawracania materyalistów, wzmacniam ich opozycją.“ Otóż śmiało oświadczyć mogę,

¹⁾ Mat. XXIII 37, „Ileokroć chciałem zgromadzić syny twoje jako kocz... a nie chciałeś.“ I Tym. II 4, „(Bóg chce aby wszyscy ludzie byli zbawieni i przyszli ku uznaniu prawdy;“ a jednak „mało ich znajduje... drogę która wiedzie do żywota“ (Mat. VII 14). Sobór Trydencki, sess. VI can. 4: „Jeśli by kto powiedział, że wolna wola człowieka, od Boga poruszona i pobudzona, nie może się sprzeociwić, jeśli chce, niech będzie *anatema*.“

²⁾ Nie ignorowali idei wrodzonych, ale pozytywnie je odrzucali. Ob. Św. Tomasza, Sum. th. p. I 9. 84 a. 3.

³⁾ Pan T. nazywa tę ideę *twórczą*. Mniejsza o słowo, ale pamiętać trzeba, że Idea Heglowska nie *nie tworzy*, w chrześcijańskim tego słowa znaczeniu, t. j. nie czyni z nicości istot od siebie odrębnych; ale sama będąc *an*

że i tu nie wystąpiłem ani na krok poza wymagania zasad katolickich. Ale pan T. w niektórych punktach przypuszcza, że ja potępiam, czegom nigdzie nie potępił; w innych zaś przypuszcza, że nie należy do dogmatu, to co do niego najistotniej należy. I tak zaraz w pierwszym kroku, t. j. w kwestyi o wieczności materyi, pan T. suponuje, że ja *możliwość* téj wieczności materyi odrzucam, jako niezgodną z wiarą; ja zaś takowój nietylkom nigdy nie odrzucał, ale nawet wyraźnie powiedziałem, że „św. Tomasz i inni chrześcijańscy filozofowie, tę możliwość przypuszczają“, o ile, że przypuszczają możliwość odwiecznego tworzenia. Ale co innego bezwzględna możliwość, a co innego fakt. Możliwość odwiecznego tworzenia leży poza obrębem dogmatu; i w tém się różnią katolicy. Że zaś faktycznie świat został stworzony, nie odwiecznie, ale w czasie, to jest dogmatem wiary, w którym się wszyscy katolicy zgadzają. Mnie w pomienionym sporze z materializmem, nie szło o możliwość ale o fakt; powiedziałem, że materialiści chcąc swą teorią uzasadnić, musieliby dowieść, że materya faktycznie i koniecznie bez początku istnieje; i pokazałem, że tego faktu dowieść nie mogą. Spodziewam się zaś, że pan T. nie powie, że twierdzenie, iż materya *faktycznie* istnieje odwiecznie, da się pogodzić z dogmatem katolickim ¹⁾).

Daléj pan T. przechodząc do samego aktu tworzenia, poucza mię, że w téj mierze mamy porzucić wyobrażenia w dzieciństwie uabrane; że kreacya ziemi, roślin, zwierząt i t. d., nie były to sprawy nagłe nakształt poruszania maryonetek, ale jakieś majestatyczne a harmonijne objawienie się faktów;“ pyta mię: „dlaczego formacya ziemi nie mogła mieć miejsca przez miliardy lat?... dlaczego nie mogły w niej stopniowo rozwijać się coraz wyższe utwory?“

Ja na to wszystko odpowiadam pytaniem: zkąd pan T. wnosi, że ja temu przeczę?... Może ztąd, że na str. 137 przytaczam liczby lat, które Büchner podaje dla różnych transformacyi ziemi. Ale odczytawszy ten ustęp, łatwo się przekonać, że tam nic nie zarzucam przestankom Büchnera, t. j. tym epokom i tym liczbom, ale śmieję się z jego niedorzecznej konsekwencyi, iż z długości tych peryodów wnioskuje śmiało *wieczność* materyi. Jeśli zaś idzie o wypowiedzenie mego zdania w téj mierze, sądzę, że Bóg, w samém pierwotném stworzeniu materyi, nadał jój taki ruch, z którego mocą praw mechanicznych, w przeciągu wieków (choćby i miliardów lat), cały ten świat materialny wytworzyć się musiał: tak, iż w pierwszej chwili stworzenia, materya była w stanie, który w porównaniu do obecnego był chaosem, *tohu wabohu*; ale ten chaos już był brzemienny dzisiejszym światem. Ten sposób pojmowania kosmogonii narzuciłem dosyć wyraźnie w rozdz. V, i pokazałem, jak zgodnym on jest z chrześcijańskim pojęciem Boga

sich abstraktem, staje się z jednéj strony naturą, materyą, z drugiéj strony duchem, państwem i t. d.

¹⁾ *Concedi potest, quod mundus ab aeterno fuerit.* Teza Ekkarta potępiona przez Jana XXI r. 1329.

„szanującego samodzielność stworzeń“ i „chcęgo, aby stworzenie zdziałało wszystko co może, i własną siłą dorabiało się swęj doskonałości“ (str. 97).

Póty więc zupełna zgoda z panem T.; należało się tylko porozumieć. W następnym zwrocie, t. j. kwestyi powstania życia, pan T. powiada, że Bóg mógł obrać rozwój materji jako sposób tworzenia organizmów. Ja twierdziłem, że organizmy nie mogły powstać z materji bez przyczyny rozumnej, jaką jest Bóg; więc jeszcze jakotako się zgadzamy. W trzecim zwrocie, t. j. w kwestyi powstania czucia, już się więcej rozchodzimy; bo ja sędzę, że istota czująca (dusza zwierzęca) jest czémś niematerialnym i z materji wywiązać się nie mogącym, i sędzę, że mam na to dobre dowody, z których kilka wyłożyłem na str. 145—149. Lecz mniejsza o to; i tu się nie będę spierał. Dalej się jeszcze posunąłem, bo nie zaprzeczyłem bezwzględnie przemianie gatunków zwierzęcych podług Darwina, i powiedziałem, że „na tém ani filozofii ani religii niewiele zależy“ (str. 144). Nie tknąłem nawet kwestyi: czy ciało ludzkie nie mogło być wytworzone przez transformację z jakiegoś niższego rodzaju. Ale kiedy w końcu pan T. pyta: „dlaczegoby nawet u człowieka objawy duchowe, jak *myśl* i *dusza*, nie mogły być *wypływem* materji“, to już bezwarunkowo i kategorycznie odpowiadam: dlatego, że to „sprzeciwia się prawdzie katolickiej i głównym zasadom zdrowej filozofii.“ Że się to sprzeciwia rozumowi i filozofii, to udowodniłem od str. 149 do str. 159; że się zaś sprzeciwia nauce wiary, to suponowałem jako znajome; a zresztą nie należało mi się w to wdawać, ponieważ trzymałem się wyłączenie na stanowisku filozoficznym. Ale kiedy pan T. porusza kwestyą nauki Kościoła, wypada powiedzieć, że ledwo który dogmat tak wybitnie w tęg nauce występuje, jak ten, że dusza nie jest wpływem z ciała, jak pojmują materialści, ale substancją realnie od ciała różną, duchową, z natury swęj nieśmiertelną. „Mocno wierzymy i wyznajemy (mówi Kościół na soborze laterańskim IV), że Bóg swą wszechpotężną mocą razem, na początku czasu, oboje z nicości uczynił stworzenie: duchowe i materialne, t. j. aniołów i świat; a następnie naturę ludzką, niejako wspólną, t. j. z ducha i ciała złożoną.“ Sobor wienneński orzeka, że dusza jest formą ozywiającą ciało; laterański V orzeka, że jest z natury swęj nieśmiertelną i t. d.—Ale poco tyle teologicznych cytata; wszak każdy mały katechizm uczy, że po śmierci, gdy ciało rozpada się w grobie, dusza staje na sądzie Bożym, a potém idzie na miejsce kary lub nagrody. A mogłażby dusza żyć odrębnie od ciała, gdyby tylko była, jak chcą materialści, jakimś ruchem organizmu, jakimś wpływem z ustroju materji? Więc w tęg mierze dogmat katolicki nie przypuszcza tranzakcy z materializmem.

Zbyt różowo, zaiste, na rzecz patrzy, kto sędzi, że „wystarcza mieć w myśli, iż *ręką Bożą są prawa natury*, aby zginął z ust materialistów pośmiech z wierzenia w Boga, a z ust wyznawców religii zarzut ateizmu naturalistom.“ Nie wystarcza to dla materialistów, bo

oni (a przynajmniej ich koryfeusze) nie dla bronienia praw natury odrzucają Boga, ale odwrotnie: wymyślają sobie prawa lub raczej hipotezy najnierozumniejsze, aby tylko nie uznać Boga (jakem to wykazał w rozdz. VIII i IX). Nie wystarcza to również dla wyznawców religii katolickiej, bo ci nie tylko mają wierzyć w Boga, ale też wierzyć powinni w wiele innych prawd, od tegoż Boga objawionych, i mieć za błąd i fałsz wszystko, co się tym prawdom sprzeciwia, choćby się to szychowym naukowoci płaszczykiem pokrywało (jakem to pokazał w rozdziale XV).

Pomijam drobniejsze zarzuty przez pana T. na ostatniej stronie narzucone, bo rozbiór ich zadługoby nas zatrzymał, a zresztą uważne przejrzenie odpowiednich ustępów mojej książki, samo nastęrczy odpowiedź i pokaże, że po największej części są to tylko nieporozumienia, których winę przyjmuję na karb braku jasności w pewnych częściach mej pracy. *Brevis esse laboro, obscurus fio* ¹⁾.

Na zakończenie, streszczając moję odpowiedź, powiem, że zgadzam się najzupełniej z panem T. w tym względzie, że w obec materializmu i filozofii transcendentnej trzeba być pojednawczym, o tyle, aby nie żądać dla pojednania więcej niż potrzeba i nie podstawić swego widzimisie zamiast dogmatu wiary. Ale nie zgadzam się na to, co pan T., widocznie w najzaciejszym zamiarze, zdaje się wymagać: t. j. aby różnice jak najwięcej zacierać, kładąc nacisk na wspólne sposoby mówienia, a pomijając przeciwieństwo w sposobie pojmovania tych wyrazów. Prawda, co mówi pan T., że wielu materialistów, skoro natrafi w jakiej książce na pojęcia chrześciańskie Boga, duszy i t. p., zaraz odrzuci książkę ze wstrętem. Ale czyż dlatego trzeba pisać filozofią bez jasnego określenia tych najważniejszych pojęć i stanowczego rozstrzygnięcia najwyższych zagadnień? A zresztą, cóż z tego przyjdzie, że materialista przeczyta książkę, w której nie spotyka ani Boga stwórcy, ani duszy niematerialnej, ani nieśmiertelności, ani żadnej z tych rzeczy, o których słyszeć nie chce? Czy go taka książka zbliży do chrześciańskich zasad? Jeśli chcemy, aby prawda zapanowała, przedewszystkiem trzeba ją otwarcie na świeczniku postawić, nie zaś, jak to apostoł dawnym filozofom wyrzuca, „prawdę w niesprawiedliwości więzić“ ²⁾. Trzeba materialistom pokazać, że żadna z istotnych zdo-

¹⁾ Pomijam téż kwestyą o *obrzędkach, litaniach, godzinkach*, którą pan T. porusza na str. 481, bo nie widzę co ona tu ma do czynienia. Zauważę tylko, że co innego modlitewki prywatne, jak litanie i godzinki, co innego właściwe *obrzędy kościoła*, będące wyrazem jego wiary i wypełnieniem jego obowiązku zewnętrznej czci Boga. Między temi obrzędami są nawet niektóre (mianowicie ofiara Mszy Św. i Sakramenta) od samego Chrystusa, jak naucza wiara, ustanowione i do istoty Chrystyanizmu należące.

²⁾ Rom. I, 18. *Ira Dei... (super eos) qui veritatem Dei in injustitia detinent.*

byczy umiejętności nie sprzeciwia się dogmatowi, a że to, co oni przeciwko dogmatowi stawiają, jest tylko nielogicznym ich wnioskiem, albo bezzasadnym przypuszczeniem. Trzeba idealistom pokazać, że wiara katolicka zgadza się z wszystkiem, co rozum logicznie wywodzi, a że to, co w ich systemach sprzeciwia się wierze, to też nie jest istotnym rozumowi wymaganiem, ale dowolnym ich wymysłem, najczęściej samemu rozumowi przeciwnym. Trzeba jedno i drugie pokazać wierzącym, aby uchronić ich ile możności od niebezpieczeństwa uwiedzenia się fałszywymi wnioskami materyalizmu i panteizmu, niebezpieczeństwa grożącego im zewsząd dlatego właśnie, że niedosyć umieją odróżnić tych ciarek od rodzinnych umiejętności owoców. *Propterea captivus ductus est populus meus; quia non habuit scientiam.* (Is. V, 13).

X. M. M.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,
NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Grudzień 1878 r.—Wszystkie pisma, istniejące dotąd, ogłosiły dalsze wydawnictwo na rok 1879. Pocieszającym jest zjawiskiem, że żadne z nich nie upadło, ale się utrzymuje i pozyskuje, chociaż potrosze większą liczbę prenumeratów. Co do ich liczby, na czele wszystkich stoi *Kuryer Warszawski*, który ma z górą 12,000 prenumeratorów. Cyfra dotąd niesłychana w naszej prasie peryodycznej. Pisma ilustrowane po *Kuryerze*, mają najpoważniejszą liczbę prenumeratorów, przechodzącą 6,000. Na czele ich stoja: *Kłosy*, *Tygodnik Ilustrowany*. *Biesiada*, najmniejszych rozmiarów ilustracya, podąża za starszą bracią, niechcąc się dać im wyścignąć, i trzeba przyznać, że dzielnie im dotrzymuje kroku. *Tygodnik Powszechny*, najmłodsza ilustracya, od czasu przejścia w umiejętnę rękę nowego wydawcy, staje śmiało do współzawodnictwa, ze starszemi w tym rodzaju publikacyami. Jakoż czytelnicy dorazu dojrzeli znakomity postęp i rozwój *Tygodnika Powszechnego* nietylko w części artystycznej, ale i literackiej. Zakłady nasze typograficzne miały niemało pracy w odbijaniu kilkudziesięciu tysięcy rozmaitych prospektów, tak pism ilustrowanych jak i innych. *Tygodnik Mód*, pod staranną redakcyą Jana Kantego Gregorowicza, zadawalnia swoich czytelników.

Michał Glücksberg, wydawca *Bluszczu*, ogłosił nowy prospekt na drugie wydanie dzieła p. n.: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, podług tekstu łacińskiego Wulgaty ks. Jakóba Wuyka, zatwierdzone przez Stolicę Apostolską*, ozdobione 230 drzeworytami Gustawa Doré. Publikacya ta w przepyszném wydaniu, jak przychylnego doznała przyjęcia, dowodzi najlepiej to, że pierwsze wydanie, złożone z 2,000 egzemplarzy, zupełnie wyczerpane zostało i wydawca obecnie ogłasza drugą edycyę.

Kronika Rodzinna, w ciągu ukończonego obecnie dziesięcioletniego istnienia swego, zyskując coraz szersze koło czytelników i współpracowników, w roku przyszłym 1879 wychodzić będzie w tymże samym kierunku i warunkach. Obok rzeczy poważnych, dotyczących kwestyi społecznych, naukowych i pedagogicznych, zamieszczając utwory bel-

letrystyczne, drukować najpierw zamierza powieść Deotymy pod tytułem: *Zwierciadlana Zagadka; Branka, opowiadanie z XVII-go stulecia*: D-ra Antoniego J.; *Obrazki ludzi i rzeczy z czasów odrodzenia*, hr. Wojciecha Dzieduszyckiego; *Opowiadania o trzęsieniach ziemi*, przez ucznogo rektora uniwersytetu w Sant-Jago, Ignacego Domejkę; *Wspomnienia z przeszłości* przez Antoniego Edw. Odyńca; *Wyjątki z pamiętników Sabiny z Gostowskich Grzegorzewskiej*. Prócz tego mieć się będą, podobnie jak w roku bieżącym korespondencye: z Londynu, Rzymu, Paryża, Berlina, Petersburga, Jerozolimy, z Krakowa, Lwowa i Poznania, o rzeczach i kwestyach ogólnego interesu. Prenumeratorem otrzymywać mogą po cenie niższej *Dzieła Ignacego Chodźki i Poezyc A. E. Odyńca* wydanie nowe, oraz w bezpłatnym dodatku kilka książeczek wydanych nakładem Redakcyi. Roczna prenumerata Kroniki wynosi w Warszawie rs. 4, na prowincyi pocztą rs. 5, stosownie do tego liczy się półroczna i kwartalna.

Listy z pieniędzmi adresować należy wprost do Redakcyi, ulica Ś-to Krzyżka Nr. 14.

— *Echo Muzyczne*, które ograniczało się dotąd na wydawnictwie tylko utworów muzycznych, z nowym rokiem 1879 powiększa swoje ramy i składać się będzie z dwu działów: muzycznego i literackiego. Tym sposobem wypełni brak pisma, dający się uczuwać na polu muzyki. Do pomocy dawnego redaktora Wincentego Kruzińskiego, przystąpił Władysław Banarski, właściciel księgarni w Warszawie. W prospekcie znajdujemy liczny poczet pracowników do części literackiej. Wielu imiona są już zaszczytnie znane na polu sztuki, ztąd można mieć otuchę, że dział ten odpowiednio potrzebom redagowany będzie.

— Nakładem księgarni Adolfa Kowalskiego wyszło dzieło p. n.: *Pogadanki i spostrzeżenia z dziedziny fizjologii, psychologii, pedagogiki i nauk przyrodniczych*, przez Juliana Ochorowicza dr. filozofii, docenta psychologii i filozofii natury w uniwersytecie Lwowskim (Warszawa 1879 r., w 8-ce, str. 366). Zwracamy uwagę czytelników naszych na ostatni rozdział pomienionego dzieła, w którym maluje pojawiające się nowe typy w gronie niewiast polskich i jakie oznacza dla nich stanowisko.

— Nakładem i drukiem S. Lewenthala wyszła powieść z życia żydów, przez Elізę Orzeszkową: *Meir Ezosowicz*, z 26 ilustracyami M. Andriollego. Powieść ta drukowana była poprzednio w czasopiśmie *Kłosy*; teraz wyszła w oddzielnej książce. Papier, druk, szczególnież też drzeworyty, najstaranniej wycięte, pokazują w całym blasku talent artystyczny rysownika.

— Pomiedzy gramy dla dziatwy naszój na „kolendę,” ukazała się w księgarni Gebethnera i Wolffa jedna z najszlachetniejszych, p. n.:

Portrety cieniowe królów polskich. Prawdziwa to zabawka pedagogiczna. W ozdobnym pudełku mieści się 40 portretów królów polskich, poczynając od Mieczysława I, a kończąc na Stanisławie Poniatowskim. Wizerunki te, podług danój wskazówki, wycinają się i pokazują na ścianie. Grający powinni odgadnąć któregoś króla oblicze? Książeczka dodana, redakcyi Wł. L. Anczyca, pokrótce daje życiorys każdego króla, a portrety są rysowane podług wizerunków Aleksandra Lessera.

Publikacya ta znalazła wielce przychylne przyjęcie. Koszt na wydanie podnosi gry tój cenę, gdyż egzemplarz kosztuje rs. 2 kop. 50. Czyby niemożna obmyślcć tańszego wydania dla uboższej dziatwy?

— Pan. K. Saryusz z Szydłowca pisze do naszój redakcyi: „Mając zamiar w niedługim czasie wydać poemat ś. p. Karola Pieńkowskiego p. t. *Nawróceni*, poprzedzony jego życiorysem i oceną prac, z autobiografii jego widzę: że w Lipsku skradziono mu przekłady z Goethego *Götz von Berlichingen*, *Clavigo* i *Ksenie*, Heinego różnych poezyj 6,000 wierszy, jak równie przekłady z Szyllera i Lessynga; we Lwowie zaś *Niewolnika* i *Kłatwę Wieszcza* (Sängersflucht) Uhlanda z muzyką Beethovena. Zaznaczając ten smutny fakt i zapobiegając nieprawemu przedrukowi ich przez jakiego pseudo-literata pod własnym nazwiskiem, nadmieniam, że niektóre z tych poematów posiadam, i że upoważniony do wydania ich przez rodzinę w celu uczczenia pamięci zgasłego poety nagrobkiem, liczę na zbudzenie się sumienia u przywłaszczycieli w obec mogiły nieszczęśliwego, oraz na zwrot wymiecionych przekładów pod adresem moim, w księgarni W. Banarskiego, Krakowskie-Przedmieście nr. 71.“

— Wiadomo, że Matejko, dla nabrania sił nowych, do twórczych swoich kompozycyi, opuścił Kraków na kilka miesięcy i do Włoch wyjechał. W Rzymie powitany został przez artystów polskich w d. 14 b. m. bardzo uroczyście. Na uczcie przy toastach wielu głos zabierało, najgoręcej jednak Kulczycki. Między zebranymi znajdował się także młody malarz, zaszczytnie ze swych dzieł w Warszawie znany, Gottlieb z Drohobyczy. Jestto polak-izraelita, dumny z obu tych tytułów swego pochodzenia a talentem zwracający na siebie uwagę. Na jego więc cześć wzniesiono także toast. Wzruszony tym dowodem uznania młody artysta, opowiedział historiją swego życia, na które Matejko stanowczy wpływ wywarł. Pierwszém zaś i decydującém tego wpływu wrażeniem był widok obrazu „Rejtan.“

— Lwów. Następujące sztuki nadesłane zostały na konkurs dramatyczny lwowski imienia Aleksandra hr. Fredry na r. 1879: 1) *Murzynek*, komedia w 3-ch aktach. 2) *Komedia bez tytułu*, komedia w 3-ch aktach. 3) *Wanda i Rutygerus*, komedia w 5-u aktach wierszem. 4) *W starym piecu dyabel pali*, komedia w 2-ch aktach. 5) *Na*

bezdrożach życia, komedia w 4-ch aktach. 6) *Kantor małżeństw*, komedia w 3-ch aktach. Warunki konkursu są następujące: fundusz konkursowy stanowi kwota 900 złr., z której 600 ztr. przyznane będzie najlepszej komedii, wypełniającej cały wieczór, a 300 ztr. drugiej po niej najlepszej komedii, bez oznaczenia liczby aktów. Termin ostateczny do nadsyłania utworów ustanawia się dzień 1 lutego 1879. Przyznanie nagród odbędzie się w następujący sposób: utworzone będą dwie komisye. Zadaniem pierwszej będzie odczytać utwory nadesłane i zasługujące na przedstawienie, polecić do odegrania na scenie lwowskiej. Komisya ta składać się będzie z reprezentantów dziennikarstwa i z artystów sceny lwowskiej. Utwory polecane przez tę komisję będą kolejno przedstawiane na scenie lwowskiej, w miarę ich nadsyłania i polecania przez komisję; w każdym razie nie prędzej niż od 1 października 1878 r. zaczawszy, a nie później niż do końca maja 1879 r. Druga komisya, złożona z członków komitetu artystycznego, mianowanego przez wydział krajowy dla sceny lwowskiej, z przybraniem pp. Jana Aleksandra Fredry i Jana Dobrzańskiego, obecna na przedstawieniach sztuk polecanych, po odegraniu ich przyzna dwom najlepszym komediom nagrody powyżej wymienione. Autorowie wszystkich na konkurs nadesłanych a polecanych do przedstawienia i przedstawionych utworów, otrzymają 8% tanyemy od dochodu brutto z pierwszego przedstawienia a po 5% od następnych. Rezultat konkursu ogłoszony będzie d. 15 maja 1879 r. Do każdej nadsyłanej sztuki ma być przyłączone nazwisko autora w opieczetowanej kopercie, opatrzonej zewnątrz tym samym napisem lub znakiem, którym oznaczona sztuka sama. Tajemnica nazwisk autorów ustaje z dniem ogłoszenia rezultatu. Odnosi się to i do autorów, których sztuki były zalecone do grania i przedstawiane, ale nie uzyskały nagród. Utwory należy nadsyłać pod adresem: „Dyrekcya teatru polskiego we Lwowie.”

— We Lwowie, w drukarni *związkowej* wyszły: 1) Program wykładów w C. K. Uniwersytecie imienia cesarza Franciszka I we Lwowie, w zimowym półroczu 1878/9 odbyć się mających (w 4-ce str. 23); 2) Skład C. K. Uniwersytetu we Lwowie w r. 1878/9 (w 4-ce str. 15). „Dzieje Polski za panowania Zygmunta III“ wykładu dr. Hirschberg trzy razy na tydzień; „historya literatury polskiej od r. 1740—1820“ prof. dr. Pilat, dwie godziny tygodniowo. W Seminarjum Historycznym ćwiczenia z dziejów powszechnych wykładu bezpłatnie znany z prac naukowych prof. dr. Ksawery Liske, dwie godziny. Senat akademicki składają: *Rector magnificus* dr. praw Leon Biliński, pro-rektor Zygmunt Węclewski prof. filologii klasycznej. Dziekani: ks. Sylwester Sembratowicz dr. filozofii, Leonard Piętek dr. praw, Wawrzyniec Żmurko dr. filozofii. Pro-dziekani: ks. Klemens Sarnicki dr. św. teologii, Ferdynand Źródłowski dr. praw, ks. Emil Ogonowski dr. filozofii. Delegaci Zgromadzeń profesorów: ks. Józef Watzka dr. św. teologii, Tadeusz Pilat dr. praw, Bronisław Radziszewski dr. filozofii.

Stale prowadzący biuro, Stefan Koźma sekretarz i notaryusz Uniwersytetu, referent spraw ekonomicznych senatu akademickiego.

— Dnia 18 grudnia r. 1878 wieczorem odbył się w Pradze Czeskiej, w pięknej salce małego pałacyku, na wyspie Zofii wieczorek, urządony na cześć Kraszewskiego przez stowarzyszenie „Slavia.” Jestto stowarzyszenie literackie, do którego należą głównie akademicy, a w którym odbywają się naprzemian odczyty i przemowy w rozmaitych językach słowiańskich. Na wspomniany wieczorek zgromadziło się wielu profesorów uniwersytetu, literatów czeskich i kilka znanych rodzin, zwłaszcza państwo Brauner'owie (dr. Brauner jest jednym z najstarszych posłów czeskich i członkiem grona dwunastu, tak zwanych powierników narodu czeskiego). Z Krakowa przybył na tę uroczystość dr. Adam Asnyk, witany serdecznie przez poetów czeskich. Pan Jelinek odczytał wykład o literackich zasługach Kraszewskiego. Artyści i artystki teatru czeskiego odśpiewali kilka stosownych pieśni, poczem rozpoczęły się tańce. Wieczorek minął wesoło i serdecznie, składając dobitny dowód, że na polu literackim wzajemność słowiańska nie jest i nie powinna być czczym frazesem.

† Dnia 23 grud. 1878 r. w Warszawie umarł *Fryderyk Henryk Lewestam*, dr. filozofii i profesor uniwersytetu Warszawskiego, który zajmował katedrę historii literatury powszechnej. W piśmiennictwie polskim zapisał swe imię licznymi pracami, a głównie współpracownictwem w *Encyklopedyi Powszechnej* t. XXVIII S. Orzelbranda i wydaniem wielkiego w 4-ch tomach dzieła: *Historya literatury powszechnej*. Szczegółowy jego życiorys wraz ze spisem bibliograficznym prac jego, podały już nasze pisma codzienne i tygodniowe.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca Józef Berger.

PAMIĘTNIKI KANTORA
KATEDRY KRAKOWSKIEJ.

PRZEZ

Lucyana Siemińskiego.

Poznałem starszka najmniej ośmdziesiątletniego, który będąc synem muzyka przy katedrze krakowskiej, obrał ten sam zawód, i dotąd go praktykuje, a co największa, przy tak podeszłym wieku zachowuje w pamięci nie tylko wrażenia, ale i opowiadania słyszane w młodości. Można sobie wyobrazić, jakie skarby mieści ta pamięć starca, co była świadkiem tylu historycznych zdarzeń, odegranych tak w zamku jak i w samym Krakowie. Ze zaś oprócz tego przymiotu posiada i właściwe ukształcenie, szczególnie w rzeczach dotyczących się kraju, więc i wiadomości jego tém są cenniejsze, i wcale nie stoją na równi z temi pamiętnikami jakiegoś krawca lub stróża o wojnie hiszpańskiej, co plół koszałki opałki, zwyczajnie jak prostak, nie pojmujący tego, co się wkoło niego działo. Prostota dopóty jest prostotą, póki nie przechodzi w głupstwo. Mój starszek przeciwnie, i czuł i rozumiał odegrywający się przed nim dramat historii i życia, a mając wstęp do różnych towarzystw (bo gdzież muzyka wstępu nie daje?), zebrał wiele ciekawych szczegółów z potocznych rozmów, szczegółów, niezapisanych na wielkich kartach dziejów. Lecz gdy ten zbiór przypomnień, pisanych raczej sposobem notatek pomieszanych bez ładu, niż w sposób porządnego i ciągłego opowiadania, wymagał pewnej ogłady wystowienia i pewnego porządku; ułożyłem go przeto i ogładziłem, nie tykając w niczém właściwego mu zapatrywania się, co mi tém snadniej przyszło, że poczciwa szczerść i prostota, więc serdeczne ukochanie drogich wspomnień, powlokły te zapiski taką barwą, jak owa zielona śniedz wiekowa na brązowym posążku, której nie godzi się ściierać, jako głównego świadka autentyczności. Wiarogodność bowiem i autentyczność w pamiętnikach są warunkiem niezbędnym, inaczéj pomiędzy prawdą, historią a igraszką fantazyi i dowcipu, trudno byłoby graniczną przeprowadzić linią.

Aczkolwiek tedy niniejsze pamiętnikowe zapiski nie są płodem biegłego pióra, ani pochodzą od człowieka, któryby grał znakomitszą rolę w wypadkach; jednakowoż mają zaletę nieobojetnego, choć cichego i na uboczy stojącego obserwatora, a w sposobie oddania rzeczy, mają tę prostotę naszego kochanego krakowskiego malarza Stachowicza, co



jako artysta jest prawie niczem, ale jako samouczek, w pewnych chwilach natchniony, jest czemsiś: bo to on jeden przechował nam na płótnie te wszystkie postacie i sceny, na jakie patrzył w swoim czasie. Dlatego zostaną one zawsze jeśli nie chlubą narodowej sztuki, to materiałem drogocennym dla artysty wyższego duchem i umiejętnością. Podobnie i z niniejszych pamiętników skorzystać może i czytelnik chcący się przenieść w tamte czasy Krakowa, i pisarz historyczny, który z nich weźmie niejeden może szczegół, a zarazem pozna, z jakiego punktu zapatrywała się średnia klasa na zdarzenia przesuwające się przed jej oczyma. Zapewne wiele rzeczy jest tu opuszczonych lub słabo dotkniętych, wiele takich, które daleko lepiej i dokładniej były już podane; ale niemało znajdzie się zupełnie nowych szczegółów i rysów, obchodzących nietylko miejscowość, a nawet i ogół dziejów krajowych. Uważam je przeto raczej za drobny przyczynek do historii, niż za ważny dokument; za pogadankę starca, zawsze mile przez młodsze pokolenia słuchaną, niż za skończony obraz wieku lub miasta. Ażeby dobrze poznać i przenieść się w ubiegłe czasy, w tyle nam drogie, i tak już upoetyzowane tęsknotą wspomnienia, nigdy nie będzie do zbytku podobnych relacji i zapisków, byle, jak napomknąłem, nosiły na sobie znamię wiarygodności; inaczej bowiem obudza się nieufność do opowiadającego, który wprawdzie mniej wymagających słuchaczy może bawić niby Münchauerowskiemi andronami, ale znających się na rzeczy, a starających się poznać ją z każdej strony, zawsze będzie obrażał. Wreszcie, prawda ma to do siebie, że choć mniej wdzięcznie i powabnie podana, realniejszą korzyść przynosi niż najbardziej urocze kłamstwo, mogące zająć wyobraźnię, ale nie napełnić ani serca, ani umysłu.

L. S.

O muzyce w Krakowie.

Nie zaczynam wspomnień moich od zdarzeń, których byłem świadkiem, bo to w dalszym ciągu się znajduje; lecz jako muzyk, będę mówił o muzyce, bo ta sztuka zapełnia całe moje życie i osładzała niejedną gorzycz, którą się piło. Niémam zamiaru pisać tu historii muzyki rozańckiej na naszej katedrze, bom się temi poszukiwaniami nie bawił; jednak mówiąc o stanie w jakim ją zastałem, wypadnie coś i o dawniejszych czasach przypomnieć.

To już wiadomo, że przed Zygmuntemi znano tylko muzykę wojenną, jak surmy, trąby, kotły, piszczałki, którychto narzędzi muzycznych używano i po kościołach podczas odpustów i świąt uroczystych, a których osobliwe egzemplarze zachowują się dotąd w bibliotece Dominikańskiej ¹⁾.

Jednakowoż w celniejszych miastach i klasztorach Benedyktynów, Cystersów, Dominikanów, w których było dużo zakonników przybyłych

¹⁾ Pożar ostatni zniszczył te drogie zabytki razem z bogatą biblioteką.

z cudzych krajów, znajdowały się już organy. Gdy zaś sztukę grania na nich posiadali wyłącznie sami ci zakonnicy, przeto twierdzić można na pewne, że u nas muzyka, jak wszelkie inne sztuki, miała za kolebkę kościoł. O stanie muzyki w tych dawnych czasach niewiele mamy wiadomości, można się tylko domyślać z dochowanych tu i owdzie starych nut muzycznych po klasztorach, że sztuka ta nie stała u nas niżej jak gdzieindziej. Co zaś do muzyki światowej, takowa dopiero zaczęła się od Zygmunta I, gdy z Boną Sforcją przybył wielki poczet włoskich śpiewaków i różnych artystów instrumentalnych z harfami, mandolinami, rebekami, teorbunami, *viola-mi d'amor*. Z przybyciem tych cudzoziemców, muzyka światowa rozszerzyła się i stała się niezbędną na okazałych dworach panów, zaprowadzających u siebie kapele na wzór królewskiej.

Pamiętka po tej muzyce Zygmuntońskiej zachowała się dotychczas tradycyjalnie w fundowanem przez Zygmunta I Kollegium Rorantystów, złożonem z proboszcza, dziewięciu prebendarzy muzyków i kleryka. Wszystko to byli ćwiczeni w muzyce wokalne artyści, którzy mieli obowiązek śpiewać codziennie na głosy, na włoski sposób Roraty, anniwarsarze za królów i inne wotywy. Po założeniu tego Kollegium Rorantystów, pierwsze w tym rodzaju nabożeństwo odbyło się dnia 19 sierpnia 1543 r. w oktawę Wniebowzięcia Najświętszej Panny, pod której-to wezwaniem ufundowaną była kaplica Zygmuntońska. Pierwszym proboszczem i dyrektorem śpiewaków był ksiądz Czach czyli Czech Mikołaj z Poznania, po którym zostały różne partycy z mszalnego śpiewu, trudne dziś do odczytania. W spisie proboszczów i kantorów przychodzą same prawie nazwiska polskie. Lecz gdy każda, choćby najlepsza instytucja psuje się z czasem, toż i z Rorantystami się stało, jak to się pokazuje, gdy w r. 1574 królowa Anna Jagiellonka nagania księdza Zająca z Pabianic, proboszcza tego kolegium, że nabożeństwo odprawia się bez figury czyli bez muzyki. Odtąd w spisie muzyków roranckich widzimy obok innych nazwisk mniej sławnych, imię księdza Grzegorza Gorczyckiego, kapelmistrza muzyki orkiestrowej katedralnej, który żył za czasów Sobieskiego, a umarł za Sasów. Był to znakomity kompozytor muzyki kościelnej; partycyte swoje przypisywał księdzu Poremskiemu; i dziś jeszcze nie przestały one być ozdobą śpiewów roranckich. Obok tego trzeba wiedzieć, że Jezuici, którzy także nie chcieli pozostać za drugimi w okazałem odprawianiu służby Bożej, ściągnęli do siebie wszystkich najlepszych muzyków i utworzyli kapelę, ale tylko kościelną, gdyż nowy sposób stosowania jej do rzeczy światowych nie był jeszcze w użyciu, wyjąwszy kilka dyalogów, wyprawionych z powodu różnych uroczystości, a którym przygrywała szumna muzyka z trąb i kotłów złożona. Po upadku Jezuitów, znów się rozpieczęło całe grono dobrze usposobionych muzykantów; jedni się poczepiali przy kościołach parafialnych i kolegiatach, inni po dworach senatorskich, po większych miastach i cudownych miejscach, zarabiając stosownie jak komu szczęście służyło.

W owych czasach miał Kraków kilku bardzo biegłych w swojej sztuce organistów, i to nie przybyszów, tylko czystych Polaków. Do liczby tych należy Józef Zygmunowski; był on członkiem kapeli przy zgromadzeniu Jezuitów, lecz po skasowaniu tychże ożenił się i w ustroju od Krakowa założył szkołę muzyki, tak śpiewu jak na klawikordzie i innych instrumentach smyczkowych i dętych. Uformowawszy sobie orkiestrę, dawał on koncerta w okolicy, osobiwie podczas imienin, wesel i t. p. uroczystości; ale gdy ten rodzaj zabaw spowszechniał, a członkowie kapeli Zygmunowskiego doszli przez ciągłą wprawę do doskonałości, porzucali się na własną rękę próbować fortuny. Jeden z nich niejaki Gołąbek, przyjął służbę przy muzyce katedralnej krakowskiej, a będąc dobrym tenorzystą, zaczął komponować małe śpiewy, a potem, formując się na mistrzach sztuki włoskiej, napisał kilka mszy, które jeszcze po dziś dzień śpiewujemy w kaplicy roranckiej.

Ze szkoły Zygmunowskiego wyszedł sławny basetlista imieniem Kaliwoda, również Zagórski, doskonały naówczas skrzypek-koncertista, nakoniec Kwiatkowski, dobrze grający na flotrowersie i na *viola d'amor*, na którymto instrumencie o siedmiu strunach jelicianych, gra się smyczkiem. Nie mogę pominąć i Stempalskiego waltornistę; onto ożenił się w Krakowie i spłodził trzy córki, które od młodości aplikował do muzyki: najprzód do śpiewu, a potem później wyuczył na waltorniach, i tak wykształciwszy je, jeździł z nimi i dawał koncerta z dość dobrém powodzeniem.

Taki był stan muzyki kościelnej i świeckiej, gdy w r. 1780 zjawił się w Krakowie ks. Bernard Bitner Dominikanin, rodem ze Szlązka, bardzo wykształcony muzyk. Onto grywając biegle na szpinecie, który instrument był mniej wykształconym fortepianem, wprowadził jego użycie po domach prywatnych. Że zaś w owym czasie zakon Dominikanów zajął miejsce skasowanych Jezuitów, więc i zakonnicy ci używali powszechniej wziętości; téż i ksiądz Bitner umiejąc się prezentować w wyższych towarzystwach, a będąc przyjmowanym po domach, dał popęd i zachętę do muzyki. Do domu państwa Potkańskich znakomitego rodem i majątkiem, sprowadzono szpinet, a ksiądz Bitner zaczął na nim lekcye dawać. Szpinet był téj samej formy co dzisiejszy fortepian, tylko mniejszego rozmiaru; zamiast młotków uderzających w struny, były przy końcach klawiszów przyczepione szczeliny płaskie z piór albo téż z cienko wyrzuńniętej trzciny, które za przyciśnięciem klawiszów uderzały w struny od spodu. Głos szpinetu brzęczący podobny był do dźwięku dawnych cymbałków, których używanie w owych czasach było ozdobą muzyki weselnej.

Gdy powołanie zakonne nie dozwalało ks. Bitnerowi oddawać się wyłącznie nauczaniu muzyki, proponowano mu, aby się sekularyzował, a gdy zawakowało miejsce po zmarłym proboszczu w kaplicy Rorantystów, na Zamku, tedy ks. Franciszek Potkański biskup partęński będąc już przychylnym księdzu Bitnerowi, dopomógł mu do osiągnięcia téj godności i do otrzymania sekularyzacyi z Rzymu. Piastując oprócz

tego jeszcze godność kapelmistrza przy katedrze krakowskiej, gdy skład kapeli był w bardzo biédnym stanie, obok byłych prebendarzy: Zieleniewicza, Podgórskiego, Zychlińskiego, dokompletował do liczby ośmiu członków i tak znowu podniósł śpiew w kaplicy. Co do orkiestry kościelnej zebrał zdolniejszych po Jezuitach muzykusów, i do liczby szesnastu doprowadził. Znaczniejsi z nich byli: organista Wojciech Lisiński z synami Stanisławem i Janem, którzy doskonalili się na skrzypcach. Ksiądz Bitner dostrzegłszy w tym najmłodszym Janie Lisińskim niepospolity talent, wysłał go do Włoch z dobrém opatrzeniem, gdzie wydoskonaliwszy się, słynął grą swoją tak, że, jak powiadają, Włochy przez zazdrość mieli go otruć.

Skrzypek pierwszy był Jan Zagórski, drugi Wencel Prusak, trzeci i czwarty Zychliński i ks. Lisiński, oboista Richter, flotrowersista Kwiatkowski, kwartwionista Krzakowski; waltornistami byli: Stempalski z synem; trębaczami Dudek i Zaskocz Czech, a do śpiewu Franciszek Kratzer, Staszyński, Szmigel, Gołąbek, który był oraz kompozytorem i pisał msze, symfonie i dzieła teatralne: kompozycye jego dotąd się utrzymują. O tym Jakóbie Gołąbku tyle wiem, że był rodem z Czech a przybywszy w młodym wieku do Krakowa, został kapelmistrzem w kościele św. Piotra u Jezuitów, umarł zaś r. 1790.

Na wniosek ks. Bitnera założono przytém szkołę śpiewania na czterech chłopców, których początkowymi nauczycielami byli Gołąbek i Kratzer. Dalszy postęp i usiłowania były szacunku godne, ale nie trafiły do celu z braku ludzi i funduszów. Wszakże taki wielostronnie wykształcony mąż jak hrabia Sierakowski Waclaw, kanonik katedralny krakowski, usiłował ożywić muzykę. Onto sprowadził z Rzymu kilka oratoryów jako to: Judytę czyli śmierć Holofernesa, Samsona, zburzenie Jerycho, Józefa z braćmi, Beniamina i inne, przełożył je na język ojczysty pod nazwą *Kantat* i przy dobrze urządzonej orkiestrze, we własnym domu przed publicznością, zaproszoną biletami, przedstawiał. Sam on zazwyczaj miał udział we wszystkich próbach i szczególnie pilnował, aby deklamacya łączyła się z uczuciem wewnętrzném w śpiewie, gdyż prozę zastępowały zwyczajnie recytatywa jak we wszystkich operach włoskich.

Lubo w tym pamiętniku zamierzyłem sobie mówić tylko o muzyce, która mnie zajmuje z profesyi, jednakże gdy tyle miesza się wspomnień przywiązanych do czasów i osób, nie mogę opuścić szczegółów odnoszących się do tegoż księdza Waclawa Sierakowskiego, który tak dzielnie dźwigał upadające nasze miasto. Długo byłoby wyliczać jego zasługi; znaczniejsze jednakże wymienię: onto pierwszy założył warsztaty sukna krajowego. Nabywszy plac między klasztorem św. Agnieszki a Koletkami klasztoru bernardyńskiego nad starą Wisłą, postawił tam gmach murowany dla warsztatów i dwu familij sukienników, obok folusz suchy z kołem trybowém, które cztery pary wołów obracały; dalej stanął i drugi dom dla postrzygacza i prasa na sukna. Sprowadziwszy doskonałego sukiennika, dał mu sześćdziesiąt kamieni

wełny na rozpoczęcie fabryki. Wyrobiono z niej czterdzieści dwie kołder białych z czerwonymi szlakami z pięknej czystej wełny, które ofiarował księciu Siewierskiemu biskupowi krakowskiemu ks. Pawłowi Turskiemu; co właśnie w owym czasie zjechał dla objęcia dyecezyi; ten zaś prezent zrobił dla dworu książęcia, aby zaszczyt spłynął na fabrykę, jego staraniem w ruch wprowadzoną: rękodzielnia ta utrzymywała się lat kilkanaście. Ks. Sierakowski myśląc tylko o użytku powszechnym a zarazem o sposobie dania zarobku biędnym wyjednał u magistratu, że dom w ulicy Szpitalnej leżący, dziś obok hotelu Pollera, przeznaczonym był na skład wełny i na przedziałnię, aby w téj przedziałni żony podupadłych obywateli mogły znajdować zarobek, a zepsuta część ludności za karę, jakby w domu poprawy znachodziła zatrudnienie pod dozorem miejskim.

Tenże ks. Sierakowski nabywszy realność w ulicy żydowskiej na Kazimierzu naprzeciw klasztoru Bożego Ciała, sprowadził magiel żelazny do drukowania płócien krajowych na niebiesko i maglowania białych, do czego wzięł fabrykanta ze Szlązka pruskiego. Zakład ten kosztował go około 50,000 złotych, i miał służyć jako praktyczny przykład wspierania przemysłu i handlu krajowego. Onże sam będąc proboszczem jeszcze sandomierskim, a widząc słaby stan apteki w tém mieście, powziął myśl i tam zrobić coś pożytecznego. Spodobawszy sobie jednego młodego człowieka w Krakowie, nazwiskiem Bednary, który był prowizorem w aptece panów Szastrów, wysłał go własnym kosztem do Włoch i Francyi, aby tam wyćwiczył się w sztuce formacyi, a przytém dał mu znaczną sumę na zakupienie w hutach czeskich potrzebnej ilości naczyń szklanych, jako to: retort, słojuw i t. p. rekwizytów a tak uposażonego Bednarego osadził w Sandomierzu. Jemu to winna i drukarnia akademicka wielce wówczas podupadła, że ją zapomógł znacznym funduszem na sprowadzenie czcionek i pras, gdzie téż dał drukować tłumaczenia swoje z Metastazego i inne dzieła o muzyce; niemniej wspomniał dzieło o *Architekturze*, co wszystko pokazuje, jaki to był umysł rzutny i jak gorliwy o dobro pospolite.

Przepraszam za ten przeskok do życia ś. p. księdza Sierakowskiego, ale ze wspomnieniem o nim stanęła mi przed oczyma cała ta wielce szanowna postać dostojnego prałata. Wróćmy teraz do muzyki, osobliwie światowej, dla której epoką wielce pomyślną, był przyjazd do Krakowa JW. Starosty Brzegowskiego, Jacka Kluszewskiego wielkiego amatora muzyki a szczególniejszemu teatru.

Możny ten pan zakupił dom starostów Spiskich i połączył z obok stojącemi Krzysztoforami, gdzie urządził własnym swym kosztem teatr, mogący ze 700 osób pomieścić. Sprowadziwszy przytém włoską operę, dał przez to wielki popęd muzyce, zwłaszcza że jako sam artysta umiał doskonale skompletować orkiestrę, do której z Wrocławia sprowadził doskonałego skrzypka Hofstetera, klarncistę Malcburga a i Kaliwodę wiolenczelistę z Warszawy. Zaś resztę orkiestry kształcił pod swym nadzorem z tutejszych. Onto był pierwszy, który rozpowszechnił muzykę

a la Camera. W jegoto szkole wykształciło się wielu naszych najświetniejszych artystów dramatycznych, jak: Owsiański, Rytło, Franki, Kaczkowski i inni; z niej wyszły i śpiewaczki sceny polskiej: panna Jasińska i Kłossowska, także Szczurowski, który później takiej sławy dostąpił na scenie. Po tym staroście Brzegowskim zostało wiele pamiątek w Krakowie.

Będąc lubownikiem nie tylko sztuk pięknych, ale i wszystkiego, co mogło podnieść dobry byt kraju, założył fabrykę powozów, sprowadziwszy doskonałych stelmachów, kowali, lakierników, a wystawiane ozdobne powozy wysyłał zazwyczaj na kontrakty dubieńskie. Jemu winien Kraków wiele upiększeń; na Wesołej zakupił kilka placów, gdzie wystawił ładne domy i pozakładał ogrody; do tych należą: dom Bystrzonowskich, dom i ogród Strzelecki, pałacyk zwany Angielskie, dom z ogrodem gdzie jest Ochronka, dom w ulicy Brackiej, dzisiaj barona Larysza, gdzie jest wystawa sztuk pięknych, gmach teatralny na Szczerpańskim placu i ostatnie, jego pomysłu dwa domy na Krupniczej ulicy, dziś w posiadaniu panny Krones. Wszystkie te budowle odznaczają się wytworniejszym smakiem.

Wracając znowu do wspomnień moich o muzyce ówczesnej, winienem jeszcze dodać, iż z końcem zeszłego wieku ukształciło się wielu biegłych organistów w swęj sztuce; i tak: przy kościele katedralnym był Wojciech Lisiński a jego córka z nauki ks. Bitnera, słynęła w klasztorze Panien Klarysek u św. Jędrzeja, gdzie była zakonnicą, z doskonałej swęj gry na organach. W kolegiacie św. Anny biegły był organista Floryan Danielski; w kolegiacie i kościele farnym Wszystkich Świętych, Jakób Pasczewski; u Bożego Ciała przy kościele Kanoników reguły św. Augustyna, Jerzy Kozłowski; u księży Benedyktynów w Tyńcu, Jan Marciszewski; przy kościele Archipresbiterjalnym Panny Maryi, Jacek Górecki i wielu innych niepospolitej biegłości. Do usposobienia tylu dobrych organistów posłużyły w części owe wielkie i doskonałe organy, jakie po kościołach naszych oddawna istniały, to jest w Częstochowie, na Łysęj Górze, w Jędrzejowie u Cystersów, gdzie zajmując większą połowę kościoła, miały 42 rejestrowych głosów, trzy klawiatury i szesnaście miechów; również sławne organy w Leżajsku, w Przyrowie, na Tyńcu, w Krakowie zaś: u Franciszkanów, Dominikanów, Bernardynów, w kościołach farnych miasta, w których jeszcze po dług dawnęj struktury zbudowane noszą nazwiska królewskich organów. Królewska pamiątka ostatnia pozostała u Bożego Ciała w Krakowie na Kazimierzu. Mogę śmiało powiedzieć, porównyując dawniejsze czasy z dzisiejszemi, żeśmy nie byli ubodzy w muzykę, choć nazwisk muzyków nie znajdujemy w pochwalnych artykułach gazetowych; a i na fabrykantach doskonałych narzędzi muzycznych nie zbywało również w naszym Krakowie; tak: Sitariski, Ziarnicki, Wroński, Głowacki byli doskonałymi organmistrzami. Groblicz lutnista wyrabiał wyborne skrzypce, które i dziś nie straciły na cenie. Pilichowski robił skrzypce i restaurował doskonale instrumenta smyczkowe. Ziątarski a później Głowacki, wy-

stawiali fortepiany kształtu stolikowego z fletami, i podług lepszego rozmiaru i form aż do końca XVIII wieku; co zaś do instrumentów dętych, były już w używaniu u artystów krajowych, ale zazwyczaj sprowadzano je z zagranicy.

Takto przez XVII i XVIII wiek wznosiła się i upadała umiejętność muzyki, w miarę tego jak możni panowie polscy, poznawszy ją w zagranicznych podróżach, i wykształciwszy w sobie smak dobry, starali się zaszczyć ją na własnej ziemi, sprowadzając najczęściej włoskich lub niemieckich muzyków, którzy krajowców wyuczali tej sztuki, a że u nas jest przyrodzona zdolność muzyczna, a zatem od czasu do czasu kształciło się wielu biegłych w tej sztuce. Można by nam zarzucić, że żadna sztuka nie rozwija się u nas sama przez się, tylko przez naśladownictwo; lecz zdaniem mojem mylna to zasada, bo niech się tylko zamięłowanie do jakiej sztuki upowszechni, to zaraz się pokażą zadziwiające talenta. Jednym z takich był sławny Dzierzanowski, rodem Podlasiąnin, doskonały muzyk na instrumencie zwanym viola di amor i na skrzypcach; na obydwu grywał na przemian z wielką biegłością, towarzysząc sobie śpiewem, do którego słowa równie jak melodye najczęściej sam inprowizował. Nie miał on nigdzie stałego miejsca pobytu, ale kolejno zwiedzał wszystkie zamożne domy, gdzie zachwycał i bawił swoim wielostronnym talentem. Wiem, że zbierano jego piosneczki i melodye przepisywano; lecz dziś, jak to zwykle spotyka genialne talenta, utwory jego przeszły na własność powszechną, a nazwisko autora zniknęło bez śladu. Niejedna z pieśni i melodyi światowych, dziś podziwiana przez znawców, jemu początek swój winna. W ostatnich latach swego życia miał on przebywać na dworze króla Stanisława Poniatowskiego. Wyrwany sobie i mile słuchany, umarł mając lat 88, w roku ile pamiętać mogę 1770.

U nas w Krakowie wielkim miłośnikiem muzyki był ks. Przyrębski kanonik katedralny krakowski, kustosz koronny, kawaler orderu św. Stanisława. Utrzymywał bowiem na dworze swoim dwunastu muzykantów pod kierunkiem Stanisława Ziarczyńskiego, dobrego wiolonczelisty. Również starosta Prażmowski, sam wirtouz na skrzypcach chował czternastu kapeli i pod kierunkiem swoim wykształcił kilku młodych skrzypków. Powróciwszy z Paryża, mieszkał jakiś czas w Krakowie, i dawał w domu swoim częste koncerty, w których udział brała żona jego śpiewająca prześlicznie, niemniej i córka dobrze grająca na fortepianie. Muzyczna ta rodzina przyczyniała się wiele do rozbudzania zamięłowania muzyki. To było osobliwością w staroście Prażmowskim, że na skrzypcach grał lewą ręką, a choć miał blisko lat 70, grę jego ożywiał ogień młodzieńczy i wdzięk czarujący. Oprócz tego talentu, zawołany to był fechtmistrz na szpady i pałasze, któremi bił się na lewą rękę; w jeźdźeniu na koniu także i najmłodszy mu nie sprostał: widziałem nieraz, jak nad Wisłą pod Skałką, pomimo podeszłego wieku, ujeżdżał takie konie, do jakich i najmłodszy nie śmieliby przystąpić.

Takto dawniejsi panowie posiadający niespolite talenta, umieli jeszcze cenić ludzi, którzy je posiadali a co więcej wyszukiwać zdolną młodzież i dopomagając w kształceniu się, zapewniać uczciwy zarobek. W owychto czasach, ile pamiętam, ludność Krakowa była o połowę mniejszą jak dziś, ale za to liczne domy obywatelskie, połączone z sobą jakby w jedną rodzinę, nadawały pewną wspaniałość i utrzymywały godność, w której jeszcze się widzieć dawały ślady wielkich cnót staroświeckich.

O ubieżeniu zamku krakowskiego i o Korytowskim.

Pod koniec roku 1771 a na początku 1772, gdy się już konfederacja barska miała do upadku, a konfederaci trzymali się jeszcze zamknięci w Częstochowie, Lanckoronie i Tyńcu, mając z sobą kilkudziesięciu oficerów i wolontaryuszów francuzkich, marzyło im się jeszcze rozniecić przytłumiony ogień wojny domowej, albo przynajmniej ostatnim hazardem dowieść, że nie upadli bez rycerskiej sławy. Choć i przeto Kraków zajęty był przez wojska królewskie i rossyjskie posiłki; chociaż w Warszawie wprowadzenie króla nie udało się i bardzo oziębilo serca do konfederatów: jednakowoż znaleźli się niektórzy obywatele, co próbowali jeszcze raz stawić czoło choćby fortem. Jednym z takich śmiałków był Rajmund Korytowski, urzędnik przy sądach ziemskich i grodzkich w Krakowie; ułożył on plan oswobodzenia Krakowa, a szczególnie zamku i połączenia się z rozpierchłymi niedobitkami konfederackimi. W tym celu przekradł się do Tyńca, gdzie się zamknęło kilkuset konfederatów pod dowództwem francuzkiego pułkownika Choisi; jemu to zakomunikował swój plan opanowania zamku.

Odkrył on, że dla ścieków deszczowych z trzech kościołów, jeden ryzsztok prowadził do kanału pod mur zamkowy od strony południowej, między basztami Sandomierską i Złoczyńców, wychodzącymi ku Wiśle ponad Smoczą jamą. Kanał ten wysoki i dobrze sklepony, wyłożony płytami, trzema kratami warowny, tak był obszerny, że mogło się w nim najmniej 200 ludzi pomieścić. Tym tedy kanałem mieli być wprowadzeni konfederaci i Francuzi w ten sposób. Zwyczaj był, iż księża wikaryusze przy kościele katedralnym odprawiali jutrznie codzień o godzinie 11 w nocy, pospolicie budzeni przez dwu Świątników, którzy ich do kościoła z latarniami prowadzili. Owóż Korytowski postanowił puścić konfederatów kanałem i przebranych za księży wprowadzić w nocy na zamek, gdzie cała załoga nie liczyła jak 300 ludzi przeznaczonych na straż żywności, bydła, amunicji i wszelkich wojennych sprzętów złożonych na zamku. Dla przywieżenia zaś swego zamiaru do skutku, porozumiał się wprzód z księdzem poddziekanem Jurdzińskim, Franciszkiem Kratzerem byłym kantorem, w zamku mieszkającym, księdzem Łazarczykiem prokuratorem seminaryum zamkowego, a oznaczywszy dzień i godzinę, wysłał poufnego przyjaciela, który wziął kilka łodzi od

Michała Dyktarskiego rybaka po umówioną pomoc. Była to właśnie pora jesienna, dnie krótkie a wczesne wieczory, mieli więc czas powrócić z Tyńca. Korytowski w kanale, przy pomocy swych towarzyszy powyłamywał kraty i oczekiwał na dany znak. Konfederaci przybyli nakoniec niepostrzeżeni. Korytowski mając dla nich komże i alby przygotowane, przebrał ich i wyprowadził z kanału. Konfederaci rzucili się na najbliższe warty, rozbroili je lub pozabijali, jeśli chcieli gwałt czynić, innych pozamykali w kwaterach, a główny odwach przy bramie, niespodziewanie napadłszy, także rozbroili. Usunąwszy tym sposobem załogę, powołali całą ludność zamkową i wzięli się do zatarasowania bramy gnojem i kamieniem, poczem wszystkich zdolnych do noszenia broni podzielono na różne komendy; trzeba bowiem wiedzieć, że Choisi przyprowadził ze sobą 11 oficerów i podoficerów, oraz ze dwudziestu kilku najdzielniejszych żołnierzy. W zamku mieszkało do 300 ludzi, między tymi znalazło się ze 30 kleryków, 15 palestry i ze 20 różnej czeladzi: ludność tę opatrzywszy w broń, porozstawiał na murach i przy bramach, co tak śpiesznie wykonaném było, że posiłkowe wojska stojące w Krakowie, dopiero nazajutrz zrana dowiedziały się o ubieżeniu zamku i osadzeniu murów przez Francuzów i konfederatów. Tymczasem pułkownik Choisi zajął się urządzeniem obrony i lustracją rekwizytów znajdujących się w zamku; oprócz kilkudziesięciu jaszczeków amunicyi, znalazły się cztery armaty należące do rosyjskiej załogi, dwie stare armatki po Szwedach, a co do żywności: przeszło sto sztuk bydła, kilkanaście kuf gorzałki, znaczny zapas zboża, słoniny i sadeł, nakoniec do czterdziestu pociągowych koni. Niebawem przyszła mu też i większa pomoc z Tyńca.

Korytowski zawsze czynny i przemyśliwający o sposobie połączenia zrobieniem sobie komunikacji z miastem, dobrał kilkunastu zuchów a wsadziwszy ich na koń, przemyślał o wycieczce. Gdy się tak gotował, doniesiono z miasta, że wojsko zamierza uderzyć na zamek. Jakoż w rzeczy samój nieprzyjaciele podszedłszy téj nocy pod niskie mury od ulicy Kanonnój, wdrapali się na wał pod wieżę Zygmuntofską i cisnęli się ku bramie zamkowej, aby przez wierzch mogli się wdrzeć do zamku; tudzież od spodu chcieli bramę wyrąbać. Wcześniej ostrzeżona załoga czuwała na wszystkich punktach; jakoż dawszy ognia do oblegających, a z wieży Zygmuntofskiej zrzucając kamienie, wypadli na nich i ubiwszy wielu oficerów i żołnierzy, wzięli także coś niewolników, od których dowiedzieli się, że w Krakowie tylko małe są siły rosyjskie i że oczekują na posiłki. Wiadomość ta zapaliła Korytowskiego tém mocniej do zamierzonej wycieczki na miasto; jakoż zaraz nazajutrz przysposobiwszy dwudziestokilku jazdy, kilkudziesięciu piechoty, wypadł cichaczem z zamku uboczną bramą, która była pod narożnikiem Kurzój stopy. Korytowski znając dobrze wszystkie ulice i przecznice miasta, tak rozdysponował swoją garstką, ażeby z różnych punktów wpadła na rynek i znowu rozbiegłszy się po ulicach z wielkim hałasem dawała do zrozumienia, że to są wielkie jakieś siły.

Sam Korytowski zaalarmował główny odwach, napadając nań z ogromnym krzykiem. Miał on ze sobą służącego zawołanego franta i nie tracącego nigdy przytomności; tego zaraz posłał na wieżę Maryacką, aby z wieży wołał, że tłumy konfederatów ciągną na Kraków od Częstochowy, Lanckorony i Tyńca. To wszystko zrobiło wielkie zamieszanie w załodze wojskowej, która widziała się zewsząd otoczona. Fortel ten udał się Korytowskiemu, bo przez to zamieszanie mógł się zapatrzeć w różne rekwizyta; i tak cech rzeźniczy pozwolił sobie zabrać cztery woły na świeże mięso i dwie krowy dojne na mléko; Towarzysz strzeleckie kurkowe oddało proch, kule, oków i gwintowe sztuce z celstatu; sławetnemu burmistrzowi miasta Jakubowi Wolmanowi zabrano kilka głów cukru, kawy, korzeni i kilka koszów wina; kuśnierzom zabrano futra dla marznących Francuzów; pani Mateuszowa Sochyńska dała trzy beczki miodu i dwa wieprzki karmne i tak mniej więcej na różnych miejscach wybrano kontrybucye z takim pośpiechem, że jeszcze przed północą wszystko dostało się na zamek; albowiem rosyjskie wojsko uszykowane przy bramie Floryańskiej, Sławkowskiej i około zeughausu przy Pijarach, nie stawiało żadnego oporu, oczekiwali bowiem na doniesienie co się tam za miastem dzieje, a gdy się przekonali że niema żadnych posiłków konfederackich, posunęli się ku rynkowi i pod zamek. Tymczasem Korytowski podpisał sobie, wrócił do fortecy nie utraciwszy ani jednego człowieka.

Nazajutrz Rosyianie wyrozumiawszy cały ten fortel, zaczęli coraz mocniej trapić obleżonych i gotować się do generalnego szturm, gdyż od Warszawy nadeszły im posiłki tak w ludziach jak i amunicyi. Pierwszy atak był od ulicy Kanonnéj; domy kanoników osadzono wojskiem i armatami; baterye porobiono około murów miasta, Franciszkanów i Karmelitów Bosych, gdzie teraz kryminał; również od grodzkiej bramy od klasztoru Bernardynów i od Misyonarzy: ze wszystkich tych punktów ostrzeliwano zamek. Obrona jednak była desperacka, chociaż zawsze musiało się skończyć tém, że słaba garstka i słabe mury ulegną regularnemu wojsku i licznej artyleryi. Widząc to komendant rosyjski postanowił fortem zdobyć najniższy punkt pod przewozem, obok domu zwanego pod *Kaczką*. W téj stronie zamku obok byłego seminarjum były stajnie na konie przybywające z furami ze wsi. Otóż stajnia ta miała furtkę żelazem dobrze okutą i kamieńmi zatarasowaną, ale mniej bacznie strzeżoną. To miejsce tedy upatrywający Rosyianie zamierzili niém wpaść do zamku. Chcąc zamaskować prawdziwy cel, przypuszczono szturm od innéj strony, a tymczasem oddział jeden podstąpił pod mury i wyrąbawszy furtkę, cisnął się już do owéj stajni; lecz przechodzący tam kleryk postrzegł ich i lubo przełkniony, dopadł dzwonka refektarskiego, zaczął na gwałt dzwonić i krzyczeć, że nieprzyjacieli opanowali stajnie. Na ten gwałt zbiegło się kilku kleryków i czeladzi domowéj, którzy dawali odpór, dopóki czujny zawsze Korytowski nie przypadł z większą siłą i przeciwników nie wyparł za mury. Odtąd lepiej zatarasowano furtkę i silniej ją strzeżono.

Podobne ataki były często ponawiane; Rosyjanie jednak nie mieli ile się zdaje, zamiaru zburzenia tego zamku, gdyż lekkie ich baterie nie wyrządziły wielkiej szkody w murach. Z tego to powodu oblężenie to trwało przez całe trzy miesiące; chciano bowiem albo wdrzeć się na mury, albo załogę do kapitulacji zmusić. Stan oblężonych z każdym dniem stawał się okropniejszym: ustawiczna czujność we dnie i w nocy, ciągle ucieranie się ze szturmującym nieprzyjacielem, naprawianie uszkodzonych murów, wycieńczyło siły konfederatów, tém więcej, że ich zapasy żywności wyczerpywały się; bydło rogate zasolone na pekefleisz, prędko było zużyte, wzięto się potem do koni, ale chuda to była strawa, bo te z głodu zdychały; z braku zaś soli wszczęły się różne zaraźliwe choroby; zboże na chleb na żarnach mielone, dawało jeszcze jaki taki posiłek; nakoniec wyłowiono wszystkie koty i wystrzelano kawki siedzące zazwyczaj na dachu katedralnego kościoła.

Od połowy stycznia 1772 r., gdy ostre mrozy cokolwiek zelżały, postrzegli oblężenci coraz większy ruch w mieście: jakoż w rzeczy samej ujrzano od kościoła Ś. Katarzyny i Skałki usypane baterie, najezone armatami. Na dniu 30 stycznia rozpoczęli Rosyjanie wielką kanonadę od strony północnej, zpoza murów ogrodu Franciszkańskiego, na bramę i kościół, ale nie z wielkim skutkiem, bo trafne strzały sztucowe ubiły wielu kanonierów. Od strony południowej najsilniej bito z armat, strzały jednak nosły zbyt górą lub zanisko, przez co skutek był mały; gdy tymczasem załoga zamkowa ustawiwszy armaty na wieży sandomierskiej i senatorskiej, zdemontowała kilka armat nieprzyjacielskich i w wojsku wiele szkody zrządziła. Nazajutrz przez cały dzień z obu stron bito z dział; oblężeni z 8-miu swych armat wystrzelili 500 ładunków. Wtenczas-to dziwny zdarzył się wypadek, o którym mi powiadał Korytowski: że kula nieprzyjacielska spotkała się z naszą w samym wylocie, przez co wyszczerbiła się armata i jeden człowiek zginął, a dwu powaliła kontuzya. Lecz Korytowski chcąc i temu zaradzić, kazał poznosić pilniki, i dopóty piłować, póki armata nie była do użycia sposobną. Przez te dni najgorętsze strata naszych była nader małą, bośmy mieli trzech zabitych, a siedmiu rannych. Trzeciego dnia rozpoczęli nowy szturm pod zastoną baterji od kościoła Ś. Katarzyny i Skałki, a napędziwszy wiele ludzi z Kazimierza, kazali wśród największego ognia nieść im drabiny pod mury zamkowe i takowe przystawiać. Załoga nie przeszkadzała tej robocie, niemogąc strzelać do swoich; gdy przystawiono tedy drabiny do murów, rzucili się Rosyjanie hurmem do drabin, i już wdrapywali się na nie, gdy oblężeni zaczęli zrzucać na nich to kłody, to odrzwia kamienne, to z okien powijmowane ciosy, które łamiąc drabiny ludźmi zajęte i tych, co pod murami stojąc i zabijając, ogromną szkodę w szeregach zrządziły. Trudno sobie wyobrazić, jaka to była wrzawa z obydwu stron, jakie zamieszanie, a jaki huk armat i ręcznej broni! Zdawało się, że cały zamek runie, i oblegających i oblężonych w swych gruzach zagrzebie. Na domiar, a było to już nad wieczorem, wybuchnął pożar z browaru i zabudowań

koło Bernardynów, który szerząc się gwałtownie, powiększył ogólne zamieszanie i zmusił Rossyan, obawiających się zniszczenia całego miasta, do odstąpienia od murów. Gdy się to dzieje, Korytowski korzystając z popłochu, wypada z garstką stu ludzi, i gdzie może urywa nieprzyjaciela.

Po takich wysileniach, przy braku żywności, mnożących się chorobach, gdy znikąd nie było nadziei posiłków lub odsieczy, zważył i sam dzielny Choisi o możliwości dalszej obrony, i zwoławszy radę, oświadczył, że prędzej lub później kapitulować potrzeba, na co zgodziła się cała załoga. Jakoż wysłano na parlamentarzy dwu oficerów francuzkich, a z nimi Józefa Rzewuskiego, strażnika prefektury dochodów królewskich przy młynach krakowskich, i Jana Łojowskiego, regenta aktów grodzkich, do ułożenia się o warunki kapitulacji z hetmanem Branickim i generałem Suworowem, dowódcą wojsk posiłkowych. Gdy ta kapitulacja stanęła, wyszedł z zamku komendant Choisi ze swoimi Francuzami i konfederatami w liczbie 67 ludzi, przez główną bramę od ulicy Kanonněj, gdzie złożyli broń, zaręczając honorem, że resztę załogi składali ludzie zamkowi. Gdy między kapitulującymi nie było Korytowskiego, tego pierwszego sprawcy opanowania zamku, przeto żądał Branicki, aby się stawił natychmiast; lecz komendant Choisi zaręczył słowem honoru, że Korytowski poprzedniej nocy zniknął niewiadomo gdzie i jakim sposobem. Wojska rossyjskie zajęwszy natychmiast zamek, obsadziły wartami wszystkie wnijsia, i przez trzy dni nie wypuszczały nikogo ani z zamku, ani do zamku; tymczasem wewnątrz robiono najściślejszą rewizyą, ale gdy nie znaleziono Korytowskiego, domyślano się, że zapewne spuścił się przez mur i uszedł.

W jaki sposób wykrcił się Korytowski z niebezpieczeństwa, zaraz opowiem: Zwierzywszy się dwom przyjaciołom ks. Jurdzińskiemu i Franciszkowi Kratzerowi, znalazł sobie dobrą kryjówkę na wieży wikaryjskiej, gdzie mu ci dwaj przyjaciele dostarczali żywności. Myślał on sobie, że gdy pierwsza trwoga przejdzie, łatwiej mu będzie wymknąć się z zamku i znaleźć gdzie przytułek na wsi. Blisko dwu tygodni siedział już w swojej kryjówce, gdy wtém choroba ks. Jurdzińskiego i areszt Franciszka Kratzera, podejrzanego o współnictwo z konfederatami, zmusiły Korytowskiego, zostającego już dwa dni bez pokarmu, a szczególnie bez wody, zleźć z wieży i dostać się do kropielnicy, aby ugasić pragnienie; wtém jeden z świątników, straż przy kościele trzymający, spostrzegłszy człowieka skradającego się, myślał, że złodziej; jakoż zbudziwszy drugich świątników, pojmał go i zaprowadził na odwach. Komendant dowiedziawszy się, że to Korytowski, którego tak szukano, odesłał go natychmiast do głównej kwatery. Na ścisłej indagacyi chciano koniecznie, aby wydał współników swego ukrywania się, ale Korytowski nie zdradził nikogo, tēm się tłómacząc, że w przewidywaniu bliżkiej kapitulacji, oddawna przyspasabiał sobie znaczny zapas sucharów i wędliny, który gdy spożył, szedł dla napicia się wody i oddania się dobrowolnie władzy wojskowej; tymczasem te trutnie

świętniki, rozumiejąc, że za to dostaną jaką nagrodę, pojмали go i wydali w ręce władzy. Tym sposobem ocalił przyjaciół poświęcając siebie samego; zaraz też odesłano go pod mocną eskortą do Warszawy, a ztamtąd powieziono do miasta Kazania.

Byłto, ile sobie przypominam, mężczyzna więcej jak średniego wzrostu, pięknie zbudowany i żywego temperamentu. Grając na fletrowersie i śpiewając dumki ruskie, umiał podobać się wszystkim, a szczególnie płci pięknej; umiał przytém dobrze język łaciński, a i francuzki niezgorzdej: słowem, był to człowiek wykształcony w dawniej palestrze, powazany, a dobry przytém katolik jako *Sodalis-Marianus*. Obdarzony od natury bystrém pojęciem i przytomnością umysłu, umiał się znaleźć w najtrudniejszym położeniu. Onto przybywszy do Kazania, lubo zrazu był zamknięty, jednak niebawem dostał się do domu miejscowego komendanta, gdzie go do usług użyto. Umiejąc prędko i zgrabnie robić, obowiązki swój służby pełnić, gdy już zrobił swoje, szedł sobie gdzie w kącik i śpiewał dumki i krakowiaki, a że głos miał dźwięczny, zwabiły nawet żonę samego komendanta, która się im przysłuchiwać lubiła, podobnie jak jój troje dzieci, co się lubiły z nim bawić i słuchać jego piosenek. Pani komendantowa poznavszy, że to nie prostej kondycyi człowiek, wdała się z nim w rozmowę, i spostrzegła pewne wyższe ukształcenie, mogące się bardzo przydać jój dzieciom. Wymogła przeto na mężu swoim, że się wdał z nim w rozmowę, wyptał o przypadki zycia, o nauki jakie odebrał; co miało ten skutek, iż powierzył mu edukacyą swych dzieci, a że lubił muzykę, sprowadził mu flet z Moskwy, i tym sposobem niewolę zamienił mu w przyjemne życie na łonie rodziny, której miłość pozyskał. Siedm lat spędził Korytowski w domu komendanta, lecz że nie mógł utulić tęsknoty za swoimi, szukał sposobności zawiadomić krewnych i niektóre znakomite osoby o miejscu swego pobytu; listy jego skutek odniosły, bo niektóre osoby mające wpływ u króla, postarały się o powrócenie go do kraju. Uwolniony Korytowski, w przejeździe przez Warszawę prezentował się królowi, który go łaskawie przyjął, wypytywał o szczegóły ubieżenia zamku; przyjechawszy zaś do Krakowa, objął nanowo urząd swój przy aktach grodzkich i ziemskich. Jakaż to, pamiętam, radość była przyjaciół jego, gdy go witano jak z tamtego świata. Ks. Jurdziński już nie żył, ale Franciszka Kratzera zastał przy zdrowiu.

Widywałem go często w domu naszym; lubił on mnie i nieraz oprowadzał po różnych miejscach zamku; zatrzymując się przy każdej bramie, opowiadał najdrobniejsze szczegóły pamiętnego oblężenia, które mi tak utkwiły w pamięci, jakbym właśnie był ich autorem. Po powrocie z Kazania żył jeszcze lat kilkanaście, pojawszy za żonę zacnego domu pannę chorążankę Turską, osobę już niemłodą, lecz dobrą i przyjemną. Będąc w zażyłości z pierwszemi domami obywatelskiemi i kapituły krakowskiej, gdy z wesołej kompanii wracał nieraz podochocony, miał zwyczaj ubierać się po konfederacku: w łosiowy kaftan, czapkę rogatą, i dalejże między księży i kleryków seminaryum zamkowego,

gdzie z wielką fantazją zebranych słuchaczom opowiadał przygody oblężenia i swojej niewoli. Wszyscy lubili go tak słuchać, że nieraz do późnej nocy bawił tak wszystkich, iż się nikomu spać nie chciało, bo to był nieprzebrany skarbiec różnych conceptów i dykteryjek, że choć się co kilka razy słyszało, to zawsze było nowe, bo coraz to inną miną lub gestem umiał rzecz odświeżyć. Niechbym był tylko spisał co on wtedy mówił, zrobiłyby się najciekawsze pamiętniki, jakby drugi Pasek, co sobie niema równego. Zacny ten człowiek umarł powszechnie żalowany 1793 roku, długo pamiętany. Dzisiejsza rodzina Korytowskich w Krakowie pochodzi od jego brata Augustyna, albowiem Rajmund zeszedł bezpotomnie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RZUT OKA
na piśmiennictwo w Ameryce południowej.

(WEDŁUG ŹRÓDEŁ HISZPAŃSKICH).

PRZEZ

A. G.

Zielona Ameryko! ty strefo bogata,
Raj ziemski śmiertelnemu przypominasz oku!
Na twoich żyznych polach, oazo wszechświata,
Szczęściemieszka w młodości niezwydłym uroku.
Ziemio cudów!...

(H. G. Quevedo z Wenezueli).

W pamiętnej epoce odkrycia Nowego Łądu, świat stary wykrzyknął z podziwu nad cudną przyrodą i niezrównanemi bogactwy nieznaną dotąd krainy. I wnet całe staranie obrócił ku wyzyskaniu na swój pożytek skarbów, jakie natura rozsypała tak hojnie na powierzchni i we wnętrznościach téj ziemi, położonej w warunkach klimatycznych, które cuda działać mogą. Zdobywszy sobie na własność tę niewyczerpaną minę, Europa bogacąc się jój płodami, niemi podnosząc u siebie dobrobyt, wygody i zbytek, nie troszczyła się o nic więcej nad to, co się tyczyło bezpośrednio handlu jój i korzyści.

Wreszcie Ameryka północna, stanawszy w rządzie potężnych, bogatych i światłych mocarstw, zwróciła na siebie wszystkich oczy: życie jój polityczne, ustrój społeczny, ruch umysłowy, badane są na równi z warunkami bytu wszystkich narodów europejskiej rodziny.

Lecz najpiękniejsza i najbogatsza z natury część téj półkuli ziemskiej, południowy lud amerykański, najjaśniejszemi potokami słonecznego światła obłany, dla Europy długo jeszcze w ciemnej tonął pomroce. Niekiedy tylko przez tę mgłę grubą, przedarł się jakiś promyk niewyraźny i znów w ciemnościach ginął. Słyszeliśmy o wybiciu się ziem tych zpod panowania metropolii; od czasu do czasu dochodziły nas wieści, że wojna domowa wybuchła w Peru lub w Boliwii, w Nowej Grenadzie albo nad La Platą. Tyle to zwracało uwagę europejskiego ogółu, co wzmianka o wybuchu jednego z wulkanów tak licznych w dłu-

gięć Andów Kordylierze. Wulkany na to stworzone, by ognie zionęły, lawę i popioły: i te ludy prawie dzikie, jak nam się zdaje, cóż dziwnego że bezustannie krwawe pomiędzy sobą staczają boje? Nikt nie pomyślał o nich jako o częście ludzkości, która zaczęła z kolei ciężkim trudem dobijać się przyszłości politycznej i społecznej; nikt nie zadawał sobie pracy dla zbadania dróg ich i stanowiska, jakie już zajęły.

Pod względem fizycznym opis tych ziem ciekawych nabrak znaczenia od czasów podróży Humboldta. Dopiero kiedy nieustraszony ten badacz przyrody zatknął drogokazy w tej majestatycznej strefie, w ślad za nim pobiegały nowe poszukiwania; coraz to liczniejsze i dokładniejsze pojawiły się jęj opisy.

Nie objawił się atoli równie gorliwy popęd do szczegółowego poznania zamieszkających ją ludów, ich dziejów, charakteru, umysłowego i duchowego rozwoju.

Wprawdzie etnografia zadanie swoje także spełniła. Posiadamy statystyczne wykazy wszystkich ras różniących się pomiędzy sobą kolorem skóry, mową, obyczajem, skłonnościami. Wszystkie one są bez zaprzeczenia żywiołami nie małej wagi na szali obecnych i przyszłych losów tych krain. Lecz jądro ludności działającej na polu społecznym i politycznym stanowią Kreole, potomki dawnych hiszpańskich osadników. Godzi się przeto wyłącznie na ich działania pilniejszą zwrócić bacność.

Przez długie wieki byli oni rzekomo panami tęg ziemi; widzimy w nich zaborców i ciemiężycieli, gnębiących słabą ludność ras obcych. Wszakże ci hiszpańscy osadnicy, sami po macoszemu przez metropolią traktowani, przez nią uciskani a wyzyskiwani, pozbawieni zupełnie styczności z Europą, rzuceni na łup ciemnocie i wszelkim płynącym z niej jadom, wegetowali tylko, rzec można, przez ów długi przeciąg czasu swęj zależności. Nie ich winić zatem o zacofanie, w jakim ich wiek nasz zastał, a które obok niejednorodności ras, musiało nieuchronnie stać się ciężkie do zwalczenia tamy przy zaprowadzeniu stałego porządku rzeczy. Onoto właśnie każe nam z wyrozumieniem sądzić o dzisiejszych niedoskonałościach, a nie pozwala wątpić o przyszłości tych narodów, które w istocie dopiero co z kolebki wyszły, zwłaszcza jeżeli się szczerze zastanowimy nad tęg, ile one już u siebie przez tak krótką dobę zdziałać potrafiły.

Wszakto ten zastęć Kreolów wywalczywszy dla Nowego Świata niepodległość, zapewniwszy mu byt samoistny; przetrwawszy straszne szamotanie się różnorodnych żywiołów, jakie się tam nagromadziły tak w ludziach jak w ideach: zastęć ten pracuje dziś czynnie nad rozwojem i postęćem cywilizacji na każdym polu.

Odkąd nowoczesny przemysł europejski, zawezwany przez te młodociane narody, buduje w ich ziemiach żelazne drogi, wznosi fabryki, z bogatego łona tęg ziemi drogę wydobywa kruszce; odtąd zaczęliśmy się przypatrywać im nieco uważniej, niby zblizka. I oto widzimy u tych pół-dzikich ludów, prawodawstwo w wielu względach godne uwagi,

bardzo liczne szkoły niższe i wyższe, zakłady naukowe specjalne, uniwersyteta tłumnie uczęszczane, ludzi uczonych w różnych gałęziach wiedzy, zdolnych pisarzy i poetów, a wreszcie ogromny rozrost prasy peryodycznej.

Tu najważświędzi dają się zastosować słowa jednego ze znakomitych dziś pisarzy europejskich, słowa zwrócone do wcale innego narodu i innej epoki. „Pomiędzy mętami na dnie a szumowinami na powierzchni, płynął wielki narodowy strumień, który oczyszczając się własnym swoim ruchem, już chwilami ukazywał istotną swoją barwę, zanim objawił światu w całej pełni potęgę regularnego biegu i zdrową wód swoich przezroczystość. Toczył się rodzimym łóżykiem: każdy lud ma swoje i płynie według jego kierunku. Otóż kierunek ten nadaje każdej cywilizacji jej stopień i kształty, a więc zadaniem naszym ma być określenie takowego i zbadanie jego miary”¹⁾.

Najwyrazistsze zatém tętno tego życia młodzieńczego, to jest piśmiennictwo Ameryki łacińskiej, najlepszych nam może dostarczyć skazówek do utworzenia sobie sprawiedliwego sądu o tych mało znanych ludach, do wywóżenia im z pewnym prawdopodobieństwem przyszłych losów. Literatura ta stawia myśl naszą wobec wypadków, jakich widownią była i jest jej ojczyzna, charakter takowych uwypatnia, objaśnia znaczenie, wskazuje tory, na jakie te młode ludy wchodzą. Z niej poznajemy, iż owe straszne wulkaniczne wybuchy są ni mniej ni więcej jedno walką o śmierć i życie pomiędzy barbarzyństwem a cywilizacją. Dwa te sprzeczne z sobą w zawodzie żywioły spały na łonie bogatej przyrody, dopóki duch skępowany w powiciu spoczywał, a tylko na materialne jej skarby chciwość europejska oczy zwracała. Z końcem przeszłego stulecia, echa ze starego świata rozbudziły i tutaj śpiące życie, i wraz z tém ocknieniem stanęły do tytanicznych z sobą zapasów dwie silne potęgi, które sobie wzajem panowanie nad ziemią wydzierają. Całą tę długą i ciężką drogę, zaznaczoną na kartach dziejów ludzkości trudem, boleścią i ofiarami, Ameryka przebiega nagłym pędem w krótkim lat zakresie, by nie pozostać w tyle i razem stanąć u mety, a może nawet poprzedników prześcignąć. Cóż więc dziwnego że ten ruch tak prędko, gwałtowniejsze wywołuje starcia, że rozprószone w innych po drodze iskry i płomyki, tu w jedno zebrane ognisko zażęły się w sęp ognisty i krwawym blaskiem wzrok rażą? Dodać do tego należy potężny wpływ podzwrotnikowych klimatów, gdzie pod palącym niebios żarem, soki żywotne w przyrodzie obficie i żywiej płyną, gdzie kwiat się bujnie rozwija, lecz tóż i trucizny zjadliwsze; gdzie krew gorętsza w żyłach krąży, gwałtowniejsze rozpala namiętności, lecz gdzie także umysły wcześniej i potężniej dorastają. Tu gdzie wszystko olbrzymie: góry, rzeki, wulkany, groźne lub cudne zjawiska natury, tu, powiada jeden z amerykańskich poetów, człowiek jest bohaterem, męczennikiem, świętym, zbrodniarzem, wszystkim, tylko nie bojaźliwym ani obojętnym: tu wszystko wielkie, nawet sam występpek.

¹⁾ H. Taine. *Lit. angl.*

W rzeczy saméj, nie potrzeba nawet zbyt głęboko wnikać w ducha narodów, by dostrzedz, iż te same fenomena moralne, dodatnie i ujemne, jakie cechują każde z dwu europejskich szczepów, które nad Ameryką zapanowały, tu się także uwydatniają, lecz spotęgowane w sposób uderzający.

W północnej Ameryce anglo-saksońska czyli germańska rasa, rozważna, przemyślna, wyrachowana, do politycznego życia uzdolniona, i to już u siebie (w Europie) rozwinąwszy, w osadach swych jawne składa dowody samolubstwa, chciwości, żądzy podbojów i wzbogacania się cudzym kosztem. Dążność jej do opanowania całej półkuli Nowego Świata, tudzież nawpół utajone zachcianki sięgnięcia zaborczą ręką aż na stare lądy, mają na celu tylko zwiększenie własnej potęgi i bogactw. Również i w indywidualnym rozwoju inteligencji, postęp skierowany najgłówniej ku materyjalnej stronie bytu; a prąd ten z większą jeszcze objawia się siłą aniżeli u pobratymców w Europie.

Na Południu zaś romańskie plemię, namiętne, mściwe, mało rachujące, i skutkiem tego dłużej nie mogące ani do wewnętrznego dojść ładu, ani zewnętrznych wpływów pozyskać, przez namiętne swe usposobienie jest pochopniejszym do szlachetnych porywów. Oto jeden z wybitnych przykładów owéj różnicy w dążnościach i charakterze dwu szczepów. Północni Amerykanie, po wybićiu się zpod jarzma, przez długie jeszcze lata i to w sposób najbardziej barbarzyński przechowują u siebie niewolnictwo, aż dopiero w krwawém a straszliwém starciu pozbywają się tego ohydneho trądu. Ameryka południowa, wraz z najpierwszém hasłem swojej niepodległości, ogłasza usamowolnienie murzynów. Do tak wielkiego faktu, spełnionego przy pierwszém wystąpieniu tych ludów w politycznym życiu, pobudką były pojęcia i uczucia, które cechują także ten ważny objaw duchowego ich życia, jakim jest piśmiennictwo.

Jeden z najświetniejszych badaczy i krytyków literatury powszechnéj, Villemain, tak pisał: „Ukochałem szczególniej geniusz hiszpański, tak wielki w XVI stuleciu, i śladów jego w Nowym Świecie szukałem. Jest tam namaszczenie chrześcijańskie, któremu nie powinniśmy dozwolić, ażeby się zatraciło, coby niechybnie nastąpiło, gdyby te kraje o władnął szczep anglo-saksoński.“

Na stwierdzenie wyrzeczonego przez siebie zdania, pisarz ten dał nam poznać kilka poetycznych utworów z hiszpańsko-amerykańskiej literatury. Zaiste, poezya, we właściwém sobie rozumieniu, jest alfą i omegą wszelkich cywilizacji, streszcza bowiem w sobie wznoszenie się postępowe ku ideałom. W kolébce ludów zrodzona, zawsze pozostaje prosta; lecz w granicach dziedziny, którą jej stwarza umysłowy i materyjalny rozwój ludzkości, poezya przechowuje to, co warte być przechowaniem w życiu narodów. Niewątpliwie zatem otrzymamy samą istotę treści żywotnych sił narodu, biorąc za typowe objawy téj treści narodowe poetyckie znakomitości. Owóz co nas uderza w poetach hisz-

pańskiej Ameryki, oto głębokie poczucie solidarności całego rodu ludzkiego, a więc najszczytniejsza idea Chrześcijaństwa: nie sceptycyzm, ani pesymizm; lecz wiara w ludzkość, w jej postęp duchowy, a zwłaszcza w wielką dla Ameryki przyszłość. Amerykański poeta rozmiłowany w swą ziemi, kocha ją jak syn matkę, uwielbia jak kochanek z zachwytem unosząc się nad jej pięknosciami; lecz patrząc w jej przyszłość, nie widzi ją w gloryi pani świata, lecz chce ją mieć błogą przystanią dla znużonej ludzkości, rajem, który Przedwieczny otwiera dla człowieka odrodzonego przez wolność i pracę, gwoli urzeczywistnieniu najszlachetniejszych i najwyższych zadań.

Ruch literacki w Ameryce południowej podzielić można na cztery peryody: przed oswobodzeniem peryod niewolniczego naśladownictwa łańciskich klasyków lub ówczesnych hiszpańskich pisarzy, takichżesamych naśladowców; przez czas walk o niepodległość pieśni wojenne; w pierwszych latach, które nastąpiły po olbrzymich zapasach, peryod poezyi o wolności i prawie: peryod ten zwiastuje literaturę rodzimą oryginalną, która zaczyna wchodzić na drogę filozoficzną i humanitarną; od roku 1840 ukazują się poezye opisowe lądu amerykańskiego, poemata i pieśni na cześć bohaterów oswobodzenia i świetnych czynów przez nich dokonanych, medytacje filozoficzne, dramata z treści narodowej, kroniki, legendy i powieść amerykańska.

Bardzo niewiele poetów może otrzymać miano twórczych geniuszów w pospolitem rozumieniu tej nazwy, wymagającej od nich dzieł znacznych rozmiarów; nie wszyscy są na tej wysokości co Bello, Caro, Arboleda, Marmol; bo też literatura ta w istocie nie więcej liczy lat istnienia, jak tylko tyle, ile trwa byt niezależny młodych rzeczypospolitych; lecz właśnie ta młodość, świeżość uczuć i myśli, w drobnych nawet utworach szczególnym świeci powabem, dodawszy jeszcze do tego wielki wdzięk i urok słowa.

Jeżeli dziś świat uczony tak pilnie śledzi i skrzętnie zbiera zażytki z życia ludzkości w zamierzczłtych czasach, szczątki od wieków pod ziemię zagrzebane; jeżeli z taką ciekawością ogół przypatruje się rozwojowi na drodze cywilizacyjnej nawet Japończyków, ludu, z którym nic nas nie wiąże, u którego nic zaczerpnąć nie moglibyśmy nigdy: tém bardziej spodziewać się godzi, iż następujące pobieżne szkice o hiszpańsko-amerykańskich pisarzach, staną się komuś pobudką do gruntowniejszego zbadania prac duchowych naszej zaatlantyckiej braci, odpowiadając na panujące dziś hasło: *Homo sum, humani nil a me alienum esse puto.*

Andrzej Bello (ur. 1780 r.).

Naczelne miejsce w gronie współpracowników, słusznie się należy nestorowi literatury hiszpańsko-amerykańskiej, i nie tylko z prawa wieku, lecz i ze względu na wybitne stanowisko, jakie zajął w pierwszej dobie jej rozkwitu, a z którego nie straciły go z czasem dojrzałe jej

lata. Jestto jedno z tych imion, które pozostaną na zawsze chlubą swojego narodu; to jedna z tych niepospolitych postaci, których rozum, serce i dusza zarówno obudzają cześć i miłość, tak u współczesnych jak u najodleglejszej potomności. Na polu zaś piśmiennictwa zajaśniał potężnym talentem, wspartym gruntowną a wielostronną nauką.

Andrzej Bello urodził się 30 listopada 1780 r. w Caracas, stolicy republiki Wenezuela, z rodziny już niemało zasłużonej krajowi.

Od pierwszej chwili kiedy ta prowincya wydała hasło niepodległości w r. 1810, Bello wstępuje w służbę publiczną, zrazu jako starszy urzędnik w sekretaryacie najwyższej junty rządzącej. Wkrótce spotkał go zaszczyt służenia przy boku męża, który z czasem miał się stać bohaterem Ameryki południowej, oswobodzicielem czterech narodów, założycielem jednej Rzeczypospolitej. Bolivar niedawno mianowany pułkownikiem, w kilka zaledwie miesięcy wysłanym został w dyplomatycznej misji do Anglii; z nim pojechał Bello jako sekretarz poselstwa.

Odkrył Bolivar w swoim towarzyszczynie tyle niepospolitych zdolności, tak wzniosłe moralne zalety, iż wnet ścisłą związał się z nim przyjaźnią, i w każdej okoliczności dowiódł jak wysoce go cenił. A gdy mu wypadło wrócić do Wenezueli, zostawił Andrzeja Bello na swoim miejscu w charakterze pełnomocnego zastępcy ambasadora.

Przez lat ośmnaście zostawał Bello w Europie, po większej części w Londynie, gdzie w wyborowych kółkach literackich i politycznych odbierał wielkie dowody uznania i wysokiego szacunku. Wolne od dyplomatycznych obowiązków chwile poświęcał nauce, której szerokie podwoje stały mu otworem. Z myślą zawsze zwróconą ku Ameryce, przedsięwziął wydawnictwo dzieł oraz pism peryodycznych, które z jednej strony dając Europie poznać nowe amerykańskie narody, równocześnie tymże udzielały tysiącznych żywołów cywilizacji i postępu. Najpierwszém prawie czasopismem, do którego pisywał Bello, był *Cenzor Amerykański*, założony w 1820 r. przez przyjaciela jego Irisarri, jednego z najznakomitszych publicystów i historyków amerykańskich, a współcześnie z nim przebywającego w Londynie. Następnie wydał *Bibliotekę Amerykańską* i *Repertuar Amerykański*. W publikacjach tych mieściły się artykuły polityczne, literackie, krytyczne, naukowe, historyczne i t. p.

W r. 1828 wrócił Bello do Ameryki i osiadł stale w Chili. Gościnnie ten kraj chętnie udziela przytułku przybyszom z innych stron, i uczyć umie ich talenta. Świetne przyjęcie spotkało tam już niejednego, a zwłaszcza Bello wityany był z prawdziwym zapętem. Ze strony rządu ofiarowano mu wysokie stanowisko w ministerjum spraw zagranicznych, później zaś został obrany członkiem senatu i rektorem uniwersytetu. Wielokrotnie chciano go nakłonić do przyjęcia ministerjalnej teki, lecz się od tego zaszczytu uchylił.

Jeden ze znakomitszych publicystów europejskich, który podróżując po Ameryce, miał sobie za zaszczyt być przedstawionym Andrze-

jowi Bello, w takich słowach wspomina o swojej u niego bytności: „Uczony starzec, blisko dziewięćdziesięcioletni pracuje dotąd tak samo jak zamłodu. Zastaliśmy go w jego biurze, gdzie codziennie przepędza ośm do dziesięciu godzin: jestto jego stanowisko, z którego nie chce zejść do śmierci. Nie zdarzyło mi się widzieć piękniejszej fizyognomii, tak jest zajmującą i łagodną. Wbrew nałogowi osób wiekowych, sam mało mówi, a rad mówiących słucha. W obcowaniu z ludźmi, jak powiada, zawsze się można czegoś nauczyć. Rzadka zaiste skromność, która nie wielu znajdzie naśladowców. A przecież panu Bello można by wybaczyć, choćby nawet niemałą dozę miłości własnej, wiedząc, iż jest autorem tyłu dzieł znakomitych: o prawie międzynarodowym, o prawie cywilnym, o gramatyce, o filozofii; choćby nie wspominając o wielkiej liczbie nader pięknych poezyi, któreby już same wystarczyły na tytuł do sławy. Dodajmy i to, że od samego początku swego zawodu wszedł w posiadanie naukowej i literackiej wziętości.”

W istocie Bello pracował w różnych gałęziach wiedzy ludzkiej i z każdą zbierał wawrzyny.

Z pomiędzy wielu prac jego, tyjących się językoznawstwa, *Gramatyka kastylska* zjednała mu wielkie pochwały w Hiszpanii, gdzie mu ofiarowano tytuł członka honorowego akademii.

Jego zaś *Zasady prawa międzynarodowego* są dziełem, dobrze znanem publicystom w Europie i w Stanach Zjednoczonych, a we wszystkich prawie szkołach Ameryki hiszpańskiej służy ono za tekst przy wykładach o prawie narodów.

Do napisania tego dzieła przygotowywał się autor przez niesłychanie długie lata, wskutek czego posiadał przedmiot tak gruntownie, iż nie tylko piórem, lecz i postępowaniem dał dowody wysokości w nim biegłości. Na czele powtórnego wydania, Irisarri umieścił swoją przedmowę, w której, między innymi i to powiada: „Głęboka wiedza pana Bello, stała się wielkim dobrodziejstwem dla Chili, albowiem za jego urzędowania w ministeryum spraw zagranicznych, wszystkie międzynarodowe stosunki z europejskimi mocarstwami, załatwiane były z należytą znajomością rzeczy, z taktem i rozwagą, przez co kraj ten uniknął wielu nieprzyjemności, na jakie się narażały inne republiki, kierowane przez nieudolnych polityków...”

Otóż ten znakomity dyplomata, prawnik, publicysta i gramatyk, może się przytém liczyć do pierwszorzędných poetów. Utwory jego cechuje wszędzie język czysty a melodyjny, wysoki nastrój myśli, wszystkie przymioty jego duszy: patriotyzm, wiara, mądrość.

W Londynie r. 1823 ukazała się poraz pierwszy dłuższych rozmiarów oda, *Wezwanie do poezyi*. Byłto jeden ustęp z niewydanego poematu pod tytułem *Ameryka*. Taki jest początek téj ody ¹⁾.

¹⁾ Przekład p. S. z Ż. D.

Ty samotności poważna córo,
 Co harmonijne wysnuwasz tony
 Z lasów spowitych odwieczną chmurą,
 Wykołysana w grocie zielonej,
 Od gór odbitym echa pogwarem;
 Porzuć te kraje! Ach! tobie dłużej
 Na zgliszczu wieków nie wytrwać starém!
 Chłód cię krępuje, przymus cię nuży;
 Leć wiecznie młoda i wiecznie żywa,
 Gdzie świat Kolumba słodko cię wzywa!

Tam jeszcze szumią stuletnie puszcze,
 Tam słońce strząsa powłokę mglistą
 I w kwiat rozwija zielone bluszcze
 Na bohaterów skroń promienistą!
 Tam kręta rzeka czerpie w lazurze
 Błękit, co czyste barwi jój łono;
 Tam wietrzyk rankiem kołysze róże,
 Błyszczące gwiazdy jaśniej tam płoną;
 Tam nocy rydwan żartko się toczy.

A gdy król niebios wybieży górą,
 Spowity pyszną zorzy purpurą,
 Zbudzone ptastwo w leśnej pomroczy,
 Zgodnie do chóru dzióbki śpiewnemi
 Dzwoni hejnały słońcu i ziemi!

Co tobie dadzą, leśna dziewico,
 Pańskich pałaców złożone progi?
 Sztucznym swym blaskiem tobież zaświecą?
 Słao-że ci kwiaty wielkim pod nogi?

Promienistszemi światła odbłyśki
 Z czoła twojego tryskała sława,
 Gdyś u dziocięcej ludów kołyski
 Królom i ludom głosiła prawa!

Ach! uderz w skrzydła! odleć coprędzej
 Z onej krainy światła i nędzy!
 Gdzie filozofy w obłędzie dумы
 Patrzą na onotę przez wiedzy szkiełko,
 Gdzie gną przed niemi kolana tłumy,
 Gdzie hydra paszczę rozwarła wielką
 I wnet zbląkaną ludzkość pochłonie
 W noc barbarzyństwa, gwałtów i zbrodni;
 Gdzie świat pozbawion Bożej pochodni,
 Zatrute węże karmi w swém łonie!

Zdejm ze spróchniałych dębu konarów,
 Słodka dziewico, twą lirę złotą:

Zwiędłez ci kwiaty skronie oplotą?
 Z dawnego świata dziecięcych gwarów
 Cały wysnułaś watek pajęczy!
 Ach! uderz w skrzydła, dziewico Boża!
 Leó przez Atlantyck po łuku tęczy,
 Ku nowym ludom, w nowe przestworzał
 Tam znów obleczesz pierwotne szaty,
 Tam cię, żniwiarko, plon złoty czeka;
 Rola nieznane sypnie ci kwiaty,
 Ledwie sprzężona w jarzmo człowieka!
 Tam Ameryka, ziemia swobody,
 Nadobna córa błękitnej fali,
 Ze słońcem ślubne wyprawia gody:
 Ona ci wzniesie grotę z koralu,
 Ozdobi czoło twe z gwiazd korona
 I na swe żyzne weźmie cię łono!...

Wiersz ten starczy na dowód, iż owa niebianka znała się już dobrze z ziemią, na którą ją tak gorąco zapraszano.

Elegijna pieśń o pożarze kościoła w Santjago, pełna jest podniosłego uczucia, obok żywego obrazowania.

Patryotyzm i mądrość dzielnie głos podnoszą, w odzie na 18 września, dzień wiekopomnej rocznicy dla Rzeczypospolitej Chilijskiej. Sławiąc niepodległość przybranej ojczyzny, wynurzając gorące życzenia najpomysłniejszej dla niej przyszłości, poeta radby ją przedewszystkiem skłonić do cnót najwznioślejszych, do wiary, swobody, braterstwa, a ustrzedz od strasznych przewrotów, w jakie popadły inne amerykańskie Rzeczypospolite.

„...Na drodze którą się puszczasz, bacz na zdradliwe mielizny, niestety, tak sromotnie pokryte szczątkami biednych rozbitków!

„Zdale tak urocze zieleni się pobrzeże: a to tylko z obłoczków znikomych powietrzne zjawisko, które wnet rozproszy lada powiew wiatru.

„Słyszysz wycie burzliwych wichrów i straszny ryk rozhukanego morza, co białą górę zjeżonej piany nad podwodną toczy rafą?

„I przypatrz się losom twych bratnich korabiorów, co w jednym dniu z tobą nowy rozwinęły żagiel.

„Czy widzisz jak falą porwane doszły już nad przepaść zguby?...
 Wszakże i ty sama blizką już byłaś rozbić!...

„Niech twoi doradcy, niech lud twój mądrém się rządzą umiarkowaniem. A tę furją podstępna, której tchnienie zatruwa życie, która pod dostojną wolności zasłoną kryje swe szpetne trupie oblicze, i krwawy sztylet, i gorejącą pochodnię.

„Nie weź jęj niebacznie za jedno z ową dziewicą piękną, wstydliwą, co w tęczowej szacie, z promienną na skroni światłością, piastunką jest sztuk i talentów, siostrą sprawiedliwości.

„Ona jedna ludzkości przynosi życie, wesele i godność...”

Bello naśladował bardzo wiele lirycznych utworów Wiktora Hugo, a pieśni jego tak są eteryczne, tyle w nich ognistej fantazyi, iż w niczem nie ustępują swoim pierwowzorom.

Lecz zawsze najmilszych tematów dostarczała mu rodzinna ziemia; z niej czerpane natchnienie, najżywiej rozplómiętało poetycką twórczość. Szczególny zapał w współziomkach obudził poematem o *Rolnictwie gorącej strefy*. Wylicza w nim mnogie dary, jakimi Stwórca obsypał Amerykę, a synów jej wzywa do jedności i zgody: wtedy żyć będą mogli jak w raju, na tej błogostawionej ziemi, gdzie im dano się urodzić. Istny to Eden, ziemia obiecana ¹⁾.

Jan Marya Gutierrez. (ur. 1809 r.).

Hiszpania z chlubą umieszcza w rocznikach swojej literatury imię syna brzegów La Platy, który talentem swoim tak w prozie jak w poezyi wysokie godzien zająć stanowisko, a nadto należy do liczby najpoprawniej piszących w języku hiszpańskim. Lecz pomimo praw macierzystych do swojej mowy, dawna metropolia powinna powrócić Ameryce sławę z pism jego; gdyż wszystkie jego natchnienia, myśl i duch, są czysto amerykańskie, jego uczucie najgorętsze — dla rodzionnej ziemi, i wśród ziomków swoich zyskał on uznanie swojej nieskazitelnej cnoty obywatelskiej.

Jan Marya Gutierrez urodził się w Buenos-Aires w r. 1809, z rodziny, która zacności swojej zawdzięczała poważanie i miłość powszechną. Ojciec jego uważał czas za drogocenną puścinę, z której należy się starannie ciągnąć korzyści; zawczasu więc syna umieścił w naukowym zakładzie, a prócz tego wieczorami sam dawał mu lekcye. Do ich domu nieliczni uczęszczali goście, lecz był to wybór towarzystwa Buenos-Aires. Gdy przyszła chwila wstąpienia do uniwersytetu, młodzieniec oddał się nauce najmniej zdolnej do rozwinięcia poetyckich darów: kształcił się na inżyniera cywilnego. Przez ciąg kilkoletnich kursów matematyki, nie zaniedbywał wszelako nauki języków żyjących i łaciny. I nikt się nie domyślał, że młody Gutierrez, który jak Chénier czuł coś nadzwyczajnego w swojej głowie, karmił się poezją łacińską i hiszpańską, i sam wiersze tworzył w sekrecie.

W czasie kiedy śmierć zabrała głowę rodziny, Gutierrez posiadał już wiedzę szeroką i gruntowną; poświęcił się wówczas nauce prawa. W ciągu tego peryodu prac jego ukazywały się niejednokrotnie w czasopismach argentyńskich płody jego pióra.

Zawiażawszy ścisłe stosunki ze znakomitszymi mężami swego kraju, bronił sprawy moralności, prawa i postępu, którym srogą wojnę

¹⁾ Wyjątek z tego poematu drukowała *Biblioteka Warszawska*, 1878, t. IV, str. 138.

wypowiedział tyran wyrosły na Pampach a znany pod nazwiskiem Rozasa. Gaucho ten nie mógł nigdy ścierpieć oporu. Nie dosyć na tém: cnota i rozum były w oczach jego zbrodniami ohydnyemi, którym nie przebaczał nigdy. W roku 1840 Gutierrez okuty w kajdany, siedział w ciemnym lochu: zaszczyt ten nie mógł minąć człowieka takich jak on zalet umysłu i duszy. Lecz niebawem poszczęściła mu się ucieczka. Obrócił więc swe kroki ku pobrzeżom Montevideo, gdzie ofiary krwawego dyktatora gościnnie znajdowały przytułek.

W kilka lat potem Gutierrez wraz z Alberdim popłynęli do Europy. Po zwiedzeniu głównych miast Starego Świata, młodzi wygnańcy powrócili do ziemi Kolumba. Zatrzymali się jakiś czas w Rio Janeiro, a następnie opłynawszy przylądek Horn, przybyli do Chili.

W ciągu swego pobytu w tym kraju, Gutierrez zaprzyjaźnił się z najpierwszymi z tamiecznych literatów, założył szkołę marynarki, dał do druku wiele dzieł oryginalnych, i zgromadził staranny wybór amerykańskich poezyi lirycznych, pod tytułem: *la América poética*.

Dopiero w r. 1852, kiedy bitwa pod Monte-Caseros obaliła dyktaturę Rozasa, Gutierrez powrócił do rodzinnego miasta, gdzie został z kolei deputowanym, ministrem stanu, ministrem spraw zagranicznych i t. d. Jako deputowany należał do najgorliwszych pracowników przy wykończeniu konstytucyi krajowej w duchu wolności i porządku. Ze swego urzędowania jako minister pozostawił instytucje trwałe i wielkiego pożytku. W późniejszych latach, kiedy nastąpiły smutne i w kłeski obfitujące walki trzynastu prowincyi przeciw Buenos-Aires, Gutierrez okazał się zawsze niezachwianym w przekonaniach swojego sumienia, nie dając się nigdy uwieść duchowi stronnictwa.

Takimi są w ogólnych wyrazach zasługi jego obywatelskie; nie mniejsze położył on na polu piśmiennictwa krajowego.

W r. 1841, przy zbliżającym się święcie narodowém, 25 maja, poeci urugwajscy, oraz argentyńscy przebywający w Montevideo, postanowili godnie uczcić wielką rocznicę. W tym celu ofiarowali medal złoty jako nagrodę konkursową za najlepszy utwór poetycki na cześć rewolucyi majowej, wyrażający przeszkody jakie musiała pokonać, i dobrodziejstwa jakie z niej spływają na ląd Ameryki południowej. Jedynastu poetów ubiegało się o palmę pierwszeństwa. Kiedy nadszedł dzieńznaczony na wręczenie nagrody, po odczytaniu poezyi uznanęj przez sędziów za najlepszą, prezydujący oświadcza, iż autor nie jest mu wiadomy; lecz ponieważ obrał sobie za dewizę czterowiersz z wielkiego łacińskiego liryka, tém więc hasłem wzywa go, aby się dał poznać. Zwracają się ciekawe spojrzenia, z tłumu występuje młody człowiek, a po sprawdzeniu swojej tożsamości, wymienia nazwisko: Jan Marya Gutierrez.

Zdaniem świątłego areopagu nikt lepiej nie pojął wielkości i celów amerykańskiej rewolucyi, nikt jój ideom szerszego nie zakreslił koła. Niemniej na pochwałę zasługuje doskonała poprawność dykcyi,

wspaniała powaga rozlana w tym poemacie, bogatym w obrazy, mistrzowskim nakreślone pędzlem.

To więc pierwsze wystąpienie na polu poezji lirycznej, zjednało wieszczowi odrazu sławę nieśmiertelną u jego współziomków. Prawie każdy umie ten utwór na pamięć.

Wielkiego potrzeba poety, by w innym języku odtworzyć potrafił cały majestat i siłę tej świetnej ody. Dosłowny przekład niektórych fragmentów, krótkie streszczenie innych, dadzą zaledwie poznać dążność i myśl przewodnią, obraną z uroku poetyckiego słowa. A może w opuszczonych ustępach znalazłyby się tu i owdzie najwznioślejsze myśli i obrazy... czytelnik sam chyba resztę w duszy dośpiewa.

Wstęp otwiera wspaniała inwokacya, pełna religijnego namaszczenia. Poeta podnosi głos do Stwórcy, by nań złął skupienie ducha, by słowom jego szczytnego uczynił majestatu, bowiem „wszystko pochodzi od Boga, i bohaterkie czyny ludów, i mistrzowskie artystów i wieszczów utwory, wszystko jest Jego dziełem: gorący płomień Boskiego światła kierował mężczyznami Wielkiego Maja...”

Daliej w związkach rymach obrazuje chwilę powstania amerykańskiego ludu: niedorośle dzieci, starcy osiwiali, wszystko się w wielkiej jednoczy idei.

A gdy już na cześć jej wzniesiony wiekuisty pomnik, tłumy się garną w okół oswobodzicieli, i w religijném milczeniu słuchają proroczego głosu.

....„Wyście wybrani. by na barkach waszych dźwignąć świat, od srebrzystych stoków dumnego Andu przez pustą Pampeę po rzeki olbrzymie...”

....„I z tego świata jak z płodnego ziarna, które oracz wiosną w bruzdzie zagrzebuje, rodzić się będą inne światy, samowładne, błogosławione od nieba i od ziemi...”

„Wielkie jest postannictwo wasze... Stale nośmy, wewnątrz duszy, ideę świętą i wspaniałomyślne zamiary. Od dzisiaj myśmy króle i wielcy kapłani...”

....„Zniżcie wzrok i patrzcie na dziatwę, co ziemię rozwesela, jak kwiat spadły z drzewa nadziei i życia. Patrzcie na nią i pomnijcie na nieświadomość naszą. Rozprószmy ciemności jej duszy, umysłem jej dając wody z tego źródła, co użyznia palmę wiedzy. Lecz w serce jej wpójcie świętą miłość cnoty i sprawiedliwości, a nieubłaganą nienawiść dla piekielnej złości. Zjadliwą trucizną jest umiejętność bez cnoty.”

I znów głos proroczy zwraca myśl słuchaczy na ich przeszłość, na owe długie lata nędzy i poniżenia. Lecz nie do gniewu ani zemsty ich pobudza. Tylko nikczemnik zerwane pęta krwią broczy.

„Litości i miłosierdzia dla zwyciężonego! Bądźmy wspaniałomyślni, a ludzi uważajmy jako braci. A kiedy nasz porzecz rozwiniemy szeroko, zbiegną się najdalsze ludy, garnąc się do nas z miłością i wykrzykną radośnie: „Oto lud wybrany!”

„Bo my ich przyciągniemy do siebie t \acute{e} m \acute{s} wiatk \acute{e} m, co z mi \acute{o} sci tryska i p \acute{o} laniem swym rozpala serca.

„Przyb \acute{e} dzie od bieguna m \acute{a} ż zahartowany i surowy g \acute{o} r mieszkaniec, a wnet ostra zima, co im krew mrozika, w b \acute{l} og \acute{a} si \acute{e} dla nich zamieni wiosn \acute{e} , pod cudn \acute{e} m niebem, kt \acute{o} re nam dał B \acute{o} g.

„Alboż my \acute{s} licie, i \acute{z} On utworzy \acute{l} by rzeki jak morza i pok \acute{l} ady z \acute{o} ta i r $\acute{o$ wniny rozkosznej zieleni i wonne powiewy stepowe i ten uroczy b \acute{l} ekit naszego nieba i te kobiety, skarby mi \acute{o} sci, na to tylko, by zasyci \acute{c} chciwo \acute{s} ć przemocy i dumy?

„Nie! bo kiedy Wszechmocnego hojna r \acute{e} ka, z \acute{o} żyła na mglistych Zachodu kra \acute{n} cach swoj \acute{e} Ameryk \acute{e} , czyst \acute{a} i niewinn \acute{a} , Pan rzekł: „B \acute{l} og \acute{o} szawiona ziemi \acute{o} ty dla zgrybiałego i podupadłego \acute{s} wiata b \acute{e} dziesz wiosn \acute{a} i pociech \acute{a} , jak \acute{a} jest syn dla spracowanego ojca.”

Najwspanialszym, co do bogactwa poetycznego j \acute{e} zyka, my \acute{s} li i obraz \acute{o} w, jest ust \acute{e} p, w kt $\acute{o$ rym poeta przedstawia trudy i niebezpiecze \acute{n} stwa, jakim Kolumb stawia czo \acute{l} o, w wyprawie dla odkrycia Ameryki. W sercu czerpie si \acute{e} , wi \acute{e} cj \acute{e} ni \acute{z} w nauce, a wytrwa \acute{o} ść i wiara niez \acute{l} omna doprowadzają go do wielkiego celu.

R $\acute{o$ wnie wielk \acute{a} jest idea, pocz \acute{e} ta w wiekopomnym maju. I ona by \acute{l} a szczytn \acute{a} nadziej \acute{a} szcz \acute{e} ścia, kt $\acute{o$ rego osi \acute{a} gni \acute{e} cie przynios \acute{a} dopiero czasu koleje. Dzie \acute{n} a ludzko \acute{s} ci w \acute{r} o \acute{d} cierni wzrastają.

„A wi \acute{e} c przekle \acute{n} stwo temu, co gdy s \acute{l} yszy wycie burzy, roz \acute{z} arzającej namiętno \acute{s} ci gor \acute{a} cy $\acute>m$ podmuchem, zak \acute{l} ada r \acute{e} ce na piersi i zw \acute{a} tpi, a \acute{z} ali ujrzy jutrze \acute{n} ki ciszy b $\acute{l$ ogi \acute{e} j i obiecanej przysz \acute{l} o \acute{s} ci.

„Cz \acute{e} m \acute{e} s \acute{a} w wiekow \acute{e} m \acute{z} yciu lud \acute{o} w, wczoraj zrodzonych, chwile po b \acute{e} dnych stracone drogach? Cz \acute{e} m s \acute{a} krwi krople, co zrosi \acute{l} y ziemi \acute{e} ; cz \acute{e} m \acute{l} zy i \acute{z} aloba, kt $\acute{o$ re nas nawiedza \acute{c} mog \acute{a} ?

„Cz \acute{e} m s \acute{a} , je \acute{z} eli nie lich \acute{e} m piasku ziarnem na szeroki $\acute>m$ pobrzu \acute{z} u lub rosy kropelk \acute{a} w oceanie zatopion \acute{a} ! Cz \acute{e} m s \acute{a} , jak nie p \acute{l} atem chmur, wichrem szarpanych, chwilowo zwi \acute{e} kszej \acute{a} cych ciemno \acute{s} ć czarn \acute{e} j burzy!

„A wi \acute{e} c b \acute{l} og \acute{o} szawie \acute{n} stwo m \acute{e} żowi, kt $\acute{o$ ry ma nadziej \acute{e} i z odwag \acute{a} kroczy po ciernistej \acute{s} cie $\acute{z$ ce, wiod \acute{a} cej wprost do przysz \acute{l} o \acute{s} ci. I silny wiar \acute{a} i sta \acute{o} sci \acute{a} , nie skar \acute{z} y si \acute{e} ani przeklina, gdy s \acute{l} yszy g \acute{l} os wo \acute{l} ających: „Naprz \acute{o} d! id \acute{z} dalej!”

„I ten, w kt $\acute{o$ rego piersi jasna p \acute{l} onie Wiara, ten przy j \acute{e} j blasku ma widzenie przysz \acute{l} o \acute{s} ci: g \acute{l} os wrzawy wojennej zaniemiał; miejsce dzia \acute{l} zab \acute{o} jczych, na g \acute{o} r stoku, zajmuj \acute{a} wynalazki pokojowego przemysłu. A po morzach tysiącami kr \acute{a} ż \acute{a} flagi b \acute{l} ekitne, roznosząc w dal bogate, szcz \acute{e} śliwego l \acute{a} du p \acute{l} ody. I dumne dot \acute{a} d narody, dzi \acute{s} czo $\acute{l$ o pochyłają, przed synem Inkasa. Niezmierzone r $\acute{o$ wniny, \acute{z} łocistym faluj \acute{a} się p \acute{l} o \acute{n} em; hymny wznoszą się w niebios \acute{a} ; w dolinie i w g \acute{o} rach, w pa $\acute{l$ acach i w chatce \acute{z} ycie p $\acute{l$ ynie b \acute{l} ogo, jakby cichy strumie \acute{n} . I szcz \acute{e} сны ojciec, tuł \acute{a} c drob \acute{n} ą dzia \acute{l} w \acute{e} , rozpami \acute{e} tuje przesz \acute{l} o \acute{s} ci dzieje krwi \acute{a} zapisane i o swoich my \acute{s} li ojca \acute{h} , mówiąc: „Ja dniem pogodnym raduj \acute{e} się dzisiaj, bo tamci spe $\acute{l$ nili kielich goryczy...”

Pięknym jest i pełnym głębokiego uczucia, a bogatą fantazyi ustęp ostatni, poświęcony wieszczom, którzy taki blask rzucili na jutrzenkę, świtającą dla Ameryki, od chwili podniesienia wielkiego hasła, w maju 1810 roku. Przypomina w końcu poeta, iż większa część tych bardów padła wśród gradu kul i szczęku oręża; i tu spotyka się myślą z jednym z naszych wieszczów w jego wierszu: „Kto w poświęceń zmarł godzinie” i t. d.

Obok tego poematu, godzien stanąć wiersz pod tytułem: *Sztandar Majowy*, równie zalecający się potoczystą pięknnością słowa, jak podmostością myśli.

Sztandar Majowy.

Niebiosom wydarli ojcowie tytany
 Nasz sztandar z lazuru i bieli.
 Gdy w sferach zwycięstwa szeleści rozwiany
 Wzrok niebios, obrazem weseli.

Jak orzeł na czatach, w świat patrzy szeroki!
 Gdy ludy zawczą go młode,
 Przebiega równiny, gór pasma, potoki:
 Za sobą w ślad niesie swobodę.

Daremno się z Andów rwą straszne kondory,
 W polocie go rączym nie schwyca;
 Nie patrzéć drapieżnym w zwyciężkie kolory
 Ośleplą od blasku zrenicą.

Podnieśmy go z chlubą, nie barw tych nie zaćmil!
 O! niechże rodzinne to hasło,
 Dwa wrogie stronnictwa uczyni znów braćmi
 I miłość w nich zbudzi niezgaśniętą!

Z innych jego poezyi mniejszych, legendy historyczne i podanie, piosnki, dumka *gaucho* i t. p., pełne barwy miejscowej, tchną wonią zielonych wybrzeży Nowego Świata. Wiersz *Niedziela* ma charakter filozoficzny i chrześcijański, a udatne strofy, p. t.: *Piana Morska*, napiętnowane smętnym duszy nastrojem, wcale jednak różnym od czarnej melancholii Bajronowskiego cyklu poetów.

W utworach swoich, prozą pisanych, Gutierrez staje w rzędzie pisarzy wzorowych, formą, językiem i treścią. Oprócz wielu artykułów literackich i krytycznych, rozrzuconych po różnych czasopismach, a nader zajmujących i pouczających, wydał on dzieło wielkiej wagi: *Szkice biograficzne pisarzy, mówców, mężów stanu Rzeczypospolitej argentyńskiej*. Ślusnie powiedziano, iż biografia jest najwyższym wyrazem epoki, a pisarz argentyński pojął tę prawdę najdoskonalej. Jego ży-

ciorysy nie ograniczają się na szkicowaniu żywota i czynów znamienitych mężów, lecz zarazem badają i opowiadają epoki historyczne, w których ciż mężowie działali. Autor objawia w tém dziele wszelkie zalety prawdziwego dziejopisa.

Niemniej ważnym nabytkiem, dla historii i literatury argentyńskiej, przysłużył się Gutierrez swoim współrodakom, wydając dzieło p. t.: *Mysli, maksymy, sentencye i t. p. znakomitych mężów Rzeczypospolitej argentyńskiej z adnotacyami i życiorysami*. Pracowita a trafna kompilacya, zarówno jak mądre uwagi, dowodzą, iż wydawca, który tak głęboko studyował literaturę wielu europejskich narodów, niemniej sumiennie ojczyście badał źródła i zdrowym sądem umiał wyciągnąć z nich, ile tylko zawierają w sobie niespożytej wartości. Dziełem tém wznioskł on istny panteon narodowych wielkości, bodziec dla przyszłych pokoleń. Stanowić ono może także, jakoby encyklopedyą, czy podręcznik wszelkich wiadomości politycznych i administracyjnych, ekonomii politycznej, historii argentyńskiej, moralności, filozofii i literatury.

Wiele prac swoich Gutierrez wydał na widok publiczny, lecz powiadają, iż większa jeszcze liczba ich spoczywa dotąd w tekach autora, który zostawia im czas, aby *dojrzały*. Można się zatem spodziewać, iż zczasem przymnożą one blasku imieniu jego, które, pomimo wielkiej skromności pisarza, zaszczytny rozgłos dał poznać na obu półkulach.

Juan Marya Gutierrez jest członkiem wielu Towarzystw uczonych w Ameryce i w Europie, w Brazylii, w Londynie, w Berlinie i t. d.

Florencio Varela (ur. 1807, † 1848 r.).

W roku 1850 na posiedzeniu ciała prawodawczego w Paryżu, sławny historyk i mówca Thiers, przy roztrząsaniu spraw La Platy, wyrzekł: „Pan Varela, którego tu wszyscy znaliśmy, był zaiste jednym z najznakomitszych mężów, jakich się zdarzy spotkać w którymbyż kraju” i słowa te zgromadzenie przyjęło gorącym oklaskiem. To uznanie, w jednej z najpierwszych stolic Europy, usprawiedliwia sławę, jakiej imię zacnego i światłego Argentyńczyka używa w Ameryce, od brzegów La Platy do Orinoku i do Hudsonu. Na tak powszechną wziętość zasłużył on sobie z wielorakich względów, a tém więcej, iż wszystko czém był, winien samemu sobie.

Kiedy Florencio Varela przyszedł na świat w r. 1807, w tym samym czasie rodzina jego straciła całe swoje mienie, bardzo znaczne: korsarze angielscy zabrali okręt hiszpański z bogatym ładunkiem, którego część należała do domu Varela. W jedenastym roku życia Florencio utracił ojca i wczesnie stał się podporą licznego rodzeństwa i matki. Po odbyciu nauk szkolnych, kursów literatury i filozofii, wszedł do uniwersytetu na wydział prawny i nie mając jak lat dwadzieścia wieku, otrzymał stopień doktora.

Począwszy od téj chwili, wszedł w służbę publiczną i zajmował z kolei coraz wyższe stanowisko w sekretaryacie państwa i spraw zagranicznych. Jednocześnie był współpracownikiem czasopisma, poświęconego polityce i literaturze, a wydawanego pod redakcją starszego brata, zaszczytnie znanego Juana Cruz Varela.

Obowiązkowe to zatrudnienie, przerywała mu często niepohamowana chętka rymowania. Oprzec jej się nie był w stanie, a umysł bystry i zadziwiająca łatwość przychodziły mu w pomoc, do wywiązania się z tylu różnorodnych zadań.

W r. 1829 nastąpiła abdykacja generała Lavalle. Florencio mógł być pozostać na swoim stanowisku: nie pozwoliło na to uczucie własnej godności. Posłuszny głosowi sumienia, bez względu na osobisty interes, wołał podzielić los współbraci, jako związany ze stronnictwem *unitaryuszów*. Rzucając gród ojczysty, Buenos-Aires, udał się do Montevideo, a ten ostracyzm dobrowolny niedługo potem potwierdził dyktator Argentyny Rozas, dekretem banicyi.

Domowe ognisko, życie rodzinne, było potrzebą dla serca i usposobienia Vareli. W pięknej stolicy Urugwaju wybrał sobie towarzyszkę, a związek ten pobłogosławiło niebo licznem potomstwem.

Tutaj także, mając lat 28, złożył chlubnie egzamin adwokacki, a odtąd wieszcz ustąpił przed mężem stanu i prawnikiem. Acz pierwsze dźwięki jego lutni publiczność szczerym powitała oklaskiem, porzucił ją dla trybuny i dziennikarstwa, dla wyłącznego oddania się codziennéj walce i pracy wytrwałéj, w roztrząsaniu ważnych zagadnień politycznych, ekonomicznych, społecznych i dyplomatycznych, jakie się wazyły za jego czasów.

Kiedy w r. 1835 zwarły się z sobą stronnictwa: na jednego czele Rivera, na drugiego Oribe, popiecznik Rozasa; Varela, pomny, iż jest gościem Rzeczypospolitéj orientalnej, nakazał milczenie swoim sympatyom i nie brał udziału w tych domowych rozterkach. Była to może przesada uczuć rycerskich, boć koniec końców, walka toczyła się rzeczywiście pomiędzy zasadami, między przemocą a prawem.

Gdy Oribe wziął górę, Varela pomimo swojej neutralności został wygnany, i nie wolno mu było powrócić do stolicy Urugwaju aż dopóki nie przysłała dla Rivery chwila odwetu. W skutku wyniesienia do władzy tego ostatniego, otworzył się związek pomiędzy Francuzami, Orientalami i wychodźcami argentyńskimi: celem onego było stawienie oporu przeciw dyktaturze Rozasa. Jednym ze związkowych, którzy najczynniej działali przeciw despotyzmowi krwiożerczego *gaucha*, był Florencio Varela. Pracował on roztropnie i wytrwale aż do końca 1840 roku, to jest do smutnéj chwili, kiedy francuzki admirał Mackau opuszczając sprzymierzeńców wszedł w układy z Rozasem. Fakt ten niezszczęsny Varela zgromił silną argumentacją w piśmie godném najznakomitszego z publicystów.

Cały szereg srogich cierpień dotknął duszę wygnańca. Obok niedoli krajowej, upadku jego stronnictwa które przedstawiało sprawiedliwość i wolność, przyszło mu nadto oplakiwać śmierć ukochanego brata, oblewać łzami grób jednej z córek. Dusza bohaterska zniosła ze spokojem, lecz ciało uległo pod brzemieniem tak ciężkich ciosów i bezustannej pracy. Dla rozerwania umysłu i pokrzepienia sił, wziął się zmuszonym odbyć przejażdżkę nieco dalszą: udał się do Brazylii. Lecz i tam nie odpoczywał. W Rio'Janeiro zajął się pilnie wertowaniem archiwów. Zamierzając napisać dzieje Reczypospolitej argentyńskiej, spisywał notaty, gromadził dokumenta.

Po dwu latach płynął z powrotem do Montevideo. Okręt jego zaskoczyła straszna burza. Wściekłe piętrzyły się fale rozhukanego morza: rzekłbyś że wszystkie żywioły sprzysięgły się przeciw temu, który burzom życia tak mężnie stawiał czoło. Varela ocalił siebie i swoją rodzinę: lecz za przybyciem do rokosznej Urugwayu stolicy „nie miał czem okryć nagości swoich dziątek,” powiada jego biograf. Na domiar nieszczęść utracił znów jedną córkę i siostrę.

Otóż i w tymże samym roku 1843, Rozas wysłał godnego siebie sprzymierzeńca, okrutnego Oribe, dla podbicia Bandy Orientalnej. Pokonawszy hufce Rivery, nieprzyjaciel przystępuje do oblężenia Montevideo. W chwili tak smutnej, Varela nie cofa się przed nowemi trudami. Jużto piórem, już radą, jako mąż wysokiego rozumu i wielostronni nauk, dopomaga rządowi Orientalnemu.

Wypadało koniecznie wyprawić kogoś do Europy, gdzie płatni agenci Rozasa rozsiewali kłamliwe wieści. Lecz skarb państwa był próżny. Rząd jednak postanowił uczynić wysilenie. Atoli mniej niż mierną ofiarował płacę temu, którego wybrał do téj misyi poufnej. Wybrany tym był Florencio Varela. Chociaż sam ubogi i obarczony rodziną, przyjął trudne polecenie: obowiązek dla kraju stłumił w nim rachuby ojca i brata.

Zanim opuścił Montevideo, Varela wydał broszurę pod tytułem: *Wypadki nad Rio de La Plata*, gdzie powiada iż „koniecznością jest wyświecić prawdę, ażeby świat poznał ten system anti-społeczny, anti-religijny, wytępiający wszelkie zasady porządku i rozwoju, system którego przedstawicielem Don Juan Manuel Rozas; ściągnąć na tego olbrzyma zbrodni oburzenie wszystkich ludzi uczciwych i miłujących prawdę; wszystkich rządów cywilizowanych chrześcijańskich; podniecić przeciw niemu ligę powszechnego potępienia, któraby go napiętnowała ohydą jako jawnego wroga Stwórcy i ludzkiego rodu; któraby ogłosiła go przywłascicielem nienależnej mu władzy, i odjęta mu poważanie i stosunki, jakich godnymi są jedynie ludzie i rządy szanujący prawo powszechne: ligę cywilizacji i ludzkości, któraby nieszczęsną stolicę Buenos-Aires, znękaną ludy argentyńskie, wybawiła z otchłani rozpaczy, skruszyła w dłoniach publicznego zbrojcy sztylet, narzędzie groźby i wytępienia... Wołajmy o krucyatę cywilizacji i cnoty, dla rozproszenia żywiołów barbarzyństwa i zbrodni! W odezwie niniejszej nie

polegamy na sile słów naszych: ufność pokładamy jedynie w wielkiej potędze prawdy!"

Lecz kiedy Varela przybił do wybrzeży Albionu, lord Aberdeen, ówczesny minister, oświadczył mu, iż pomimo objaśnień udzielonych przez komodora Purvis, rząd Jéj Kr. Mości nie wtrąci się do spraw La Platy. Interwencya Anglii i Francyi miała miejsce aż w kilka lat później, lecz korzyści amerykańskiemu ludom nie przyniosła żadnej; owszem podniosła znaczenie Rozasa, panowaniu jego dała silną podstawę, nastrojąc hertszowi nędznej szajki sposobność odegrania roli bohatera Ameryki.

Nie bezowocną wszakże była podróż Vareli. Tak w Londynie jak w Paryżu gorliwie a umiejętnie pracował nad wykazaniem obcym prawdziwego stanu rzeczy w swoim kraju, i dla sprawy swoich ziomeków pozyskał licznych i znakomych przyjaciół. Co się tyczy prasy, pomimo złośliwych pełnemi garściami sypanego przez agentów *dziłkiego z Fampy*, zdołał Varela skierować ją w przeważnej części do zasad sprawiedliwości i cywilizacyi. Na inném zaś polu badał on postęp i idee starego świata, przyswajał z nich sobie wszystko co mógł być zastosowaniem do nowo tworzących się społeczeństw: mąż stanu, poeta, nie pozycytywał za niegodne siebie rozpatrywanie się w wielkich wynalazkach, odnoszących się do mechaniki, uprawy roli, górnictwa i t. p.

Za powrotem do Montevideo, Varela wzbogacony nowemi zasobami wiedzy, zawsze niezmiernie czynny, tém skuteczniej mógł pracować dla dobra swojej ziemi. Szacowne materyały do dziejów ojczystych, zebrane z wielkiem staraniem i mozolem, niepołconie wróżyły znakomite usługi, jakie Varela mógł krajowi oddać nadal i na polu historycznym. Lecz zgon przedwczesny zniweczył te nadzieje: zdradziecki sztylet przedajnego zbrojcy przerwał pasmo życia tak pożytecznego.

Kiedy agent francuzki w Ameryce, hrabia Walewski, za powrotem do Europy nowe objaśnienia przywiózł swemu rządowi, Francya i Anglia postanowiły postać powtórnie siły do La Platy. Oribe od kilku już lat oblegający Montevideo, widział konieczność pośpieszenia z dokonaniem swoich planów, zanim wojska sprzymierzone przybędą. W Montevideo znajdował się mąż energiczny, rozumny, czynny, który bezprzestannie największe przeszkody stawiał zamiarowi dwu tyranów: Rozasa i Oribe. Mężem tym był Florencio Varela. Oribe miał zwyczaj uprzątać szybko zawady, zwłaszcza jeżeli takowemi byli ludzie. Pewnego wieczora (było to 20 marca 1848 r.) Florencio Varela wracał do swego domu, położonego na jednej z głównych ulic miasta; jakimś fatalnym trafem ulica była pusta, pomimo godziny jeszcze niezbyt późnej. Varela zastukał do bramy: ktoś z domowników pośpieszający dla otworzenia, usłyszał dwa przeciągłe jęki, łoskot upadającego ciała, i kroki oddalające się w szybkim biegu. Przed bramą leżał Varela, nawszkroś przeszły pugiuałem, którym go zbrojca ugodził w plecy.

W obozie oblegających, Oribe i jego towarzysze w tryumfie przyjmowali zabójców, radując się nikczemnym zwycięstwem. W obleżonym mieście trwoga opanowała wszystkie umysły; wszyscy spłacili haracz boleści nad zwłokami niezmordowanego szermierza swobody i zasad. W Ameryce i w Europie nawet rozległ się okrzyk zgrozy przeciw głównemu zbrodniarzowi, który sztyletem uzbroidł przedajną rękę, a liczne głosy ozwały się ku czci i pochwałom męczennika.

Varela zostawił wdowę i dziesięcioro dzieci, przekazując im w spuście uczciwe ubóstwo i skarby wielkich przykładów. Synowie umieli uszanować to święte dziedzictwo, wstępując w ślady ojca.

Po upadku dyktatury, śmiertelne szczątki Florencia Vareli zostały przeniesione do Buenos-Aires, gdzie spoczywają pod pomnikiem wzniesionym kosztem jego wielbicieli.

Życiorys Vareli ukazuje go najlepszym synem, małżonkiem, ojcem, wzorem cnót obywatelskich. Miłość kraju była dlań drugą religią; całe życie walczył przeciw jego wrogom, t. j. przeciw demagogii i dyktaturze, i śmierć poniósł na wyłomie.

Rozbiór pism jego przedstawia go w témże samém świetle.

Płodny ten pisarz, pomimo niedługiego życia, zostawił mnóstwo dzieł, w których po mistrzowsku traktuje najwyższe zagadnienia organizacji społecznej i politycznej, najzawilsze punkta polityki spekulatywnej, prawa administracyjnego, nauki ekonomicznej, prawa człowieka. Artykuły w założonym przez niego dzienniku *El Comercio del Plata*, bogatém są źródłem dla męża stanu i myśliciela. Była chwila, kiedy barbarzyński świętokradzca Rozas wydał wojnę religijnym przekonaniom. Varela w piśmie *Rozas i zasady religijne* dowodzi, iż „zasada takowa jest jednym z najpierwszych żywiołów społecznego życia narodów,“ a podnosząc wysoko uczucie religijne i wiarę, odwołuje się do wielkich zasad wolności sumienia i tolerancyi wyznań. Zaslugują również na szczególną uwagę dziełka jego: *Rozas i prowincye*, *Konfederacya Argentyńska* i wiele innych. Każdej pracy jego tak w prozie jak w poezyi, przyświeca myśl wyższa, uczucie szlachetne.

Kiedy w Montevideo założono ogromny szpital pod dozorem Braci Miłosierdzia dla chorych i dla podrzutków, Varela napisał piękną odę, gdzie na wstępie narzeka, iż kapłani poezyi trudnią się opiewaniem niecnój sławy lub miłostek nieprawych, a niéma nikogo, coby głosił światu imiona dobroczyńców ludzkości, którzy po to jedynie żyją, by cudze łzy osuszać, słodzić cierpienia bliźnich.

Nieszczęścia ojczyzny wyrwały z piersi wieszacza-obywatela najsilniejsze dźwięki. Poemat *la Anarquia* przedstawia w całości obraz ohydnej bratobójczej walki; gromy potępienia ciska na wyrodną działwę swojej ziemi, a prawych jój synów z siłą i porywającym zapałem powołuje do pracy ku podniesieniu chwały wspólnej matki, dla ustalenia jój przyszłości. W ostatnim ustępie bard zdjęty zgrozą na widok krwawych scen wojny domowej, rozpaczliwy rzuca wykrzyk:

„I toż-to moja ojczyzna!!!... Ach! jeśli ma być zgorszeniem świata ta ziemia, która w nim przedtém podziw obudzała, niechajże lepiej zginie odrazu w gwałtowném ziemi trzęsieniu, niech zniknie z powierzchni globu!“

Po tój kłątwie, rzuconej na okropności niezgody i wojny, w pieśni *la Concordia*, poeta kreśli obraz błogich darów, jakie przynosi pokój i zgoda.

„...Zgoda, to najobfitsze źródło wszelkiego dobra, jakie ludzkości może być udziałem; i jako słońce jasnością oblewa szczyty i równiny, tak ona dobroczynnym wpływem wszystkiemu umie dać byt nowy.

„Gdzie ona, tam w otchłań zapadają: i duma wszechwładna, i ciemnota, ślepy fanatyzm i świętokradzkie prześladowanie sumienia, i wszelakie błędy, jakie z sobą namiętności przynoszą i wściekłym zaprawiają szałem.

„Ona to niegdyś zjednała chwałę ojczyźnie mojej; przez nią to świat cały imię jój czcią otaczał, i dziejów sprawiedliwa karta, i rym harmonijny, rzeczpospolitę sławiły Argentyńską.“

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Syn Margrafa.

TRAGEDYA Z X WIEKU, W PIĘCIU AKTACH.

PRZEZ

Bronisława Grabowskiego.

Bolesławowi Ładnowskiemu.

W HOŁDZIE

Autor.

W S T Ę P.

Przed ośmiu wiekami, na obszernej równinie między Odrą i Elbą, od gór Czeskich aż do fal Bałtyku, gdzie dziś po gęstych wsiach i miastach roi się wśród mrówczej pracy plemię, dające sobie samo chępliwą nazwę *roznosicieli kultury*; na ziemiach dziś pruskich, saskich, i meklemburskich szumiały odwieczne puszcze, między niemi leżały rzadko porozrzucane sioła, a po grodach sterczały kontyny bogów, ostatnie już w środkowej Europie wymierającego pogaństwa schronienie. Praojcowie ludności, obecnie w tych krainach zasiadłej, nie stanowili jak dzisiaj jednolitej całości; owszem dzielili się na dwa plemiona, różne mową, obyczajem, charakterem i zawziętą walkę z sobą toczące. Pierwotni posiadacze tej ziemi, których wnuki zatraciły już nawet pamięć swego pochodzenia, stanowili jeden wielki odłam Słowiańszczyzny lechickiej i najbliższą bracią mieli ponad brzegami Wisły, ale nie złączeni z nią ścisłemi węzłami, na własną rękę toczyli rozpaczliwy, zaciekły bój z germańskimi przybyszami, co z mieczem zdobywczego wojownika, z Ewangelią, misjonarza, z motyką osadnika, wdzierali się uporczywie w cudze dziedziny; wielekroć odrzucani wracali z coraz większą siłą przewagą, aż wreszcie szala wiekowych bojów przechyliła się na ich stronę i wdziercy zapanowali tu ostatecznie, aby

na zdobytym gruncie założyć fundamenta nowego organizmu państwowego, który dziś tak wydatną odegrał rolę. Między Elbą i Odrą, przed kilku wiekami, rozstrzygnął się pierwszy bój dwu nieprzejednanych szczepów: rozstrzygnął się na korzyść Teutonów; niebawem rozpoczął się drugi akt tegoż dramatu, którego zamknięcia może i my i najbliższe nam pokolenia nie doczekamy jeszcze.

Wielki to zaiste dramat dziejowy, ta walka Słowian nadelbiańskich: Bodryców, Lutyków, Sztoderanów z przemagającą potęgą Cesarstwa niemieckiego; walka zakończona w XII wieku podbojem, po którym nastąpiło kilkowiekowe wygubienie i wynarodowienie. Historia jeszcze nie zdołała należycie ocenić owego płodnego w nieprzeliczone następstwa faktu: zgermanizowania Słowian bałtyckich. Niemcy, wając wszystko na szali osobistej chwały i pożytku, nie szczędzą kadzidła dla zdobywców z własnego narodu, widząc w tym podboju zwycięstwo cywilizacji i chrześcijaństwa nad pogaństwem i barbarzyństwem. Zapominają oni o tém, że barbarzyństwo conajmniej po obu stronach było jednakie, że krwawi misjonarze nie przejęli się jeszcze byli do głębi ideami Chrystusowej wiary, a wiarę tę nadto szerzyli środkami, sprzecznymi najzupełniej z fundamentalną téjże wiary zasadą. Nie biorą oni pod uwagę, jak ogromną krwi ofiarą dopełniło się to dzieło nawrócenia, na razie wątpliwiej zaiste wartości; dzieło, które w innych warunkach możeby prędkiej i skuteczniej dokonaniem zostało. Dla upojonych tryumfem swego plemienia historyków, niczem jest cały ogrom niesprawiedliwości, ciemiętwa, popełniony po dniach podboju; cieszą się jedynie z ostatecznego rezultatu, tyle schlebiającego narodowej swój dumie i rezultat ten piętnują cechą zysku dla ludzkości i cywilizacji.

Stynnym jest iście faryzejski frazes Ludwika Giesebrechta, autora trzynomowej książki: *Wendische Geschichten*, który dzieło to, krwawego podboju i nieludzkiego ucisku, nazywa: *Aufnahme Slawischer Nationalität in die Deutsche, Aufnahme beider in die Römische Kirche*.

Że sztuka, czerpiąc z téj smutnej materyałów skarbnicy, na całym przeciwnym staje stanowisku, to nikogo dziwić nie może. W poezyi sędzią przedewszystkiém uczucie, niezamącone względami utylitarności, racy państwowej i t. p.; ale sądzące wszystko według normy, tego, co leży na dnie każdej nieskażonej duszy. Ono z przyrodzonego popędu staje po stronie słabszej, upadłej i choć dziejopisarzom w rodzaju Giesebrechta, Sudenhteima, Sybla *e tutti quanti*—*placuit victrix causa*, uczucie zdiera tryumfalną purpurę z bohaterów powodzenia, a palmę w ręce upadłym oddaje.

W dramacie walki Germanizmu ze Słowiańszczyzną zachodnią nie brak pojedynczych epizodów, wielce nadających się do poetycznego obrobienia. Niektóre z nich same przez się w pięcioaktową układają się tragedya. Sztuka nasza długi czas zaniedbywała tę kopalnię przedmiotów poetycznych, może dlatego, że dzieje Polabskich Słowian

były obce publiczności, samym nawet piszącym nader mało znane. Dopiero w przeszłym dziesiątku lat studia młodzieży w Szkole Głównej, a po części obraz Gersona: *Oplakane apostołstwo*, zwróciły uwagę na *dzieje zaginionego ludu* i zachęcały młodszych pracowników pióra do dramatyzowania pojedynczych momentów z owiej epoki. Prawie równocześnie pojawiło się kilka dramatów na tle Słowiańszczyzny polabskiej, jako to *Krok* Bronisława Komorowskiego, *Margraf Gero* Józefa z Mazowsza oraz kilka innych, znanych tylko szczupłym kółkom i dotąd spoczywających w rękopiśmie. Niezależnie od tych prac autor *Syna Margrafa* jeszcze w uniwersytecie, przy studiach swych nad Słowiańszczyzną, naszkicował sobie plan kilku tragedji historycznych na tle owych dziejów; w późniejszym czasie powstały z tych szkiców: tragedia *Mściwój i Swanhilda*, wydana we Lwowie 1876 r. i obecnie drukujący się dramat. Pierwszy plan *Syna Margrafa* powstał przed dwunastu laty, autor jednak rzecz narzuconą i rozpoczętą porzucił, zasłyszawszy o utworze Józefa z Mazowsza. Dopiero po wydrukowaniu tego dramatu, przekonawszy się, że tenże tak wielce od jego własnego różni się pomysłu, odrzucił wszelkie skrupuły i do swego zamiaru powrócił. Sądzę, że każdy, kto oba te utwory porówna ze sobą, przyzna, że pod względem pojęcia faktu, obrania chwili, charakterystyki osób, a nadewszystko zasadniczej idei tak wielce różnią się między sobą, iż autor *Syna Margrafa* nie powinien ani posądzanym być o przywłaszczenie sobie cudzego pomysłu, ani obwinianym o bezpotrzebne obrobionego już tematu dotykanie. Niewątpliwie każdy zgodzi się na to, że i *Margraf Gero* Józefa z Mazowsza i obecny *Syn Margrafa* obok siebie egzystować w literaturze mogą.

Że Gero jest postacią bardzo dla piszącego ponętą, dziwić się niepodobna. W bohaterze tym smutnej pamięci skupiają się wszystkie znamiona, cechujące ówczesnych germańskich zdobywców. Lubo podbici zdołali otrząść się z jarzma, którym Margraf ten karki im przyłożył, jednakże dzieło zawojowawcze rozpoczął on tak skutecznie, iż rzeczywiście *topór do korzenia przyłożył*. Na razie owoce gwałtów, zrad, podstępów, przemocy zmarniały po śmierci Margrafa, ale słabe strony Słowian ujawnionemi zostały, charakter walki określony ściśle i następcy Gerona szli już raz wytkniętą przezeń drogą; aż wreszcie Albrecht Niedźwiedź i Henryk Lew ostatecznego dokonali podboju.

W dziejach Gerona jest kilka momentów, zawierających w sobie *in nuce* bogatą treść dramatyczną. Dotąd najwięcej uderzał piszących mord trzydziestu żupanów słowiańskich, on też stanowi punkt kulminacyjny tragedji Józefa z Mazowsza. Podobnież koło mordu tego obraca się tragedia Józefa Jurczicza, Słoweńca, p. t. *Tugomer*, oraz ballada Franciszka Markowicza, Chorwata, *Ostatni toast*. Autora „*Syna Margrafa*” więcej pociągał ku sobie schyłek dni Geronowych, zgon jedynego syna, dla którego ten, na ziemiach zdobytych, niepodległe państwo w ryślach swych fundował. Plany te Gerona są raczej przypuszczeniem historyków, aniżeli faktem bezpośrednio ze źródeł wydo-

bytym. Pierwszy konjunkturę tę zrobił Leutsch, autor monografii „Markgraf Gero,” a przypuszczenie to, odpowiadające trafnie zarówno duchowi czasu jak i charakterowi Margrafa, przypadło do przekonania uczonym, a między innymi i Szafarzykowi. Sądzymy, że to, co dla ścisłego historyka jest co najmniej wielkiem prawdopodobieństwem, dla belletrysty może stać się podstawą utworu i dla tego nie wahaliśmy się dramatu tego osnuć na owém przypuszczeniu uczonych, dopełniając reszty własną fantazją. W jednej rzeczy powstrzymywaliśmy się od wszelkiej dowolności, mianowicie w podmalowaniu tła; wszelkie szczegóły obyczajowe są wynikiem sumiennych studyów, które oceni każdy, kto choć trochę owym zajmował się przedmiotem.

Dramat obecny p. t. *W dziesiątym wieku* był posłany na konkurs, w 1876 r. rozstrzygający się w Warszawie. Lubo dla względów praktycznych bezpośrednio nie zalecony do grania, uzyskał jednak zaszczytną wzmiankę w sprawozdaniu komisji konkursowej, która między innymi powiada: „Największą atoli zaletę tego utworu stanowi wyborna charakterystyka wieku, oraz głębokie w rozmaitych drobnych szczegółach rozproszone, niby piasek złocisty, poczucie sprawiedliwości, z jakim autor przedstawia starcie dwu przeciwstojących idei. Pod tym względem akt mianowicie pierwszy posiada piękności oświecone poezją i prawdą, jakie tylko w utworach celniejszych napotykać się dają. Znajomość przedmiotu, zacność tendencji, styl doborowy i pięknymi przejęty myślami, wszystkie zatem zalety szlachetnej prozy, przeplatane gdzieniegdzie zaletami poezyi, utwór ten w czytaniu czynią sympatycznym, w druku pożądanym. Niezwykłość treści w połączeniu z rozrzuconemi tu i owdzie malowniczymi położeniami i logiką wypadków dobrze uzasadnioną, przy pewnych skróceniach w dyalogu, oraz przy dobrej grze artystów, mogłaby nawet utworowi temu zjednać dobre przyjęcie na scenie, odpowiednie pod względem przedmiotu warunki posiadającej.”

Uwagi komisji konkursowej co do wad utworu skłoniły autora do odłożenia go na bok na czas jakiś, a później do starannego przejrzania; przyczem tenże usiłował uwagi komisji na korzyść utworu odpowiednio spożytkować. Że przy pracy tej nie zdołał może odpowiedzieć wymaganiom światłego grona, niech mu posłuży za wymówkę znana dobrze każdemu piszącemu bezsilność autorska tam nawet, gdzie potrzeba poprawy, zmiany, samemu autorowi jest jasna i niewątpliwa. W każdym razie mogę śmiało powiedzieć: *Feci, quod potui.*

Częstochowa, 24 września 1878 r.

OSOBY:

GERO, margraf Marki Północnej.
 ZYGFRYD, syn jego.
 HATWIGA, żona Zygryda.
 SWANTAWA, wdowa po żupanie ziemi Sztoderańskiej.
 ŻELISEAW } jój wnuki.
 JARMILA }
 MOJMIR, stryj ich, syn Swantawy.
 SZEBÓR, wysłaniec Mieczysława, księcia Polanów.
 LUTHAR, graf saski.
 ABO, Włoch, giermek.
 HERMAN } przydworni Gerona.
 GIUNTER }
 MNICH.
 KAPEAN słowiański.
 STARZEC Słowianin.
 SŁUGA Mojmira.

Rycerze.—Żołnierze niemieccy.—Słowianie.—Słowianki.—Dzieci.

Rzecz dzieje się w r. 965, w czterech pierwszych aktach w ziemi Sztoderańskiej, późniejszym Brandenburgu; w piątym akcie w ziemi Polanów.

AKT I.

(Izba w domu Swantawy. Drzwi w głębi i na prawo; na lewo okno, nawpół zakryte zasłonami; na lewo na przedzie sceny stół i dwie ławki przed nim; po prawej stronie siedzi Swantawa, u nóg jój na ziemi Jarmila).

Scena I.

SWANTAWA, JARMILA.

SWANTAWA.

Znowuż dzień ciepły i pogodny?

JARMILA.

Niéna

Ni jednej chmurki na niebiosów szacie.

SWANTAWA.

Uroczystują bogowie na niebie,
Ale nam tutaj nie ujmą żaloby.

Jarowit ¹⁾ pobił zimę z jój družyną.
 Wcześniej niż zwykle przyjeżdża w obłokach,
 A nie dba wcale, iż na ziemi naszej
 Obcy bóg z obcym ludem zwyciężają.

JARMILA.

O! babko, może ta przedwczesna wiosna
 Z nadzieją szczęścia na świat idzie; może
 Bogi nas nową chcą natchnąć otuchą.

SWANTAWA.

Nie, wnuko. One zapomniały o nas.
 Równie świątecznie było na niebiosach,
 Gdy się ta straszna dokonała zbrodnia.

JARMILA.

Achl nie wspominaj tak okropnej chwili!

SWANTAWA.

Powieść ta, wnuko, wszakże to jedyna
 Twa ojcowizna. Tyś jój słuhać winna
 Całe dni. Wnocy o niej śnić na łożu.
 Komuż ja biedna uskarżyć się pójdę,
 Gdy mię już własne nie słuchają wnuki?

JARMILA.

Mów, babko, mów!

SWANTAWA.

Nie znałaś prawdziwego
 Szczęścia, prawdziwej nie pamiętasz wiosny.
 Ale ja pomnę; byłam wtedy młodą,
 Kwitnącą zdrowiem, krasą; w ziemi naszej
 Nie było wtedy groźnego żołdaka,
 Ni ponurego mnicha, który mruczy
 Słowa, co nudę sercu nawołują.
 Wesołą pieśnią, czarą pełną miodu
 Czciliśmy bogi łaskawe; na wiecu
 O sprawach radził lud i słuchoł mądrych
 Słów, które męże wymowni prawili;
 Lecz tak wymownie, mądrze nikt nie prawił,
 Jako Lutobór, zupan, mój małżonek,
 A dziad twój.

JARMILA.

Czemuż ja nie żyłam wtedy?

Byłoby lepiej już w grób z tém wspomnieniem
 Patrzyć, niż taką smutną żyć młodością.

¹⁾ Jarowit, bóg wiosny u Słowian zachodnich. Powrót wiosny według wyobrażeń pogańskich, był wynikiem zwycięstwa boga Jarowita nad bóstwem Zimą i jój orszakami (mrozem, chorobami i t. d.).

SWANTAWA.

Zachód, Jarmiło, to złowroga strona,
 Tam nawet słońce grób znachodzi codziem¹⁾.
 Ztamtąd wciąż groźne przychodziły wieści,
 Za niemi w końcu przyszli Niemcy, niosąc
 Obcego Boga. Zgłuchnął gwar wiecowy,
 Z pod strzech wesele uciekło, a męże
 Zbrojnymi tłumy z domów uchodzili.
 Długo czekały stęsknione niewiasty,
 Ze drzeniem wieści łowiąc uchem; w końcu
 Wrócili męże, lecz smutni, bez broni;
 Nie wszystkich synów wiódł Lutobór z sobą,
 Nie chciał tknąć czaszy miodu: tylko białe
 Pieniądze liczyć począł. I poznałam,
 Ze dni wolności skończone na zawsze:
 Wkrótce zapukał Niemiec po daninę.

JARMILA.

Więc nas zdradziła dola?

SWANTAWA.

Król niemiecki,
 Co nas zwojował, a z nim margraf stary,
 Do grobu głowy złożyli. Król nowy
 Rzekł sobie: Jarzmo to zalekkie dla nich.
 Więc nam sroższego przysyła margrafa.

JARMILA.

To Gero, babko!

SWANTAWA.

I przysięgli w duszy
 Młodzieńcy, męże, starcy, że śmierć wolą,
 Niż dłużej znosić to haniebne jarzmo.
 Margraf przeniknął ich zamysły skryte,
 Lecz, chytrze zgubną zasadzkę gotując,
 Łaskawe rządy głośno obiecywał,
 Na ucztę zgody do siebie zapraszał.

JARMILA.

Czemuż wierzyli? Czemu nieobacznie
 Do zguby sami szli?

SWANTAWA.

Biędna. Ty nie wiesz,
 Jak pogębieni kłamliwym uśmiechem
 I spokojnością udana, kryć muszą

¹⁾ Dla pogan słowiańskich Wschód był stroną szczęśliwą, Zachód złowrogą; tam bowiem główne ich bóstwo—Słońce, rodziło się, tu zaś umierało, niknąc za widnokrepiem.

Zamiar, co jeszcze w czyn nie dojrzał. Więc też
 Wszyscy trzydziestu ziemi tój żupanów
 Na zaproszenie w zamku się stawili:
 Z nich nie powrócił żaden.

JARMILA.

Takięj uczy

Nie było chyba od początku świata!

SWANTAWA.

Tak, wnuko: tyle lat się potoczyło
 W przeszłości przepaść, w ciemną zapomnienia
 Toń pogrążając zmarłych i ich czyny;
 Lecz nawet lekka zasłona nie przyćmi
 Wspomnień tój chwili: wciąż go mam przed okiem
 Z taką okropną raną, żeby przez nią
 Stu ludziom życie uciekło....

JARMILA.

Stój, babko!

O! mój dziad święty!

SWANTAWA.

Nie mogłam z nim razem

Na stosie zgorzéc: dzieci mię wstrzymały.

Żyły tylko ogień oczu ugasiły.

Często nawiedza mię na czarnej chmurze

W burzliwe nocy, smutny jako one.

Snadź wprzód w raju nie zyszcze wesela,

Póki na ziemię tę wolność nie wróci.

JARMILA.

I naród milczał po tak strasznej zbrodni?

SWANTAWA.

Naród pochwycił za broń, lecz już mądrych

Niestało, coby przed zdradą ostrzegli,

I zdrada znowu Niemcom kraj oddała ¹⁾.

Pod ciężkiem jarzmem naród padł na ziemię,

Jednak ilekroć moi zasłyszeli

O jakich bojach z Niemcem, szli gromadą,

I coraz mniej ich wracało do domu,

Aż został tylko stryj wasz i wy dwoje

Z całego grona synów mych i wnuków.

¹⁾ Po wymordowaniu 30 żupanów na uczcie u Gerona, Słowianie polabscy chwycili za oręż, broniąc rozpaczliwie swęj wolności. Niemogąc stłumić energicznego powstania, Gero uciekł się do zdrady, narzędziem której był Tugumir, książę słowiański, znajdujący się w niewoli niemieckiej. Po zdradzie Tugumira, margraf znowu dawną władzę w ziemiach słowiańskich odzyskał.

Ród wielki poszedł w niwecz, a krew podłych
Nie wykupiła kraju od niewoli.

JARMILA.

Czemuż w kolebce już nas bogi karzą,
Choć ani myśli złój w sercu nie było?
Za cóż nie dały mi znać dziada mego,
A nawet ojca i miłej rodziny?
Czy mi przynajmniej one dadzą kiedyś
Zobaczyć u nas wolność?

SWANTAWA.

Ślepa jestem,
Lecz duch mój w przyszłość daleko zabiegał
Zaginie ród nasz, jak te płonki marne,
Co giną, kiedy wicher dąb obali,
Który osłaniał je; on był tym dębem:
Drugi się taki nigdy nie urodzi.

JARMILA.

Nigdyż już lepiej nie będzie na świecie?

SWANTAWA.

Ach! przyjdą takie czasy, gdy ostatni
Słowianin wyprze się ojczyźnej wiary,
Bogi się zamkną w niebie, a my będziemy
Tak jako Niemcy ludem wiarołomców,
Grabieżców, podłych niewolników: w końcu
Niemiec wygładzi wszystkie ludy wkoło,
A wtedy będzie koniec świata!

JARMILA.

Babkol

O! nie wróż, nie wróż tak strasznej przyszłości.
Nie, powiedz raczej: wolność bogi wrócą.
Jest dosyć ludzi, aby ją wywalczyć.

(z głębi wchodzi Żeliszaw).

Jeżeli mężów zbraknie, to niewiasty
Do ręki wezmą broń!

Scena 2.

SWANTAWA — JARMILA — ŻELISŁAW.

ŻELISŁAW.

O, siostró miła!

Niewiasty pójdą wdzięczyc się do wrogów,
Którzy im ojców i braci wybili.

JARMILA.

Zkąd ci te ostre słowa?

ŻELISŁAW.

Jedynaczka,
Sławego wodza córa, wszakże była
Cesarza Niemców nałożnicą. Dzisiaj
Wnuk Gościwita stoi przed ołtarzem
Obcego Boga, i w modłach Go błaga,
By plemię dziada do szczętu wygładził ¹⁾.

SWANTAWA.

Hańba i klątwa jasnowłosej dziewie!
Piękniejszej od niej w ziemi tej nie było.
Ach! opuściły nas bogi; inaczej
Stary wódz byłby tam w raju wyprosił,
By ziemi taki wnuk stopą nie tykał.

ŻELISŁAW.

Ileż-to cudnych dziew poszło w objęcia
Tych, którym winny nienawiść, nie miłość.
Nie żal im było rozstać się na zawsze
Z ojcami, braćmi swymi; bo już nigdy
Do nich nie wróca—i po śmierci pójdą
Z Niemcami—tu i tam ich niewolnice ²⁾.
Niewieście serca słabe, więc z uśmiechem
Na zdradę nawet przystaną.

JARMIŁA.

Stój, bracie!
Jest jeszcze wiele takich, co dla Niemca
Prócz nienawiści nic nie znajdują w sercu.

ŻELISŁAW.

Oby niewieście łona wykarmiały
Ojczyźnie wiernych do ostatka synów!
Jeżeli dłużej tak potrwa, to całkiem
Lud znikczemnieje w niemieckiej niewoli.
W świątyni boga Niemców tłum przelękły
Powtarza dziwne mnichów słowa; w zamku
Najpierwszych rodów dzieci, margrafowi
Pokłony biją korném czołem.—Babko!
Jeśli to jeszcze potrwa, zapomnimy,
Iż na tej ziemi wprzód inaczej było. (*Wchodzą Mojmir i Szebor*).

¹⁾ Arcybiskup moguncki Wilhelm był synem pobocznym Ottona W., z matki Słowianki ze znacznego rodu. *De matre quamvis captiva et Slavonica, tamen nobili et ex rege predicto genitus*, mówi o nim Dytmar mersebur-ski, l. II, c. 22.

²⁾ Słowianie za pogańskich czasów wierzyli, że umierający w niewoli, i na tamtym świecie wolności osobistej nie odzyszczą, i dawnym panom służyć muszą.

Scena 3.

Ciż—MOJMIR i SZEBÓR.

MOJMIR.

Widziałeś, gościu, ucisk nasz; wszak w każdym
 Domu słyszałeś tylko skargi, żale;
 Wiész więc, że łatwo będzie lud poruszyć,
 Jeśli choć rąbek zamignie nadziei.

SZEBÓR.

Widziałem. Teraz błogosławię bogów,
 Że nas od Niemców odgrodziły wałem
 Bagien i puszczy ¹⁾.

MOJMIR.

Zbyt nie ufajcie temu;
 Gdy z piekła wyjdzie mróz ²⁾, to sprzymierzeńców
 Swych po lodowym moście przeprowadzi;
 Za złoto kupią zdrajców, co pokażą
 Drogę przez puszcze nieprzebyte.

SZEBÓR.

Nie wiem,

Czyliby margraf sam chciał nas zaczepiać.

MOJMIR.

Niemiec żarłoczny, jak wilk w śnieżną porę;
 Chciwości jego granic nie położy
 I morze samo: niedarmo dziś ściąga
 Orężnych mężów zewsząd; a i Wichman,
 Co dziś Pomorzan przeciw wam podburza,
 Z pewnością w zмовie z margrafem.

ŻELISŁAW.

Więc po cóż

Czekać, aż Gero chytrze was osidli?
 Uprzedźcie lepiej wroga: tu go zwalczyć
 Przyjdźcie coprędzej.

SZEBÓR.

Sądzę, że nasz ksiązę
 Nieda na siebie czekać. Czas mi wracać.
 Bywajcie zdrowi!

MOJMIR.

Siądz jeszcze, na drogę

¹⁾ Pomiędzy ziemiami Polabian i Polanów rozciągało się długie pasmo bagien i puszczy, co Niemcom napady na kraje polskie utrudniało.

²⁾ Mróz wraz z zimą w mitologii słowiańskiej liczył się do bóstw piekielnych.

Musisz pokrzepić się u nas.—Jarmiło!
Przynieś nam miodu; no, żwawo! (*Jarmiła wychodzi*).

Dopóki

Złoty sok z nieba spada w kwiatów łono,
A z kwiatów pszczoły do ulów go znoszą;
Póty nie będziem jako Niemiec szukać
Krwawego wina pod gorętszém słońcem.
Siadaj w tym kącie: on nam zawsze święty,
Chociaż obrazu bogów już w nim niéma ¹⁾.
(*Siadają przy stole; Jarmiła przynosi dzban miodu i kubki*).

MOJMIR.

(*nalewa i podnosi kubek w górę*).

Ta pierwsza czasza bogom się należy:
(*Wylewa kilka kropel na ziemię*).

Cześć wam, bogowie. (*do Szebora*): Za pomyślność waszę!
Polanie przyjdźcie do nas co najrychlej!

SZEBÓR.

Niechaj bogowie ziszczą wam życzenia!

MOJMIR.

Powiedz więc księciu, że słuchać go będziem,
Równie jak jego własny lud. Byleby
Mieczysław nie chciał pędzić nas, jak Niemcy
Pędzają swoje zgraje; byleby przytém
Nie bronił słowa wolnego na wiecu;
To zapomnimy, żeśmy kiedyś mieli
Z własnego rodu książąt.
(*Wchodzi sługa i szepcze do ucha Mojmirowi, po czém wychodzi*).

Gościu drogii

Dziś nam niewolno nawet gościnnymi
Być w domu własnym. Pachołki margrafa
Kręcą się blisko, snadź cię szukają.
U zwierza w lesie szukaj gościnności:
Tam ci bezpieczniej, niż u nas.

SZEBÓR (*wstając*).

Czas wracać

Do domu. Dzięki wam za słodki napój.
Niech za to w sercach zostanie wam słodka
Nadzieja.

¹⁾ W lewym kącie naprzeciwko drzwi wchodowych, pogańscy Słowianie zawieszali posążki bogów, przed którymi lampka się paliła; ztąd też kąt ów uważano za święty nawet wtedy, gdy przed prześladowaniem ze strony chrześcian, posążki usunąć należało.

MOJMIR.

Gościu, słuchaj, bądź ostrożny:
Idź lasem, brzegiem bagien, a nie drogą;
Na drogach czycha zbójca, lub szpieg gorszy
Od najkrwawszego zbója.

SZEBÓR.

Mniejsza o to!

MOJMIR.

Wiemy, że śmiałość to Polanów znamię,
I ostrożności wróg was nie nauczył.
Wierz mi: wilk, niedźwiedź, ryś, nawet rusałka,
Co się na drzewie kotysze, mniej straszne,
Niżli zły człowiek. (*do Żeliszława*): Synu mój, wyprowadź
Gościa do lasu, niech go który z naszych,
Co drzewo rąbie, poprowadzi dalej
Aż do ostatniej kryjówki. (*do Szebora*): Tam znajdziesz
Tych, co przenieśli wolność w leśnej gęstwie
Nad niewolnictwo w domu; tam kapłani
Ofiary bogom kładą bez przeszkody ¹⁾.
Z mężów tych będzie pierwszy zastęp, bracie.
Ty, Żeliszławie, wracaj prędko: słyszysz?
Twa nieobecność zbudzi podejrzenie:
Na podejrzenia jeszcze czas.

(*Szebór i Żeliszław wychodzą drzwiami w głębi*).

Scena 4.

SWANTAWA—JARMILA—MOJMIR.

MOJMIR (*do Swantawy*).

O! matko,
Ciesz się, bo wkrótce przyjdzie czas, że pomścim
Naszego ojca, braci: znów na starość
Poczujesz powiew wolności.

SWANTAWA.

Więc bogi
Budzą się ze snu; więc już zapalają
Pogasłe gromy swój sprawiedliwości?
Nie, nie: nie cieszcie się przedwcześnie, dzieci.
Już opłakałam zgon najdzielniejszego
Męża, wolności stratę; już wygasłe
Oczy jój nigdy więcej nie obaczą.

¹⁾ W kronikach są liczne świadectwa, że w czasach gwałtownego apokryfstwa w ziemiach Polabian, gorliwi zwolennicy pogaństwa wraz z posągami bogów kryli się w głębi lasów.

Nie, nie; napróżno się zerwiecie: plonem
 Waszym nie będzie zwycięstwo, lecz cięższy
 Upadek. Obcy Bóg wzmaga się w siłę,
 Nasze bezwładnie ręce opuściły!

MOJMIR.

Czczymy cię, matko, wszyscy; lecz niemądrze
 Wystraszać z młodych odwagę przed czynem:
 I tak zawiele jój nie będzie.

(*Stukanie do drzwi*).

Niemcy!

Przez bogów, idźcież ztąd!

(*Swantawa i Jarmila odchodzą na prawo*).

Hej, już są kruki!

Tylko poczuły zapach!

GŁOS (*za drzwiami*).

Hej! otwórzcie!

(*Mojmir otwiera drzwi, wchodzi Ekwart i czterech żołnierzy*).

Scena 5.

MOJMIR—EKWART—ŻOŁNIERZE.

MOJMIR.

Drzwi mych przed nikim nigdy nie zamykam,
 Czyli kto z dobrą, czy złą myślą wchodzi.

EKWART.

Gdzie jest ten obcy?

MOJMIR.

Który?

EKWART.

Nie zaprzeczaj!

Widziano dobrze, iż tu wchodził z tobą.
 Gdzie on jest?

MOJMIR.

Poszedł już.

EKWART.

Dokąd?

MOJMIR.

Nie wiemy.

EKWART.

Kto to był?—powiedz.

MOJMIR.

Nie wiem. Nieznajomych

Gościnnie zawsze w domu przyjmujemy,
I nie pytamy: kto? z kąd? dokąd idą?

EKWART.

Nic nie ukrywaj; my już wiemy wszystko:
Obcy włóczęga ten miał złe zamiary.
Przynajmniej powiedz, w którą poszedł stronę.

MOJMIR.

Nicznych nigdy nie śledzimy kroków,
Tém więcej gości naszych.

EKWART.

Chytry człeku,
Możesz go ukrył? W margrafa imieniu,
Każe ci prawdę mówić. Milczysz? Słuchaj!
Znasz białą wieżę w zamku? Jeśli tutaj
Zwodzić nas zechcesz złudnemi słowami,
To tam cię pytać będziem. Znasz tę wieżę?

MOJMIR.

Zamęczyliście tam już niejednego.
Kto wyszedł, hańbę ztamtąd wyniósł wieczną,
Lub choć niewinny przyznał się do zbrodni,
Jakich nie było nawet w myślach jego.

EKWART.

Wiesz więc, co czeka cię, gdy będziesz kłamał.
Ha, lud uparty! gdyby nie ta jama,
Byłoby nazbyt trudno rządzić wami.

MOJMIR.

Książęta nasi przed laty nie znali
Ciemnic, ni kajdan, a rządzili nami
Daleko dłużej, niż wy.

EKWART.

O! szaleni!

Wam ciągle w myśli minione już czasy,
Gdy władza była dla was cczą igraszką.
Za książąt wszakże był swar tylko ciągły,
Niepokój, rozruch: dziś w ziemi téj cicho.
Czyliż porządek nie nam zawdzięczacie?
Prawda? sam powiedz.

MOJMIR.

Tak, król miłościwy,
Gdy ułaskawi zbójcę lub złodzieja,
Nam go przysyła na porządku stróża.

EKWART.

Milcz, siwobrody łotrze, nie przymawiaj!
Gdyby mi nie był margrafa syn zlecił,

Aby łaskawie obchodzić się z wami,
To na szatana...

MOJMIR.

Czegóż więc żądacie?

EKWART.

Wyznaj, psie podły, ukryłeś obcego?
Słyszysz? mów?

MOJMIR.

Nie!

EKWART.

Nie?

MOJMIR.

Przetrząśnij dom cały.

EKWART.

Hej, idźcie, bracia, przepatrzyć te kąty,
A baczość! *(Żołnierze wychodzą na prawo).*

Słuchaj, jest ten młody w domu?

MOJMIR.

Kto? o kim mówisz?

EKWART.

No, wnuk tego wilka,

Co zdechł przed laty.

MOJMIR.

Na zamku w gościnie,

Zamordowany zdradziecko.

EKWART.

Do czarta,

Przymówki twojej! Mówl gdzie on?

MOJMIR.

Tu w domu

Niéma go dzisiaj.

EKWART.

Ha, pogańskie dusze,

Niechaj mię pierwszy gad ukąsi w nogę,

Jeśli nie służy on za przewodnika

Włóczędze temu. Ha, wykretne łotry!

Jak wróci, niech się zaraz stawi w zamku,

Inaczej sami po niego przyjdziemy.

(Żołnierze wracają drzwiami na prawo).

Cóż?

ŻOŁNIERZ.

Przejrzeliśmy wszystkie domu kąty,

Niéma nic, oprócz dwu płaczących niewiast.

EKWART.

Z nich jedna piękna jako dzień majowy.
 Słuchajno, powiedz, czemu więzisz w domu
 Zazdrośnie, jakby smok w zaklętej jamie
 To piękne dziewczę? Przyszlij je do zamku.
 Niechaj nam śpiewa. Wy umiecie śpiewać,
 Że wam nie byle ptak sprostą ¹⁾. Niech śpiewa,
 My za to złota nie pożałujemy.
 Może ją który z naszych uszczęśliwi,
 Wybrawszy na swą miłośnicę. (*do żołnierzy*) Chodźmy!
 Namyśl się, radzę; a kiedy ten młody
 Powróci, niech się zaraz stawi w zamku.
 (*Ekwart z żołnierzami wychodzą drzwiami w głębi*).

Scena 6.

MOJMIR (*sam*).

Niszcząca burza, ogień, głód, zaraza,
 Nie takie straszne jako odwiedziny
 Tych Merseburskich łotrów ²⁾. Mocne bogil
 Ci nikczemnicy, coby pohańbili
 Stryczek, na którym wisieć dawno winni;
 Ułaskawieni zbójcy, gwałciciele,
 Złodzieje; z całych Niemiec najpodlejsze
 Wyrzutki, dziś są stróżami pokoju,
 Nad nami dierzżą władzę. Snadź na oścież
 Rozwarło piekło bramy, by wypuścić
 Na nas potwory wszystkie. Krótką tylko
 Bawili tutaj chwilę, a już czuje,
 Jakbym opluty był od stóp do głowy.
 Godzino zemsty, o, nadejźdź czempredź!
 Złe, złe na skrzydłach najchyźszego ptaka.
 (*Swantawa i Jarmiła wchodzą drzwiami na prawo*).

Scena 7.

MOJMIR—SWANTOMIR—JARMIŁA— (*potém*) SŁUGA.

JARMIŁA.

Stryju! Żelisław ma stawić się w zamku!
 Niechaj ucieka lepij!

¹⁾ Pochopność Słowian do śpiewu i tańca znaną była od najdawniejszych czasów.

²⁾ Witukind powiada, że Henryk (zwany Ptasznikiem), skoro dostrzegł złodzieja lub rozbójnika silnej budowy ciała, zdolnego nosić oręż, uwalniał go

SWANTAWA.

Biada temu,
Na kogo chociaż podejrzenie padnie;
Nie ujdzie kary, choćby był niewinnym,
Jak dziecię tylko co zrodzone.

JARMILA.

Stryju,

Co mamy czynić?

(Wchodzi sługa i szepta do ucha Mojmirowi—do sługi).

Powiedz, powiedz głośno.

Na twarzy twojej przestrasz; co groźnego
Masz donieść? mów!

SWANTAWA.

Mów!

SŁUGA.

Gdy Żeliszław wracał,

Na drodze spotkał żołnierzy Ekwarta.
Ci go powiedli ze sobą.

MOJMIR.

Widziałeś

Sam? czy kto inny?

SŁUGA.

Na me własne oczy.

(wychodzi).

JARMILA.

Zginał!

SWANTAWA.

Bogowie już nas opuścili!
Godzina zemsty jeszcze jest daleka,
A wilk już dusi ostatnie jagnięta.

MOJMIR.

Bądźcież spokojne: znacie Żeliszława,
Męczarnia żadna z niego nie wycisnie
Przyznania; Margraf musi go wypuścić.

SWANTAWA.

Jeśli nie siła, nic go nie zniewoli.
Ze szpon jastrzębich nie wydrzesz zdobyczy,
Chyba go strzałą dościgniesz w obłokach.

MOJMIR.

Nie czas na żale: otrzyjcie łzy z oczu!

od kary i osiedlał na przedmieściu miasta Merseburga, dając mu oręż i ziemię i obowiązując do walki ze Słowianami. Z ludzi tych powstała legia Merseburgska, która Słowianom nieraz dała się we znaki.

Żalem i łzami nie pomódz biédnemu,
 Tu trzeba działać ostrożnie a chytrze.
 Może się jaki sposób da wymyślić,
 By go ocalić. Odwagi! nie płaczcie!
 Pójdę naradzić się z starszymi: matko!
 Gdy dobrej myśli skąpią nam bogowie,
 Może się ona w cudzej zrodzi głowie.

(*Wychodzi drzwiami w głębi—Swantawa i Jarmiła wychodzą na prawo*).

ZMIANA DEKORACYI.

(*Las—na przedzie obalone drzewo*).

Scena 8.

ABO (*wchodzi z łukiem w ręku*).

Wolałbym siedzieć w zamku, patrząc w oczy
 Pięknój Germanki, niż jój męża śledzić
 Po gęstych lasach, gdzie się spotkać mogą
 Z niedźwiedziem, wilkiem, albo w końcu z którym
 Z tutejszych ludzi, co w domowych ścianach
 Dość już do dzikich zwierząt są podobni.
 No, lecz im więcej stwierdzę pewność zdrady
 Nieobacznego małżonka, tém prędziej
 Zazdrosna żona upadnie w objęcia
 Włoskiego giermka. Wy, dumni Germanie,
 Co zgnębiliście nas—nas, niegdyś panów
 Całego świata; co ledwie nas macie
 Za godnych nosić oręż poza wami,
 Wiecież, wy pyszni, iż małżonki wasze
 I córy mszczą się za nas? Nie wam dała
 Przyroda kruczy włos, palące oko,
 Nie wasze lica nęca wzrok niewieści.
 Wy macie twarde pięście, lecz najtwardszą
 Nie rozbijecie niewieściego serca.
 Ono upada jak dojrzały owoc,
 Nie wam, lecz u nóg wzgardzonego Włocha.

(*Wchodzi w głębi—z lewej strony wchodzi Jarmiła*)

Scena 9.

JARMILA.

On jeden tylko może dać mi radę,
 Pociechę choćby, wszakże bez pociechy
 Nigdy nie puścił mię. Może nie przyjdzie
 I wrócę biédna z większym jeszcze smutkiem?
 Mogęż mu jednak ufać, kiedy nie wiem

Kto on? O! bogi, jakżeż to szalenie
 Tak łatwo zwierzyć serce, gdy on nawet
 Imienia swego nie zwierzył. A jeśli
 To jest zły człowiek? zbójca? Niemiec może?
 Pocóż się dręczę przypuszczeniem takiem?
 Niel niepodobna, nie! Jakżeż on piękny!
 Snadź go rusałki w nadpowietrznym zamku
 Chowały: lica takiego, tych oczu
 Bogi złym ludziom nie dają. Gdy kryje
 Imię swe, jakiś ważny w tém ci powód.
 Z pewnością jest on z rodu naszych książąt,
 Z tych co przenieśli wolność w dzikiej puszczy
 Nad wymuszoną uległość. Tam, mówią,
 Za nieprzebytą gęstwiną się skryły
 Bogi, a z nimi wierni do ostatka.
 Powrócić mają, kiedyś i wypędzić
 Obcego Boga i wrogów. Ty także,
 Powrócisz z nimi nieznamy, drogi,
 I tajemnicę blask chwały rozświeci.

(Siada na zwaloném drzewie).

Tymczasem Margraf zdusi nas bez wieści,
 Nim spodziewani zbawcy z swój kryjówki
 Wyjdą. *(Słychać gwizdnięcie w głębi za drzewami).*

Ach! to on!

(Z głębi zpoza drzew wchodzi Zygfryd z łukiem w ręku).

Scena 10.

JARMILA — ZYGFRYD.

ZYGFRYD.

Jesteś tu: już weszłaś,
 Poranna zorzo, wpośród cieniów puszczy?
 Cóż? nie powitasz żadném słodkiem słowem?
 Jakto? na kwiatku moim błyszczą rosa?
 Zkąd te łzy?

JARMILA.

Łzy nie płyną, jeśli serce
 Nie boli.

ZYGFRYD.

Czytam na licach zwierzenie.
 Mów, co cię boli.

JARMILA.

Mogę ci zaufać,
 Gdy ani nie wiem, kto jesteś?

ZYGFRYD.

Więc łatwiej
Zawierzyć serce, niżli tajemnicę?

JARMILA.

Czego przedemną kryjesz twoje miano?
Nie, nie ciekawość niewieścia, lecz serce
Rozedrzeć pragnie zasłonę. Ach! nieraz
Na przypuszczenia zadrzę cała; nieraz
Myślę, czyś czasem nie Niemiec.

ZYGFRYD.

Ol droga,
Porzuć te myśli. Mój los tego żąda,
Aby imienia mojego do czasu
Nie powtórzyło nawet puszczy echo.

JARMILA.

Nie mów więc, nie chcę słyszeć go; nic nie mów!
We wrzosie może kryć się ucho szpiega.
Snadź sprzymierzony Niemiec ze wszystkimi
Biesami ¹⁾, które krążą niewidzialnie.
Nieraz zamysły, których nie usłyszał
Nikt, chyba duchy, jakieś złe doniesie
Do uszu wrogów i niespodziewanie
Grom kary z zamku Margrafa wypada.

ZYGFRYD.

Jarmiło! co ty mówisz?

JARMILA.

Dziś naprzykład
Spokojnie było w naszym domu, tylko
Gość jakiś obcy nawiedził nas z rana
I poszedł dalej; brat go wyprowadził,
By mu pokazać drogę. Wkrótce potem
Żołnierze z zamku powlekli go z sobą
I już nie wrócił.

ZYGFRYD.

Kiedy Margraf pozna
Prawdę, uwolnić każe go z pewnością.

JARMILA.

Jeśli się dowie prawdy—biada! zginął!
Ol nie był to gość zwyczajny; nie pytaj!
Zwiędłtemu nawet nie śmiałabym zwierzyć
Listkowi, kto był ten obcy. Nie, nigdy!
Wiatrby go zaniósł do zamku Margrafa,

¹⁾ Oprócz dobrych bogów, Słowianie pogańscy przyjmowali złych, zwanych *biesami*, którzy mieli moc szkodenia ludziom.

A wtedy biada memu bratu!

ZYGFRYD.

Droga!

O, wiem, domyślam się. Był to wysłaniec
Któregoś z obcych książąt, by pobudzić
Was do nowego powstania. Szaleni!
Czyż doświadczenia mało wam, że każde
Powstanie większy tylko ucisk ściąga?

JARMİŁA.

Nie mów tak, nie mów! mówisz jakby Niemiec,
Lub jak trwożliwiec. Nie możemy poddać
Jak bydło karku pod obuch topora.
I u nas przecie była kiedyś wolność
I nie byliśmy zawsze tém, co dzisiaj.
Ty nie wiesz, dziad mój, sławny w kraju żupan,
Wielkiemu niegdyś przewodził rodowi:
Dzisiaj my z niego nędzny tylko szczątek.

ZYGFRYD.

Nie wracaj, piękne dziewczę, oczu w przeszłość,
Gdy ci się przyszłość śmieje. Stare dęby
Padają w końcu pod ciosami siekier.
Latorośl młoda może długo kwiatów
Ozdobą cieszyć się, nim tak wyrośnie,
Że o nią topór się pokusi.

JARMİŁA.

Nie nam,

Nadzieją złotą łudzić się: w niebiosach
Na ród nasz wyrok zguby już wydany.
Gdy upadł dziad nasz, ojciec, dęby mocne,
Któż młode płonki przed wichrem zasłoni?
W zamkowej brata zamęczą ciemnicy,
A mnie, mnie biędną srogi żal utrapi.
(Zakrywa twarz rękoma).

ZYGFRYD.

Cóż miałaś zwierzyć mi?

JARMİŁA.

Czy nie słyszałaś?

ZYGFRYD.

Że brat w więzieniu?

JARMİŁA.

Mamże go opuścić?

Dwa ptaki, w jedném wychowane gnieździe,
Bronią się wzajem kruchemi dziobkami;

Czyż więc zawistna dola nie pozwoli
Siostrze ocalić rodzzonego brata?

ZYGFRYD.

Czém mu pomożesz?

JARMILA.

Gdybym była mężem,
Pokusiłabym się choć mur wyłamać.
Gdybym choć była jak inne niewiasty,
Wyprosiłabym go mojémi łzami;
Lecz mnie niewolno: z mego rodu wszyscy
Umieli ginąć tylko, lecz nie gięli
Błagalnie kolan; nikt z nich nie był w zamku,
Raz jeden tylko...

ZYGFRYD (*przerywa*).

Nie chodź tam wcale!

Nie wysłuchają tam próby niewieściój.

JARMILA.

Ach, zginął brat mój biédny!

ZYGFRYD.

Nie rozpaczaj!

Chowaj nadzieję w duszy choć do jutra.

Jeżeli siły ludzkie coś zdołają,

Téj nocy jeszcze brat do domu wróci.

JARMILA.

Tyż to więc sprawisz?

ZYGFRYD.

Nie pytaj, Jarmiło.

JARMILA.

Na obietnicę samę już nie znajdě

Słów na podziękę. (*Abó przesuwá się w głębi*).

Cóż to? Cóż tak drgnąłś?

ZYGFRYD.

Zda mi się, ludzkie kroki zasłyszałem.

JARMILA.

Zwierz chyba ruszył się.

(*Z prawej strony słyhać głos rogu za sceną*).

ZYGFRYD.

Czas się rozejść;

Nadchodzą ludzie, przed natrętnym wzrokiem
I puszcza dwojga kochanków nie skryje.

JARMILA.

Bądź zdrów! (*Odechodzi na lewo*).

ZYGFRYD (za odchodzącą).

Żyzy otrzyj z oczu; miej nadzieję

Do jutra chociaż, a przyjdź tutaj jutro.

(Z prawej strony wchodzi Herman i Giunter z łukami, kołczanami strzał i rogami przy boku).

Scena II.

ZYGFRYD—HERMAN—GIUNTER.

HERMAN.

Kto tam?

ZYGFRYD.

Hej, kto wy?

GIUNTER.

Patrz, graf Zygfryd! Witaj!

ZYGFRYD.

Witajcie druhy!

HERMAN.

Co tu robisz w lesie?

ZYGFRYD.

Co? pytasz? za mnie łuk mój ci odpowie.

HERMAN.

Że się nie boisz błędzić sam po puszczy?

ZYGFRYD.

Czego?

HERMAN.

Dzikiego zwierza, albo jeszcze
Gorszego stokroć potkać Słowianina,
Coby na tobie wywarł swą nienawiść,
Jaką ku Niemcom żywi.

ZYGFRYD.

Meżem jestem!
Broń mam na zwierza i na złęgo człeka.
Przytém Słowianie wcale nie są skłonni
Do zradnych zabójstw.

GIUNTER.

Na wszystko się waży
Poganin, który Boga się nie boi.

ZYGFRYD.

Mało znasz Słowian.

HERMAN.

Wszystkim to rzecz dziwna,

Że ty się jeden stawiasz ich obrońcą,
Kiedy ich wszyscy zgodnie potępiają.

GIUNTER.

Znać to, żeś dzieckiem nie twój matki łono,
Ale słowiańskiej ssał pierś niewolnicy.

ZYGFRYD.

Snadź obce mléko złagodziło w żyłach
Krew mą germańską. W pacholecych latach.
Przywykłem rzadko widzieć w domu ojca
I mych orężnych braci; więc ta mowa,
Co od dzieciństwa brzniała w moich uszach,
Zda mi się bardziej dźwięczną niż niemiecka.
Jęk uciśnionych ścisła w piersiach serce.
Kiedy z wyprawy powracają nasi,
Zwycięstwa chwała nie tyle mię cieszy,
Ile zasmuca widok jeńców biędnych,
Których niewola czeka.

HERMAN.

Te zwycięstwa
Twojemu ojcu dały sławę, władzę;
Na ciebie także zleją blask świetności.

ZYGFRYD.

Grzeszę przeciwko rodzonemu ojcu,
Lecz nieraz myślę sobie, że nie wszystko,
Co czynił Margraf, przed Bogiem jest czyste.
Z bojaźnią zawsze wchodzę w progi sali,
Gdzie się ów straszny spełnił mórđ, bo czuję,
Że tam zostało coś, co wołać będzie
O straszną pomstę.

HERMAN.

Nie wspominaj nawet
Trzydziestu owych zdrajców; wszakże oni
Czychali skrycie na Margrafa zgubę:
Że ich uprzedził, słuszna.

ZYGFRYD.

Lecz jeżeli
To potwarz, na ich pamiątkę rzucona;
Wymówka, żeby osłonić czyn taki,
Co się oczyścić nie da? Pismo mówi:
Uderz pasterza, owce się rozproszą.
Wszak oni byli pasterzami ludu!
Gdy ich niestało, lud jak błędne owce
Dał się zapędzić w niewolą.

GIUNTER.

Przywyknąć
Nie mogą jeszcze do niemieckich rządów.

ZYGFRYD (z *goryczą*).

Więc bezustanku trzeba krwią im bryzgać
W oczy, powrozem katowskim potrząsać,
By słuchać chcieli?

HERMAN.

Kiedyś będziesz, grafie,
W przyszłości rządził tą krainą całą,
Wtedy łaskawe rządy im nagrodzą
Dzisiejsze wszystkie cierpienia.

ZYGFRYD.

W przyszłości?
Nie zwracaj nigdy myśli mych w tę stronę.
W przyszłości widzę tylko jakiś straszny,
Niespodziewany cios... Krew za krew, mówią.
Abraham musiał niegdyś własne dziecię
Na stos ofiarny złożyć.

HERMAN.

Takie czarne
Myśli, młodzieńczej nie przystoją duszy.

ZYGFRYD.

Dajmy przyszłości pokój. Gdy tu błędę
I słucham śpiewu ptaków, zwierza gonię,
Teraźniejszością szczęścia pierś oddycha
I dość mi na tém. Jutra z zamkniętymi
Oczyma czekam.

HERMAN.

Jeżeli nam wolno
Wyjawić głośno nasze podejrzenia,
Powiem ci, że się domyślamy w twoich
Wycieczkach jakiejś serca tajemnicy.

ZYGFRYD.

Zkąd podejrzenia te?

GIUNTER.

Bądź dla nas szczerym.
Wierz, nie ciekawość, lecz życzliwa przyjaźń
Zwierzenia żąda.

ZYGFRYD.

Drodzy przyjaciele,
Wiem, wasze serca to jeziora fale;
Co wam powierzę, utonie jak kamień.

Jezioro musi wyschnąć, nim się na dnie
Kamień ukaże.

GIUNTER.

Możesz nam zaufać.

ZYGFRYD.

Więc podejrzenie prawdą: tak, w tym lesie
Widuję dziewczę, do której me serce
Przyłgnęło całkiem.

HERMAN.

Kto ona, Zygfrydzie?

ZYGFRYD.

Córa jakiegoś upadłego rodu
Ze krwi słowiańskiej. Wiele znajdziesz u nas
Potężnych rodów sławnych i bogatych,
Lecz nigdzie pewno nie znajdziesz tak słodkiej,
Czystej i pięknej, szlachetnej dziewicy.
Chciałbym przyrównać ją do róży, owiej
Pani ogrodów: lecz róża to mało;
Gdy liliowe wdzięki dodam jeszcze,
Znajdą się nowe, co nowych porównań
Koniecznie żądać będą.—Przyjaciele,
Ona podobna do cudnego wieńca,
Który się splata ze wszech najśliczniejszych
Kwiatów, co pola i ogrody zdobią.

HERMAN.

Zygfrydzie, pomyśl jednak.

ZYGFRYD.

Wiem, co powiesz.

Żona, powinność, śluby przy ołtarzu!
Nie mów mi o nich. Chcę zapomnieć o tém,
Choć to grzech pewno. Ptak, na lep złowiony,
Trzepoce skrzydłem i ulecieć pragnie.
Ale mnie miła ta serca niewola.
Nigdy nie sądził, żeby miłość była
Rozkoszą taką. Jeśli kres mój blizki,
To mamże odejść, nie spełniwszy czary
Najsłodszej w uczcie ziemskiego żywota?
Czémże biesiada bez wina?—czém płasy
Bez różanego wianka?—czém byłoby
Młodziana życie bez miłości?

HERMAN.

Strzeż się,

By cię przypadkiem tu kto nie podejrział

I nie odsłonił dziwnój tajemnicy
Twojemu ojcu, albo żonie twojej.

ZYGFRYD.

Ja się nie lękam ojca — ale żona!
Myśl sama o niej z zamku mię wygania.
W najgęstszej puszczy drzę na jej wspomnienie,
Jak biedny gołąb', gdy nad sobą w górze
Sokoła zoczy. Oko jej bystrzejsze
Od najbystrzejszej źrenicy sokolej;
Zda się, wzrok topi w głębiach mego serca
I wnet wyczyta skrytą tajemnicę.
Wiem, iż mi kiedyś lunie łez potokiem,
Wyrzutów gradem osypie; rozdzierać
Będzie mi serce gorzej niż szponami.
Bojów nie lękam się, lecz drzę na samo
Przecucie strasznej chwili tej.

GIUNTER.

Jednakże

Związek niedawny jeszcze; wszak mu tyle
Wrócono szczęścia.

ZYGFRYD.

Czemuż, gdy młodzieniec

Popatrzy nieco miliej na dziewicę,
Którą mu ojców życzenie wybrało,
Już do ołtarza wiodą ich i łączą
Węzłami ślubów, nie na szczęście życia,
Lecz rodowego blasku pomnożenie?
Samopas potem serce błądzi, wiodąc
Duszę do grzechu.

GIUNTER.

Myśli te truc muszę
Miłości rozkosz całą?

ZYGFRYD.

Mniejsza o to!

Kto nie zna bólu, trwogi i tęsknoty,
Prawej w miłości nie zazna słodyczy.

HERMAN.

Zygfrydzie, cicho: ktoś nadchodzi. (*z głębi wchodzi Abo*).
Abo!

Scena 12.

Ciz i ABO.

ZYGFRYD.

Mów z nim: jak nocy nienawidzę Włocha.

Oblicze jego gładkie, lecz i węża
Skóra tak gładka, aż błyszczący.

HERMAN.

Abonie,

Czego tu szukasz?

ABO.

Margraf mię posyła,
Aby graf Zygfryd powracał do zamku.

ZYGFRYD.

Ojciec?

ABO.

I żona narzeka samotna,
Że mąż przekłada łowy i gąszcz leśną
Nad jęj pieszczoty.

HERMAN.

U was może, Włochu,
Mężę gnuśniej w żon, albo miłośnic
Objęciach: nam najmilszy oręż w dłoni.
Gdy Germanowi braknie wroga w polu,
Ćwiczy swe siły w walce z leśnym zwierzem;
Milsze mu łosia róg lub wilka zęby,
Niżli najbielsze niewieście ramiona.
Wróćmy do zamku.

ZYGFRYD (*do siebie*).

W zamku czeka żona! (*wychodzą*).

AKT II.

(Sala w zamku Gerona, w głębi zakończona filarami, poza którymi widać podwórze zamkowe, otoczone murem. Z prawej dwoje drzwi. Okno wielkie po lewej stronie, przed niem wielkie krzesło, na ścianach pęki różnej broni. Za odsłonięciem zasłony gromada rycerzy, żywą zajętych rozmową, napelnia salę).

Scena I.

RYCERZE—później EKWART.

1 RYCERZ.

Jeśli wieść mamy wojnę z Polanami,
Czemu ta zwłoka?

2 RYCERZ.

Przecież dobrze wiecie,
Że do nich droga przez lasy i błota;
Potrzeba czekać aż podeschnie trocha.

3 RYCERZ.

Jakoś przedwcześnie ciepło; snadź gorąco
Modlą się słońcu, jako bóstwu swemu,
Więc im przyświeca—na zgubę.

1 RYCERZ.

Tymczasem
Poburzą naszych poddanych. W Łużycach
Lud niepokoi się; i tu podobno
Włóczęga jakiś kręci się cichaczem.

2 RYCERZ.

Ekwart go łowić poszedł. (*z głębi wchodzi Ekwart*).
Cóż, Ekwarcie?

Jakieżś nowe zwierzę upolował?

EKWART.

To tylko szczeniak, gołą wzięty ręką;
Wilczysko stare uszło mi do lasu.

3 RYCERZ.

Nie wydostaniesz go ztamtąd.

2 RYCERZ.

A z młodym

Coście zrobili?

EKWART.

Co?—do białej wieży,
Jako do saku rybę wpuściliśmy;
Siedzi tam jako rak w dziurze.

3 RYCERZ.

Ha, gdyby

Zamkowe lochy pozapełniać wszystkie
Tą nędzną zgrają!

2 RYCERZ.

Trzebaby ich żywić.

Ot, lepiej zwołać żydów i w niewolę
Za dobre sprzedać pieniądze.

4 RYCERZ.

Te kotry

Niechrzczone, zamiast złota, nam gotowe
Dać pozłacanej miedzi ¹⁾.

2 RYCERZ.

Ha, to obwiesie!

My im uczciwy towar dalibyśmy,

¹⁾ W średnich wiekach pośrednikami w handlu niewolnictwem byli głównie żydzi, tak jak Słowianie głównym tego handlu towarem. Oszukiwanie za pomocą miedzi pozłacanej nie było rzeczą rzadką.

Silnych i zdrowych chłopów, do roboty
Jakby umyślnie stworzonych. Już chyba
Lepiej ich oddać katu na zabawkę.

3 RYCERZ.

A niwy żyzne i te łąki piękne
Osadzić naszym ludem: wtedy człowiek
Miałby pohulać z kim.

1 RYCERZ.

Prawda, a teraz
Nudź się tu w zamku, albo strzelaj ptaszki
Na brzegu lasu, bo dalej łotr jaki
Może cię nagle pierzastą igiełką
Ukłóć w pierś samę; ani się spodziewasz,
Jak cię Słowianin aż na śmierć zadrapie ¹⁾.
(z pierwszych drzwi na prawo wchodzi Gero).

Scena 2.

Cią — GERO — później ZYGFRYD.

GERO.

No, cóż Ekwarcie? — pojmałeś włóczęgę?

EKWART.

Uszedł do lasu: ścigać go kazałem.

3 RYCERZ.

Powrócą z niczém, bo już co tam wpadnie,
Tego czartowi nikt nie wydrze z garści.

GERO.

Urąga mi ta puszcza tuż pod moim
Bokiem. Snadź w owęj tajemniczej gęstwie
Skrzyły się wszystkie szatany obrzydłe,
Które Słowianie czcili jako bogi.
Mniejsza o tego łotra; byłem pewny,
Że nie zaniedba Mieczysław podburzać
Poddanych moich.

EKWART.

Jednego młodzieńca
Przywiodłem z sobą; mam go w podejrzeniu,
Iż towarzyszył wysłańcowi temu,
W jego włóczęgach po krainach naszych.

¹⁾ W kronikach są liczne świadectwa, że pokonani Słowianie polabscy
mścili się na zdobywczym Germanach rozbojami i skrytobójstwem; było to coś
w rodzaju *hajductwa* u południowych Słowian. Zobacz: Helmold, II, 14.

ZYGFRYD.

Jakto, mój ojcze? Nieraz przed oczyma
Migasz jakiemiś widziadły przyszłości
I ukazujesz zdala jakieś błyski,
Co olśniewają, lecz i przerażają.

GERO.

Tak, przyzwyczajaj oko do tych błysków,
Świetniejszy kiedyś będziesz blask oglądał.
Dziś się nie kłopotz tęp, co ojciec robi;
Myśl tylko, że te trudy, te rozkazy,
Co cię tak rażą—dadzą ci... koronę.

ZYGFRYD.

Przecucia nieraz w duszy mi szeptały,
Że to w twych myślach leży; lecz się bałem
Takiego słowa z twoich ust. Ach, ojcze!
Nie, ja korony nie chcę; ja się lękam
Złotego węża, co skroń opasuje
I lada chwila może ją użądlić.

GERO.

Jakżeś dziecinny, synu mój; czyż może
Być większa rozkosz, jako rozkazywać
Setkom, tysiącom, nie słuchając przytęp
Niczyjéj woli? Królować, Zygfrydzie,
Wszak to zadatek nieba na tój ziemi;
Bo cóż innego, jak nie królowanie
Przyobiecano nam w niebieskiej chwale?

ZYGFRYD.

Więc mielibyśmy przeciw cesarzowi
Podnieść bunt?—wierność złamać tyloletnią?
Darmoż nazywa cię on najwierniejszym
Ze wszystkich swoich sług?

GERO.

Czyż całe życie
Mam niewolnikiem być jego? Niedosyć,
Że jestem cudzym włodarzem na ziemiach,
Zdobytych własnym orężem? Nie na to
Przeżyłem tyle lat w bojach i trudach,
By po méj śmierci których z ulubieńców
Oddalonego pana, to zagarnął,
Na com pracował tyle lat. Sam cesarz
Pragnie po sobie zostawić następcą
Własnego syna....

ZYGFRYD.

Ojcze, to okropne
Królować z mieczem ciągle wydobyтым

Przeciwko dawnym braciom, a zarazem
 Groźbą i strachem władać innym ludem,
 Który ciśniemy nogą. Ojczy, ojczy!
 Przynajmniej bądźmy łaskawi dla przyszłych
 Poddanych naszych: zakaż Ekwartowi
 I jego zgrai, by ich nie dręczyła.
 Puść dzisiejszego więźnia; i zawczasu
 Skarb sobie miłość ich: niech panowanie
 Nasze przywykną znosić dobrowolnie.

GERO.

Co? głaskać teraz, gdy przez mnogie lata
 Srogości tylko ulegali? Synu,
 Żelazem lud ten podbiłem i tylko
 Żelazem mogę utrzymać w pokorze.
 Nie mieszaj się do mych rządów: ty czasem
 Rozpocząć możesz dla nich przebaczenia
 I łaskawości dni; teraz wiedz, synu,
 Że im sroższymi będą moje rządy,
 Temci spokojniej będziesz ty panował. *(odchodzi na prawo).*

Scena 4.

ZYGFRYD *(sam)*.

Nie, nie uwolnię go prośbą; nie, darmo —
 A jeszcze zdradzę tajemnicę moję.
 Innym go trzeba wyswobodzić środkiem.
 Poco wysilać się w tak trudnej sprawie?
 Czémże on dla mnie? — wrogiem, niczém więcej.
 Co mi do tego, że to brat Jarmiły?
 Jeśli uwolnię go, to ona pozna,
 Że jestem jednym z mieszkańców zamkowych
 I wnet uleci, jak strwożone ptaszę,
 Co nie powraca nigdy w miejsce owo,
 Gdzie go spłoszono. Ha, może go lepij
 Zostawić własnej doli? Nie wypuszczę
 Z ręki puharu, z którego dopiero
 Pić rozpocząłem. Lecz, jeśli on zginie,
 To żal zatrapia jego piękną siostrę;
 Ta głowa, którą do piersi tuliłem,
 Ku ziemi zwiśnie pod ciężarem smutku;
 Z tych oczu, z których miłość wyzierała,
 Łzy trysną gorzkie. Nie będę rozkoszy
 Czerpać ze źródła, którem zmacił. Losie,
 Snadź mi wytrącasz puhar stokroć prędzej,
 Niżlim się spodział; kto wie, może także
 Mojemu życiu prędzszy kres położysz?

(zdejmuje łuk ze ściany, z drugich drzwi na prawo wchodzi Hatwiga)

Scena 5.

ZYGFRYD—HATWIGA.

HATWIGA.

Dopieroś wrócił z łowów: znów, Zygrydzie
Wabi cię puszcza?—całe dnie w niej bawisz.

ZYGFRYD.

Mamże, Hatwigo, błąkać się bezczynnie
Wśród tych ponurych ścian?

HATWIGA.

Oddychać wolisz
Świeżem powietrzem lasów, wolisz ucho
Napawać śpiewem pierzastych śpiewaków.
Niewiasty jedne—tylko żona twoja—
Na smutny żywot w murach tych skazane.
Nieprawdaż, mężu? co?

ZYGFRYD.

Do czegoż zmierzasz?

HATWIGA.

Ach! pocoś wziął mię z ojcowskiego domu,
Ztąd, gdzie płynęły dni młodości mojej
Jak potok górski, co wesoło bieży.
Tam, po orężnych ćwiczeniach, siadano
Do uczyty w gronie licznem i ochoczem.
Wieczorem, pieśni i rozkoszne płąsy,
Przy hojnych światłach blasku, odkradały
Długie godziny nocnej ciszy. Boże!
Tyś widział, z jaką rozkoszną nadzieją
Biegłam ślubować wiarę przy ołtarzu;
I ani mi się nie marzyło we śnie,
Iż te komnaty małżeńskie nie będą
Przybytkiem szczęścia, ale grobem.

ZYGFRYD.

Pomyśl,

Żeśmy w zdobytej ziemi, i że ciągle
Trzeba nam czuwać baczenie jak na straży.
Nie dla tych płąsy, ani krotochwile,
Którym ustawnie nowa grozi walka.

HATWIGA.

Już dawno walki pokonczylibyście
I mogli, miecze do pochew schowawszy,
Do uczyty zasiąść i rozpocząć życie,
Jakie zwycięzcom jedynie przystoi...

ZYGFRYD (*przerywając*).

Ty chcesz nam radzić? mów więc.

HATWIGA.

Przecież margraf

To mąż nietylko waleczny, lecz razem
Rozumny; wszak sam cesarz go podziwia,
A tyś jest jego syn. Mamże ja młoda,
Niedoświadczona niewiasta was uczyć,
Was, mężów dzielnych i w polu i w radzie?

ZYGFRYD.

Cóż ty, niewiasto z szyderczym językiem,
Doradzić zdołasz?

HATWIGA.

Tyle lat rządziecie

Postrachem, grozą,—a słowiańskie chaty
Aż pod sam zamek wasz się podsuwają,
I drżeć musicie, wy, nieustraszeni,
Skoro za bramę który głowę wytknie.
W zamku jak w mniszym klasztorze, a w pole
Ani wyjechać z sokołem na ptaki ¹⁾,
Choć głosi cały świat, iż tu miecz włada
I że podbici szczękają zębami
Na samo imię Gerona.

ZYGFRYD (*szyderczo*).

Więc, żono,

Cóż ty nam radzisz?

HATWIGA.

Wypędźcie te zgraje,

Ziemie oddajcie naszym—i upornych
Niech miecz wytepi—a będziemy w zamku
Żyć tak wesoło, jak w innych zakątkach
Germańskiej naszej krainy.

ZYGFRYD (*surowo*).

Niewiasto,

Do miłosierdzia tyś powinna wołać,
Nie do większego jeszcze okrucieństwa!
Nieprzebaczonym grzechem taka srogość,
Nieprzyrodzona w niewieście. Drżysz, nędzna,
By Bóg jój w tobie nie skarał przykładem!

HATWIGA.

O! nie odwołuj się do Boga, pogan

¹⁾ Polowanie z sokołem było rozrywką, której kobiety nawet się od-
dawały.

I bezbożników obrońco! Niebaczny,
Czyż to nie grzeszna bronić tych, co tylko
Krwi chrześcijańskiej pragną?

ZYGFRYD.

Patrz, Hatwigo!
Czemuż ja chodzę bezpiecznie po lasach,
Choć się narażam wciąż na ich spotkanie,
I dotąd mi się nic złego nie stało?

HATWIGA.

Nie żądaj wcale, żebym dochodziła
Przyczyny; bo gdy zacznę kroki twoje
Śledzić....

ZYGFRYD.

Nie waż się nigdy tego czynić.
Za me postęпки odpowiem jednemu
Bogu na niebie.

HATWIGA.

O, ja wiem, Zygfrydzie!

ZYGFRYD.

Co wiesz, Hatwigo? Milcz, nie wszczynaj sporów!
Nie budź mi piekła w duszy! Ja nie zniosę
Ni twych podejrzeń, ni wyrzutów twoich.
(*Zawieszta łuk na ramieniu i wychodzi spiesźnie włąqđ*).

Scena 6.

HATWIGA (*sama*).

Zdradza mię, zdradza, to pewna — a jeszcze
Chce stłumić groźbą ten wyrzutów potok,
Jaki się gwałtem przez me usta ciśnie.
Boże, mój Boże! czyż niewiasty życie
Jest jako czara z ozłoconym brzegiem,
Co wewnątrz same gorzkie mgęty mieści?
Jakże mi życia poranek był słodkim
U ojca w domu, gdzie się codzien nowy,
Urodny młodzian zjawiał, by pozyskać
Córę wielkiego rodu. Drżałam zawsze,
Patrząc na klasztor, na ten grób za życia.
Nie przeczuwałam, iż mi ślub gotuje
Gorzéj niż klasztor, niż grób — bo więzienie.
Czémże tu jestem? Towarzystką chyba
Służebnic. Gdyby głos mój mógł dolecieć
Do ojca, braci, jakżebym wołała,
By przyszli dołą mą zobaczyć.

(*Abó wychodzi z pierwszych drzwi z lutnią w ręku i chce iść włąqđ*).

Scena 7.

HATWIGA—ABO.

HATWIGA.

Abo!

ABO.

Czego, grafini, żądasz?

HATWIGA.

Co tu robisz

Z lutnią w ponurych murach tych? Czyż piosnka
Wesołym echem odezwać się zdoła
Tam, gdzie się tylko broni szczęk rozlega?

ABO.

Im smutniej duszy, tém piosenka miliej
Po sercu głaszcze; ona łzy ociera,
A nawet więźnia w ciemnicy pociesza.

HATWIGA.

Słuchaj, jeżeli umiesz taką piosnkę,
Co rozweselić potrafi smutniejszą
Od tych, co toną we łzach; nieszczęśliwszą
Od jęczącego w więzach: to zaśpiewaj.
Jeśli okaże swoją moc prawdziwie,
Dostaniesz dziesięć sztuk złota.

ABO.

Za piosnkę

Złotem nie płaci się, spojrzenie wdzięczne
To dostateczna nagroda, sowitsza
Niżli najcięższa kiesa.

HATWIGA.

Śpiewaj: słucham.

ABO (*śpiewa*).

Gdy opuści noc ku ziemi
Rąbek szarój swój zasłony,
Czekam ciebie utęskniony
Pod mirtami zielonemi.
Przyjdź, o luba, na mém łonie
Rozpaloném połóż głowę;
Do méj piersi przytul skronie:
Ustom usta daj różowe.

Chociaż noc się już rozgości
I ponury płaszcz roztoczy,
Będą świecić nasze oczy
Jako lampy dwie w ciemności;

Będą płonąć lica, skronie,
 Serce drzeć w rozkoszném biciu
 I prześnimy, splótszy dłonie,
 Najpiękniejszą chwilę w życiu.
 Kto miłości nie tknął zdroju
 W młodocianej życia dobie,
 Ten nie będzie miał pokoju,
 Gdy po latach usnie w grobie;
 Nie o niebo wołać będzie,
 Lecz o drugie ziemskie życie,
 By nagrodzić...:

HATWIGA.

Precz z taką pieśnią, precz; czemu mię drażnisz,
 Zepsute dziecię południa? Twe piosnki
 Przybyły z ziemi, gdzie w kielichach kwiatów
 I w sercach ludzi trucizny się rodzą.

ABO.

Tam w mojej ziemi, słońce jaśniej świeci,
 A serca żywiej biją, i miłością
 Odpowiadają na miłość.

HATWIGA.

Zuchwalczel
 Gdybyśmy byli w zaku mego ojca,
 Płaciłby kat, ci, za tę piosnkę twoję
 I za twe słowa.

ABO.

Czémże obrazikę
 Piosnka i słowa moje?

HATWIGA.

Czem? ty pytasz?
 Pocieszyć miałeś mię, a ty urągasz
 Nieszczęściu memu.

ABO.

Czyżbym się ośmielił?

HATWIGA.

Kazałam śledzić ci mego męża:
 Cóż? czy spełniłeś mą wolę?

ABO.

Najmniejsze
 Twe słowo, pani, jest dla mnie tak świętém
 Jak przykazanie Boże.

HATWIGA.

Więc cóż?

ABO.

Nie chciéj,

Bym jeszcze więcéj trapił mémi słowy
 Twą i tak srodze utrapioną duszę.

HATWIGA.

Mów, ja chcę wszystko wiedzieć... Cóż mi powiesz?
 Wiem to już sama, wiem, wiem, że mię zdradza.
 Prawda? widziałeś go w objęciach którójś
 Z miłośnic jego?

ABO.

Widziałem, jak w lesie
 Rozmawiał słodko z jakowąś Słowianką.

HATWIGA.

Niecnny! Pogankę prznosi nad córę
 Najprzedniejszego germańskiego rodu!
 Czy ona piękna?—powiedz.

ABO.

Ach! grafini,
 Dla tego, co choć raz tve widział lice,
 Już niéma pięknej niewiasty na świecie.

HATWIGA.

Ty szydzisz ze mnie! Mąż mój tyle czasu
 W twarz moję codzien patrzył, a gdzieindziéj
 Piękniejszój sobie poszukał niewiasty.
 Uciekła krasa z mojego oblicza,
 Wdzięki wykradły się jedne po drugich;
 Inaczéj byłby Zygfryd mię nie rzucił,
 Jak się kwiat rzuca, którego korona
 Schnie już i więdnie.

ABO.

Czyliż perła traci
 Cenę dla tego, że ją ślepy człowiek
 Mija, a szary kamyk podejmuje?

HATWIGA.

Nie, nie pocieszysz mię tém wcale, raczéj
 Weź lutnię. Lecz nie, nie; znów o miłości.
 Będziesz mi śpiewał, i znowu mi powiesz,
 Jaki to drogi skarb: to mi przypomni,
 Żem biédna, że mię nikt już nie miłuje.

ABO.

Czemuż, wy dumne, tam szukacie serca,
 Gdzie w piersi oprócz pychy i srogości
 Nie mieszka nic już więcéj? U was męże
 Zabijać wolą ludzi, albo zwierza
 Po lasach gonić, niżli dzielić słodkie

Pieszczoty; jeśli zaś serce pochwyca,
To jako z pełnej czary wszystkie słodycz
Wypiją duszkiem, odrazu, a serce
Jak próżny puhar porzuca, na ziemię.

HATWIGA.

Smutna to prawda!

ABO.

Czemuż więc, grafini,
Tam nie wyciągnąć rąk, gdzie je przycisną
Do płonącego łona, które biciem
Serca odpowie, kiedy białe ręce
Otoczą szyję? Hatwigo!

HATWIGA.

Ach, Abo!

Jak me ramiona tęsknią do uściskul
Abo! mój Abo! *(wyciąga ręce do Abona).*

ABO *(tuląc Hatwigę).*

Przytul się, Hatwigo,
Do mojej piersi, w niej jest serce szczére,
Które prawdziwie miłować potrafi.

HATWIGA *(zrywając się).*

Zuchwalczel! gdyby to mój ojciec wiedział!
Ojciec mój, bracia, biada wtedy tobie!
Kazaliby cię przywiązać do grzbietu
Dzikiego konia, i twe białe ciało
Rozprysnęłoby się jak marna piana
O drzew gałęzie i o skał urwiska.

ABO.

Uściśnij mię raz jeszcze, a idź potem,
Opowiedz wszystko margrafowi, poślij
Z wieścią do ojca, braci. Niech mię zaraz
Na męki wezmą, niechaj mię ukarzą
Najsroższą w świecie katuszą, a będę
Umierał, pojąc się wspomnieniem słodkiem,
Zem w mych objęciach łono twe piastował.

HATWIGA.

Nie wydałabym cię nigdy nikomu.
Nie wydrą mi cię z objęć; raczej zgine
Wraz z tobą. Chodź, chodź, nie lękaj się wcale.
(Za sceną słychać głos rogu).

Cóżto? czy anioł straszliwy ogłasza
Koniec wszystkiego stworzenia? Ach!, biada!
Ledwieśmy czary grzechu się dotknęli,

A już wołają na sąd ostateczny ¹⁾.

ABO.

Co tobie, pani moja? Wszak to tylko
Straż z wieży daje znać, że nadjeżdżają
Jakowis obcy. Idź ztąd, niezadługo
Tłumem się ludzi to miejsce napełni.

HATWIGA (*patrzac przez okno*).

Na drodze widać jakiś zastęp jezdnych,
Co do nas zmierza.

ABO.

Trzeba nam ztąd odejść.

HATWIGA.

Gdy już ucichnie dzienny gwar, a spokój
Nocy obejdzie wszystkie domu kąty,
Przyjdź tutaj, Abo! Przyjdziesz? tak? nieprawdą?

ABO.

Przyjdę, grafini.

HATWIGA.

Nie zapomnij, Abo!

(*Wychodzą, Hatwiga na prawo, Abo w głąb, z pierwszych drzwi wchodzi Gero*).

Scena 8.

GERO (*później*) ABO, RYCERZE, SŁUŻBA.

GERO.

Cóżto za gość tu do nas zmierza? Z okna
Widziałem hufiec nie wielki. To pewnie
Któs z możnych grafów chce mię uczcić swemi
Odwiedzunami, albo może Cesarz
Śle mi rozkazy, wieści i zwyczajne
To oświadczenie, iż zadowolony
Z wiernego sługi swego. Długoż jeszcze
Plwać w oczy będzie mi pochwałą taką,
Psa raczej godną niż człowieka? Może
Podszepty wrogów mych przebiły tarczę
Ufności, jaką ucho swe zakrywał,
Ilekroć na mnie podłe psy czekały;
Więc śle tajnego stróża mych czynności?
Bracia, syn własny i zięć go zdradzali ²⁾,

¹⁾ Przy końcu X wieku oczekiwano końca świata na zasadzie przepowiedni, która kościołowi Chrystusa tysiąc lat tylko istnienia wróżyła. Umysły egzaltowane co chwila oczekiwały, że nadejdą ostateczne czasy, w Apokalipsie przepowiedziane.

²⁾ Przeciwko Ottonowi Wielkiemu podnosili rokosz w różnych czasach: brat przyrodni Thankmar, brat rodzony Henryk, syn najstarszy Liudolf, oraz zięć Konrad Rudy, ksiązę Lotaryngski, mąż Luitgardy, córki Ottona.

I osłabili wiarę w ludzką wierność.
Jam jednak przez lat wiele czujność jego
Usypiał: mnie jednemu wierzy jeszcze.

(Idzie w głąb i wygląda na podwórze).

Ach, to graf Luthar, ulubieniec pański,
Podobno całą duszą mu oddany!
Trzeba się będzie strzedz lub w sprzymierzeńca
Chytrze obrócić. Z Włoch zapewne jedzie
I niesie wieści, co mi się przydadzą.

(Ze wszech stron schodzą się rycerze, służba, między nimi Abo—do rycerzy):

Panowie! niebo gości nam przysyła,
Przyjmijmy godnie ich. *(do służby):*

Zastawcie stoły!

(Służba zastawia stoły i nakrywa do uczyty).

Głód i znużenie towarzyszą zwykle
Podróżnym; błogo będzie im, gdy znajdą
Na pierwszym zaraz kroku pokrzepienie.

(Z głębi wchodzi Luthar i kilkunastu rycerzy).

Scena 9.

Ciż—LUTHAR i rycerze jego.

GERO.

Szczęśliwy jestem, iż powitać mogę
Tak miłych, zacnych gości. Zkąd jedziecie?

LUTHAR.

Nim ci odpowiem na pytanie, pozwól
Wyrazić radość moję, iż nakoniec
Oglądam męża sławnego po całym
Świecie, którego widzieć było naszym
Pragnieniem przez dni wiele i jedynym
Podróżny naszej celem.

GERO.

Jakże miło

Będzie mi spłacić te życzliwe chęci
Tu w moim domu. Siądźcież więc do stołu. *(Siadają).*
Trzeba pokrzepić ciało zbyt znużone
Po trudach długiej podróży! Hej, wina!

(Służba rozlewa wino w pułhary).

Napójcie usta, potem uszy nasze
Słodkimi wieściami napojcie. Zdrowie
Wasze, o, mili goście! No, panowie,
Tak pełnym pijmy pułharem, jak pełnym
Jest nasze serce radości w tej chwili.

WSZYSCY.

Niech żyją! (*Piją*).

LUTHAR.

Dzięki wam! Jak słodką
Jest twa uprzejmość, gospodarzu zacny.
Panowie! pijmy na chwałę możnego,
Pełnego sławy margrafa Gerona!

JEDNI z RYCERZY.

Niech żyje Margraf!

INNI.

Sława Geronowi!

LUTHAR.

Nie tajno, jako cię nasz pan potężny
Czci i poważa. Kiedy się dowiedział,
Że cię podobno nowa czeka wojna,
Z tym hufcem iść mi kazak i oświadczyć,
Jak mu bolesno, iż ci teraz większej
Pomocy przysłać nie może, iż zawsze
Najbliżej serca ma swego wiernego,
Najwierniejszego z wszystkich sług Gerona.

GERO.

Tak: miłościwy pan, pan łaskawy
Ocenia chęci moje nad zasługę.
Dzięki świętemu Witowi ¹⁾ podołam
Z mych towarzyszy garstką wszystkim wrogom,
Z którejbykolwiek zjawili się strony.
Jednak was witam wdzięcznie, jako dowód,
Że najłaskawszy pan nie zapomina
O nas.

LUTHAR.

I wy też pamiętajcie o nim,
Jak on o każdym ze swych sług pamięta.

GERO.

Więc jedziesz prosto z Włoch, grafie?

LUTHAR.

Z Włoch prosto.

GERO.

Jakież nam niesiesz wieści? Czy już cesarz
Pokonał wszystkich wrogów?

LUTHAR.

Nie: nie jeszcze

¹⁾ Święty Wit używał szczególniej czci u Niemców, apostołujących w ziemiach słowiańskich. Burząo świątynie Swantewita, zakładano na ich miejscu kościoły pod wezwaniem św. Wita.

I może lata przejdą, nim lud chytry
 Pomazańcowi Pana zaprzestanie
 Jawnie i skrycie stawiać opór. Wprawdzie
 Wrogi przycichły ze strachu. Beranger
 Zamknął się w górach w niedostępnej twierdzy
 Z tą żoną, z którą chyba go sam szatan
 Na zgubę ciała i duszy zaswatał ¹⁾.
 Lecz zato papież, ten niebaczny młodzian,
 Co hańbi tylko Piotrową stolicę,
 Knuć spiski począł i cesarz szedł właśnie,
 By go ukarać i przysiągł, że dłużej
 Na świętym tronie cierpieć go nie będzie ²⁾.

GERO.

Rośnie w potęgę Otto; nie tak dawno
 Książętom władzę brał ³⁾: dziś najwyższego
 Z kapłanów strąca śmiało. Oby tylko
 Z samego szczytu potęgi nie zaczął
 Schodzić w dół.

LUTHAR.

Wcale nie wątpij, iż niebo,
 Jak mu sprzyjało dotąd, tak i dalej
 Nie poprzestanie sprzyjać. Wszakże starło
 W proch najezdniczych Węgrów dzikie hordy ⁴⁾.
 Dziś mu zwycięstwo da nad marną garstką,
 Co się wyrokom nieba chce sprzeciwić.

(Gero zamysła się).

Cóżto? zasepiąz ciebie jego szczęście?
 Nuże, wypijmy na cześć i pomyślność
 Naszego pana, króla i cesarza!

WSZYSCY.

Niech żyje cesarz!

¹⁾ Otton W. koronowanym został na cesarza r. 962. Berengar wraz z żoną swoją Willą ukrył się w górach w zamku San Leone, gdzie r. 964 dostał się w ręce Niemców i skończył życie na wygnaniu w Bambergu.

²⁾ Papieżem w r. 964 był Jan XII, młodzieniec rozpustnego życia, który raz już poprzedzającego roku złożony ze stolicy papieżkiej, korzystając z nieobecności Ottona i niezadowolenia Rzymian z narzuconego przez cesarza, papieża Leona VIII, do Rzymu powrócił. Otton szedł z wojskiem, aby Jana XII ukarać, ale ten nie doczekał przybycia cesarza, gdyż umarł wcześniej.

³⁾ W początkach panowania swego Otto pozbawił władzy książąt Eberharda bawarskiego, Eberharda frankońskiego, Giselbrehta lotaryngskiego i Henryka bawarskiego, syna Bertolda.

⁴⁾ Walne zwycięstwo nad najezdniczymi hordami Madziarów odnieśli Niemcy r. 955 na równinach nad rzeką Lechem.

GERO.

Życie i... (*zamysła się*) długich jeszcze walk...

LUTHAR.

Walk długich?

Prędkiego chyba zwycięstwa? Walk? na co?

GERO (*reflektując się*).

By tym świetniejszym był blask jego chwały.

Rozgośćcie się w mym domu, i po trudach

Spocznijcie. Co nam czasu pozostanie,

To obrócimy na radosne uczty,

By upamiętnić miły nam wasz pobyt.

Wybaczcie tylko, że te świetne chwile

Skończą się prędko.

LUTHAR.

Wszak nie przybywamy

Do was na marne uciechy. Margrafie,

Nie uczt pragniemy, lecz dzielić twe trudy,

Do nowych zwycięstw pomagać, na większą

Chwałę naszego pana i cesarza.

(Wychodzą wszyscy, prócz Gerona).

Scena 10.

GERO (*sam*).

Postrzącał książąt, których ojce, dziady

Rządziły zdawna ludami, i własnych

Braci i synów w ich miejsce osadził;

Na najwyższego targnął się pasterza.

Czyliż oszczędzi mnie jednego? nigdy!

Jeśli do śmierci mnie tu cierpić będzie,

Synowi nie da słusznego dziedzictwa;

Ha! póki wikła się tam gdzieś daleko,

Skorzystać trzeba z chwili i nazawsze

Mieczem odgrodzić się od jego woli.

(Wychodzi pierwszemi drzwiami na prawo; z głębi wchodzi Abo; ściemnia się).

Scena 11.

ABO (*sam*).

Cały czas Margraf tonął w myślach, z jego

Czoła i teraz zaduma nie schodzi;

Nawet odsłonił nieobacznie cząstkę

Swych najtajniejszych pragnień. Nie! ci głupcy

Nie zrozumieli nic; lecz podejrzeniom

Moim przyłożył pieczęć potwierdzenia.

Niedziw, że Niemiec rzuca się jak zwierzę
 W bój; ciasna głowa niezdolna jest zważyć
 Niebezpieczeństwa: nie wam, lecz nam dała
 Przyroda jasny, przenikliwy umysł.
 Czy ci się śniło, starcze, że Włoch, giermek,
 Jest panem twojój tajemnicy?

(Z drugich drzwi wchodzi Hatwiga).

Scena 12.

ABO,—HATWIGA.

HATWIGA.

Abo!

ABO.

Jestem, grafini, jestem!

HATWIGA.

Tu bezpiecznie?

Nie maż nikogo z ludzi gdzie w pobliżu?

ABO.

Spokojną możesz być: śpią już z pewnością

Lub do spoczynku się gotują; nadto

Głęboko w pełne czasie zagładali,

By się im chciało błądzić w cieniach nocy.

HATWIGA.

Pragnę ci słowo powiedzieć, chciałabym

Odwołać to, co wyrzekłam niebacznie;

Prosić, byś o tém zapomniął.

ABO.

Hatwigo,

Chcesz mi twą miłość odbierać? więc dałaś

Jako zabawkę dziecku; tak, na chwilę?

O, zbyt okrutne szyderstwo!

HATWIGA.

Tak sobie

Nie tłumacz moich słów; oh, nie! nie, wcale.

Ale ja lękam się...

ABO.

Czego, Hatwigo?

HATWIGA.

Abyś nie sądził, że tak lekkomyślna,

Płochą. Tak prędko powiedziałam tobie

To, co najtrudniej wydobyć z niewiasty.

ABO.

Chyba ci złożyć mam dzięki, grafini,

Żeś nie zamknęła na wrzeczadze pychy
To, co się w sercu kryło.

HATWIGA.

Ja się lękam,
Byś w tém nie widział chwilowej igraszki.
Wierzaj mi Abo, nawet przy ołtarzu
Patrzyłam zimno Zygfydowi w oczy.
Ty mię od pierwszej pociągnąłeś chwili,
Zawsze mi żywiej serce biło w piersiach,
Ilekróć migły gdzie kędziory twoje.

ABO.

Mojemu ono wtórowało.

HATWIGA.

Abo,
Lękam się, że zbyt łatwo mię zyskałeś.
Dufny w to, możesz igrać z mą miłością.

ABO.

Mamże ci przysiądz?

HATWIGA.

Gdybyś miał mię zdradzić
I krzywoprzysiądz byłoby ci łatwo.
Chciałabym, byś mi przysiągł, lecz tak straszna
Przysięga, żeby najzuchwalszy nawet
Nie śmiał jój złamać. Więc choć nie przysięgniesz,
Ty mię nie zdradzisz, Abo? nie? nie zdradzisz?

(Tuli się do Abona).

ABO.

Ufaj mi, ufaj, choć bez przysięg nawet.
Niedługo może przyjdą takie czasy,
Gdy ci dowiodę, jak wiernie i stale
Chcę stać przy twoim boku.

HATWIGA.

Chcesz mię straszyc?
Czegóż gorszego mogę doznać jeszcze
Nad to, co dziś mię dotyka?

ABO.

Hatwigo,
Gdybyś wiedziała, co Margraf zamyśla.

HATWIGA.

Ha! zbójca stary! Na sam widok jego
Okrutnej twarzy, zgroza mię do głębi
Przejmuje. Nawet kiedy mi się przyśni,
Pot zimny czoło me zrasza.

ABO.

Wiem wszystko,
Co on tajemnie knuje w głębiach ducha.

HATWIGA.

Mów jasno, słowa niedomówionemi
Nie strasz.

ABO.

Lecz zamknij szczelnie na dnie myśli,
Co dziś usłyszysz. Biada, gdyby Margraf
Choć przeczuł, iż jest taki, co się jego
Celów domyśla.

HATWIGA.

Jak grób milczyć będę.

ABO.

Wiedz, wiarołomny starzec zmyśla tylko
Na oko wierność cesarzowi; w duszy
Zamyśla, żeby, wierność odrzuciwszy,
Jak niezależny król panować tutaj.

HATWIGA.

Zkąd ty wiesz o tém?

ABO.

Wszystko, co on czyni,
Zbyt mi wyraźnie to mówi. Jak sobie
Zyskuje miłość drużyn, jak ostrożnie
Świetną im przyszłość zdala ukazuje,
Jak im nie prawi już o swym łaskawym
Panu, lecz szydzi z uległości zbytniej.
Lecz pocóż darmo tracić słowa? dobrze
Przejrzałem jego myśli. My, południa
Dzieci, w udziale mamy przenikliwość,
O jakiej się wam, Germanom, nie śniło.

HATWIGA.

Ach, coby na to ojciec mój powiedział,
On taki wierny cesarza przyjaciół,
Że sam osadził mię w tém gnieździe zdrady.
Co z tego będzie?

ABO.

Nie takich podobno
Miał przeciwników cesarz, a pokonał
Wszystkich; Geroną także czeka dola.
Cesarz tu przyjdzie z wojskiem, wtedy biada
Mieszkańcom tego zamku.

HATWIGA.

Boże wielki!
A ze mną cóż się wtedy stanie?

ABO.

Droga,
My się niémamy czego lękać wcale.

HATWIGA.

Ach! nie odstępuj mię wtędy, Abonie!
Jak mię ta chwila już z góry przeraża!
A jeśli Margraf z Żygrydem zwyciężą?

ABO.

Wtędy napełnią zamek miłośnice
Twojego męża, a ciębie odeśle
Ojcu, lub zamknie w ustronnęj komnacie,
Byś mu rozkoszy grzesznych nie maciła.

HATWIGA.

Precz uciekajmy! nie chcę wyczekiwać
Ni zguby jego, ni chwały. Chociażby
W najgęstszą puszcę uciekajmy, byle
Zdala od murów tych i od tych ludzi.

ABO.

Cicho, grafini! słyhać jakieś kroki:
Rozejdźmy się — do jutra.

HATWIGA.

Tak, do jutra!

(Hatwiga wychodzi drugimi drzwiami, Abo kryje się za filarem; z pierwszych drzwi wchodzi Żygryd i Żelisław).

Scena 13.

ZYGFRYD—ŻELISŁAW—ABO *(w ukryciu)*.

ZYGFRYD.

Idź! śpiesz się! *(otwiera okno)* po tęg skale, przy gwiazd
[blasku

Zsuniesz się łatwo, potęm rów przepłyniesz.
Wszak wy umiecie drapać się i pływać!
Co Niemcom ciężkie, dla was to igraszką ¹⁾.

ŻELISŁAW.

Dzięki, wybawco mój; lecz nim odejdę,
Powiedz mi, kogo mam wdzięcznie wspominać
I błogosławić w duszy. Ciemność nocy
Rzuca ci na twarz zasłonę. Szlachetny,
Kto jesteś?

¹⁾ Takie zdanie o Słowianach objawia Witukind, który dodaje nadto, że mogą oni znosić niesłychane trudy i poprzestawać na skąpej żywności.

ZYGFRYD.

Cicho! milcz! śpiesz, nie trać czasu!
 Ciesz się oczami gwiazd, miesiącem, słońca
 Żłocistą tarczą; możebyś bezemnie
 Już nie zobaczył ich więcej. Lecz słuchaj!
 Wdzięczności jednej wymagam od ciebie!
 Pokryj zasłoną milczenia wspomnienie
 Dzisiejszej nocy; nie wpatruj się wcale
 W moją twarz: nie chciéj z niéj imienia mego
 Wyczytać. Twoja ciekawość mię może
 Do pomsty zmusić. Wiédz, że lepiej umiem
 Mścić się, niż dobrze czynić.

ZELISŁAW.

Stój, szlachetny!
 Nie groź! Już wdzięczność dość obowiązuje,
 Bym spełnił wiernie każde tve życzenie.
 Ktokolwiek jesteś, wdzięcznym ci nazawsze.
(Wychodzi przez okno, Zygfryd odchodzi na prawo).

Scena 14.

ABO *(sam wychodzi z ukrycia).*

Fortuna stale sprzyja ci, Abonie.
 Nie daje darmo błędzić ci po lasach,
 A nawet chwile, od snu odkradzione,
 Nie bez korzyści dla ciebie. Zygfrydzie,
 Wiesz ty, żeś znów mi odkrył tajemnicę?

(Przystępuje do okna).

Ha, jak się czepia każdej rozpadliny,
 Na każdy kamień zręczną stawia nogę:
 Jak po drabinie schodzi. Gdyby losy
 Kiedyś mię z zamku wypędzaly srogo,
 Tobym bez zwłoki uciekał tą drogą.

*(Wychodzi w głąb).**(Dokończenie nastąpi).*

WPŁYW DRÓG ŻELAZNYCH NA RUCH EKONOMICZNY W ROSSYI *).

PRZEZ

Jana Blocha.

Część druga.

I.

Motto łacińskie twierdzące, że każdy mistrzem jest swojego losu, jeżeli gdzie to w ekonomii prywatnej, a tembardziej publicznej, bezwarunkowo nie może być przyjęte.

Państwo poświęciło dwadzieścia lat dla przygotowania sobie lepszej przyszłości ekonomicznej, dla stworzenia zasobów nowych, dla zrównoważenia swego budżetu; aliści naraz jakiś ogólny wewnętrzny niepokój, krzyżuje te usiłowania i wstrzymuje postęp, który wydawał się zapewnieniem lepszej doli. Jeszcze rzecz się ma nierównie gorzej, jeżeli do takiego i tak już krytycznego stanu, przyłączy się nadspodziewanie, zniecka, a zatem bez uprzedniego przygotowania, wojna znieuniknionemi plagami, i to nie przejściowa, kończąca ostatecznie spór, lecz wychodząca z paszczy jednego z tych wulkanów, które przyjmują miano kwestyi międzynarodowych, długotrwała, a pomimo to nierozwiązująca istotnych lub co gorsza urojonych dążeń. W takich warunkach, nie dziwnego, że wojna rzuci zamieszekę w pośród trudów długich i cierpliwych, a najbardziej usprawiedliwione przewidywania, jak to niżej wskażemy, omylić potrafi.

Okazaliśmy w pierwszej części tej pracy, jakim sposobem Rossya przez tak długi czas pozostająca w stagnacyi, zdołała w ciągu ostatnich niemal dwudziestu lat,—wezawszy na pomoc reformy prawodawcze i budowę sieci kolei żelaznych, położyć silne podwaliny dalszego rozwoju ekonomicznego.

Usiłowaliśmy także wykazać, jaki wpływ na położenie gospodarcze i finansowe całego Państwa, miało budowanie dróg żelaznych, napływ kapitałów obcych, powiększenie zarobkowania klasy robotniczej; i nareszcie, jak popęd nadany produkcji, począł wywierać dobroczynny wpływ na stan ekonomiczny Państwa.

Studyum tego, ażeby mogło nastręczyć dane pouczające, nie możemy ograniczyć na tém i musimy sięgnąć dalej.

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za styczeń r. b.

Aczkolwiek nie zamierzaliśmy kreślić tu kompletniej historii finansów rosyjskich i ograniczyliśmy się jedynie na uwydatnieniu zarysów położenia w r. 1875 w porównaniu z tém, jakie było przed 25 lub 30 laty, czytelnik mógłby nam zarzucić, iż przemilczamy lub nie znamy faktów jakie zaszły w ostatnich dwu latach, których następstwem było przesilenie finansowe, emisya biletów kredytowych w rozmiarach niebywałych od czasu wojen Napoleońskich, obniżenie wartości banknotów i ogólne zubożenie kraju.

Pomimo to wszystko, przesilenie obecne *w pewnych warunkach*, mogłoby być przemijającym; i fakta, jakie ono przedstawia, nie osłabiają naszego wywodu postępów już dokonanych i możliwości powetowania klęsk, zadanych przez wojnę i niepokoje wewnętrzne.

Ale wyznać trzeba, że wyrzeczenie choćby słów kilku o tém przesileniu, przedstawia trudności nielada.

Przy wykładzie położenia finansowego i gospodarczego każdego kraju, kwestya ekonomiczna łączy się ściśle z kwestyą polityczną, a w warunkach nienormalnych chwili obecnej, objęcie a tembardziej dostateczne objaśnienie wszystkich zjawisk, niezupełnie jest możliwém.

Zatrzymując się wszakże przy możliwych granicach wykładu, będziemy się starali w przyszłym artykule w sposób jak najwzięźlejszy, wykazać wpływ rozpatrywanych przez nas warunków na interesa najbliżej nas dotyczącej, to jest miejscowej, jeżeli w kwestyach ekonomicznych tak się wyrazić można, przyszłości rolnictwa naszego kraju, wobec wzmagającej się konkurencyi pól rolnych dziewiczych obszarów głębi Państwa, zbliżonych do nas drogami żelaznymi; a dalej, wpływ warunków istnienia wytwarzającego się przemysłu naszego, w zależności od konkurencyi rynków zagranicznych i rosyjskich—i nareszcie, handlu, jako ostatecznego wyniku nowowytworzonych warunków ekonomicznych.

Przedewszystkiem rozwiodłszy się w poprzedzającym artykule o zbawiennym wpływie wywartym przez zbudowanie, w czasie stosunkowo krótkim, sieci wynoszącej około dwudziestu tysięcy wiorst, winniśmy okazać odwrotną stronę medalu: przedstawia się ona jako wpływ niekorzystny wielkiej emisji papierów wartościowych dróg żelaznych, na kurs zmiany. Ponieważ zaoszczędzonych kapitałów nie było w kraju, przeto, ażeby posiadać fundusz na budowę sieci, wynoszący około półtora miliarda rubli, należało zwrócić się po większej części do kapitalistów zagranicznych. Trzeba było nadto, ażeby rząd zapewnił wypożyczającym, procent od obligacyi, oraz zabezpieczył im minimum dywidendy na akcyach. Ogół więc opłat rocznych, ciężających na odpowiedzialności rządu rosyjskiego, dochodził w r. 1876 do 46,1 milionów rubli metalicznych i do 1,7 milionów rubli kredytowych. Oprócz tego, wartości wypuszczone przez Towarzystwa dróg żelaznych bez zabezpieczenia rządowego, przedstawiają wydatek roczny na procent i umorzenie, dochodzący do 9,1 milionów rubli metalicznych, a 4,1 milionów rubli kredytowych. Sumy wypłacone na procent od kapitału,

zagwarantowanego przez rząd i wyłożonego na budowę dróg żelaznych z tytułów powyższych, od r. 1866 do 1875, wynoszą ogółem 323 milionów rubli metalicznych ¹⁾.

Łatwo zrozumieć, że ponieważ budowa kolei żelaznych znacznie powiększyła dług rosyjski za granicą, przeto z tego tytułu wpłynąć musiała niekorzystnie na ogólny kredyt państwowy, oraz że przyjęte zobowiązania corocznej wypłaty tak znacznych sum w monecie brzęczącej, przedstawiać będą, aż do ich umorzenia fakt stały, na niekorzyść wymiany działający. Kurs, z drugiej strony, powinien był być znacznie podtrzymywany przez napływ do Rosyi gotówki, pochodzącej z umieszczania zagranicą wartości kolei żelaznych. Według dokonanych przez nas obliczeń, po potrąceniach strat i wydatków poczynionych zagranicą, suma 258 milionów, powinna była w peryodzie 1866—1875 r. wpłynąć do kraju. Wobec tak znacznego napływu monety metalowej, kurs wymiany, według danych nauki i praktyki, gdyby na niego nie oddziaływały niekorzystnie operacje czynione przez sam rząd, powinien był być znacznie korzystniejszy, aniżeli okazał się w rzeczywistości.

Sumy metaliczne, pochodzące z zagranicy, używane były przez ministerium skarbu w części na dokonywanie wypłat pozakrajowych, pozostała reszta, poświęcona wypłatom wewnętrznym, uiszczanym w biletach kredytowych, była spożytkowaną w ten sposób, że rząd na też wypłaty wypuszczał monetę papierową, a ilość kruszcu w ten sposób nabytą, dołączał do swjej rezerwy funduszu wymiany. Fundusz téż ten, wynoszący w początku r. 1868 rubli 88,9 milionów, doszedł w roku 1875 do 231,2 milionów rubli ²⁾.

Oprócz tego, napływ kruszcu, sprowadzony realizowaniem za granicą wartości kolei żelaznych, ułatwił rządowi rosyjskiemu wypłatę kuponów od pożyczek państwowych zagranicznych. Fundusze, zrealizowane zagranicą, używane były na miejscu do uiszczenia tych wypłat, a uzupełniły się wewnątrz środkami budżetowemi. Te obroty, dozwoliły rządowi rosyjskiemu obyć się bez poszukiwania na giełdach krajowych wartości obcych, za których pośrednictwem, dokonywał dawniej swych wypłat zagranicznych. Zobaczymy później, że gdy zatrzymało się budowanie kolei żelaznych, to rząd znowu uciec się musiał do zakupu weksli. Wolno nawet przypuszczać, że rząd na swoje zwłaszcza wypłaty zagraniczne, obracał wszystkie przewyżki, tworzące się przez realizacją wartości kolei żelaznych za granicą, i że uzupełnianie funduszu kruszcowego dokonywało się głównie z dochodu kopalni syberyjskich. Wytwór tych kopalni w złocie wyniósł 261 milionów rubli w latach sześciu, od 1866

¹⁾ *Wpływ dróg żelaznych na stan ekonomiczny Rosyi.* Jan Bloch. Tom I, tab. VI.

²⁾ Tamże, tom V, str. 114.

do 1877 ¹⁾. Ale to w niczem nie zmienia tego ważnego faktu, że z pomocą pozostałości od sum metalicznych, realizowanych na rzecz kolei żelaznych, rząd mógł znacznie powiększyć swój zapas kruszcowy, powiększając w tym samym stosunku obieg biletów kredytowych.

II.

Przechodzimy teraz do wpływu dróg żelaznych na wytwórczość. Jakaśmy to wykazali w artykule poprzedzającym, z ogólnej cyfry kapitałów, użytych na budowę sieci, w okresie między rokiem 1866 i 1875, wydatkowano wewnątrz kraju, rubli 481,5 milionów. Przeszło połowa tej sumy, posłużyła na zapłacenie robocizny. W okresie bowiem o którym mówimy, liczba robotników, używanych corocznie do budowy, wynosiła średnio 84 tysiące ludzi, przy zapłacie przeciętnej każdemu po 297 rubli rocznie. Tym sposobem 249,9 milionów rubli przedstawia koszt robocizny; 111,2 mil. korzyści przedsiębiorców i pensye inżynierów oraz administratorów; nareszcie w 120,4 milionach rubli, mieści się zakup materyałów.

Rozbiór szczegółowy daje nam możność rozłożenia cyfry 111,2 mil., którąśmy tylko co przytoczyli, a zarazem wskazać fakt dosyć ciekawy. Korzyści przedsiębiorców i pensye inżynierów, figurują w tej cyfrze prawie zupełnie na równi, czyli wynoszą 55,6 milionów. Pozostałe 55,6 mil., przedstawiają pensye składu osobistego 1390 ludzi, użytych corocznie do administracji wyższej, z płacą średnią czterech tysięcy rubli na rok ²⁾.

Okazaliśmy również, że na koszta wyzysku pobudowanych dróg żelaznych, w okresie od 1866 do 1875 r. wydatkowano ogółem 535,7 milionów rubli, z których 58% ³⁾ na pensye i robocizny. W roku zaś 1876 na sieci, mającej 17,658 wiorst, wydatki na te pozycye wynoszą 54,8 milionów rubli.

Widoczném jest, że samo powiększenie pracy i korzyści, wyrażające się w sumach tak wielkich, musiało przyczynić się znacznie w kraju do popytu na wytwory przemysłowe i inne, dając licznym kategoriom ludzi, sposób do zadosyćuczynienia nowym potrzebom. Powiększenie popytu musiało naturalnie ożywić wytwórczość krajową. Nadto, ponieważ większa część przedmiotów zbytkowych przybywa do Rosyji z zagranicy, przeto powstawanie całkiem nowej klasy osób zamożnych, tworzącej się skutkiem oszczędności, osiągniętych na budowie i wyzysku dróg żelaznych, musiało koniecznie wpłynąć na powiększenie przywozu. Nie trzeba téż zapominać masy nowych płac i korzyści, które wynikły z nadzwyczajnego rozszerzenia się, dzięki kolejom żelaznym, sfery zbytu dla przedmiotów sprzedażnych, wytwarzanych w kraju.

¹⁾ *Wpływ dróg żelaznych na stan ekonomiczny Rosyji.* Tom V, str. 115.

²⁾ Tamże, tom I, tab. XXVIII. ³⁾ Tamże.

Nie chcąc nadużywać cierpliwości czytelników, ograniczymy się na zapewnieniu, bez przytaczania cyfr, że drogi żelazne w ogólności, nie zmniejszyły przewozu wodą, a aczkolwiek znacznie osłabiły przewóz towarów drogami zwyczajnymi na odległościach wielkich, nagrodziły to sownie, zwiększając przewozy po odległościach krótszych, ożywiając ruch ogólny handlu i ześrodkowując to ożywienie, około głównych punktów sieci.

Popyt na wytwory krajowe sprawił to, że ceny ich się podniosły, a z nimi i korzyści fabrykantów, co popchnęło do rozszerzenia produkcji zakładów istniejących i do zakładania fabryk nowych. Przedsiębiorstwa przemysłowe, rolne i handlowe, doznały tém większego rozwoju, że jednocześnie utworzenie banków handlowych i gruntowych, dało im większą łatwość kredytu, a rewizya taryfy celnej z r. 1869, dokonana w duchu protekcyjnym, przyszyła w samą porę, wzmagając jeszcze popęd nadany budową sieci.

Porównyując cyfry urzędowe wytworu rolnego w r. 1872 z takąż produkcją r. 1863, stanowiącego punkt wyjścia dla nagłego rozwoju sieci, nie przychodzimy do ogólnego wyniku, któryby zdolnym był udowodnić znaczne powiększenie wytworu zbożowego. Zbiór z r. 1872, wyłączając zeń ilość potrzebną na zasiew, wynosi 210,2 milionów czetwerti. Z tej ilości 170½ mil. czetw. pochłania, licząc w to żywność koni i wyrób alkoholu, spożycie wewnętrzne. Pozostaje więc z ogółu wytworu 39,7 ¹⁾ mil. czetw. w okrągłej cyfrze, na wywóz i zapasy. Ta ostatnia cyfra przedstawia przewyżkę nieznaczną w porównaniu z rokiem 1863, bo nie przechodzi 1,6% ogółu zboża, rozporządzalnego na wywóz w tymże roku.

Ale porównywanie całości według cyfr urzędowych produkcji Państwa, nie jest środkiem właściwym do ocenienia wpływu dróg żelaznych na wytwórczość rolną. Jakkolwiek wielkie rozmiary przybrała sieć rosyjska w ostatnich piętnastu latach, daleko jęj jeszcze do objęcia niezmiernęj powierzchni Cesarstwa, a wpływu jęj na wytwórczość rolną, nie można odczuć dla braku dróg podjazdowych, istniejących gdzieindziej a nie w pobliżu linii. Faktem przeważnym w wytwórczości rolnęj, jest także stosunek ludności do przestrzeni gruntu, a rzecz jasna, iż drogi żelazne w pierwszym czasie istnienia swojego nie mogły zastąpić braku rąk, i z tego też powodu kultura rozszerzyć się mogła z wolna, głównie tylko w miarę wzrostu ludności.

Dla bliższego więc ocenienia bezpośredniego wpływu dróg żelaznych na wytwórczość rolną, trzeba ograniczyć się do rozpoznawania go w promieniu szczuplejszym, a mianowicie w miejscowościach, gdzie środki materyalne dostarczane przez budowę, były tak znaczne, że zdolne były stać się czynnikiem ważnym w wytwórczości nawet rolnęj, za pośrednictwem ulepszeń, które, dzięki kapitałom, mogły być wprowadzone do

¹⁾ *Wpływ dróg żelaznych na stan ekonomiczny Rosyyi. Tom II, str. 25.*

kultury. W kraju o kulturze pierwiastkowej, ulepszenia te przedstawiają się nadewszystko w użyciu odpowiedniejszych narzędzi rolniczych, w utrzymaniu większej liczby inwentarzy żywych, a przeto i w produkcji większej ilości pracy i nawozu. Owóż, jeżeli weźmiemy pod uwagę wyniki, pojawiające się w obrębie środkowym wytwórczości rolniej w Rosyji, reprezentowanym przez gubernie: Kurską, Tambowską, Tuską i Orłowską, to możemy się przekonać, że w tej części Państwa, wytwórczość rolna w okresie który nas zajmuje, rozwinęła się niesłychanie.

Drogi żelazne, dając guberniom, promieniem tym objętym, znaczne korzyści przy budowie, a następnie ułatwienia w korzystnym zbyciu ich zboża za granicą, przyspieszyły wzrost wytwórczości nie już w stosunku do wzrostu zaludnienia, ale nierównie wyżej. Przewyżki zbioru zbóż w tych prowincjach, ponad potrzeby spożycia miejscowego, wzniósł się w tym okresie względnie do tego jak było przedtém o 424% w gubernii Kurskiej, o 531% w gub. Tambowskiej, o 143% w gub. Tulskiej i o 62% w gub. Orłowskiej ¹⁾.

Dzięki temu cząstkowemu, ale bardzo znacznemu przybytkowi wytwórczości rolniej w niektórych częściach kraju (lubo w innych, mniej korzystnie obdzielonych siecią, ilość zboża rozporządzalnego do wywozu pozostawała prawie nieruchomą), cyfra ogólna wywozu mogła się znacznie podnieść. Cyfry, jakie przedstawiają sprawozdania urzędowe z handlu zagranicznego, wskazują rzeczywiście, że wywóz zboża w roku 1874, doszedł do 26,723,719 czetwerti,

	w 1875 roku do	22,441,689	chetwerti
1876	„	25,403,573	„
1877	„	30,690,037	„
1878	około	35,000,000	„

Tymczasem w r. 1865 nie dochodził nawet do 10 milionów czetwerti ²⁾. Przewaga wpływu dróg żelaznych w wywozie zboża, okazuje się w tym fakcie, że eksport 64% zboża wywożonego corocznie, odbywa się kolejami (około 17 $\frac{3}{4}$ milionów czetwerti w r. 1874), a reszta, idzie wodą lub drogami zwyczajnymi.

Pomiędzy krajami zakupującymi w Rosyji zboże, Wielka Brytania zajmuje pierwsze miejsce. Jakoż na 25,404,000 czetwerti, wywiezionych w 1876 roku, 8,477,000 czetwerti przypada na Wielką Brytanią. Prusy, pomimo zachęt płynących z blizkiego sąsiedztwa, zażądały tylko 4,290,000, a Francya 2,413,000 czetw. Sama zatem Wielka-Brytania zabrała 33,37% całkowitego wywozu zboża rossyjskiego. Ponieważ ogólne zapotrzebowanie zboża zagranicznego przez Wielką-Brytanią, średnio biorąc, wynosiło rocznie 38,276,000 czetwerti (w okresie od 1869 do 1875 roku), przeto więcj niż czwartą część całkowitego przywozu zboża w tym kraju, stanowiło zboże rossyjskie ³⁾.

¹⁾ *Wpływ dróg żelaznych na stan ekonomiczny Rosyji.* Tom II, str. 29.

²⁾ Tamże, tom IV, str. 19.

³⁾ Tamże, tom IV, str. 24.

Cyfry te wykazują ważność rynku angielskiego dla wywozu rosyjskiego, w którym, jak wszystkim wiadomo, zboże gra rolę główną. Współzawodnictwo Ameryki obniżyło w ostatnich latach zapotrzebowanie zboża rosyjskiego w Anglii, a przywóz zboża amerykańskiego do Wielkiej-Brytanii, dawniej znacznie niższy od zboża rosyjskiego, dorównał mu wreszcie, a nawet go przewyższył. Cokolwiekbyż wszakże, widoczném jest, że jeżeli Rossya i dziś jeszcze może współzawodniczyć na targu angielskim ze zbożem amerykańskiem, to właśnie dzięki jedynie swoim kolejom żelaznym. Bez nich, w samej rzeczy, ilość zboża rosyjskiego, przybywającego do Anglii, byłaby się prawdopodobnie zatrzymała na cyfrze od 3 do 4 mil. czwartki rocznie, jak to było przed r. 1866; gdy tymczasem dzisiaj, przedstawia się większą jeszcze w dwójnasób, pomimo zmniejszenia, spowodowanego współzawodnictwem amerykańskiem.

Byłoby rzeczą nader nauczającą zbadać wpływ, jaki koleje żelazne wywarły na chów bydła i w ogóle na rozmnożenie zwierząt domowych w Rossyi. Na nieszczęście, dane statystyczne są pod tym względem bardzo niepewne, a nawet sprzeczne. W naszej obszerniej pracy o inwentarzu, probowaliśmy oznaczyć liczbę zwierząt domowych w Rossyi, w stosunku do rozciągłości gruntów ornych, i w tym celu użyliśmy metody przyjętej w Prusiech, a polegającej na ustaleniu stosunku rozmaitych ras zwierzęcych do jednostki, wyobrażanej przez bydło większe. W tym celu przyjęliśmy, że wół lub krowa równa się $\frac{2}{3}$ konia, 10 owcom, 12 kozom, 4 wieprzom, i w obrazie ogólnym, daliśmy zarys ilości odpowiadających każdej gubernii przez kilka okresów osobnych, obejmujących przeciąg czasu od roku 1846 do 1871. Obraz ten przedstawia takie główne wyniki: cyfra zwierząt domowych, odniesionych do jednostki bydła większego, wynosiła w 1846 roku 51,284,000, a w roku 1870—1871, równała się 51,752,000. Porównanie więc to ilościowe, zdaje się wykazywać niejaki przyrost ¹⁾.

Jeśli cyfry odnoszące się do rolnictwa i do chowu bydła, nie dają nam dość wyraźnego świadectwa co do wpływu dróg żelaznych na Rossyą gospodarczą, płynie to z dwu powodów. Najsamprzód, cyfry te bynajmniej nie mają dostatecznego stopnia dokładności. Stanowczo godzi się przypuszczać, że przy możności dokładniejszego oceniaenia produkcji rolnictwa, możnaby zaznaczyć postępy wyraźniejsze niż te, jakie zdają się wskazywać cyfry urzędowe przez nas przytoczone. Następnie—a punkt to główny—wpływ dróg żelaznych na rolnictwo, jakżeśmy to już zauważyli wyżej, przy braku dróg odpowiednich podjazdowych, mógł dać się uczuć tylko bezpośrednio w pobliżu torów. Co do całości kolosalnego wytworu rolnego Państwa, drogi żelazne wpływać mogą na tę całość, jedynie w ich stosunku do rozciągłości przerznanego gruntu i do cyfry zaludnienia. Owóż, jedna wiorsta sieci dróg rosyjskich, odpowiada 285 wiorstom kwadratowym przestrzeni kraju,

¹⁾ *Wpływ dróg żelaznych na stan ekonomiczny Rossyi.* Tom. III, str. 8.

a 4,7 tysiącom mieszkańców, kiedy np. w Belgii, jedna wiorsta sieci odpowiada 9 wiorstom przestrzeni i 0,4 tysiącom mieszkańców ¹⁾. Te cyfry porównawcze okazują, że sieć rosyjska nie może jeszcze odgrywać, stosunkowo do całości Państwa, roli stanowczej w rozwoju rolnictwa, doznającego przeszkód w czynnikach ważnych, których wpływ nie mógł się zrównoważyć przez sieć taką, jaką widzimy dzisiaj. Czynniki te są: jałowość gruntu i surowość klimatu w znacznej części kraju, trudności stawiane przez zaprowadzony system podatkowy i ustrój administracyjny w przenoszeniu się ludności wiejskiej z jednego punktu na drugi, nareszcie brak rąk.

W warunkach tych, wpływ budowania dróg żelaznych na rolnictwo w Rosyi, dał się uczuć aż do dziś dotykalnie w tych trzech tylko punktach: 1) w ulepszeniu kultury gruntów środkowych, leżących wzdłuż wielkich linii komunikacyjnych; 2) w rozszerzeniu się kultury, przez obrabianie gruntów nowych na południu Rosyi, czyli w pasie klimatu umiarkowanego i gleby bogatej, niepotrzebującej wcale lub mało nawozu; oraz 3) w znacznym podwyższeniu się cen ziemi, czyli co na jedno wychodzi, dochodu od roli, w tych samych miejscowościach. Ale te fakta szczególnie ważne, jakkolwiek ważne, toną niejako w warunkach niekorzystnych, oddziaływających na całość, skutkiem ogromnej przestrzeni Państwa, i z tego też powodu wpływ dróg żelaznych nie może być jak nateraz jeszcze należycie wyświeconym przez dane liczebne, w stosunku do całej przestrzeni kraju.

III.

Łatwo zrozumieć, że wskazówek wpływu wywieranego przez drogi żelazne na wytwórczość i spożywczość, szukać należy przede wszystkim w cyfrach, mieszczących się w wykazach statystycznych handlu zewnętrznego.

Najsamprzód, cyfry te mają dla państwa interes i przedstawiają więcej dokładności, niż ogólne zestawienia o produkcji całego Państwa; powtórę, cyfry wyjęte z tych wykazów, dają obrazy jednorodniejsze i lepiej przeto służyć mogą do porównania. W tym celu, rzucimy okiem na zmiany zaszłe w wywozie i przywozie przedmiotów ważniejszych, od czasu rozwinięcia się sieci rosyjskiej, t. j. od r. 1862 aż do lat ostatnich. Ażeby niezapełniać zbyt wiele cyframi tych kartek, przeznaczonych do przeczytania a nie do specjalnych studyów, zmuszeni jesteśmy odesłać czytelnika do naszego dzieła specjalnego o Handlu zewnętrznym, tu zaś ograniczymy się tylko na opisanie głównych zmian, uwydatnionych przez atlas graficzny, do tegoż dzieła dołączony.

Jakśmy już wskazali ogólnikowo w poprzedniej części naszej rozprawy, wywóz i przywóz zwiększyły się znacznie w okresie budowania kolei żelaznych. Lecz rozwój przywozu, okazuje się znaczniejszym od rozwoju wywozu. I tak być musiało. Istotnie, budowa ko-

¹⁾ *Wpływ dróg żelaznych na stan ekonomiczny Rosyi.* Tom I, t. b. XIII.

Tei żelaznych winna była sprowadzić dwa wyniki: ożywić wytwórczość, ułatwiając odbyć wytworom za granicę, oraz powiększyć spożywczość wewnętrzną, przez dostarczenie ludności nowych korzystnych źródeł pracy i oszczędności, z części znacznych kapitałów, puszczonej w obieg wewnętrzny. Owóż, wytwórczość wymaga do rozwinięcia się dłuższego czasu niż popyt do objawienia się. Rzeczą więc nieuniknioną było to, że przywóz musiał się zwiększyć bezpośrednio, w stosunku daleko silniejszym niż wytwórczość wewnętrzna. Następnie, iżby ta ostatnia mogła wzrost swój objawić przez wywóz na zewnątrz, musi ona nie tylko rozmiarami swojemi przejść powiększone potrzeby wewnętrzne, lecz nadto uczynić zadosyć warunkom specjalnym, podyktowanym przez naturę zapotrzebowań zagranicznych. Tym sposobem za tezę ogólną postawić można, że Rossya przedewszystkiem doznać była winna potrzeby zwiększonej wszystkich wytworów, służących do zapewnienia pewnego komfortu, jeżeli rzeczywiście jednocześnie z budową sieci, okazał się wzrost ogólnego dobrobytu w kraju. Jasna rzecz, że jeżeli potrzeby te dają się uczuć, że tak powiem, zniecka, skutkiem wielkiego napływu kapitałów w kraju, wytwórczość wewnętrzna nie może im czynić zadosyć bezpośrednio na razie, a tém samém kraj, dla zadosyć uczynienia nowym zapotrzebowaniom swoim, ucieknie się do przywozu z zagranicy. Sam nawet stopniowy rozwój wytwórczości wewnętrznej, nie będzie się mógł objawiać inaczej, jak tylko przez współzawodnictwo wewnętrzne z wytworami obcemi, i dopiero w okresie daleko późniejszym, niektóre gałęzie produkcyi osiągną takiego stopnia wzrostu, że nadmiar będzie mógł być zbywanym za granicę, a zatem i skontrolowanym przez cyfry wywozu. Kraje o przemyśle wysoko rozwiniętym—jeśli czego potrzebować będą od Rossyi, toć oczywiście nie środków zmniejszających, ale powiększających pracę przemysłową u nich; a więc żądać będą przedewszystkiem: materij surowych.

Z przyczyn tych, działających łącznie, wytworzyły się fakta, które odnajdziemy w oddzielnym rozbiorze rozmaitych gałęzi handlu rosyjskiego z zagranicą: znaczne zwiększenie ogólne całkowitej cyfry handlu, przywóz zwiększony silniej niż wywóz, w zwiększonym wywozie przewagę materij surowych; w rozwiniętym przywozie, przewagę przedmiotów służących do komfortu i przeznaczonych do zadosyćuczynienia potrzebom nowym. Ostatni ten objaw, wskazuje rozwój niezaprzeczonego dobrobytu w Rossyi i stanowi jak nateraz jeszcze: fakt najdonioślejszy z całego wpływu dróg żelaznych na stan gospodarczy Rossyi.

Rozumie się wreszcie, że fakta te ogólne ulegają niektórym wyjątkom i w rozbiorze specjalnym każdej z *gałęzi handlu* wziętej oddzielnie, zauważyć się dają *pewne anomalie*. Jakoż, co do *wytworów spożywczych*, rozklasyfikowanych na trzy kategorie, jako to: wytwory surowe, półobrobione i obrobione widzimy najsamprzód, że całkowite sumy tak przywozu jak wywozu, zwiększyły się potężnie od r. 1862 do 1875. Ale, kiedy w *przywozie* stosunek wytworów surowych do obr-

bionych, w roku 1862 był jak 21,9 do 25,1 milionów rubli, a r. 1875 63,5 do 44,8 mil.; to stosunek wytworów surowych do obrobionych, w *wywozie* roku 1862, wynosił 50,4 do 1,7, a w roku 1875 186,1 do 7,8 milionów rubli. Zaznaczyć jednak potrzeba to, że i sameż te stosunki stanowią wyjątek tylko na pierwszy rzut oka. Albowiem wytwory surowe spożywcze, przywożone do Rosyi, oprócz jednej soli, wszystkie wchodzą w kategorię przedmiotów komfortu. Klasyfikując przywóz i wywóz wytworów spożywczych według cen i sprowadzając je do trzech nowych kategorii, a mianowicie przedmiotów pierwszej potrzeby, komfortu i zbytku, dostrzegamy że za r. 1862 stosunek kategorii pierwszej do drugiej, wynosił 11,8 do 26,4, a w r. 1875 23,1 do 67,3 w dziale przywozu. Co dowodzi, że faktem przeważającym we wzroście przywozu nawet wytworów spożywczych, było zadosyćczynienie potrzebom wyrafinowańszym, zależnym od wzrostu dobrobytu krajowego. Co do cyfr porównawczych wywozu, przedmioty pierwszej potrzeby tworzyły i tworzą prawie ich całość. Od 56,5 milionów w r. 1862 dochodzą do 197,7 milionów w r. 1875, gdy tymczasem artykuły spożywcze wyższego rzędu, dochodzą zaledwie do 1,4 mil. w roku 1862, a do 2,6 mil. w r. 1875 ¹⁾.

Przechodząc do gałęzi handlu przedmiotów, służących do urządzenia mieszkań i gospodarstw, okazuje się także, że potrzeby komfortu a po nich potrzeby zbytku, przeważają w przywozie, zwłaszcza od r. 1862. Jakoż w r. 1862 przywóz obliczony w milionach rubli, rozdzielał się tak: artykuły pospolite 0,3; przedmioty wyższe (komfort) 0,8; przedmioty zbytkowe 3. Na rok 1875, znajdujemy rozdział następujący: pierwsza kategoria 1,4; druga 4,4; trzecia 13,6. Tym sposobem, kiedy przywóz przedmiotów użytku powszedniego i zbytkowych, powiększył się tylko w czwórnasób; przywóz przedmiotów, należących do zamożności średniej rósł w stosunku od 0,8 do 4,4, czyli od 1 do 5½ ²⁾.

Przychodzimy do ważnej grupy materiałów budowlanych, maszyn i narzędzi. W wywozie tych przedmiotów, wytwory surowe mają się do wytworów półobrobionych (r. 1875) jak 27,5 milionów do 1,3; przeciwnie, w przywozie za tenże rok, wytwory surowe wynoszą tylko 6,1 mil. rubli, kiedy wytwory półobrobione, dochodzą do 68,5 milionów, a wytwory obrobione 54,6 mil. Jeżeli teraz cyfry te porównamy z cyframi r. 1862, wypadnie nam w tymże samym porządku kategorii: na wywóz 5,9 i 1,5 mil.; na przywóz 1,9,—5,7 i 11,5 mil. rubli. Tym sposobem wzrost objawił się przedewszystkiém w przywozie wytworów półobrobionych, i to głównie w kruszczach napół obrobionych ³⁾.

¹⁾ *Wpływ dróg żelaznych na ekonomiczny stan Rosyi. Atlas, Handel zewnętrzny, tab. I.*

²⁾ *Tamże, tab. III.*

³⁾ *Tamże, tab. IV.*

Taż sama przewaga wytworów półobrobionych we wzroście przywozu dostrzeżoną być może odnośnie do grupy *przedmiotów, służących dla przemysłu i oświetlania*. Kiedy cyfry na rok 1862 były: 5,4 mil. rubli za wytwory surowe, a 13,8 mil. za półobrobione, cyfry odpowiednie za r. 1875 są: 21,8 i 38,7 mil. rubli ¹⁾. W wywozie przedmiotów tej grupy widzimy ruch biegunowo przeciwny: cyfry wytworów półobrobionych zmniejszają się stale, kiedy cyfry wytworów surowych powiększają się w stosunku silnym.

Nim pójdziemy w tym rozbiórce dalej, zwrócimy uwagę, że wzrost względnie przeważny wytworów półobrobionych w całości przywozu, dowodzi tego faktu donośnego, że *przemysł rossyjski rozwija się, ale że jest jeszcze za słaby, ażeby mógł od zagranicy zapotrzebowywać głównie samych tylko materyi surowych, kiedy natomiast takich głównie materyi zagranica zapotrzebowywa od Rossyi*.

Grupa *przedmiotów ubiorych* przedstawia nam przykład przeciwny, ale służący za świadectwo, że wyjaśnienie, jakieśmy tylko co dali, jest uzasadnioném. Cóż wyobraża grupa, do rozbioru której przystępujemy? Najsamprzód materyały takie jak: bawełna, len, wełny, jedwabie, skóry i futra; następnie ubiory gotowe i kapelusze, oraz wonności, które zaliczamy do tej grupy, jako artykuły toaletowe. Owóz, jeżeli jest jaka gałąź przemysłu, któraby w Rossyi dosięgła pewnego stopnia niezależności, to niewątpliwie przemysł tkacki. Co do tej grupy widzimy też przeważającemi w przywozie, nie tylko już wytwory półobrobione, ale owszem materye surowe. Rozwój przemysłu krajowego w tej gałęzi, jasno wydatnieje z cyfr przywozu rozklasyfikowanego, jaki znaleźć można w tablicach i atlasie graficznym, do dzieła naszego dołączonym. Jakoż, co do wartości przedmiotów przywozowych, dostrzegamy, że aż po rok 1850, cyfry artykułów surowych są daleko niższe od artykułów półobrobionych, a nawet od gotowych. Począwszy od r. 1850 stosunek ten się odwraca, a artykuły surowe zajmują pierwsze miejsce, lubo ogół ich lekko tylko przewyższa artykuły dwu innych kategorii.

Następuje potem okres nagłego rozwoju sieci dróg żelaznych, a przywóz przybiera rozmiary aż dotąd nieznanne. Jakoż, ubiory gotowe z 12,5 do 19,8 mil. rubli (przed rokiem 1862) wnoszą się w 1867 roku do 28,1 i wzrastają wciąż tak, że w r. 1875 podnoszą się do 49,2 mil. rubli. Ogół ich więc powiększył się przeszło w trójnasób od r. 1862. Artykuły półobrobione, pod temiż samemi datami, przedstawiają całości wyrównyujące 10 milionom; 19,9 i nareszcie 38,4 ²⁾.

Ale ten postęp, rosący nadewszystko, wydatnieje w całościach przywozu artykułów surowych. Z 1,3 miliona 10 i 21,3 mil. w początkach, połowie i końcu okresu od r. 1830 do 1862, dochodzą one

¹⁾ *Wpływ dróg żelaznych na stan ekonomiczny Rossyi. Atlas, Handel zewnętrzny, tab. IV.*

²⁾ *Tamże, tab. II.*

w r. 1869 do 38,2, a w r. 1875 do 62,6 mil. rubli. Te cyfry porównawcze wskazują, do jakiego stopnia ów wielki ruch nadany położeniu ekonomicznemu przez budowę sieci, z jednej strony powiększył spożycie, a z drugiej podniósł znaczenie przemysłu krajowego.

Podział przywozu na artykuły powszednie, komfortowe i zbytkowe w gałęzi niniejszej, okazuje, że ze zaszłych zmian skorzystała przed innemi warstwa ludności najliczniejsza. Jakoż, ułatwienia, zyskane przez drogi żelazne w przewozie artykułów surowych przywozowych, dały potężnego bodźca fabrykacyom tkanin i materji w kraju, a przeto masy ludności mogły po cenach przystępnych, nabywać artykuły, bez których obywały się dotąd, czyto spożywczość swą ograniczając do przedmiotów krajowych najgrubszych i najtańszych, czy też poprzestając na tkaninach i materjach, sporządzanych przez samychże spożywców z wytworów, uprawianych na własnym swym gruncie. Ponieważ rok 1862 przedstawia sumy przywozu wyjątkowo niskie (mówimy o artykułach, służących do odzieży), przeto za punkt porównania weźmiemy rok 1861, naprzeciw roku 1875. Oto są cyfry rozklasyfikowane według artykułów przywozowych za dwa te lata, przyjęte za punkt porównania:

Przedmioty użytku powszedniego: rok 1861 rubli 28,4 milionów, rok 1875 rub. 99,1 mil.; przedmioty komfortowe: rok 1861 rub. 13,4 mil., rok 1875 rub. 26,4 mil.; przedmioty zbytkowe: rok 1861 rub. 9,4 mil., rok 1875 rub. 24,7 milionów ¹⁾.

Widzimy ztąd, że kiedy ogół tych ostatnich powiększył się 2½ raza, ogół artykułów komfortowych tylko się podwoił, a tymczasem ogół artykułów do użytku powszedniego, podniósł się jak 1 do 3½.

Przedmioty, służące *do wychowania i do pracy umysłowej*, zebrałiśmy w osobną grupę, w której zawierają się: utwory sztuki, przyrządy fizyczne, matematyczne i optyczne; książki, mapy geograficzne, nuty, zabawki dziecinne, papier i narzędzia muzyczne. Ponieważ wywóz przedmiotów tych z Rosyi jest nic nieznaczącym (nie dochodzi nawet do pół miliona rubli), odsuniemy go przeto na stronę, a zatrzymamy się jedynie na danych przywozu.

Rozbiór postępu w przywozie tej grupy, posłuży za nowy dowód do utwierdzenia czytelnika w konkluzji ogólnej, jaka z pracy naszej wynika, a mianowicie, że rozwój Rosyi uczynił wielkie kroki w ostatnich piętnastu latach, oraz że w zaszłych zmianach gospodarczych, znaczna rola przypada drogom żelaznym, których budowanie stanowi rys najwydatniejszy tego okresu.

Wartość przywozu tej ostatniej grupy po rok 1852, nie przechodziła 1 miliona rubli. W dziesięć lat potem, t. j. w r. 1862, już się podwoiła; ale odtąd postęp był daleko szybszym, gdyż w okresie od 1867 do 1875 r. widzimy przywóz trzy razy większy od tego, jakim

¹⁾ *Wpływ dróg żelaznych na stan ekonomiczny Rosyi. Atlas, Handel zewnętrzny, tab. II.*

był w r. 1862, czyli doszedł do 6 mil.; w r. 1876 wzrósł nawet do 7,9 milionów ¹⁾).

Nie wchodząc w rozbiór zbyt szczegółowy tych faktów ogólnych, dla jaśniejszego uwydatnienia ważności postępów dokonanych, przytoczymy kilka cyfr, odnoszących się wyłącznie do przywozu książek. Wartość zadeklarowana książek, nut, rysunków i map, sprowadzanych corocznie do Rosyi w okresie od r. 1830 do 1832, czyniła razem 190,013 rubli, a za rok 1876 wynosi 3,320,556 rubli.

Ażeby zamknąć ten statystyczny przegląd handlu zewnętrznego, spożytkujemy fakt, odnoszący się do grupy przedmiotów edukacyjnych i posługujących przy pracy umysłowej. Cyfry nam wskazują, że przywóz tych przedmiotów w latach dwudziestu, poprzedzających rok 1860, był prawie niezmiennym. Od r. 1860 do 1862, czyni on nagle krok znaczny, wnosząc się do 966½ tysięcy rubli. W r. 1869, t. j. kiedy budowa kolei żelaznych weszła już w okres wielkiej działalności, przywóz w grupie, o której mówimy, nie uczynił postępów nowych: wynosi on 961,000 rubli, t. j. nieco mniej niż od 1861—1862 r. Dopiero od r. 1870 wzrost poczyna się szybki: ogół dochodzi do 1,152,000, a wnosząc się wciąż prawie bez przerwy w latach następnych, dochodzi nareszcie w r. 1875 do 3 mil., a w r. 1876 do 3⅓ mil. rubli, czyli do cyfry przeszło dziesięćkroć wyższej od lat 1850—1852 ²⁾. Jaką wskazówkę wyciągnąć z porządku, w którym odbyły się te zmiany? Zdają się one wskazywać nam, ażebyśmy nie tracili z uwagi faktu, o którym mówiliśmy już w pierwszej części, a mianowicie: że jakkolwiek wielką była rola dróg żelaznych w zmianach, nie można spuszczać z uwagi udziału reform. Bardzo trudno jest oddzielić ich wpływ ekonomiczny od wpływu kolei żelaznych, niepodobna nawet jąc się tego z nadzieją dojścia do pewnej ścisłości; ale niemniej trzeba mieć zawsze na względzie obie te przyczyny, działające jednocześnie i wspólnie. Rzeczą jest naturalną przypuścić, że w niektórych objawach dokonanych ulepszeń, mianowicie stykających się ze stroną umysłową, rola reform była przeważną, kiedy drogi żelazne wywierały znowu wpływ znaczniejszy na postęp wytwórczości, a tém samém i handlu.

I tak, w grupie, o której mówiliśmy, ruch wzrastający, charakterystyczny, odpowiada zrazu okresowi od r. 1860—1862; owóz, lata te nie tworzyły epoki w budowaniu kolei żelaznych, ale stanowiły istotnie nową erę w instytucjach krajowych, erę reform. Rok 1861 jest wielką datą usamowolnienia włościan. Kraj zelektryzowany tym środkiem radykalnym, tym wielkim krokiem ku zbliżeniu z wolnym Zachodem, a zwłaszcza jego klasy inteligentne, rzuciły się z zapałem, tchnącym pewną gorączkowością, do nauki, do czytania. Wielka ta data

¹⁾ *Wpływ dróg żelaznych na stan ekonomiczny Rosyi. Atlas, Handel zewnątrzny, tom IV, tab. VI.*

²⁾ *Wpływ dróg żelaznych na stan ekonomiczny Rosyi. Tom IV, str. 223.*

oznaczyła zbudzenie się ducha społeczności rossyjskiej, porzucenie (niestety, nie stanowcze) dawnych utopii szowinistycznych i słowiańskich, doktryn optymistycznych, zaszczerpionych przez nieuctwo. Haśletem owoczesnym była chęć nauki, odzyskania straconego czasu, wstrzeźliwość myśli publicznej, pewna skromność narodowa, nie wyłączając bynajmniej patriotyzmu. Tylko że patriotyzm mieścił się wówczas w szlachetnych i płodnych aspiracjach tego, co wtedy w Rossyi nazywano „skupieniem ducha.” Kraj chciał zebrać całość sił swych ku wewnętrznej pracy nad odnowieniem tak dawno zaniedbaném i miał słuszność, odwołując się do „wiedzy,” i biorąc ją chętnie gdzie się znajdowała i bezwzględnie na plemienność i narodowość, ażeby „módz.” Otóż wielka to nauka, jaką nam przywodzi na myśl, z pozorów tak drobny fakt przywozu przedmiotów edukacyjnych i do pracy umysłowej służących, w latach od 1860—1862, nauka, której i dziś lekceważyć nie godzi się z pewnością.

Ten kierunek ducha publicznego trwał krótko, i po latach siedmiu, bo w r. 1869 widzimy, że przywóz pomocy naukowych nie podniósł się, przeciwnie osłabł.

IV.

Rozebrawszy wpływ, jaki budowa dróg żelaznych wywarła na położenie ekonomiczne Rossyi, musimy rzec słów kilka o przesileniu, które zawiesiło postępy ekonomiczne kraju, oraz zniweczyło usiłowania ministerstwa skarbu, podejmowane dla zapewnienia równowagi w budżecie państwowym. Przedewszystkiem winniśmy tu zwrócić uwagę czytelnika na fakt właściwy finansom rossyjskim, mianowicie na ogromny obieg monety papierowej, z kursem przymusowym. Ponieważ wymiana papieru na kruszec nie istnieje, i zbyt widoczna jest niemożność w jakiejś znalazłoby się Państwo, gdyby mu naraz przyszło masę puszczonej w obieg biletów kredytowych wykupić ¹⁾ ażeby wytworzyć cyrkulację metalową; przeto łatwo się zgodzić, że wartość stosunkowo dość znaczna tych biletów w tranzakcyach prywatnych, świadczy przynajmniej o wielkiem zaufaniu w dobre zamiary rządu. Niepodobna jednak zaprzeczyć, że częste emisje nowych biletów kredytowych, jakie odbywały się w ostatnich czasach przed wojną, wywołały w publiczności pewne obawy, i prasa jednomyślnie potępiła to powiększenie monety papierowej wśród pokoju, i w okolicznościach nie zdających się usprawiedliwiać tego rodzaju ostatecznych środków wyjątkowych..

Owóż, emisje te, jakieśmy wyżej wskazali, miały cel specjalny. Służyły one do wzbogacenia funduszu wymiany. Fundusz ten, który 1 lipca 1864 roku wynosił 68,5 milionów rubli, tak urosł w ciągu

¹⁾ Dzisiaj około 1,100 milionów rubli.

lat 11½, że na 1 stycznia 1876 roku podniósł się do 231,2 milionów rubli ¹⁾.

Lecz cóż z tego kiedy i ilość biletów kredytowych, będących w obiegu w tymże samym czasie, wzrosła z 627,4 do 797,3 mil. rubli. Tym sposobem fundusz kruszcowy zwiększył się o 162,7 mil., za pośrednictwem 169,9 mil. nowych emisji monety papierowej, przeznaczonych do zakupywania złota i srebra za opłatą ówczesnej zakupowi zwyczajki ²⁾.

Chodziło tedy o dowiedzenie się, jaki użytek uczynionym będzie z nagromadzenia w skarbcu Państwa kruszczu za przeszło 200 mil. rub. Czy próbować będą ustanowić wymianę, pomimo niepowodzenia, jakiemu podobna operacya uległa w r. 1862? Czy fundusz kruszcowy posłuży na zapas wojenny, jak *Kriegsschatz* pruski? Czy też fundusz ten, przez samo swe istnienie, nie wywierający prawie żadnego skutku na położenie finansowe, pomimo powiększania cyrkulacyi monety papierowej, pogorszącej niewątpliwie stan ekonomiczny, nagromadzonym został bez żadnego z góry obmyślanego planu?

Tymczasem, kiedy zadawano sobie te pytania, wystąpiły około r. 1875 okoliczności szczególne, które postawiły w niebezpieczeństwie ów tak mozolnie przez długie lata zbierany fundusz kruszcowy. Widzieliśmy wyżej, jak przy nagłym wzroście cyfry operacyi handlu rosyjskiego w ostatnim lat dziesiątku, przywóz dążył corocznie do coraz większej góry nad wywozem, co przeważyło szalę handlową przeciwko Rossyi, a jako skutek naturalny, pociągało za sobą konieczne zapotrzebowanie weksli na zagranicę, wskutku czego objawiła się ciągła tendencya do stopniowego opadania kursu wymiany. Widzieliśmy również, że masa kapitałów zapożyczonych u zagranicznych kapitalistów przez rząd rosyjski, na budowę kolei żelaznych, znacznie powiększyła potrzeby samegoż rządu, czyto w kruszczu, czy w wekslach na zagranicę, dla zadosyćczynienia nadwyżce wyplat rocznych na rzecz długu, tak zwanego skonsolidowanego.

Zatém, kiedy kurs przestał być podtrzymywany przez napływ gotówki, wynikający z umieszczenia zagranicą wartości kolejowych, podaż weksli na zagranicę zmniejszyła się na giełdach rosyjskich, a gdy popyt tych weksli z przyczyn wyżej wskazanych, się zwiększał, kurs wymiany od miesiąca listopada r. 1875, zaczął widocznie słabnąć. Niepokój jaki już w tej chwili budziła kwestya Wschodnia i obawa iż rząd rosyjski może być wciągniętym do czynnego udziału w wypadkach, pomnażały kłopotliwość położenia. Rząd wtedy uciekł się do środków jakie miał w funduszu kruszcowym, dla sztucznego podtrzymania kursu wymiany, w celu zapobieżenia nagłemu i jak sądził naówczas, wielce szkodliwemu upadkowi tego ostatniego. Użył nasamprzód

¹⁾ *Wpływ dróg żelaznych na stan ekonomiczny Rossyi.* Tom V, str. 28.

²⁾ Tamże.

w tym celu zasobów kruszcowych, jakie miał na swym rachunku u bankierów zagranicznych; potem sprzedawał prywatnym złoto w monecie obcej, pochodzącej z funduszu kruszcowego w Petersburgu za bilety kredytowe, po kursie naturalnie bardzo korzystnym w porównaniu z tym, po którym kupował je przedtém, dla utworzenia swego funduszu kruszcowego.

Środek ten popieranym był przez większość ludzi specjalnie przedmiotami finansowemi zajmujących się. Lecz dobrze nam wiadomo, że byli i tacy co przedstawiali, że operacja zamierzona nie omieszką spowodować spekulacyi podobnej do téj, która wywołaną została próbą wymiany uczynioną w r. 1862; że komplikacye polityczne dopomogą jej znakomicie, rząd ujrzy się w konieczności wystąpić przeciw spekulacyi; że walka przeciw niej, nie będzie mogła być prowadzoną bez ścieśnienia cyrkulacyi i kredytu wewnątrz, co właśnie daleko więcej aniżeli upadek kursu naraziłoby sprawę przemysłu i handlu. Ludzie także fachowi tak rozumujący, kładli szczególny nacisk na to, że operacja mająca na celu podtrzymanie kursu wymiany, bezwarunkowo nie powinna stawianą być jako system, co najmniej do czasu rozproszenia się obaw politycznych i dopóki położenie zapewnienia trwalszego spokoju nie zyska.

Zdanie jednak przeciwne przeważyło i administracya finansowa dla samolubnych widoków pewnej części giełdowników, popchniętą została do walki dla interesów ekonomicznych kraju złotowrogiej. Od początku sprzedawania złota przez bank Państwowy, aż po wrzesień r. 1876, fundusz kruszcowy zmniejszył się o 57,1 mil. rub., gdy tymczasem cyfra biletów kredytowych będących w obiegu, zmniejszyła się tylko o 54 mil. rub. Spekulacya rozwijała się z początku zwolna, nieśmiało, i dopiero stopniowo, kiedy domy zagraniczne wzięły w nią udział, otrzymała regularną organizacyą z syndykatem na czele, złożonym z miejscowych finansistów. Papiery publiczne i weksle należące do syndykatu, składały się w banku Państwa, który za tą rękojmą pożyczał spekulantom sumy w biletach kredytowych, służące im do zakupywania w tymże samym banku, weksli na zagranicę. Sumy kruszczowe nabyte tą drogą, służyły syndykatowi do zakupywania nowych walorów lub téż do składania jako rękojmą na wypożyczające się u zagranicznych kapitalistów papiery publiczne rossyjskie, które przesłane następnie do Rossyi, służyły dla powtórzenia téj samej operacyi.

Tymto sposobem fundusz kruszcowy w niespełna rok zmniejszył się o 57 mil. rub., a ostrożne obchodzenie się z takowym, potrzebniejszem było niż kiedybądź, gdyż widnokrąg polityczny zachmurzał się coraz bardziej. Ale zamiast zaniechać operacyi podtrzymywania kursu wymiany, administracyi finansowej właściwszém zdawało się przedsięwziąć środki represyjne przeciwko spekulacyi. Bank Państwa wezwał banki prywatne i osoby, które otrzymały sumy najznacznisze

w złocie, suponując że takowe należą do syndykatu, do wykupienia złożonych przez się funduszów, a nadto ograniczył swe operacye skupu weksli i pożyczek na papiery publiczne do tego stopnia, że powstała trwoga ogólna i ciężkie przesilenie.

Domy bankowe i bankierowie, podejrzani o branie udziału w operacyach syndykatu, mając gwałtownie cofnięte kredyty, zmuszeni byli zwrócić bankowi Państwa pożyczone odeń sumy, i naturalnie zaskoczeni znienacka, z témże samém wymaganiem zwrócili się do swych klientów. Wszystko to wyrodziło panikę i brak środków obiegowych, bardzo niekorzystnie wpływający na handel i przemysł; aż przecie w miesiącu październiku 1876 r., kiedy wypadki polityczne przybrały charakter jeszcze poważniejszy, operacya podtrzymywania kursu została zaniechana.

Kurs wymiany pod wpływem téj operacyi i walki, którą ona wywołała, utrzymywał się zrazu dość długo na 0,81 kop. metal. za rubel kredyt., ale w końcu operacyi, zszedł na 0,787; a po ogłoszeniu uruchomienia armii, spadł na 0,75 kop. W r. 1877 bliskość grożącej wojny obniżyła go w początku kwietnia do 0,697; po wypowiedzeniu wojny i aż po miesiąc czerwiec utrzymywał się dosyć równo na 0,66, potem w miesiącu sierpniu jeszcze opadł do 0,64. Później, w roku 1878, zszedł na 0,60, doznając wszakże częstych zmian z dążnością ku nieznacznemu podwyższeniu.

Wyżej opisane okoliczności, nie mogły pozostać bez wpływu i na papiery wartościowe rossyjskie, obracające się na giełdach zagranicznych. Dla oznaczenia zachodzących zmian, weźmiemy z targu londyńskiego ceny obligacyi konsolidowanych rossyjskich pięcio-procentowych 1873 r. Na 1 paźdz. 1876 r. stały one po 90%; w listopadzie, na wieść o uruchomieniu armii, spadły do 77%; w marcu r. 1877, po podpisaniu protokołu konferencyi w Konstantynopolu, podniosły się do 87½%; nazajutrz po wypowiedzeniu wojny, to jest 25 kwietnia, kurs takowych wynosił 69½%; po przejściu Dunaju podniosły się do 80%; w październiku, po kilku niepowodzeniach wojsk rossyjskich, obniżyły się do 74%, z dążeniem do późniejszej podwyżki. Najznaczniejsze więc zboczenie, wywołane ostatnią wojną, nie przechodziło 20½%. Tymczasem podczas wojny krymskiej, pomimo małej ilości papierów rossyjskich znajdujących się wówczas w obiegu, fluktuacye były daleko znaczniejsze, i tak: na 1 stycznia 1854 r. pożyczki 4% (tak zwane „holderskie“) notowane były po 91%; pod koniec marca, za wejściem floty angielskiej na Bałtyk, po 65½%. Zboczenie więc było 25½%.

Można przypuszczać, że taki stosunkowo korzystny kurs funduszów rossyjskich na giełdach zagranicznych w okolicznościach obecnych, częściowo przynajmniej, zawdzięczać należy zaprowadzeniu opłaty cła w złocie na komorach celnych, począwszy od 1 stycznia 1877 r. Środek ten nie tylko jednakże z tego względu zasługuje na szczególną wzmiankę. Według istniejącego wówczas kursu wymiany, pobiera-

nie ceł w złocie równało się podniesieniu ogólnemu taryfy celnej w stosunku 33%, a tém samém protekcji dla przemysłu krajowego w tymże rozmiarze. Czy rzeczywiście protekcya ta dla przemysłu krajowego była potrzebną i jakie z niej skutki wyniknąć mogły dla ogólnego interesu państwowego, z punktu widzenia nie tylko samych producentów lecz i daleko liczniejszych konsumentów, zostawiamy na teraz bez odpowiedzi, rezerwując ją sobie przy rozbiore rozmaiłych gałęzi przemysłu naszego miejscowego. W każdym razie atoli, trudno przypuścić, aby rząd stanowiąc ten środek ogólnikowo na kilka miesięcy przed wojną, rzeczywiście miał na względzie protekcją przemysłu wewnętrznego, albo nawet czysto fiskalne powiększenie dochodów celnych. Jedynym powodem racjonalnym, który wpłynął na ustanowienie tego środka, zdaje nam się być zamiar dobitnego okazania, że pierwszym staraniem administracyi finansowej rossyjskiej, jest zapewnienie wypłat procentów i amortyzacyi, od zaciągniętych zobowiązań za granicą, w wartościach metalicznych. Ministerjum finansów chciało faktycznie dowieść, że sposoby zadoścuczynienia przyjętym zobowiązaniom, nie zależą jedynie od możności zaciągnięcia pożyczek nowych za granicą, tak jak to utrzymywały organa prasy nieprzyjaznej Rosyi.

Ale bądź co bądź, faktem najwydatniejszym w dziejach finansowych ostatnich trzech lat w Rosyi, jest operacya podtrzymywania kursu wymiany, za pomocą środków funduszu kruszcowego. Jakoż niepodobna jest przypuścić, ażeby administracya skarbowa przedsiębrała zmniejszenie więcej niż o jedną czwartą część funduszu kruszcowego, nagromadzonego przez wiele lat i obstawała przy téj operacyi z narażeniem spokoju położenia finansowego wewnętrznego, przez środki ścieśniające cyrkulacyą a skierowane przeciwko spekulacyi, gdyby przewidywała bliskość, a choćby tylko prawdopodobieństwo wojny. Trudno uwierzyć zkądinąd, aby ministrowie kierujący polityką zewnętrzną i zarządem wojskowym, nie przewidywali takiej możliwości.

V.

W memoryale objaśniającym, dołączonym do sprawozdania z ostatecznego uregulowania rachunków za rok 1875, kontroler naczelny Państwa przyszedł do tego wniosku, że środki przedsięwzięte przez ministerjum skarbu dla ulepszenia sposobów pobierania podatków, oraz dla usadowienia kilku z tych ostatnich na podstawach silniejszych, wydały już wszystkie swe owoce, i że dalszy wzrost w pobieraniu dochodów Państwa, zależeć tylko może od postępów w położeniu ekonomiczném samegoż kraju. „Naturalny wzrost dochodów Państwa, mówi dalej przytoczony przez nas dokument, może także nastąpić jako wynik postępowego rozwoju bogactwa narodowego, jeżeli wypadki zewnętrzne nie postawią przeszkód spokojnemu rozwojowi Państwa; ale nie było-

by zasady spodziewać się, aby wzrost ogółu dochodów postępował dalej w takim samym stosunku, w jakim postępował podczas upłynionych lat dziesięciu, chyba że odkryją się nowe źródła dochodu, albo nowe środki dla zwiększenia poboru ze źródeł istniejących.“

Widzieliśmy, że wypadki zewnętrzne stanęły w poprzek „spokojnemu rozwojowi“ Rosyli. Ukazemy niebawem, na mocy danych, zaczerpniętych z rachunków roku następnego 1876, że pierwszy występ wojenny i koszta uruchomienia, już nadwęgryły równowagę budżetu i spowodowały przesilenie.

Jakież więc wobec tego być mogą następstwa wojny i obecnego duchem niepokoju napełnionego stanu kraju.

Rozbiór szczegółowy tego pytania, oczywiście nie może wchodzić w program obecnego artykułu. Powiemy tylko, iż mniemamy, że przesilenie to, gdyby przedsięwziętami zostały niektóre radykalne finansowe i administracyjne środki, mogłoby być przemijającym. Nie wdając się w ocenę, jakimi powinnyby być te środki, poprobujemy jednakże przedstawić to co jest możebnem, a mianowicie jakie być mogą warunki *spokojnego rozwoju Rosyli*, czyli jakie jest jój położenie finansowe i ekonomiczne, bez względu na przyrost ciężarów czasowy lub trwały, spowodowany przez wojnę.

Otóż, przypuścić trudno, ażeby Państwo znajdowało się rzeczywiście w tak korzystnych warunkach, a argumentem naszym głównym jest to, że jeszcze przed wojną, kilkoletni pobór podatków głównych zaczynał słabnąć, oraz że z drugiej strony samo nawet przesilenie, za ledwie się objawiwszy, wykazało brak jedności pomiędzy widokami różnych czynników, z których rząd się składa. Jakoż pokazaliśmy już wyżej, że podczas gdy usiłowania ministerium skarbowego, przedsiębrane dla stawienia czoła rozmaitym trudnościom przesilenia handlowego, oraz dla utrzymania wymiany, odbywały się najenergiczniej, ze swój strony: wojna zbliżała się wielkimi krokami, jakoby wbrew wydziałom specjalnie obowiązany, czyto do zapobieżenia jój, czy do dostarczenia administracji finansowej wskazówek odpowiednich, mających ją przygotować do tego, co zdawało się nieuniknionem.

Uznanie dokonanych postępów ekonomicznych Rosyli, nie przeszkadza faktowi, że system opodatkowania jest nieodpowiednim obecnemu już nawet stanowi społeczeństwa, i że bez wprowadzenia reformy w system podatkowy, istniejący w Rosyli, dalszy, wskazany przez kontrolera naczelnego *spokojny rozwój*, jest niemożliwym.

W ogóle cały system finansowy Rosyli, pozostał w tyle za postęпами dokonanymi w innych krajach Europy; polega on w gruncie na zasadach gospodarstwa z wieków przeszłych. Główne źródła dochodu Rosyli, dziś jak za czasów Piotra W., przedstawiają się w podatku od trunków i opłat osobistych.

Nie wchodząc w szczegółową analizę pozycji budżetu rosyjskiego, co by nas zaprowadziło zbyt daleko, dość będzie położyć za zasadę, że jedno przynajmniej dzisiaj stało się rzeczą jasną, mianowicie, iż system podatkowy istniejący w Rosyi, winien być poddany przejrzeniu i przeistoczeniu z gruntu. Środki cząstkowe i paliatywy, pozostawiające system nietknięty w jego częściach głównych, pozostaną bez poważnego rezultatu. Istnieje w Rosyi komisya specjalna, mająca za zadanie studyować podatki i ulepszenia, jakie mogą być wprowadzone czyto w sposobie pobierania, czy w ich zasadzie. Komisya ta pracuje około lat 15-stu, z chwalebnią gorliwością nad zebraniem materiałów do zmian zamierzonych. Ale prace jęj odnoszą się właśnie do poszczególnych rodzajów podatku, nie zaś do całości systematu. Tym sposobem trudno jest ująć plan ogólny reorganizacji, plan wyrozumowany, oparty na rozróżnieniu rzeczy istotnych od przydatkowych, potrzebnych od niezbędnych.

Komisya o której mowa, wyświadczyła przysługi, które my pierwsi uznajemy; jęto zawdzięcza się w znacznej części wypracowanie o środkach finansowych, o którym wspomina memoriał kontrolera naczelnego, przez nas zacytowany. Ale kładziemy nacisk na tę okoliczność, że środki cząstkowe nic innego wysnuć nie mogą jak tylko przeróbkę, wśród której niepodobna będzie zdać sobie sprawy z względnej ważności potrzeb, jakim uczynić się ma zadość.

Potrzeby te są rozliczne. Na pierwszym miejscu stoi potrzeba ogólna, jaką uczuwa każdy rząd, to jest ażeby widział wzrastającą sumę swoich dochodów, a potrzeba ta występuje tém silniej w Rosyi, bo po zaledwo ukończonęj, kosztownęj wojnie. Idzie następnie interes gospodarczy, w moc którego, jednego rodzaju podatki winny wziąć pierwszeństwo nad drugimi, nawet i wtedy, gdyby i te ostatnie były wytwórczemi. I tak np. podatek od soli, w swęj normie obecnej, wpływa daleko niekorzystniej na rolnictwo, niż przysparza funduszu skarbowi. Interes gospodarczy w takich wypadkach, polega na ochronieniu rozwoju wytwórczości, z uszczupleniem nawet zasobów skarbowych. Idzie nareszcie wzgląd ważny na stan zamożności kontrybuentów. Jeżeli położenie masy ludności, płacącęj podatki, samo w sobie ukrywa wady, że tak powiem, kardynalne, nic z tego, co by wymyśleć można dla zwiększenia przychodów skarbowych, nie osiągnie rezultatu trwałego. Nie trzeba ludziom stojącym u steru zapominać bajki o kurze niosącęj jaja złote.

Usamowolnienie włościan w Rosyi, dokonane zostało przez wykup otrzymanych gruntów. Owóz, ustanowienie w rozmaitych miejscowościach Państwa opłat rocznych, służyć mających na umorzenie kapitału wykupnego i na rzecz renty od tegoż kapitału, nie było wszędzie obrachowane w proporcji odpowiedniej rzeczywistemu dochodowi, uzyskać się mogącemu z gruntów uprawianych przez włościan.

Wynikło ztąd, że gdy w jednych miejscowościach wykup odbywał się bez wielkiego obciążenia włościan, w innych, mianowicie na

północy i w niektórych guberniach centralnych Cesarstwa, wykup przewyższał sumę dochodu, jaki włościanie mogli wyciągnąć z ziemi. Wytworzyło się ztąd położenie, nie mające nic wspólnego ani z zasadami nauki gospodarczej, ani nawet prostej sprawiedliwości.

Bo wyobraźmy sobie los rolnika, który obowiązany jest wykupować grunt swój ze stratą, który musi płacić rocznie rządowi w podatkach i ratach wykupnych sumę, przechodzącą dochód, jaki mu daje część gruntu. Dla zadośćuczynienia tym wypłatom, musi on pójść szukać daleko pracy dodatkowej, czyto uprawę gruntu pozostawiając rodzinie, czy wynajmując go sąsiadowi, czy też porzucając go zupełnie, jeśli nie w zasadzie, to w rzeczywistości. Boć to on dla téj niewdzięcznej ziemi, pracować będzie gdzieindziej, ażeby spłacić mógł to, czém go ona obciążała. W takiem położeniu wyrzekłby się on chętnie przyznanej mu ziemi, i poszedłby się osiedlić gdzieindziej, na gruncie żywniejszym: ale ku temu potrzeba, ażeby nasamprzód dokonał wykupu od gminy gruntu który chciały opuścić.

Oto jest stan rzeczy, któryby powinien zwrócić całą uwagę prawodawcy. Jeśli jaki środek finansowy winien być wprowadzonym natychmiastowo, bez oczekiwania na dojście do skutku całego systemu reform, to bez zaprzeczenia jest nim przejrzenie opłat za wykup gruntów, dla uczynienia słuszniejszego rozkładu, odpowiedniejszego rzeczywistemu dochodowi z ziemi. Na nieszczęście, i lubo rząd już przed kilku laty uznał potrzebę zaradzenia złemu, zaznaczonemu energicznie przez wszystkie organa mogące głos swój objawić, tém niemniej nie zdecydowano się na to aż dotąd, a reformy cząstkowe wprowadzone w pobór podatków, usunęły na bok tę potrzebę, istotnie pierwszorzędną. Czemu przypisać tę zwłokę, jeżeli nie brakowi systematu w wypracowaniu reform, jeżeli nie nieobecności szerokiej a silnej inicjatywy, polegającej na jednolitem przedsięwzięciu rewizyi organizacji podatków, dla rozróżnienia w zmianach mających się dokonać tego, co jest nieodzownem, od tego, co jest tylko mniej albo więcej pożytecznem?

Ostateczny przegląd rachunków za r. 1876 oraz budżet na r. 1878, dają jednakże pod tym względem przestrożę poważną. Pierwszy, po pewnym szeregu lat, w ciągu których suma dochodów zwiększyła się około 17 mil. rub., za r. 1876 przedstawia zmniejszenie o 17 $\frac{1}{4}$ mil. rub. względnie do roku poprzedzającego. Rozbierając oddzielnie te gałęzie dochodu, którego pobór zależy więcej bezpośrednio od dobrobytu ludowego, mianowicie podatki osobiste, gruntowe i trunkowe, uważamy że pobór dokonany upadł niżej od r. 1875, zamiast rosnać, jak to bywało zwykle w ciągu szeregu lat. Pobór pod pierwszą z tych rubryk, spadł ze 117 $\frac{1}{3}$ milionów na 115, czyli o 2 $\frac{1}{3}$ mil. rubli. Trunki zamiast 197 $\frac{1}{3}$ mil. z r. 1875, dały tylko 191 mil., czyli wykazały zmniejszenie o 6 $\frac{1}{3}$ mil. rubli ¹⁾.

¹⁾ *Wpływ dróg żelaznych na stan ekonomiczny Rossyi. Atlas. Finance, tablica II.*

Ostatni ten zwłaszcza fakt, zasługuje na zastanowienie. Dochód od trunków, skutkiem stopniowego powiększania wysokości opłat, wydał nareszcie w 1874 roku 200³/₄ mil. Podatek ten sam jeden, przedstawiał prawie ²/₃ całkowitej sumy dochodów zwyczajnych. Powiększeniu się téjto gałęzi dochodu, zawdzięczało się w znacznym stosunku ogólny wzrost dochodów zwyczajnych Państwa, w ostatnich latach dziesięciu. Ta elastyczność dochodu od trunków dowodziła już sama przez się, że środki klasy robotniczej się powiększyły. Daremnie podwyższanoby normę podatkową, pobór nie usprawiedliwiłby przewidywań, gdyby zarobki mas nie były się zwiększyły. Widzimy, że pobór tego podatku, przed wypuszczeniem dla celów wojennych ogromnej masy biletów kredytowych, zaczął się zmniejszać, lubo norma podatkowa pozostawała taka sama. Zmniejszenie to uczuwać się daje już od r. 1875. W r. 1875, trunki zmniejszyły się o 3¹/₃ mil. względnie do roku poprzedzającego, a w r. 1876, względnie do 1875 roku zmniejszyły się o 6¹/₃ mil. Wnioskiem logicznym z tego jest, że środki mas musiały się zmniejszyć. Wniosek ten stwierdza się zmniejszeniem podatków osobistych, oraz wzrostem podatków zaległych i opłat, wpływać mających tytułem wykupu gruntów.

A teraz, skoro mogliśmy spostrzedz, jak ważną rolę w zwiększeniu zarobków ludności odegrała budowa kolei żelaznych, wolno nam przypuścić, że osłabienie, wskazane przez nas w poporach budżetowych, mogło także w części przynajmniej zależeć od powstrzymania, właśnie poczynawszy od r. 1875, wielkich prac około budowy dróg żelaznych. Ale w jakim stopniu przyczyna ta działała, by wydać ten niekorzystny rezultat, któryśmy wskazali i czy działała ona sama jedna lub wspólnie z przyczynami innymi? oto, czego niepodobna nam zasadniczo określić.

Ażeby dać lepiej zrozumieć położenie chwili obecnej, dodać należy, że kiedy dochody objawiły w ostatnich czasach dążność ku spadaniu, zamiast ku wzrostowi, jak to było aż dotąd, wydatki tymczasem, wcale dalekiemi są od podzielenia tego kierunku. One dążyły zawsze tylko do zwiększania się. Nie znaczyło to nic, dopóki fakt ten wynagradzał się wzrostem równym, a nawet wyższym sumy dochodów. Ale położenie przybiera zgoła inny pozór od chwili, gdy dochody zdają się nie chcieć dać tego wynagrodzenia, a wydatki mają pójść dalej, w postępie rosnącym, na skutek ciężarów nadzwyczajnych, nałożonych przez wojnę.

W r. 1876, wydatki zwyczajne powiększyły się o 29³/₄ mil. rubli, nie licząc 51 mil. wydatków, spowodowanych przygotowaniem wojskowemi.

Oprócz wydatków nadzwyczajnych na kosztta uruchomienia i uzbroyeń w r. 1876, okazał się deficyt 5¹/₂ mil. rubli, czyli zboczenie po-

między 559¹/₄ mil. wpływów zwyczajnych i 564³/₄ wydatków zwyczajnych ¹⁾).

Budżet na rok 1878, oblicza dochody zwyczajne na 538¹/₃ mil. (usuwamy wpływy i wydatki nadzwyczajne), a rozchody na 563³/₄ mil. Przewidzianym więc już w budżecie jest, deficyt 25 mil., a nawet 27, wraz z 2 mil. policzonemi na karb niewypłatności podatków. Co zaś do wydatków wojennych, ponoszonych poza obrębem sum budżetowych (pożyczki), te dochodziły dnia 25 grudnia 1877 r. do sumy 432¹/₂ mil. Ze w rzeczywistości dochody r. 1878, znacznie przewyższyły przewidywania i że dopiero co ogłoszony budżet na rok 1879, nie pokazuje deficytu, w niczem to nie osłabia dowodzeń naszych.

Zawielebśmy zбочyli od przedmiotu głównego, wchodząc w bliższe szczegóły obecnego położenia. Czytelnik zechce sobie przypomnieć, że celem naszym nie jest rozprawianie o kłopotliwościach położenia chwilowego, ani o następstwach mniejwięcej trwałych, jakie ono wytworzyć może, ale o rozwoju ekonomicznym, objawiającym się w Rossyi w skutek reform, uskutecznionych za panowania obecnego, oraz w skutek wybudowania sieci dróg żelaznych.

Zdaniem naszym, Rossya, dzięki tylko tym pierwotnym postępom, mogłaby wyjść w pewnych, trudno na kartach niniejszych określić się dających, warunkach, bez szwanku z położenia obecnego i przesilenie mogłoby być tylko chwilowem, albowiem nie trzeba sobie przesadzać doniosłości finansowego położenia Państwa. Choćby nawet nowe pożyczki, spowodowane przez wojnę, przyczyniły Rossyi nadwyżkę 65 do 75 mil. rubli w wydatkach na zaspokojenie długu publicznego, położenie finansowe kraju, *gdyby siły produkcyjne otrzymać mogły należytą sferę działalności*, nie nadwęgryłoby się przez to bynajmniej. Od roku 1852 aż po r. 1875, Rossya mogła zdwoić cyfrę swoich wydatków (z 280¹/₂ na 576¹/₂ mil.), a w rezultacie ostatecznym, nietylko że nie naraziła swęj przyszłości, ale na miejsce deficytu 32 mil. (w r. 1852) zdołała osiągnąć pozostałość od wydatków 23³/₄ mil. rubli (w r. 1875). Jest więc zasada mniemać, że trudności chwili obecnej nie powinnyby bezwarunkowo narazić jęj przyszłości, tak jak nie naraziły jęj kłopoty, spowodowane wojną od 1853 do 1856 r.

Prawda, że znakomity ten rezultat, któryśmy wskazali, mógł być osiągnięty tylko z pomocą *środków nadzwyczajnych*, których wpływ dostarczył przedmiotu do naszej rozprawy. Ważne reformy, które odnowiły warunki życia społecznego, oraz budowa kolei żelaznych, która ożywiła siły wytwórcze kraju, rezultat ten sprowadziły. Czy po tęg drodze reform płodnych i rozwoju sił gospodarczych, Rossya pójdzie dalej z nowym zapałem, kiedy rząd uwolni się od zatrudnień politycznych obecnych? Oto pytanie, w którém leży cała zagadka i losy przyszłe finansów Państwa.

¹⁾ Wpływ dróg żelaznych na stan ekonomiczny Rossyi. Atlas. Finanso, tablica III.

Gdyby rząd podjął ze stanowczością nanowo swe dzieło reformistyczne, gdyby znów oddał się skupieniu i rozwojowi wszystkich sił materialnych i moralnych kraju, bezwzględnie na ich położenie geograficzne i na ich pochodzenie, naówczas pomyślność zdawałaby się pewną, a przeszłość zaś za przyszlnością świadczy.

VI.

Dla zakończenia, mając za cel szczególny w rozprawie tój, wykazać postępy gospodarcze Rossyi dzisiejszój, w porównaniu z Rossyą przed trzydziestu lub przed czterdziestu laty, uznajemy za rzecz pożyteczną przypomnieć w kilku słowach fakta najwydatniejsze tój różnicy, oraz rysy charakterystyczne obrazu porównawczego, któryśmy rozwijali przed oczami czytelnika.

W okresie poprzedzającym reformy i budowę kolei żelaznych, finanse Rossyi i jej położenie gospodarcze przedstawiały zacieśnienie, zdające się być bez wyjścia. Reformy i budowa kolei żelaznych, ożywiły wytwórczość i spożywczość tego kraju. Potężnie one wzmogły wywóz, mimo niekorzystnego wpływu na kurs wymiany, spowodowanego powiększeniem się wydatów rocznych, dokonywanych przez skarb rosyjski zagranicą. Rdzennie one nareszcie polepszyły położenie finansowe i gospodarcze Rossyi, powiększając ilość dochodu Państwa, usuwając deficyty roczne i dając handlowi, jako tóż przemysłowi ułatwienia nowe, w systemacie komunikacyi udoskonalonym.

Następnie, wojna obecna przerwała pochód tego pokojowego rozwoju. Przesilenie, które wywołała, miejmy nadzieję, że będzie tylko chwilowém, ale byłoby bezwarunkowo groźném, gdyby systemat ogólny pozostał w stanie, w jakim widzieliśmy go przed wojną krymską. Dzięki spełnionym postępom, wojna obecna mogłaby nie pociągnąć skutków ekonomicznych tak niekorzystnych, jakie nawet pociągnęła wojna krymska. Zachodzi różnica stanowcza w warunkach bytu, a różnica ta polega na tym fakcie, że Rossya posiada dziś środki poprawienia, podźwignienia swych sił ekonomicznych, środki których nie miała w latach 1853—1856.

Tak więc obraz przeszłości, jako tóż potrzeby przyszłości, godzą się raz jeszcze, ażeby dowieść świadectwem cyfr, że dobrobyt i potęga Państwa spoczywają nie w stagnacyi i odosobnieniu, ale przeciwnie w pochodzie postępowym i stanowczym naprzód, z innemi plemionami i narodami po wspólnęj drodze rozwoju i swobód.

SUMIENIE I MORALNOŚĆ.

PRZEZ

K. Łuczyckiego.

Virtus satis habet virium, ut se ipsa tueatur. Cnota dość jest silna, żeby się sama obroniła, mówili starożytni, a jednak bardzo dużo poświęcali czasu tak studjom psychologicznym w ogóle, jak w szczególności badaniom pojęć i zasad moralnych. Wprawdzie filozofowie starożytni, jak to zobaczymy niżej, nie mogli się wznieść do wyższych pojęć moralnych; wprawdzie zasady ich etyczne są z naszego punktu widzenia raczej zasadami szczęśliwego, przyjemnego życia: ale to jest rzeczą godną uwagi, że prawie każdy z nich zostawił bądźto cały wykończony system moralny, bądźto pojedyncze uwagi i zdania, mniej lub więcej trafne, mniej lub więcej głębokie. Inaczej rzeczy mają się obecnie, w wieku XIX. Fortlage, znakomity współczesny psycholog i filozof niemiecki, w jednej ze swych prelekcji: *Ueber die Freundschaft*, wytyka Niemcom obojętność ich na badania etyczne, na studia psychologiczne. Istotnie, literatura niemiecka, bardzo bogata w utwory i dzieła ze wszelkich gałęzi wiedzy, uboga jest stosunkowo w dzieła psychologicznej i etycznej treści. Nasza literatura pod tym względem przedstawia zjawisko jeszcze smutniejsze, i tém smutniejsze, że nawet dzisiaj, kiedy ruch literacki, przynajmniej pozornie, tak się ożywił, rzadko można spotkać wśród wydawnictw literackich dzieło treści etycznej, a w pismach, artykuł treści psychologicznej lub etycznej. Tymczasem badanie kwestyi tego rodzaju ma, bez zaprzeczenia, wielką doniosłość i praktyczną wartość; ponieważ czyni z filozofii naukę żywotną, naukę praktyczną, „sprowadzając ją, filozofią, z nieba na ziemię,” jak się wyraził Cicero o Sokratesie, którego uwielbiał za to, że nie zapuszczał się w spekulacje metafizyczne, a nadał swój filozofii charakter przeważnie etyczny.

Każdy wie, że w ciągu dziejowego rozwoju, systemata moralne ustawicznie i mniej więcej prawidłowo się zmieniały, ustępując miejsce innym, nowym i coraz doskonalszym; tych systematów obecnie jest

wielka mnogość i różnaitość. Każde niemal pokolenie miało swój odrębny system moralny, a system ten u jednych narodów reprezentuje religia, u drugich znowu wyłącznie prawo lub obyczaje, u innych znowu i religia i prawo.

U ludów starożytnych, kiedy sceptycyzm coraz więcej burzył dawne mniemania religijne, mniemania tém łatwiejsze do obalenia, bo im zawsze brakowało pierwiastków moralnych; systemata moralne wygłaszali filozofowie i mędracy. Pomiędzy licznymi, dotychczas znanymi systematami moralnymi, wielka, jak wiadomo, zachodzi różnica. Jaka to, naprzykład, ogromna różnica pomiędzy zapatrywaniem moralnymi pierwotnych ludów Wschodu lub tych dzikich barbarzyńców Europy, jój pierwotnych mieszkańców, którzy jeszcze na początku wieków średnich zabijali starców i ułomne dzieci, a zapatrywaniami moralnymi Ateńczyków w wieku Peryklesa, w wieku najwyższego rozwoju wiedzy i poezji—w wieku, kiedy poczucie prawdy i godności człowieka było tak żywe i tak głębokie, że tragedia grecka w obronie téj prawdy i téj godności występuje do walki z bogami! Jaka znowu ogromna różnica pomiędzy moralnością ludów pogańskich w ogóle, których bogi są uosobieniem wszechwładnej grozy, kary lub zemsty, a moralnością ludów chrześcijańskich, których Bóg jest miłością, a ideałem moralności, już zapał dla idei i poświęcenie się dla bliźniego! Trudno, zaiste, spotkać ideał moralny szlachetniejszy i większy, jak ideał chrześcijański; w nim bowiem tkwi ten niewystłowny pociąg życzliwości i szacunku dla bliźniego, który nakazuje nam, jeśli nie przyczynić się do szczęścia bliźniego, to przynajmniej, cieszyć się jego szczęściem, pragnąć widzieć go szczęśliwym.

Tak więc pomiędzy systematami moralnymi, dotychczas nam znanymi, zachodzi wielka różnica; jednakże, pomimo tych różnic, jest pomiędzy nimi wiele wspólnego; wspólném mianowicie jest źródło moralności: źródłem tém jest sumienie i rozum. Wszystkie sądy moralne, przekonania moralne wszystkich ludów, jakkolwiek te sądy i przekonania bywają czasami poziome i zmysłowe, płyną z sumienia i rozumu człowieka. Rozum grał ważną rolę w dziejach moralności, jak tego łatwo można się domyśleć, ale sumienie było najgłówniejszym źródłem i kontrolą moralności.

W ciągu niniejszego artykułu będziemy jeszcze mówili nieraz o sumieniu, tu więc tylko nawiasowo powiemy znaną wszystkim rzecz, że sumienie jest w nas tym niezbędnym i niezwyrodnym wewnętrznym głosem, który posiada moc jakąś samoistną, który ostrzega nas mimo naszej woli o złem i dobrem, który burzy się i dręczy człowieka, jeśli działa on wbrew nawoływaniom sumienia; głos, który znowu, jak czystość błękitnego nieba, towarzyszy snom błogim ludzi, postępujących wedle zasad swego sumienia, czyli ludzi z „czystém sumieniem.” Bez obawy wyrzeczenia paradoksu, możemy po tém, cośmy powiedzieli utrzymywać, że człowiek działa moralnie, jeśli postępuje według su-

micnia, bez względu na to, czy czyny jego są złe czy dobre, bez względu na to, czy przyszłe pokolenie, czy ludzie drugiej narodowości, drugiego szczerpę uznają te czyny za moralne. Szlachetne uniesienia i zapał dla wyższej idci, porywy do wielkich lub zacnych czynów, mając swoje źródło w pierwotnych idealnych popędach przyrody ludzkiej, pokrewne są popędowi sumienia; ono bowiem także najlepiej maluje się w zapale dla jakiegos postannictwa i zadania, w gotowości poświęcenia się dla obowiązku i t. d. Rozum zaś czyli logika, stosownie do swego rozwoju, nadaje ideałom człowieka, jego zapałowi, jego sumieniu, tę lub inną postać, ten lub inny kierunek; rozum, jedném słowem, oddziaływa znakomicie na rozwój moralności, jako drugi czynnik; oddziaływanie tego drugiego czynnika sprawia to, że moralność ma swoje dzieje, że sumienie ludzkie ukazuje się nam raz w tej, drugi raz w innej szacie, że moralność zmienia się. Ale z tego nie można jeszcze wyprowadzić tego wniosku, jaki wyprowadzają sceptycy, to jest wniosku, że moralności niewzruszonej, stałej niéma; niemożna dla tego, bo na świecie zmienia się wszystko: zmieniają się poglądy religijne, zmieniają się zapatrywania i zwyczaje prawne, zmieniają się nareszcie kształty zjawisk świata nieorganicznego; a przecież i tą zmiennością rządzą stałe prawa, czyli ta zmienność ma także swoje prawa! Oprócz tego, nie można zaprzeczyć, że we wszystkich tych zjawiskach, przy całej ich zmienności, jest jeszcze dużo cech, świadczących o tém, że zjawiska te są jednorodne z temi, doskonalszemi, którym ustąpiły miejsca, lub temi, które my uznajemy za lepsze, wyższe i doskonalsze. I tak, nikt nie może powiedzieć, że fetyszysta nie mający wyobrażenia o jedynym duchowym Bogu, a czczący drzewa, rośliny, robaki i t. d., jest bez religii. Przeciwnie na fetyszach i czczących je dzikich pogańskich ludziach widzimy potwierdzenie zasady, że poczucie religijne, lubo się zmienia, jest przyrodzone człowiekowi, tkwi w jego łonie, ale tylko czasowo objawia się w zabobonnej czci. Tak samo w kolejnym rozwoju człowieka odmieniały się prawa, przechodząc rozmaite fazy od najgrubszych dzikich, karnych praw, do humanitarniej administracyjnej opieki. Zmieniały się pojęcia prawa, ale poczucie prawa zawsze było. Odmieniała się nareszcie, jak wiadomo, postać kuli ziemskiej; ale prawa rządzące rozwojem świata pozostały te same. Tak samo zmieniały się pojęcia moralne; ale źródło ich i istota pozostały te same.

*

*

Oddawna już filozofowie i niefilozofowie wygłaszali i wygłaszają to zdanie, że człowiek jest egoistą, chciwą i samolubną istotą. W pochodzie dziejowym rozmaite okoliczności raz mniej, drugi raz więcej sprzyjały tym twierdzeniom, a same te twierdzenia były nieraz przyczyną bolesnych, tragicznych wypadków, zwłaszcza jeśli stawały się przewodniém zapatrywaniem rządzących lub panujących. Ci ostatni,

czyto w chwilach jakichś przypadkowych zawodów, czyto w skutek doznanych niepowodzeń w swój działalności wewnętrznej i zewnętrznej, skwapliwie i chętnie przywłaszczali sobie podsycałą przez poziomych pochlebców niewiarę w zachość i poczciwość ludzi, chwyтали się, dla naprawienia swych błędów środków gwałtownych, środków znanych obecnie pod nazwą *represyjnych* lub *reakcyjnych*; a środki te wskazywały, że ludzie—to trzoda, trzoda cheiwa, samolubna. W czasach dzisiejszych do podsylenia mniemań o egoizmie człowieka najwięcej, zdaje się, przyczynia się źle zrozumiana teoria Darwina, mianowicie, jej rozdział: *Walka o byt*.

W ciągu dziejów, doktryny o egoizmie człowieka objawiały się pod rozmaitemi postaciami, a były już dobrze znane starożytności, u Greków i Rzymian, u których dosięgają nawet dosyć wysokiego stopnia rozwoju, naprzykład w tak zwanym *epikureizmie*. W czasach nowożytnych spotykamy doktryny te w postaci empiryzmu angielskiego (Hobbes) i materyalizmu francuzkiego (Condillac etc.). Materyaliści utrzymywali nawet, że egoizm jest w człowieku popędem dobroczynnym, jest energią, potęgą, bez której człowiek pozostałby bezczynnym, albo niedołącznym i bezużytecznym członkiem społeczeństwa. Jednym słowem, egoizm czyli miłość własnego życia, własnego „ja” jest, zdaniem materyalistów, wysoką zaletą oraz cechą dzielnego człowieka; bez egoizmu człowiek prawie nic nie jest wart. Człowiek, według tej doktryny, jest maszyną fizyczno-chemiczno-duchową, która ma pewne potrzeby i te potrzeby zaspakaja wśród walki o byt, to jest wśród ciągłych trosk i niepokojów, których przyczyniają bądźto zazdrość i niechęć bliźnich, bądźto w ogóle trudności, jakie obejmujemy wyrazem „zbieg i wpływ mniej lub więcej nieprzyjaznych okoliczności.” Zaspokojenie potrzeb sprawia człowiekowi przyjemność; potrzeby niezaspokojone są źródłem uczuć nieprzyjaznych; w tém następstwie uczuć przyjemnych i nieprzyjemnych i kolejnym zaspokajaniu budzących się potrzeb upływa życie człowieka. Takie jest zapatrywanie materyalistów na życie ludzkie.

Przypatrzmy się wszakże bliżej przyrodzie ludzkiej, a przekonamy się, że poglądy epikurejczyków, materyalistów i t. p. są chyba tylko oddźwiękiem głuchego, jakiegoś mizantropijnego poglądu na świat, który w ludziach widział tylko zmysłowe istoty. Człowiek od przyrody uposażony jest w popędy, czyli inaczej mówiąc, wola człowieka na rozmaitych szczeblach rozwoju swego objawia się w różnorodnych popędach, których cechą między innymi jest i to, że są one przyrodzone. Na pierwszych, niższych szczeblach rozwoju człowieka, popędy objawiają się mimowoli; nietylko popęd żywienia się (ssanie) lub ciekawości jest objawem mimowolnym, ale wogóle wszystkie popędy w pierwszych swych objawach są bezwiedne, mimowolne. Jedne z tych popędów są duchowe, drugie cielesne. Te ostatnie mają istotnie ten pozór egoistyczny, o jakim mówią materyaliści, nazywając człowieka istotą samolubną, egoistyczną. Gdyby te popędy zostały zawsze ta-

kiemi, jakimi je znajdujemy na niższych szczeblach rozwoju człowieka, gdyby nie poddawały się kulturze, gdyby nie uszlachetniały się: nazwalibyśmy człowieka istotą egoistyczną. Ale właśnie tak nie jest. Przedewszystkiēm wiadomo wszystkim, że popędy, jako popędy, to jest jako władze, siły przyrody ludzkiej, nie są ani złe, ani dobre; są to siły, które można nazwać neutralnemi. Powiedzieliśmy, że na początku rozwoju człowieka, popędy objawiają się mimowoli i człowiek stopniowo pozyskuje świadomość popędów. W miarę pozyskiwania świadomości popędów, nastaje dla nich nowa faza rozwoju, stają się one wtedy żądzami albo namiętnościami, t. j. pragnieniami doznanej, świadomej przyjemności. Dopiero na tym szczeblu rozwoju popędów, mogą się stać one złemi albo dobrymi; od tēj bowiem dopiero chwili człowiek może tak lub inaczej pokierować swemi popędami, wytknąć dla nich poziome zmysłowe, lub wyższe szlachetne cele. Na tym szczeblu rozwoju popędów, zaczynają objawiać się także i inne cechy przyrody ludzkiej, cechy, które już mniejwięcej dokładnie malują wartość moralną człowieka. Na tym szczeblu rozwoju człowiek może, z jednej strony, nadużyć popędów lub tēż nabyć sztucznych nienaturalnych żądź i pragnień, t. j. może przejadać się naprzykład, nabyć zamiatowania do gry w karty, rozpalających trunków, palenia cygar i t. p. Z drugiej strony, pozyskawszy świadomość swych popędów, może je skierować ku celom idealnym, szlachetnym, t. j. skierować je ku tym celom, których dopięcie, częstokroć połączone z ofiarami i wyrzeczeniami się wszelkiego rodzaju, niēma nic wspólnego z przyjemnościami zmysłowemi. Rozmiłowanie się w badaniach naukowych, dociekanie i miłość prawdy, pragnienie stawy, ubieganie się o cześć i poważanie współczesnych i t. d., są to wszystko rozkosze, niemające nic wspólnego z temi egoistycznymi, samolubnymi żądzami, których celem jest „utrzymanie bytu swego,” a które, mając za punkt wyjścia tylko „ja,” sieją między ludźmi rozdzielenie. To kierowanie popędów ku pewnym celom, nazywamy zapanowaniem nad niemi; zdolność zapanowania nad popędami i skierowania ich ku celom szlachetnym, t. j. zdolność wyrzeczenia się zmysłowych popędów i poddanie ich jakiejś idei, jest moralnością w prawdziwem tego słowa znaczeniu. Zapanowanie nad sobą objawia się z początku, jako wyrzeczenie się niższego popędu i poświęcenie go wyższemu; w miarę rozwoju człowieka zdolność panowania nad sobą staje się łatwiejszą, a zarazem staje się źródłem i bodźcem dodatniej działalności moralnej.

Sofiści ateńscy mniejwięcej tak rozumowali. Ponieważ niēma ogólnych i jednostajnych wszechludzkich pojęć moralnych, niēma zatem obowiązujących i stałych zasad moralnych. Co nazywamy obecnie złem, dobrem, cnotą, występkiem, obowiązkiem, uczciwością, prawem, gwałtem i t. d., wszystko to jest warunkowe, przypadkowe i względne; wszystko to jest, jedném słowem, rzeczą dowolną, nareszcie rzeczą dobrowolną pomiędzy ludźmi ugody. Wypywa z takiego rozumowania

ten oczywisty wniosek, że tak zwana moralność jest albo mrzonką ludzi dobroduszych, albo hipokryzją tych ludzi, którzy co innego myślą, a co innego robią i mówią. Tak samo rozumują dzisiaj sceptycy, utrzymując zarazem, że najstosowniej, najsluszniej zrobimy, jeżeli za podstawę oceny czynów człowieka weźmiemy zasadę „korzyści.” Poważniej i głębiej traktują kwestyą moralności empiryści; lubo i oni w rezultacie twierdzą, że niema żadnej obowiązującej moralności.

Locke w swych *Essays*, Montesquieu w swém: *Esprit des loix*, w dziełach okazujących nawet na pierwszy rzut oka nader szczupłą znajomość dziejów i historii cywilizacyi, utrzymują, że moralność powstaje i rozwija się pod wpływem otoczenia, wśród którego dane społeczeństwo żyje, t. j. pod wpływem klimatu, gleby, powietrza i t. p. W ostatnich czasach teorią tę do krańcowych rezultatów rozwinął i posunął Buckle w znaném naszej publiczności dziele: *Historya cywilizacyi w Anglii* (tłómaczenie Zwadzkiego). Lubo empiryści znaleźli dużo zwolenników, wszakże dowodzenia ich są bardzo słabe; przedewszystkiém dowodzenia te są negacyjne. Wszystkie najgłówniejsze ich twierdzenia, oparte są na bardzo naciągniętych przeczeniach, negacyach; oprócz tego, w wywodach swoich popełniają oni ten, powiedzielibyśmy, sekciarski błąd, że skutek biorą za przyczynę, a przyczynę za skutek. Na przykład, jak jaskrawo i plastycznie usiłują empirycy przekonać czytelnika, że pierwotne cywilizacye mogły rozwinąć się i zakwitnąć tylko tam, gdzie, jak w Indjach, Egipcie lub Grecyi, sprzyjały rozwojowi cywilizacyi warunki geologiczne i klimatyczne. Tu piękne niebo w połaczeniu ze znakomitemi portami (Grecya), tam urodzajność niesłychana (Egipt i rzeka Nil); indziej znowu, jak w Indjach, zespolenie rozmaitych dobroczynnych wpływów przyrody: oto są źródła i warunki rozwoju cywilizacyi, wedle zdania empiryków. Buckle, jak wiadomo, do znudzenia posuwa swoje drobiazgowo obliczenia związku i zależności, jaka zachodzi pomiędzy bogactwem danej miejscowości, a cywilizacją jej mieszkańców. Wprawdzie, nie ulega wątpliwości, że nagromadzenie bogactwa przynajmniej w pewnych warstwach społeczeństwa jest prawie niezbędnym warunkiem wyższego rozwoju umysłowego, ale samo nagromadzenie bogactwa jest już dziełem i rezultatem cywilizacyi; nagromadzenie bogactwa bywa wynikiem albo mądrze skierowanej i wyzyskanój pracy, albo wynikiem ustroju społecznego, stosunków zewnętrznych i t. d. Wszak to jest, zdaje się, tak oczywiste! Podział bogactwa między ludnośćią danej miejscowości, ustrój społeczny, stosunki zewnętrzne, stosunki wewnętrzne, są to rezultaty długiej wiekowej pracy, walki, wysiłków i mądrości całych pokoleń... Buckle zaś mniema, że duchowieństwo kasty indyjskie stworzyło! Buckle mniema, że moralność i religijne zapatrywania stworzyła... przyroda... przyroda, która jest „głucha i niema!” Pozwalamy sobie zapytać się empirystów, dlaczego dzisiaj Indye, Egipt i Grecya należą do krajów zacofanych (nie mówimy o Anglikach w Indjach)? Wszak warunki geologiczne pozostały te same?! Dlaczego Włochy, Włochy, nad któ-

rémi roztacza się zawsze to samo piękne niebo, po upadku rzeczywopolitej rzymskiej przedstawiały i dzisiaj przedstawiają obraz współczesności i politowania godny? Te same idee, jakie napotykamy w dziele Buckle'a, rozwija amerykański chemik Draper w dziele p. t.: *Historja intelektualnego rozwoju Europy* (tłómaczenie Korzona).

Draper z odwagą naturalistów, sądzimy drugorzędnych, nie waha się utrzymywać, że „idea nieśmiertelności” powstała i zrodziła się w ludziach pod wpływem przyrody, mianowicie pod wrażeniem wschodzenia i zachodzenia słońca! Kiedy słońce zachodzi, człowiek sądzi, że ono umiera; kiedy wszakże na drugi dzień ujrzał wschód słońca, wyprowadził wniosek, że ono zmartwychwstało, a ztąd wyprowadził jeszcze jeden wniosek, że ludzie także zmartwychwstaną i że jest nieśmiertelność duszy. Co za świetne i dowcipne rozumowanie! Czyli inaczej mówiąc, jakie płytkie sądy! jaka powierzchowność sądu! Wiadomo, że słońce robiło na pierwotnego człowieka najrozmaitsze wrażenia: jedni widzieli w niem dobroczynne bóstwo, drudzy demoniczną, niszczącą, suszącą istotę; jedni nazywali słońce piękną boginią, drudzy królem zwycięstwa. Zkądże to wszystko wzięło się? czy człowiek pierwotny wyczytał na słońcu wyrazy: bóg, bogini, król, nieśmiertelność? Czy téż nosił te wyrazy we własném tonie, w swéj duszy i przeniósł je na słońce, jak przeniósł i na inne przedmioty? Kto wogóle człowiekowi powiedział, że jest Bóg, nieśmiertelność i moralność? Wszakże dosyć téj polemiki! Każdy psycholog, każdy człowiek myślący wié z własnego doświadczenia, że wszelkie idee i pojęcia powstają w taki sposób, że się budzą, a nie narzucają. Każdą nową prawdę, każdą nową ideę człowiek akceptuje tylko wtedy, jeżeli mu poczucie wewnętrzne mówi, że ta idea czyli prawda jest oczywista; jeżeli człowiek zdolny jest rozumieć geniuszów, to pochodzi to ztąd, że myśli genialne tkwią w nim samym; jeżeli człowiek pojmuje rozumowanie logiczne, to pochodzi to ztąd, że logika jest mu przyrodzona. Człowiek we własném tonie nosi przeczucie prawdy, ideę nieśmiertelności i Boga, ale to przeczucie i te idee niemają stałej i jednostajnej symboliki, ponieważ ludzie są istotami samodzielnymi i każda jednostka jest indywiduum odrębne, prawdziwie oryginalne.

Nad rezonowaniami sofistów ateńskich, materyalistów francuzkich i niemieckich, nad wywodami empiryków angielskich i amerykańskich nie potrzebujemy dtuzéj zatrzymywać się; natomiast postaramy się rozstrzygnąć przedewszystkiém pytanie, czy człowiek powinien robić to, co mu nakazuje sumienie? czy téż ze względu na to, że sumienie niejednostajnie objawia się, człowiek niéma żadnego obowiązku być sumiennym? Co do pierwszej połowy powyższego pytania, to odpowiedź na nią daliśmy już wyżej; jednakże i tu dodamy jeszcze do powyższej odpowiedzi kilka słów. Jedném z najwięcej wstrząsających pytań, jakiemi nas sumienie niepokoi, jest pytanie: „czyś tak powinien był działać?... Czy to powinno było stać się, a nie co innego?” W tém pytaniu brzmi odgłos tego, głąboko tkwiącego w duszy człowieka ideału moralnego, jaki ten lub ów nosi

w swém łonie. Sumienie ma także swoją logikę, logikę nieubłaganą, tak jak ma tę logikę myślenie; etyka, uważana jako nauka o sumieniu uczy nas, co powinno być czyli uczy nas, czego powinniśmy chcieć. Jeżeli napotykamy ludzi nieloicznie myślących z jednej strony, niemoralnie działających z drugiej, to wyjątki te nie wykluczają bynajmniej téj ogólnej zasady, że logika i sumienie, czyli etyka, mają dla człowieka znaczenie absolutne, bezwzględne; ponieważ ideał moralny, muięj lub więcj rozwinięty, tkwi w duszy człowieka, budząc naprzemian to pragnienie zacnych, szlachetnych czynów, to uwielbienie i cześć dla ludzi, działających podług tego ideału.

Z tego cośmy wyżej powiedzieli, możemy wyprowadzić ten wniosek, że sądy moralne, lubo zmienne i niejednostajne, mają znaczenie sądów absolutnych, bezwzględnych dla tych indywiduów, które żywią te przekonania, te sądy; przypuszczamy przytém, że żywiący pewne sądy moralne przekonany jest, że sądy te są dobre, i że wszyscy ludzie moralni mają takie same zapatrywania i sądy moralne. To wielkie absolutne znaczenie sądy moralne pozyskują wszakże tylko wtedy, jeżeli oprócz powyższego przymiotu, to jest szczerości, posiadają inne cechy sądów moralnych; do tych zaś cech, które nadają sądom moralnym takie znaczenie, należy między innymi i ten warunek, żeby sądy te były niezależne od wszelkich względów, np. od względów osobistych, od względów korzyści lub przyjemności, zysków lub rozkoszy i t. d. Takie sądy, niezależne od osobistych i innych względów, nazywamy moralnemi. Ktoś np. nieświadomy sztuki pływania, rzuca się w wodę dla uratowania tonącego... Nie ulega wątpliwości, że człowiek ten postąpił nierozsądnie, bo narażał z jednej strony własne życie, z drugiej zaś, uprzedzając świadomych, dobrych pływaków, stanął im na przeszkodzie w niesieniu pomocy; ale nie ulega także i to wątpliwości, że czyn jego był dobry, moralny. Weźmijmy jeszcze jeden przykład. Rozsądną, roztropną nazywamy tę działalność, która uwieńczyła się skutkiem lub która miała powodzenie; nierozsądną nazywamy tę, która nie uwieńczyła się pożądanym skutkiem. Człowiek rozsądny dla dopięcia swego celu użyje właściwych środków i potrafi wyzyskać każdą sprzyjającą jego celowi drobnostkę; ztąd pochodzi to, że dla człowieka rozsądnego, roztropnego, każdy jest z uznaniem, i sam się on cieszy nie tylko z dopięcia celu, ale jeszcze więcj raduje go przeświadczenie o własnej przebiegłości i roztropności. Człowiek nierozsądny, głupi, nie umiejący chwycić się właściwego środka, nie umiejący wyzyskać okoliczności, nie dopnie zamierzonego celu; głupca ludzie wyśmiejają, a jego samego smuci nie tylko myśl o doznaném niepowodzeniu, ale może jeszcze więcj zasmuca go własna nieroztropność, budząc w nim uczucie to wstydu, to nieukontentowania. Trudno zapewne powiedzieć, które z tych dwu indywiduów działało moralnie; ale to nie ulega wątpliwości, że nie możemy ani działania uwieńczzonego dobrym skutkiem nazwać moralném, ani téż działania bez powodzenia niemoralném.

Powyższe przykłady winny nas ostrzedz, że wartość moralna tkwi w czemś inném, niż w powodzeniu lub niepowodzeniu, i że sądy moralne nie powinny uwzględniać takich warunków i okoliczności działań ludzkich, jak osiągnięcie zamierzonego celu, zwycięstwo przebiegłości ludzkiej lub zręczne wyzyskanie przypadkowych okoliczności i t. d. Takie orzeczenia moralne, jak „dobry“, „zły“ lub „dobrze“, „źle“, są zupełnie niezależne od względów powodzenia lub niepowodzenia, uzyskanych korzyści, poniesionych strat, wygód osobistych i t. d. Jeżeli więc sądy moralne są niezależne od żadnych względów pobocznych, to są one również absolutne, bezwzględnie obowiązujące dla tych, którzy je w tej lub innej postaci uważają za najwyższe zasady moralności. Wychodząc z tego punktu widzenia, pojmiemy, że łatwo się tłómaczy różnorodność systematów moralnych, jaką spotykamy i obecnie i w ciągu dziejowego rozwoju; pojmiemy także, że niema narodu bez zasad moralnych, niema ludu bez pojęć o moralności. Nie ulega bowiem wątpliwości, że jak nie można nazwać Hindusów, Egipcyan, Chińczyków, Greków i t. p., ludźmi bez religii, tak nie można powiedzieć, że najdzikszemu naród, który zabija własne ułomne dzieci, jest bez pojęć moralności: nie można bowiem zaprzeczyć, że starożytny Egipcjanin, który religijną cześć żywił dla kota lub krokodyla, i który nie poważyłby się nigdy zabić krokodyla, bo mu nie pozwalało na to sumienie: nie można powiadać zaprzeczyć, że ten Egipcjanin działa moralnie dla tych samych pobudek, dla jakich chrześcianin, który uważa za zbrodnią i grzech śmiertelny zabicie człowieka.

Pozostaje nam odpowiedzieć na drugie powyżej postawione pytanie: czy ze względu na to, że pojęcia moralności zmieniają się, ma człowiek obowiązek postępować wedle wymagań swego sumienia? Kiedy znowu jeszcze raz potrącamy kwestyą zmienności wyobrażeń moralnych uważamy za stosowne powiedzieć kilka słów w tej materii. Moralność Greków (patrz: *Kurze pragmatische Geschichte der Philosophie*, von Chr. A. Thilo, Cöthen, 1876 i 1877) znana jest mniej więcej każdemu; wszyscy my wiemy, że dzieje Greków i Rzymian, ich literatura i sztuka piękne, ich nareszcie mądrość państwowa, są pełne idealnych pierwiastków. Napotykamy tutaj zwłaszcza w początkowych dziejach tych narodów, tyle przykładów poświęcenia się dla dobra ojczyzny i narodu, tyle typowych, że tak powiemy, wzorów cnoty, tylu bohaterów czynu, rozumu i serca, że wcale się nie dziwimy tym zwolennikom tak zwanego „klasycznego systemu wychowania publicznego.“ Albowiem istotnie bliższe i głębsze zaznajomienie się z temi dziejami, z tym zapadłym ale wykończonym światem, jest może jednym z najlepszych i najskuteczniejszych środków podtrzymania w uczącej się młodzieży nastroju idealnego... Wszakże w ustach filozofów greckich, czyto skutkiem upadku moralnego w ostatnich czasach, kiedy w Atenach niebyło prawie męża stanu nieprzedajnego (Kolb: *Historia cywilizacji*), czyto skutkiem tego, że starożytność nie mogła wydać ze swego łona genu-

sza-filozofa moralności, któryby potrafił wytknąć społeczeństwu tak ideał, wzór moralności, jak i ściśle go określić; w ustach filozofów pojęcia moralne Greków streszczają się w jednym wyrazie: eudajmonia—szczęśliwość. Mówią wprawdzie o cnocie i wyróżniają cztery kardynalne cnoty: meztwo, skromność, sprawiedliwość i mądrość *Αυδρεία, Σοφροσύνη, Αιχασύνη, Ζοφία* ale cnota nie miała u nich znaczenia samoistnego. Cnotę, dopełnienie obowiązku, starożytni filozofowie uważali za środek prowadzący do szczęścia i szczęśliwości, t. j. do spokojnego, niezakłóconego używania i cieszenia się życiem. Żaden z filozofów starożytności, nawet „boski“ Plato nie wzniosł się ponad to zapatrywanie, ponad eudajmonizm. W wiekach średnich widzimy to samo. Pomimo tego, że chrystyanizm wniósł szczytne pierwiastki moralności, wniósł pierwowzór moralności, w wiekach średnich, prawdopodobnie skutkiem przewagi scholastycyzmu, panował ten sam system moralny, jaki widzieliśmy w starożytności, mianowicie system Arystotelesa (*juste milieu*); był to system szczęśliwości. Wieki średnie nie znały nawet nauki etyki, nauki o moralności, jako nauki odrębnej, samoistnej, a podciągały tę naukę w zakres prawa, które nazywano wtedy *jus naturale*. Idąc dalej ku końcowi wieków średnich i początkowi czasów nowożytnych, napotykamy znowu tak grube jeszcze poglądy, tak zmysłowe, pozbawione wszelkiej psychologicznej podstawy rozumowanie o moralności w etykach Bakona i Spinozy, że mimowoli wypada wrzucić ramionami na to ubóstwo umysłowe owoczesnych mędrców i filozofów, w których bardzo szczupła garstka wiedzy jednostronnej zagłuszyła naturalny głos serca. Dopiero ku końcowi XVII i na początku XVIII wieku, tak zwani angielscy „moralisci“: Clarke, Hutcheson, Hume, Shaftesbury i inni dają początek nauce etyki, opierając tę naukę na właściwych podstawach. Oni przede wszystkim rzucają nowe światło na duszę człowieka, odsłaniają jej głębie i utrzymują, że cnota jest podstawą moralności, a popęd do cnoty tkwi w duchu człowieka. Wszakże, lubo moralisci angielscy wielkie położyli zasługi w dziedzinie etyki i psychologii, jednakże pojęć swych i zapatrywań dokładnie nie rozwinęli i w system wykończony nie ujęli. Było też jeszcze zawcześnie na takie wykończenie. Z jednej strony wiedza we wszystkich swych gałęziach nie stała jeszcze tak wysoko jak dzisiaj. Z drugiej, moralisci ci stali niemal osamotnieni wśród licznych szeregów empirystów, sceptyków, materyalistów i t. p. Mało kto ich wtedy pojmował i mało kto popierał ich zdania. Skutkiem tych i „wielu innych“ przyczyn, widzimy w ich zapatrywaniach chwiejność, w twierdzeniach nieokreśloność, w zasadach mieszanie pojęć moralnych z uczuciami przyjemności i nieprzyjemności. Widzimy jednem słowem pomieszanie moralności ze szczęśliwością, znaną już nam z wieków średnich i starożytności. Stale wszakże utrzymują oni, że pojęcia moralne tak samo jak uczucia estetyczne, tak samo nareszcie jak w ogóle sympatyje i antypatyje, są dla człowieka obowiązujące, mają moc zniewalającą i znaczenie absolutne. Pojęcia moralne, uczucia estetyczne

i humanitarne, są cechą duszy, stanowią jej istotę; dusza pragnie piękna, szuka dobra w tej lub innej postaci.

Dopiero od czasów Kanta, Fichtego, Herbarta i innych owoczesnych filozofów, etyka i psychologia zostały wprowadzone na właściwy tor badania. Idąc tym torem obecne pokolenie, nasi współcześni: młodszys Fichte ¹⁾, Ulrici ²⁾, Kulmann ³⁾, Lotze ⁴⁾, Rothe, Fortlage ⁵⁾ i wielu innych, wzniesli naukę etyki i psychologii na wysoki szczebel, odsłaniając z jednej strony niewyczerpaną głąb' ducha ludzkiego, z drugiej odkrywając prawa, wedle których duch ten postępuje i rozwija się. Ich ideami przejęty, napisał Moriz Carriere znakomite dzieło pod tyt.: *Die Kunst im Zusammenhang der Culturentwicklung und die Ideale der Menschheit* ⁶⁾, którego piąty tom (str. 672) wyszedł w r. 1874 w Lipsku, a które to dzieło na rozwoju ludzkości, na powstaniu mitów, religii, języka, ideałów ludzkich, na rozwoju poezyi, sztuk pięknych i t. d., wykazuje praktyczną wartość postępów dzisiejszej nauki psychologii i etyki. Dzieło to cenne i znakomite pod każdym względem, pokazuje nam, że niepodobieństwem jest wytkómaczyć tysiącznych zjawisk, jakie napotykamy w rozwoju ludzkości, jeśli będziemy trzymali się zasad Hobbes'a, Locke'a, Montesquieu'go i t. p. Oprócz powyżej wymienionych dzieł, powinniśmy wspomnieć o bardzo poważném francuzkiém wydawnictwie p. t.: *Bibliothèque de philosophie contemporaine*, jako wydawnictwie, które stoi na wysokości rozwoju dzisiejszych zapatrywań filozoficznych i wiele się przyczynia do podtrzymania obecnego ruchu moralnego i filozoficznego.

* * *

Odbiegliśmy cokolwiek od naszego zadania; nie odpowiedzieliśmy jeszcze na zapytanie na czele poprzedniego rozdziału postawione. Teraz więc, kiedy przedstawiliśmy, wprawdzie tylko pobieżnie, tak rozwój nauki etyki, jak i pojęć moralnych, przystępujemy do naszego zadania. Dzisiejsi etycy i psychologowie powiadają, że zbyteczną zadawali sobie pracę empirycy ubiegłego i bieżącego stulecia, wyszukując różnic w pojęciach moralnych w aktach starożytnych lub w obyczajach plemion oddalonych Ameryki, Afryki lub Australii. Jeżeli na zasadzie tych różnic chcieli oni ugruntować wniosek, że moralność i sumienie nikogo nie obowiązują, w takim razie dostatecznie jest obejrzeć się naokół siebie, obserwować własne społeczeństwo. Poco to wyprowadzać wnioski na podstawie danych częstokroć bardzo niepewnych,

1) *System der Ethik*, Leipzig, 1851. *Psychologie*, Leipzig, 1864.

2) *Leib und Seelen*, Leipzig, 1866.

3) *Die Christliche Ethik*, Stuttgart, 1874.

4) *Mikrokosmos, Ideen zur Naturgeschichte und Geschichte der Menschheit*, Leipzig, 1869.

5) *System der Psychologie*, Leipzig, 1855. Oprócz tego piękne są jego odczyty osobno wydane p. n. *Sechs philosophische Vorträge*, Jena, 1869.

6) Dzieło to p. Sokołowski tłómaczy obecnie na język polski.

o jakichś zapadłych ludach, dzikich plemionach, kiedy tysiączne przykłady spaczonych pojęć moralnych mamy naokoło siebie? Istotnie, w każdym niemal społeczeństwie napotykamy pewne zboczenia moralne mniej lub więcej rażące, i przytém uświęcone zwyczajem. Do kategorii takich zboczeń można zaliczyć np. tolerowanie podstępu przy kupnie i sprzedaży koni; najwięcej wszakże napotykamy zboczeń i wykroczeń przeciwko wstrzemięźliwości, rzetelności, uczciwości i t. d. Lud prosty inaczej zapatruje się na pewne uchybienia moralne, jak klasa inteligentna. Są nareszcie dziwnie drażliwe stanowiska w życiu społeczném, stanowiska, na których człowiek zdaje się wieczną prowadzić wojnę z sumieniem i moralnością; tak zdawać się może że taki np. dostawca trumien pragnąłby, żeby ludzie jak najczęściej umierali, żeby warsztaty jego pracowni nigdy nie ustawały.

Przykłady te, których rozmaitość moglibyśmy znacznie urozmaicić i powiększyć, gdyby tego była potrzeba, pokazują tylko, że zmienić się może środek ciężkości uczucia moralnego, ale samo uczucie i sąd moralny przez to ani się zmniejsza, ani zmienia. Jeżeli bowiem nie ulega wątpliwości, że nie wszyscy jednakowo czują i myślą, to nie ulega wątpliwości, że wszyscy zdolni są wznieść się na najwyższe szczyble rozwoju moralnego. Czyn moralny, czyn poświęcenia i zapału, znajdzie wszędzie uznanie i wywoła podziw nawet wśród ludzi mało rozwiniętych; ztąd każdy naród ma w swych podaniach, w swych pieśniach, bohaterów cnoty, moralności; a pamięć tych bohaterów otacza wysoką czcią. Jeżeli naród nie miał takich bohaterów lub zapomniał o bohaterach rzeczywistych, cześć swą przelewa na zmyślane fantazyjne postaci.

Jedną z najważniejszych cech ludowej poezyi jest jój moralność; wszędzie tutaj cnota tryumfuje, a występki bywa zawsze ukarany; dobro i prawda zawsze tutaj po długiej częstokroć walce z fałszem, ostatecznie odnoszą zwycięstwo. Jednym słowem, poezya ludowa jestto poezya dobra, cnoty i prawdy; pociąg do idealizmu, jaki objawia się tutaj w panowaniu dobra i cnoty nad złem i fałszem, jest może najwymowniejszym potwierdzeniem téj myśli, że poczucie moralne tkwi w duszy człowieka jako popęd przyrodzony. Nietylko bowiem polska ludowa literatura, ale literatury ludowe wszystkich narodów odznaczają się głęboką moralnością. Zważywszy te cechy ludowej poezyi, przychodzimy do wniosku, że lubo lud prosty ma całkiem inne pojęcia moralne, jak warstwy wykształcone, jednak żywi on poczucie dobra i prawdy, wspólne wszystkim warstwom narodu. Idea dobra i prawdy jest u niego zupełnie inna jak u nas, ale jest. Jeżeli więc napotykamy w wyobrażeniach moralnych pewną różnorodność i niejednostajność poglądu, to nie powinno nas to niepokoić; dosyć bowiem na obronę moralności jest powiedzieć, że jój poczucie każdy nosi w swém łonie.

Mówiliśmy już wyżej, że empirycy usiłują obalić znaczenie moralności, twierdząc, że niema żadnej moralności, ponieważ niema stałych ogólnych zasad moralności. Usiłowaliśmy właśnie w powyższym

wykładzie objaśnić, że brak stałych ogólnych form czyli zasad, nie łączy potrzeby i pociągu do tych naturalnie, wyższych, stałych zasad. Empirycy także utrzymują, że moralność jest rzeczą zupełnie przypadkową, sztuczną, ponieważ zasady moralne zaszczepiamy dzieciom w domu i w szkołach, ponieważ pojęcia moralne rozwijają się pod wpływem pewnych warunków otoczenia. Empirycy nie spostrzegają, że właśnie ten fakt wykształcalności pojęć moralnych, dowodzi, że człowiek nosi w sobie zarodki i popędy pojęć moralnych; gdyby takowych nie posiadał, nie byłby zdolen rozwijać się moralnie. Jeżeli rolnik niema odpowiedniej gleby dla zasiewu, to i najlepsza jego pszenica rzucona na zły, nieurodzajny grunt, nie wyda żadnego plonu.

Z pomiędzy wszystkich stworzeń, jeden tylko człowiek umiał sobie stworzyć i ulepszać otoczenie; pod wpływem ulepszeń otoczenia kształciły się następne generacye, ale też każde z nich te ulepszenia posuwało jeszcze dalej; tymczasem zwierzęta żyją dotychczas wśród tego samego otoczenia, jakie miały przed tysiącem lat; a nawet rozwój cywilizacyi nie oddziałał na ich życie, obyczaje i otoczenie, bo zwierzęta nie mają zdolności kształcenia się, nie mają idei.

Gdyby wszyscy ludzie żyli i rozwijali się pod jednakowemi warunkami, i to warunkami przyjaznemi, mieliby, nie ulega wątpliwości, zbliżone pojęcia moralne, i przytém mniej lub więcej doskonałe. Sądzi-my nawet, że doskonałość moralna nie jest bynajmniej marzeniem utopistów. Jeżeli wszyscy ludzie będą mieli sposobność wykształcić się moralnie, jeżeli stosunki państwowe i społeczne tak się ułożą, że każdemu będzie zapewniiony niezależny, bezpieczny byt: nie trzeba będzie wtedy ani kodeksów kryminalnych, ani straży policyjnej. Jednym z warunków, najwięcej zdaniem naszym, sprzyjających rozwojowi moralności, jest zabezpieczenie indywidualnego rozwoju; rozwój ten indywidualny najlepiej maluje się w skłonnościach i powołaniu człowieka. Dla wielu przyczyn rozwój indywidualny jednostki w Europie jeszcze nie jest zabezpieczony; widzimy tutaj jeszcze albo nieproporcjonalność wynagrodzenia pracy, albo trudność znalezienia zatrudnienia, pracy wedle skłonności, wedle myśli. W wyrazach: skłonność, powołanie, streszcza się zapewne istota człowieka, jego najżywsze sympaty, jego cnota, jego wielkość! Jakże ciężko cierpią ci, którzy nie znaleźli stanowiska odpowiednio do swych skłonności!

* * *

Empiryści, sceptycy i materyjaliści dla poparcia swych wywodów zwykli powoływać się na krwawe, pełne mordów i okrucieństw stronnice dziejów, utrzymując, że te straszne zbrodnie, jakich się w ciągu dziejów dopuszczali mocniejsi, dowodzą egoizmu i niemoralności przyrody ludzkiej. Muzułmanie w epoce rozszerzenia swego panowania i walk wewnętrznych, Nerony, Bordże, wzajemne prześladowanie się i wytępianie sekciarzy, rewolucya francuzka, liczne nareszcie przykłady despotyzmu i okrucieństw pojedynczych ludzi: wszystko to, zdaniem empirystów i sceptyków dowodzi, że człowiek z natury skłonny jest do

okrucieństwa, że przyroda człowieka jest samolubną, chciwą i egoistyczną. Lecz pytamy empirystów, dlaczego oni potępiają te dzieje, te mordy, te okrucieństwa? Dlaczego nas wszystkich te okrucieństwa oburzają, budząc naprzemian to uczucie boleści, to wstydu? Sądzimy, że uczucie oburzenia i wstydu, na wspomnienie o tych wypadkach, jest także mimowolne i nieprzewyciężone, jak np. uczucie wstępu i politowania dla potwora. Wprawdzie pojęcie potworności jest względne, ale i potwory mają poczucie potworności, mają pewne sympatyce i antypatyce...

Nie można zaprzeczyć, oprócz tego, że podobne barbarzyństwa, jakich się dawniej dopuszczali silniejsi lub zwycięzcy, dzisiaj stają się coraz rzadszemi; z rozwojem człowieka poczucie moralności, poczucie prawdy coraz to większe odnosi zwycięstwa nad pobudkami i interesami osobistymi i zmysłowemi namiętnościami. Rozważając nareszcie dzieje w ich całości, napotykamy obok tych tragicznych zbrodniczych scen, nierównie większą liczbę obrazów cnoty, miłości bliźniego, zapału dla pewnej idei i poświęcenia się tak dla jednego, jak i drugiej. Obserwując społeczeństwo bezstronnie, widzimy, że przynajmniej znakomita większość ludzi jest zacna, dobra, gotowa do wszelkiego rodzaju wyrzeczeń się i poświęceń nie z potrzeby, nie z konieczności, ale z popędu, jakiegoś niewytłómaczonego pociągu do cnoty. Gdyby było inaczej, gdyby ludzie z natury byli źli i samolubni, nie byłoby na świecie ani zwyczajnej wymiany usług, ani bezpieczeństwa publicznego. Człowiek, mówiliśny o tém wyżej, nie jest od przyrody ani zły, ani dobry; materyaliści, sceptycy i empirycy są to, zdaniem naszym ludzie, którym się nie podobają dzisiejsze stosunki społeczne, których nie zadawalnia dzisiejsza moralność społeczeństw europejskich, którzy sami zatem żywią wyższe jakieś ideały moralne; ludzie są źli, powiadają oni, bo nie są tacy, domyślamy się, jakimi, wedle ich ideału, powinni być.

Cechą czynu moralnego jest, jak mówiliśmy, poświęcenie i wyrzeczenie się. Przypatrzmy się człowiekowi w jego pochodzie życiowym... Ile otacza go pokus, ile utłudnych pojęć zachwiewa jego kroki i zamracza jego wzrok! Tu, jeśli zaniedba on swoich obowiązków, czeka go najwyższa rozkosz; tam, pod tym samym warunkiem, świetna przyszłość, niespodziewane korzyści; tu i tam znowu z siłą jakichś demonicznych piekielnych potęg wabią go: blask, świetność, powodzenie, używanie i t. d. Z pomiędzy tych pokus, jedne mówią do człowieka: „wszak wielu nie dopełniło swych obowiązków,” a drugie wołają: „Korzystaj z okoliczności! Tyś szczęśliwy, tobie uśmiecha się szczęście!”

Wśród tych pojęć, wśród tych pokus, miotających duszą człowieka, jak burza jesienna zwiędłym, oderwanym listkiem, człowiek pozostałby bezsilną, bezbronną istotą, gdyby nie posiadał w łonie swém siły większej, jak demoniczna potęga pokusy, siły, która jest dla niego punktem oparcia w tych okropnych, męczących i zdradliwych chwilach życia. Siła ta czyni człowieka bohaterem; kobietę dobrą córką, żoną i matką; mężczyznę dobrym synem, ojcem i obywatelem kraju: siła ta nareszcie znie-

wala człowieka do wyrzeczenia się, do ponoszenia przykrości, smutków i boleści wszelkiego rodzaju. Któż nie zna tych skromnych bohaterów życia, którzy zawsze, wśród najzmienniejszych kolei życia, pozostali wierni danemu słowu? Kto nie zna tych skromnych, zacnych ludzi, którzy wszystko poświęcili: bogactwa, stanowisko w świecie i nawet rozgłos dla wywiązania się należytego z poleconej im roli lub dopełnienia roli, którą czują, że powinni odegrać w świecie? I cóż tych ludzi i nas wszystkich zniewala do dotrzymania słowa, do wytrwania na stanowisku, do poświęceń i wyrzeczeń się? Sumienie: ono jest tą potężną siłą, która czyni człowieka bohaterem, bez której on byłby istotą słabą i marną. Ileżto jest męczenników cnoty, t. j. męczenników tych idei, dla których żyli naprzykład święci, anachoreci! Ile w ich życiu wyrzeczenia się, jakie poddanie się czemuś wyższemu, jakimś idealnym celom! Oto jeden z nich, pędząc życie na modłach i rozmyślaniach, przez całe życie swoje spożywa tylko Komunię Świętą i pije wodę; drugi nigdy nie używa pokarmów mięsnych, a inny znowu żywi się korą drzew lub korzeniami i łodygami roślin. Przypomnijmy sobie tych męczenników, których 'palili, ścinali, wieszali; przypomnijmy sobie tych mędrców i nie mędrców, którzy woleli umrzeć, jak odstąpić od swych zasad lub na jotę zmienić swe przekonania. Zastanówmy się narzeczcie, że każdy z nas ma także pewne swoje przekonania, od których odstąpić sumienie mu nie dozwala; zestawivszy to wszystko, musimy przyznać, że jest w człowieku jakiś wewnętrzny, tajemniczy i głęboki głos, który dla niego jest najwyższą wyrocznią. Głos ten sumienia nakazuje człowiekowi działać i żyć moralnie, bez względu na wszelkie okoliczności; głos ten nieraz staje w sprzeczności z opinią publiczną i nie zgadza się z panującymi zwyczajami, stanowczo nakazując postępowanie wbrew przeciwnej opinii lub obyczajom, a żądając dopełnienia tego, „co powinno być.” Kto słyszał, w godzinach udęczonego wahania się, w sobie ten głos; kto doświadczył siły tego głosu w chwilach bolesnej, rozpaczliwej walki egoizmu z cnotą, popędów moralnych z ośniewającą potęgą pokus, przyznać winien, że głos ten, że sumienie i sąd moralny nie jest w nim jakieś sztuczne, przypadkowo zaszczerpione mniemanie. Rozważając rozwój swego sumienia, obliczając wszelkie wpływy wychowania i otoczenia, on widzi, że sumienie to istotnie ciągle się doskonaliło, że stawało się coraz to wrażliwszem i szlachetniejszym, ale przyzna, że zawsze to była ta sama siła poczucia dobrego i złego, która, jako taka, w niczem się nie zmieniła od chwili, kiedy pierwszy raz człowiek o niej świadomość pozyskał. Sumienie posiada każdy człowiek i niema, o ile wiemy, narodu bez sumienia, bez pojęć moralnych, lubo sumienie i pojęcia moralne w rozmaitej objawiają się postaci. Kiedy wszakże człowiek postępuje i działa wedle własnego sumienia, on mniema, że wszyscy ludzie sumienni, dobrzy, postępowałiby tak samo; ten ostatni objaw jest także charakterystyczną cechą sumienia. Siła ta, będąc w nas poczuciem indywidualnem, jest zarazem po-

czuciem uniwersalném, poczuciem wszechludzkości; sumienie, jak to usiłowaliśmy przedstawić, leży poza obrębem naszej woli i świadomości. Ztąd sumienie nazywają słusznie jednym z przyrodzonych popędów; jako taki, jest on uniwersalny, bo właściwy wszystkim ludziom. Z drugiej strony jest on indywidualnym, bo dajemy mu przewagę, bo dobrowolnie i ze świadomością idziemy za jego nawoływaniem w godzinach walki lub wahania się, w godzinach, kiedy mogliśmy działać przeciwko sumieniu. Sumienie objawia się, zapala i wybucha w nas także mimowoli i bezwiednie (t. j. mimo naszej woli i wiedzy), jak mimowoli budzi się zapal i natchnienie, jak mimowoli sobie coś przypominamy, czego przedtém nie mogliśmy przypomnieć, pomimo całego wysiłku woli; objawia się sumienie także mimowoli, jak wielkie myśli w duszy wielkich ludzi. Do rzędu tychże mimowolnych objawów, należy zaliczyć i to, że mimowoli uznajemy prawdę cudzych twierdzeń, prawdę aksyomatów i t. d.

ZABOBONY METEOROLOGICZNE

ludu nadnarwiańskiego.

PRZEZ

Zygmunta Glogera.

W dalszym ciągu tego, cośmy jako cząstkę materiału etnograficznego przez nas zebranego w okolicach Tykocina, Białegostoku, Wizny i Łomży, a zacierającego się z dniem każdym pod wpływem oświaty i nowszych pojęć, drukowali w *Bibliotece Warszawskiej*: (*Zabobony rolnicze*, r. 1876, t. II str. 376 i *Przesady pszczolarskie, myśliwskie i rolnicze*, r. 1876, t. IV str. 552), tudzież w wydany przez Akademię Umiejętności, w pierwszym tomie, *Zbioru wiadomości do Antropologii krajowej* (*Zabobony i mniemania ludu nadnarwiańskiego, dotyczące: plaków, płazów i owadów*), podajemy dziś *Zabobony meteorologiczne* starzych ludzi z okolic powyżej wymienionych.

Słońce, miesiąc (księżyc) i gwiazdy.

1. W wigilią św. Jana Chrzyciela słońce przy wschodzie i zachodzie trzy razy „igra” czyli skacze. Niektórzy utrzymują, że to bywa przy wschodzie w wigilią św. Piotra i Pawła.

2. Kto pszenicę sieje w dniu, w którym słońce i miesiąc jednocześnie (rano lub nad wieczorem) widziane są na niebie, będzie miał plon nienamfotny, bo wiele kłosów będzie pustych.

3. Pracować w polu po zachodzie słońca nie godzi się, a kto jakiegokolwiek ziarno w tej porze rzuci w ziemię, temu plon zniszczą mrówki lub inne robactwo.

4. Każdy człowiek ma na błękitcie nieba swoją gwiazdę, a gdy umiera, gwiazda jego wtedy spada. I tém lud sobie tłumaczy gwiazdy spadające ¹⁾.

5. Drzewo do budowy ścinać należy na nowiu księżycy ²⁾.

6. Kołtun obcinać można tylko w chwili zachodu słońca, aby złych skutków obcięcia nie spowodzić.

7. Kto się urodzi pod konstelacją raka, będzie mu w życiu wszystko szło rakiem; doświadczy samych niepowodzeń.

Piorun, błyskawica i grzmoty.

8. Gaszenie pożaru wszczętego przez piorun, starzy wieśniacy uważali za grzech, utrzymując, że to ogień z woli Bożej, którego człowiek nie powinien i zresztą nie jest w stanie ugasić, chyba drugi piorun gdy w to miejsce uderzy i ugasi, gdy Bóg tego chce.

9. Drzewo, w które piorun uderzył, ani na budowlę, ani na żaden sprzęt i statek domowy użytém być nie powinno, tylko na ogień.

10. Dusza człowieka zabitego przez piorun, szczęśliwą jest, gdyż piorun zabija z ciałem jego grzechy ziemskie.

11. Młodzież wiejska usłyszawszy pierwsze grzmoty na wiosnę, przewraca na trawie koziółki, aby krzyż ją nie bolał przy sierpnie na żniwa.

12. Kto w dzień Przemienienia Pańskiego lub św. Piotra żnie zboże przed południem, temu piorun zboże w kopach spali. Ztąd św. Piotr w okowach (dnia 1 sierpnia) otrzymał u ludu nazwę *Piotra palikopy*.

13. Jeżeli podczas kwitnienia leszczyny na wiosnę, zdarzy się daleka, sucha błyskawica zwana *malanką*, to urodzaju na orzechy nie będzie.

Burza, deszcz, tęcza i pogoda.

14. Przed burzą okadzają niekiedy dom wiankami (z macierzanki, rozchodniku, kopytniku i nawrótki) poświęcanemi w oktawę Bożego Ciała, czyli w ostatni nieszpór. Dochowała się także tradycja obchodzenia domu z dzwonkiem loretańskim.

¹⁾ W myśl tego wierzenia Słowacki mówi w *Śnie srebrnym Salomei*:
 „A czwarta — ach! a czwarta spada,
 I nad Gruszczyńcami zgaśła?
 Ledwie żem z trwogi nie wrzaśła,
 Widząc tę gwiazdę przy zgonie.”

²⁾ Kato zaleca ścinać drzewo tylko w pewnych kwadratach księżycy. Tyberyusz strzyże sobie głowę tylko na nowiu (Tacyt, XVI, 75).

15. Żeby grad przestał padać, należy wyrzucić przez okno srebrną łyżkę.

16. Gdy jednocześnie deszcz pada i słońce świeci, wtedy królowa płacze a czarownica masło robi.

17. W dzień Przemienienia Pańskiego deszcz zawsze musi padać lub popryskać przynajmniej.

18. Tęczę uważa lud jako trąbę, przez którą chmura wciąga w siebie wodę z rzek, jezior i stawów. Z wodą porwane bywają i ryby, które po zniknięciu tęczy spadają i można je znaleźć na polach ¹⁾.

19. Przepowiednią deszczu jest kąpanie się wróbli w piasku, kaczek w kałużach, niski lot jaskółek, pianie koguta, w czasie zimy ukazanie się komara w izbie. Wysoki lot jaskółek wróży pogodę. (Lud wołyński mniema, że aby w czasie suszy deszcz sprowadzić, należy bądź raka żywego w ziemię zakopać, bądź wyczyścić z błota krynicę, bądź wyspać do źródłu garść maku).

20. Na pierwszy, ciepły deszcz wiosenny, rada wybiega dziatwa miejska, powiadając, że przędzaj urośnie.

M r ó z.

21. Siadanie wron na wierzchołkach drzew, jest w porze zimowej przepowiednią mrozu, a siadanie wśród gałęzi przepowiednią odwilży i śloty.

22. Ażeby mróz ustał, należy wyliczyć bez przerwy „dziewięć dziewięciu” czyli 81 nazwisk osób łytych.

Wróżby atmosferyczne inne.

23. Z sześciu dni ostatnich i tyluż pierwszych w roku, to jest z dwunastu dni, licząc od Bożego Narodzenia do Trzech Króli, bierze się prognostyk na dwanaście miesięcy nowego roku. Pogoda ranna, południowa i wieczorna, oznaczają pogodę na początku, w środku i na końcu odpowiedniego miesiąca.

24. Na ile dni przed Zwiastowaniem Najśw. Panny pszczoła wyleci z ula, tyle tygodni po Zwiastowaniu będą trwać przymrozki i zimna.

25. Jeżeli kukułka zakuka przed rozwinięciem się drzew, czyli jak mówią „na suchy las,” to jeszcze długo będą trwały chłody wio-

¹⁾ Baer w swoim dziele: *Der Vorgeschichtliche Mensch*, str. 425, powiada, że w wielu stronach zachodniej Europy, lud utrzymuje, iż w miejscu gdzie tęcza dotyka się ziemi, spadają z niej cienkie monety, które lud niemiecki zowie ztąd: *Regenbogenschusselchen*. Są to starożytne brakteaty ludów celtyckich. Wnosić z tego trzeba, iż wszystkie ludy uważały niegdyś tęczę za rodzaj trąby, bądź wciągającej wodę z ziemi do ohmur, bądź unoszącej inne przedmioty.

senne. Jeżeli zaś długo kuka po św. Janie (Chrzycielu), to wróżba długiej, ciepłej jesieni.

26. Pory roku przybývają z dwu przeciwnych stron świata: jesień i zima z północy, wiosna i lato z południa. Jeżeli więc zauważano, że powracający z południa na wiosnę bocian przyleciał z suchemi piórami, to w lecie spodziewano się suszy, jeżeli zaś omokły i zaszargany, to lato dżdżyste wróźono sobie.

W i c h e r.

27. Gdy człowiek się powiesi, powstaje wicher kilkodniowy.

28. Podczas pogrzebu poczciwego człowieka, bywa pogoda, a złego, zawierucha. Gdy się to sprawdzi, mówią: „jakie życie, takie pochowanie.”

29. Wiatr wirowy wśród spokojnego powietrza unoszący słup kurzu, lud zowie *dyablém wesetem* lub *wichrem* i utrzymuje, że to szatan się żeni, a ktoby dostał się tam, tego wicher porwie w taniec dyabelski i uniesie w powietrze. W czasie zawiei śnieżnej, mówią także, że się dyabli żenią.

Komety i inne zjawiska na niebie.

30. Wszelkie zjawiska niezwykle na niebie, lud uważa za wróżbę wojny i wielkich wypadków w świecie, lub głodu powszechnego, nazywając: „znakami niebieskimi.” Słupy czerwone (zorzy północnej) lud nadnarwiański bierze za zapowiedź krwawej wojny, (lud zaś wołyński za przepowiednię trzęsienia ziemi).

Strony świata.

31. Kto śpi głową zwrócony na *północ*, śpi twardo i nie posłysz, gdy go okradną złodzieje. Na *zachód* sen także mocny. Kto głową śpi na *wschód*, śpi czujno i obudzi się o wschodzie słońca, a kto na *południe*, ma sen niespokojny i gorączkowy.

Hieronim Spiczyński.

(wiadomość bibliograficzna).

PRZEZ

Gustawa Zielińskiego.

Porządkując moje książki, wpadły mi w ręce dwa starożytnie folianty, bez kart tytułowych i znacznie uszkodzone, które po zdeterminowaniu okazały się, że to są druki krakowskie, z pierwszej połowy XVI-go wieku, pochodzące z drukarni Unglerowej, to jest:

1^o Crescentyna Piotra: *O sprawach pożytków wiejskich albo rolnych, dwojenaście ksiąg*. Kraków, w drukarni Heleny Unglerowej, 1549 r. in folio.

2^o *O ziołach tutejszych i zamorskich i o mocy ich, a k'temu księgi lekarckie, wedle rejestru niżej napisanego wsiem wielmi użytteczne*. Cracoviae apud viduam Floriani Unglerii Anno Domini 1542 cum gracia et privilegio. Kart 240 jedną stroną liczbowanych in folio ¹⁾.

Tytuł drugiego dzieła wypisałem z broszury Adama Tomasa Chłędowskiego p. t.: *Spis dzieł polskich, opuszczonych lub źle oznaczonych w Bentkowskiego Historii Literatury polskiej*. Lwów 1828 r., in 8-vo na str. 86 ²⁾, gdzie Chłędowski obszerny artykuł poświęca opisowi tego dzieła i uważa je jako *bardzo rzadkie*. W szczegółowym opisie, Chłędowski daje tytuły wszystkich rozdziałów, mówiąc, że nauka barwierska kończy całe dzieło; nadmienia, że w bibliotece lwowskiej jest całkowity początek dzieła tego aż do karty 169, a w zmięgrodzkiej bibliotece hr. Stadnickich, jest ułamek od karty 100 aż do końca. Nareszcie domyśla się, że autorem téj księgi jest Hieronim Spiczyński, opierając swoje domysły na tém, że na karcie 216, mówiąc o różnych doświadczonych lekarstwach, pisze: „Czo gdy od nas za

¹⁾ Że obadwa te dzieła pochodzą z oficyny Heleny Unglerowej, na to mamy dowód w esach i floresach, które wierzch i spód każdej strony stanowią, a które w podobiznie dał Lelewel w *Dwojgu księgach bibliograficznych*, nazywając je kwiatasami (tom I, tab. X).

²⁾ Ostrzedz winieniem, że broszura Chłędowskiego źle jest paginowana. Stronnice są porządkiem liczbowane do stron. 95, a po niéj nanowo rozpoczyna się stronnica 86, na którą powołujemy się.

wdzięczne przyjęcie, a rychło rozkupicie, będziemy o tём myśleć, że wam jeszcze więcej tego skarbu pan H. S. przymnożyć będzie raczył;" dalej na karcie 225: „Jam też Hieronimus z doktorów najniższy u ludzi szlachetnie a wysoce urodzonych, za łaską Boga miłego, wielką sławę wziął dla dowodu o jego pożyteczności, w niemo-cach przerwanych." W dedykacji zaś mówi Floryanowa do Gasztolda: „Nie chcę tu wyliczać przodki wielmożne W. W. Oycza tak mądrego, którego sprawa a mądrość niemal po wszystkim świecie słynęła. O których wszechrzeczach, dali mi są sprawę wielci panowie, y też pan Hieronym Spiczynski rada miasta Krakowa herbowny Wielmożności Waszej."

Daléj powiada Chłędowski, że należy Spiczyńskiemu wrócić sławę, iż był pierwszym pisarzem o botanice w języku polskim, albo przynajmniej razem z Falimierzem pracował. Słowa bowiem przedmowy w *Zielniku* Falimierza: „Mój wielki łaskawiec Pan H. S. i wiele innych dobrych przyjaciół za to mię żądali i pracz swych przy mnie... nie litowali," pewnie do kogo innego nie odnoszą się, tylko do Spiczyńskiego, który dla stawy swojej jako lekarz, w obydwu dziełach z uszanowaniem wspomniany, więcej zdaje się mieć powagi, niżeli Falimierz. Zresztą rozkład dzieł obudwu jest tenże sam.

Nareszcie Chłędowski wylicza wydania *Zielnika* Spiczyńskiego, wszystkie odznaczające się rzadkością.

1. *Zielnik*, wydany przez Falimierza i Spiczyńskiego u Floryana Unglera, 1534 r.

2. Tenże sam u wdowy Unglerowej, 1542 r.

3. Tenże sam u Łazarza, r. 1554 (o tój edycji wątpi, znana mu tylko z Janockiego).

4. Tenże sam *Zielnik* u dziedziców Marka Scharfenbergera, r. 1556 in fol., kart jedną stroną liczbowanych 247, znajdujący się w bibliotece hr. Ossolińskiego.

5. Tenże sam pomnożony i wydany przez Marcina Siennika (Heuwrecher) u Mik. Scharfenbergera, r. 1568.

Lelwel uważa ¹⁾, że wiadomość, podana przez Chłędowskiego, o wydaniu 1542 r. przez Spiczyńskiego, zdaje mu się być wielce objaśniająca i mocno stanowiąca; dalej Maciejowski w *Pismissnietwie polskiem* ²⁾ wspomina o egzemplarzu Sieniawskim, kończącym się na karcie 229 i o późniejszych wydaniach w Krakowie w latach 1548, 1556 i 1568. Nareszcie Estreicher w *Bibliografii polskiej XV i XVI stulecia* ³⁾ powiada, że jest to przekład z L. Choulanta: *Hortus Sanitatis*, dedykowany Stanisławowi Gasztoldowi wojewodzie, który posiadają biblioteki Czartoryskich i Szembeka, nie podaje jednak z ilu kart egzemplarz powinien być złożony. Wymienia następnie późniejsze

¹⁾ *Bibliograficznych ksiąg dwoje*. Tom I, str. 175, w przypisku.

²⁾ W tomie III, w dodatku na str. 346.

³⁾ Na str. 27 i 197, oraz str. 37.

edycje tego dzieła w różnych bibliotekach znajdujące się, a mianowicie edycją z r. 1552 u spadkobierców Marka Szarffenbergera w Krakowie; następnie u tychże w roku 1556 dokonaną, w której na herbie Szarffenbergerów wyryty jest rok 1554, nareszcie inną edycją w Krakowie, noszącą rok 1542 czy 1552?

Zdaje się jednak, że Spiczyńskiego dzieła: *O ziołach tutecznych*, były tylko dwie edycje: jedna, dokonana przez wdowę Unglerową w roku 1542; druga, przez spadkobierców Marka Szarffenbergera w r. 1556, jako dosłowny przedruk pierwszej.

Z tych wszystkich zacytowanych wyżej wiadomości o *Zielniku* Spiczyńskiego z r. 1542 wniosłem, że żadnemu z naszych uczonych nie był znany całkowity egzemplarz tegoż *Zielnika* i wątpię nawet, czy która biblioteka cała, nieuszkodzony posiada.

Egzemplarz, moją własnością będący, również jak wszystkie inne powyżej przytoczone, jest mocno uszkodzony, a jak Lelwel twierdzi, to książkę tę, jako w użyciu będącą, wielka zachodzi trudność, znaleźć dobrze zachowaną. Otóż i mój egzemplarz nie posiada karty tytułowej, dedykacyj, rejestru i początkowych kart dwudziestu, dalej wiele kart pojedynczych brakuje w tekście, aż do karty 227; ale odtąd aż do końca, reszta jest w zupełnej całości i ostatnia karta dzieła nie jest 240, jak utrzymuje Chłędowski, ale jest nosząca liczbę 247. Opis więc tych siedmiu kart, może najważniejszych z całego dzieła, podaję dla wiadomości naszych bibliofilów.

Ostatni rozdział tej książki, poczynający się na karcie 241, nosi tytuł: *Już teraz będziemy powieść o mierze Apthekarstej, o sprawie, o purgowaniu, w ziołach, w prochach i też w korzeniu, które rzeczy są potrzebne każdemu Barwierzowi.*

Poniżej tytułu jest duży drzeworyt, wyobrażający ówczesną aptekę¹⁾. Następnie aż do karty 246 idą rozmaite przepisy, na różne chorobliwe przypadłości. Na karcie 246, na stronie odwrotnej zamieszczony jest słowniczek wyrazów lekarskich łacińskich, na polskie przełożonych, które w całości i nie zmieniając pisowni zamieszczamy.

Wykład wrzodów i niemocy rozmaitych, z łacińskiego na polskie.

Asma, dychawicza. — Alopetia, parchy. — Apoplexia, nagła śmierć. — Albugo, bielmo. — Artetica, bolenie w stawiech. — Apostema, bolączka.

Bolismus, fałszywa chęć ku jadłu. — Bocium, wol. — Bubones, dymienice.

Colica, kłócić. — Coriza, sapka abo niezyt. — Constipatio, zapieczenie. — Cephalea, bolenie główne. — Cordiaca, tęskność serdeczna. —

¹⁾ Taki sam drzeworyt i téjże wielkości znajduje się w *Herbarzu Marcina Siennika* na str. 341, wydanie Mikołaja Szarffenbergera, w Krakowie 1568 roku.

Calculus, kamień.—Cambuca, kiła.—Cauterisatio, przepalenie.—Crepatus, rozpukłość.—Crisis, walczenie natury z wrzodem.

Dysinteria, czerwona biegunka.

Epaticus, który cierpi niedostatek w wątrobie.—Epilepsia, wielka niemoc.

Frenesis, każenie głowy.

Gibbositas, garbatość.—Gomorrea, wewnętrzne czyszczenie natury.

Herpestiomenos, wilk.—Hidropisis, puchlina.—Hemophtisicus, który pluje krwią.—Hemicranaea, bólenie poł głowne.—Hordeolum, jęczmyk.—Herpete, liszaje.—Hemoroides, złote żyłki.—Halyets, przeciąganie.—Hectica, suchoty.

Intertrigo, osadnienie.—Ictericia, żółta niemoc.—Ignis persicus, piekielni ogień.—Incubus, duszenie nocne.—Impetigo, suchy swierzb.

Letargia, zapomnienie nad przyrodzenie.—Luxatio, wywinienie.

Lepra, trąd.—Lentigines, piegi.—Lumbrici, glisti.—Lienteria, biała biegunka.

Menstrua, niewieście przyrodzenie.—Malum mortuum, dziwne mięso.—Mola, kra albo zatwardzenie w macicy.

Nausea, brzdęk.

Oscitatio, poziwanie.—Orexis, zgaga.—Oregmon, gdy w pierśiach kruczy (iako pospolicie mówią) z wilkości flegmistey, która drogę oddechowi zatyka.—Ophthalmia, bólenie oczne.

Pruritus, swierzbienie.—Paralysis, powietrzem zarażenie.—Per-niones, łupienie albo odarcie, które bywa dla wielkiego zimna na pięciech u nog y na podszwach, y na palcach, także u rąk, a zowiemy je po polsku odzębienie.—Polipus, nożny wrzod.—Pleuresis, pleura.—Papule, węgry.—Pus, ropa.—Peripleumonia, wrzod płuczny.—Ptysis, dychawica z suchotami.—Podagra, łamanie nóg.

Ranula, sapka a ta jesth pospolita dzieciom.—Ruetus, rzyganie. Raucedo, ochrapienie.—Rascatio, charchanie.

Squinantia, slinogorz.—Spasmus, kurcz.—Suppuratio, nabieranie wrzodu abo gnoicenie.—Scrophule, zółty.—Spleneticus, który cierpi boleść na sledzionie.—Singultus, szczkawka.—Suffosio, cataracta.—Stupor, cierpienie.—Sincopis, omdlenie.—Seotomia, zaćmienie oczu.—Strabo, rozooki.—Subet, głębokie spanie nad przyrodzenie.—Stranguria, uriny ciężkie puszczanie.—Sciatica, denna niemoc.

Tussis, kaszel.—Tenasmon, wydymanie.—Tortura oris, zakrzywienie ust.—Traulus, zająkacz.

Variolę, ospicę.—Vertigo, wartogłowność.—Verute, brodawki.—Vuula, czopek.—Vleus, zagnięta rana.

Po tym słowniczku, na karcie 247 idzie rozdział, noszący nadpis: *Czasy zbierania ziół, kwiatków, korzenia, nasienia y owoczu.*

Kończy zaś całe dzieło odezwa Spiczyńskiego do czytelnika, na karcie 247, stronie odwrotnej zamieszczona, którą w całości podajemy: *Polskiemu Narodowi Hieronim Spiczyński R. C. (Rajca Krakowski) wiele dobrego.*

„*Juvenalis* zacny składacz, czasu onego ludzkie sthany y oby-
 czaie ich szacując Narod Polski w swoich wierszoch wysoce wychwa-
 lał. *Neque Sarmata* (powiada *neque Trax qui sumpsit pennas, me-
 dius sed natus Athenis*, to iest nietylko grubym, a wolowátym ludziem
 Sarmatas przekłada, ale w Atenach na ten czas w swiecie miedzy naj-
 mędrszemi ludzmi im szrodek dawa. A ztąd poiąć możemy, przed
 tym Narod Polski byc wielkieu u ludzi powagi, y silney dostojnosci,
 który theż w męznosci, w stałosci, w wiernosci, w sprawiedliwosci Na-
 rody inne zawsze przewyssał. Azaż u Alexendra wielkiego, yen był
 ięzyká naszego, mało nie wszytkiego swiata władza była? y czego do-
 tichmiast na swiecie pamiątka została, bociem bys też wszytek swiat
 chciał skrzyżować, wszędzie naydziesz temu ięzykowi Słowaka towár-
 zysza. A gdzieby się chciał dostátecznie wywieźć o walkach, o bo-
 jach, które ten národ nasz, tako na morzu iako na *zemi* stałe wycier-
 piał, y sławne zwycięztwa otrzymał, snacby ku czcieniu a wywiado-
 waniu wieku twego niestarczyło, o tym nieczo ná przodku w Kronice
 Xiędza Wapowskiego, nieczo w dzieioch narodu Słowieńskiego, w xię-
 gach slachetnych, tymiras w Krainach Niemieckich imprymowanych
 przeczcić sobie z radością możesz. Theż w narodzie w thym slache-
 tnym, wiele cznych, cznotlywych, a świętich było: Azász Hieronim
 święty nie Słowak był, Kacerski młoth, koscioła *Krzesciunskiego*
 słup, y okrasa? yen slachetnie stary y nowy zakon z żydowskiego na
 łacinę wyłożył, będąc k temu (iako święty Augustin o nim pisze) wé
 wszech trzech ięzykach doskonale uczony, ktorim też z objawienia Du-
 cha świętego w iedney epistole (ktoram czedł w starym druku) pisze,
 iż Angioł Gabriel zwiastował syna Bożego rzekąc, Zdrowas Maria łas-
 ki pełna etc. Azász święty Marcin Słowak przykładem wielkieu łaski
 y miłosierdzia przeciw bliźniemu swemu, nam *Krzescijanom* na przy-
 kład nie był? ktorego swiátosci sława wiecznie słynąc będzie. Takież
 święty Wojciech, święty Stanisław, wielebny Jácek, y mnostwo innych
 w Narodzie w thym świętych, y przykładem y náukami, Kosciół
 Christusow oświécili. Nie słyhać zaiste, aby w tym świętym Národzie
 kiedy ludzie od wiary Krzesciunskiej odstępowali albo w niey
 błádzili, y owszem Kosciół Krzesciunski temu samemu Słowieńskiemu
 ięzykowi iakoby dufając dopuscil msze y inne urzędy koscielne spr-
 awować. O rzadzie, o sprawiedliwosci Narodu tego, Krolow, Kxiąząt,
 Woiewod byłoby wiele pisać, *czo dali Bóg co ryehle osobliwemi księ-
 gami wam opiszemi*. Wszakoż y dzisia Sigmuntá Krola Polskiego
 y rad jego, rząd, swiátosc, miłosierdzie, sprawiedliwość, niemal wszit-
 ki inne Krzesciunskie Krole y pany przewyssa. Przetoż y na then
 czas za to mniemam, aby sie czo od onych przodkow wyrodziło. A ie-
 sliżeby się czo odmienic chciało, proszę za to y pilnie upominam,, pá-
 miętaimy na przodki nasze, ktorzy o sławę swą, y potomkow swych,
 ni státkow, ni zdrowia swego nie litowali, język swoy miłowali, wys-
 szyli, bronili, obcemu ięzykowi nigdy go potłumiać niedopuszczali,
 strzegąc w tym z pilnością, czci swey, prawa przirodzonego y ustawy

Pana Boga wszechmogącego, Ktoemu samemu bądź cześć i chwała wiekiusia. Tym Księgom koniec.”

Gdyby Chłędowski znał był tę odezwę Spiczyńskiego, nie byłby w potrzebie dowodzić, że on a nie kto inny był autorem tej książki.

O Spiczyńskim nie wiele potrafimy powiedzieć. Janocki ¹⁾ podaje, że był lekarzem Zygmunta Augusta króla, i to powtarzają w swoich Historyach literatury, Bentkowski, Wiszniewski i Bartoszewicz ²⁾. Ostatni nawet dodaje, że wiele się zajmował botaniką i drukował różne dzieła o ziołach. Że był rajcą krakowskim, to nie ulega wątpliwości, ale czy był lekarzem króla Zygmunta, to nader wątpliwe, albowiem sam Spiczyński raczej za astrologa aniżeli za medyka się uważał ³⁾. Z odezwy zaś wyżej przytoczonej wnosząc, przyznać musimy, że był to człowiek, odnośnie do pojęć swego wieku wyżej wykształcony, który oprócz botaniki, astrologii a może i medycyny, zajmował się jeszcze historią własnego kraju. Co się stało z tym jego dziełem, czy ono ujrzało kiedy światło dzienne, o tym nie mamy żadnej wiadomości. Dalej z tej odezwy widzimy, że Spiczyński był dobrym katolikiem i gorliwym miłośnikiem rzeczy ojczyźstych. Apostrofa do narodu, kończąca jego odezwę, jest tak zacna i piękna, że dziś, po upływie przeszło trzech wieków, bez zmiany do potomków zastosować się daje. I nic dziwnego, że się Spiczyński tak gorliwie za językiem ojczyźstym upomina, kiedy ten język podówczas był już tak piękny i jędrny, tak znakomicie wyrobiony i dochodzący już prawie do pełni swojego rozwinięcia. Jeżeli bowiem weźmiemy do porównania pieśń Boga Rodzica zamieszczoną w Statucie Łaskiego (1506), to podziwiać musimy, jak w przeciągu lat trzydziestu kilku, język się ogładził i jak znakomite ortografia zrobiła postępy, która jakkolwiek jeszcze niezupełnie ustalona, śmiało wyrzec można, że mało się różni od dzisiejszej, jak się przekonać można z podanej wyżej odezwy Spiczyńskiego, którą z zachowaniem najściślejszemu pisowni, znaków pisarskich a nawet błędów drukarskich, zgodnie z oryginałem, zamieściliśmy.

Officina Unglerowska obadwa te dzieła, to jest *Zielnik Spiczyńskiego* i *O pożytkach wiejskich* Krescentyna, drukowała literami gockimi ale do mowy polskiej zastosowanemi. Znajdujemy bowiem: *q, e, ó, ł, n, ź, i á* kreskowane, pisownia jak nadmieniliśmy wyżej, nie była jeszcze dosyć ustalona, najwięcej trudności przedstawiało właściwe użycie liter *i* i *y*; dostrzegamy nawet pierwsze próby wprowadzenia joty do pisowni, jak to wyżej w dwu wyrazach *Krzescijański* przez

¹⁾ *In Janocianis* t. II, str. 263.

²⁾ Tom I, str. 87 (nowe wydanie 1877 r.).

³⁾ W *Herbarzu Siennika* z r. 1568 na str. 417 znajduje się przedmowa Hieronima doktora tego, który stary Herbarz ten pisał. Przedmowa ta zaczyna się w tych wyrazach: „Za to mam, iż żaden mądry lekarz nie będzie się o to gniewał, gdyż *my choć nie lekarze* ale w nauce gwiazdecznej nieco rozumiejący, w lekarskie nauki nieco się wmiatamy.

podkreślenie zaznaczyliśmy. Użycie litery *h* także było dowolne, w jednym i tym samym wierszu, znajdujemy wyrazy *thez* i *iesth* drukowane obok *tez* i *iest*, nareszcie wyrazy *Xiqdz*, *Xiqze*, *Xiega* bywają także pisane przez *Kwiqdz*, *Kwiqze*, *Kwiega*. Ponieważ obadwa wyżej cytowane dzieła, należą do najwcześniejszych druków polskich, jako z pierwszej połowy wieku XVI pochodzące, i zawierają bogaty materiał językowy, przeto doniosłe powinny mieć znaczenie, mianowicie dla badaczów mowy ojczystej.

Na zakończenie wypada nam kilka słów powiedzieć o owém dziele *Hortus Sanitatis*, którego Zielnik Spiczyńskiego ma być tłumaczeniem. Zdaje nam się, że myli się Estreicher nazywając *Choulanda* autorem tego dzieła; był nim bowiem *Johannes Cuba*, Medicus Augustanus, jak o tém pisze Jerzy Arnold w uczonej swojej rozprawie ¹⁾ i jak to potwierdza J. Ch. Brunet w *Manuel du Libraire* ²⁾. *Hortus Sanitatis* było to dzieło bardzo popularne w drugiej połowie XV wieku. Wkrótce po sobie ukazały się cztery edycje łacińskie, dwie pierwsze bez miejsca druku i daty; trzecia w Moguncyi 1491 roku nakładem Jakóba Maydenbach, i wkrótce czwarta, piękniejsza od poprzedniej i co do druku i co do sztychów, z których niektóre iluminowane. Dzieło to, miało czternaście edycji w tłumaczeniu niemieckim ³⁾ i dwie we francuzkiem. Nic więc dziwnego, że Floryan Ungler bawar, założywszy w Krakowie księgarnią i drukarnią, mając przykład z wydawców innych krajów, jak zyskowne dla nich było wydawnictwo owego *Hortus Sanitatis*, zapragnął także dla siebie korzyści, wydając pierwszy w tłumaczeniu polskiem *Ogród zdrowia*.

Przekład ten, którego dokonał Stefan Falimierz, sekretarz Jana Tarnowskiego, posłkowany przez Hieronima Spiczyńskiego i kilku innych, wydawany był w Krakowie 1534 roku i przypisany Janowi z Tęczyna wojewodzie podolskiemu, a Ungler wydawca, żeby zachęcić obywateli korony polskiej, do rozpowszechnienia téj księgi, tak się do nich przy końcu odzywa.

„Gdym to obaczył (to jest, że język polski w niedbałość ludzką przyszedł), nie thak pożytku swego szukając, jako thego wielmi lutując, praczem się tej naprzód i przed innemi podiał, zem księgi polskie, nigdy nie bywałemi buksztaby drukował. Jusz teraz to pismo

¹⁾ De Monumentis historiae naturalis polonae ad finem Saeculi XVI. D. Georgius Christianus Arnold 1818 Varsav. typis Schol. Piar. in 16^o na str. 11.

²⁾ Tom II, str. 486.

³⁾ Repertorium Bibliographicum, in quo libri omnes ab arte tipographica inventa usque ad annum 1500, przez Ludwika Stain. W tomie II części pierwszej, na str. 95 obszerno daje sprawozdanie o tém dziele, wymienia wszystkie edycje tak łacińskie jak i niemieckie, z których początkowe noszą tytuł *Garten der Gesundheit* a następne, *Herbarius*. Wspomina i o francuzkiem tłumaczeniu Verarda w dwu tomach.

na wsze strony rozszerziło się i rozszerzać się będzie. Jedno wy mili Polacy, rozmyślcie się języka swego. Ten niech przodkuje, ten niech dziedziczy. Bociem muszę prawdę powiedzieć, przez obczy język w obcze ręce państwa zachodziły. Mieycie się dobrze" ¹⁾).

Oprócz zasługi, jaką sobie Ungler przypisuje w krzewieniu krajowego języka, pokazuje się, że i spekulacya na dobrej rachubie była oparta. W kraju bowiem, gdzie brakowało i lekarzy i aptek, pożądanym musiało być dzieło, które każdemu umięjącemu czytać otwierało szerokie pole do praktyki lekarskiej, i to w sposób jak najmniej kosztowny, bo rośliny krajowe po większej części dziko rosnące, na wszelkiego rodzaju choroby, podawały odpowiednie lekarstwa. To téż *Zielnik Falimierza* został prędko wyczerpany i okazała się potrzeba wydania nowój edycyi. Tego dopełniła już wdowa Unglerowa w r. 1542, przy pomocy Hieronima Spiczyńskiego; a późniejszych kilka edycyi tegoż samego dzieła, w krótkich po sobie odstępach czasu wydanych, wymownie świadczy, jakiej to dzieło w naszym kraju doznało wziętości i jak było rozpowszechnione.

Ze jednak te zielniki nie były dosłownym tłómaczeniem dzieła *Hortus Sanitatis*, ale właściwie kompilacyą różnych podówczas krążących wiadomości lekarskich i astrologicznych, najlepiej wykaże zestawienie przedmiotów, jakie zawiera *Hortus Sanitatis* a jego polskie naśladowania.

Oryginalny *Hortus Sanitatis*, ma następujące rozdziały: 1. *De Herbis et plantis*. 2. *De Animalibus et reptilibus*. 3. *De Avibus et Volatilibus*. 4. *De piscibus et natatilibus*. 5. *De lapidibus et in terrae venis nascentibus*. 6. *De Urinis et earum speciebus*.

Zielniki Falimierza i Spiczyńskiego traktują téż same przedmioty, jako wprost z *Ogrody zdrowia* wylómaczone, ale oprócz tych mieszczą wiadomości astrologiczne, o przyrodzeniu planet, konstelacyi i pór roku; o ich wpływie na życie człowieka, co ma i kiedy czynić, a czego strzedz się powinien, nareszcie jak poznawać przemienność powietrza według aspektów. Tych wiadomości *Hortus Sanitatis* nie posiada, jako i innych czysto lekarskich, które do polskich zielników wprowadzono, to jest, o rodzeniu człowieczém, o puszczaniu krwi, o zachowaniu się w czasie powietrza morowego, o znamionach w czasie niemocy, o lekarstwach doświadczonych, o nauce barwierskiej i o mierze aptekarskiej.

Po wydaniu *Zielnika* H. Spiczyńskiego przez Unglerową, dalsze wydawnictwo tego dzieła przeszło na spadkobierców Marka Szarffenbergera, którzy w ciągu lat czterdziestu wydali jedną czy téż dwie edycye, będące dosłownym przedrukiem edycyi z r. 1542. Nareszcie w r. 1568 ukazała się z oficyny Mikołaja Szarffenbergera, nowa edycya wydana i pomnożona przez Marcina Siennika.

¹⁾ *Historya literatury Bentkowskiego* 1814 r., t. II, str. 392.

Drukarz powiada w swęj przedmowie, że nie litując ani nakładu, ani pracy, *znouu* ten Herbarz drukuje, ponieważ o niego często się ludzie dopytują (widać że poprzednie edycye zostały wyczerpane); miał nawet zamiar wydać Herbarz nowy, oparty na badaniach późniejszych lekarzy, ale nie mógł znaleźć człowieka któryby chciał podjąć się tęg pracy, a co ważniejsza bał się nakładu, a zwłaszcza *gdyby figury ziół nowo właśnie wykonterfetowane były*. Odkładając więc ten zamiar na stronę, a z uwagi że się ludzie do tego Herbarza przyzwyczaili, wydaje go więc z małemi poprawkami czerpanemi z pism współczesnego lekarza Mathiola.

Herbarz więc Siennika, jest, z małemi zmianami, późniejszą edycją Spiczyńskiego; zmieniono wprawdzie porządek przedmiotów, ale tekst i ryciny zachowane też same co i w poprzednich wydaniach. Najważniejsza różnica leży w tém, że w wydaniu Siennika opuszczona została cała część astrologiczna, którą mieściły poprzednie Zielniki, a w to miejsce przydano Aleksego Pedemontana ksiąg ośmioro o tajemnych a skrytych lekarstwach, których tłómaczenie, jak uważa Bentkowski, było zupełną własnością Siennika.

Pod koniec wieku XVI to jest 1595 r. z drukarni Łazarzowej w Krakowie ukazał się nowy Herbarz polski ułożony przez Doktora Marcina z Urzędowa a wydany przez Jana Firlewicza.

W przedmowie doktor Marcin tak przemawia do czytelnika.

„U nas w Polsce ta nauka (o Ziołach) zakrytą dodać była. Naszych czasów udał się na to jeden, aby pracą swą ludziom pożytek uczynił, wyłożył zioła na polszczyznę z łacińskiego języka, z wielką wprawdzie pracą, jedno że też sam ziół niedobrze znał, ani podobno tego się uczył, i praca jego była niepożyteczna, a raczej szkodliwa; ponieważ inne zioła na polszczyznę wykładał, niżeli po łacinie znamionowały, lekarstwa i własności ciałom przypisywał te których nie miały.

„Drugi chciał go poprawić, ale i ten niewiele wskórał, bo i sam nie wiele mędrszy od pierwszego był”.

Zdaje się że w tęg krytyce Dr. Marcin miał na myśli Falimierza i Spiczyńskiego, bowiem w przedmowie do księgi 2-ęg powiada, że miał zamiar pisać tylko o ziołach krajowych, ale ponieważ my Polacy mamy obyczaj, ziół i korzenia zamorskiego używać, a ktemu że też *Stephanek* (Falimierz) wiele błędów o nich pisał, więc uważał za właściwe tego dotknąć przedmiotu.

Marcin z Urzędowa który był Jana z Tarnowa kasztelana krakowskiego i hetmana w. koronnego, nadwornym lekarzem, przy składaniu swojego Herbarza, z poważniejszego punktu zapatrywał się na ten przedmiot niż jego poprzednicy.

Widząc, jak powiada, że ludzie tych ksiąg z wielką chęcią się chwycili, starał się o wierne ziół wyłożenie z greckiego i łacińskiego języka, o zamieszczenie tych które w Herbarzach polskich były opuszczone, lub których dawniejsi lekarze nie znali, i aby okazać błędy jakie się wcisnęły do Herbarzów polskich.

„Ja życzę tego, aby po mnie szczęśliwsze czasy były, aby kto był doskonalszy i uczeńszy (w chęci bowiem i życzliwości strychować mię nie może) któryby dla poratowania ludzkiego zdrowia, godniej niżeli ja pracował. Życzę tego, aby się narodu swego rozmiłowali, ku pożytkowi swemu prace swe obracali, i to coby najlepszego z daru Bożego, kto miał, ojczyźnie swój i ludziom narodu swego udzielali.”

Kończy zaś tēm.

Że widząc tak wiele napisanych po łacinie Herbarzów, a po polsku nic takiego z czegooby ludzie pomoc brali i z uwagi że więcej miejsce w Polsce kędy Doktora żadnego a podobno Apteki niema, napisali tę księgę, aby naprzód Ojczyźnie swój przystojną powinność oddać, to co Pan Bóg dać raczył na pożytek pospolity obrócić, a współrodakom się przysłużyć za ich podziękowanie i wdzięczność zasobu.

Z tych słów doktora Marcina z Urzędowa widzimy, że mało ważył prace swoich poprzedników w przedmiocie botaniczno lekarskim w języku polskim wydane, zarzucając im nieznamość samego przedmiotu i błędny a tēm samēm szkodliwy wykład i samych ziół i ich lekarskich własności.

Zielnik atoli Spiczyńskiego, które mu głównie poświęciliśmy to badanie, chociaż pod względem botanicznym i lekarskim niewielkiego a może i żadnego jest znaczenia, z uwagi jeszcze na postęp jaki te nauki w ostatnich czasach uczyniły; zawsze jednak ciekawym będzie i ważnym jako materyał dla badaczów mowy ojczystej, i jako rzadkość bibliograficzna.

Kronika poznańska.

Zaczynam dzisiejszą kronikę nekrologiem obiecany w październiku, który tēm jest ważniejszy, że opowie wam losy ostatniej urzędowej instytucji polskiej, jaką dzielnica tutejsza posiadała, że nadto wspomnienie to stanowić będzie jakoby odłam historyi naszego Księstwa, ilustrujący dosadnie obchodzenie się z nami.

Kiedy na mocy traktatu wiedeńskiego, część Księstwa Warszawskiego dostała się Prusom, nazwano ją W. Ks. Poznańskiem, a ster zarządu poruczono nominalnie osobnemu namiestnikowi, księciu Antoniemu Radziwiłłowi; w istocie przecież zarządzał Księstwem prezes naczelny Zerboni di Sposetti, który aczkolwiek nie rodak, był właścicielem dóbr w jednym z powiatów Księstwa, a posiadał to uczucie słuszności, jakie jedynie wartośc nadać zdolne wysokim urzędom. Kraik nasz zubożała wojnami i wielkimi ofiarami, potrzebował tēm gwał-

towniej ratunku, że coraz niższe ceny zboża ostateczną ruiną groziły większej części obywateli, nękanym subhastami w skutek niemożności opłacania procentów. Pomyślny stan handlu zbożowego i produkcji, podwyższającej nad miarę wartość dóbr za Prus t. z. Południowych, był przyczyną, że rząd znaczną ilość kapitałów z depozytów swych porożpoczytał był wówczas na dobra obywatelskie. Każdy właściciel ziemi stał się był o tyle zamożniejszym, o ile zwiększyły się jego dochody, ale żaden nie dostrzegł, że całe to dobre mienie polegało na cenach bieżących zboża. Jak tylko więc zmniejszyły się dochody, tak zaraz dobra tracić zaczęły na wartości, i pokazało się, że obywatele zaciągnęli na swe dobra więcej długu, aniżeli te dobra warte były. Zaniósło się na powszechne bankructwo. Upadek ceny dóbr za Księztwa Warszawskiego był tak znaczny, jak znaczną była różnica cen za Prus Południowych a po ukonstytuowaniu Księztwa Warszawskiego. Nikt nie płacił procentów, upadały całe familie, a bodaj były majątki, któreby nie uroniły znacznej części swego kapitału. Ówczesny rząd Ks. Warszawskiego zmuszony został ogłosić moratoryum.

Po zajęciu Poznańskiego przez Prusy w r. 1815, zaczęli się tém natarczywiej domagać wierzyciele nie tylko procentów ale i kapitałów. Ale że właściciele nie mogli się uiszczyć ani z jednych, ani z drugich, zaczęli być jedni po drugich wywłaszczanymi. Ziemstwo Kredytowe było wówczas jedyną kotwicą ratunku, a motorem właściwym téj instytucji u nas był wzwyz wspomniany prezes naczelny Zerboni di Sposetti. Instytucja weszła w życie w r. 1822, a z zaciągniętej 4% pożyczki 13,000,000 talarów, poszła połowa na zapłacenie długów ciężających na dobrach członków Ziemstwa. Troskliwa o dobro Księztwa władza, pozwoiliwszy chętnie na samą instytucją, oddała nadto ster jej, na wzór innych ziemstw, w ręce obywateli, i zaforszusiowała na fundusz żelazny 200,000 talarów. Stosownie do regulaminu, zamknięty został przystęp do ziemstwa po rok 1827. Odetchnęli obywatele, a chociaż odbywające się równocześnie usamowolnienie włościan nie dozwoliło doprowadzić zaraz do ładu stosunków majątkowych, ułatwiło niezmiernie wprowadzenie w życie nowych agraryjnych stosunków przez dostarczenie funduszków na regulację chłopską.

Po roku 1830 ustaje urząd namiestnika, miejsce naczelnego prezesa otrzymuje Flotwell, czystej wody Prusak. Żywioł polski w imię „kultury“ uznany zostaje za niedostatecznie uzdolniony do postępu, i otóż władza naczelna Księztwa zajmować się zaczyna z wielką gorliwością szerzeniem, wbrew wszelkim zasadom moralnym, żywiołu niemieckiego, a przytłumianiem i upośledzaniem żywiołu polskiego. Mniejsza już, że w przeciągu roku oddała wszystkich naczelników powiatowych polskiego rodu, ale otrzymuje z kasy Państwa 1,000,000 talarów, za które zakupuje subhastowane majątki polskie na rachunek Państwa, aby ustąpić takowe potem Niemcom bądź w całości bądź częściami. Nadto wypowiedzi skwapliwie kapitały i podaje na sprzedaż dobra zastawami obciążone. (Rozkaz gabinetowy z 13 maja 1833 r.). Wzma-

ga się biurokracja. W komisjach generalnych i mnogich specjalnych, które weszły w życie z przyczyny regulacji włościańskiej, sami niemal urzędują Niemcy. Regulowanie hipotek włościańskich i t. p. czynności, zwiększyły swoją drogą w czwórnasób liczbę sądowych urzędników, którzy wszyscy niemal z innych prowincyi Państwa pochodzili. System przeto ograniczenia działalności polskiego żywiotu na ziemię, oto — z dodatkiem wymienionych wyżej manipulacyi przeciw zagrożonym większym właścicielom polskim—*system Flotwella*. System ten nie mógł naruszyć wówczas Instytutu Kredytowego Ziemstwa, chociaż mu był solą w oku. Donośną w tym względzie wskazówką jest fakt następujący: Kiedy po zamknięciu terminu pożyczek, podał był spadkobierca Zerboniego di Sposetti prośbę o wyjątkowe dla siebie dozwole nie przystępu do Towarzystwa Kredytowego, i oparł swą prośbę na moralnym prawie korzystania z instytucyi, staraniem zmarłego spadkodawcy zaprowadzonej, odmowną od Flotwella otrzymał odpowiedź, z tém nadmienieniem, że Instytut Kredytowy Ziemstwa netylko żadnej Prusaczynie nie przyniósł korzyści, ale stanowi właśnie największą zaporę w przeprowadzeniu celów kultu rnych pruskich..

Z wstąpieniem na tron nowego króla, położenie Księstwa znakomicie się polepsza, a polepszenie to w pierwszym zaraz rządzie odbija się w losach Ziemstwa Kredytowego. Aczkolwiek bowiem przystęp doń zamknięty został w r. 1827, rząd zwolniony zpod wpływów Flotwella, zezwolił na dalsze rozszerzenie pożyczek, bacząc na istotną potrzebę obywateli. Chodziło zresztą przeciw tylko o to, aby dozwolone było właścicielom w system kredytowy związanym, zużytkować istniejący już kredyt w granicach przestrzeganych przy pożyczkach ziemskich. Ustalony kredyt ziemstwa dawał jak najlepszą rekojmnią walorowi nowej seryi Listów zastawnych 3½ procentowych. Z rokiem 1842 nastąpiła więc druga emisya 3½% Listów zastawnych ziemstwa. Krajowy dobrobyt podniósł się, regulacya włościańska ostatecznie ułatwiona została, do sądownictwa garnąć się poczęła młodzież.

Po roku 1848, gdy inny znów władza przyjęła system, inaczej téż zaraz patrzeć się zaczęto na nasze Ziemstwo Kredytowe. Rozkaz gabinetowy z 4 i 11 maja 1849 r., zezwolił był instytutom Kredytu Ziemskiego dla Prus wschodnich i Szlązka, otworzyć pożyczkę dla tych posiadłości, które wyłączone dotąd były z pod stowarzyszenia kredytowego, a minister Spraw Wewnętrznych wydał cyrkularz w czerwcu tegoż roku do Dyrekcyi Ziemstw w Prusach zachodnich, Pomeranii i Marchiach, w którym zalecał zwołanie walnych zgromadzeń, celem przedłożenia im pytania: czyby nie chciały przyjąć w pomoc interesom swych prowincyi, tworząc dla nich podobny kredyt ziemski, jak takowy już utworzyły ziemstwa szląskie i Prus wschodnich. Jedyna tylko poznańska Dyrekcyja Ziemstwa pominięta została przez ministra, a pominięta jakoby dlatego, „że system kredytowy poznański z rokiem 1847 zamknięty został wedle prawa z r. 1842.“ Dyrekcyja ziemstwa śpieszy więc z wnioskiem do ministra, aby ją upoważnił do zwołania walnego

zgromadzenia w tym samym celu, w jakim upoważnił dyrekcję innych prowincyj; i przytacza zarazen, że zamknięcie systemu kredytowego poznańskiego niemoże stanowić właściwej przyczyny, dla którejby właściciele t. z. nieszlacheckich majątków w W. Ks. Poznańskim, upośledzeni być mieli wobec tego samego rodzaju właściciele w innych prowincjach; że skoro raz już dozwolone zostało rozszerzenie kredytu ziemstwa, nie widzi przyczyny, dla którejby powtórnie pozwolenia tego otrzymać nie można, mianowicie jeśli walne zgromadzenie na to przystanie, a decyzja jego uzyska sankcją królewską. Zrazu odpowiedział minister wymijająco; na drugi podobny wniosek Komitetu Ziemstwa oświadczył natomiast wyraźnie w końcu r. 1851: „że rząd po kilkokrotniej i gruntownej rozwadze stosunków poznańskich, *stanowczo* odmawia rozszerzenia instytutu, który zamknięty został z rokiem 1847.“—Mimo tę odmowną odpowiedź, ponawiano z naszej strony bezustannie z roku na rok prośbę o zwołanie walnego zgromadzenia, które gdyby już nie otrzymało polecenia przystać lub nie przystać na rozszerzenie działalności samegoż ziemstwa, to przynajmniej dało swą opinią, w jakich warunkach ziemstwo przystać będzie mogło na połączenie się z instytutem mu podobnym, nad którego utworzeniem rząd widocznie pracuje, jak niedwuznaczne dowodziły fakta. Ale minister trwał przy raz wypowiedzianej decyzji i nie zezwalał na zwołanie walnego zgromadzenia w jakinokolwiekbyż celu. Nie pozostała więc inna droga, jak osobiste poparcie sprawy w Berlinie. Ale zasłużony dyrektor ziemstwa Aleksander Brodowski, zapadł był obłożnie na zdrowiu a zastępca jego wrócił nic nie wskórawszy u ministra, który nadto oświadczył, że władza nie myślała nigdy o połączeniu ziemstwa z projektowanym nowym instytutem kredytowym. Wszystkie tedy nadzieje spełzły na niczém. Instytut nowy przyjść miał koniecznie do skutku, przyczém rolę ziemstwa ograniczono na pomocnika nowego Instytutu, który niebawem otrzymał sankcją królewską w r. 1857, d. 12 maja.

Nieuznawało ministeryum przez lat 12 potrzeby dalszego kredytu z łona ziemstwa, a tymczasem wystąpiło z nowym Instytutem kredytowym. I czemużto? czy ze względów finansowych? Na kredycie nie zbywało bynajmniej naszemu ziemstwu; Listy jego zastawne miały owszem z pomiędzy *wszystkich* t. z. prowincjonalnych, *najwyższy* kurs. Ustalone dla niego zaufanie było faktem, posiadało ziemstwo już blisko półtora miliona talarów funduszu uzbieranego, umarzało za lat 6 pierwszą pożyczkę, umorzyło z drugiej 36%, rządziło się autonomicznie, celowało porządkiem uznanym nietylko przez publiczność interesowaną, ale i przez każdorazowych delegatów królewskich, nie uchybiło ni razu swym zobowiązaniom. Było instytucją dzierżoną autonomicznie przez Polaków i to był jego grzech pierworodny.

Nowy instytut niemiał być autonomiczny, pożyczki miały być wypowiedziane (§ I, nr. 4), właściciele zobowiązani i osobiście, do poręczenia pożyczki i t. d.

Potrzeba pożyczek tak była wielką, że instytut nowy uzyskał w niedługim czasie niespodzianą wziętość. Nasze stare ziemstwo węgutowało odtąd tylko.

Tylko kto nie chce, ten nie widzi, że względy finansowe przemawiały *wszystkie* za zlianiem się obu instytutów, z zatrzymaniem wszelako zasady naszego ziemstwa, t. j. autonomii.

Ale *system* miał coś więcej na oku, aniżeli względy finansowe. Flotwell ograniczyć zalecał żywioł nasz na ziemię, teraz już i autonomia ziemiańska, zachwiana została przez utworzenie nowego instytutu kredytowego. I otóż dlaczego tylu obywateli przeciwnych było w roku zeszłym połączeniu chłopskiego instytutu kredytowego z nowym instytutem kredytowym, funkcjonującym od lat dwudziestu w miejsce dawnego ziemstwa. Myśleli oni sobie: my, zmuszeni zostaliśmy przystąpić do instytutu tego, w braku innego. Zadowoleni wprawdzie jesteśmy z niego dotąd, ale któż zdoła przewidzieć przyszłość, chowającą w sobie nieraz niespodzianki? Instytut nieautonomiczny czyż nie może uleść w danych okolicznościach parciu tendencyjnemu Prusaczyzny i czyż nie może nastać chwila, w której wypowiedzenie pożyczek, przewidziane statutami, przyjdzie do skutku i jednym zamachem ogołoci z siedzib, całe niemal obywatelstwo? Jeżeli zaś i chłopów-właścicieli egzystencya oddaną zostanie przez udzielenie pożyczek w moc instytutu, czyż nie będzie wtenczas, w danych razach i chłop zagrożony takim samym upadkiem?

Na tém kończymy wspomnienie pobieżne o działaniu i losach starego ziemstwa, które 14 października r. z. urzędowo żywota swego dokonało, po 56 latach wytrwałej i chlubnej pracy, a dokonało nie dla braku żywotności, ale z przyczyny niełaski, w jaką popadło u *systemu*.

Zaledwie te słowa napisaliśmy, dochodzi nas wiadomość, że *Towarzystwo oświaty ludowej* zagrożone zostało w swém istnieniu, rozporządzeniem policyjnym z 23 grudnia r. z., zamykającym takowe tymczasowo, aż do decyzji sądu. Pytanie teraz, czy sąd zatwierdzi owo rozporządzenie, oparte na dowolném tłómaczeniu instrukcyi, oraz odezwy dyrekcji Towarzystwa, datujących od pół roku. Już w wrześniu r. z. uderzyło nas, że niemiecka gazeta poznańska, zwana wśród nas *Pozenerką*, a mająca w sferach wyższych urzędnikierzy swe stosunki, poczęła mocny kłaść przycisk na znaczenie niedobre Towarzystwa oświaty ludowej. *Pozenerka* uznała je wówczas za szkodliwe dlatego, że szerzyć usiłowało oświatę rodzimą, nawet w okolicach przeważnie niemieckich i że w ogóle rozbudzało ochotę do czytania w ojczystym języku.

Raziło to bardzo niemile animusz kulturny tego organu, dla którego wykształcenie i wogóle cywilizacya znaczy to samo, co Niemczyzna. W końcu swych artykułów wzywała zacna *Pozenerka* współwyznawców germanizacyjnej swęj tendencyi, aby dla ochrony Niemczyzny od grożącego jęj polszczenia, tworzyli niemieckie stowarzyszenia

oświaty ludowej. Głos *Pozenerki* pozostał wszelako głosem wołającego na puszczy, ale *system* czyhać odtąd témbardziej począł na jakąś sposobność unicestwienia działalności Towarzystwa naszego, im mniej dostrzegał ofiarności u swoich. Sposobność tę nastreczyła mu nierozważna instrukcja, czy odezwa dyrekcyi. Nazywamy ją nierozważną, w obec *systemu*, bo zkadınad była ona naturalnym wpływem poczucia osób, dążących do wypełnienia podjętej myśli oświecenia ludu w sposób praktyczniejszy niż dotąd. Jakbądź wypadnie decyzya sądu, widzi nam się na czasie wspomnieć kilku słowami o działalności Towarzystwa tego i jego zakresie. W początkach zyskało dużo poparcia, ale po krótkim czasie zaczęły się spory i rozwój Towarzystwa osłabł znacznie. Później, a mianowicie roku zeszłego, zaczęła lepsza dla niego świtać przyszłość, w skutek przychylniejszego rozporządzenia władzy duchownej. W pierwszych trzech latach wynosił zbierany kapitał:

	47,450 marek
w 1876 roku	3,682 "
" 1877 "	3,147 "
" 1878 "	4,700 "
	razem 58,979 marek
remanent wynosił 1/1, w 1878 roku	26,913 "
	wydanych więc zostało 32,066 marek

W przeciągu lat sześciu wydało więc Towarzystwo 32,066 marek. Rezultat osiągnięty nie odpowiadał przecie wydanj kwocie, a to dlatego, że w zbyt rozmaitych kierunkach rozdrabniano siły, bo aż w dziewięciu. I tak: 1) na zakupno książek; 2) na konkursowe prace; 3) na kolporterów; 4) na zakup obrazów i obrazków; 5) na wspieranie ochronek; 6) na szkołę rzemieślniczą; 7) na pisemka ludowe; 8) na subwencyą dla wędrownego nauczyciela w interesie kótek włościańskich; 9) na popieranie szkółek wedle wzoru francuzkich rzemieślniczych uczelni. Już w ostatnim roku dyrekcyja pomiarkowała się, skoro ograniczyła znacznie wydatki na subwencye, konkursowe prace i zakup książek, a w ostatnim czasie umyśliła spotęgować siłę Towarzystwa przez nawoływanie do tworzenia po powiatach i miasteczkach komitetów, mających stanowić pomocnicze organa. Tworzenie podobnych komitetów było przewidziane statutami. To wywoływanie, chociaż dość bezskuteczne, stało się powodem, jak już nadmieniliśmy, do zamknięcia tymczasowo Towarzystwa.

Sama kwestyja oświaty ludowej jest z stanowiska praktycznego daleko trudniejszą, aniżeliby się zdawać mogło. Pomyślny, jak niedawno temu ziemian naszych część przeważnie większa, mało dbała o czerpanie wiedzy w kierunkach nie-gospodarczych; jak dziś jeszcze jest wielu wśród nas, którzy przeczytawszy gazetę i jaki podręcznik gospodarczy, zadawałają się tym pokarmem jaknajzupełniej; pomyślny że pragnienie oświecania się idzie w regule, dopiero z polepszeniem bytu w porze; że ten byt polepszony małej przecięciowo części wśniactwa jest udziałem, podczas gdy ludzie służebni, czeladź folwarcz-

na, pracą swą polepszzonego bytu nie osiąga: pomyślmy to, „dośpiewajmy” sobie w duszy inne jeszcze okoliczności, a ujrzymy że kwestya oświaty sięga zarazem w dziedzinę całkowitą życia, a nietylko w dziedzinę umysłową. Nie powiem, aby chłopu naszego zdrowy rozum nie umiał się poznać na korzyściach oświaty, ale potrzeby jej nie czuje jeszcze tak, aby ułatwienia sobie podawane chwycił skwapliwie. Trzeba przemawiać, nakłaniać, nękać, a to nie na wiele zda się. Najlepij jest podawać mu pokarm wiedzy kanałem jego własnym, to jest wybrać jednego lub drugiego ochotniejszego i ciekawszego wpośród nich. Wtenczas zupełnie inaczej idzie propaganda, zyskuje grunt właściwy, mianowicie gdy jedna i druga rada zaczerpnięta u propagatora pokaże się korzystną. Z razu mniemaliśmy, że przemówka jedna i druga, że rozdanie książek zachwalonych cuda podziałają. Aliści cóż się wtenczas przytrafiato? Z własnego doświadczenia opowiem wam fakt następujący: po stosownej odezwie rozdane zostały książeczki tym i owym, którzy zdawali się być chętniejszymi. Po tygodniu czy dwu, pojawia się jeden z nich, dziękuje bardzo za mądrą książeczkę, z której się dużo nauczył. Mniemałem, że poprosi o inną podobną, a on tymczasem prosi o furkę ściółki w lesie, która w jego przekonaniu miała stanowić ekwiwalent za przeczytanie książeczki. Czytał więc książeczkę w swém mniemaniu nie dla siebie ale... dla mnie. Nawykniecie do oświecania się przez czytanie, da się ze skutkiem zaszczepiać w ludzie, tylko przez lud: to moje i wielu innych doświadczenie sprawdzone. Wyborną porą ku temu jest *gwiazdka* dla dzieci.

Mnożą się też wydawnictwa różne dla dzieci, ale niedostaje im pewnego w jednym kierunku oblicza. Doroślejsi z ludu czytują najchętniej *Wieczory pod Lipą*, *Pielgrzyma z Dobromila*, *Mądręgo Wachę*, *Żywoty świętych*. Literatura dla *dzieci* pozostawia dużo do życzenia. Pochodzi to ztąd, że talenta pisarskie nie poświęcają się u nas tej gałęzi literackiej.

W dziedzinie wydawnictwa poważnego, piérwsze i ten raz miejsce trzyma księgarnia J. K. Żupańskiego. Wyszły tam w końcu listopada następujące książki: 1) *Wskazówka abecadłowa do dziejów Polski*, przez Teodora Morawskiego; 2) *Oblężenie Poznania przez Patkula*, napisał Jarochowski; 3) *Chronologia dziejów i Królestwa Polskiego*, napisał Konopacki; 4) *Socyalizm*, napisał Au; 5) *Lelewela zastugi jako geograf*, napisał Stanisław Warnka; 6) *Listy Joachima Lelewela*. Oddział piérwszy. Listy do rodzeństwa, tom I; 7) *Inflanty Polskie*.

Księgarnia Leitgebera wydała kalendarze dwa: jeden z nich zawiera zyciorys I. J. Kraszewskiego, skreślony potoczystym i pełnym serdecznego przejęcia językiem przez p. Teodora Zychlińskiego, którego *Złotą księgę szlachty Polskiej*, *Rocznik 1-szy* wyszedł w końcu grudnia, z drukarni teoż Leitgebera.

Oblężenie Poznania przez Patkula czytane było uprzednio w Towarzystwie Przyj. Nauk, a sam fakt druku podjętego przez p. Żupańskiego stanowi dowód, że to praca wytrawna. Wiemy zresztą z kom-

petentnego źródła, że osnutą jest nadto na nieznanych dotąd dokumentach, spoczywających w archiwum Drezdeńskim. *Socjalizm* p. Aua jest odbitką z Dziennika Poznańskiego. Autor z nie małą erudycją rzecz obrobił i praca jego może posłużyć nielada naszój publiczności, obeznanėj zaledwie powierzchownie z tym objawem czasu dzisiejszego.

Prywatne zwierzenia ludzi znakomitych wielką zawsze budziły ciekawość i zajęcie. Znamy osoby, których np. panowanie Stanisława Augusta wcale nie obchodziło, a które z wielką żarliwością wertowały i komentowały jego pamiętniki. Listy, o których Lelewel nie przypuszczał że będą drukowane, stanowią dla tego cenny materiał, że nam odślaniają historją umysłu i serca jego, że uzupełniają publicznego charakteru oblicze, dokonywają fizyologją duchową jego żywota. Wielki erudyta, znakomity krytyk, chromał gdy szło o pochwylenie historyzoficzne momentów dziejowych. Różnie to sobie tłómaczono. Listów jego ten tom pierwszy podnosi zasłonę w sposób nie pozostawiający nic do życzenia.

Już jako dziecko wprawiany był Lelewel do notowania najrozmaitszėj wartości rzeczy, a nikt go nie uczył poznawań tych różnic. Poglądu filozoficznego na świat, społeczeństwo, naukę, nie zaczerpnał i później, chociaż zdawaćby się mogło, że taki Śniadecki i Czacki pchnąć go byli mogli na wyżynę, z której szeregi faktów układają się w jakieś prawa ogólne i erudycją podnoszą do znaczenia nauki. Na Lelewelu wycisnęła młodość piękno, którego się już nie pozbył. Wyrobił się na genialnego przeciętnie krytyka, zajaśniał bajeczną iście erudycją, ale nie sprostał zadaniu myśliciela, patrzącego się na przewroty dziejowe z stanowiska wyższėj syntezy. Ciekawym i cennym dokumentem w tój mierze jest list księcia generała ziem podolskich, Czartoryskiego, który sam jeden usiłował młodego uczonego wprowadzić na drogę traktowania dziejów z wyższego stanowiska. Oto co sam Lelewel pisze o tym w liście do ojca, z Krzemieńca 1809 r. Pozwólcie, że przytoczę własne jego słowa. „Przybywszy do Krzemieńca, pisze Lelewel, odebrałem list od ks. Czartoryskiego. W liście tym, jak zwykle obszernym, wspomniawszy związki ojca jego z dziadem moim i ojcem, dorzuciwszy pochlebnych nieco wyrazów, przystępuje do pięciu myśli, które mnie jako dziejopisowi do rozpamiętywania podrzuca. Potem ze strony 8 i 9 mojego *Rzutu oka na dawność litewskich narodów*, zbiera i roztrząsa złe, jak mówi, wyrażenia; nakoniec, rozwodząc się nad stylem i polszczyzną, radzi czytać biblie po polsku tłómaczone, w p. s. przytacza pochwałę z Ferranda Lengleta i odradza mi wydawanie krytyczne Kadłubka, o którym się zkądciś, z ubocza snać dowiedział i odradza gmeranie dla wydobycia *origenes gentium*. W całym liście radzi raczėj do przytożenia się *do filozoficznej części dziejów, aby zostać dziejopisarzem*. Szerokie, pisze, krom tego masz pole do zjednania sobie sławy, do której nikt u nas dotąd nie doszedł, bo nikt nie umiał, ani chciał umieć, jak ją ścięgać należy.

Ztąd się dzieje, że kronikarzy mamy kilku, którzy po większej części siebie jeden po drugim skracali, albo też *ad literam* przepisywali, ale *żadnym dziejopisem szczyścić się nie możemy. Widzisz tedy przed sobą wieniec niczyją dotąd nieltkniętą ręką; możesz tedy być pierwszy w tym rodzaju, możesz stać się wzorem dla przyszło-piszących.*” Czyż to nie wielkiej wagi list? Ale Lelewel już stanowczo obrał był swój kierunek i odosobniona rada księcia pozostała bez skutku.

Z listów tych, wogóle wziętych, poznamy poczciwe i proste serce Lelewela, jego szczerze synowskie uczucia, jego delikatność, zapal do uczenia się, skromność wielką życia. Co je i pije, o to mniejsza, głównie mu chodzi o pokarm dla umysłu. Jest swobodny, spokojny, życia i jego przyjemności używa z prostotą, ale ochocho, niczem się nie kwasi, na żadne bombasty w myślach się nie sadzi. Jest sobie poufałym gawędziarzem, który z rodziną o codziennych rozmawia sprawach, a zarazem potrąca w naturalny całkiem sposób i o ważne, a nawet bardzo ważne sprawy.

Drugie dzieło, jakie przewertowaliśmy, ma tytuł: *Instanty polskie*. Wyszło niedawno, w obieg księgarski wchodzi teraz dopiero. P. Orda dał nam już w swym *Albumie* sposobność przypatrzenia się malowniczej tej krainie, w której zostawiła dawna Rzeczpospolita ślady siły swjej cywilizacyjnej. Nie była to siła przymusowa i dlatego przyswoiła sobie żywioły tameczne obce i potrafiła zlać je z sobą. Musiało życie dawne nasze mieścić w sobie wielki urok, mimo niedomagań, jakie nam nieraz słusznie zarzucali inoplemieńcy, którzy jeszcze dziś, jak tylko usłyszą o polskiej szlachcie, zwykli tylko na ujemne jej patrzeć strony. Dawniej Rzeczypospolitój działanie pokojowe wygląda w dziele tém tak pociągająco, że z prawdziwą rozkoszą wtajemniczaliśmy się w przedstawiony obraz, który nadto i tę ma wartość, że wszystko co przed naszemi oczyma roztacza, oparte jest na wiarogodnych statystycznych, etnograficznych i historycznych danych. Podobno już przed 10 laty wyszło dzieło to po niemiecku, ale nie miało być tak jak dzisiejsze polskie, wyczerpującem. Kraszewski w przedmowie, jaką je opatrzył, pisze, że *chwali się samo*. Istotnie, że treściwiéj niepodobna wyrazić się. My dodamy tylko jeszcze, że zajmujący bardzo dział stanowią rodowody znakomitszych tamecznych rodów, które wszystkie tak żywy brały udział w żywocie dawniej Rzeczypospolitój, a już wielkiej wagi jest pogląd autora krytyczny na wszystkich pisarzy, jacy kiedykolwiek trudnili się Infantami.

Złotój księgi szlachty polskiej p. Teodora Żychlińskiego wyszedł rocznik pierwszy z końcem grudnia. Jestto początek dzieła heraldyczno-genealogicznego, z prawdziwie benedyktyńską, opracowany cierpliwością. Nie należymy do tych, którzy z góry już podobne prace lekceważą; przeciwnie, jesteśmy zdania, że mogą one przyczynić się do pobudzenia naszej szlachty, aby szanowała pamiętki rodzinne i trzymała się ziemi. Wartość takich prac polega na tém, że rzucają światło na szczegóły życia narodowego, mianowicie u nas, gdzie naród

składał się wyłącznie ze szlachty. Kto przyjrzał się uważniej tutejszej dzielnicy, musiał wynieść przekonanie, że dziwna apatya zapanowała w niej na związki rodowe. Tradycje dawne nie tylko nikną, ale niknie zarazem i chęć zapoznania się z niemi. Społeczeństwo nasze atomizuje się coraz bardziej pod względem poczuć rodzinnych. Sprawdzamy fakt, który się zaprzecić nie da, że dbamy coraz mniej o wzajemne poznanie się. Temu smutnemu objawowi chce zaradzić, choćby w części jakiejś, praca p. T. Zychlińskiego. Autor corocznie posyła jeden wydawać zamierzył, wedle materyałów mu dostępnych, a każdy zawierać ma tak jak niniejszy pierwszy, monografii historyczno genealogicznych szereg. Tom czy zeszyt pierwszy, jaki mamy przed sobą, zawiera 65 monografii. Niektóre są nader wyczerpujące, inne mniej, co zapewne zależało nie tylko od materyałów, jakie autor miał pod ręką, ale i od roli mniej lub więcej głośniejszej, jaką grała ta lub owa rodzina, bądź dlatego, że miała dostojników wiele, bądź dlatego, że była liczną i ztąd stosunki miała rozgałęzione. Prawdziwość monografii tych, o ile dotyczą rodzin wielkopolskich, nie może podlegać wątpliwości i dlatego mniemamy, że autor *przedewszystkiem* rody wielkopolskie na uwadze mieć powinien. Akta grodzkie stoją dlań otworem. Niniejszy rocznik uwzględnił też przeważnie rody tutejsze. Mamy, między innymi, opracowane dokładnie aż do dziś, rody wielkopolskie Chełmskich, Cieleckich, Dąbskich, Grabowskich, Lipskich, Międzyńskich, Mielżyńskich, Niegolewskich, Górzeńskich, Szczanieckich, Sierakowskich, Szarzyńskich, Unrugów, Zakrzewskich, a przedewszystkiem Zychlińskich. Zakończa książkę nekrologiczna wzmianka o osobach, zmarłych w ciągu lat dwu ostatnich z rodów, które były opisywane. Dodatek załączony obejmuje tablice genealogiczne rodu Potockich, Pilawitów.

Poruszyłem w swych uwagach ogólnych nad *Złotą księgą szlachty* drażliwą materję, przyznałem bowiem słuszność pogładowi tych, którzy twierdzą, że ta swoboda ducha, która rodzicem była animuszu rodzimego, zamiera u nas. Ale czy potrafilibyśmy sprostać naciskowi, jakim przydusza nas germanizm, gdybyśmy przestali choć na chwilę trudzić się i znoić, obliczać i obliczać a krzątać się? Zapewne, że nie potrafilibyśmy, wszelako nie w tym znoju, nie w tém ciągłym obliczaniu leży smutna oznaka, ale w tém, że wysycha w tak wielu z nas to ciepło wiary rodzimój, które samo jedno nie daje przystępu zwątpieniu w przyszłych pokoleń losy. Z matemi wyjątkami, smutno i cicho na naszych niwach, mimo tu i owdzie odbywających się polowań lub obchodzonych imienin i składkowych obiadów. Pałace, dwory i dworki jak gdyby drzemają, a jeśli usłyszysz o jakiej zmianie, to dotyczy takowa wyprowadzających się z swój ojczyźniej siedziby pokoleń. Od chwili kiedyśmy się obliczyli, t. j. od miesiący 8, ubyto znów 48,000 morgów większej polskiej własności, a mniejszej ile, któż obliczy dziś jakotako dokładnie? Dość gdy powiem, że od 2 sierpnia do 15 września, w samym obwodzie rejencyjnym Bydgoskim, poszło aż sto kilka-

dziesiąt osad chłopskich na subhastę. W takim stanie rzeczy wszystko nam z trudnością przychodzi, co się nie tyczy bezpośrednio egzystencji. Chromieć więc zaczyna i niejedna z instytucji, wielkim wzniesionych i podtrzymywanych dotąd wysiłkiem. Na teatr np. uczęszcza nieliczna publiczność, a dług ciążący na kosztach jego budowy, chociaż mały, upchnąć się nie daje. Na walnym zebraniu spółki jego akcyjnej radzono o tém i postanowioném zostało ściągnąć *koniecznie* od akcyonaryuszów pozostałe zaległości. Mozół to arcy-niemili.

Przedsiębiorstwo sceny na lat trzy, t. j. do 1 października 1881 roku wziął, jak zapewne wam wiadomo, p. Doroszyński. Ale cóż? Zaledwie pobył kilka miesięcy, przekonał się, że na wielkie naraża się straty, więc wniósł do dyrekcji teatru o zwolnienie z umowy lub o zaśnięcie. Drugiego dyrekcya ani dać, ani obiecać że da, nie mogła, z kontraktu nie zwolniła. Wszystko co uczynić zdołała, to pocieszyć przedsiębiorcę nadzieją lepszej przyszłości.

Nadzieją lepszej przyszłości razem z p. Doroszyńskim my wszyscy podpierać się musimy.

Rolnicy, a przynajmniej część ich pewna mniema, że poruszona kwestya ceł ochronnych dla zboża, ulgę przynieść zdoła, jeśli zostanie rozwiązana po ich myśli; rozpoczynają się więc ruszać, dyskutują, petycyonują, aby zwrócić uwagę sfer decydujących na położenie rolnictwa. Wniosek o zaprowadzenie cła protekcyjnego na zboże, znajduje coraz liczniejsze i u Niemców poparcie. *My tutaj ostatkkiem gonić zaczynamy!* Ależ gospodarstwo się podniosło, wołają pewne niemieckie głasy. Racya, ale dobra są w większej części do $\frac{2}{3}$ wartości obdłużone. Nie potrzeba jak lat trzy lub cztery z tak niskimi cenami jak tegoroczne, a bardzo znaczny procent właścicieli dóbr u nas, pozbawionych znów będzie egzystencji, czyli Niemcy przez coraz dalsze *wykupno, zdobędą* nareszcie całkowicie tę najdawniejszą naszą ziemię, kolébkę narodu.

Petycye coraz liczniejsze rolników, jeśli nie sprowadzą ceł ochronnych (a zdaniem naszym, opartém na rozważeniu stosunków ogólnych, nadziei téj mieć nie można), to przynajmniej zobowiążą władzę, że obmyśli kompensaty, przez zniesienie taryf dyferencyalnych, przez zmianę w podatkowaniu i inne podobne środki. Program celny ks. Bismarcka, ogłoszony co dopióro, zdaje się zapowiadać korzystną jakąś zmianę systemu celnego.

Do téj kwestyi arcy-arcyważnej dla nas, powrócę obszerniej w przyszłej zapewne kronice, która oby pomyślniejsze rzeczy donieść mogła, niż dotychczas, tego wam i sobie życzę.

PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Alfred de Musset. Szkic biograficzno-literacki, według nowych źródeł, przez Jadwigę Krausharową, Warszawa, 1879 r.

Mając przed sobą wielki tom ścisłego druku, w którym zawarto wszystkie płody natchnień znakomitego poety Francyi spóczesnej i spoglądając na szczupły tomik pani Krausharowej, mimowolnie pytamy się, jakim sposobem autorka tę obszerną treść w tak drobne naczynie przelała.

Ale czyżto rzeczywiście treść tak obszerna, jak się z pozoru wydaje? Musset niezaprzeczenie napawa wdziękiem, ale wdzięk jego pozbawiony jest męzkiej siły; Musset goni za ideałem, ale ideał jego ma ciasne wymiary; Musset buntuje się, ale bunt jego jest zaledwie cichem echem Bajrona i Shelleya: to wprawdzie Prometeusz przymocowany do skały, tylko nie żelazem ale nitką jedwabną. Rozpaczę jego odbywają się w czarnym fraku i białym krawacie, nie w draperyi bohaterów gigantycznych, z którymi i bogowie sami rachować się zwykli. Niemniej, uczucie jego jest prawdą, rzewnością, poezją; i niema strofy w jego stanzach, któraby nie stanowiła jakiegoś obrazka, a więc któraby nie miała wartości realnej w świecie sztuki: ale drobna ta moneta twórczości poetyckiej ma kurs na pewnej tylko przestrzeni i w pewnych warunkach.

Idea jego nie pobrzmiewa niczem nowém, niczem uderzającym, bo Musset miernym jest myślicielem; treść gorąca, barwna, promienna, grzeszy jednostajnością: to poeta przeważnie żądź zmysłowych, i wszystko się u niego obraca głównie około miłości Owidyuszowej. Najznaczniejsza część jego prac: mnóstwo wierszów, utwory dramatyczne lub dramatyzowane, jego nowelle, wszystko to jest tylko nowoczesną parafrazą ksiąg *amorum* i *artis amatoriae* z wieku Augustowego, z zarodami etyki i obyczajowości pozytywnej częstokroć sprzeczną, ale w każdym razie prawami namiętności wylegitymować się zdolną. Rozpustnik to w całym znaczeniu, zaszyty w skórę bogobojnego idealisty: i takim przedstawia się Musset tak w poezyi jak w życiu.

Goniąc za miłością, a powstrzymywany przeszkodami, poszedł dalej niżeli nasz wieszcz, który podobnąż trawiony gorączką, powiada o sobie: „już się mam rzucić w brudne uciech rzeki”, ale się nie rzucił. Musset odepchnięty zrazu od swego ideału (George Sand), rzuca się z głową; na przekór; i trzeba było aż tak znakomitej uczynności i abnegacyi, jakiej dała dowód sławna powieściopisarka francuzka, ażeby go nie kochając, chwilowo ograniczyć, a potem, zdradziwszy, do szafu roz-

pusty, do złamania talentu i życia doprowadzić, iżby Musset chwilowo ustatkował się w myśli i żądy.

Stabe i kapryśne dziecko, Musset, wiecznie się nosił tylko z tém pragnieniem nienasyconém, i o sobie samym pisał jak najwięcej. Interesa społeczne, ludzkość, gra wielkich idei, stabe i rzadkie echo w twórczości jego znajdują; widzimy go zawsze zdala od tych spraw, w których koryfeusze postępu pierwsi nadstawiają czoło: z izdebki jego widok zawsze tylko na najbliższe punkta. Szyller, w zapasach z istniejącym stanem rzeczy swojego czasu, przeciwstawiający mu Tellów, Karlosów, Müllerów; Bajron zasycający wzniośle pożądania na polach Hellady; Shelley wstrząsający zuchwale okowami ludzkości całej, i rzucający groźne wyzwanie niebu; Moore kwilący swe melodye irlandzie, w takt poetom mniej upowszechnionego języka, nie mają w nim współtowarzysza. Czyliż w ciągu blisko trzydziestoletniej działalności, pomiędzy rokiem 1828 a 1857 nic takiego nie zaszło na świecie w otoczeniu bliższem lub dalszém, w myślach ludzkości i czynach, coby młodzieńcze serce poety wstrząsnęło i rzuciło na pola natchnień wyższych, czystych a trwałych, choćby takich które wywołują nieśmierlnie *Orientalles* jego współziomka i kolegi po piórze? Nie. Musset nigdy prawie nie wychodzi poza zakres spraw grubo erotycznych, i według wrażeń, jakie te sprawy czynią na jego sercu i umyśle, sądzi świat cały: próżniaka, marnotrawcę, szulera i rozpustnika, idealizując w „Rolli,” niby swoim autobohaterze, chrześcianinie, którego samobójstwo zgoła odmienném jest od samobójstwa pogańskiego Katona. I zda się jakby Musset w twórczości swęj postuchał głosu Getego, który w swoim *Vermächtniss* powiada:

Sofort nun wende dich nach innen,
Das Centrum findest du da drinnen...
Denn das selbstständige Gewissen
Ist Sonne deinem Sittentag”

(Wciąż więc na wewnątrz się zwracaj, tam znajdziesz ognisko sobie; gdyż samodzielna świadomość jest słońcem dnia twojej moralności).

Tylko że prawo to zastosował w zgoła innym kierunku.

Szczupła sfera idei i drobne postacie bohaterów mieszczkańskiej skali, nie przeskadzają Mussetowi być prawdziwym poetą. I z tego też głównie punktu sądzi go autorka monografii, śledząc po jego biografjach przyczyn takiego a nie innego kierunku, jaki muza jego w polocie swym rozwinęła. Postęp ten widzi autorka przeważnie w jego usposobieniu wewnętrzném, od dzieciństwa do niezadowoleń i melancholii skłonném, w przygodach życia prywatnego i towarzyskiego oddziaływających na jego postanowienia summa pewnych wzruszeń; a z takiego przedstawienia rzeczy, popartego świadectwem znamion odbijających się w jego utworach, wychodzi istota dosyć bierna względnie do swych upodobań i namiętności. Jednej ważnej rzeczy zapomniała autorka, mianowicie, że człowiek, jakiegokolwiek miałyby usposobienia, wszystkie one wchodzą w grę z otaczającą go wielką atmosferą

społeczną, która nie pozostaje i pozostawać nie może bez wpływu na usposobienia jednostek. Czas wychowania Musseta przypadł na okres smutnej reakcji, jak we wszystkich państwach Europy, tak też i we Francji, przeciwko prądom, które jakkolwiek miały swoje momenta zniszczeń wulkanicznych ale miały i ich wybuchów wspaniałość. To epoka we Francji ponura, mdła, *maussade*, wyziębiająca serca pod zimnym i obłudnym tchnieniem Restauracji; epoka, w której dzisiejszy stary radykalista Wiktor Hugo, za pieniądze Burbonów pisze im hymny pochwalne, co mu jeszcze niedawno z urąganiem przypominano z trybuny. Nie mogły wtedy umysły poetyczne karmić się wrażeniami i żyć życiem Andrzeja Chénier; a trzeba było wiele rozdrażnionej ambicyi i niepomiarkowanej chęci odznaczenia się efektem niebawym, ażeby Hugo rozkierował swego pegaza i puścił się z nim na manowce sztuki, tracąc miarę ale wybijając się zpod warunków otoczenia.

Nie miał tych powodów a zwłaszcza tej siły Musset. Jak W. Hugo, tak i on, stworzył swój świat sztuki dla siebie, bez oglądania się na zewnątrz. Hugo, nie oglądając się na swe otoczenie, albo raczej by rzucić mu pogardę w przeciwstawieniu go do własnego ideału, świat swój zaludnił bohaterami z błota i ognia, paradoksami ucieleśnionymi w Delormach i Ruyblasach, pierwowzorami wzniosłych nierządnic i genialnych włóczęgów: Musset, nie oglądając się ani na przeszłość ani na przyszłość, bohaterów tworzył na obraz i podobieństwo swoje. Nie odkrywa on pierwszych ministrów pod odzieżą lokajską, ani Bayardów pod łachmanami; nie przedsięwzięcie opiewać wielkości prawdziwych czy urojonych, i zda mi się obcym wszystkim, cobyż wychodzi poza sferę jego własnej osoby. Każde uczucie jego pieśni, to on; każdy bohater jego muzy dramatycznej, to on; każda myśl jest jego myślą własną. Subiektywizm i powszedniość, to cechy twórczości Musseta, czyli, jak dobrze zauważyła autorka monografii: „Musset ma to wspólne z Bajronem, że bohaterowie jego przedstawiają się jak maski, zpoza których wyglądają rysy samego autora”.

Autorka słusznie wskazuje „Lorenzaccio” jako najlepszy objaw jego usposobień polityczno-społecznych; lecz bohater ten o tyle tylko jest zacnym, o ile *życzyłby* panowania sprawiedliwości: *działać* nie jest jego rzeczą, i pierwsza próba działania, powszednia i zużyta, wypadła mu fałszywie.

Jakż jest stosunek poety do Boga, jaka jego filozofia?

„Jeżeli chciałeś poddać świat boleściom, których jest pełen, powiada on, nie powinienes był mu pozwolić dopatrywać siebie w nieskończoności. Czemuż niedola nasza marzyć ma o Bogu i odgadywać Go? Zwątpienie udręczyło ziemię: widzimy zawiłe albo zamało. Jeżeli Twój staby twór niegodzien zbliżyć się do Ciebie, należało sprawić ażeby natura osłoniła Cię i ukryła przed nim. Pozostałaby Ci potęga Twoja a my czuliśmyby jój pociski: ale spokój i bezświadomość mniej dotkliwymi uczyniłyby nędzę naszą... Lecz jeżeli nasze bole śmiertelne mogą dochodzić aż do Ciebie; jeżeli w wiekuistych przestworach słyszysz czasu-

mi jęki nasze, skrusz to głębokie sklepienie okrywające Twe dzieło; podnieś zastony świata, i ukaż się, Boże sprawiedliwy i dobry!" (Esp. en Dieu).

I cóż to wszystko znaczy? Poeta niezadowolony jest z Boga, w którego radby uwierzyć, niezadowolony jest z systematów filozoficznych, które Go, podług niego, źle tłómaczą; niema dość siły, ażeby albo bez względu na wszystko uwierzyć, albo bez względu na swe skłonności, odrzucić. Zawieszony między niebem i ziemią, powiada, w pięknych słowach, to tylko w gruncie, co powiada sobie każdy zwyczajny śmiertelnik drażniony wątpliwościami: Pokaż się, Panie Boże, zrób cud, a *uwierzę* w Ciebie!.. I tożto jest filozofia poetów? poetów, którzy posiadają siłę, choćby siłę zwątpienia: sceptycyzm! Rzeczywiście, zapraszać Boga na świat, zachęcać i przekonywać Go, jak to będzie dobrze, kiedy On się pokaże, to coś dziwnie pospolitego w ustach myśliciela. Jakże to różne jest pod względem doniosłości myśli od innych poetów wyrażających się w podobnym przedmiocie; i jak inaczej budzą zastanowienie czytelnika, wstrząsając jego umysłem, zdania, że się raz jeszcze powołamy na Getego, w jego np. rozumowaniu noszącym tytuł *Proemion do Gott und Welt*.

„Was wir, ein Gott, der nur von aussen stiesse,
Im Kreis das All am Finger laufen liesse!
Ihm ziemt's, die Welt im Innern zu bewegen,
Natur in Sich, Sich in Natur zu hegen,
So dass, was in Ihm lebt und webt und ist,
Nie seine Kraft, nie seinen Geist vermisst.“

(Cóżby to był za Bóg, któryby występował tylko z zewnątrz, i wszystko wkółko obracał na palcu! Rzeczą godną Jego, świat poruszać wewnątrz Siebie, naturę w Sobie, Siebie ograniczać w naturze: tak że co w Nim żyje, snuje i istnieje, nie może nie być objawem Jego siły i ducha).

Toż to cała teoria! Panteistyczna, powiecie? Zgoda; ale to żaden zarzut: inne także nie są bez zarzutu. Dość, że ona uszczęśliwia poetę, nadaje myślom jego pogodę i spokój. On czuje się przez nią jednością z Istotą Najwyższą i z istotami najniższymi a w samowiedzy swęj Istotą samodzielną; widzi zatem wszędzie nierozzerwalność, zgodność, harmonią, wiekiistość (Kein Wesen, kann zu nichts zerfallen!). Kto tego nie rozumie, tém gorzej dla niego. Bo poeta powiada dalej:

„We wnętrzu ludzkiem jest także Universum. A ztąd u ludów chwalebny zwyczaj, że każdy to co najlepszego zna, mieni Bogiem, i to *swóim* Bogiem; przenosi Go z nieba na ziemię i nawzajem, boi się Go, a gdzie może, kocha.“

Ten stanowczy, wielki i energiczny pogląd, jakże różnym jest od płaczkliwej niepewności Musseta, który napięra się Boga, jak dziecko szybki z okna!

Ale widzę, że zaczynam potrochu wchodzić w atrybucyę autorki monografii i po niej a po swojemu rozbierać Musseta; więc muszę się powstrzymać na tej drodze, któraby prowadziła wprost do napisania nowej książki, czego uczynić na ten raz niéмам wcale zamiaru. Bałamuci bo to są ci poeci, jeśli są prawdziwi: większy czy mniejszy, zawsze zęci ku sobie syrenim dźwiękiem głosu.

Otóż, autorka monografii poddała się tej przynęcie, i śnać nie na krótko, bo przeczytawszy całą księgę, streściła z niej wszystkie rzeczy najgłówniejsze, wykazując zasadnicze myśli pojedynczych utworów. Czy jednak z tych streszczeń wyszedł żywy obraz twórcy? Zaraz!

Ażeby dostatecznie ocenić dzieło sztuki, (rozumiejący przez to i poezyą), trzeba na nie spoglądać kolejno oczyma filozofa, artysty, poety, i nawet historyka, w miarę żywiołów jakie w niéм wydatnieją i przeważają. Krytyka nie wypowiada jeszcze ostatniego słowa o utworze, przyznając mu formę mniej lub więcej doskonałą w sobie pod względem techniki, a bez względu na stosunki tej formy z ideą lub uczuciem stanowiącém treść. I krytyka nie może, jak chce mieć Taine, ograniczać się na wskazywaniu i tłómaczeniu; musi ona klasyfikować i przedewszystkiéи sądzić, jak to czyni wbrew swemu zaleceniu wielki krytyk francuzki. A w tym drugim razie, krytyka ma bez zaprzeczenia zadanie bardzo delikatne. Ażeby je spełnić, niedosyć jest być uczonym i historykiem; potrzeba nadto ażeby historyka uzupełnił filozof, a ten podszyty był artystą, respective poetą.

Które z tych kwalifikacyi okazała autorka w krytyce Musseta? Zdaniem naszém, w znaczeniu zupełném, w stopniu wymaganym w nauce, żadnej; częściowo, wszystkie, a pomiędzy niemi przeważa gust i obeznanie się z duchem literatury spóczesnej. Rzeczą jest niezaprzeczoną, że utwory wskazane przez p. Krausharową za najlepsze w Mussecie, lub za najśabsze, takimi są w gruncie i w uznaniu powszechném. Autorka umie nie tylko trafnie wybrać, ale i, streszczając, uwydatnić idee główne, lub przymioty przeważające. Gdybyśmy jednak zapytać chcieli o motywa sądu, o kryterium zdań aprobujących lub ganiących, niełatwo znaleźlibyśmy odpowiedź. Musset ze zdań autorki, w ogóle mówiąc, wychodzi poetą znakomitym, „najpierwszą i najjaśniejszą gwiazdą romantyki francuzkiej” (str. 17); i sąd opinii powszechnej wywód ten popiera, boć przecie we Francyi nie za byle co sadzają w krześle akademickim, i nie byle wierszopisem zajmują się literatury obce, tłómacząc, szperając po życiu, komentując. Chodzi tylko o to, jak usprawiedliwić fakt i własnego zachwytu i ogólnego konsensu. A w przedsięwzięciu takim nie można poprzestać na rozklasyfikowaniu chronologiczném utworów z odniesieniem ich do życia pisarza, oraz na przedstawieniu treści, bodajby z ozdobieniem jej najpiękniejszymi cytatami.

Rzeczą główną co do tego musi być wykazanie, iż to co stworzył mistrz piękna, jest rzeczywiście *pięknem*. Ale tu właśnie przedstawia się zaraz to ciężkie pytanie: co jest piękno? Ponieważ pytania tego

nikt dotąd nie rozwiązał stanowczo, więc rozwiązanie każdy może sobie stworzyć dowolnie: niemniej jednak pojęcie jakie krytyk ma sam dla siebie w tym przedmiocie, będzie zarazem sprawdzianem w jego ocenianiu dzieł pretendujących do miana pięknych. Na mocy téj nieuniknionej konieczności, pytamy autorkę, jaki jest jój co do piękna sprawdzian, według którego ceniła utwory Musseta. Autorka zachowała co do tego milczenie; nam się jednak zdaje, żeśmy odkryli ten sprawdzian, według którego Musset, bądźco bądź, istnieje jako poeta. Tylko, ażeby to wykazać nie trzeba go odnosić do żadnego danego systematu estetycznego, do żadnego typu piękności doskonałej, tak jak mamy już pewne typy prawdy i dobra, dla których miara jest zewnątrz nas, gdy tymczasem nikt nie jest w stanie okazać miary zewnętrznej dla piękna, jedynéj i niezmiennéj. Można zapewne wymyślić piękno metafizyczne zlewające się z prawdą i dobrem; ale gdzież będzie stosunek bezpośredni tego piękna niewidzialnego z pięknem zmysłowym, które urzeczywistnia? Co większa, piękno tak jest kapryśnym, nieujętym i niezależnym od prawdy czy od dobra, że sztuka wytwarza kłamstwa piękne, przewrotność piękną, piękną zgrozę; zajrzyjmy tylko do Szekspira: naśladowanie szpetności (Żółkowski gdy gra pijanego), tlómaczenie występku (Królikowski jako Franz Moore), mogą pewną swą stroną zléwać się z ideą piękna.

To zatem co nazywamy pięknem idealnym, nie jest, naksztakt prawa moralnego lub rzeczywistości przyrodzonej, wyrazem zewnętrznym i niewzruszonym: to typ czysto wewnętrzny, czysto subiektywny, miara którą sobie tworzymy sami, i według której jużto wychowanie nasze, jużto wreszcie fantazyja, ustanawia działy i poddziały najrozmaitsze, i nikt nigdy dosyć nie wystyszy, nie wypatrzy, nie wyczyta, nie wyporównywa arcydzieł, by mógł posiadać w sobie powszechny sprawdzian piękna w sztuce. Prawda i cnota jednakowe są dla wszystkich, gdy tymczasem instynkt piękna u pospólstwa, lubujący się w jaskrawościach i krzykliwych efektach, różni się wielce od instynktu ludzi artystycznie ukształconych, którzy nawet w prostéj arabesce widzą uosobioną gracyą doskonałą, a prostym wierszem Homera wzruszają się więcéj niż retoryczną tyradą sensacyjnego wierszopisa.

Na téj więc zasadzie należy istotnie artyście i poecie pozostawić wybór typu takiego, jaki mu się podoba. Niechaj on tworzy sobie ideał swój jak może, niechaj to będzie jego ideał osobisty, naksztakt tych ideałów osobistych, jakie i my posiadamy w sobie: a sąd nasz o tyle tylko będzie uzasadnionym, o ile miara ideałów nie wyniknie z doktryny, lecz z téj wzajemnéj koncesyi, tak w rozważaniu utworów piękna nieuniknionej. Oto pierwszy warunek sądu.

W zastosowaniu do Musseta, warunek ten znacznie wyjaśnia poglądy na niego, jako na poetę. Ideały jego mogą się nam niepodobać w zasadzie, czego my ze swéj strony nie taimy bynajmniej; ale że to są jego ideały osobiste, jego subiektywność, przeto zmuszeni jesteśmy uznać ich prawo bytu w sferze piękna.

Autorka przywodzi dwa zdania krytyków z różnych obozów: klerykałnego Veuillota i niepodległego Lindau'a, którzy, każdy po swojemu, odmawiają zalet bohaterom Musseta, w czym i my nie różnimy się od nich zasadniczo, ale z tego tylko punktu, że nie widzimy w nich żadnej dodatniej łączności ze społeczeństwem. Obstawiamy jednak przy tém, że ze względu na świat osobisty piękna, mają oni racją bytu (pod warunkiem spełnienia funkcji artystycznych), raz jako kreacya niezależna, powtóre jako pewne wyrazy danego społeczeństwa i danej chwili. Wszakże i bohater homerowski, Achilles, niema w sobie nic takiego, czémby się dzisiejszej społeczności człowiek moralnie zachwycić mógł; a wszelakoż wszyscy zachwycamy się i długo zapewne zachwycić się będziemy Achillesem, jako wyrazem danego społeczeństwa i danej chwili: zależy to zaś tylko od form w jakie przybrała się idea. Jeżeli więc Lindau powiada, że: „są to po większej części młodzieńcy przeżyty, dzieci z doświadczeniem starców, niezadowolone, znużone, pożałowania godne istoty, szukające zapomnienia w objęciach pierwszój lepszój zalotnicy i chcące obmyć alkoholem obrzydzenie, które same dla siebie czują,” zgadzamy się z nim zupełnie. Ale, gdyby przez to Lindau chciał im odmawiać prawa bytu, lekceważył, wyłączał; to zapytalibyśmy go, co w takim razie uczyni z potworami Szekspira? Co prawda, i oneć istnieją w sztuce, w sferze piękna, tylko na zasadzie formy.

Obowiązkiem, zdaje się, było autorki monografii przewidzieć te trudności, jakie napotykają się w uzasadnieniu ideałów jój poety, a zarzuty domniemane odeprzeć stosownym argumentem. Nie byłyby wtedy potrzebnym cały nasz powyższy wywód, którym chcieliśmy niejako wyręczyć autorkę w odpowiedzi na zapytanie: jak możesz zachwalać nam poetę przedstawiającego samych urwisów zmysłowych, rozgorączkowanych, i malującego sceny często nazbyt ryzykowne? Ale autorka, nie mozoląc się nad wywodami estetycznymi, gustem niejako, instynktem, zdaje się odgadywać istotę argumentu; niebo sprawiedliwszego i trafniejszego, jak to co powiada w formie postawienia zapytań bez rozwiązania.

„Nie zapuszczając się (mówi, str. 39), w rozbiór kwestyi, czy wolno poecie wyłamywać się zpod ustalonych praw moralnych, a kierować się natomiast własnymi namiętnościami, powiemy tylko że dzieło Musseta, to on sam... Czy ta subiektywność jego poezyi umniejsza jój wartość? Czy ten człowiek dumny, ponury, cyniczny, z nieufnością na twarzy, z żalem i gniewem tajonym w sercu, z umysłem rozdrażnionym, a jednak zdolnym do prawdziwego i głębokiego przywiązania, mógł stawiać się nam jako przykład (*to nie*), a raczej jako typ bohatera wieszczą dla przyszłych pokoleń? Czy tych bohaterów jego, te biędne dzieci wieku, które, jak on, potraciły na drodze życia, w wędrówce za ideałem, wiarę swą, iluzję, nadzieję; tak jak on, nauczyły się wątpić i bluźnić, i niestety, tak jak on, szukały zapomnienia w wirze hulaszczego życia i łatwych, upajających rozkoszy, będziemy roz-

bierać skalpelem chłodnego rozsądku i zimnego wyrachowania? Czy wolno nam sądzić i potępiać poetę? Czy wolno nakładać pięta wybranemu i namaszczoneму przez wyższe jakieś potęgi, i żądać ażeby życie swe i uczucia stosował do naszego mieszczańskiego (!) poziomu, umiarkowanego zapachu oraz namiętności kodeksem prawnym i konwenansem towarzyskim ubezpieczonych? Nie będziemy się wdawać w rozbiór téj kwestyi."

Szkoda, bo to właśnie było miejsce odpowiednie, i co większa konieczne; i nie zaprowadziłoby autorki „zadaleko,” jak się obawia; ale tylko do punktu z którego należy zapatrywać się w ogóle na kreacye poetów, na ich swobody i ograniczenia, na to wreszcie co w twórczości artystycznej jest, pomimo niezwykłości, normalném, a co wręcz chorobliwém. I wtedy pokazałoby się, że Musset nie wyprowadzał bohaterów swych omackiem z głębi marzeń delirycznych, ale że tworzył na seryo, i to nie tylko na obraz i podobieństwo swoje, lecz zarazem na kanwie moralnej epoki; że przeto twory jego mają wartość historyczną. Historyczną, powiadamy, zgodnie z tém co napisał sam Musset (*Un mot sur l'art moderne*): „Kiedy wiek jest zły, kiedy człowiek żyje w czasie, w którym niema ani religii, ani moralności, ani wiary w przyszłość, ani względu na przeszłość; i kiedy ktoś pisze dla tego wieku, może on znieważyc wszelkie prawidła, wywrócić wszystkie posągi; może wziąć za boga zło i nieszczęście, może utworzyć *Zbójców* Szyllera, jeżeli przypadkiem jest Szyllerem, i z góry odpowiedzieć sądzącym go ludziom: Takim był mój wiek, namalowałem go takim, jakim go zastałem.” Oto sekret twórczości Musseta, oto kanwa jego scen nagiej przewrotności, scen marnowania życia na uciechy niskie i bezpłodne, talentów na igraszki: oto natura jego bohaterów denerwujących i zdenerwowanych, szydzących z zalet własnych i ze świata, w wieku gdy w ojczyźnie poety przyklaskiwano wyprawie księcia Angoulême do Hiszpanii, dla przywrócenia obalonój Inkwizycyi, a wszędzie tłumiono chciwie zacne iskry rozdmuchane wiatrem przewrotów zbawiennych z końca przeszłego wieku, i agenturę policyjną postawiono w liczbie czynników pedagogicznych.

Cóżkolwiekbaż, autorka w powyższych pytaniach swych przeczuwała prawdę, tę prawdę, którą my przynajmniej podajemy za taką, a którą wolno każdemu dyskutować, jak się podoba i na miejsce jój postawić inną, powszechniejszą.

Ale krytyka, uspokojona w ten sposób co do wyboru ideałów, ma przed sobą inne zadanie wielkie, równoległe do zadania sztuki. Przy swobodnym wyborze treści żądamy już koniecznie od sztuki i za cel jój jedyny, za znamię charakterystyczne stawiamy, ażeby forma odpowiadała treści w mierze idealnej, na mocy praw sympatyj, symetrii, harmonii, proporcji i przedstawiała tę treść w obrazach różnyh od prozaicznego kształtu, natchnionych uczuciem żywém i specjalném. Krytyka téż według tego powinna rozpatrzyć, czy dzieło poezyi jedno- czy w przymierzu ścisłym i harmonijném treść z formą, pomysł z wy-

razem i przez formę tylko, przez wyraz może krytyka wnikać w utwór piękna. Przypuściwszy bowiem, że krytyk wyłącznie zwraca uwagę na ideę, to jego pochwała lub nagana nie będzie dotyczyć samego dzieła, ale szczególnego pomysłu twórcy. Śmiało nawet pójść można dalej jeszcze i orzec, że krytyka artystyczna zwraca się głównie do formy i do jej związku z ideą, którą sądzi filozof, historyk lub moralista, nie zaś estetyk, czyli że nad wszystkimi innymi kwalifikacjami w krytyku piękna, obok względów sfery ogólnoludzkiej, przeważać ma zdolność objaśniania znaków wyrażających idee i tłumaczenia języka, którym przemawiają pomysły. A i w tej nawet sferze, roztropnie ograniczonej, niezawsze snadnym jest orientować się z zimną krwią pośród kapryśnych częstokroć wytworów imaginacji (Słowacki) i niejednokrotnie przyjdzie zbroczyć na manowce, skutkiem różnistości gustów i fantastyczności w tworzeniu.

W każdym jednak razie, ażeby dać poznać poetę, potrzeba posiadać klucz od jego języka i według tego znaki jego czytelnikom tłumaczyć.

Dziwna rzecz, jak nam łatwo zgodzić się z autorką na sąd o wartości tak pojedynczych utworów Musseta, jako i pewnych grup całkowitych. Nie zgadzamy się wprawdzie na to, co autorka mówi o grupie: *Contes d'Espagne et d'Italie*, że po ich wyjściu „pierwszy raz we Francji usłyszano głos narodowej pieśni w formie, pozbawionej sentymentalnej maniery, głos naturalny, żywy i namiętny (str. 18)”; bo za cóż znowu tak dalece postponować np. Bérangera, Chéniera, a dawniej jeszcze Ronsarda?... ale zgadzamy się na to, że grupa ta jest najoryginalniejszą i najpoetyczniejszą w dziele Musseta. Przyjmujemy nawet wszystkie niemal wyrażenia zachwytu co do talentu, świeżości, młodzieńczości twórcy tych dzielnych erotyków; jednę, według tego cośmy tylko co wspomnieli o warunkach krytyki artystycznej, wymagamy rzeczy, to jest, ażeby autorka wyjaśniła nam, *dłaczego* to tak jest. Tymczasem autorka każe wierzyć sobie na słowo, wrazeniem swém przygotowuje czytelnika do wrażeń; co najwięcej, jak tu tak i indziej, przytoczy osnowę rzeczy, ale ani raz nie sięgnie po wytłumaczenie któregoś utworu poetycznego językiem poety, po objaśnienie tych znaków, któremi się właśnie poezya odróżnia od form zwyczajnego przedstawienia rzeczy. Zdanie zyskałoby wiele na powadze, gdyby autorka wybrała jedną lub kilka prób charakterystyczniejszych i na nich, jak to czynią naturalisci na pewnych okazach generycznych dla objaśnienia całego rodzaju, wykazała tę malowniczość form poetycznych i tę zadziwiającą zgodność ich z treścią, to bogactwo barw, którym młody piewca władał z takim talentem; ten ogień południowy, którym na zazdrość Anakreontów, Horacych i Owidyuszów wyłocił swe eleganckie strofy w sposób tak porywający, że Muza jego słusznie zajęła miejsce w narodowym panteonie Francji i zwróciła uwagę innych narodów. Rzeczywiście, Musseta brać trzeba z punktu ideałów osobistych i uważać o ile forma artystyczna zléwa się z ich treścią. Gdy-

by nie ten wytrysk czystej wody krynicznej, w której przezroczu, brylantów ogniem odbijają się jego obrazy zmysłowe przez grę światła południowych, buchających z ogniska jego natchnień, pomysły jego mogłyby się stać ściekowiskiem mętów światowych, jak to dzieje się u pisarzy równie swawolnych a mniej natchnionych.

Nic dowcipniejszego, jak to powiedzenie Sainte-Beuve'a, przytoczone przez autorkę, że Musset w pierwszych swych utworach wygląda jak Cherubin przebrany za Don Żuana. W dalszych, Don Żuan z Cherubina zwolna przeistacza się w demona, nie tracąc wszelako gruntu estetycznego aż do upadku idei moralnej. Przejście to notowane jest wprawdzie przez autorkę i tłómaczone dość skrętnie wypadkami życia, ale w jej krytyce nie widać zgoła artystycznego odbicia tej ewolucji, przez umiejętne zestawienie kolejnych objawów faktu.

Cała więc praca autorki redukuje się do strony przeważnie informacyjnej zadania. Uspodobienie psychiczne poety, jego życie, charakter ogólny prac, znajdują tu miejsce dostateczne. Tłómaczenie artystyczne chybia. Przedstawiając jednak co w tej pracy rzeczywiście jest, nie lekceważymy i tego zadania, jakie spełniła autorka monografii; zawszeż to jest najbardziej szczegółowa z prac, jakie dotąd u nas o Mussecie wyszły, a z tego powodu na uznanie w literaturze zasługuje, témbardziej iż, jako utwór kobiety, jestto jeden z pożądanych u nas objawów, zaszczytnie świadczących o kierunku, obranym przez umysł wybrańszego towarzystwa niewiast, dbających o znaczenie płci swojej w społeczeństwie. Pełniejszą byłaby ta praca, gdyby autorka, scharakteryzowawszy ten rodzaj poezji Musseta, postawiła go w łączności z całym ogółem spóczesnej literatury francuzkiej i wpływ jej na kierunki spóteczno-literackie wskazała.

Kazimierz Kaszewski.

Artur Grottger. Szkic biograficzny, przez Klemensa Kanteckiego. Lwów. Nakładem „Przewodnika Naukowego i Literackiego.” 1879 r. (w 8-ce, str. 150).

Dwanaście lat mija, jak ten genialny artysta rysownik umarł, w kwiecie życia, z niemłą szkodą dla sztuki polskiej, bo był jedynym rysownikiem, który potęgą samego ołówka potrafił zastąpić obrazy olejne i zapomnieć o kolorycie. Urodzony d. 11 listopada 1837 roku. Ojciec jego Jan Józef Grottger i matka Krystyna z domu Blahao de Chodietów, z rodu Węgierka. Mały Artur od najmłodszych lat, pokazywał szczególne upodobanie do rysunku. Ojciec sam doskonały rysownik, podniecał umiejętnie ten zapal.

Autor rozpoczyna szkic swój zajmującym wstępem.

„Było to we Lwowie 1851 r. d. 16 października, około drugiej godziny z południa. Od Grodeckiego ku rynkowi ciągnął się świetny orszak dostojnych gości w towarzystwie władz, dygnitarzy i różnych matadorów miejscowych, a dalej roiła się różnobarwna rzesza ludu. Młody cesarz Franciszek Józef, bo na jego to przyjęcie wylaty się te tłumy, dosiadłszy konia, przy koszarach Ferdynanda, zdążył do samego miasta, witany radosnymi okrzykami ludności, chciwój zawsze okazanych i uroczystych widoków.

„Mieszkańcy ulic, któremi postępowała ta ogromna kalwakata, zaległszy okna, wygodnie i bezpiecznie przypatrywali się pochodowi, pojąc wzrok obrazem, jaki się rzadko roztacza w prowincjonalnym mieście. Ale gdy tak wszyscy wytężają ciekawe oko, dla odniesienia przelotnych wrażeń, w jednym z okien hotelu Drezner'a, na rogu ulicy Akademickiej i Maryackiego Placu, w pobliżu bramy tryumfalnej, ktoś, dla innego ważniejszego celu, stara się zatrzymać w pamięci główne zarysy cesarskiego otoczenia. Jestto młodzieuchny, czternastoletni chłopiec, szczupły i wąty, niskiego wzrostu, z którego drobnej twarzyczki biją rozum i żywość. Z gorączkowym pośpiechem, a przytém ze zręcznością i rozwagą, starszą nad lata, przenosi on sposobem szkicowym na papier to, co widzi, a szybkość i pewność jego okówka, zwłaszcza, gdy rzucając kontury koni, w kilku pobieźnych rysach nadaje im pewne charakterystyczne cechy, wskazuje wyjątkowe uzdolnienie w młodym rysowniku, pozwala się spodziewać, że dziecko to kiedyś wyrośnie na mistrza.”

Tym rysownikiem był Artur Grottger, który następnie z tego szkicu wykonał akwarelę, przedstawiającą wjazd Franciszka-Józefa do Lwowa, pełną ruchu i życia, z uderzającym podobieństwem tak samego cesarza, jak i znakomitszych osób, przez jeden dzień, na półtora łokcia szerokości, na której roiły się setki figur konnych i pieszych.

Ten niezwykły pośpiech był obecnie koniecznym, wszystko bowiem zależało od tego, ażeby praca ta, przedstawiona cesarzowi, wyjednała młodzieukiemu artyście stypendyum, na dalsze kształcenie się w sztuce.

Gdy Franciszek-Józef przybył do domu hr. Zabielskiego, akwarela pomieniona, obok widoków Galicyi z różnych okolic tego kraju, już wisiła na ścianie. Cesarz, przyjemnie zdziwiony tym obrazem, zapragnął poznać artystę. Jakoż, przedstawiony monarsze, z prywatnej jego szkatuły otrzymał pożądane stypendyum, z poleceniem, ażeby się najprzód udał do Szkoły malarstwa w Krakowie, następnie zaś do Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu.

Autor *Szkicu* ze szczególnym zamiętowaniem, śledzi dalszy kierunek artystyczny Grottgera, a posiłkując się jego listami i pamiętnikiem współkolegi Grabowskiego, maluje nam w niezwykle zajmującym sposobie, tak ówczesną Szkołę malarstwa w Krakowie, pod przewodnictwem Stattlera, jak i pobyt w niej genialnego malarza. Tu pierw-

szymi jego nauczycielami, którym wiele zawdzięczał Grottger, był: Juliusz Kossak i zasłużony sztuce polskiej prof. Władysław Łuszczkiewicz. Ten odrazu poznał się na talencie młodzieńckiego ucznia, wyróżnił go pochlebnie, okazywał mu zyczliwość i wzbudził nawet między uczniami pewne uszanowanie, dla wiele rokującego ucznia, o którym już czytali w *Dzienniku Literackim*: „że bez żadnego prawie na wsi poprzedniego przysposobienia naukowego, robi ołówkiem i akwarelą nader trafne rysunki osób, koni, scen wiejskich, ruchów wojennych, wzbudzając podziw znawców i coraz liczniejszych, tak szczęśliwego talentu, wielbicieli.” Stypendyum nie wystarczało, brak dotkliwy uczuwał. Malował więc po nocach obrazy świętych, dla okolicznych chłopków, zarabiał w ten sposób na życie, przez dzień zaś natomiast pracował nad własnem ukształceniem. Ukończywszy Szkołę malarstwa w Krakowie, po stracie ojca przybył do Lwowa, gdzie znalazł chętnych nabywców na swoje prace. Opatrzność zesłała mu tu pomoc w czcigodnym pułkowniku Aleksandrze hr. Pappenheimie, z którym częste konno odbywał przejażdżki. Temu też, dziś już generał-majorowi, p. Kantecki pracę swoją przypisał, która nietylko wybornie odzwierciedla krótką pielgrzymkę artystycznego życia Grottgera, ale zarazem jest cennym materiałem do historii sztuki w Polsce. Co to za śliczne obrazki, gdy przedstawia nam autor życie młodych artystów w Szkole malarstwa w Krakowie. Jakie zajmujące studia nad rozwojem duszy, myśli i talentu naszego artysty. Z obfitego materiału, jaki zgromadził, umiejętną ręką dobiera szczegóły, malujące nam dokładnie drogę i polot tego geniuszu.

W Wiedniu rozpoczyna Grottger nowe życie, pełne trudów i trosk o potrzeby codzienne, bolesnych kłopotów i walk z niedostatkiem. Dużo malował i rysował w Wiedniu, w którym co miesiąc dwadzieścia dni przebywał o chłdzie i głodzie. *Dzienniczek*, jaki własnoręcznie artysta prowadził, a w nim spowiadał się szczerze, posłużył naszemu autorowi do wypełnienia wielu kart zajmujących. Hr. Pappenheim popłacił zaciągnięte długi przez Grottgera, aby mu ułatwić powrót do Krakowa. Nie przestał na tém szlachetny opiekun, zaopatrzył go nadto w fundusz, aby mógł pojechać do Monachium; w Wiedniu nie porzucił akwareli i wykonał jedną z najlepiej wykonanych: *Spacer na Kahlenberg*, mającą wysokości 28, a szerokości 39 centymetrów. Chudy Niemiec w cylindrze, na kasztanowatym koniu i jego żona w niebieskiej sukni i niebieskiej tunice, z parasolką w ręku, na siwej szkapie, jadą na Kahlenberg. Konie snuć bardzo zmęczone, ostatnich sił dobywają, ażeby się na szczyt dostać. Rosynanta Niemki pogania chłopak. Przed tymi po drożynie, idzie kilka rodzin pieszo; po prawej stronie zpoza góry, wychyla się sam malarz z teką pod pachą, w cylindrze i laską na ramieniu. Niedaleko już widnieje historyczny kościółek, w którym się modlił król Jan III Sobieski.

Nieograniczając się na obrazach rodzajowych, próbował się Grottger już wtedy w historycznych kompozycjach, a za przewodnika

w tę trudną drogę obrał sobie Mickiewicza. Illustrował *Redutę Ordo-na*, później odważył się zaczerpnąć z *Konrada Wallenroda* motywów do dwu olejnych utworów, które na początku 1857 r. wystął na wystawę Sztuk Pięknych do Krakowa. Na jednym z nich widzimy Krzyżaka na koniu, w białym płaszczu, na tle dzikiej okolicy i chmurnego nieba; koryto rzeki i krzyż na wzgórzu wskazują, że jestto wierna ilustracja początku sławnego poematu. Na drugim, Litwini konni i pieśni z głębi lasu, przyglądają się Krzyżakom, przedzielonym od nich tylko korytem Niemna.

Przybywszy do Krakowa, przywiózł z sobą dwie nowe prace: *Pobudkę* i *Szkołę szlacheica*. Treść pierwszego olejnego obrazu następną: Pod cieniem wspaniałych drzew widać obozujący oddział jazdy staropolskiej; z pierwszym promieniem wschodzącego słońca, trębacz na koniu daje sygnał pobudki. Jedni ze snu się zrywają, inni już przypasują zbroje, drudzy śpią jeszcze. *Szkoła szlacheica*, pierwszy akwarelowy cyklus Grottgera, złożony z czterech oddziałów, zyskał wówczas w Krakowie powszechne uznanie.

Niedługo, wróciwszy do Wiednia, wybrał się ztąd do Monachium, przekonany, że pobyt jego w tém nawskroś artystycznym mieście, zbawiennie wpłynie na rozwój jego talentu. Polecony przez swego opiekuna, królewskiemu dworowi, przez starożytny dom bawarski hrabiów na Pappenheimie, miał przystęp do króla. a sama królowa nabyła od niego przesliczny szkic albumowy, niewielkich rozmiarów, wyobrażający artystę z Muzą, postępujących drogą stromą, wśród skał i cierni, wierny obraz własnego życia malarza.

W Monachium stanowczo wziął nowy kierunek jego talent. Zaimponował Grottgerowi na tamecznej wystawie, pełen poezyi utwór Schwinda p. t. *Bajka o siedmiu krukach*, wedle następnej ludowej legendy. Przed wiekami, nieznany artysta w przystępie gniewu przeklął własną żonę, niebaczniemi słowy: „Bogdajbyś kruki powiła.” W złej godzinie rzucona klątwa nie pozostała bez skutku; nieszczęśliwa kobiéta wydała na świat siedmiu synków, w postaci kruków. Zabobonni sąsiedzi, zdumieni i oburzeni tak szczególnym wypadkiem, rozstrzygnęli wątpliwość, ogłaszając ją za czarownicę. Pod grozą tego straszego oskarżenia, stawiona przed sądem, wtrąconą została do ciężkiego więzienia. W kaźni objawia się niewinnej matce anioł Boży, zapowiadając że siebie i synów wybawi, jeżeli z nici uprzedzonych własną ręką, wyrobi płótno, a z tego płótna dla każdego syna uszyje koszulkę, przez cały zaś czas, w którym będzie zajęta tą pracą, nie wymówi do nikogo ani słowa. Niestrudzona matka dotrzymuje warunków, i już kończy siódmą, z kolei koszulkę, kiedy zapada wyrok, że jako winna czarów, ma zginąć na stosie. Ale w chwili, gdy skazaną mają ogarnąć płomienie, wpada na miejsce tracenia konno siedmiu ślicznych chłopców, z których najmłodszy o kruczych skrzydełkach dla tego, że nie stało już czasu na przyszycie rękawków do jego koszulki, i oswabadzają ukochaną matkę od niechybnej a sromotnej śmierci.

Téjto bajeczce naszkicowanój krédką Schwinda w dziesięciu obrazkach, równie jak krédkowym kartonom Kaulbacha, przypisać należy że Grottger, zarzuciwszy prawie akwarelle i olejne malowania, oddał się niemal wyłącznie rysunkowi krédą. Pierwszym w tym rodzaju utworem jego był cykl p. n. *Trzy dni z życia polskiego szlachcica*.

Utwór ten składający się z trzech części rysowanych na tle architektoniczném, nosi napisy: *Wczoraj, dziś, jutro*. W pierwszym obrazku rycerz żegna się z kochanką, na *drugim* widzimy go w zgiełku bitwy rannego śmiertelnie, na *trzecim* ukazującego się kochance po śmierci z raną w piersi. Ostatni pomysł, jak wiadomo, powtórzył później w *Lituanii*.

Nasz artysta odżył w stolicy Bawaryi. Obrazki jego chętnie rozkupywano. Rok 1861 stanowi epokę w twórczości Grottgera: w tym roku bowiem dał nam go poznać jako wielkiego artystę i wielkiego poetę w utworach które wydał: jak *Doliną płaczu, Lituania* i inne poemata krédkowe, które porywały widzów. Przybył do Paryża, pracował ciągle, ale były to już ostatnie połyski dogorywającej lampy. Umarł ten wielki artysta d. 13 grudnia 1867 r. w kwiecie wieku, bo dopiero kończył rok 30 życia. Zwłoki Grottgera staraniem i kosztem młodéj jego narzeczonéj sprowadzono na ojczystą ziemię. Dnia 4 lipca 1868 r. odbyły się uroczyste egzekwie i pogrzebanie na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Nad grobem otoczonym tłumami ludu, uczcił pamięć zmarłego wymownemi słowy, najznakomitszy z żyjących poetów polskich Kornel Ujejski.

Utwory jakie pozostawił, unieśmiertelniają imię Grottgera w dziejach sztuki polskéj, a wspomnienie, że młodo skończył pielgrzymkę ziemską rozbudza smutne uczucie, bacząc na tak wczesne przerwanie działalności rozwiniętego geniuszu.

Wdzięczni jesteśmy autorowi *Szkicu biograficznego*, że nas bliżej zapoznał z artystą, co jak meteor świetny przeleciał tylko ponad naszą ziemią, wywołując zdziwienie i oklask powszechny. Cała monografia p. Kanteckiego wabi czytelnika, jako skreślona językiem czystym, stylem pięknym i jasnym. R.

Pamiętnik Instytutu Warszawskiego głuchoniemych i ociemniałych z r. szkolnego 1877/8. Warszawa, w drukarni Instytutu głuchoniemych i ociemniałych, 1878 r. (w 8-ce, str. 221, i LVI).

Rok dziesiąty już mija, jak rozpoczęło się to wydawnictwo, które obejmując szczegółowe sprawozdanie z rozwoju i funduszów swoich, dodaje oprócz tego i część naukową, w zakresie wychowawczym, tych nieszczęśliwych istot, pozbawionych słuchu, mowy, lub wzroku. Żywe

współczucie dla tego Zakładu, naszej społeczności objawia się w braniu licznego udziału, w czasie publicznych co rok egzaminów, i ofiar do stałych funduszków, ażeby podpierać tę dobroczynną a tak pożyteczną Instytucję, jedyną na nieszczęście w naszym kraju.

Wspominamy o tém z pewnym smutkiem, gdyż Zakład warszawski nie jest w stanie objąć wszystkich głuchoniemych i ślepotą dotkniętych, szczególniej po wsiach i małych miasteczkach, którzy przez to zostają na pastwę kalectwa nieszczęśliwego, w stanie idyotyzmu. Cyfry statystyczne już wykazały, że chcąc zapobiec tej niedoli społecznej, należy przynajmniej w każdym gubernialném mieście, podobny mieć Zakład. Kierowników niemi, nie zabrakłoby pewnie, jak nie braknie u nas ludzi z poświęceniem, którzy za wskazówkami i praktyką w głównym Instytucie warszawskim, potrafiliby godnie odpowiedzieć położonemu w nich zaufaniu.

Lwów ma już swój Instytut głuchoniemych i korzysta nawet z dobrego rad Instytutu warszawskiego, jakich mu chętnie udzielają, tak dostojny a zasłużony dyrektor, jako téż i profesorowie.

W Poznaniu takż Instytut otwarto w r. 1835, kiedy warszawski był już w pełnym rozwoju swjéj działalności. Monografią pomienionego Zakładu, mamy właśnie w tym *Pamiętniku*, o którym mówimy p. n.: *Historja poznańskiego Instytutu głuchoniemych. Przyczynek do nauki głuchoniemych w Wielkiém Księztwie Poznańskiem*. Przez Matuszewskiego, dyrektora Instytutu w Poznaniu (przekład z niemieckiego F. Szymańskiego). Że Instytut poznański ma już zdolnych profesorów, dowodzi rozprawa Marcelego Brzeskiego, nauczyciela tamecznego p. n.: *Kurs nauki głuchoniemych na sześć lat rozłożony*, która obejmuje jasny wykład, zaczynając od pierwszego domowego wychowania głuchoniemego, wskazując mimiczną naukę pogładową, naukę wymawiania, z ust poznawania, pisanie i czytania, rozmowy z życia towarzyskiego, oraz różne zwroty mowy potocznej; rachunki, pisanie czyli kaligrafią i tak rok za rokiem wskazuje dalsze prowadzenie głuchoniemego: najtrudniejsze zadanie, pouczania religii, nie jest opuszczone. Tak przechodząc szczegółowo, dochodzi do ostatecznego wykształcenia głuchoniemego, które czyni go człowiekiem, nietylko mogącym się zrozumieć z ludźmi dobrze mówiacymi, ale mającego pojęcie Boga, nieśmiertelności duszy, nauki religii i moralności. Jakżeż to wielkie dobrodziejstwo dla istot, dotkniętych tak straszném kalectwem!

Dwie powyżej wzmiankowane rozprawy, stanowią część naukową *Pamiętnika*, dalej mamy: *Sprawozdanie z obrotu funduszu głuchoniemych i ociemniałych. Sprawozdanie z dochodów i rozchodów Instytutu warszawskiego. Wykaz legatów, poczynionych przez osoby prywatne, na korzyść tego Zakładu*. Następnie idzie *Kronika*, obejmująca uroczystości obchodzone i szczegóły bliżej obchodzące sam Instytut, jak wizyty, wydawnictwo książek, odbijanych w drukarni miejscowej. Wydawnictwo *Kalendarza dla ociemniałych*, drukiem wypukłym; pomieszczenie wychowawców Instytutu w domu poaugustyańskim, przy

ulicy Piwnej od roku 1869, głównie dla ociemniałych. Czytamy w dalszym ciągu o ulepszeniach gospodarskich, a dalej wykaz legatów, poczynionych przez osoby prywatne na korzyść Instytutu warszawskiego. Zaczynają się od r. 1818 i wynoszą wogóle okazałą sumę rs. 90,496 kop. 81 $\frac{1}{2}$. Wdowi ten grosz napływa, chociaż drobnymi ofiarami. Pomienionym zasiłkom przychodzą jeszcze w pomoc warsztaty miejscowe i zarobek, pozyskany pracą samychże wychowañców. Wszystkie te dochody obracane są szczególnie na utrzymanie nadkompletniej liczby wychowañców, których w roku 1877/8 było 48. Słusznie tóż zarządzający naszym Instytutem R. R. St. Jan Papłowski, zakończy gorącą podzięką za wsparcia: „Aby Bóg sownie nagrodził hojność ofiarodawców.”

Zamyka ten *Pamiętnik: Sprawozdanie z części wychowawczo-naukowej za rok 1877/8*, obejmujące zarazem skład Instytutu, nauczycieli w oddziałach głuchoniemych i ociemniałych, służbę administracyjną, oraz listę wychowañców i wychowanic, z której widzimy, że w roku 1877/8 było głuchoniemych 204, ociemniałych 41, razem 245.

Po wykazaniu pomocy naukowych, następuje plan codziennych zatrudnień wychowañców płci obojój; szczegółowy program wykładu nauk, sztuk i rzemiosł; porządek egzaminów w końcu roku szkolnego 1877/8. Zamyka całą treść *Pamiętnika* wykaz uczniów, którzy otrzymali nagrody, pochwały i patenta ze wszystkich klas i oddziałów.

Z przedstawionój tu treści widzimy, że *Pamiętnik* ten daje nam najdokładniejszy obraz stanu, postępu i rozwoju tego Instytutu, nad którym dobroczynną i pełną miłości pracą, czuwa troskliwie dostojny przewodnik.

K. Wł. W.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

— *Styczeń 1879 r.* W sprawie „Szczerbca” Bolesławowego pi-sze J. I. Kraszewski do naszej redakcyi.

„Rysunek *Szczerbca* autentyczny, jest na obrazie Bacciarellego Bolesława Chrobrego: bo Bacciarelli mógł go widzieć. Jestto ważna wskazówka.” Pisał go d. 7 stycznia r. b. W dziesięć dni później na-desłał następny list do *Kuryera Warszawskiego*.

„W sprawie miecza, który był na wystawie paryzkiej w zbiorze Bazylewskiego, do wszystkich uwag nad nim czynionych (w *Kłosach* i *Bibliotece Warszawskiej, przyp. red.*), dodać należy tę jeszcze, że miecz *Szczerbcom* zwany, znajdujący się w skarbcu krakowskim, miał bez wątpienia podobną rękojeść i ornamentacyą u godła, ale nie idzie wcale zatém, aby p. Bazylewski Szczerbiec posiadał.

Rękojeść podobna z temi samemi godłami i napisami była wiele-kroć powtarzana w owój epoce, czego najlepszym dowodem żeśmy ta-ką samą mieli w ręku tu w Dreźnie, którą, jeśli nas pamięć nie za-wodzi, nabył nieboszczyk baron Rastawiecki.

Przytwierdzoną ona była do małych rozmiarów mieczyka.

Rękojeści takich z godłami czterech ewangelistów i napisem jed-nobrzmiącym znalazłoby się i więcej.

Wiemy teraz jak Szczerbiec wyglądał prawdopodobnie, ale gdzie on jest i co się z nim stało—będzie na długo tajemnicą.”

Drezno, dnia 17 stycznia 1879 r.

J. I. Kraszewski.

— Pomiedzy wielką liczbą kalendarzy, jakie wyszły na rok 1879, stoi na czele i odznacza się kalendarz Józefa Ungra tak częścią literac-ką, z niemąłą liczbą pięknych drzeworytów, jako téż i częścią infor-macyjną.

— Artyści malarze nasi bawiący w Rzymie, nie zapominają w swoich pracach o własnym kraju. Malarz Łaszczyński (jak się do-wiadujemy z korespondencyi z Rzymu do *Gazety Warszawskiej*), kil-ka przygotował obrazów, treści narodowej. Małachowski i jego *Corda fdelium*. Pan kanclerz wielki koronny siedzi w krześle, i z najwięk-

szém nateżeniem uwagi podaje swój sławny puhar owemu fluternemu Bernardynowi, który stał się już historyczną postacią. Hajduk nalewa węgryna do straszliwego roztruchana, a kucharz trzyma oburącz klęczącego i proszącego się niby Bernasia, aby nie umknął. Drugi hajduk odkorkowuje nową butelkę, a dworska kobieta załamuje ręce z rozpacz, iż kwestarz narażony na tak srogie niebezpieczeństwo, czyli téż z podziwu, że mnisze gardło tyle starego napoju pochłonać może cudownie. Nigdy pamiętniki Kitowicza nic trafniejszego nie natchnęły.

Uderza widza następnie *Kyrie elejson*. W staropolskiej sypialni, przed łóżkiem, na którym świeci dziejowa konstellacya całość życia objaśniająca: obraz Najśw. Maryi Pauny Częstochowskiej i karabela, klęczy wąsaty szlachcic z obnażonemi ramionami, szkaplerzem na piersiach i wyrazem skruszonej dumy i spóźnionego żalu za grzechy na obliczu, a klęczący również Bernardyn biczuje go ogórkami, odmawiając razem z pokutnikiem Psalmę Dawidowę i Litanią o Wszystkich Świętych. Jestto niby uplastyczniona stronica z niezrównanych przeszłowiecznych opowiadań, największego zdaniem mojem wskrzesiciela XVIII wieku i mistrza, nie wyjmując nawet Soplicy, Zygmunta Kackowskiego.

Tegoż rodzaju jest obraz historyczny, przepyszna *Scena z dziejów konfederacyi barskiej*. W przytomności Ogińskiego wojewody witebskiego, siedzącego przy stoliku, konfederat goli głowę kozakowi, aby przeczytać depeşe napisaną na jego skórze pod włos. Między wojewodą a gołącym konfederatem stoi ksiądz karmelita, przypominający nieśmiertelnego Marka. W głębi obrazu Bohusz sekretarz generalicyi ostrożnie drzwi zamyka.

— Polacy w Ameryce postanowili obchodzić jubileusz J. I. Kraszewskiego w dniu 19 marca r. b., jako w dniu imienin jubilata. Rozesłano odezwy o składki do wszystkich towarzystw i kółek polskich w całej Ameryce. Fundusz ztąd zebrany ma posłużyć w połowie na zakupienie dzieła jubileuszowego wychodzącego w Warszawie i we Lwowie w kilkudziesięciu egzemplarzach, a w drugiej połowie na zrobienie upominku dla jubilata z napisem: „Od Polaków z Ameryki.”

— Pisma nasze doniosły już o zamierzonej publikacyi pięknej *Albumu Wita Stwosza* genialnego rzeźbiarza polskiego, którego imie wydobył z pleśni wiekowej, archeolog Ambroży Grabowski. W dziele wydaném w Jenie u Hermana Cutenoble'a, p. t. *Geschichte der bildenden Kunst*, mówiąc o słynnym naszym rzeźbiarzu nazywa go już nie Niemcem, ale „utalentowanym artystą krakowskim” (*der talentvoller Krakauer künstler*). Profesor Bergau wydał w Norymberdze pierwszy zeszyt fotograficznego albumu dzieł Wita Stwosza.

— Ś. p. Henryka z Ankwiczów, z pierwszego małżeństwa Sołtykowska, z drugiego Kuczkowska, zmarła w d. 7 stycznia w Krasnem pod Rzeszowem w Galicyi. Ś. p. Henryka Ankwiczówna, podczas pobytu

w Rzymie w r. 1829, niepospolity wpływ wywarła na Mickiewicza, jak o tém obszernie pisze Odyniec w swych *Listach z Podróży*, oraz bezimien-
na autorka *Pamiętników Ewuni* i jak o tém najlepiej świadczą nieliczne
z owéj doby własne utwory Mickiewicza. Dla niéjto w albumie napi-
sał poeta prześliczny wiersz o *cicerone* mającym „dziecinne lice, lecz
starą mądrość nad czołem,” i może wiedzącym „przyszłość pielgrzyma.”
Dla niéj przetłómaczył z Goethego *Wezwanie do Neapolu*, które w *Li-
stach* Odynia znajdujemy w pierwotnym kształcie, znacznie różnym od
późniejszej postaci nadanej w druku przez poetę. Ona dała temat do
sceny „w domu wiejskim pod Lwowem” w *Dziadach*, i występuje tam
jako „młoda panienka” Ewa. Ona wreszcie znów jako Ewa, ale już
nieszczęśliwa ukochana Jacka Soplicy, występuje w *Panu Tadeuszu*,
a w bolesnych wyznaniach Jacka odbiło się podobno nawet nieco rze-
czywistości z pobytu w Rzymie. Ś. p. Henryka długo po poznaniu się
korrespondowała z Mickiewiczem i z Zygmuntem Krasińskim. Zosta-
wiła jedną tylko córkę wydaną za hr. Bertelli-Allgarottego.

— W Akademii Umiejętności w Krakowie, w miejsce zmarłego
Lucyana Siemieńskiego przewodniczącego komisji historii, historii
sztuki, zajął prof. Władysław Łuszczkiewicz, dobry znawca w téj ga-
łęzi nauki.

— Muzeum techniczno - przemysłowe w Krakowie otrzymało
w darze od prof. Władysława Klugera z Limy, rodem krakowiana, oka-
zy śpilek, pierścionków i łyżek metalowych, wyrabianych obecnie przez
Indyan z Boliwii, oraz część narodowego kroju tamtejszych mieszkań-
ców, oraz lalki ozdobne z Puno w Peruwii, przez Indyan wyrabiane,
a przedstawiające dzisiejsze ich stroje.

— Z funduszków kks. Czartoryskich w Krakowie, nagrody za pra-
ce z historii kościoła w Polsce i historii polskiej otrzymali: P. Jan Le-
niek nagrodę 200 złr. za pracę: *Żywoty biskupów krakowskich XVIII
wieku*. P. M. Mikrot nagrodę 100 złr. za pracę: *Zestawienie chronolo-
giczne i krytyczne objaśnienie dat kalendarza kapituły krakowskiej*;
nakoniec p. Wiktor Czajeński nagrodę 50 złr. za pracę: *Dwukrotnie
poselstwo kardynała Franciszka Commendoniego do Polski*.

— Zakład Narodowy Imienia Ossolińskich we Lwowie, ogłosił
sprawozdanie z czynności swoich za rok 1878. Okazuje się z niego, że
uratowana w r. 1854 część archiwów Mnischów, jest już zupełnie upo-
rządkowana i obejmuje około stu tomów. Zakład zakupił liczne mate-
ryały piśmienne do dziejów ojczystych, i kazał sporządzać kopie celniej-
szych pomników, oraz przygotował do druku pamiętnik Zbigniewa Ole-
śnickiego. Sporządzono kartki katalogowe do manuskryptów, uporząd-
kowano dział mapp i atlasów, i prowadzono dalej pracę nad przedmio-
towym katalogiem manuskryptów. Dla pomnożenia sił pracujących
w Zakładzie, oraz dla spełnienia szlachetnej myśli fundatora, utworzo-
no i obsadzono dwa nowe stypendya, szóste i siódme zkolei. Inwentarz

biblioteki obejmuje dzieł 72,285 pojedynczych, 4,692 duplikatów, 21,831 rycin, 665 obrazów, 2577 rękopismów, 2667 autografów i t. d. Z pracowni naukowej korzystało 1,520 czytelników, którym wydano w ciągu roku 710 rękopismów, 4,782 dzieł w 10,060 tomach, czyli o 1,658 dzieł a 3,284 tomów więcej niż w roku zeszłym. W czytelnicy było czytających 8,710 (najwięcej w styczniu 2,627, a najmniej w czerwcu 333), średnio dziennie 51 osób, o 13 więcej niż w roku poprzednim. Czysty majątek Zakładu wynosił z końcem roku administracyjnego w papierach wartościowych 149,835 złr., a w majątku nieruchomym, zapisach, zbiorach i w gotówce 487,131 złr. Do sprawozdania dołączono odczytaną na ostatniem posiedzeniu rozprawę d-ra Wojciecha Kętrzyńskiego, dyrektora Zakładu: *O Zbigniewie Oleśnickim wojewodzie sandomirskim.*

— Dnia 20 stycznia r. b. Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu, w wydziale historycznym odbyło posiedzenie, na którym, wyznaczona poprzednio komisya zdała sprawę, z rozprawy dr. K. Szulca: *Wyjaśnienie mitycznej historii Polski i mitologii Słowiańskiej.* W końcu ks. kanonik Korytkowski odczytał swą pracę pn. *Żywot Arcybiskupa Jana Łaskiego.* Tom trzeci *Kodeksu Wielkopolskiego* już jest na ukończeniu. W Gnieźnie rozpoczął się druk *Libri Beneficiorum* Arcyb. Łaskiego. Obszerne przypiski które daje ks. kanonik Korytkowski podwoją wartość tego dzieła.

— Hr. Aleksander Orłowski z Jarmoliniec, na Podolu galicyjskiem, nabył po Ojcu Theinerze, bibliotekarzu watykańskim, nieocenione rękopisma odnoszące się do historii polskiej. Są to jedyne kopie dokumentów z tajnego archiwum watykańskiego, niewydane w dziele: *Vetera Monumenta Poloniae et Lithuaniae*, obejmujące korespondencje dziewiętnastu papieży z królami i Rzeczpospolitą.

— Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu ogłasza następujący konkurs:

„Pogląd na dzieje Słowian zachodnio-północnych między Elbą a granicami dawnéj Polski, od czasu wystąpienia ich na widownię dziejową aż do utraty politycznego bytu i znamion narodowych.”

W rozwiązaniu tego zadania pożądanym jest szczególny wzgląd na: a) związek etnograficzny między pomienionymi plemionami słowiańskimi a ludnością Polski Piastów; b) stan kultury tychże plemion w owéj epoce, mianowicie z rzutem oka na religią, zwyczaje i obyczaje, ustroj polityczny i społeczny, na stan rolnictwa, przemysłu, handlu, budownictwa i sztuki ówczesnej w ogóle; c) zewnętrzny przebieg dziejowych wypadków, ze szczególném uwydatnieniem wydarzeń, które spowodowały w różnych stronach Słowiańszczyzny północno-zachodniej ostateczną zagładę rozmaitych plemion; d) wreszcie stosunek między temi plemionami a Polską.

Praca wyczerpująca w zupełności przedmiot ten, oraz mająca odpowiednio zalety układu i stylu a obejmująca przynajmniej 25 arkuszy druku w dużej ósemce, otrzyma 1,500 marek nagrody.

Jeśliby między nadesłanemi taka się nie znajdowała, wtedy rozprawa względnie dobra, to jest odpowiadająca przynajmniej głównym warunkom zadania, otrzyma 900 marek nagrody.

Pozostałe 600 marek zostaną albo w całości przyznane dziełu najlepszemu po poprzedniem, albo też rozdziela się między rozprawy, przynajmniej częściowo przedmiot wyczerpujące.

Prace nagrodą uwieńczone pozostają własnością autorów, którzy jednakże będą obowiązani ogłosić je drukiem w przeciągu roku po otrzymaniu nagrody. Gdyby tego nie spełnili, zarząd, jeśli uzna stosownem, ogłosi je swym kosztem na dochód Towarzystwa; manuskrypt przeto musi pozostać w rękach zarządu.

Każdy rękopism opatrzone być winien dewizą lub jakim innym znakiem a nazwisko autora dołączone w zamkniętej kopercie z równem oznaczeniem.

Ostateczny czas nadsyłania oznaczony na dzień 1 października 1879 roku pod adresem: Hieronim Feldmanowski w Poznaniu, Młyńska ulica, 35.

Wszystkie pisma nasze upraszamy o łaskawę powtórzenie powyższego ogłoszenia.

Poznań, w czerwcu 1877 r.

Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Nauk Pozn.

— Konkurs dramatyczny z zapisu ś. p. Norberta Bredkrajca w Poznaniu. Z funduszu przeznaczonego na konkurs dramatyczny poznański, rozstrzygnięty w czerwcu 1877 roku, pozostało 900 marek, ponieważ przyznano jedną tylko pieniężną i to najniższą nagrodę. Z tego powodu komisya konkursowa wynurzyła życzenie, aby sumę tę przeznaczono na nowy konkurs, którego przedmiotem byłaby komedia obyczajowa o dążności moralnej, wytykająca śmieszności lub wady obecnych czasów.

W myśl tego polecenia ogłaszamy konkurs na komedię wierszem lub prozą, odpowiadającą powyższemu życzeniu, najmnj w 3 aktach, zdolną cały wieczór wypełnić.

Komedia taka, uznana bezwzględnie dobrą, otrzyma pełną nagrodę to jest 900 marek.

W braku bezwzględnie dobrego utworu, komisya konkursowa podzieli powyższą sumę między inne sztuki, jeżeli te w przeważnej mierze odpowiadać będą wyłuszczonej warunkom, to jest między najlepsze i wedle ich wartości. W żadnym razie nagroda nie będzie niższą od 800 marek.

Sztukom kwalifikującym się do pieniężnej nagrody, ta ostatecznie przyznana nie będzie, aż dopiero po przedstawieniu w teatrze poznańskim, to jest skoro się komisya przekona, że sztuka równie dobrze

wydaje się na scenie, jak przy czytaniu, że pozyskała przychylny sąd znawców.

Sztuki, nie uwzględniające żądanych warunków, scenicznym nie odpowiadające wymaganiom i zaletom, ale odznaczające się trafnym pomysłem lub charakterystyką osób, lub wzorowym stylem i udatném opracowaniem, otrzymują pochwałę.

Tłómaczone z obcych języków, albo już grane lub drukowane, albo takie co się już ubiegały o nagrodę gdziekolwiekindziej, nie będą przyjętymi.

Komisją konkursową składać będą pp.: dr. Rymarkiewicz, Stanisław Motty, Józef Kościelski, Władysław Bentkowski, Marcei Motty, A. hr. Sołtan, B. Studniarski, dr. Cybichowski, J. K. Żupański, Stanisław Koźmian, dr. W. Żebięski, Hieronim Feldmanowski.

W miarę ilości nadesłanych utworów, powyższa komisya będzie upoważnioną do przybrania sobie nowych członków, a według liczby członków oznaczy komplet konieczny do prawomocnych uchwał. Utwór uwieczony pieniężną nagrodą, autor zezwoli oprócz pierwszej próby, trzy razy odegrać miejscowemu teatrowi bez żądania honorarium. Zresztą zostanie jego praca tak co do ogłoszenia drukiem, jak co do oddania na inną scenę zupełną jego własnością.

Sztuki winny być nadsyłane franko przed 1 października 1879 r. do Poznania, pod adresem: Hieronim Feldmanowski, 25 ulica Młyńska.

Przesyłkom winien towarzyszyć list zapieczętowany, zawierający adres i nazwisko autora, a opatrzone tą samą dewizą co rękopis. Żadna sztuka z nadesłanych nie może być wycofaną przed rozstrzygnięciem konkursu. Żadna też autorowi zwróconą nie będzie, chyba że się sam po nią osobiście, lub przez upoważnioną osobę zgłosi w przeciągu trzech miesięcy. Inaczej będzie zniszczoną, lub jeśli ma jaką wartość, oddaną zbiorom teatru poznańskiego. W każdym razie listy zapieczętowane spalonymi wprzód zostaną.

Wszystkie pisma nasze, mianowicie literaturze poświęcone, upraszamy o łaskawe powtórzenie niniejszego ogłoszenia.

Poznań, w grudniu 1877 r.

Zarząd Towarzystwa Poznańskiego Przyjaciół Nauk.

— W Lipsku wyszło z druku tłómaczenie niemieckie powieści J. Korzeniowskiego: *Kollokacya*, przekład ten, noszący tytuł *Unsere Schlachta*, dokonany został przez p. Filipa Loebenstein'a.

— Akademia Nauk Moralnych i Politycznych w Paryżu ogłosiła szereg konkursów otwartych dla wszystkich pisarzy świata. W szeregu tych konkursów sekcyja ekonomii, finansów i statystyki, zaprojektowała a akademia przyjęła następujący temat: „Życie, prace i dzieła Ludwika Wołowskiego. Wykazać jego oryginalność i zasługi na polu prawa i ekonomii politycznej.“ Wołowski, jak wiadomo, był Warszawianinem, synem znakomitego adwokata i posła na sejm z Warszawy.

Temat więc powyższy zapewne nie będzie obojętny dla uczonych ziomeków Ludwika Wołowskiego. Autor najlepszej rozprawy nadesłanej do Akademii Nauk Mor. i Pol. w Paryżu, otrzyma trzy tysiące franków nagrody. Rękopisma mają być składane po dzień 31 grudnia 1879 r., w kancelaryi Instytutu Francuzkiego. Prace konkursowe mają być pisane w języku francuzkim lub łacińskim. Należy je posyłać do Paryża franco i zbroszurowane. Nadsyłanych rękopismów akademii nie zwraca.

— Herbert A. Giles: *Zarysy chińskie (the Chinese Sketches)*, przez urzędnika angielskiego konsulatu w Chinach.

Niesłychanie pouczająca książka. Autor spędził w Chinach lat ośm, a że stosunki, przez tyloletni pobyt wyrobione, zjednały mu wstęp do przeróżnych warstw społeczności chińskiej, przeto zebrał mnóstwo mało dotąd znanych lub wcale nieznanych szczegółów, dotyczących domowego i publicznego bytu. Czytelnik nie spotka się tu wprawdzie z ogólnymi poglądami na typy, o co nam właśnie najmniej idzie w podobnego rodzaju przedmiotach, ale znajdzie plastyczny obraz żywota na wszystkich szczeblach od kolébki, wychowania, małżeństwa, aż do trumny i od urzędzeń wychowawczych, medycyny, religii, etykiety, aż do toalety stołu Jego Niebieskiej Mości. Szczególniej zajmującemi są ustępy, dotyczące literatury peryodycznej, salonowości chińskiej i religii, z wybornym odmalowaniem Dyogenesa, owiej społeczności kapłana buddyjskiego.

— Adolf Ebeling: *Obrazy Kairu (Bilder aus Kairo)*. Stuttgart, 1878 r., żywym pędzlem i pouczająco dokonane opisy kraju Piramid z uwzględnieniem obecnego stanu Egiptu.

— Otto Schnejder: *Od Algeru do Oranu i Tlemcenu* (Drezno, 1878 r.). W dziele tém (obecnie wydana książka, stanowi tom III) mamy ciekawą charakterystykę Araba, dowodzącą, że Maurowie i Kabylowie, przyjmując formy kultury europejskiej, bynajmniej pierwotnego ducha nie pozbywają się i że tak mniemana assimilacya na długo jeszcze, zdaniem naszym, ku chlubię podbitych, zostanie jedynie poboznym żądaniem. Koran niezmiennie dotąd jest alfą i omegą dla Araba. Kultury dwóch szczepów: Semityckiego i Jafetyckiego, zdaniem Araba, z którym autor dotykał tej kwestyi: „są to dwa żywioły, przypominające wodę i oliwę, które się nigdy z sobą nie zleją.” Autor jednak marzy o możliwości odkrycia kiedyś *mydłu* (na dotychczasową oliwę i wodę), któreby ich jednolitość sprowadzić mogło, a tym sposobem „rzucić most ku ostatecznemu zbrataniu wszystkich ludzi.”

— Bastian A.; *Kraje kultury w starożytnej Ameryce (die Kulturländer des alten America)*, Berlin, 1878 r.). W obszerniej pracy swojej (o przeszło 1600 stronicach), autor podaje ciekawe wyniki z badań swoich dziejowych i archeologicznych, dokonanych podczas podróży po Ameryce, które to badania przeznaczył dla Muzeum berlińskiego.

skiego. Pierwsze dwie części dzieła, poświęcone są badaniom kultury Inkasów; dalej jest mowa pierwotnej ludności staro-amerykańskiej. Autor odszukuje zabytków mowy, religii, sztuki wymierającego plemienia.

— *Cypr, jego historia, jego obecne środki i przyszłość* p. R. Hamiltona (*Cyprus, its presens resources and futur prospects*), Londyn, 1878 r.

Autor w kwestyi ważności Cypru, utrzymuje się na stanowisku produkującym, pomiędzy przesadzonym pesymizmem, a egzaltowanemi rodzajami publiczności i rządu. Nie uważając Cypru za tajemniczą ziemię złotego runa, wykazuje przecież szereg ponętnych widoków, jakie wyspa otworzyć może pod względem produktów, przy rozumnie pomyslanej i wytrwale prowadzonej organizacji pracy. Klimat wyspy, wbrew upowszechnionym mniemaniom, zdrowy; miejscowości malownicze, stanowisko geograficzne wyborne, tak we względach politycznych, jak i handlowych, bogactwo mineralne (bogate kopalnie węgla); są to fakta, budzące otuchę, zrazu zbyt wygórowaną, a następnie zbyt złamaną, w skutek niedokładnych sprawozdań. Autor, pełniący długo obowiązki konsula, a następnie szefa cesarsko-ottomańskiego banku w Larnakka, głębiej i welostronniej, niż ktokolwiek inny wnikać mógł w stosunki polityczne i ekonomiczne Cypru. Poświęcił przytém cały rozdział opisowi starożytności i dokonanych przez siebie wykopalisk, pomiędzy którymi są i napisy cypryjskimi i fenickimi głoskami.

— J. Finn: *Czasy zawiechrzeń; wspomnienia z Jerozolimy* (*Stirring Times, or Records from Jerusalem*). Są to wspomnienia z czasu, kiedy autor pełnił obowiązki konsula w Jerozolimie, a więc był w stanie zdobyć sobie jasny pogląd na stosunki w Syrii, pod panowaniem muzulmańskiem i dlatego téż słusznie nadaje działowi swego pisma tytuł: *Kroniki konsularnej od r. 1853—1856*. Za najpraktyczniejszy środek polepszenia bytu chrześcian w Syrii autor uważa: powiększenie liczby konsulów (naturalnie *angielskich*) w Syrii i rozszerzenie ich kompetencyi (!).

Czczycielom Shelley'a nadmieniamy o ważnym studyum, dotyczącem osoby i utworów wielkiego satelity Bajronizmu. Jestto dzieło Symonds'a J. A. p. n.: *Shelley* (Londyn, 1878 r.). Autor daje nam wyczerpujący obraz życia poety, jak wiadomo spójnie zrośnięty z duchem jego utworów. „Czyny Shelley'a, mówi Symonds, były tém samém, co i jego myśli, a jego poemata były niczém inném, jeno poruszeniami jego pojęć i dążności.” W opowiadaniu swoim, bo taki ma krój jego studyum, autor niejednokrotnie daje nam klucz do zrozumienia ciemniejszych miejsc w poezjach Shelley'a. Ciekawe to są rzyzy żywota, który, mówiąc słowy autora, był „trzydziestoletnim cudem.”

J. Pisani: *Państwa i Religie* (*Stati e Religioni*). Rzym, 1877 r.

Książka w najwyższym stopniu wyzywająca; nigdy ultramontanizm najdalej wysunięty nie doszedł tak daleko w swoim kierunku, jak Pisani w kierunku skrajnej lewicy. Z flegmą człowieka strefy północnej, w najzimniejszej dyalektyce, autor występuje z teoryjami Feuerbacha, tém radykalniejszymi, że je przeprowadza na tle spraw państwowo-społecznych. Wszystko, co technicznie idealną świętością, uważa za wymysł subiektywności; wszystko, od Marsa do Neptuna, od Jowisza do gromowładcy i t. d. Był i wielkość dzisiejszych Włoch, przypisuje właśnie wyzwoleniu się ich od tradycyi, zapominając o tém, że niczem, jedno majestatowi tradycyi (dziejowej, artystycznej, naukowej i religijnej), Włochy winne są to, że śluby wszystkich ludów świata, były i są za niemi. O takiej Italii, jakiej ideał wytwarza sobie autor, Dante nigdy zamarzyłby nie śmiał. Cavour, zdaniem autora, stawiając ową zasadę, „wolny kościół w wolnym państwie, albo był oszukanym, albo był oszukańcem!” Oczywiście i naturalną ilustracją do podobnych poglądów, muszą być nieodzownie unizgi do „wielkiej monarchii,” odrzucającej zasadę Cavoura, którą to monarchię (pruską), jako *dobrze urządzoną*, uważa za niezwycięzoną, „*chybaby* ewentualnie przez jakiegoś Napoleona, naturalnie I.” Podług niego niezwyciężonemi są państwa protestanckie i t. d. Zyczyłoby należało, aby ludzie pióra podnieśli rękawicę, rzuconą tradycyjnym teoryom, właśnie z tej krainy, którą dotąd zaliczaliśmy i zaliczać będziemy do grupy, nie budującej swojego majestatu na podwalinach sofizmu: do grupy celtyckiej.

— Demetryus Bikelas: *Grecya wieków średnich i jej wpływ na kulturę europejską*. Przekład Wilhelma Wagnera, 1878 r. Jestto całość, ułożona na zasadzie pierwotnych prelekcji p. Bikelas'a, wypowiedzianych w Londynie w r. 1877, pod napisem: *O Bizantynach (peri Bizantinon)*. Autor prelekcji, p. Bikelas podjął się tu rehabilitować świat bizantyjski, z ciężącego nad nim tradycyjnie piętna wsteczności, formalizmu i podstępności. Główny nacisk kładzie p. Bikelas na ofiarność państwa Bizantyjskiego, które zasłaniało Europę tak długo od powodzi barbarzyństwa wschodniego. W zawodzie kultury naukowej, Byzancyum, zdaniem autora, jakkolwiek nie twórcze samo przez się, przechowało przecież dla nas skarby wiedzy i sztuki starożytnej.

— W dziedzinie Kantyanizmu nader ważną nowością jest praca Benno Erdmanna: *Krytycyzm Kanta w pierwszym i drugim wydaniu jego krytyki Czystego Rozumu (Kant's Kriticismus)*. Badanie historyczne, Lipsk, 1878 r. Ciekawe zapytanie o stosunku (wewnętrzny) dwóch edycji *Krytyki* i zachodzących pomiędzy nimi różnicach, a raczej modyfikacjach, autor wyświeca w sposób nader zręczny. Podług niego zmiany, jakie Kant wprowadził w wydaniu późniejszym, w małej tylko liczbie mają charakter zmian organicznych, któreby samego ducha systematu dotyczyć mogły. Większa zaś ich część, spowodowana ogólnym wrażeniem, jakie wywołała jego *Krytyka* w świecie myślicieli, jest raczej wyjaśnieniem, a rzadko kiedy ustępstwem. W ostatecznym

sformułowaniu ducha filozofii Kantowskiej, do czego otwierały się przypuszczalnie trzy drogi: albo tytuł bezwzględnego idealizmu, albo formalnego racjonalizmu, albo krytycyzmu; autor zatrzymuje dla Kanta tytuł ostatni (krytycyzm) a to, jako protest przeciw dogmatyzmowi. Główną przyczyną jednostronności, albo niedokładności w dotyczących ocenach Kanta, autor upatruje w tém, że te oceny nie uwzględniały należycie Kantyanizmu w jego historycznym przebiegu, że się ograniczano jedynie na roztrząsaniu *rzeczowém* jego systemu, zapominając o *genezie*, o różnych okresach, w jakich się ten system budował. Po pracach C. Fiszera, który tak wydatnie poodróżniał historyczne warstwy w filozofii Kanta, będzie to podobno studyum najważniejsze, wyjąwszy chyba rzecz Szopenhauera, który, jak wiadomo, nigdy zapomnieć nie może Kantowi tych ustępstw, jakie zrobił w drugim wydaniu, pod naciskiem publicznej opinii myślicieli.

† Dnia 8 stycznia r. b., we Włoszech w Sinigalii zmarł *Józef Mianowski*, b. Rektor b. Szkoły głównej, mąż znakomitych zasług, zacny i szlachetny przewodnik młodzieży, dobry obywatel kraju. Wieść o jego zgonie wywołała powszechny smutek w naszej społeczności. Z inicjatywy uczniów b. Szkoły głównej i profesorów tej naukowej Instytucji, odprawioném zostało nabożeństwo żałobne za duszę zmarłego w kościele Św. Krzyża w naszym mieście. Świątynię Pańską napełniły tłumy wielbicieli zgasłego męża. Na wyniosłym katafalku ustawiono trumnę, na niej złożono wieniec laurowy z napisem na białych wstęgach: „B. Rektorowi ś. p. Józefowi Mianowskiemu, uczniowie i koledzy.“ Skromna ozdoba, ale jakże wymowna i zaszczytna dla zmarłego! Katafalk otaczały egzotyczne rośliny, wśród jarzącego światła. Mszę wielką odprawiał ks. kanonik Sotkiewicz administrator archidiecezyi Warszawskiej w asystencyi kleru. Z ambony wymownie przemówił ks. Chetmicki rektor kościoła Św. Ducha (po-paulińskiego), przypominając zasługi zgasłego męża, którego śmierć wywołała tyle szczerego a bolesnego żalu i trwałej żałoby w sercach naszych. Po wielu miastach naszego kraju urządzone nabożeństwa za duszę zmarłego, są *do wodem ogólniej czci i żałoby*.

— Dnia 14 stycznia r. b. zakończył życie *Jan Jasiński*, artysta i autor dramatyczny, oraz b. Dyrektor Teatrów Warszawskich.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca *Józef Berger*.

O potrzebie poprawy kanału Ogińskiego.

(WODOZBIÓR RZEKI NIEMNA I KANAŁU OGIŃSKIEGO).

PRZEZ

Alberta Szulca (inżyniera).

Znaczenie tego kanału, jak o tém wkrótce powiemy, oddawna było wiadome i rządowi i administracyi i w ogóle wszystkim; dlatego też terazniejsza wzmianka o nim nie jest nową, gdyż już w 1873 r. p. Kuzniecowa, szeregiem licznych artykułów w gazecie *Golos* ¹⁾, dość szczegółowo rozpatrywał cały systemat wodny rzeki Niemna, a przedtém jeszcze inżynier Szulca w oddzielnej broszurce wskazał niedogodności tego systematu, oraz sposób i kosztą potrzebne na jego ulepszenie.

Teraz zaś sam rząd zwrócił szczególną uwagę na kanały i urządził doroczne zjazdy przedstawicieli żeglugi parowej i statkowej, a także i gospodarstwa leśnego i za każdym razem żąda tylko szczerego i szczegółowego zawiadomienia o potrzebach żeglugi, jakoteż o źródłach, któremi możnaby je zaspokoić. Prawie to tylko było żądaniem podczas dwóch miejscowych zjazdów i zapewne będą żądać tego samego na głównym zjeździe w Petersburgu, który ma nastąpić w tym roku, a na który się zjadą przedstawiciele wszystkich w ogóle wodnych komunikacyi.

Miejscowe zjazdy były urządzone za każdym razem nietylko dla przedstawicieli systematu kanału Ogińskiego, ale także i dla przedstawicieli systematu łączącego Dniepr z Bugiem. Jeden z tych zjazdów był w 1875 r. w Pińsku, a drugi w 1876 r. w Grodnie. Niema potrzeby wdawać się w szczegółowe sprawozdanie z tych zjazdów, dość będzie zastanowić się nad następującymi ważnemi i wybitnemi faktami: 1) na zjeździe w Pińsku ogólna liczba przedstawicieli (z wyjątkiem jednego) składała się z osób interesowanych nie Ogińskim systematem, ale Dnieprowo-Buzkim, a w Grodnie naodwrot: ani jednego przedstawiciela z kupców od osób, interesujących się Dnieprowo-Buzkim systematem; 2) do Pińska przysłano 3 okólniki (z Grodna, Memla i Mińska), żąda-

¹⁾ Artykuł: *Nasze interesa handlowe na Niemnie.*



jące poprawienia systematu Ogińskiego, a do Grodna nie przysłano żadnego okólnika od osób, interesujących się Dnieprowo-Buzkim systematem i 3) na zjeździe w Pińsku, większość uznała za dostateczne poprawić kanał Ogińskiego, tylko dla spławiania drzewa; tymczasem na zjeździe w Grodnie, kupcy z Grodna, Memla i Mińska, piśmiennie, a wszyscy przedstawiciele tego zjazdu ustnie żądali poprawienia tego kanału o tyle, żeby mogły chodzić nawet statki parowe; w tym celu postanowiono pobierać od kupców na korzyść skarbu $\frac{1}{2}\%$ z 1 rs., zamiast $\frac{1}{4}\%$ (jak się teraz pobiera) i to nietylko od statków tu naładowanych, ale i od wchodzących w kanały.

Dla nas ważnem jest tylko trzeci wniosek, t. j. czy rzeczywiście systemat Ogińskiego może służyć li dla spławiania tratw i czy przyniosłoby korzyść ulepszenie go dla żeglugi parowej?

Żeby o ile możności dokładniej rozpatrzyć to tak ważne pytanie, zwrócimy najpierw główną naszą uwagę na sam Niemen. Ten ostatni warunek jest głównie niezbędnym z tego względu, że inne części składowe systematu, o którym mowa, mniejwięcej są ulepszone i uregulowane. Niemen zaś aż dotychczas znajduje się prawie w pierwotnym stanie, a dlatego mimowoli rodzi się w nas pytanie: jakaż to jest rzeka? Czy płyną po nim statki, a jeżeli tak, to zkąd, ile i na jaką sumę jest obrót? Jakie on ma dla nas znaczenie w teraźniejszym stanie, a także czy są sposoby do ulepszenia go i jakby on wtenczas procentował ¹⁾?

Niemen przepływa przez pięć gubernii: Mińską, Wileńską, Grodzieńską, Kowieńską i Suwalską. Spławnym jest na przestrzeni 729 wiorst; przestrzeń ta zaczyna się na wsi Stołbcach i kończy się przy granicy pruskiej.

Koryto rzeki, gdyby nie było kamieniste i nie miało naniesionych piaskowych mielizn ²⁾ i progów rzecznych ³⁾, byłoby bardzo przyjaznym nietylko dla barek, ale i dla parowych statków.

Co się tyczy czasu żeglugi, to Niemen ma także pierwszeństwo przed innymi rzekami w cesarstwie Rossyjskiem, gdyż jest wolnym od lodów w przeciągu $\frac{2}{3}$ roku, t. j. blisko 8 miesięcy i 2—6 dni (średnio), gdy tymczasem inne rzeki są pokryte lodem dłużej nad 6 miesięcy ⁴⁾.

¹⁾ Prawie wszystkie wiadomości, na zasadzie których opierać będę moje dowodzenia, wyjęte są z pewnych źródeł, przedstawianych przez miejscowych inżynierów, podczas przeszłorocznego zjazdu w Grodnie.

²⁾ Wszystkich mielizn w Niemnie liczy się przeszło 30, niektóre z nich ciągną się więciej, niż na 100 sążni. Mielizny te znajdują się powiększej części w miejscach, gdzie koryto szersze.

³⁾ Nazwiska główniejszych progów rzecznych są: Szczuczynskie, Bicze, Rumszyskie, Goga, Sudwojskie, Kownackie i w. i.

⁴⁾ Oto jest wiarogodny wypis czasu żeglugi w ciągu ostatnich pięciu lat:

Gdyby Niemen w niektórych miejscach nie był zbyt wązki a mieliżny były doprowadzone do nieszkodliwego dla nawigacyi stanu, to statki parowe mogłyby chodzić podczas całego czasu żeglugi bez przekładania ładunku; teraz zaś większe statki nie w każdym roku mogą kursować podczas lata, lecz tylko małe statki i tratwy. Brak wody zaczyna się około 20 maja i 1 czerwca i ciągnie się do końca lipca lub do połowy sierpnia. Przeszkód, które służą hamulcem dla rozwinięcia się żeglugi, jest dużo, lecz głównejsze są: mieliżny, prądy, progi i kamienie: to jest bicz Boży dla żeglugi statków i tratw.

Do Niemna wpada, oprócz wielu małych rzek i rzeczek, bardzo wiele spławnych, z których głównejsze: Szczara i po części Wilia, Rossa, Supraśl, Kotra, Zelwianka, Niewiaza, Dubisa, Mitwa, Mereczanka i wiele innych.

Wyżej wymienione rzeki i wiele innych mniejszych płyną w północno-zachodnich guberniach, a częściowo i w Królestwie, w skutek czego wodozbiór Niemna, łącząc te miejsca, dostarcza mu drzewo dla przewozu zagranicę. Oprócz tego, Niemen jest połączony zapomocą rz. Jasiołdy, kanału Ogińskiego i rz. Szczary z Dnieprowo-Buzkim systematem wodnym, a zapomocą kanału Augustowskiego z Wisłą, czyli że jest nietylko głównem ogniwem, łączącym Czarne Morze z Bałtykiem i południowe gubernie z północno-zachodnimi i Polską, ale i transportuje w dość wielkiej ilości ładunki, przybywające z Dnieprowo-Buzkiego kanału, a mianowicie w r. 1875 przez przystań Ogińską (pierwszy port, koło którego przechodzą ładunki, transportujące się z Dnieprowo-Buzkiego kanału do Ogińskiego) przeszło statków i tratw za 748,006 rs., a zatem w tym wypadku, nawet Dniepr jest jakby przeciwnym przytokiem Niemna i potrzebuje jego usług. Głównych przystani w wodozbiórze Niemna jest siedm: Kowieńska, Grodzieńska, Słonimska, Stołbiecka, Mostowska, Wileńska i Jurborska. Obrót na tych wszystkich przystaniach, stosunkowo do obecnego stanu rzeki, jest dość znaczny, o czém się można łatwo przekonać z następujących statystycznych danych z 1873 r.

1872 roku żegluga otwarta	26 marca,	zamknięta	9 grudnia
1873	"	11 marca	" 12 listopada
1874	"	17 marca	" 23 listopada
1875	"	30 marca	" 17 listopada
1876	"	8 marca	" 7 listopada

	Naładowano i wyprawiono			Przybyło i wyładowano			Przeszło		
	Stat-ków	Tra-tew	Na-sumę	Stat-ków	Tra-tew	Na-sumę	Stat-ków	Tra-tew	Na-sumę
W Kowieńskiej i Jurburg- skiej przystani	1597	290	1004155	124	—	50624	158	1378	1356190
„ Grodzieńskiej	112	389	286391	50	167	62718	Statki i tratwy, które przeszły obok tych por- tów, nie są notowane dla- tego, że mogły często przechodzić jedne i te sa- me statki i tratwy.		
„ Słomimskiej	38	1137	248880	25	—	11294			
„ Mostowskiej	90	551	267373	20	—	29422			
„ Stołbieckiej	115	268	170898	9	—	18322			
„ Wileńskiej	—	1738	165340	—	260	33004			
R a z e m	1952	4373	2143037	228	427	205284	158	1378	1356190
Ogółem towaru nałado- wano, wyładowano i prze- szło, na sumę 3,798,511 ru- bli.									

Z tych wszystkich przystani tylko Kowieńska i Słomimska są sztucznie urządzone dla naładowywania i wyładowywania towaru. We wszystkich przystaniach (oprócz Mostowskiej i Stołbieckiej) za ładowany na statki towar płać $\frac{1}{4}\%$ na korzyść skarbu ¹⁾, za towar zaś

¹⁾ Porty: Mostowski i Stołbiecki zależą od Grodzieńskiego i towar ładowany w nich, albo powiązane tratwy płać $\frac{1}{4}\%$ w najbliższych portach,

idący z Dnieprowo-Buzkiego kanału, spławiający go płacą na przystaniach tego kanału, t. j. w miejscach naładowania. Opłata ta wnosi się od każdego rubla, podług szacunku podanego przez właściciela; w skutek czego rzeczywisty obrót Niemna można śmiało liczyć dwa razy większym aniżeli ten, któryśmy wyżej podali, t. j. nie 3,704,511 rs., ale około 8—10 milionów. Różnica ta objaśnia się prosto, że właścicielowi korzystniej jest powiedzieć cenę niższą, gdyż wtedy mniej płaci skarbowi, a powątpiewać należy czy znajdzie się taki bezinteresowny kupiec, któryby powiedział rzeczywistą wartość towaru w uszczerbek swojej kieszeni; lecz, że podobne nadużycia istnieją, dowodzi się to tём, że wyższa administracya, w celu zabezpieczenia skarbu od strat, w 1856 r. zwracała się do współdziałania samych właścicieli, ale widocznie panowie właściciele nie wzbudzali zaufania w rządzie, gdyż w r. 1876 d. 24 grudnia wyszedł okólnik nr. 8332 departamentu, polecający tę sprawę energii poborców. Jaki rezultat tego środka, jeszcze niewiadomo; ale można przypuszczać, że będzie taki sam, jak i od współdziałania właścicieli. Rzeczywiście, co może w takim wypadku zrobić poborca, jeżeli prawo, przejąwszy się tą ideą, że opłata, postanowiona dla ulepszenia żeglugi za dobrowolną zgodą handlujących i spławiających, pozwoliło szacunkować towar samym kupcom ¹⁾).

Żegluga *parowa* na Niemnie odbywa się w bardzo szczupłych rozmiarach i ogranicza się 2—3 parowemi statkami, kursującemi od Kowna do granicy i jednym rządowym parostatkiem „Niemen,” kursującym po całej spławnej przestrzeni, w celu doglądania bezpieczeństwa statków i regularnego ustawiania ostrzegających sygnałów. W przeszłym roku Najwyższy ukaz dozwolił pewnemu Towarzystwu otworzyć parową żeglugę holowniczą (*touage*) od granicy do ujścia Szczary, ale czy ona będzie przeko warta, to niewiadomo.

Żegluga *pod wodą* na Niemnie odbywa się z wodą i pod wodę, lecz przeważnie z wodą. Statki, jeżeli się w Prusach nie sprzedają razem z towarem, to bardzo rzadko wracają próżne nazad; a jeżeli wracają naładowane, to o $\frac{2}{3}$ mniej, niż wprzód, z powodu, że daje się czuć brak wody na mieliznach. Kurs statków bywa dwojaki: statki, idące na wiosnę od Stołbiec i Grodna, dostarczają towar bez przeładowywania do Królewca; statki zaś idące z wodą kursują tylko od Grodna do Kowna, i tam towar przeładowują na berlinki pruskie, lepszej konstrukcyi, poczem powracają z solą, albo śledziami. Statki, kursujące od Stołbiec robią tylko jeden obrót do Królewca i z powrotem przez czas całej żeglugi, a statki, kursujące między Grodnem i Kownem odby-

przez które przechodzić będą, t. j. w Grodzieńskim, jeżeli idą Niemnem, albo w Słonimskim, jeżeli idą Szczarą.

¹⁾ Widać to z tłómaczenia *Ukazu p. M-wo Komunikacyi Lądowych i wodnych* 1856 r., nr. 17.

wają 3—6 podróży z powodu, że przestrzeń ta znajduje się w średniej części rzeki, która bywa zawsze obfitszą w wodę, niż początek lub ujście. Statki pływające po Niemnie są różnych konstrukcyj, objętości i nazwań. Za najpraktyczniejsze można śmiało przyjąć pruskie berlinki, a za najgorsze, wiciny; średnie między berlinkami i wicinami są baty. Dogodności w konstrukcyi berlinek są: 1) że, biorąc więcej towaru, niż baty, a trochę mniej niż wiciny, potrzebują dwa razy mniej robotnika, i 2) że berlinki mogą kursować prawie przez całe lato tam, (np. między Kownem i Królewcem), gdzie wiciny mogą chodzić tylko podczas powodzi wiosennej. Niestety, pomimo tak ważnych przymiotów berlinek, nie są one rozpowszechnione dalej, jak do Kowna.

Statki płyną po większej części karawanami. Wielkość ich różna: najmniejszy (łódka) 3—6 sąż. długości, 1—1 1/2 sąż. szerokości; największy (wicina) 20—29 sąż. długości, 2—3 sąż. szerokości. Nazwy statków są: wiciny, berlinki, baty czyli bajdaki, galary, barki, półbarki i łodzie ¹⁾. Na wiosnę mieści się towarów: w wicinie do 24 t. pud., w berlinie 18, bacie 14, barce 12, półbarce 7, i w łodzi do 2,500 pudów; w innym zaś czasie ilość mieszczącego się towaru zmniejsza się o połowę. Koszta wybudowania wiciny dochodzą 700—1,200 rs., a bata 350—700 rs. Coroczne opatrzenie statku dochodzi średnio do 100 rs. Wiciny zdadne są do żeglugi przez przeciąg lat 15, a barki 10. Ilość robotnika na statkach zależy: 1) od objętości statku ²⁾, 2) od tego, czy idą pojedynczo, lub w karawanie ³⁾ i 3) zależy od tego czy idą z wodą czy pod wodę, a także czy po głębszej wodzie, czy po małej ⁴⁾, także i od tego czy one idą pod wodę po dnie równym lub kamienistym ⁵⁾.

¹⁾ Barki i półbarki już prawie zupełnie wyszły z użycia, a wiciny tylko dogorywają.

²⁾ Na każdym statku (oprócz łodzi) znajduje się: rotman, sternik i dozorca, albo sam właściciel. W łodziach niema sternika. Ilość robotników przy podróży z wodą, przy dobrej wodzie od Stołbice do Królewca na wicinie 12—18 ludzi, na bacie i barce na tej samej przestrzeni 8—15, na półbarce 6—10, łódź 2—3. Berlinka od Stołbice do Kowna potrzebuje 5—7 ludzi, a od Kowna do Królewca tylko dwóch ludzi i szypra.

³⁾ Jeżeli statki idą karawaną, to potrzebują o dwóch robotników mniej, niż gdy idą pojedynczo.

⁴⁾ Im mniej jest w rzece wody, tém trudniej jest płynąć; wskutek czego, oprócz powiększenia liczby robotników, bardzo często na mieliznie statki rozładowują, a potem znów naładowują, albo też towary z jednego statku na mieliznie rozdziela się na dwa statki i tak bywa najczęściej.

⁵⁾ Przy holowaniu pod wodę, liczba robotników na statkach jest następująca: wszystkie statki, idące od Królewca do Kowna potrzebują tylu robotników, ilu było od Kowna do Królewca; od Kowna zaś, jeżeli statki idą karawaną, to na nich podwaja się ilość robotnika i oprócz tego progi przechodzą w taki sposób, że robotnicy z dwu, albo więcej statków przeprowadzają naprzód jeden statek, a potem się wracają i biorą drugi i t. d. Taki

Płaca robotników za przewóz od Stołbiec do Królewca i nazad jest następująca. Oprócz żywności i płacy dawaney wszystkim w ogóle robotnikom, jak o tém niżej, wydają się tygodniowe datki w ilości 20—50 kop. i wódka, a familiom rotmana, sternika i dozorczy wydaje się ordynarya w produktach mających wartość od 5 do 15 rs. dla każdego na całą drogę.

Płaca zaś, wyłączając żywność, jest następująca: od Stołbiec do Królewca, rotman pobiera od 82 do 93 rs., sternik 57—64 rs., robotnik 34—45 rs.; od Mostów do Królewca: rotman 62—68 rs., sternik 34—50 rs., robotnik 30—45 rs.; od Mostów do Kowna: rotman 51—53 rs., sternik 32—38 rs., robotnik 18—20 rs.; od Grodna do Kowna: rotman 42—45 rs., sternik 25—30 rs., robotnik 10—12 rs.; dozorca pobiera za drogę od Stołbiec do Królewca od 60 do 75 rs.

Niemnem spławia się głównie drzewo i zboże. Zboże idzie do Królewca, a drzewo do Memla. Zboże idzie nie w workach, lecz zsypane na kupy (w zasieki). Towary i statki ubezpieczają się zwykle w Towarzystwie „Jakor.” Do ubezpieczenia przyjmują statki i towary idące z wodą i to tylko do 1 maja, to jest podczas wiosennej powodzi, idące zaś pod wodę, chociażby nawet podczas wiosennej powodzi, a także i podczas innego czasu żeglugi, nie ubezpieczają się. Ubezpieczenia płaci się za spław do Królewca: od Stołbiec 4%, od Grodna około 3% i od Kowna około 2% za jednego rubla. Ubezpiecza się towar ładowany tylko na takie statki, które używane były podczas dwu, a najwyżej trzech nawigacyj; wyjątek pod tym względem stanowią tylko berlinki, które przyjmuje się do ubezpieczenia, chociażby odbyły i 10 nawigacyj; te jednak potrzebują być opatrzone świadectwem, stwierdzającym zdolność ich do żeglugi na ten rok, na który mają być ubezpieczone. Nieszczęśliwych wypadków ze statkami, nawigającymi po całej długości Niemna bywa średnio 3—5, na sumę 25,000—50,000 rs.

Li tylko brak wody na mieliznach jest przyczyną, dla której statki w ciągu roku nie może odbyć więcej nad jedną żeglugę między Stołbcami i Królewcem, a ztąd wynika, że i kapitałem użytym na kupno zboża robi się tylko jedną w ciągu roku operacyą.

Jeżeli do wartości zboża dodać wysoki roczny procent, od kapitału użytego na kupno towaru i te ogromne sumy pieniędzy, wydawane bez pożytku, które obracane są corocznie na najem ludzi, tak dla przeciągania statków przez mielizny, jak i dla naładowywania i holowania statków przez porogi; a także jeżeli obliczyć koszt utrzymania ludzi w ciągu czasu straconego nadaremnie i straty, wynikłe w skutek nie

sposób jest zastosowywanym przy każdym proggu, spotykanym pomiędzy Kownem i Szczuczynem. Od Szczuczyna do Stołbiec statki idą z normalną ilością robotnika. Jeżeli zaś statki idą pojedynczo od Kowna do Stołbiec, to potrzebują dla przejścia progów o 2, 3—4 razy więcej robotnika; tak np. przy przejściu szczuczynskich progów, wicina potrzebuje przynajmniej 90 robotników.

terminowej dostawy towaru, i następnie, jeśli do tego wszystkiego dodać cło, ubezpieczenie ($\frac{1}{4}\%$), podatek, a także i procent od kapitału, użytego na budowę statków, sam kapitał, który rokrocznie traci się na statku, coroczne reparacye statków i straty, wynikłe w skutek wypadków; to pomimowoli rodzi się pytanie: jakim sposobem przy tych wszystkich danych, handel zbożowy na Niemnie może wytrzymać konkurencyą ze zbożem dostawianém do Królewca z północnych prowincyj Niemiec? Rzeczywiście tylko zręczności i energii ludzi, którzy zajmują się spławem zboża, jako też i innym wyjątkowym okolicznościom, zawdzięczamy to, że handel nasz zbożowy na Niemnie jeszcze nie ustał. Czy to roztropnie handel na jednej z nie wielu naszych rzecznych komunikacyj robić zależnym od większej lub mniejszej energii handlujących i od wypadkowych okoliczności, zdaje to się tak jasnym i widocznym, że niepotrzeba chyba żadnych komentarzy. A że nasz handel po Niemnie zależy głównie od tych dwu czynników, łatwo objaśnić następującem: Towarzystwo assekuracyjne, jak to wyżej mówiliśmy, ubezpiecza tylko takie statki, które niedłużej, jak trzy lata były w użyciu; dosyć więc tylko, ażeby ci, którzy spławiają zboże, nie mogli, w terminach oznaczonych zastępować statków starych nowemi, a wtedy towary nasze pozostałyby albo nie assekurowane, albo assekurowane nie w ilości 2 $\%$ —4 $\%$, ale 2, 3 i kilka razy drożej; jako dowód służyć może i to, że na te statki, które nie kwalifikują się do assekuracji, mało kto z handlujących odważyłby się ładować towar; płacić zaś kilka razy drożej i tak już wygórowaną assekuracyą nie wielubym chcieli, dla téj prostej przyczyny, że dochód ze sprzedanego zboża nie wróciłby nigdy poniesionych kosztów. Cóż robią w tym razie spławiający? Oto korzystając z niższej stosunkowo ceny naszego drzewa, niż zagranicznego, zrobione tu statki sprzedają zagranicą razem z przywiezioném zbożem; następnego roku powtarza się ta sama operacya.

Zatem idzie, że statki nasze nietylko czynią zadość wymaganiom Towarzystwa assekuracyjnego, ale wyprzedzają jego wymaganie, co rok bowiem ładowane są nowe, spławiający nietylko że zarabiają za spław ale i za budowę statków, a wymaganiu Towarzystwa „Jakor” staje się zadość; odprawiający towar są bezpieczni, że tenże nie wystawiony na ryzyko: równocześnie więc wszystkie cztery strony robią dobry interes. Ale potrzeba tylko by kurs naszych pieniędzy zagranicą się podniósł, a wtedy koniec handlowi zbożem po Niemnie. Ale „niema tego złego coby na dobre nie wyszło,” sprawdza się i w tym razie, żeby nie to *złe*, może zamiast tysiąca statków żeglowałyby tylko dziesiątki; obecnie bowiem kupiec sprzedawszy zagranicą towar wraz ze statkiem, uważa tę operacyą za tak korzystną, że gdyby nawet przypuścić że pud zboża u nas miał w danej chwili kosztować rs. 1 a zagranicą tylko kop. 90, on woli wysłać je zagranicę, będąc zawsze w obec powyższych danych pewnym że tam lepiej sprzeda.

Przy tym przeglądzie Niemna wspominaliśmy o towarze, który przechodził przez przystań Ogińskiego, za sumę 748,006 rs., ale tu nie bę-

dziem brać całej sumy, jako dowodu znaczenia Niemna, ponieważ część tego towaru powinna się znajdować w towarze, przechodzącym przez przystań Kowieńską; żeby więc uniknąć błędu, lepiej czynność Niemna wziąć mniejszą, byle bliższą prawdy. W tym razie przypuścimy nawet, że cena wartościowa towaru oznajmia się przez spławiających zupełnie uczciwie i sprawiedliwie, to jest przypuścimy, że obrót na Niemnie wynosi nie 8—10 milionów rs., ale tylko 3,704,511 rs. na rok; tém niemniej jednak rzeka, która bez względu na to, że jest zaniedbana, daje obrót kapitałowi prawie $3\frac{3}{4}$ mil. rs., po której oprócz tratów, przechodzi przeszło 2000 statków, która prócz bogactw swojego wodozbioru, dostarcza zagranicę płody południowych gubernij i która, na wypadek zamknięcia przybaltyckich portów, jak to było podczas kampanii Krymskiej, służy za główną wodną komunikacją z niemieckimi rynkami morskimi, rzeka taka powinna mieć wielkie znaczenie nietylko dla téj jednej miejscowości, w której się znajduje jój wodozbiór, ale i, jeżeli nie dla całej, to przynajmniej dla znacznej części Państwa Rossyjskiego.

Trudno przeczyć takiemu przekonaniu o znaczeniu Niemna, a więc jeżeli to wszystko, co powiedzieliśmy jest racjonalne, to Niemen może służyć nietylko do spławiania tratw, jak to zdecydował zjazd przedstawicieli kupiectwa w Pińsku, ale i do wprowadzenia żeglugi statków i parostatków, co się już nawet praktykuje, a wskutek tego włożenie pewnego kapitału na ulepszenie jego, nietylko że ma praktyczne podstawy, jak tego nie uznaje ten sam zjazd w Pińsku, ale przeciwnie powinno być przyjętém za nieodzownie potrzebne. Panowie pińscy przedsiębiorcy żeglugi nie powinni obawiać się z ulepszeniem Ogińskiego systematu konkurencyi dla Dnieprowo-Buzkiego kanału, gdyż dwa te kanały są jakby przedłużeniem jeden drugiego; dlatego téż ulepszenie Ogińskiego kanału byłoby pożądaném i potrzebném dla obydwu kanałów. Jednakowoż, idźmy dalej i zobaczymy, cośmy zrobili dla Niemna, który ma dla nas tak wielkie znaczenie.

Wszystkie narody we wszystkich czasach pojmowały doskonale doniosłość znaczenia rzek, a w szczególności ważność połączenia mórz i wodozbiorów: ani praca, ani czasowa strata kapitału, ani nawet naturalne przeszkody nie mogły być zawadą w osiągnięciu raz obmyślnego przez nich celu. Tak, a nieinaczej, pojmowali i pojmują, znaczenie Niemna nasi sąsiedzi Niemcy, którzy na ulepszenie jednej, bardzo niewielkiej stosunkowo części Niemna, znajdującj się w ich posiadaniu, włożyli w przeciągu ostatnich 20 lat miliony ¹⁾.

Miliony te bez wątpienia już sto razy się im wróciły i oprócz tego, że przyniosły im korzyść przez odnowienie handlu w północnych niemieckich prowincjach, i dla nas także nie są bez znaczenia, gdyż zdaje się, że Niemcy nam mówią: dowleczcie się jakkolwiek z waszemi

¹⁾ Według wskazówek p. Kuzniecowa (patrz *Gołos* 1873 r.). Niemcy, oprócz urządzenia obwodnego kanału, okrążającego Kurisch-Haf, włożyli w ulepszenie Niemna, od r. 1849 do dwu milionów.

towarami do granicy, a tu już się nie bójcie; tu już wszystko przewidziano, żeby towary bezpiecznie doszły do Królewca.

Trudno przypuścić, żebyśmy nie pojmowali znaczenia naszego Niemna, ale, nieszczęściem wskutek wojen, włożenia miliardów w kolejowe przedsiębiorstwa i t. p., nasze uznanie objawia się w inny sposób aniżeli u Niemców. Różnica ta polega na tém, że Niemcy, pojawiając się w czém rzecz, dosiegali i dosięgli urzeczywistnienia swoich chęci, a my, oprócz urządzenia Kowieńskiej przystani, która przynosi tylko pewne dogodności przy ładowaniu i wyładowywaniu towarów, wcale jednak ulepszeniu żeglugi nie pomaga, my zostaliśmy tylko przy naszych dobrych pojęciach i chęciach; lecz, że pojmujemy i pojmowaliśmy ważność dla nas Niemna, to nie ulega żadnej wątpliwości, gdyż na początku terażniejszego wieku, nietylko że prowadzone były układy z Niemcami o wspólne uregulowanie Niemna, ale nawet przez ulepszenie kanału Ogińskiego (1799—1804 roku) połączono wodozbiór Niemna z Dniepro-Buzkim—i, gdyby na nieszczęście, nie wojny Napoleońskie to być może, że owa współka przyszłaby do skutku. Nie wiem, czy kwestya ulepszenia Niemna była poruszana do 1841 r., ale w tym właśnie roku inżynier Stal-de-Holsztein wskutek rozporządzenia ministerjum komunikacyi ¹⁾ robił poszukiwania w części téj rzeki, a mianowicie od jej początku do ujścia w nią rzeki Hożej. Następnie w 1844 r. były głównozarządzający drogami komunikacyi hr. Kleinmichel, zwróciwszy uwagę na cztero milionowy obrót na Niemnie, rozkazał zrobić szczegółowe zbadanie całego Niemna i przedstawić projekta usunięcia przeszkód dla żeglugi na téj rzece. Poszukiwania, projekta, doświadczenia i nawet wysłanie inżynierów zagranicę (w 1861 r. byli wyprawieni kosztem rządu inżynierowie kapitan Dowgerd i inżynier porucznik Sumcow) dla obznajomienia się ze sposobem, użytym przez Niemców dla zniesienia mielizn na Niemnie, przeciągały się około 25 lat. Dla nas naturalnie nie jest to zbyt interesującym, a ważnym jest tylko wiedzieć rezultaty poszukiwań i doświadczeń, dla tego też przejdziemy do rozpatrzenia tych rezultatów.

Rezultat ten jest taki: wszyscy, biorący w tém udział, inżynierowie, z początku mniej, lub więcej różnili się w zdaniach, lecz różnica ta zdań odnosiła się tylko do sposobów ulepszenia, same zaś ulepszenie wszyscy jednogłośnie przyznali za niezbędne, następnie i sam sposób przez nich obmyślony uznali za tak łatwy do uskutecznienia, że nie mówiąc już o regularnej i bezpieczniejszej ochronie żeglugi tak pod wodę, jak i z wodą, uznali za potrzebne doprowadzić Niemen do takiego stanu, żeby cała jego długość od Stołbiec do granicy i podczas całego czasu nawigacyi była dostępną dla żeglugi parowej.

Suma, potrzebna dla zupełnego ulepszenia Niemna, była obliczoną przez p. Lisowskiego według cen urzędowych na 5,431,951 rs. 56 kop.; lecz, znajdując sumę tę zbyt wygórowaną, sam p. Lisowski zrobił drugie

¹⁾ *Żurnał sowieta putiej soobszczenijsa*. 15 stycznia 1840 r. nr. 121.

obliczenie podług cen ekonomicznych, podług którego wartość całej téj pracy wynosi już 4,130,929 rs. 61 kop. czyli prawie o 1,300,000 rs. tańiej. Jeżeli jeszcze z tego wyłączymy niektóre roboty, niekoniecznie potrzebne, to suma ta znowu według wyliczeń p. Lisowskiego zmniejszy się jeszcze więcej niż o 1 milion, a mianowicie do 3,005,819 rs. kop. 14. Za tę sumę p. Lisowski proponował: 1) wyjąć z rzeki szkodliwe kamienie; 2) pogłębić mielizny; 3) rozszerzyć wązkie miejsca koryta; 4) sprostować zbyt raptowne zwroty rzeki i 5) oczyścić holownicze ścieżki od zawałów i krzaków i urządzić na tychże holownikach dogodnie przejścia przez rzeki, strumyki i parowy.

Nie będziemy zastanawiać się nad nieproporcjonalnością cen urzędowych do cen ekonomicznych, gdyż koszta przez się obliczane sam p. Lisowski uznał za nieodpowiednie; lecz zastanowimy się głównie nad tém: czy rzeczywiście dla ulepszenia Niemna potrzeba nie mniej nad 3—4 miliony rs.?

Według obliczeń inżyniera Szulca ¹⁾, doprowadzenie Niemna od rzeki Szczary do Kowna, do stanu, któryby pozwalał na rozwinięcie parowej żeglugi, kosztowałoby wszystkiego 300,000 rs. Prawda, że za te pieniądze niema on zamiaru zupełnie ulepszać całej długości Niemna, lecz tylko najniezbędniejszą jego część od Szczary do Kowna; jeżeli przytém weźmiemy pod uwagę, że Niemen od Stołbiec do Szczary i od Kowna do granicy znajduje się w stosunkowo lepszym stanie, niż średnia część jego, a także i to, że p. Szulc projektuje za te 300,000 rs. oczyścić nurt od kamieni i karczów na przestrzeni od ujścia Szczary do Jurburga i oprócz tego od Szczary do Kowna sprostować przyładki i pogłębić niektóre mielizny, to jest przeprowadzić większą część robót, projektowanych przez p. Lisowskiego; to prawie napewno można twierdzić, że suma, przypuszczana przez p. Lisowskiego, powinna zmniejszyć się przynajmniej o połowę, a nawet może i więcej.

Żeby skarb niepotrzebował odrazu wkładać dużo pieniędzy w to ulepszenie, p. Lisowski proponuje roboty podzielić na sześć peryodów, a inżynier Szulc znajduje praktycznijszém używać w tym celu rocznie po 100,000 rs., aż do zupełnego uregulowania koryta.

Co się tyczy możliwości ulepszenia Niemna, to o tém nie możemy wątpić, gdyż niepodobna nieufać takim kompetentnym inżynierom, jak pp. Betticher, Lisowski, Hejdatel, Szulc i w. i. Ostatecznie żałować należy, że poszukiwania wskutek inicjatywy p. Klejnuchela, znowu przez dziesięć lat nie były doprowadzone do skutku. Dopiero w 1874 r. dwaj ostatni ministrowie komunikacji lądowych i wodnych, hr. Bobryński i p. Possiet zwrócili znów uwagę na Niemen, w skutek czego inżynier Szulc w r. 1874 i 1875 oczyszczał nurt od kamieni i gałęzi na przestrzeni od Grodna do granicy, i oczyszczenie to, razem z urządzeniem statków, zaprowadzeniem niezbędnych maszyn i różnych akcesoryj, kosztowało tylko około 23,000 rs. Oczyszczenie to chociaż nie było bez wi-

¹⁾ Patrz jego broszurę drukowaną w 1872 r.

docznej korzyści ¹⁾ i zasłużyło na wdzięczność kupców ²⁾; jednak na tém się tylko skończyło i część rzeki od Stołbiec do Grodna jest nieoczyszczoną, a statki, maszyny i akcesorya zamówione do téj roboty i kosztujące przeszło 10,000 rs., gniją i naturalnie w krótkim czasie nie będą zupełnie użytecznymi, a my, oprócz strat skarbu, tracimy jeszcze masę pieniędzy wskutek nieszczęść na Niemnie na przestrzeni od Stołbiec do Grodna: tak. np. w tym tylko roku utonęło towarów za 16,000 rs. Dopiero w ostatnich latach rozpoczęły się rzeczywiste ulepszenia.

1) W przeciągu ostatnich dwu lat, jak to wyżej widzieliśmy, odbywały się zjazdy przedstawicieli żeglugi i leśnego gospodarstwa w celu roztrząśnienia pytań, mających na celu ulepszenie kanału Dniepro-Buzkiego i Ogińskiego; a w tym roku ma być w Petersburgu zjazd centralny przedstawicieli wszystkich wodnych systematów w Państwie.

2) W tym roku ma być naznaczoną oddzielną komisya dla opisu Niemeńskiego wodozbioru i dla poszukiwań.

3) Na niebezpiecznych miejscowościach i mieliznach były wystawiane ostrzegające sygnały.

4) W przeszłym roku urządzono na Niemnie 15 stacyi obserwacyjnych ³⁾;

i 5) w przeszłym także roku urządzoną została inspekcyja żeglugi, dzięki której miasto Grodno i początek Niemna usłyszeli poraz pierwszy świstawkę rządowego parostatku. Daj Boże, żeby to było zwiastunem lepszej przyszłości dla Niemna!

Ze wszystkiego, cośmy powiedzieli wyżej, można wnioskować, że chociaż bardzo dobrze rozumiano u nas ważność Niemna, jednak zrobiono dla niego bardzo mało i to tylko z inicjatywy hr. Bobryńskiego i terażniejszego ministra, a do 1874 r., t. j. przez $\frac{3}{4}$ wieku ograniczano się li na projektach. Tymczasem, jakkolwiek bardzo krótki i pobieżny zrobiliśmy rzut na własność rzeki, żeglugi, handlowych operacyi i sposobów ulepszenia koryta; pogląd ten jednakowoż jest dostateczny, ażeby wyrobić w sobie przekonanie, że Niemen, mając dogodne koryto, będąc spławnym przez bardzo długi przeciąg czasu, dając duży obrót kapitałom i stanowiąc jedyną komunikacyą z południowemi guberniami, północno-zachodniemi i z Polską, nie tylko w przyszłości przedstawia dogodne warunki dla rozwinięcia się bezporównania większego, niż dziś han-

¹⁾ W 1876 i 1877 r., na oczyszczoném korycie Niemna nie było ani jednego wypadku zatonięcia statku.

²⁾ Co było wyrażone w okólnikach kupców Wołyńskich i Grodzieńskich do prezydującego na zjazdach Pińskim i Grodzieńskim.

³⁾ Trzy pierwszorzędne i 12 drugorzędnych. Stacje te są w następujących miejscowościach: Stołbee, Kolodzin, Maryno, Bielica, Mosty, Łunno, Grodno, Niemonajce, Balwierzyski, Birsztany, Rumszyski, Kowno, Średniki i Jurburg.

dlu i kultury, ale nawet i teraz ma ogromne znaczenie dla Rosyi, nie lekceważyć go przeto, ale do gruntownego ulepszenia przystąpić należy; zostawiać zaś go w pierwotnym stanie, znaczy nie rozumieć swoich własnych interesów i być ni mniej, ni więcej, jak tylko nieprzyjacielem samego siebie, co bezwątpienia, nietylko że nie jest do wybaczenia, ale jest prosto grzechem. Tak jest, grzechem i to tym większym, że dla ulepszenia żeglugi nie potrzeba sum bająskich, bo dość jest rokrocznie wyjmować pewną ilość kamieni, zrównać choć jeden szkodliwy przyładek, pogłębić choć jedną mieliznę i zniszczyć jeden prąd; gdyby tak było, to od 1859 r. t. j. od czasu przedstawienia przez p. Lisowskiego ostatecznego projektu uregulowania koryta, do tego czasu rzeka ta byłaby doprowadzoną do takiego stanu, że nietylko nie płacilibyśmy za naszą apatyą kilkanaście tysięcy rs. rocznie w skutek zatapiania towarów, ale mielibyśmy nawet parową żeglugę i nasz handel zbożowy nie byłby z powodu drożyzny wyłączany z zagranicznych rynków, jakto ma teraz miejsce i nie zależałby od energii spławiającego żyda lub od niskiego kursu. Jednym słowem gdybyśmy, pamiętając, że w 1858 roku straty od rozbicia statków dochodziły do 200,000 rs., na ulepszenie kanału ofiarowywali nawet nie 100,000 rs., jak proponuje inż. Szulc, ale tylko tyle, ile rokrocznie tracimy przez rozbijanie się statków, to i wtedy osiągnęłoby się stanowczą przewagę nad eksploatacją dróg żelaznych.

Za wiarogodność tego zdania ręczą fakta, a mianowicie: chociaż koleją można dowozić zboże do Królewca nie jeden, ale kilka razy do roku, w skutek czego kapitał jest w częstszym obrocie; jednakże kupiec woli spławiać wodą, nie bacząc na ryzyko, przeszkody i różne straty, jak np. zatonięcie zboża, opłatę 4^o/o asekuracyi, stratę procentów od obrotowego kapitału i t. d. Fakt ten jasny i tak ważny, że naprowadza mimowoli na myśl: coby to było, gdyby Niemen był ulepszony o tyle, o ile projektował p. Lisowski? Odpowiedź na to taka:

1) asekuracya od 4^o/o zmniejszyłaby się do 1^o/o, albo do 1/2^o/o;

2) nie mając podczas całej żeglugi braku wody i zamieniwszy pracę ludzką na siłę parową, kupcy nie czekali by w Królewcu z ludźmi kilka miesięcy na podwyższenie ceny zboża, albo nie spieszyliby się ze sprzedażą za bezcen, żeby tylko wrócić do domu na zimę, ale, złożonywszy zboże do szpichlerzy i wzięwszy zagraniczne towary, wracaliby po nowy transport zboża;

3) statki nie byłyby budowane tylko na jedną podróż i nie sprzedawałyby się za granicą na opał, w skutek czego strata kapitału użytego na budowę statku, nie ciężyłaby tylko na tych 10 lub 20 tysiącach pudów towaru, który teraz tylko raz się spławia, ale na milionach pudów, które mogłyby być spławiane przez kilka lat na jednym i tym samym statku;

4) konstrukcyja statków, ulepszyłaby się koniecznie tak co do trwałości, jak i do objętości, gdyż wyrachowanie spławiającego by-

łoby inne, ponieważ zysk jego głównie zależałby od wytrwałości i objętości statków;

5) zamknięcie portów rossyjskich na Bałtyku (podczas wojny) nie byłoby dla nas tak groźne, jak teraz, gdyż nie potrzebowalibyśmy usług kolei żelaznej, ale spławialibyśmy wszystko zboże, które u nas jest;

6) zresztą, czy dadzą się wyliczyć wszystkie dogodności, jakieby nastąpiły od ulepszenia Niemna, t. j. gdyby on był tak ulepszony, żeby nawigacya po nim była bez niepotrzebnych przesłanków i przeszkód i żeby praca ludzka była zamieniona na parową siłę. Wyliczać to wszystko byłoby zbyt długim, nużącym niepotrzebnym, bo i z tego, cośmy powiedzieli, wynika oczywiście, że handel, produkcyja i kultura wszystkich miejscowości, które korzystają z usług Niemna, ożywi się i odnowi. O tém zaś, czy znajdują się przedsiębiorcy, niema co wątpić, gdy wiemy, że znalazła się kompania parowego holownictwa, która uzyskała Najwyższe zezwolenie.

Przyznając tak wielkie znaczenie Niemnowi i uznając niezbędnem ulepszenie jego koryta, nie powinniśmy zapominać, że trzeba także ulepszać i resztę systematu, a mianowicie kanał Ogińskiego, gdyż inaczej osiągnęlibyśmy tylko połowy celu, ponieważ od ulepszenia Niemna skorzystałyby tylko jego okolice, a zboże południowych gubernii nie miałoby dogodnej drogi do dostania się na niemieckie rynki; dlatego też równocześnie z ulepszaniem Niemna trzeba i cały systemat doprowadzić do stanu, któryby zupełnie odpowiadał celowi tego systematu, t. j. żeby zarówno po Niemnie, jak i po całym systemacie statki mogły bez przeszkód i bez przęładowywania chodzić do Pińska, Królewca i napowrót.

Tylko przy takich warunkach zboże z Południa może być tanio i bezpiecznie dostarczane do Bałtyckiego morza; tylko taką drogą da się poprawić błąd, zrobiony początkowo, zapewne z oszczędności, przy budowie kanału i tylko wtenczas środki, wskazane przez nas, zasłużą na miano nie fikcyi, ale racjonalnych, bo tylko tak zrobiwszy, możemy powiedzieć, że południowe gubernie Rosyi i Czarne morze są na wieki połączone z Bałtykiem.

Najgłówniejszy błąd, popełniony przy początkowem połączeniu Niemna z Dnieprowo-Buzkim systematem, był ten, żeśmy albo niezbyt dobrze dowiadawali się o ilości zapasowej wody, albo przez oszczędność, nie bardzo głęboko się zastanowili nad tém i przeznaczylismy ten kanał jedynie tylko dla spławu drzewa, a nie dlatego, żeby statki i berlinki z Niemna i Prypeci szły prosto do Królewca i napowrót.

Jeżeliby ten błąd nie mógł być poprawionym, lub gdyby ulepszenie kanału Ogińskiego potrzebowało ogromnego i bezpowrotnie straconego kapitału, tobym nie poruszał téj kwestyi; lecz żeby dobitnie przekonać, że błąd ten może być poprawionym, nietylko bez straty dla skarbu, ale przeciwnie z korzyścią dla niego, rozpatrzmy w krótkości i pobieżnie resztę kanału Ogińskiego, a także i stosunek Pińska do południowego handlu.

Najprzód powiemy kilka słów o Pińsku. Miasto to grało główną rolę w handlu zbożowym Południa, przed otwarciem drogi żelaznej. Zboże dostarczano do Pińska statkami, a ztamtąd po większej części w workach na tratwach wysyłano do kanału Ogińskiego. Przesypywanie, opakowanie, wartość worków, zamoczenie, ryzyko spławu na tratwach i wiele jeszcze podobnych niedogodności dostawy zboża za granicę, poczęści ograniczyło dostawę, a poczęści zmusiło kupców dostawiać zboże koleją żelazną. W skutek tego Pińsk stracił zupełnie prawie swoje byłe znaczenie i pińskie statki parowe i żaglowe zostały bezczynne. Tylko ulepszenie kanału może znów ożywić miasto i wrócić mu rolę głównego pośrednika dla transportowania zboża z Dnieprowo-Buzkiego na kanał Ogińskiego.

Systemat Ogińskiego składa się z części rzeki Jasiołdy, 33 wiorst; Ogińskiego kanału, 50 $\frac{1}{4}$ wiorst; rzeki Szczary, 210 wiorst i Niemna 729 wiorst, czyli cała długość Ogińskiego systematu=1,022 wiorst.

Drzewo i statki po wyjściu z Pińska, idą najprzód po rzece Pinie z wodą, w Jasiołdzie zaś od Horodyszczu do kanału idą pod wodę; następnie, wyszedłszy z kanału, znów idą z wodą aż do samej granicy.

Urządzenie Ogińskiego systematu zaczęło się kanałem, który pierwotnie wykopany staraniem hetmana Michała Ogińskiego, za panowania Poniatowskiego; później z gruntu poprawiony w 1799 r.; potem w r. 1827 poraz pierwszy przystąpiono do uregulowania rzeki Szczary; następnie w r. 1843 zaczęło się ulepszenie Jasiołdy i nareszcie w r. 1847 zaczęło myśleć o ulepszeniu Niemna.

Rzeka Jasiołda jest na przestrzeni tylko 5,2 wiorst uregulowana, reszta zaś jest bez ścieżek holowniczych, co szkodliwie oddziałuje na zdrowie robotników, którzy muszą holować statki i tratwy, brnąc nieraz w wodzie do pasa lub grzęznąc w błocie.

Zupełnie takie same niewygody cierpią oni i na Szczarze, podczas jej wylewu, w tych miejscach, gdzie niema holownic, t. j. od ujścia kanału do Dobromyśla.

Na rzece Jasiołdzie, oprócz wzmiankowanej kanalizacji, urządzone są dwie groble dla powstrzymania wody: jeden most zwodzony, jeden wodostok przy grobli, 12 mostków na holownicy i domki strażnicze przy tamach.

Wzdłuż kanału Ogińskiego bieżą równoległe dwa kanaliki oboczne (ścieki). Na kanale zbudowano 10 szluz, przy każdej domki strażnicze i 2 mosty zwodzone. Szluzy mają po 20 sążni długości, a 2 $\frac{1}{2}$ szerokości. Głębokość kanału, budowa szluz, zastosowane do statków, potrzebujących głębokości na jeden arszyn.

Przy samym kanale, w miasteczku Telechanach, znajduje się przystań Ogińskiego, gdzie zamieszkuje naczelnik dystansu. Oprócz tego na holownikach urządzone 5 mostów, 15 wodospustów i jeden bejszłot, a także w Telechanach zbudowano 7 szop, 2 domy mieszkalne dla naczelnika dystansu i naczelnika oddziału, kuźnię i inne gospodarskie zabudowania.

Na Szczarze znajduje się 10 grobli z domami strażniczymi; sześć spustów, przystań i most zwodzony na kanale derywacyjnym w Słominie, tudzież rządowe pomieszczenie dla dozorczy drugiego dystansu. Oprócz tego na rzeczce Grzywdzie (przypływ Szczary) urządzone jest rezerwoar ze szluzą, spustem i mostem.

Na Niemnie niema już żadnych konstrukcyi.

Urządzenie wyżej wymienionych rzek i kanału z ulepszeniami i remontem, a także z utrzymaniem holowników przystani, budynków, mostów i t. d. kosztowało rząd do 1876 r.:

rzeka Jasiołda.	88,445	rubli 76	kop.
kanał Ogińskiego.	884,857	" 52 ¹ / ₂	"
rzeka Szczara.	547,112	" 59	"
" Niemen.	38,326	" 5	"
<hr/>			
Razem 1,558,741 rubli 92 ¹ / ₂ kop.			

Zatém 80-letnie utrzymanie całego systematu Ogińskiego, wraz z urządzeniami i ulepszeniami, kosztowało wszystkiego 1,558,741 rs. 92¹/₂ kop.; t. j. 1022¹/₄ wiorsty wodnej drogi, w przeciągu 80 lat kosztowało u nas taniej, niż urządzenie tylko kilkudziesięciu wiorst w Niemczech, w ciągu czasu od 1849 do 1872 r.

Przeszkód dla żeglugi na rz. Jasiołdzie i Szczarze jest mnóstwo:

- 1) brak, jakeśmy to wyżej powiedzieli, holowników¹⁾;
- 2) krętość koryta, przez co, jak np. na rzece Szczarze, ludzie, którzy ciągnęli cały dzień tratwy i statki, stanawszy na noc, rozmawiają z tymi, którzy podeszli na ich wczorajszy nocleg;
- 3) mielizny, których na Szczarze jest do 15;
- 4) wąskość kanału między Wygonowskiem jeziorem i dziewiątą szluzą i t. d.

Najważniejszą przeszkodą jest brak wody w Jasiołdzie i Szczarze; ta przeszkoda prawie wszystkich kupców, spławiających drzewo, doprowadza do bankructwa, jak mieliśmy tego przykład w 1874 i 1875 r. Dla téj przeszkody nie korzystano dotychczas z systematu Ogińskiego tak, jakby należało, a straty ztąd obliczać trzeba już nie na miliony, lecz na setki milionów; taż sama przeszkoda sprawia, jakto zaraz wykażemy, że kapitał użyty na utrzymanie tego systematu, prawie wcale nie procentuje.

Ośmdziesiąt lat walczone z brakiem wody. Przez te ośmdziesiąt lat, wielu, bardzo wielu kupców zrujnowało się zupełnie; użyto bardzo wiele kapitału, który się wcale nie procentuje: zostało się bardzo dużo zboża, które nie mogło być spławione. Nic dziwnego, że się kupcy rujnowali, bo weźmy naprzykład kupca, który, mając przeszłoroczne zboże, śpieszy z niem na przednowku za granicę.

¹⁾ Droga wzdłuż rzeki, po której idą ludzie lub konie, ciągnące statki za pomocą sznura.

Zboże szczęśliwie doszło do Pińska, szczęśliwie przeszło przez Pińg; z biedą wdrapało się po Jasiołdzie do kanału, przeszło i przez kanał i wchodzi do Szczary: wody niema! Kupiec prosi o wodę, na co mu odpowiadają: „My tylko jeden mamy rezerwoar, a jeżeli oddamy panu wodę z niego, to wszystkie statki idące po kanale, po Jasiołdzie i te, które wychodzą z Pińska, musiałyby zimować, niedoszedłszy do Szczary; więc niech pan będzie łaskaw uzbroić się w cierpliwość i poczekać dopóki wszystkie, co do jednego, statki wejdą do Szczary: wtenczas oddamy cały zasób wody, i pan z Bożą pomocą popłynie dalej.“

Łatwo sobie wystawić jak się robi miło na sercu kupcowi, spieszącemu dostarczyć swoje zboże, wprzód nim będzie nowe; ile go kosztuje nieprodukcyjne utrzymanie kilkudziesięciu, a czasami kilkuset robotników w przeciągu 1—1½ a nawet i 2 miesięcy. Oprócz tego; jeszcze powinien prosić Boga, żeby po dwumiesięcznym czekaniu udało mu się przed zimą dostać zagranicę, bo często trzeba zimować na Szczarze lub kanale.

Kto się odważy, po takim zdarzeniu, prowadzić takie interesa, i czy podobny fakt nie odstręczy kilkudziesięciu przedsiębiorców od spławienia zboża i drzewa? Czyż rząd nie powinien obliczyć wszystkich strat, pochodzących wskutek takich niedogodności? Czy straty te w przeciągu ośmdziesięciu lat nie wyniosą kilku setek milionów? Zostawiam tę kwestyą do rozstrzygnięcia każdemu czytającemu tę broszurkę.

Obecnie, dzięki wytrwałości, staraniom i energii miejscowych inżynierów, robiono w tym celu poszukiwania i dowiedziano się, że Ogiński systemat tak jest zasobny w wodę, że brak jój nie tylko że niepowinien doprowadzać handlu do stagnacyi i kupców do bankructwa, lecz dość jest połączyć początek Szczary z terazniejszym Wygonowskim rezerwoarem, jezioro Bobrowickie ze Szczarą, i jezioro Somińskie z kanałem, żeby brak wody został zupełnie usunięty. Jeżeli zaś oprócz tego wszystkiego powiększyć Grzywdziński rezerwoar, na co już jest przeznaczony w tym roku 8,000 rs., przebudować z gruntu szluzy na rzece Jasiołdzie i Szczarze, a także powiększyć liczbę szluz na Jasiołdzie do czterech (teraz dwie), a na Szczarze do trzydziestu dwóch (teraz dziesięć), to statki nie tylko bez przeszkód będą mogły kursować z wodą i pod wodę podczas całej nawigacyi od Królewca do Pińska, lecz nawet ludzka praca zamieni się na parową.

Zobaczymy ileby kosztowały podobne reformy?

Według szczegółowego obliczenia w ostatnim projekcie, na urządzenie wodociągów Załuskiego (od początku Szczary), Bobrowickiego i Sowiń-

skiego wraz ze szluzami i t. p.	81880 rs.
Podług obliczenia inż. Szulca, na urządzenie na Jasiołd- dzie holownic i dwóch tam	72902 rs.
Na przebudowanie dziesięciu szluz takiej wielkości, żeby w nich mogły się pomieścić statki, mające 19 sąż. dłu- gości z osadą na 1½ arsz., i na doprowadzenie kanału do położenia odpowiadającego takiej osadzie z ¼ arsz. za- pasu, jak również na ulepszenie biefu ¹⁾ , wybudowanie 6 bejszłotów i inne ulepszenia kanału	214016 rs.
Na poprawienie znajdujących się na Szczarze grobli, na urządzenie 22 nowych i na urządzenie 74½ wiorst holownicy	480400 rs.
Oprócz tego na drobne i nieprzewidziane wydatki, jako to: oczyszczenie mielizn, wybudowanie w niektórych miejscach tam i t. p.	100000 rs.
Razem . . .	949198 rs.

Jeżeli do tego dodać roboty, które chociaż są bardzo ważne i po-
trzebne, lecz w porównaniu z innymi mogą być na czas jakiś odłożone,
jak np. urządzenie obwodowego kanału około Wygonowskiego jezio-
ra długości 9,3 wiorst; to suma powyższa powiększy się o 585392 rs.
kop. 22., czyli, że wszystkie w ogóle roboty na Jasiołdzie, kanale
i Szczarze kosztować będą 1534590 rs. kop. 22; dodawszy jeszcze do tego
sumę, potrzebną według p. Lisowskiego, na ulepszenie Niemna 3005819
rs. kop. 14, otrzymamy wypadek taki: 1022¼ wiorsty wodnej drogi kosz-
tować będzie 3005819 rs. 14 kop. + 949198 rs. = 3955017 rs. 14. kop.

Prawda że czteromilionowa suma jest wielką, ale korzyści, jakie
wskutek tego powstaną, są jeszcze większe; bo odnawiając żeglugę, han-
del i kulturę w kraju, umożliwiając połączenie Czarnego morza z Balty-
kiem i dając bezpieczny i tani sposób dostarczenia bogactw południa
na niemieckie rynki, uwalniamy nasze towary zbożowe od zależności
kosztownego przewozu po drogach żelaznych, a na wypadek zamknięcia
Bałtyckich portów, położenie kraju będzie bezporównania lepsze, jak
gdyby było w przeciwnym wypadku. Prócz tego, włożony w to kapitał
może się wrócić natychmiast, nawet, używając kapitałów obcych, to jest
nie skarbowych; skarb może tylko za swoje przedsiębiorstwo korzystać
ze znacznych dochodów z podwyższenia cła od zagranicznych towarów
(których będziemy sprowadzać bezwarunkowo więcej, jeżeli żegluga pod
wodę będzie możebną bez przeładowywania), a także i z podwyższenia
procentu skarbowego podatku. Niewątpliwie, że rządowi ciężkoby wy-
dać odrazu cztery miliony rs., ale też niema tego potrzeby, bo dostatecz-
nym jest rozłożyć kapitał ten na 25 lat, czyli corocznie na ulepszenie
systematu potrzeba będzie do 160000 rs.

¹⁾ Część kanału między dwiema szluzami.

Przypuściwszy, że istnieje coroczny wkład 160000, to, żeby ubezpieczyć żeglugę od podwodnych zawałów w Niemnie i od braku wody w Szczarze, oczyścić nurt Niemna i urządzić wodociągi, skarb byłby najzupełniej w prawie nie kontentować się objawianiem ilości i wartości towarów przez p. spławiających, jak to ma teraz miejsce, lecz żądać rzeczywistych wiadomości o cenie towarów, wskutek czego ilość i wartość towaru w pierwszym zaraz roku, jeżeliby nie potroiła się, to przynajmniej byłaby dwa razy większą, niż jest teraz, a wskutek tego okazałoby się, że po Ogińsko-Niemeńskiej drodze przechodzi rocznie towarów nie za 3704511 rs., lecz za 8 lub 10 milionów. Wskutek zaś powiększenia wartości towaru, powiększyłby się i procent, należący się skarbowi. Oprócz tego skarb, zabezpieczywszy żeglugę od nieszczęśliwych wypadków na niemeńskich porogach, a także i od długiego stania na Szczarze z braku wody, miałby najzupełniejszą racją, bynajmniej nie ścieśniając żeglugi, żądać nie $\frac{1}{4}\%$, lecz 2% z rubla, a wtedy ta podwyższka procentu w zupełności pokryłaby te 160000 rs.

Wreszcie przypuściwszy (czego, w rzeczywistości być nie może), że ani żegluga, ani spław nie powiększą się wskutek ulepszenia systematu, i że handel wywozowy będzie w tych samych rozmiarach, jak i teraz, to i w tym wypadku skarb bynajmniej nic nie ryzykuje, a kupcy nic na tém nie tracą, że będą mieli podwyższony podatek; gdyż kupiec, zapłaciwszy zamiast $\frac{1}{2}\%$, 2% ¹⁾ płaci tylko to, coby musiał zapłacić za asekurowanie towaru, czego teraz przy zniszczeniu porogów, a później i prądów, najzupełniej niepotrzeba.

Wszystkie fakta, przemawiając tak dobitnie i wyraźnie za korzyścią i potrzebą drogi wodnej przez kanał Ogińskiego, a także i za możliwością ulepszenia jej bez szczególnych ofiar ze strony skarbu, naprowadzają nas jeszcze na jedno, ale już ostatnie pytanie: jak sobie poradzą zjazdzy mające się odbyć w tym roku, miejscowy w Grodnie i główny w Petersburgu?

Petersburg, d. 18 (30) listopada 1877 r.

¹⁾ Nałożenie 2% z wartości towaru na korzyść skarbu, inż. Szule (patrz jego broszurę) uważa za zupełnie słuszne i nieobciążające handlu. Kupcy są tegoż zdania, gdyż na przeszłorocznym zjeździe zdecydowano z własnej inicyatywy potroić dochód z procentów, pobieranych na kanale Ogińskiego na korzyść skarbu.

WARSZAWA,

JÉJ ŻYCIE UMYSŁOWE I RUCH LITERACKI

W CIĄGU LAT TRZYDZIESTU *).

(od 1800 — 1830 r.).

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

IV.

Najcelniejsi współpracownicy *Pamiętnika Warszawskiego*.—K. Brodziński, Hipolit Kownacki, Stanisław Kostka hr. Potocki.—*Świsstek* krytyczny.—Chłuszcząca satyra.—Niechęć i zemsta.—Śmierć St. hr. Potockiego.—Stan literatury polskiej.—Przemowa *Świszka* do szanownej publiczności.—Posiedzenia wielkiej kapituły orderu Niedźwiadka.—Odnowienie akademii Smorgońskiej.—Order smorgoński, jego rysunek i patent.—Traktat pokoju.—Upadek *Pamiętnika Warszawskiego*. Powstanie nowego, pod redakcją: K. Brodzińskiego, Fryd. hr. Skarbka i J. K. Skrodzkiego, trzech profesorów Uniwersytetu i członków Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk.

Do najcelniejszych współpracowników *Pamiętnika Warszawskiego*, policzyć należy Kazimierza Brodzińskiego, o którym już mówiliśmy, Stanisława hr. Potockiego, ministra wyznań religijnych i oświecenia i Hipolita Kownackiego b. szambelana króla Stanisława Augusta. Pierwszy wspierał dział estetyki i poezji; drugi literacki, satyryczno-krytyczny; ostatni dział historyczny już w opracowaniach monograficznych, już w wyborowych materiałach z nieznanymi rękopismów, a wielce zajmujących. Kownacki, będąc szambelanem, w młodym wieku z krajczycem koronnym Janem Potockim, zwiedził Grecyą i Egipt. Wykształcony naukowo, z zamiłowaniem oddawał się badaniu dziejów polskich; pomimo tego, na dworze króla należał do najwykwintniejszych elegantów zamkowych. Strojem gustownym i bogatym podnosił urodę swoją. Peruka jego najdelikatniejszym pudrem posypana, woniała pachnidłkami i najpiękniej ufryzowaną bywała. Snieżnej białości mankiety i żaboty, stynęły na dworze; najcudniejszemi zawsze złany pachnidłami paryżkiemi, musiał je udzielać damom, które często zamek królewski odwiedzały, a w ich wzglęдах nie był

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za styczeń r. b.

ostatnim. Owych fraków aksamitnych, atlasowych, miał sto par przeszło, w ubiór bowiem wykwintny, całe mienie po rodzicach był włożył. Zdarzyło się, że w przeprawie promem na Wiśle, bryka jego z kuframi zatonała w rzece. Strata tak wielka zasmuciła Kownackiego, stracił dawną wesołość i humor. Odtąd, na *uczonych czwartkowych obiadach* u króla, za przykładem samego Stanisława Augusta, stał się celem żartów i dowcipów Naruszewicza i Węgerskiego. Już nigdy nie przyszedł do tak zamożnej garderoby. Był domownikiem, przyjacielem i sekretarzem księcia prymasa Poniatowskiego, brata królewskiego.

Kiedy, po wyjeździe króla z Warszawy, dwór się jego rozbiegł po szerokim świecie, Stanisław Potocki, ceniąc w Kownackim naukę i znajomość języków, wezwał go na bibliotekarza do zamożnego swego księgozbioru w Willanowie pod Warszawą. Od téj chwili zaczyna się okres prac jego literackich. Tłómaczył kroniki: Galla, Baszka, ustępy z Długosza, wiele z akt Górskiego umieścił w *Pamiętniku Warszawskim*; w nim téż pomieścił najciekawszy rękopism: o ścięciu na zamku krakowskim, z wyroku Jana Zamoyskiego, sławnego warchoła, w czasach Batorego, Samuela Zborowskiego. Krwawy ten dramat, przez naoczego świadka skreślony, żywo i chciwie chwytała ówczesna publiczność i z niezmierném zajęciem odczytywała.

Wszystkie przekłady kronik drukował własnym nakładem, bo na tak poważne przedmioty, nakładcy wówczas znaleźć nie mógł. Wierzył w to, że w Długoszu są źródła pisarzy takich, co choć przyjęli wiarę chrześcijańską, w gruncie sami byli poganami. Brał więc z tego historia krępy, które zdawało się, że są pióra owych właśnie pisarzy, ale swego twierdzenia, krytycznie dowieść nie potrafił. Wiele pozostawił rękopismów, wszystkie treści historycznej; są to przekłady najdawniejszych kronikarzy łacińskich, rozrzucone po różnych prywatnych księgozbiorach, a dowodzą żelaznej pracy Kownackiego. Umarł w sędziwych latach 1854 r., przeżywszy lat 90 wieku. Zwłoki jego pochowano na cmentarzu Willanowskim, bez żadnego nagrobka.

Starzec ten był najgorliwszym współpracownikiem *Pamiętnika*. Surowego materiału, z rękopismów wielkiej ceny, dostarczył niemało, i w dziele historii najszerze zajmuje miejsce.

Wielkie poparcie *Pamiętnikowi* dał przez swój udział, Stanisław Kostka hr. Potocki, mąż znakomity zasługami, położonemi dla kraju, za panowania Stanisława Augusta. W tych czasach pozyskał głośnie imię, jako znakomity mówca na różnych sejmach, a głównie w czasie *czteroletniego* sejmu. Był jednym z twórców Towarzystwa Przyjaciół Nauk i po rozbiórce kraju oddał się wyłącznie pracom literackim. Po utworzeniu Księstwa Warszawskiego, mianowany senatorem, wojewodą 1807 r., w lat kilka został prezesem rady stanu i ministrem. Przy tych dostojenstwach najwyższych w kraju, powierzono Potockiemu wydział, który najwięcej kochał, gdyż mianowano go dyrektorem izby edukacyjnej i komendantem korpusu kadetów. Tu oddał najwięcej

usługi, krzewiąc postępową oświatę i nauki. Wznowił Towarzystwo elementarne, założył z Żubieńskim Szkołę prawa, jako téż Szkołę lekarską. Po ustanowieniu Królestwa 1815 r., mianowany ministrem wyznań religijnych i oświecenia publicznego, usilném staraniem przyspieszył otwarcie uniwersytetu Warszawskiego. W r. 1818 został prezesem senatu. Przed wzięciem udziału w współpracownictwie *Pamiętnika*, wydał już poprzednio rozgłośnie dzieła, jak: *O sztuce u dawnych* czyli *Winkelman polski*, w 3-ch tomach; *O wymowie i stylu*, w 4-ch tomach; *Pochwały, mowy i rozprawy*. To ostatnie dzieło i rozgłośnie sława wymowy, pozyskana w dawniejszych sejmach, zjednały mu chlubny tytuł u współczesnych: „księcia mówców.” Tak mieliśmy w literaturze dwu książąt: Jana Kochanowskiego księcia poetów, Potockiego wymowy. Lubo pisywał do *Pamiętnika* pod swoim imieniem, przybrał nadto pseudonim „Świstka krytycznego” i pod nim umieszczał lepsze utwory pióra, treści satyryczno-społecznej.

Nie bez zajęcia dla czytelników, będzie pierwsze zagajenie, jakie wypisał, występując jako Świstek krytyczny w r. 1816 (*Pamiętnik*, tom V).

„Kiedy szanowni towarzysze moi (pisze w nim) przybierają sobie nazwiska sławnych dzienników paryzkich, ja na skromném krytycznego *Świstka* przestaję. Ochrzcić się muszę, bo nakoniec imię jakieś na tym świecie nosić każdemu należy; lecz nie chcę, by mnie czasem *poprawcza policya*, jak awanturnika jakiego, ogołociwszy z przybranego imienia, na właściwe skazała. Nic łatwiejszego, jak wziąć wielkie nazwisko, lecz nic trudniejszego, jak go usprawiedliwić. I tak np., gdybym sobie nadał tak zawołane „Karła żółtego” imię, słusznieby po mnie oczekiwała publiczność, choć cząstki jego dowcipu. Otóż sęk, otóż trudność, oto bięda. Wiele przyrzekłszy publiczności, a dotrzymać mało w stanie, przeskakiwałbym z wstępu na wstęp i jeszcze nowym wstępem starałbym się wykręcić; gadałbym wiele o sobie, mało o rzeczach, obiecawszy krytykować, inszych krytykować uczyłbym; nakoniec znudzony czytelnik przedwieczném gadulstwem mojem, rzekłby: „Niezgrabny karle, cóż masz wspólnego z tym przyjemnym karzełkiem, który tak długo bawił Paryż cały, prócz imienia, któreś sobie bezczelnie przywłaszczył?” Wolę tedy być „Świstkiem” i nazawsze „Świstkiem,” niż kiedykolwiek popaść podobnej wymówce.

„Lecz przystąpmy do rzeczy, choć i to, com powiedział, nie zdaje mi się od rzeczy. Znajduje się rodzaj złodziei, których nie ścigają prawa, a co przecież kradną nam to, co najdroższego mamy, t. j. czas. Warszawa, jak wszystkie wielkie miasta, jest pełną tych łotrów, których się ja mniej obawiam od innych, bo mam więcej do stracenia czasu, niż pieniędzy. Z tych tedy ichmościów, jeden kradnie kwadrans, drugi godzinę, trzeci część dnia zabiera tak dalece, iż porachowawszy się na końcu roku, znaleźlibyśmy, iż nam brak kilku miesięcy, których sami złodzieje wróciłby nam nie mogli, a które czas niemiłosierny zapisuje na rachunek życia naszego. Pierwszy, co mi zaprzeczy tój

prawdy, niech będzie pewnym, że mu nazajutrz naśle JP. Chwalskiego, który odemnie téj chwili odchodzi. Trzy śmiertelne ukradł mi godziny, przecież rozmowa jego tak ciekawą zdaje mi się, że nią niniejszy *Swistek* napełnić zamyślam.

„Wchodząc znienacka do mnie, rzekł JP. Chwalski:

— Widzę, żeś bardzo zatrudniony, dlatego, przyjacielu, godzinę tylko z tobą pobawię.

Cóż znaczą te dzienniki, te gazety, te sztuki teatralne, rozrzucone na biurze twojem? Ach domyślam się, oddawna miałem cię w podejrzeniu, że jesteś jeden z Iksów ¹⁾; teraz już o tém nie wątpię, wszelako bądź pewnym, że ci sekretu dochowam.

— Zbyt wiele—odpowiedziałem—czynisz mi WPan zaszczytu.

— Przeciwnie—rzecze—żałuję cię, żeś się wdał w te wszystkie krytyki! Żebyś wiedział, jak was tam za kulisami nie lubią, jak łają, jak wam złorzeczą, wyrzekłbyś się tego rzemiosła. Co do mnie, chceszli wiedzieć, dlaczego tam i wszędy tak jestem kochany, dlaczego tak wszystkich bawię, dlaczego tak mi wszyscy radzi? Oto dlatego, że wszystko i wszędy chwale; tym nawet sposobem spodziewam się w pewnym biurze, wnet jedno z pierwszych miejsc otrzymać, na którym chwalić nie przestanę, a tym sposobem, może się zczasem i ministerstwa dochrapię.

— Wyśmienicie!—odrzekłem—jestto środek; pewniejsza może dojścia wszystkiego jest inna droga, a do tego nieco podła.

— Widzę—odrzekł—przyjacielu, żeś się w sektę liberalistów zapisał; pożegnaj się więc z fortuną, z zaszczytami, z całym twoim rozumem: zostaniesz nazawsze Iksem. Wreszcie są rzeczy godne pochwały, choć ci ich kilka nastroczyć, które zrzęcznie nakręciwszy, pod pozorem krytyki chwalić będziesz.

— Obaczmy!—odpowiem—ciekawy ich jestem.

— Oto najprzód chwał, ustanowić się mające ochędóstwo w Warszawie, bo roztropnemu trzeba być najprzód dobrze z policyą. Powtóre, dowódz krytykowi, co się odezwał w ostatnim *Pamiętniku Warszawskim*, że gazety nasze są nieoszacowanym polszczyzny skarbem, bo gazety są trąbą, która ci pochwały w setnasób odda i wślawione imię twoje po całej Polsce rozniesie. Nakoniec wystąp na harc za naszymi artystami dramatycznymi, mianowicie za ich naczelnikiem: i to nielada opieka. Dość tego będzie na pierwszy twój artykuł; mam pochwał pełne kieszenie, zacznij przecie od tych, a o innych, mianowicie o osobistych później się rozmówimy.

— Ale—odrzekłem—jakżeż mam chwalić ochędóstwo Warszawy, patrząc na buty twoje? Mój panie, w błocie żyjemy!

¹⁾ W owym czasie pojawiło się tak zwane *Towarzystwo Iksów*, którego rozbioremi krytycznymi, głównie o teatrze narodowym, pozyskało sobie chlubny w kraju rozgłos. Poważne i wytrawne ich krytyki drukowała *Gazeta Warszawska* z podpisem *Iks*.

— Jak twardą—odpowie mi—na krytyka masz głowę: długie zaniedbanie ochędóstwa ulic warszawskich, jest złem chwilowém, ale mamy teraz nową policją: położenie miasta jest jedyném do wprowadzenia czystości. Patrz! na jak wysokim pobrzeżu wznosi się nad Wisłą Warszawa; dość tedy będzie wziąć pod uwagę wszystkie nasze ulice, na nowo je wybrukować, przesklepić kilka kanatów aż do Wisty, do którychby wszystkie błota spływały: tym sposobem, po lada deszczu, wokamgnieniu zmytą i czystą będzie Warszawa.

— Może to być—odpowiedziałem—skoro nam Bóg da z pół wieku pokoju; tymczasem, jeśli się do mioteł i kar nie weźmiemy, żyć będziemy w błocie obok nadziei.

— Niekoniecznie—dodał—chwali się to co jest, można chwalić to, co być ma.

— Jestto piękna—odrzekłem—retoryczna figura, ale ja tak chwalić nie umiem.”

W tym sposobie zagaiwszy hr. Potocki swój wstęp, jako stały współpracownik do *Pamiętnika Warszawskiego*, w następnych artykułach uderza na zły język gazet ówczesnych, na zarozumiałość aktorów, na płytkość krytyki teatralnej, wyjąwszy krytycznych poglądów, sławnego w owe czasy Towarzystwa Iksów, którzy, ukrywając się w tajemnicy, tém większe obudzali zajęcie. Oczywiście, że *Swistek* wywołał zaraz przeciw sobie niechętnych; owoż odpowiada krytykom swoim, zarzucając im brak smaku, chociaż się chwalili, że wykształcili się w akademii Krakowskiej. „Nie wszystkim jest dano, odpisuje im Potocki, jak obu Śniadeckim, w równym stopniu wyszłym także z akademii Krakowskiej, w równym stopniu smak dobry i naukę posiadać i być wzorowemi obojga przykładami.”

Sam *Swistek* czuły jest bardzo na krytyki przeciw sobie ogłaszane, ostro a dowcipnie na nie odpowiada. Szczególniej ubódł go zarzut że źle pisze po polsku.

Artykuły *Swistka*, wywoływana przez niego polemika, zajmowały nadzwyczaj ówczesnych czytelników: była to najżywotniejsza część *Pamiętnika Warszawskiego*.

Potocki wierzył w swój humor i dowcip, bo sam pisze: „żeśmy zabawni, nieprzyjaciel nam nawet wymówić tego niezdola; aleśmy niekiedy użyteczni, zawsze prawie uczciwi, a często goli.” W dalszym ciągu daje nam obraz właściwy stanu ówczesnego rozwoju literatury naszej. Ciekawy ten ustęp, jako odpowiedni treści naszego przedmiotu, w całości przywieść musimy.

Owoż, jak się odzywa do publiczności:

— „Chceszli, ażebyśmy zabawnymi i dowcipnymi się stali, trzeba żebyś nas zachęcała, byś nas wspierała i że tak powiem, byś nam przewodniczyła ku temu, a nadewszystko raczyła być dla nas nieco chojniejszą. Każdy pisarz potrzebuje dwu rzeczy: pieniędzy i chwały. Najprzód mówię, pieniądze, bo wprzód musi kupić sławę w drukarni, nim ją może publiczności przesłać. Ztąd wypada, że gdzie mało czytają, mało kupują książek, tam mało ich piszą a mniej jeszcze druku-

ją. W wielkiej liczbie przecież tylko pisarzy, jeden i drugi lepszy zjawia się. Widzimy to w Niemczech, gdzie wszystkie nowo wychodzące dzieła rozsprzedają się, wszystkie są czytane, wszystkie są sądzone, a głos publiczny o każdym stanowi. Wnet jedne pod stół idą, drugie w księgozbiorach i ludzkiej zostają pamięci. Tak i u nas bywało, za dobrych Orzechowskiego czasów, co się skarży, że dnie były zbyt krótkie na czytanie tylolicznie wychodzących dzieł polskich. Wtedy to Brześć liczył więcej drukarni niż nasza Warszawa; Polska cała była ich pełną. Ale dzisiaj w kraju naszym, jakżeż mogą pisać, a nade wszystko drukować dzieła swoje liczni autorowie, kiedy je mało kto kupuje, a mniej jeszcze kto czyta? By się u nas temu poświęcić rzemiosłu, trzeba osobliwszego do tego powołania, bo na niém żadna sława, a pewne czeka bankructwo.

„Chcemyż mieć wyrównyującą narodowej zdolności literaturę, trzeba koniecznie ku temu, by się przekonała publiczność, o potrzebie niejakięj z jej strony, dla nauk wspaniałości. Niech każdy kogo na to starczy, pisma jakie wychodzą, wreszcie dla samego zachęcenia kupuje; niech w tém czyn obywatelski widzi: bo tym jedynie sposobem, pisarzów, drukarni, nawet czytających liczba pomnożyć się może. Wszak często miejskiego próżniaka, a nawet użytecznego wsi mieszkańca, chęć bierze do czytania książki, dlatego że ją posiada; jak często przeglądamy kalendarzyk, jedynie dlatego że przed nami leży.

„Jeżeli tego chwycimy się środka, ręczę że się wnet zjawią u nas w znacznej liczbie dobrzy i zabawni pisarze. Naród nasz, równie jest dowcipny jak waleczny: dał jednego i drugiego dowody. Lecz jak po owém zwinięciu zwycięzkiego po Janie III wojska, upadł odgłos mężstwa polskiego, tak też i nauk po Zygmuntowych czasach, kiedy smak dobry i rządność, złemu smakowi i nierządowi ustąpić musiały. Ale jako za pierwszą zrzęczością wskrzeszona odwaga Polaka, z równą lub większą niż kiedy zajaśniała świetnością, tak i dowcip, tak i rozum jego, już zewsząd przebijający, wygórwać potrafi, ieśli mu publiczność pomocną zechce podać rękę.

„Nieszczęściem, panowie moi, jest to niezaprzezoną acz smutną prawdą, że się nic nie działa na tym świecie bez pieniędzy: są one równie duszą potęgi, jak narodowej oświaty. Trzeba tedy, byśmy przy tylu innych, nowy, to jest rozumowy włożyli na siebie podatek, a raczej nie sami płacili go obcym. Podam takowy uiszczenia sposób. Dla modnych kawalerów naszych, mniej na rok jedna laseczka, mniej kilka dryndulek (dorożek), mniej nakoniec jedno, nie mówię u Chouvo-ta, ale na Wiejskiej-kawie śniadanie ¹⁾ a więcej jedna polska książka, bo wymagać okrutnej ofiary modnego kapelusza, butów, kamizelki lub

¹⁾ Chouvo-t, głośny wówczas restaurator w Warszawie, mający swój zakład pod filarami na Miodowej ulicy, w domu Dyzmańskiego. *Wiejska-kawa* przy ulicy Wiojskiej, gdzie cały świat modny zbierał się na wyborną kawę z babkami i poncz doskonały, gdyż herbaty nieużywano wcale.

fraka, serca nawet nié mam. Co do pięknych dam naszych, niech każda z nich jedno pióro, jeden bukiet, kilka łokci wstążki, lub jeśli tego wymagać można, jeden kornet rocznie odejmie toalecie swojej i na druki polskie obróci, a ja na tym dla nauk darze chętnie poprzestane, bo nie jestem dość nierozsądnym, dość srogim, bym od nich wymagał ofiary przedmiotów pierwszej potrzeby, jakimi są dla nich koronki i szale.

„Gdybym należał do rządu, przedstawiłbym konieczną ku zasilaniu u nas drukarni ustawę, to jest zabronienia wszelkiej pożyczki gazet, dzienników, pamiętników, nowo wychodzących pism, zgoła téj ich cyrkulacyi, która czyni, że czasem cały powiat jedną obysłkową obchodzi się gazetą, nie myśląc, że ta posyłanka więcéj może na końcu roku kosztuje, niźeliby własna każdego kosztowała gazeta. Niech mi tu wolno będzie przytoczyć ciekawe w tym rodzaju zdarzenie.

„Pewien obywatel niezbyt majątny, lecz uczciwie żyjący, trzymał obie *Gazety Warszawskie* ¹⁾. Na nieszczęście mieszkanie jego nie było od parafii dalekiém. Wnet rozeszła się w okolicy wieść, iż skarb rzadki gazet znajdował się w jego domu. Zatem w niedziele i święta, to ten to ów z sąsiadów odwiedzać go po mszy dla ich czytania zaczął. Gościnność polska nie dozwoliła gospodarzowi na sucho i bez obiadu gości odprawiać. Miał niezłego kucharza i ten liczbę ciekawych pomnożył, która tak z czasem wzrosła, że gospodarz wydołać nakładom gościnności nie mogąc, wyrzec się gazet musiał i o tém *okólnikiem* ostrzedz sąsiadów.

Żeby słowa moje nie zostały się *umarłemu kadzidłem*, chciéj się nad niemi zastanowić prześwietna publiczności.”

Jest to obraz prawdziwy stanu oświaty i literatury peryodycznej. Jeżeli gazety nieobudzały wogóle należnego zajęcia, cóż mówić dopióro o rozprzedaży książek, których autorowie księgarzom darmo oddawali rękopisma, aby tylko ich prace drukowano, ciesząc się tylko pewną liczbą bezpłatnych egzemplarzy. Tak Tomasz Święcki dzieło swe *Opis starożytnéj Polski* w dwu tomach, któremu wiele lat życia poświęcił, oddał księgarzom Zawadzkiemu i Węckiemu za sto bezpłatnych egzemplarzy po wydrukowaniu.

Jeżeli oceniano krytyczne artykuły *Świśtka* i u rozsądniejszych znajdowały należne uznanie, od pierwszego ich wszelako pojawienia się, coraz więksha mnożyła się liczba jego nieprzyjaciół, któremi pogardzać nie należało, bo we wszystkich sferach naszej społeczności, takowych nie brakło. Ale co ich do najwyższego gniewu i zaciętości przeciw Potockiemu oburzyło, to gdy przedstawił nocne posiedzenia wielkiej kapituły orderów *niedźwiadka* i postęp w dalszym rozwoju tego stowarzyszenia ciemnoty, wstecznicstwa i zgubnych dążeń zaczął opisywać. W tém szerokiém malowidle nie brakło ustępów i wprowadzonych

¹⁾ Wychodziła wówczas *Gazeta Warszawska* i *Korrespondent Warszawski*.

działaczy w podobieństwie do żyjących jednostek, z których autor brał wzory swoje; ztąd tém większa zawiść i chęć utajonej zemsty. Jako uczeń Konarskiego, zwolennik postępu, przewidujący przyszłość, śmiały w środkach mających na celu usunięcie średniowiecznych instytucji, które już oddawna czas swój przeżyły, Potocki wraz z arcybiskupem Malczewskim wyjednał w Rzymie pozwolenie na zniesienie zakonów w Królestwie, a chcąc krok ten przed opinią publiczną usprawiedliwić, ogłaszał w tym duchu pisma, w których myśl swą nieraz za dobitnie przedstawiał. Skorzystali z tego potężni jeszcze stronnicy dawnego stanu rzeczy i okazawszy pomienione pisma jako demagogiczne, postarali się usunąć go z ministerstwa oświecenia i wyznań religijnych. Jakoż w roku 1820 został od tych obowiązków uwolniony, zachowując jednak stopień prezesa senatu, pensyą i głos w rządzie, jako minister stanu, ale dotknięty przez to boleśnie, zaledwie dziewięć miesięcy przeżył los który go spotkał. Umarł ten znakomity mąż i pisarz w dobrach swoich Willanowie pod Warszawą, ulubionej niegdys siedzibie króla Jana Sobieskiego, dnia 14 września 1821 r.

Ale przyjrzyjmy się tej *kapitulie niedźwiadków*, która najwięcej oburzyła całe a liczne stronnictwo *wsteczników*.

Potocki malowniczo opisuje posiedzenia jej nocne, gdy się zagażały „wszystkie dudy *ciemnogradzkie* oznajmiały o nastąpić mającej uroczystości.”

Najciemniejszy pan, wśród urzędników dworu swego i wspaniałego orszaku niedźwiadków, przechodzi przy odgłosie fujar do podziemnych sklepień, gdzie wielka kapituła nań oczekiwała. Za przybyciem powitany został „radosnemi poklaskami, to jest powszechném niedźwiadków mruzeniem.”

Najciemniejszy pan dziękując gorliwym członkom za walkę zaciętą jaką prowadzili, by obalić stugłową hydrę oświaty; wzywa do połączenia sił razem i „z mistycznym kagańcem w jednym ręku, a z drągiem w drugiéj” iść naprzeciw wszelkiego rodzaju oświacie; tych zaś, którym nie zdołamy ust zamknąć kagańcem niewiedomości, ubić świętym drągiem barbarzyństwa, którym nas uzbroiła mądrość ustawy naszej. Pięknym wzór zostawili Gotowie, Hunnowie, Wandalowie, sławnej pamięci naddziadowie nasi. Oni obalili kwitnące nauki i sztuki, a świat pograżyli w ciemności; my, za ich przykładem odnowmy tę szczęśliwą epokę i wzniesmy panowanie nocy na zupełném światła wygaszeniu.”

W dalszym ciągu swéj przemowy, zapowiada odświeżenie i odnowienie *akademii smorgońskiej* i ustanawia order *smorgońskiego niedźwiadka*, mający zdobić doktorów téj akademii i najgorliwszych pracowników głównego zamiaru prześwietnej kapituły. Kanclerz odczytuje szczegóły obrzędu przyjmowania kawalerów orderu smorgońskiego niedźwiadka. Zarazem podaje herb zakonu, którym jest „niedźwiedz stojący na dwóch łapach, nad którego głową jaśnieje ciemna

gwiazda; na drągu wsparty, na piersiach jego wisi tablica z napisem: *Sola nocte salus*. Za podporę herbowi służą dwa nietoperze.

Osnowa patentu zaszczycającego godność kawalera orderu niedźwiadka, brzmiała w następujących słowach:

„Mistrz wielki zakonu smorgońskiego z łaski geniuszu ciemności etc. Chcąc nagrodzić gorliwe i wierne usługi brata NN, zaświadczone nam od najwyższej kapituły, dobrze zapewnieni o nieograniczonym poszanowaniu tegoż ku zastarzałym uprzedzonom i przesądom; względni na dzielną nienawiść jego ku wszelkiemu rodzajowi oświaty i wszelkiemu liberalnemu uczuciu; chcąc uznać w nim ten gruby nierozsądek, który udowodnił pismami lub czynami swojemi: mianujemy go niniejszém, kawalerem *ciemnego orderu niedźwiadka*, ustanowione go pierwszej nocy panowania naszego i chcemy by używał w całej rozciągłości państw naszych prerogatyw, praw i zaszczytów, przywiązanych do tak wysokiej godności. Nadto zalecamy aby był przyjęty ze zwykłemi obrzędami na pierwszym zgromadzeniu kapitularném, które zwołać raczemy.

W Ciemnogrodzie, nocy... panowania naszego...

(podpisano) *Mistrz Wielki.—Kancelarz.*”

Godne uwagi, że Potocki opisując kapitułę swoją, za bratnie i przyjacielskie stany uważa: *mistyczno-romantyczne*. Wyraz *romantyzm* znajdujemy pierwszy raz wypowiedziany w znaczeniu ujemném, gdy spór i walka klasyków i romantyków tak rozgłośna, w siedmiu lat później dopięro wybuchła. Wyrażenia przeto Potockiego dotyczące romantyczności, nie mają żadnego związku z późniejszymi sporami i znaczeniem, jakie wówczas wyraz ten poważny przybrał. Nie poprzestał Potocki na opisie kapituły i orderu, podaje jeszcze dotkliwszy *Traktat pokoju*, który z powodu ważności treści i wyjaśnienia głównego jego myśli, w całości podajemy.

Traktat pokoju.

„Najciemniejszy mistrz Wielki smorgońskiego Zakonu, pan u dzielny Królestwa Kretów etc., swoim i swego Zakonu imieniem z jednej strony; z drugiej połączone stany Mistyczno-Romantyczne, zważając, że Rzeczpospolita w Polsce podnosić się coraz bardziej zaczyna, uważając że rzeczona Rzeczpospolita ustanowiła *blokus* piśmienny, mocą którego niedozwała wstępu do kraju wszystkim płodom mistycznym i gotyckim i że też pod surowemi zakazuje karami, a ich stronników w śmiech obraca; ku wsparciu więc heroicznój odwagi stronników swoich, w odpieraniu haničbnego jarzma klasycznych, przedsięwzięty wysokie, umawiające się strony, połączyć całą potęgę i czynność swoją, ku obaleniu takowój samowolności i zniszczenia poczwórnego panowania, które sobie w Polsce przyjaciele rozsądku i smaku przywłaszczają; kiedy za pomocą klasycznych przepisów, ciążą nad przyrodzoną wolnością tych, co w zupełnej pragną żyć ciemności, jako téż i tych,

co podają łatwe środki zmienienia niewiadomości w umiejętność, szaleństwa w geniusz, a to pod zasłoną transcendentalnej niezrozumiałości swojej. Tak szlachetnemi powodowane przyczynami, powyżej wymienione wysokie strony, ku wzajemnemu wsparciu i korzyści, zamysłuły zawrzeć nierozzerwany związek i wieczne między sobą przymierze.

„Do ułożenia i podpisania takowego, układające się wysokie strony mianowały następujących pełnomocników: Najciemniejszy Pan Mistrz Wielki Smorgoński etc., mianował pana Maćka Ryłę Lizitapę, wielkiego urzędnika szanownego orderu Smorgońskiego niedźwiadka, i wielkiego kanclerza tegoż, tudzież pana Mysia Kyryła Bazgrajło, komandora rzeczonego orderu i ministra spraw zewnętrznych. Wysokie zjednoczone stany Mistyczno-Romantyczne, mianowały pana barona Transcendentalskiego, członka tajnej rady, prezesa najwyższej rady niezrozumiałości, tudzież pana barona Indywidualewicza, członka rady stanu i prezesa w wydziale historycznego zawrotu, którzy zamieniwszy swoje pełnomocnictwa, zgodzili się na następujące artykuły:

§ 1. Wysokie umawiające się strony przybierają tytuł konfederacyi Gocko-Sarmackiej, w skutek której, każda strona zobowiązuje się do ćmienia lub gaszenia wzrastającej oświaty i do wspólnej w tém sobie pomocy.

§ 2. Wysokie Mistyczno-Romantyczne stany przyrzekają nie- złożyć pióra, dopóki literatury polskiej do takiej nieprzyprawdzą zawitości, że się Polacy między sobą rozumieć nie będą. Zakon zaś smorgońskich niedźwiadków bierze na siebie obowiązek zmienić dzisiejszą oświatę w gocki sposób myślenia.

§ 3. Za granice przyrodzone światła i literatury polskiego narodu, mają się rozumieć te, w których zostawał przed panowaniem Stanisława Augusta. By się do nich wrócić i w nich wiecznie zamknąć, zakazane być mają nie tylko dzieła i pisma Krasickich, Naruszewiczów, Węgierskich, Trembeckich i t. p. szkodliwych *nowicielów*, którzy nasz język oczyścili z łacińsko-gotyckich conceptów, ale również dzieła i pisma Skargów, Górnickich i Kochanowskich, co zbyt jasną, zbyt czystą, zbyt zrozumiałą pisali polszczyzną. Wszystkie te obłąkania w zapomnienie pójść powinny, a rzeczy być przywrócone *in statu quo*, szczęśliwych czasów rwania sejmów i *liberum veto*.

§ 4. Wysokie połączone mocarstwa przyrzekają zaprzątnąć tym wielkim przedmiotem, nie tylko własne pióra, ale i stronników swoich i wszelkich użyć środków, jakie tylko będą miały ku dostąpieniu tego zamiaru.

§ 5. Zniszczenie nazawsze jasności języka polskiego, jakoteż logicznego sposobu myślenia, biorą na siebie zjednoczone Mistyczno-Romantyczne stany. Co się zaś tyczy czystości jego, staranie o tém powierzonym będzie jak dotąd, pewnym co *trzechdniowym pisarzem*, co tak pomyślnie około tego oddawna pracują.

§ 6. Zakon niedźwiadków mianowicie, zatrudni się obaleniem dzisiejszego, a tak szkodliwego w Polsce młodzieży wychowania, z któ-

rego najwięcej szerzy się powszechną oświaty zaraza. Do dopięcia tego zamiaru, obecnie Zakon obiecuje użyć wszelkich środków, jakie mu tylko ustawa jego ku temu wskazuje. W czém, jako we wspólnej sprawie, zjednoczone Mistyczo-Romantyczne stany najdzielniejszą przyrzekają pomoc.

§ 7. Nakoniec obie wysokie strony zobowiązują się święcie przykładać całemi siłami do wykonania wszystkich artykułów niniejszego traktatu, a to imieniem rozumu, smaku, światła i honoru swego.

§ 8. Obecny traktat ma być zatwierdzony i wymieniony w przeciągu dni dziesięciu, lub prędzej, jeżeli być może.

Działo się w Ciemnogrodzie, nocy dziesiątej etc."

Następują podpisy.

"Po przeczytaniu traktatu, kanclerz uczynił krótkie lecz ważne uwagi nad korzyściami jego; między innemi powiedział: „wszystko wróży że wojna między klasycznymi a mistyczo romantycznymi zaciętą będzie. Zważając pierwszych potęgę i już odniesione przez nich korzyści, przewidział Najciemniejszy Pan, że zwykłą sobie przenikliwością, że ta wojna zupełnym zniszczeniem romantycznym zagraża, jeśli im Zakon nasz pomocnej nie poda ręki; ztąd myśl wielka zawartego z nimi sojuszu, którego zatwierdzeniem przyozdobić dzisiejsze zgromadzenie nasze, Najciemniejszy Pan przedsięwziął w głębokiej swojej mądrości."

"Potém kanclerz przybliżywszy się do tronu, podał kłęczący gotową już ratyfikacją do podpisu Najciemniejszemu Panu, po dopełnieniu której i wręczeniu jęj Mysiowi Bazgrajle, ministrowi spraw zewnętrznych, Najciemniejszy Pan, wielkim urzędnikiem orderu Smorgońskiego mianować go raczył, w nagrodę wyświadczonych przez niego przysług w układach niniejszego traktatu. O odbyło się natychmiast przyjęcie jego, podług przepisanych obrządków, poczem Wielki mistrz odroczywszy zgromadzenie, w téjże okazałości w której przybył, wśród oklasków mruczających niedźwiadków, wrócił do królewskiego mieszkania swego."

Cały opis téj wielkiej kapituły kawalerów niedźwiadka, jęj posiedzenia, traktat pokoju w którym ostrą satyrą dociął niejednemu z ówczesnych nawet dygnitarzy; obraził zarazem współpracowników gazet pod imieniem *trzydniowych pisarzy* i samych ich redaktorów, gdyż wówczas trzy razy na tydzień gazety wychodziły. Zaledwie się rozszedł ten zeszyt *Pamiętnika* po rękę czytelników, żartownisie i złośliwi, u wielu osób odszukiwali orderów *niedźwiadka*, nieraz ich poszukując pod frakiem, kamizelką lub klapą surduta, czy nie są przypadkiem ukryte. Ztąd gniewy większe, spory gorętsze, do grubijańskich spotkań przychodziło. Było i kilka pojedynków, które się skończyły na lekkich na szczęście ranach, ale śmiertelności nie powiększyły.

Z wielkiej liczby obrażonych, lub dotkniętych ciężko przez *Swistka*, jeżeli się sami czuli zaślębami, do wystąpienia przeciw autorowi

zajmującemu w kraju tak znakomite stanowisko, podszczuwali wyższe osoby, dygnitarzy nawet zarówno świeckich jak duchownych, starając się *Swistka* przedstawiać ciągle w jak najciemniejszych kolorach. Tak podszepty, kłamstwa i oszczerstwa, doszły w ostatku do zamierzonego celu, bo *Swistek* padł ich ofiarą. Utraciwszy wydział tyle ukochany przez niego, *Oświecenia publicznego*, usunięty od przeważnego działania na tém polu, po utraceniu godności ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego, złamany smutkiem, spełnił kielich goryczy z rezygnacją, ale go rychłym zgonem optacił. Co na pociechę, dla ludzi zacnych i szlachetnego sposobu myślenia pozostało: że wkrótce po śmierci Potockiego, cała społeczność nasza oddała należny hołd jego zasługom, i cześć pamięci znakomitego męża: portrety jego w stalorytach i litografowane rozchwytywano skwapliwie, zawieszano je na głównych ścianach pomiędzy wizerunkami: T. Kościuszki, Henryka Dąbrowskiego, Krasińskiego i Staszica. Ztąd widzimy, że pomimo treści poważnej, naukowej, nieraz suchej i wstrętnej dla ogółu czytelników, miał *Pamiętnik Warszawski* działa swoje, które żywo ogół zajmowały, a nawet poruszały ich namiętności. *Swistek* to je wywoływał, jak znowu dział poetycki tego organu, wabił i przynęcał, bo zwolenników gorących do utworów poetycznych, niebrakło w owe czasy w naszej społeczności, którzy każdym udatniejszym co się zjawił, pieścili się, odczytywali wielokrotnie, a przepisując uczono się na pamięć. Takiego przyjęcia doznawały prawie wszystkie poezye Kazimierza Brodzińskiego, Antoniego Góreckiego i niektóre Kantorbergo Tymowskiego.

Pamiętnik Warszawski przez ciąg siedmioletni swego istnienia, obejmował we wszystkich kierunkach nauki; zaczynając od matematyki, szły: historia naturalna, fizyka, chemia, technologia, gospodarstwo wiejskie, nauka lekarska, filozofia, moralność, psychologia, nauka prawa, prawo publiczne, prawo cywilne, ekonomia polityczna i administracja publiczna; instrukcja i pedagogia, sztuki piękne, lingwistyka, dramaty, gramatyka polska, literatura i krytyka, powieści, synonimy, bibliografia, nowiny literackie, poezya liryczna, poezya dramatyczna, poezya dydaktyczna, bajki i powieści; poezya heroiczna, epigramata i poezye drobniejsze; podróże i etnografia, statystyka, numizmatyka, historia polska, żywoty polaków, historia powszechna i rozmaitych narodów, dyplomacya i doniesienia.

Z tego wyliczenia widzimy, że *Pamiętnik* około czterdziestu działów naukowych liczył, które pragnął wypełniać, na co miał zawązkie ramy, bo tylko pięć arkuszy zeszyt miesięczny obejmował. Ztąd dostrzegamy jedne działy wydatniejsze jak *Historiją polską* i *poezye*, inne bardzo szczerpło reprezentowane, wiele zaledwie dotknięte. I nie mogło być inaczej, zważywszy zakres, tego jedynego na owe czasy organu naukowego, który pomimo całej swój wartości i starannej redakcyi, coraz mniej licząc prenumeratorów, po siedmiu latach istnienia, przestał wychodzić. Wydawcy Józef Zawadzki i Węcki, jakkolwiek mieli

rękopisma wszystkie bezpłatne, niemogli z prenumeraty wyciągnąć funduszu na opłacenie tylko redaktora, sto dukatów rocznie, i kosztów papieru i druku. Główny redaktor *Pamiętnika Warszawskiego* F. Bentkowski, kończąc swój zawód redaktorski, wraz z istnieniem swego organu, w tajemnicy zachowując główne tego powody, w XXI tomie *Pamiętnika* wydrukował tylko *Prospekt do nowego Pamiętnika Warszawskiego*, podpisany przez trzech redaktorów d. 1 listopada 1828 r., Członków Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk: Kazimierza Brodzińskiego, Fryderyka hr. Skarbka, J. Karola Skrodzkiego: byli oni oraz profesorami uniwersytetu Warszawskiego. Ci, w tym prospekcie zapowiedzieli wychodzenie dalsze *Pamiętnika Warszawskiego*, zeszytami po sześć arkuszy co miesiąc, z tym samym celem co dawniejszy, z tą atoli różnicą, że w każdym numerze koniecznie będą umieszczane przedmioty dotyczące się nauki sztuk pięknych, nauk filozoficznych, nauk przyrodzonych.

Ale ta zmiana i głośnie w kraju imiona redaktorów nowego *Pamiętnika Warszawskiego*, niewiele mu pomogły. Ma papier piękniejszy, druk staranniejszy, artykuły wyborowe, ale nie pozyskał większej liczby prenumeratorów. Cztery zeszyty tom składały, takich tomów wyszło tylko sześć, a główni kierownicy, widząc ogólną obojętność na ten organ naukowy, musieli go zamknąć; trudno bowiem pisać darmo, pracując około wydawnictwa darmo, z własnej kieszeni dokładać fundusze na zapłacenie druku, papieru i intrologatora. Od téj pory nazwa *Pamiętnika Warszawskiego* utrzymująca się od pierwszych lat naszego stulecia, pod redakcyami Fr. Dmochowskiego tłumacza *Iliady*, Ludwika Osińskiego, Feliksa Bentkowskiego, i trzech członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk, już więcej nie odżyła i należy tylko do wspomnień historycznych.

V.

Bruno hr. Kiciński.—*Tygodnik Wileński*.—*Pamiętnik Lwowski*.—*Batrachiomachia*.—*Przemiany Owidyusza*.—*Rinaldo-Rinaldini*.—*Tygodnik polski i zagraniczny*.—Antoni Górecki.—Przedmowa *Tygodnika*.—Oburzenie prasy Warszawskiej.—Treść *Tygodnika*.—*Przypadki wojenne przyjaciela pokoju*.—A. Góreckiego bajki i poezye.—Ferdynand Chotomski.—*Eneida* trawestowana.—*Poemat Pojedynek*.—*Parnas Polski*.—L. Osiński.—Józef Brykoczyński.—Teodor Morawski.—Kiciński w r. 1821 zakłada *Kuryera Warszawskiego*.—Odstępuje go Dmuszewskiemu.—Opuszcza Warszawę.—*Tygodnik Wanda i Pamiętnik zagraniczny*.—Korrespondencya Br. Kicińskiego z Joachimem Lelewelem.—Spotkanie, Sen i śmierć.

Po siedmiu latach istnienia swego, *Pamiętnik Warszawski* pod redakcyą F. Bentkowskiego położył tę zastugę, że wśród grobowego milczenia literackiego, pobudzał do czytania, i grono miłośników literatury ojczyźstęj znakomicie powiększył. Stało się nawet modą współ-

czesną, że w towarzystwie osób więcej wykształconych mówiono chętnie o wydatniejszych i więcej zajmujących artykułach tego organu. Zwolna, grono to zwiększonem zostało niemałą liczbą młodzieży ze szkół wojewódzkich, i uczniów świeżo założonego uniwersytetu: a wszyscy to byli gorący zwolennicy literatury krajowej, i piękniejszych jęj objawów.

Jeżeli treść zbyt przeważna *Pamiętnika Warszawskiego*, nie przymnażała mu potrzebnej liczby prenumeratorów dla utrzymania pisma; nie mało się do jego zgonu przyczynił Bruno hr. Kiciński, lubo z drugiej strony, stał się prawdziwym twórcą prasy polskiej literackiej i politycznej. Temu to mężowi musimy poświęcić oddzielny ustęp.

Bruno hr. Kiciński syn jedyny Piusa kasztelana połanieckiego, a słynnego na sejmie czteroletnim mówcy, i Franciszki Cieciszowskiej podkomorzanki łukowskiej; nauki pobierał w Teresianum w Wiedniu, następnie w konwikcie księży Pijarów w Warszawie. Ukończywszy szkoły, czas pewien spędził przy krewnym swoim Joachimie Lelewelu, zkąd niemałe w ukształceniu naukowem osiągnął korzyści. Podówczas wzrastała potrzeba pism peryodycznych. Jedyne pismo naukowe w Warszawie, *Pamiętnik*, tój potrzebie nie wystarczało. Obaj zajęci gorliwie przedmiotami naukowemi, czuli to dobrze, i zamierzili nie szczędzić ku temu swych starań. Wkrótce podała się ku temu dobra sposobność. Lelewel powołany na profesora do Wilna, dał życie *Tygodnikowi Wileńskiemu*, Kiciński zajęty interesami domowemi we Lwowie, zaczął wydawać *Pamiętnik Lwowski*.

Jedynym Kicińskiego ulubionym przedmiotem zatrudnienia była literatura. Posiadając gruntownie języki grecki, łaciński, francuzki, niemiecki i angielski, zajmował się z nich przekładami. We Lwowie z druku jego wyszła *Batrachomachia*, drukował tóż ustępy swego tłómaczenia z *Przemian* Owidiusza.

Z początkiem roku 1816 przybył do Warszawy, i zajął miejsce wówczesnej Komisji handlowej, niezaniebując bynajmniej prac literackich. Tak ukazał się w tłómaczeniu *Rinaldo-Rinaldini słowny bandyta włoski*. Romans ten, dziś cel uśmiechu, nietylko że miał nie słychane powodzenie, bo kilkakrotne jego wydania rozchwywane chciwie zostały, ale ma i tę zasługę, że pobudził do czytania takich ludzi, którzy nigdy w życiu książki polskiej do ręki nie brali. Kiciński przez ten swój przekład nabrał przekonania, jakichto utworów dobierać potrzeba, ażeby ogół rozbudzić z odrętwienia, i uzyskać poważną cyfrę czytelników.

Niebawem kupiwszy dom przy ulicy Gęsiój, założył w nim drukarnią, a z początkiem 1818 roku rozpoczął wydawnictwo pisma p. t. *Tygodnik polski i zagraniczny*. Wychodził on zeszytami w 8-ce z arkusza lub półtora, na pięknym papierze, drukiem nowym i czystym, w okładzinach niebieskich. Jak się różnił zewnętrzną tak i wewnętrzną postacią i układem od *Pamiętnika Warszawskiego*. Gdy ten wyglą-

dał jak stary, zatabaczony nieco i przygarbiony w okularach bakałarz, Tygodnik miał pozór kształtniej, powabnej i żywej Warszawianki.

Całe młode pokolenie piszących otoczyło naraz Kicińskiego radosnym wieńcem. Największą miał pomoc w Antonim Góreckim, stosunek ich związał w Wilnie Joachim Lelewel dawniej. Kiciński odezwą swoją do braci innych pism peryodycznych, oraz zmianą pisowni, wywołał wrzawę w gronie ówczesnych literatów a zwolenników konserwatyzmu. Ztądto Górecki pisał do niego z Wiednia 12 marca 1818 r.:

Bruno Kiciński! przyjacielu lubyl
Z którym mię łączą: wiek młody,
Miłość nauki, swobody,
I święte *Apolla* śluby.

Jeszcze u Tybru był brzegów,
Już wieść głosiła bystremi poloty,
Zwycięstwo twoich szeregów,
Nad stronnikami ciemnoty.

Choć młode wojsko polskie, jednak się nie boi,
Niech i ci staną wrogowie,
Których już nasi złamali przodkowie,
I tak im kroku dostoi.

Tak i ty boju nie lękasz się chwili,
Choćby ci z grobów powstali bez liku,
Co jeszcze przeciw prawdy sztandarom walczyli
W Dmóchowskiego *Pamiętniku!*

Trwaj w męstwie, młodzieńcze drogi,
Wnet z tobą złączę ostrze mojej broni,
Bo jakie Bruno Kiciński ma wrogi,
Te i Górecki Antoni!

Dotrzymał też danego słowa, bo za powrotem do kraju wsparł dzielnie go pracami poetycznemi; nie było też prawie numeru Tygodnika, gdzieby nie mieściły się utwory Góreckiego, a wszystkie były chciwie poszukiwane i czytane przez coraz liczniejszych wielbicieli młodego żołnierza-poety.

Obok Góreckiego stanął wielkich zdolności młody Józef Brykczyński, piszący wybornie zarówno wierszem jak prozą. On w początkach ukazania się pierwszych numerów *Tygodnika* dał Kicińskiemu swój przekład poematu z włoskiego: *Wiadro porwane, Tassoniego*. Artykuły prozą podpisywał „Bywalski” pod wierszami kładł tylko cyfry swoje. Umarł w kwiecie wieku, z niemałym żalem Kicińskiego i jego towarzyszków, których umiał sobie zjednać zgasty pisarz przyjaźń i szacunek.

Jeżeli w prozie odznaczył się Brykczyński, i w wierszu był niepośledni. Przywiodę tu jego bliskosłowne tłumaczenie *Hymnu* angielskiego.

skiego: *God save the King*, śpiewanego dnia 25 października 1809 r. w Londynie, przy obchodzie 50 roku panowania Jerzego III.

„Boże! niech żyje nasz król!
Długo już włada nasz król
Berłem sprawiedliwem,
Pięćdziesiąt lat nami włada.
A monarsze swemu rada,
Pieśń chwały Anglia składa
W dniu tym szczęśliwem!

Narodu swego wolności,
Wielki Jerzy niezadrości
I czci ustaw księgę.
Sprawiedliwość mu rozkoszą,
Ludy w niebo go wynoszą,
Broń, handel i prawa głoszą
Jego potęgę.

Władzę swoją zdobiąc Jerzy,
Cnotę i naukę szerzy.
A na chwały szczyście
Wyniósł się nad króle inne;
My nuocimy dzięki winne
Wielbiąc Bóstwo dobroczynne,
Za króla żyć!

Boże! wspieraj trzy narody,
Późno do wiecznej nagrody
Niech idzie nasz król!
Niechaj słucha w szczęściu trwałem
Jak głosem i sercem całym
Powtarzać będziem z zapalem:
Niech żyje król!”

Tygodnik wychodził co sobota, trzynastcie numerów stanowiło tom jeden, ozdobiony jedną ryciną kolorowaną i dwiema nutami. Kiściński oznaczył honorarium dla autorów, za arkuusz pisma oryginalnego złp. 30, przekładu złp. 15; wypłacone zaraz po przyjęciu przez Redakcyę.

Pierwszy numer tego pisma, na które społecznosc oczekiwala niecierpliwie wyszedł 3 stycznia 1818 r. Na czele czytamy ciekawą i zajmującą odezwe Tygodnika do swoich starszych braci, innych pism peryodycznych, która przywodzi, jako wybornie malującą chwile występu nowego organu, w szranki literackie:

„Słaby jeszcze i wahający się, staje przed wami, starsi bracia moi, może godny tak szanowanego grona, może zbyt śmiały, że się do niego natrętnie wdzieram. Wady i przymioty moje, byt mój nawet, gruba jeszcze przyszłości okrywa zasłona. Czyli jest przeznaczeniem mojem półki księgarni czy sklepów korzennych zajmować, czy z wielką częścią współczesnych kolegów, jak niegdyś Karol V, pogrze-

bowi memu żywcem mam assystować, czy ze ś. p. *Pamiętnikami* Switkowskiego, Dmóchowskiego, Osińskiego i Zagranicznym, co cyprysy swoje laurem uweselili, miłą pamiątkę i żal współziomków poniosę do grobu, wszystko to na łonie Jutra, głęboko jest zakryte. Szanujmy tę noc niewiadomości, która skrzydły swemi kolebkę moję osłania: bo jest pogodna, bo gwiazda nadziei choć z daleka, choć słabo, ale mile błyska: a kto wie, czy jutrzeńka, równie będzie przyjemną. Niejeden z was zazdrości mi pewnie stanu, w którym o losie swoim, jeszcze wątpić wolno. Ale cóż czynić? Trzeba się raz odważyć. Wieć żołnierz, że na polu walki grady śmierci biją, przecież na nią idzie śmiało.

„Musielście słyszeć, Panowie moi! o pewnym roztroprnym człowieku, który wracając do domu, wystawiał sobie zawsze, że go największe czekają nieszczęścia, aby się cieszyć nietylko z pomyslnych wypadków, ale i z klęsk niedoświadczonych: tak i ja idąc przed sąd publiczności, widzę gotującą się nawałność, widzę ostrzące się na mnie w surową krytykę brzemienne recenzentów pióra. W tak drażliwém położeniu raczyło mi podszepnąć doświadczenie:

„Patrz! jak inni ludzie wychodzą! protekcya daje miejsce, protekcya daje talenta!”

Uciekam się więc pod waszą protekcją, starsi Bracia moi, szczególnie pod twoją, szanowna babko, wszystkich pism peryodycznych *Gazeta Warszawska*. Długoletnie utrzymywanie się na teatrze świata, dało ci wielką powagę, Wyrocznio Narodu! Ty, co jedném technieniem nadymasz tysiąc trąb sławy ¹⁾, przyjmij mię za swego klienta; znajdziesz wdzięcznego. Niech sarka zawieść, że nieodstępne wieku przywary i ciebie zaraziły, że zamiast winowin, starodawne przetapiasz dzieje; że się kochasz w dykteryjkach i anegdotach; niech upatrują w tém śmieszność, że zobrzydziwszy sobie stan wdowi, połączyłaś się z *Pustelnikiem* ²⁾, którego plantacya nad-Sekwańskich kwiatów, poprostu w grunt nasz wsadzonych, nie najlepiej się przyjęła... wszakże i w słońcu znaleziono plamy. O wyl! co wszystko odrazu doskonałem mieć chcecie, odczytajcie dewizę jednego z naszych pism peryodycznych: „Nigdy ten nic nie robi, kto się zawsze boi źle zrobić.”

„I pod twoję możną opiekę udaję się, *Pamiętniku Warszawski!* Ty! któremu zarzucają, że przy terażniejszej naukowej temperaturze, często zapadasz na chorobę czczości; pozwól im gdyrać: ja się wszędzie ujmę za tobą (w podobnym razie, podobną pomoc zamawiając sobie).

„A wy, inni bracia! nie bójcie się; nowy przybysz nie pozbawi was chleba: nie walczy on z wami w jednymże zawodzie: ci tylko na niego prenumerować będą, którzy się zechcą zabawić.”

¹⁾ Tylu *Gazeta Warszawska* miała prenumeratorów.

²⁾ *Pustelnik z Krakowskiego-Przedmieścia*. O nim czcztelnik znajdzie ponizéj obszerniejszą wiadomość.

Odezwa ta wywołała dorazu okrzyk niechęci, starych konserwatystów podjurzanych jeszcze przez redakcyę *Gazety Warszawskiej* i *Pamiętnika Warszawskiego*: dolewał téż oliwy do ognia i *Pustelnik z Krakowskiego-Przedmieścia*, który miał licznych swoich zwolenników, dotknięty boleśnie przycinkiem ostrym ale sprawiedliwym; wzmagalo się téż oburzenie na Kicińskiego za nową z jotą pisownię, i wprowadzenie nowój litery *o* z ogonkiem, w miejsce uprawnionego od wieków *a* z ogonkiem, lubo Kiciński miał za sobą słuszność idąc za brzmieniem samém téj litery. Wrzawa ta bynajmniej nie zaszkodziła, raczój dopomagała licznój prenumeracie. Kiciński żartował sobie z téj wrzawy, a na czele każdego numeru, dawszy klisz jak się psy gryzą, gdy z dachu chlówka kot na nie mruczy i parska, śmiało szedł naprzód. I ten klisz był powodem obrazy przeciwnego obozu. W zjadłości kundli, dopatrywano się ludzi, których *Tygodnik* miał na myśli, w *kocie* widziano samego *Brunona*.

Ogół publiczności rzucił się chętnie do prenumeraty *Tygodnika*, wnosząc złp. 50 rocznie, półrocznie 27, kwartalnie złp. 15. Pierwsze zapisy dały z górą 2,000 prenumeratorów: cyfrę niestychaną na owe czasy, a ta liczba chociaż powoli, zawsze następnie wzrastała. Kiciński pierwsze zeszyty *Tygodnika*, w podwójnej edycji drukować musiał, niespodziewając się tak znakomitój liczby prenumeratorów. Rosło grono zwolenników tego pisma, bo dotrzymywało naprawdę co przyrzekło w swoim prospekcie, że chce bawić swoich czytelników. Jakoż treść lekka, odpowiadała swemu zadaniu. Proza, w feletonowym podawana sposobie, wabiła niemniej jak powieści, pojawiające się pierwszy raz w prasie polskiej w tak szerokich rozmiarach. Zaraz w pierwszym tomie dał *Kiciński* wyborną humorystyczną powieść, z niemieckiego tłómaczoną p. n. *Przypadki wojenne przyjaciela pokoju*, którą wrywano sobie z rąk do rąk, a sędziwe polonusy brali się za boki od serdecznego śmiechu.

Owóz treść w krótkości téj humoreski. Kandydat teologii, 39 letni *Ferdynand*, narzeczony pięknej *Fryderyki* od lat dziewięciu, w dniu swych urodzin zaczynających rok 40 życia, smutno dumal w swojej izdebce na poddaszu w Berlinie, gdy otrzymał pocieszający list od swego opiekuna, że ten mu wyjednał posadę pastora, u jednego z hrabiów możnych pod Magdeburgiem, wzywając go zarazem ażeby co rychlój przybywał; biegnie przeto do swój *Fryderyki*, uwiadamia o niespodzianém szczęściu i nadziei blizkiego się z sobą połączenia, a dostawszy do chwilowego użytku wołancik i żwawego konika wyrusza w drogę. Przed wyjazdem jednakże, pewny że w tych czasach wojennych, był to rok 1806, wojska pruskie w puch rozbiją Francuzów, napisał kilka pieśni w téj myśli, wnosząc okrzyk zwycięstwa! Tymczasem w drodze smutne nadbiegły wieści. Bohaterskie pruskie wojska pobite zostały. Książę Brunświcki poległ, Belendorf dostał się do niewoli: gdzie sam król, niewiadomo. Gdy stanął przed karczą, gdzie się wojskowi i lud wiejski zbierali, wieści coraz smutniej-

sze dochodziły, a na dobitkę niedoli doktora filozofii i kandydata teologii, wolancik jego z koniem, huzary pruskie zabrały, dla przewiezienia do lazaretu ciężko rannego wachmistrza.

Termin nadchodził przedstawienia się hrabiemu w Magdeburgu i objęcia posady pastora; nie było czasu do namysłu: wzięwszy więc kij, ruszył drogą wskazaną. W drodze wszakże spotkał znajomego sobie z Berlina porucznika, który z półkompanią swoją po rozbiciu, cofał się spiesźnie. Od niego powziawszy wiadomość że Francuzi już zajęli Magdeburg, chętnie przystał na propozycją porucznika, ażeby przy jego oddziale został kapelanem. Przybliżało się téż dwu dragonów z oficerem swoim i czterech trębaczy. Porucznik w radości że się oddział jego tak wzmacnia, zamyślał zrobić dywersyą armii francuzkiéj. Z tego powodu kapelana zamianowawszy swoim adjutantem, dał mu stosowany kapelus, granatowy mundur, pałasz i konia. Wśród tryumfalnego marszu otrzymano wiadomość że Francuzi już Berlin zajęli. Wódz przeto naczelny, pan porucznik armii pruskiéj złożonej ze stu piechurów, kilkunastu jeźdźców z trębaczami i oficerem dragonów, postanowił przerznąć się przez bataliony, szwadrony i baterye francuzkie. W marszu p. porucznik mówił do oficera dragonów i adjutanta, gdy stanęli w ubocznej wiosce:

— W saméj rzeczy działał z tyłu na nieprzyjaciela.

To wyrzekłszy uśmiechnął się, jakby chciał dać poznać, iż prawdziwie wiele przez to rozumiał.

— Dałby to Bóg, odpowiedział naczelnik jazdy, gdyby on nie zechciał nam jutro działać z tyłu!

„Na to wspomnienie zimno mię wskroś przeszło, bo naturalnie pomyślałem o swoim.

Usłyszeliśmy nagle wystrzał:

Dobosz uderzył w bęben, czterech trębaczy grzmiało jakby o zakład. Naczelnik jazdy zbladł jak chusta. Ja dla pokrycia strachu, który mię całkiem opanował, krzyczałem co sił w gospodzie: *Daléj bracia! daléj niezwycięzeni Prusacy!* i szukałem drzwi, ale nie wiem jakim się stało sposobem, porwała mię nagła ślepotą, nie mogłem znaleźć drzwi. Wpadłem do szafy gospodyni, i tam coraz głośniejsz wołałem: *Dzielni Prusacy! idźcie zamnąć, śmiało na nieprzyjaciela!*”

Uspokoiło się zamieszanie, a nasz pastor otrzymał rozkaz z 20 ludźmi ruszyć ku cmentarzowi.

Adjutant spełnił polecenie.

„Gdyśmy się zbliżali do cmentarza, nagle mi się coś w oczach zaćmiło: ujrzałem stary mur nichem obrosły, na którym jakieś chwasty powiewały. Wziąłem mur za Francuzów, a powiewające chwasty za bagnety. Odkroczyłem na bok i zawołałem głośno: *Ognia!*”

Dopiero po prochowej błyskawicy, poznaliśmy że walczymy z murem.”

— *Pardon! pardon!* zawołało kilka głosów i siedmiu ludzi z francuzkiej piechoty wylazi z pod muru, pod który się ukryli i złożyli broń przed *Magistrem bonarum artium*.

Zaledwie z wioski zajmowanej wyszli, ujrzeli wojsko francuzkie rozstawione w dolinie; porucznik armią swoją rozwinął w ordynku, na prawém skrzydle pod gruszką, stał nasz pastor adjutant: nagle zagrzmiały działa, kula jedna przeleciała.

„Wtém wpadła druga kula, mój *Bucefal* dziwił się już nad pierwszą, ale za drugą zaczął dzielić pomieszanie swego pana.

Teraz zaczął się ogień z ręcznej broni. Osobne oddziały jazdy zbliżyły się ku naszemu skrzydłu. Zawołałem: Ognia! Zasunąłem kapelusz na oczy i pomyślałem sobie: niech was Bóg ma w swojej opiece. Chciałem się wrócić w tył do wioski, ale nim potrafiłem zwrócić moją twarzą w pysku szkapę. dali ognia posłuszni mi żołnierze. Nie mniej odemnie, zląkł się tём mój rumak, wspiął się w górę i porwał mię na sobie. Trzech strzelców konnych francuzkich razem do mnie strzeliło, ale widząc że nie spadł, widząc jak z dobytym i podniesionym pałaszem, jak błyskawica wpadam na nich, zwrócili konie i drapnęli. Trzymałem ja wprawdzie pałasz w prawej ręce, ale trzymałem nią także i kapelusz bojąc się żeby mi z głowy nie zleciał, co może mi bohaterską postawę dawało.

„Mój pegaz mimo wędzidło i cugle, włożył głowę pomiędzy nogi, i jak szalony leciał na nieprzyjaciela. Kłąłem, płakałem, krzychałem Stój prru! prru! daremnie! Wnajtęższym galopie ruszał zemną. Strzelcy wpadli na krętą dróżynę koło zarośli, ja za nimi prawdziwie mimowolnie. Widząc że im już jestem na karku, przełknieni nieprzyjacielem, raz wraz dawali ostrogi zmęczonym koniom, a mój Rossynant raz wraz podwajał swoje skoki. Zapewne musieli mię uciekający mieć za tęgiego zucha, poprzysięgłego wydrzeć im życie, bo co moment oglądali się na mnie, z oznakami przerażenia. Gdyby tём mogli wiedzieć co się z mną działo!

„Gdyśmy skręcali ku krzakom, wpadliśmy na równinę, gdzie stał obóz francuzki. Tu spadły mi z nóg oba strzemiona. Znikli uciekający przedemną, kilku żołnierzy wymierzyło i strzeliło do mnie. Mój rumak trafiony padł na bok, a ja wraz z nim jak długi!”

Tak więc bohater dostał się do niewoli, a jako oficer sztabowy, przyjęty gościnnie w obozie francuzkim, przeprowadzonym został wraz z innymi do głównej kwatery dowodzącego generała. Osadzony w domku jednym, szczęśliwie wydobywa się z niewoli, w ucieczce szczęśliwszym jeszcze sposobem pozyskuje koczyk i grube pieniądze, odnajduje ukochaną Fryderykę i po doznanych przygodach, kupiwszy sobie wioskę, z drogą małżonką osiada na gospodarstwie, już w granicach Polski.

Powieść ta, zajmując kilka numerów *Tygodnika*, wielce się podobala czytelnikom naszym. Główny bohater był Prusak, a bohatérstwo jego z tak ironicznym dowcipem przedstawić umiano, że bawiono

się niém szczerze. Jakkolwiek redaktor wydrukował, że tłómaczył z niemieckiego, ale znalazł wielu niedowiarków, którzy temu śmiało zaprzeczali. Pomysł całej powieści wyborny, opowiadanie pełne dowcipu i humoru, styl lekki, feiletonowy, wszystko wskazywało, że ten utwór musiał wyjść z pod pióra wesołego Francuza. Jakkądz, powieść ta dała szeroki rozgłos *Tygodnikowi* Kicińskiego.

Z upodobaniem czytano drobne utwory poetyczne Antoniego Góreckiego, pomieszczane w *Tygodniku*, szczególnież téż jego *Bajki*. Różniły się one wielce od ulubionych *Bajek* Krasickiego, które każdy umiał na pamięć, gdyż uczył się ich w szkołach i dobrze zapamiętał. Góreckiego wabiły świeżością pomysłu i szczęśliwém zastosowaniem do jednostek naszej społeczności. Weźmy niektóre naprzykład.

Butelka z szampanem.

Raz w zimie podczas balu, butelka z szampanem,
Stojąc przed pewnym jasno oświetlonym panem,
Robiła sobie ztąd drwinki,
Że dwie z wodą karaŃki,
Jakby dla ochłody latem,
Stawiono przed literatem.
A gdy nie przestawała,
Tę odpowiedź otrzymała:
„Nie chlub się z tego, czago nie jesteś przyczyną:
Nie ciebie tu szanują, ale w tobie wino.
I zatrzymaj się trochę z humorem wesołym,
Bo jak wino wypiją, będziesz stać pod stołem!”
I ty Janie żeś bogaty,
Dlatego teraz pospołu
Siadasz z panami do stołu;
Ale jednak nie gardź nami:
Jak wydasz wazyatkie dukaty,
Będziesz stał u nich za drzwiami!

Kogut i kokoszka.

Raz na folwarku, w południowej dobie,
Młody kogutek zaczął śpiewać sobie;
Wtém stara kokosz, dobra jego żona,
Wpadła nań z wrzaskiem zadarłszy ogona:
„A zgiń ty duszo z ozulości wyzuta!
I idź tam śpiewać, gdzie na świat osobny.
Gdzieś ty przekłety, krzykunie, podobny
Do nieboszczyka mojego koguta!
Co to bywało i bił się waleoznie
I z żoną swoją obchodził się grzeoznie!

Nieraz choć wieczór nadchodził,
 A gdym ja spała, on na palcach chodził;
 A ty mi wrzeszczysz tutaj nad uszami,
 Gdym ja zajęta ważnemi myślami!"

Tak go prosiła, on nic nie powiedział,
 Stulił skrzydełka i cichutko siedział,
 Kończąc piosnkę temi słowy:
 „Broń Boże, być mężem wdowy!"

Rum i woda.

Zawsze z wielką pogardą mówił rum o wodzie,
 Ta milczała; wtém pożar zajął się w gospodzie:
 „Ach! przyjaciółko! krzyknął rum w tę porę,
 Ratuj mnie, wodo, bo bez ciebie zgore!"
 Woda, nie biorąc z tych ludzi przykładu,
 Co w mściwém sercu, pełni złości, jadu,
 Kiedy się z swoim sąsiadem pokłóca,
 Choć mu dom ginie pożaru zdarzeniem,
 Oczy i ręce od ognia odwróca,
 Ciesząc się przyszłém bliźniego zniszczeniem:

Ani z pośpiechu usługi
 Wzorując publiczne sługi,
 Co w pewnej znanój stolicy
 Wtenczas przywożą sikawki,
 Gdy ogień nie dla zabawki
 Porwie połowę ulicy.
 Nasza woda bez hałasu,
 Nie tracąc na krzykach czasu,
 Wpadła pomiędzy płomienie
 I zgasiła w oka mgnienie.

Tak rum ocalon przez wodę,
 Nauczył się tą pozą,
 By nie pogardzać nikogo
 I wieczną zawarł z nią zgodę.

Ten jego traktat wspaniały,
 Tak jest wiernie dochowany,
 Że teraz w Warszawie całej
 Znajdziesz rum z wodą zmieszany,
 Że rum to fraszka, lecz dlaczegoż w winie
 Wodę napotkać się zdarzy?
 Ja tego nie wiem: trzeba o przyczynie
 Zapytać panów winiarzy.

Oprócz tego rodzaju lekkich utworów, które wszystkim się podobają, a imię Góreckiego ulubioném zrobiły; poeta ten w większych rozmiarach dawał poezye, pomiędzy którymi odznaczały się śpiewy hi-

storyczne. Nie była to wprawdzie myśl nowa, bo pierwszy wzór ich dał J. U. Niemcewicz, w ostatnich latach zeszłego stulecia, ale Górecki podniósł ich wartość, natchnieniem poetycznym i formą artystyczną.

Do takich należą śpiewy historyczne: *Zdobycie wąwozu pod Samosierra*, *Obłężenie Głogowa*. Do nich policzyć należy dumy z 1812 roku: *Pod Smoleńskiem* i *Bitwa pod Berezyną*, gdzie ostateczna klęska rozgromiła armię Napoleona I. Do niego takimi wyrazami zwraca się nasz poeta:

„Ale ty drugi Marsiel gdzie lecisz wybladły?
 Uciekasz, lzy niewinnych na głowę ci spadły;
 Nieszczęśliwy nasz naród ufał ci napróżno:
 Upada dzieło ręką stawione bezbożną.
 Na to ci mały człeczko Bóg miecza pożyczyl,
 Abyś ludy uwolnił, nie trony dziedziczył.
 Stań teraz, dobądź oręż tylekroć zwyciężki!”

Największe jednak wrażenie na ogół społeczności naszej, wywarł wiersz Góreckiego: *Śmierć zdrajcy ojczyzny*. Nie było domu, gdzieby go nie czytano; uczono go się nawet na pamięć skwapliwie. Wiersz ten, oprócz głównej myśli, porywał energiczną a niezwykłą formą, wśród utworów ściśle klasycznych. Godzi się go tu przypomnieć w całej jego osnowie, bo już poszedł w głębokie zapomnienie.

Noc była ciemna, milczenie ponure,
 Lało spokojność na całą naturę;
 Wtém księżyc zajaśniał mile,
 Bo już zbliżały się chwile,
 Kiedy duchy z nieba skrycie,
 Na promykach gwiazdy schodzą
 I gorzkie nędzarzy życie
 Snem łagodzą.

Nad rzeki brzegiem,
 Co bystrym biegiem
 Toczy mętne wały,
 Blyszczy gmach wspaniała:
 Tam, zdrajca kraju obrzydły
 Leżąc, gdzie łoże złociste,
 Czekal, by sen swemi skrzydły,
 Przytulił serce nieczyste.

Ogień w bladawym płomieniu,
 Po kunsztownych lampach skryty,
 Pokazywał w nocnym oieniu,
 Dostatek zbrodnią nabyty.

Starannie przez długie lata,
 Zgromadził tam zbytek złoty;
 Wszystkie niemal skarby świata:
 Niestawało snu i cnoty.

Dwanaście razy brzęk zrodził,
 A sen jeszcze nie przychodził;
 On biegał po małych chatkach
 I przytulał tych w tej chwili,
 Co kiedyś żyli w dostatkach,
 A wszystko za kraj stracili!
 Napróżno wyrodek podły
 Wyglądał na jego przyjście:
 Jak jesienne wędnął liście,
 A smutki serce mu bodły.
 Porzuca wyniosłe łożo,
 Otwiera skrzynie zamkami warowne
 I myśli, że mu pomoże
 Świcznych kamieni błyskanie kosztowne.
 W tém niebo znać dało grzmotem:

Pioruny trzasły,

Ognie zagasły;

Wicher drzwi wyparł z łoskotem.

Wchodzi naprzód księżyc bładny,

A za nim w ślady,

Jakaś poważna osoba:

Na niej żaloba,

Smutna postawa:

Pierś krwawa.

Na takie widmo straszliwe,

Drży zdrajcy serce lęklive;

Widzi, nie wierzy:

Włos mu się jeży!

I krzyczy: „To strachy czyje?

Stój! bo zabiję!”

Ale postać błąda

Nic nie odpowiada,

Idzie tylko z oicha

I wzdycha.

Wtenczas ufny w moc siarozystą,

Porwał zbrodzień broń ogniastą:

Zmierzył, przycisnął,

Ogień błysnął:

Kula zajadła,

Z hukiem wypadła,

Środek postaci przeszyla;

Ale ona wolnym krokiem,

Z miłozeniem głębokiém

Jeszcze bliżej przystąpiła.

Na zbrodnia ramieniu drżącym,

Wspiera się łokciem oziębującym

I odpoczywa.
On mdleje,
Potnieje

I za drugą broń porywa.

Wtém ona do niego rzecze
Głosem takim, jakim ciecze
Słodko strumyk, lutnia brzęczy,
Lub po mogiłach wiatr jęczy.

„Stój! mnie kula nie zabije,
Na waszym świecie nie żyję:
Ojczyzna jestem! ta rana,
Ty wiesz od kogo zadana!

Synu! ty w ciemnym złożyłeś mię grobie,
A ja przychodzę dać ratunek tobie.
Widzę twą duszę smutkiem uciśnioną,
Chcesz spocząć, pójdzem na wieczności łono:
Ja ci przebaczam, bo nie matki czynem
Móció się nad synem!”

Wtém razem wstrzęsły się dachy,
Zadrżały gmachy,
Jękała noc blada;
Przez okno wpada,
Duch czarnej postaci
I rzecze głosem zagrmienia:

„Niemasz, niemasz przebaczenia
Temu, co przelał krew braci!
Pan Przedwieczny, sprawiedliwy,
Stań przed Jego sąd straszliwy!”

Tak zawołał i ponury,
Ciało zbrodnia w łożo cisnął,
Duszę w ciemne porwał ohmury;
Wiatr za nim zawył: grom błysnął!

Forma téj poezji odznaczała się niezwykle! Miara wiersza urywana, stosownie do myśli, podnosiła wrażenie w czytelniku i słuchaczu. Cały utwór, przesiąknięty duchem romantyzmu, nie oburzył klasyków, bo nikt romantyzmu nie brał jeszcze za wroga uwielbianej klasycyzności. Było to pachole niewinne, w powijkach, z których rozwinął je dopiero Mickiewicz, ażeby się wrzaskliwie rozbudziło, a do razu grożąc silną pięścią, świat literacki napełniło strasznym niepokojem.

Obok Góreckiego zjawia się w *Tygodniku* Ferdynand Chotomski, młody, dorodny porucznik, z pułku gwardyi grenadyerów armii Królestwa Polskiego. Wykształcony naukowo, władający łatwo piórem, dowcipny, z humorem, daje się dorazu poznać, jako niepośledni wierszopisarSKI talent. Oprócz ulotnych utworów, przedsięwziął on trawestować *Enejdę* Wirgiliusza; dzieła całego dokonał, mamy je w rękop

piśmie, lubo tylko ustępy z różnych pieśni drukował. A zaczął je ogłaszać w *Tygodniku*. Znakomity akwarelista zebrał około stu widoków, ruin dawnych zamków, pałaców i miejscowości historycznych, które złożył w darze Sybilli w Puławach. Wyszedłszy z pułku, podróżował za granicą; ale nim w obce udał się strony, dzielnie swemi pracami podpierał organ Kicińskiego.

Byłto czas, w którym szczególnież zagaściły się pojedynki. Porzucano dawny poczciwy obyczaj, rąbania się na szable, miejsce ich zastąpiły pistolety, ztąd nieraz zbyt krwawo się kończyły i niejedna rodzina przywdziewała żałobę. Nie brakło zawadyaków i awanturników, którzy umyślnie szukali sposobności, ażeby robiąc drugim nieprzyjemności lub wyrządzając zniewagę, zmusić, ażeby takiego zawadyakę wyzwali. W tém była gra, bo wyzwany miał prawo wybrania broni, a wybierał pistolety, mając przytém drugie prawo pierwszego strzału. Wprawno oka, doświadczonój ręki, daleki od niebezpieczeństwa, zawsze tak się urządzał, że przeciwnika, jeżeli dorazu na placu trupem nie położył, zawsze go zranił i przeto pojedynki zostawały przerwany: poczem następowała zgoda, hojnie oblewana winem przy sutym stole. Sarkała społeczność na te krwawe nieraz zapasy, zzymali się głośno stare polonusy, którzy rozumieli pojedynek, ale tylko na szable: niewiele to jednak skutkowało. Chotomski, bronią żartu zamierzył uderzyć, na ten grzech społeczny. Ułożył i wydrukował poemat komiczny p. n.: *Pojedynek*, w czterech pieśniach i więcej odziałał na ten zgubny popęd junakieryi, niż wszystkie poważne sarkania i krzyki. Każdemu z pojedynekowiczów, co z tego rodzaju spotkań chluby szukali, przytaczano ustęp zaraz z poematu F. Chotomskiego.

„Wspaniały, umieć walczyć i darować!
Zemsta udziałem podłej duszy bywa,
Ucz się jak ludzi honoru szanować:
Nie szukam sławy w współrodaka zgonie!”

Jeden z genialnych krytyków romantycznych, który w kilka lat później wielce wybitne stanowisko w literaturze naszej zajął, Maurycy Mochnacki, wysoko cenik trawestowanie *Eneidy* Wirgiliusza przez Chotomskiego. Rozbierając znaczenie starożytnego klasycyzmu, a kładąc różnicę pomiędzy nim a spaczonym francuzkim, wykazywał, że tylko Grecy mieli w całym znaczeniu literaturę klasyczną, gdyż Rzymianie we wszystkich gałęziach literatury, poezyi i prozy, byli ich ślepyi naśladowcami; że *Eneida* jest niezdarńm przedrzeźnianiem Homera *Iliady* i *Odyssei* i że Chotomski, nicując ją, najlepsze dał świadectwo wartości tego utworu. Trawestowano *Eneidę* w Niemczech i u nas, a nikomu na myśl nawet nie przyszło, w ten sposób dotykać arcydzieł starożytnój *Hellady*. Fakta poświadczały tym słowom, ale zaręczyć możemy, że Chotomskiego bynajmniej nie te wnioski spowodowały do nicowania Marona. Wiedząc, że już w Niemczech

trawestowano *Enejdę*, gdy przedmiot poddawał mu się potem do brze, zabrał się do pracy i wykonał ją z dowcipem i humorem ¹⁾.

Obok tych poetów występuje, lubo bezimiennie Franciszek Morawski i Tymon Zaborowski, który w kwiecie życia samobójstwem dni swe zakończył. Ten, w wierszu p. n.: *Parnas we śnie*, zwiedza parnas francuzki, ale zagląda i do parnasu polskiego, do którego Woltera prowadzi Krasicki i służy mu za tłumacza. Wielce ciekawy jest obraz tego *Parnasu*, jak go pojmował Zaborowski i kogo na nim umieszczał. Znajdujemy tu wszystkich pisarzy z okresu Stanisława Augusta i z naszego wieku przywimy. Nie znajdujemy ich imion, ale łatwo poznać każdego przez wyliczenie ich zasług. Idą więc szeregiem: J. U. Niemcewicz, L. Osiński, A. Górecki, Fr. Morawski, Fr. Zabłocki, L. Kropiński, Aloizy Feliński. Nie znaleźli pomieszczenia w tym *Parnasie*, ani wieszcz-kapłan Paweł Woronicz, tak wysoko a sprawiedliwie oceniony przez Mochnackiego, ani Kajetan Koźmian, autor: *Ziemiaństwa Polskiego*, ani Franciszek Wężyk, twórca pierwszych historycznych tragedji: *Bolesława Smiałego*, *Glińskiego*, *Barbary*, chociaż cieszyli się w ową porę rozgłośną sławą.

Ze L. Osińskiego uwydatnił postać Zaborowski w *Parnasie polskim*, nie dziwię się wcale, bo do dawnych zasług, jakie położył w przekładach mistrzowskich tragedji Piotra Kornela, kładł nowe, jako profesor literatury, w nowo otwartym Uniwersytecie Warszawskim. Jaki urok wywierał Osiński na swoich słuchaczy, najlepiej dowodzi artykuł J. Brykczyńskiego p. n.: *Literatura*, drukowany w *Tygodniku* (t. IV, 1818 r.).

„Gdy widzę Osińskiego (pisze on) z całą mocą męskiej wymowy, męskie Greków i Rzymian malującego obrazy, gdy wzrokiem i poruszeniem przelewa w słuchających własne natchnienie; gdy z drugiej strony w tychże słuchających, widzę osoby zasługą, dostojnościami, nauką zaszczycone; jak wszystkich wzrok zawieszony na ustach mów-

¹⁾ Blumauer Aloizy, poeta niemiecki (ur. 1735 † 1798 r.), z początku jezuita, po zniesieniu zakonu został cenzorem. Byłto ulubiony poeta austriacki, podczas dziesięcioletniego panowania cesarza Józefa II i poezye jego noszą na sobie cechę owej epoki reform. Umieszczał je najprzód w *Wiener Musen-Almanach*, który łącznie z Raschky'm od r. 1781 wydawał. Są one pełne dowcipu i ognia, a język w nich piękny, czysty i męzki. Na polu poezyi komicznej i żartobliwej, najslawniejszą jest *Enejda* trawestowana, tryskająca dowcipem i satyrą, lubo nieraz obrażająca uczucie szlachetniejsze. Chotomski uniknął tego zarzutu, nie braknie mu dowcipu, ale trzyma go zawsze w granicach przywoitości i smaku. Niemiecka trawestacya wyszła dopiero w Krakowie 1834 r., drukowana w polskim gładkim przekładzie p. n.: *Enejda Wirgiliusza przewrócona* (Chotomski swoje *Enejdę* nazwał później lepiej, *przenicowaną*), przez Blumauera z niemieckiego na polskie, przełożona przez S. B. Kraków. Nakładem i drukiem D. E. Friedleina, 1834 r. (w 16-ce, str. 244).

cy, a natężona uwaga, nie chcąc stracić jakiej piękności, każdy wyraz z chciwością chwyta: w tém uniesieniu zdaje się, że w najświetniejszych Grecyi chwilach, pod portykami Aten dumających, spostrzegam mędrców i z trwogą z świętych już się chcą cofnąć podwoi. Lecz gdy tenże mówca rozwinie najdelikatniejsze piękności polskiego języka, który w ustach jego nowęj nabiera słodyczy; gdy słuchaczów najszlachetniejszym wzruszywszy uczuciem, obraca się do dam pilnie go słuchających, w obronie języka, któremu dopiero co tyle nadał wdzięku, a oddając go pod ich opiekę, w jego zachowaniu i udoskonaleniu wskazuje im część powinności obywatelskich, Polkom zawsze tak miłych i nigdy próżno nie przypominanych: wtedy wszystkie oczy zdają się podawać sobie uczucie szczęśliwych nadziei, że wkrótce będzie mógł naród nasz, nie tylko chlubić się imieniem, ale i językiem swoim."

Zaprawdę, w tym obrazku Brykczyńskiego, nie masz najmniejszej przesady. Kto przypomni sobie owe prelekcye co sobota, poobiedne Osieńskiego, i zebrany tłum ze wszystkich warstw społeczności polskiej, jak chciwie chwytał każdy wyraz, z ust jego harmonijnie wypływający; przyznać musi, że dzisiejsze publiczne odczyty, ani z takim zapałem nie są przyjmowane, ani takiego wrażenia nie wywierają, co z katedry odczytana prelekcya Osieńskiego.

Tygodnik Kicińskiego, nie tylko zalecał się działem poetycznym, ale i wyborową prozą: a głównym w tym dziale współpracownikiem był wzmiankowany J. Brykczyński, który w krótkich rozprawkach, pisanych lekko a zajmująco, chwytał najwydatniejsze przedmioty z życia, z bieżącej chwili. To co dzisiejsze tygodniowe pisma, ilustracje i pisma codzienne obejmują pod tytułem: *Kronik tygodniowych, Pokłosa, Silva-rerum, Odcinków, Feletonów*, wypełniał w *Tygodniku* Brykczyński pod pseudonimem Bywalskiego. Czy to koniec lub początek nowego roku, szlichtada świetna, loterya fantowa, reduty, przeglądy teatralne, święta doroczne jak Wielkanoc, Zielone Świątki i t. p; kawa pod *kopciuszkiem*, jarmark, literatura, w ważniejszych objawach: wszystko to brał Brykczyński pod swoje pióro, i oddawał gładko, wdzięcznie i przyjemnie.

Nie unikał i polemiki, ale prowadził ją z godnością i nadzwyczaj uprzejmie. Tak, gdy głośny w owe czasy *Pustelnik z Krakowskiego-Przedmieścia* wystąpił z krytyką *Tygodnika*, Bywalski taką mu dał grzeczną, ale ostro dowcipną odprawę, że staruszek nie znalazł słów odpowiedzi, i wraz z redakcją *Gazety Warszawskiej*, w której drukował swoje artykuły, razem umilknęli.

Tygodnik polski i zagraniczny wsparty młodemi siłami i talentami stał się groźnym współpracownikiem *Pamiętnika Warszawskiego* tak Bentkowskiego, jak później Brodzińskiego i Skarbka. Ubywało im coraz prenumeratorów, którzy ochocho garnęli się do *Tygodnika*, znajdując w czytaniu jego prawdziwie miłą rozrywkę. Kiciński tytuł swego *Tygodnika* w połowie 1820 r. zamieniwszy na *Wandę*, redakcyę do r. 1822 i do tomów XX doprowadził. Wtedy Aloizy Żółkowski słynny

komik teatru i redaktor humorystycznego *Momusa*, gdy ten razem wychodził z Tygodnikiem *Wanda*, takie dał w tém piśmku objaśnienie licznym swoim czytelnikom. „*Wanda* która dotąd leżała w mogile, teraz będzie co tydzień wychodzić na przechadzkę literacką. A że damy nie ruszą się, żeby ktoś za niemi nie szedł, przeto i za *Wandą* będzie laził *Momus*.”

Kiciński rzucając kierunek literacki swój publikacyi przeszedł stanowczo na drogę publicysty politycznego, i w tym dziale niesłychane społeczności naszej oddał usługi. W tymże roku gdy powstał *Tygodnik polski i zagraniczny*, od 1 października 1818 począł wydawać piśmo treści politycznej p. t. *Gazeta codzienna narodowa i obca*; jako wydawcy jój odpowiedzialni wystąpili Kiciński i Teodor Morawski autor *Dziejów narodu polskiego*; drukowanych przed dwoma laty. Piśmo to obudziło z letargu dwie redakcye gazet: to jest *Gazety Warszawskiej* i *Korrespondenta Warszawskiego*. Wychodziły one dwa razy w tygodniu, we środę i sobotę; ażeby zrównoważyć konkurencyą, odtąd cztery razy w tygodniu wydawane były. Publiczność zawdzięczała to Kicińskiemu. *Gazeta Codzienna* w rozwoju swoim dotykała kwestyi więcej żywotnych, politycznych, zwracając głównie uwagę na sprawy krajowe. Organ ten nie wszystkim przypadł do smaku, lubo większość go wspierała. Wówczas oprócz teatru narodowego, z teatrem francuzkim, zaszły zatargi. *Gazeta Codzienna* stała po stronie sceny narodowej, ale niebrakło protektorów dla francuzkiej, i to przeciwnych. Artykuły Skomorowskiego w *Gazecie Codzienniej*, wywołały zamknięcie czasowe drukarni Kicińskiego, oraz postanowienie oddające piśma perodyczne pod cenzurę, której niechcąc ulegać, wołał Kiciński zamknąć swą gazetę; jakoż wraz z numerem 189, w dniu 14 czerwca 1819 skończyła swe życie z niemalą pociechą dwu swych współzawodniczek.

Gazeta Codzienna wychodziła w pokroju in folio, objętości półarkusza, codziennie, wyjąwszy niedziele i święta uroczyste; w poniedziałek, piątek i sobotę, o godzinie czwartej wieczorem, we wtorek, środę i czwartek, o godzinie dziesiątej z rana. Cena prenumeraty w Warszawie wynosiła rocznie złp. 40, na prowincyi złp. 50. Numer pojedynczy groszy ośm.

Na czele każdego numeru mieściły się wiadomości krajowe, jak rozkazy dzienne do wojska polskiego; rozporządzenia rozmaitych ministerjów, postanowienia rządowe; dalej szły wiadomości o posiedzeniach publicznych Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół nauk i przeglądy teatralne. Z wiadomości zagranicznych najciekawsze ze zjazdu w Akwisgranie, oraz wiadomości z wyspy św. Heleny, gdzie pastwiono się nad bezbronnym dostojnym jeńcem Napoleonie I. Nie potrzebujemy dodawać jak one były zajmujące, mówiąc o cierpieniach wielkiego człowieka, przez nikczemnika takiego, jakim był gubernator wyspy św. Heleny Sir Hudson Löwe. Na czele każdego numeru, orzeł

wzlatujący z rozpostartemi skrzydłami z gałązką oliwną pokoju w dziobie, był godłem *Gazety Codziennój*.

Kiciński w ostatnim numerze, żegnając się ze swymi czytelnikami zapowiedział wydawnictwo pisma już nie peryodycznego, p. t. *Kronika drugiej połowy roku 1819*, w stu tomikach; ale po wydaniu jednego tomiku w małej 8-ce, publikacja przerwana została.

Nieustając w swęj pożytecznej działalności, zawiązał nową redakcyą, przyzwawszy sobie w pomoc Józefa Brykczyńskiego i Teodora Morawskiego, i zaczęli z wielkiem publiczności zajęciem wydawać pismo treści polityczno-społecznej p. t. *Orzeł Biały*. W r. 1819 wydał go tomów IV, w r. 1820 tomów IX; na tém redakcyą dalsze wydawnictwo przerwała, wyrażając swe usprawiedliwienie.

W r. 1822 zerwał się raz jeszcze Kiciński do prasy i rozpoczął nową publikacyą p. t. *Pamiętnik Zagraniczny*, w 4-ce; lecz prowadził go tylko rok jeden, i na tém zakończył swe prace w wydawnictwie peryodycznym.

Na rok wcześniej założył nowe pisenko, *Kuryer Warszawski*, którego pierwszy numer wyszedł d. 1 stycznia 1822 r. w formie podłużnej ćwiartki, drobnym drukiem. Prospekt już Kiciński na to pismo ogłosił w dniu 1 grudnia 1820 r. podpisany przez cenzurę rządową, w którym czytamy, że ponieważ każde znaczniejsze miasto w Europie, ma pismo peryodyczne, jego dogodności i zabawie szczególniej poświęcone, Warszawa zaś nie miała go dotąd; lecz gdy teraz jęj ludność coraz bardziej wzrasta, gdy wznoszą się prawie codziennie gmachy, które jęj dalszy postęp wróżą, okazuje się potrzeba takiego pisma. Zaczem *Kuryer Warszawski*, dogodność publiczności za cel sobie obrawszy, postanowił nie mieszać nigdy nauki, nie udzielać nigdzie swego zdania, ale tylko o to się starać będzie, ażeby umieszczać jak najwięcej nowości, opisywać zdarzenia prosto i bez żadnego postrzeżenia; a że ważną bezwątpienia dla publiczności dogodnością jest częste wydawanie i taniosc, *Kuryer Warszawski* postanowił przeto wychodzić sześć razy na tydzień, wyjąwszy sobotę, dlatego, że w tym dniu, oprócz gazet krajowych, wychodziły trzy pisma peryodyczne, to jest: *Wanda*, z dołączoneym *Momusem* Żółtkowskiego i *Tygodnik muzyczny* pod redakcyą Karola Kurpińskiego.

Kiciński rok tylko jeden prowadził *Kuryera*, albowiem w następnym odstąpił go na własność L. A. Dmuszewskiemu, artyście i pisarzowi dramatycznemu za tysiąc dukatów honorarium. Dmuszewski ocenił należycie szczęśliwy pomysł Kicińskiego w utworzeniu takiego pisenka i przyznać mu należy, że on dopiero staraniem swoim i zapobiegliwością potrafił tak *Kuryera* rozpowszechnić, że stał się nietylko ulubionym, ale i niezbędnym pismem dla ludu warszawskiego. Dla niego, wielu z tęj Warszawy ludności naszego miasta nauczyło się czytać, ażeby się tęż dowiedzieć co *Kuryerek* pisze?

Kiciński zebrawszy z *Tygodnika*, *Kuryera* i innych wydawnictw swoich piękną sumkę, zakupił majątnosc Grochów w pobliżu Pragi i tam

się na mieszkanie przeniósł, na wypoczynek, po kłopotliwej pracy w rozwijaniu prasy periodycznej polskiej. Ale w tym wypoczynku niewypuszczał pióra z ręki, zajmował się jeszcze redakcją nowego Tygodnika *Wandę*, jak to widzimy z dwu listów jego pisanych z Grochowa do Joachima Lelewela. Dnia 21 stycznia 1822 r. czytamy: „Nie wiem czy przez zapomnienie, czy dla jakiego innego powodu opuszczono *Wandę* i *Tygodnik Zagraniczny* wychodzący z pod mojej redakcyi w liście pism peryodycznych wychodzących w Warszawie, i na które prenumerata po pocztamtach wileńskich i całego Państwa Rossyjskiego jest przyjmowana. Racz wdać się w to (Lelewel mieszkał wówczas w Wilnie), ażeby moję biedną *Wandę* napowrót prenumerować chciano w Wilnie. Bądź łaskaw, nie zaniedbaj tój okoliczności, która czyni mi na rok do 2,000 złp. różnicy.“ W drugim liście z Grochowa tegoż r. 12 marca, powtarza w tój sprawie swoję prośbę, i załącza list do A. Góreckiego, ażeby go zasilił utworami swego pióra.

Oprócz mniejszych tłumaczeń wykończył przekład *Przemian Owidiusza*, które wydał w trzech wielkich tomach (*Przemiany Owidjusza Nazona, Poema w XV pieśniach z oryginałem obok i z przypisami objaśniającemi*. Warszawa, w drukarni N. Glücksberga 1826 r., w większój 8-ce).

Kiedy zajmował się redakcją pism literackich czy politycznych, głównym punktem zbierania się wszystkich współpracowników był dom rodziców Joachima Lelewela, jakkolwiek samego historyka nie było w Warszawie. Ojciec Brunona kasztelan Pius Kiciński, niegdy szef gabinetu króla Stanisława Augusta, mąż wysoko ukształcony, nader przyjemny w obejściu towarzyskiem, był duszą tych zebrań, wzorem i wabiem dla młodych literatów. Przyjaciele domu Lelewelów niemało dostarczali materiału do *Gazety Codziennój*, *Kroniki* i *Orla Białego*.

Zebrań te młodych literatów, odznaczały się życiem i niezmiernie zajmowały starszych gości. Tu zbiegały się wszystkie wiadomości z pola literatury, nauk i sztuki. Odczytywano listy Joachima, które pisywał z Wilna do ojca i brata swego Prota Lelewela, tu czytano przygotowane artykuły, lub pomysły udzielano do mających się pisać.

Stosunki przyjacielskie od lat kilku łączyły ściśle Brunona z Joachimem. Ze zbioru korespondencyi, zachowanej u Kicińskiego, można widzieć, jak cenił wysoko te stosunki ¹⁾. W liście pisanym do J. Lelewela, z Krakowa d. 11 października 1814 r. wyraża:

Kochany przyjacielu!

„Przeszło dwa tygodnie cieszę się z widzenia najukochańszego ojca, który po miesięcznych odbytych w Krzeszowicach kąpielach jest

¹⁾ Wiele szczegółów co do Kicińskiego i jego stosunków z domem Lelewelów, zawdzięczam łaskawej przyjaźni brata młodszego, wielkiego historyka Joachima, żyjącego Prota Lelewela.

jak najzdrowszy. Teraz jedziemy do Sichowia, wsi dożywotniej ojca mojego, zkąd udamy się do Lwowa, gdzie zpół roku zabawimy. Prawdziwie z rozdartém sercem opuszczałem Warszawę. Wdzięcznością moją jedynie odplacić potrafię te dobrodziejstwa i łaski, których tak liczne dowody w domu państwa odbierałem, a które wiecznie w mej duszy tkwić będą."

Za przybyciem do Sichowia pisze z radością d. 18 października 1814 r.:

„Już piąty dzień jesteśmy w Sichowie. Zastałem w pakach książki ojca mojego. Będzie można z nich porządną bibliotekę ułożyć, bo ich przeszło 1,300. Wiele jest książek polskich tyczących się historii najnowszych czasów: prawie wszystkie *Kroniki*, a wiele takich dzieł w ojczystym języku bardzo ważnych do starożytności ojczystych, już do historii rewolucyi, o których ani wzmianki niema w literaturze Bentkowskiego. Jednak zbywa mi na wielu dziełach. A zatem proszę cię panie Joachimie, ażebyś mi niektórych w Warszawie nakupował. U Bawera możesz wszystkiego taniiej dostać niż ja we Lwowie. Posyłam ci więc dukatów dziesięć i proszę cię abyś mi nakupił dzieł które niżej wymienię."

Zaządał wtedy oprócz obcych z polskich: dzieła J. U Niemcewicza *Listy Horacego* w przekładzie F. Dmochowskiego, dzieła Węgierskiego, Kniaznina, *Początki chemii* Śniadeckiego, *Sielanki Wirgiliusza* w tłumaczeniu J. Lipińskiego, *Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk* i *Pamiętnik Warszawski* redakcyi F. Dmochowskiego i L. Osińskiego.

Kiciński siedząc we Lwowie, pobudzony myślą J. Lelewela, robił starania i zabiegi co do wydawnictwa *Pamiętnika Lwowskiego*, ciągle utrzymując z nim korespondencyą. Wpierwszych listach uskarża się, że na swoje listy nie otrzymuje odpowiedzi. „Co się mnie tycze, nigdy nie mogę zapomnieć tych chwil szczęśliwych, którem w domu rodziców twoich przepędzałem. Dobrodziejstwa, którem od nich odbierałem, przyjaźń którą dla mnie okazywałeś, zawsze tkwią w mojej duszy, i lubo przy najlepszym ojcu, najszczęśliwszym się czuję, radość moję, miesza jednak pamięć na to, że musiałem opuścić dom, wktórym mi po domu ojcowskim najlepiej było. Chciój więc kochany przyjacielu, jeżeli cię tak nazywać mogę, chciój niezapominać o mnie i donosić mi czasem o zdrowiu rodziców twoich, które dla mnie jest zawsze drogiem."

Siedząc we Lwowie nauczył się języka angielskiego i pracował nad przetłumaczeniem *Przemian* Owidyusza. Pod d. 20 lipca pisze: „A to co ledwie został profesorem historii (w Wilnie), już się napużyłeś i jak gdyby z katedry wypaliłeś mi tęgą prelekcycą. Ale wiedz, że wszędzie a osobliwie pod austryackim rządem trzeba mieć cierpliwość, której prawie codzień po dobrej dozie zażywam; podarłem już kilka par butów, latając ustawicznie po literatach tutejszych, a pozwolenie wydawania *Pamiętnika* jeszcze nie nadeszło. Chociaż mi to wszystko kością w gardle staje, nie uważam na nic, ale podwoiwszy natężen, im więcej mam trudności, tém chciwiój pokonać je żądam.

Prześle ci wyjątek z *Odyssei* Homera o *Cyklopie*: poprawiłem go jak najwierniej, będzie 366 wierszy, bo wiersz w wiersz tłómaczę.

Niepozyskawszy Kiciński u literatów Lwowskich spodziewanej pomocy, pisze ze Lwowa 2 maja 1815 r. do J. Lelewela:

„Spełniły się życzenia twoje. Będziem mieć we Lwowie *pamiętnik*. Ja może będę redaktorem pierwszego numeru. Wydawaniem dalszém zatrudni się pan Małkowski obywatel galicyjski, *Pamiętnik* będzie wychodził u księgarza Wilda, na pięknym papierze; pierwszy numer, jak się spodziewam wyjdzie z początkiem lipca. Obiecałeś wspierać nasze zamysły: chciéj dopełnić twoich obietnic, i cokolwiek masz przysyłać. Lataj po Wilnie: zbieraj literatów, których u was kopami; namawiaj, zachęcaj, pobudzaj wszystkich, niech wesprą słabe usiłowania nasze: proś Góreckiego o co pięknego, proś Sniadeckich, i innych. Ale nic z polityki, nic z teologii. Pisz do Woronicza, do Staszica i do inszych współbraci twoich przyjaciół nauk.”

Ustaliwszy wydawnictwo *Pamiętnika* we Lwowie, opuścił Kiciński to miasto, i odwiedził Warszawę, zkąd d. 22 lutego 1816 r. pisze zaraz do J. Lelewela w Wilnie:

„Przybywszy do Warszawy na kilka dni, dla zobaczenia się z przyjaciółmi, i mając ztamtąd jechać do Łucka, zatrzymanym przez pana starostę Kickiego i umieszczony zostałem w komisji handlowej. Być odrazu sekretarzem komisji i mieć pensyjkę 16 dukatów na miesiąc, niezłą mi się rzeczą wydawało z początku; ale teraz ponieważ tego i żałuję, bo nie będę mógł całego czasu poświęcać poezyi, która jest jedyną moją passyą. Ale mnie to przynajmniej cieszy, że będę mógł poznać cokolwiek interesa handlowe, poznać rzeczy i ludzi, a najbardziej że będę mógł widzieć często rodziców twoich i częściej z tobą rozmawiać, kochany przyjacielu. Daruj że w téj rozmowie trochę opieszalym byłem; ale obadwa niemamy sobie co do wyrzucenia.

„Mam do ciebie prośbę, abyś mi odpowiedział chronologicznie na następujące pytania? 1. W którym wieku i jakimi stopniami religia i literatura grecka wchodziła do Państwa Moskiewskiego? 2. Przed wprowadzeniem religii katolickiej do Polski w wieku X, jaki był stan prowincyi następujących: Ukrainy, Podola, Wołynia i Pobereża. Jakie pokolenia książąt panowały w tym kraju, czy były udzielne czy hołdownicze, i czyli są ślady, któreby ich nieprzerwaną filiacją dowodziły? 3. Genuęńczycy i Weneci, którzy wschodni handel prowadzili, w tych miejscach od kogo mieli nadania osad swoich? I dlaczego przestali? Jeżeli mi tego donieść nie możesz, to przynajmniej napisz, z jakich dzieł mam czerpać tę wiadomość.”

Porzuciwszy Kiciński zawód redaktorski, po sprzedaniu Grochowa, przeniósł się do nabytego majątku Ojrzenia w powiecie przasnyskim w Płockiem, oddawszy się życiu ziemiańskiemu i ulubionej pracy literackiej. Z początku wydawał większych rozmiarów oddzielnie przekłady swoje. W roku dopiero 1840—43 ogłosił zbiorowe wydawnictwo, wszystkich prac swoich we XII tomikach (w Drukarni Banku

Polskiego), z których tylko X wyszło. W zbiorze tym drukował w poprawnej edycji *Przemiany* Owidyusza, ale bez tekstu oryginalnego, których przekład rozpoczął w konwikcie księży Pijarów, licząc rok 16 życia.

Wychowany w filozofii Woltera, gorący jego zwolennik, jak sam się wyrażał, nie wierząc w nieśmiertelność duszy, przedrwiwał z tego powodu innych, którzy zachowywali wiarę o życiu przyszłym; z tego powodu zadziwił mnie niemało, gdy w początkach 1844 r. spotkawszy się z mną w Warszawie, zaczął mi sen swój opowiadać.

— Czy uwierzysz, że miałem sen dziwny, który mnie nawskroś przejął.

— Jaktol!—odrzekłem—hrabia w sny wierzysz? nie pamiętając na stare przysłowie: „Sen mara, Pan Bóg wiara!”

— Gadaj zdrow—mówił mi zafrasowany—ale posłuchaj: wczoraj śniło mi się, że widzę ojca mego, który zmarł przed 16 laty, grającego do puli w marysza ze starym swoim przyjacielem. Ja patrzyłem na to zdaleka, gdy ojciec przemówił do mnie:

„Brunoniel siadaj do stolika, zagramy razem, bo czas, żebyśmy jak dawniej, byli razem z sobą.”

Obudziłem się i jakieś przecucie blizkiej śmierci nagle mnie ogarnęło. Zasmuciłem się niemało, gdyż wiele prac rozpoczętych czeka na wykończenie.

— Jeszcze młodym hrabia jesteś i czerstwym!—przemówiłem.

— „Baj baj! będziesz wraju!” toć już kończę piąty krzyżyk—i to mówiąc ścisnął mi rękę i zadumany odszedł. Wyjechał zaraz do Ojrzenia, a w kilka dni nadeszła wieść o jego zgonie. Tak prędko ziściło się jego przecucie. Umarł d. 23 marca 1844 r.; wdowa po nim żyła długo, bo skończyła życie w r. 1878.

Kiciński jako tłumacz dobry i wierny, nie małe położył dla piśmiennictwa polskiego zastugi; mniej szczęśliwy w oryginalnych utworach, zato jako publicysta, jako redaktor, trwale imię swoje zapisał w pamięci potomnych. On pierwszy rozbudził smak do czytania po polsku, właśnie w tej warstwie społeczności naszej, która przez wychowanie francuzkie, przez stosunki z cesarstwem Napoleona I-go i wpływ jego przeważny przez cały okres bytu Księstwa Warszawskiego i w początkach Królestwa, miała przekonanie że jedyną tylko jest dla nas literatura francuzka, która może Polskę oświecić i podnieść cywilizacyjnie, niewierząc aby ojczyzna mogła powstać, zakwitnąć i zyskać sobie uznanie. Kiciński pismami swymi umiejętnie redagowanymi, to wyobrażenie pierwszy obalił wydawnictwem *Tygodnika*, który wkrótce nabrał takiej popularności, iż nie było domu więcej wykształconego, gdzieby gościnnego niedoznał przyjęcia. Nidosyć, pismo to podał w ręce kobiet polskich, przez umieszczane mody. Powoli zamiłowanie do literatury ojczyściej wzrastało za tym przewodem.

To jeden z owych, co mieszkają w skrytych
Tajnikach puszczy. Nie, to nie jest Niemiec.

ZELISŁAW.

Dałyby bogi, by to prawdą było!
Jeśli on ztamtąd przychodzi, to może
Znajdę go; wtedy będzie mi tak miłym,
Jak miłym jest mój siostrze. Lecz, Jarmię,
Jeśli on Niemiec?

JARMIĘ.

Znów mi to powiadasz;
Ale uspokój się... dziś na nim jeszcze
Wymogę prośbę, chociażby zakłęciem,
Że mi wyjawić musi swoje imię.

ZELISŁAW.

Tak, trzeba wiedzieć imię to koniecznie,
Bo niewiadomość tu zgubna, jak piekło.
Jeśli to Niemiec....

JARMIĘ (*przerywając*).

Wiém, co wtedy zrobię.
Tyś może sądził, że ja zapomniałam,
Com ja pamięci ojców naszych winna;
Bądź pewny, żem jest zdolna najgorętszą
Przygasić w sobie miłość, choćbym serce
Zdruzgotać miała.

ZELISŁAW.

Ufam ci zupełnie.
Choć mi bolesno odejść od was wszystkich,
Chociaż drzę na myśl, że was mogą dręczyć
Ci, co mnie szukać będą; lecz pociechą
Zostanie myśl ta, iż pod strzechę naszą
Odstępstwo, zdrada nie wejdą.

JARMIĘ.

Oh, nigdy!

ZELISŁAW.

Winien mu wdzięczność jestem, ale chociaż
Zabójczy powróż odjął od mój szyi,
Naszego domu czi mu nie poświęcę.
Bądź zdrowa, nie płacz; wiesz to przecie dobrze,
Iż ujść ztąd muszę: chybabym szalony
Na pewną zgubę czekał.

JARMILA.

Wiem, lecz bracie,
Czyż dziwno, iż ci, którzy cię miłują,
Zraszają łzami drogę, co z ojczyzny
Gdzieś cię daleko wyprowadza?

ŻELISŁAW.

Siostrol

Idę do domu wolności, a chociaż
Ziemia, gdzie groby dziadów, nam nad wszystko
Miła; lecz człowiek tam prawdziwie żyje,
Gdzie mu żyć wolno według własnej woli
I obyczaju ojców i tym bogom
Modlić się, którym oni się modlili.
Gdzie tak się żyje, mniejsza, czy to będzie
Zielone błonie, czy też ustroń leśna.
Bądź zdrowa, nie chodź już dalej: sam trafię
Tam, dokąd jeszcze trafić wróg nie zdołał.

(wychodzi na prawo).

Scena 2.

JARMILA (*sama*).

Czyż miał drogiego brata mi zostanie
Towarzysz smutny, podejrzenie? Bogi!
Wszchemnocném technieniem zgaście je w méj piersi!
Niech rzeczywistość kłam mu zada. Dziwna!
Ono się coraz bardziej w mojej myśli
W straszliwą zmienia prawdę. Mocne bogi!
Za cóż nademną grom trzymacie? lepiej
Niechaj co prędzej spadnie.

(słychać za sceną gwizdnięcia).

To on! dzisiaj

Musi zasłoneg zedrzyć. *(z głębi wchodzi Zygryd).*

Scena 3.

ZYGFRYD—JARMILA.

ZYGFRYD.

Witaj drogal

JARMILA.

Nie, nie powitam cię, póki nie powiesz
Kto jesteś. Teraz musisz całą prawdę

Odłonić. Powiedz mi, kto jesteś? Słuchaj,
Tyś Niemiec? prawda?

ZYGFRYD.

Poco to pytanie?

JARMILA.

Jeśli to prawda, nie zaprzeczaj: nie czas
Kryć się. Tyś Niemiec?

ZYGFRYD.

Tak jest, Niemiec jestem.

JARMILA.

Twe imię, Niemcze?

ZYGFRYD.

Zygfryd!

JARMILA.

Syn Gerona.

(zakrywa twarz rękoma).

ZYGFRYD.

Cóż tak strasznego jest w moim imieniu?

JARMILA.

Bogi, a więc to prawda? Słuchaj, Niemcze!
Wiész, kto ja jestem?

ZYGFRYD.

Nie chcę nawet wiedzieć.

Wiém, że króluje krasa na twém licu,
Że przez twe oczy tkliwe patrzy serce;
Dość mi, gdy słyszę dźwięk twojego głosu.

JARMILA.

Wszak o trzydziestu słyszałeś żupanach,
Zdradziecko w zamku Margrafa zabitych?
Najdzielniejszego z pośród nich jam wnuka!

ZYGFRYD.

Precz z tém wspomnieniem! Nie żyliśmy nawet
Wtedy, gdy działały się te straszne rzeczy.
Czyż odgrzebywać mamy to, co dawno
W proch rozsypało się?

JARMILA.

Czego, o Niemcze!

Przeszedłeś drogę słowiańskiej dziewicy?
Niedość, że mężów zabijacie mieczem,
Nie przepuszczacie jeszcze i niewiastom,
Gubiąc ich serca i dusze. O, bogi!
Niewinna jestem! Jam myślała zawsze,
Że Niemiec ma twarz dziką i że nasza
Mowa brzmi w uściech jego twardo, śmiesznie.

A wy na niego zsypaniście wszystkie
Wdzięki, jak gdyby wam był ulubieńcem;
I słowa jego słodkie: nie uwierzy
Nikt, że przez usta obcego przechodzą.

ZYGFRYD.

Czyżto ma wina, żem ze krwi germańskiej,
Lub żem nie zdołał odjąć się czarowi
Oczu twych? Nie poszukuj na mnie błędów,
Co nie są memi.

JARMILA.

Czego stoisz jeszcze?

Czego odemnie chcesz?

ZYGFRYD.

Jeśli co moją

Wina jest w oczach twych, przebacź! tak, przebacź!
Bóg nasz przebaczać każe nawet wrogom,
Tym nawet, którzy ciężko nas skrzywdzili.
Ale ty słuchasz innych bogów, mściwych,
Niesprawiedliwych, okrutnych; ty nie chcesz,
Nie umiesz nawet przebaczać.

JARMILA.

Ja nie chcę!

Nie umiem! czyżem potwór? Oh! przebaczać,
Gdyby mi tylko było wolno! Niemcze,
Odejdź ztąd, odejdź! nie kuś mego serca:
Ja ci przebaczyć nie mogę.

ZYGFRYD.

Oh, twarda

Niewiasto! więc jam winny w twoich oczach,
Żem z winowajców rodu, że mój ojciec
Kiedyś, przed laty, skrzywdził twego dziada?

JARMILA.

Wiész ty, że świętym obowiązkiem moim
Jest zemsta za krew mego dziada, ojca,
Za ucisk braci, za zelżenie ziemi,
Na której niegdyś wolność panowała?

ZYGFRYD.

Chcesz zemsty? Oto nóż! uderz w pierś moję!
Poświęć mię bogom twym nieubłaganym,
Twym przodkom, nawet po śmierci zawziętym.

JARMILA.

Stój! nie wyzywaj mię na zemstę! nie sądz,
Bym nie wiedziała, co nóż zdziałać może.

ZYGFYD.

Spełń więc pragnienia twe!

JARMIŁA.

Okrutne bogi!

Na toż gubicie mężów, by niewiastom
Zostawić zemstę? Nie spełnię jój nigdy,
Choćby się całe wasze niebo miało
Zawalić na mnie. Uchodź ztąd, nieszczęsny!

ZYGFYD.

Nie chcesz mię zabić? więc przebacz!

JARMIŁA.

Idź! odejdz!

ZYGFYD.

Niemasz odwagi zabić mię, więc musisz
Przebaczyć. Słuchaj, spytaj po wszęej ziemi,
Czyli me imię w rządzie tych, na które
Słowianie klątwy miotają? Niejeden
Dziś może rękę moję błogosławi:
Wiedz, że twojego brata jam uwolnił.

JARMIŁA.

Wiém o tém: niosłam ci podzięki słowa
I nie odejmę tego, co się tobie
Należy. Oby ci niebieskie moce
Wynagrodziły to dobrém stokrotnie;
Więcej odemnie żądać niemasz prawa.

ZYGFYD.

A więc przez wdzięczność, posłuchaj mnie jeszcze!
Zwierzę ci ważną tajemnicę. Ojciec
Wywalczy może niezadługo taką
Władzę nad ziemią tą, że nikt, sam cesarz,
Nam rozkazywać nie będzie. Tę władzę
Mnie odda w ręce i wtedy dni wrócą
Sprawiedliwości i szczęścia; i wtedy
Przeszłości krzywdy zatnę i przejednam
Twych tak boleśnie obrażonych braci.
Przyrzecz mi tylko, że mi podasz wtedy
Rękę i pójdziesz za mną.

JARMIŁA.

Nie, nie, nigdy!

Nie pójdę do was, nie! Gdybyś mię zabrał
Przemocą, w wody skoczyłabym głębiej
I popłynęła dnem do ojców moich.
Gdybyś mię zamknął w niebotycznej wieży,
To rzuciłabym się wiatrom na ręce,
Niechajby ciało o ziemię rozbiły,

Byleby duszę zaniósł do raju ¹⁾.
 Nie chcę iść do was, nawet do pałacu
 Cesarza; nawet do ciebie, coś może
 Najlepszy ze wszech Niemców! Między wami
 Nie chcę żyć, nie chcę umierać, bo wtedy
 Iść musiałabym i po śmierci z wami
 I jużbym nigdy, nigdy moich ojców
 Nie zobaczyła.

ZYGFRYD.

Więc cię nie przejedna

Nic? *(W głębi wieś zaczyna się palić i pożar coraz silniejszy
 trwa przez całą połowę aktu).*

JARMILA.

Tylko darmo łudzisz się, że twoje
 Rządy rozpoczną nowe dni. Szalony!
 Jeżeli zechcesz być dla naszych dobrym,
 Zanim ci oni, tylekroć zdradzani
 Uwierzą, własnych ziomeków twych obrazisz
 I ci pracować będą na twą zgubę.

ZYGFRYD.

Niedość ci, że mię odtrącasz! chcesz jeszcze
 Odebrać nawet wiarę, iż powrócą
 Szczęśliwsze czasy?

JARMILA.

Zaiste, powrócą
 Sprawiedliwości dni, ale wam wtedy
 Biada! najlepszy z was się nie ostoi
 Na ziemi naszej. Idź już swoją drogą,
 Mnie czas do domu.

ZYGFRYD.

Wracaj więc copędź!

(odwraca się i spostrzega pożar).

Stój! stój! chodź raczej ze mną; niezadługo,
 Gdy słońce zajdzie, już nie będziesz miała
 Własnego domu.

JARMILA.

Co mówisz?

¹⁾ Według wyobrażeń mitologicznych, Słowian dusze po śmierci przenosiły się na skrzydłach wiatru na świat drugi, przepływając przez czarne morza (t. j. królestwo chmur) na wyspy szczęśliwości, gdzie na rajskich łąkach chadzali w słonecznym blasku, przepasani gwiazdy, pasąc kogutki rajskie i używając wszelkich rozkoszy. Zobacz Kotlarewskiego: *O pogrzebowych obyczajach słowiańskich.*

ZYGFRYD (*ukazując pożar*).
Patrz!

JARMIŁA.

Bogi!
To płoną nasze wsie, dom nasz. Czyż słońce
Rozlało na nie ogień swój niebieski?
O, nie! to twoi palą nasze strzechy:
Kłątwa ci i wam wszystkim!

ZYGFRYD.

Niewinnego
Klniesz! Nie ja wcale pożar nakazałem;
Przewidywałem, iż, gdy brata twego
Uwolnię, ściągnę niepochybnie zemstę
Na wasz lud cały. Stało się! Chodź, droga!
Przynajmniej cię jedną niech ocalę.

JARMIŁA.

Płoną wsie nasze: gdzie największy płomień,
Tam moich ojców dom, tam mój stryj, babka!
Gdzie oni teraz? Wy, straszliwe bogi!
Więc tak pragniecie ostatecznej naszej
Zguby, że nawet dom ten zagładzacie,
By ani śladu po nas nie zostało?
Gdzież się podzieli teraz?

ZYGFRYD.

Córo Słowian,
Chodź, ja cię skryję w bezpiecznym schronieniu,
Choćby się ziemia rozpadała wkoło:
Tam cię nic złego dosięgnąć nie zdoła.

JARMIŁA.

Dlaczegoż tyle ciosów naraz spada?
W taki nieszczęścia ogrom niepodobna
Uwierzyć. Błagam cię, powiedz, to wszystko
Nieprawda, to sen tylko ciężki. Drogi!
Nie jesteś synem okrutnika, taki
Sokół się w smoczém gnieździe nie urodził.
Zlituj się! powiedz mi, że to złudzenie,
Że to nie płomień, w którym dom nasz tonie;
To tylko słońce ognisto zachodzi
I krwawą szatą po ziemi zamiata.
O, bogi! czyliż wtedy się mylimy,
Kiedy wierzymy w szczęście? Czyż nie może
To, co okropne, także być omyłką?
Nie! tyś Słowianin! prawda? chodź, chodź ze mną!

ZYGFRYD.

Choć jestem Niemcem, ufaj mił rodzony
Brat cię bezpieczniej nie zasłoni.

JARMIŁA.

Jakto?

Tyś jest syn przecie dawnych naszych książąt.
 Tam zabijają braci twych. Co prędnj
 Śpiesz na obronę, panie mój! najmilszy!
 I wróć zwycięzcą! wtedy żądaj choćby
 Duszy mój; śpiesz, śpiesz: błagam cię! Nie, zdrajco,
 Tyś wróg i twoi tam katują naszych.
 Precz! precz odemnie!

ZYGFRYD.

Nic cię nie przekona,

Żem ja niewinny?

JARMIŁA.

Słyszysz? ludzie biega!

Gdy cię zastaną tutaj — zginiesz; uchodź!
 Nie czekaj na mnie! nie pójde za tobą!
 Młj litość, nie ociągaj się ni chwili!

ZYGFRYD.

Odchodzę, ale kiedyś czas złagodzi
 Twą ciężką boleść! i wtedy powrócę
 Z tém samém słowem co dzisiaj, pamiętaj!

(Odchodzi; Jarmiła siada na obaloném drzewie i zakrywa twarz chustą; na scenę wbiegają Słowianie: mąż, żona, za nimi kilkoro dzieci).

Scena 4.

JARMIŁA — SŁOWIANIE — SŁOWIANKI, dzieci; *(później)* SWANTAWA —
 MOJMIR — STARZEC.

MAŻ.

Stój, stój, przez bogil

ŻONA.

Uciekajmy dalej!

MAŻ.

Stój! mówię — przecie już jesteśmy w lesie!
 Tu skryć się łatwo. Gdzież są nasze dzieci?

DZIECI.

O, matko! ojczel! *(idą dalej; na scenę wpada dwu braci).*

MŁODSZY.

Dokąd mnie prowadzisz?

STARZYSY.

Chodź, chodź: ścigają nas.

MŁODSZY.

Stój, choć na chwilę!

Las ciemny, boję się; ja wróć lepij.

STARSZY.

Wrócisz? czy po to, aby cię schwytano
I zaprzędano w niewolę daleką,
Zkąd nie powrócisz? Choćbyś uciekł nawet,
Już nie odnajdziesz ojców naszych domu!

MŁODSZY.

Zwierz nas rozszarpie dziki.

STARSZY.

Chodź coprędzej.

MŁODSZY.

Pomrzemy z głodu tutaj.

STARSZY.

Więc ty wolisz,
By ci chłostano grzbiet, bylebyś siedział
Przy pełnej misie?

MŁODSZY.

Czekaj, ludzie idą!
Z nimi nam będzie różnie: czekaj, bracie!
(na scenę wchodzi kilka sług, niosących Swantawę).

SWANTAWA.

Puście mnie, puście! zostawcie mnie tutaj!
Poco mnie było wrywać z płomieni?
I tak niedługo umrę. Czyż nie lepiej
Byłoby zginąć tam, gdzie niewidzialnie,
Mieszkała przy mnie jego święta dusza?

SŁUGA.

Pani, uspokój się!
(sadzają ją na obaloném drzewie; na scenę wpada kilka niewiast).

1 NIEWIASTA.

To dzień okropny.

2 NIEWIASTA.

Spalili wszystko, wszystko naokoło:
Nie zostawili ani jednej chaty.

3 NIEWIASTA.

Zkąd im ta nagła srogość?

2 NIEWIASTA.

Ktoś zawinił

W Margrafa oczach, on zaś karę zwala
Na wszystkich.

1 NIEWIASTA.

Ktoto? nie wiecież?

2 i 3 NIEWIASTY.

Nie wiemy!

4 NIEWIASTA.

To pewno któryś z żupańskiej rodziny.

1 NIEWIASTA.

Tak! oni zawsze pierwsi do szaleństwa!

2 NIEWIASTA (*zbliżając się do Jarmiły*).

Tyśto, Jarmiło? co się u was stało?

1 NIEWIASTA.

Coście zrobili? powiedz!

JARMILA.

Czegóż chcecie?

1 NIEWIASTA.

Jakież szaleństwo wasze znów zbudziło
Drzemiący gniew Margrafa?

4 NIEWIASTA.

Oni tylko

Ustawnie myślą, jak go drażnić!

INNE NIEWIASTY.

Prawda!

(z lewej strony wchodzi starzec i tłum Słowian).

2 NIEWIASTA.

Za wasze winy wszystkich chłosta ściga.

3 NIEWIASTA.

Wyście nam zgubę zgotowali.

SWANTAWA (*powstając*).

Bogil

Ostatnia wasza i najcięższa kara!

Miecz krwawy wroga wisi ponad ludem,

A bracia braci dręczą!

STARZEC.

Zamilknijcie,

Wy, złojezyczne niewiasty! Co? teraz

Kłótnie i swary, kiedy myśleć trzeba

O ocaleniu wspólném! *(z lewej strony wchodzi Mojmir).*

MOJMIR.

Bracia mili,

Zrzućcie strach z piersi! O ile się zdaje,

Na pogorzeli téj już poprzestaną:

Nie będą ścigać nas.

1 SŁOWIANIN.

Co teraz robić?

1 NIEWIASTA.

Co? wszak niewinni jesteśmy! do zamku
Pójdziemy wszyscy i będziemy błagać
Margrafa, by nam dozwolił przynajmniej
Zbudować nowe chaty.

INNE NIEWIASTY.

Tak, tak: chodźmy!

MOJMIR.

Szalone! jeleń trwożliwy ucieka
Przed wilkiem, co go sponżył, a wy chcecie
Rzucać się w paszczę dzikiemu zwierzowi.

1 SŁOWIANIN.

Ach, bracia! gdzież się podziejemy teraz?
Już spopielone strzechy nie przytulą
Znużonej głowy. Zostać w lesie straszno;
Wyjść, to wpadniemy w ręce okrutników.

2 SŁOWIANIN.

Co robić? radźcie nam!

3 SŁOWIANIN.

Radź, radź, Mojmirze!

MOJMIR.

Zaiste, bracia, ciężka nasza doła!
Lecz puszcza jeszcze, to nie koniec świata
I dzień dzisiejszy nie jest kresem czasu.
Jeszcze są ziemie na dalekim wschodzie,
Gdzie żyją ludzie, bezpieczni od Niemców;
W przyszłości miga nam nadzieja złota.
Gdy się więc przyszłość ociąga, to sami
Wynijdźmy na jej spotkanie.

2 SŁOWIANIN.

Gdzież pójdziem?

MOJMIR.

Polanie, co nam pomoc obiecali,
Z pewnością dadzą gościnny przytułek;
Wrócimy ztamtąd liczni i oregni:
Wtedy spłacimy dzisiejszą pogorzel
I wszystkie krzywdy przeszłe. Kto z was, bracia,
Zna dobrze drogę do tajnego grodu,
Gdzie są bogowie i kapłani nasi?

1 SŁOWIANIN.

Ja!

MOJMIR.

Więc nas prowadź!

STARZEC.

W lesie, w skrytém miejscu,
Przed laty oręż wszystek zakopano,
By go nie wydać wrogom.

MOJMIR.

Dziś się przydał
Pokaż nam, ojcze, to miejscel

WSZYSCY.

Tak, pokazał .

MOJMIR.

Oreżu ojców, co rdzewiejesz w ziemi,
Coś ich nie zdołał obronić od kłeski;
Teraz czas, żebyś wywalczył zwycięstwo,
Byś zatarł wszelką pamiątkę niesławny!
Biada wam, Niemcy! za wasz czyn nieprawny!

(wychodzą).

ZMIANA DEKORACYI.

(Sala w zamku Gerona, ta sama, co w akcie II. Gero wychodzi z pierwszych drzwi na prawo i przystępuje do okna. Noo).

Scena 5.

GERO (*sam*).

Gaśnie już. Jutro cały kraj się dowie,
Że stary Margraf jeszcze ma żelazną
Dłoń. Gdyby płomień ten tak im poświęcił
W oczy, ażeby w nich nazawsze zgasła
Oporu wszelka myśl! Dziś nie chcę wcale
Na większą srogość się wysilać. Boże!
I tak mię długa jeszcze walka czeka
I długi ośiar rząd. Mówią, że w święto,
W które narodził się Chrystus, umarli
Wychodzą z grobów, by nawiedzać żywych,
Pocieszać miłych sobie; ale straszyc
Zabójców, wrogów ¹⁾. Za mną, zda się, ciągle
Tłum cieniów płynie. (*ogląda się*). Ha! to tu trzydziestu
Pod nożem legło. (*za sceną słysząc odgłos kroków*).

¹⁾ Wiara w to, że umarli w dzień Bożego Narodzenia wracają do żywych, a nawet siadają z nimi do stołu, do dziśdnia jeszcze trwa u ludu niemieckiego.

Czy wracają może? *(przysłuchuje się)*.
 Nie, to krok żywej istoty. Któż w takiej
 Spóźnionej porze błąka się po zamku?
(kryje się za filar, z głębi wchodzi Abo).

Scena 6.

ABO—GERO *(w ukryciu)*.

ABO.

Ciemno, nikogo niema i jój niema.
 Los cię nie żartem przywiódł tu, Aboniel
 To, co wyniosę ztąd, może dla kogoś
 Być ciosem, zgubą, ale mnie z bogaci.
 Ach! gdyby tylko raz już być daleko
 Od tego zamku! bo tu, tu wciąż jestem
 Niby pod wzrokiem węża. Gdyby Margraf
 Wyczytał, co się w mojej duszy dzieje!
 Któż mi uciekać broni? wyjść na łowy
 I nie powrócić? Ale ta niewiasta!
 Jój ślepa miłość i ród znakomity:
 To zysk niemały takżel i ją muszę
 Ztąd uprowadzić—chociaż to niełatwo!
 Ha! wyciągnęłam ważną tajemnicę
 Najchytrzejszemu z ludzi; czyż podobna,
 By trudniej było wykraść cudzą żonę,
 Niżeli cudze myśli? Sam mąż żonie
 Najlepszą drogę do ucieczki wskazał. *(otwiera okno)*
 Dalibóg, tędy zejść nie trudno wcale,
 Jak po drabince możnaby się spuszczać
 Na rękę niosąc ją. *(z prawej wchodzi Hatwiga)*.

Scena 7.

ABO—HATWIGA—GERO *(w ukryciu)*.

HATWIGA.

Czy to ty, Abo?

ABO.

To ja—z tęsknotą ciebie oczekuję.

HATWIGA.

Jakżem ci wdzięczna, drogi mój, że dla mnie
 W tak straszną porę i do téj okropnej
 Przychodzisz sali.

ABO.

Na ramieniu mojem

Wesprzyj się. Czego drżysz?

HATWIGA.

Podobno tutaj

Przed laty krwawe spełniono morderstwo.
Dziś może jeszcze błakają się duchy,
Które spokoju w grobie nie znalazły.

ABO.

Duchy, Hatwigo? One tych nie straszą,
Co im za życia nic nie zawinili.

HATWIGA.

Ja się nie lękam duchów, mają dłonie
Ze mgły i mglistym mieczem nie dobędą
Krwi ze żywego ciała; lecz się boję
Żyjących: cała drzę, kiedy starego
Margrafa wspomnę; ciągle mi się zdaje,
Że jego oczy z kątów patrzą na mnie.

ABO.

Margraf już dawno śpi, najgorszy nawet
Człowiek nie straszy we śnie, bo sen kładzie
Największym zbrodniom tamę. Bądź spokojną.

HATWIGA.

Ach! nie dowierzaj mi! On z szatanami
W spółce. Co one przez cień nocy przejrzą,
To mu z pewnością doniosą. Ach, biada!
Poważyliśmy się na rzecz okropną!

ABO.

Odwagi, droga!

HATWIGA.

Uciekaj ztąd, Abo!

I zarazem z sobą zabierz mię. Uchodźmy
Do ojca mego, do rodzonych braci.

ABO.

Ojciec i bracia przyjmą mię jak zbiega,
Uwodziciela nędznego—a ciebie
Jak wiarołomną żonę.

HATWIGA.

Oh! gdy ojciec

O wszystkim dowie się, to cię powita
Jako król witał owego młodziana,
Który mu przywiódł córkę z jamy smoczéj
Oswobodzoną. Ojciec mój, pan możny,
Jam jedynaczka córa i jedyna
Mych braci siostra.

ABO.

Chcesz więc, masz odwagę

Uciekać ze mną?

HATWIGA.

Uciekajmy, Abo.

Tak: uciekajmy. Ale jak i kiedy?

Nocą nie wyjdiesz z warownego zamku,

A w dzień nas pogoń pochwyti.

ABO.

Hatwigo!

Kto ma odwagę, ujdzie choć z więzienia;

Patrzaj (*wskazuje oknem*), na rękę tędy cię wyniosę:

Rów nie głęboki, muru dalej niema.

Weź z sobą, co się zabrać da z twych skarbów,

A jeszcze dzisiaj ujdziemy.

HATWIGA (*spoglądając przez okno*).

Na Boga,

Jakże tu straszno! Nigdy! za nic w świecie!

Noga poślizgnie się na tém urwisku

I wpadniem w samą paszczę głodnej śmierci.

ABO.

A więc zostanmy—czekaj tu cierpliwie,

Aż naszych schadzek Margrabia dopatrzy;

Lepiej się rozbić o najtwardszą skałę,

Niżli doczekać się, aż nas wilk stary

Rozszarpie.

HATWIGA.

Uciekajmy!—lepiej ginąć,

Niżli się dostać w ręce tego zbója.

Lecz jeśli ujsć nie zdołamy, lub ojciec

Do domu swego nie przyjmie i znowu

Do zamku wracać będziemy musieli?

ABO.

Nie, my ujdziemy w bezpieczniejsze miejsce,

Niż nawet zamek ojca. Tajemnica,

Którą mam w ręku, będzie złotym kluczem,

I ten otworzy nam skarb łask cesarskich.

Nie będę wtedy nikczemnym włóczęgą,

Co ukradł cudzą żonę; będę zbawcą

Całego Państwa, i będę miał prawo

Do najszlachetniejszych nagród: jako pierwszej,

Zażądam ciebie, droga.

HATWIGA.

To okropnel

Czyliż nie dosyć, że mu łamię wiarę
I że opuszczam go? Mamże własnego
Męża oskarżać jeszcze? miecz katowski
Na jego głowę ściągać?

ABO.

Czyż on wprzód
Nie zdradził ciebie? Czyż nie odjął serca
Od najpiękniejszej, najczulszej Germanki,
By go ohydnej dać pogance?

HATWIGA.

Prawda.
Lecz ja odwagi nie mam wołać sądu
I pomsty na tych głowy, co tak długo
Pod jedną ze mną żyli strzechą. Trzeba
Kroplę litości mieć.

ABO.

Czy miałby litość
Margraf lub mąż twój Zygfryd, gdyby wiedział,
Co się tej nocy dzieje?

HATWIGA.

Ach! już widzę
Jakby pastwili się nademną. Zbójco,
Ja nienawidzę cię i twego syna!
Kłątwa tym murom, w których mię więzicie,
Szlachetną córę przesławnego rodu.
Nie wahałabym się przed tronem Bożym
Świadczyć przeciwko wam. Tak, uciekajmy,
Choć dzisiaj jeszcze! do Rzymu! do Rzymu!

ABO.

Zabierz z twych skarbów to, co unieść można;
Ucieczkę złote krążki nam ułatwią.
Gdy wydostaniem się z zamku, coprzedź
Do Rzymu! Precz ztąd! Biada ci Margrafie!

GERO (*wypadając z ukrycia*).

Tobie samemu biada, nikczemniku!
Zdrajco, sam siebie zdradziłeś.

HATWIGA.

Ach! Margraf!

Uciekaj, Abo!

ABO.

Boże, Ty mnie ratuj! (*wyskakuje przez okno*).

GERO (*przystępując do okna*).

Nędzny, nie ujdiesz, strażę cię pochwycą
Skoro zatrabię. Obejdę się bez nich.

(*bierze kopią ze ściany i rzuca przez okno*).

Ha! spadł do rowu! dobrze! niech zostanie
Na karmią żabom i węzom.

HATWIGA.

Margrafie!
Cóżes uczynił? zabiłeś człowieka!

GERO.

Milcz, wszetecznicu! bo cię z twoim gachem,
Tam na dnie rowu połączę! Milcz, mówię!
Okno otwarte, droga niedaleka!

HATWIGA.

Ach! wpadłam w paszczę okrutnego smoka.
O Boże, miłosierdzia!

GERO.

Według prawa
Winnaś być żywcem w ziemi zagrzebana ¹⁾.

HATWIGA.

Stój, stary zbrodniu! jam nie twa poddanka!
Odeszlij mię do ojca mego! Boże!
W czyjeś mnie ręce odda! Oni ludzi
Mordują codzień, nawet w domu własnym.

GERO.

Shańbiłaś siebie, dom nasz; sprawiedliwa
Kara cię czeka: nic cię nie zasłoni.

HATWIGA.

Margrafie! przebóg! litościł Jam winna,
Ale i syn twój, mój mąż, także winien.
On mię opuścił, zdradził, złamał wiarę!
On mąż, ja słaba niewiasta!

GERO.

Milcz, niecna!

HATWIGA.

On się nie ulituje! nie! on niema
Ludzkiego serca w piersiach. Boże wielki!
Jeśli choć jedna czująca istota
Słyszcy mię, spiesz mi na pomoc! Ratujcie!
Ratujcie!

GERO.

Nędzna, milcz! nie zwołuj ludzi,

¹⁾ U Germanów mąż miał prawo zabić żonę cudzołożną oraz jój gacha. W niektórych miejscach, jeszcze w średnich wiekach podobne przestępstwo karano zagrzebywaniem żywcem w ziemi. Zob. Scherr *Hist. cywil. niem.* r. II.

By oglądali twą hańbę. Niech raczej
 Wraz z tobą w nocnych ciemnościach utoniel
 (dobywa noża z zapasa, z prawej wchodzi Luthar z lampą w ręku).

Scena 8.

HATWIGA—GERO—LUTHAR—(później) ZYGFRYD.

LUTHAR.

Któż to pomocy ludzkiej i ratunku,
 Tak rozpaczliwym głosem wzywa?

HATWIGA.

Pośle

Cesarski! ratuj! ratuj nieszczęśliwą!
 Patrz, on dobywa noża na bezbronną
 Niewiastę! Zasłoń mię! W imię cesarza
 I w imię Boga błagam!

LUTHAR.

Co to znaczy?

GERO.

Bolesna wielce, iż wstyd domu mego
 Nie mógł się ukryć przed obcego okiem.
 Jam ją na grzesznej zastał tutaj schadzce.
 Obyczaj ojców, prawo, pozwalają
 Zniewagę rodu mego pomścić srogo.

LUTHAR.

Nieszczęsna, cóżeś zrobiła?

HATWIGA.

On kłamiel

Nie wierz mu! On sam zbrodzień, niecny zdrajca.
 Te ziemie pragnie wydrzeć cesarzowi
 I sam się królem ogłosić. Idź spiesznie
 Ostrzedz cesarza, a mnie zabierz z sobą:
 Nie pozostawiaj w tych drapieżnych rękach.

LUTHAR.

Margrafie! słyszysz, o co cię oskarża
 Własna synowa twa?

GERO.

Cudzołożnico,

Kłamstwo i potwarz dorzucaj na szalę
 Występków twoich.

HATWIGA.

Co? cudzołożnica!

Kłamiesz, ty podły! Gdy chcesz cudzołós twa,

Poszukaj syna twego, co gdzieś w lesie
 Poganekę dziką w swych ramionach tuli.
 Wiesz ty, kto więźnia wypuścił z twój jamy?
 Wiesz ty? chcesz wiedzieć?

GERO.

Milcz!

HATWIGA.

To syn twój, stary!

(z głębi wchodzi Zygryd i staje z boku).

Co za rodzina! Ojciec wciąż morduje
 Dniem, nocą, nawet przy swym własnym stole,
 A syn się brata z wrogami, miłośnic
 W pośród nich szuka, i więźniów z ojcowskiej
 Ciemnicy puszcza. Doczekasz się, stary,
 Że cię syn własny wrogiem kiedyś wyda.

ZYGFRYD *(występując naprzód).*

Milcz! to się nigdy nie stanie! Ach, ojczel
 Co się tu dzieje?

GERO.

Hańba nam, mój synul
 Cudzołożnicę tę zastałem w giermka
 Objęciach!

ZYGFRYD.

Jakież ciężkie sądy Bożel

HATWIGA.

Precz! precz! nie zbliżaj się do mnie, ty, zdrajco
 Zony i ojca!

GERO.

Ha! wejdz w twoje prawal
 Nad wiarołomną żoną sąd należy
 Do ciebie, synu!

HATWIGA.

Precz! on niema prawal
 Nie ja, lecz on się pierwszy przeniwierzył
 Przysiędze. Jakżem mogła złamać wiarę,
 Gdy jój pomiędzy nami już nie było?

ZYGFRYD.

Ojczel, nie do mnie sąd nad nią należy.
 Prawda, jam pierwszy ją opuścił, nigdy
 Nie miłowałem jój, i obce dziewczę
 Mém zawładnęło sercem. To ja, ojczel,
 Z ciemnicy w nocy wypuściłem więźnia;
 On był jój bratem, ja dla łez sieroty
 Złamałem wolę twoję. Sądź mię teraz!

GERO.

Jeżeliś winien, jam winniejszy stokroć:
 Jam nie zapytał twego serca, synu,
 Gdy to małżeństwo kojarzył dlatego,
 Że mi potężnych jednało przyjaciół.
 Dnia! dnia! coprędź, bo ta noc okropna
 Przyniesie jeszcze nam coś straszniejszego.
 (do *Hatwigi*) Odejdź do komnat twych, z nich nie wprzód
 [wyjdiesz,

Aż o twym losie postanowię.

HATWIGA.

Pośle

Cesarski, ratuj mnie, ratuj!

LUTHAR.

Pamiętaj,

Że się uciekła pod obronę moje
 I że cesarza opieki wzywała.

GERO.

Najcięższą karą będzie, gdy ją ojcu
 Odeszłę. Grafię, byłeś tu, niestety,
 Naszego wstydu świadkiem; miejże litość
 Nad nieszczęśliwym ojcem: nie odkrywaj
 Nikomu, co się działo tu téj nocy!
 I sam zapomnij o niej. Hej! coprędź
 Chodźmy na łoża, bo szatany nocne
 Igraszkę sobie robią z tych, co gwałcą
 Przyrody prawa i sen okradają
 Z należnych jemu godzin. Tak—na łoża!
 Niechaj dzień jasny sędzi tych, co winni;
 Lub lepiej, nocy rozpędziwszy cienie,
 Niech nam przyniesie o niej zapomnienie (*wychodzą*).

(*Dokończenie nastąpi*).

Bitwa pod Grundwaldem w 1410 r.

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

W chwili, gdy cała niemal społeczność Warszawy pośpiesza oglądać nowy obraz Jana Matejki, przedstawiający *Bitwę pod Grundwaldem* z Krzyżakami, podziwiając to arcydzieło wielkiego malarza, podamy w treściwym zarysie szczegóły téj krwawej i morderczej walki, a zarazem pieśń, jaką współczesny rycerz-poeta ułożył, gdyż, jak się zdaje, brał w tym boju sam udział.

W sto lat później, ujęta pismem w dziwacznej pisowni, szczęśliwie się przechowała do naszych czasów. Niema ona w sobie śladu nawet poezyi, ani artystycznego poczucia; znać, że to układał człowiek małego wykształcenia: razi brak miary, źle dobrane rymy, wiersz chropawy i bez wdzięku; ale te wszystkie wady znikają w obec przypomnienia, że to utwór pieśni polskiej, jeden z najdawniejszych w tak obszernych rozmiarach, bo na pół wieku pojawia się przed pierwszymi pismami Mikołaja Reya z Nagłowic, a o całe sto lat z górą wyprzedza Jana Kochanowskiego, największego poetę z XVI wieku, a zarazem twórcę poetycznego języka polskiego.

Nasz rycerz-poeta nie miał żadnych wzorów i szedł za własnym popędem i pojęciami. Zawsze to zabytek cenny i godny uwagi miłośników literatury ojczystej.

Nie tracimy nadziei, że może i w naszych czasach znajdzie się natchniony, który pod urokiem obrazu Matejki, skreślającego potęgą swego pędzla wielki poemat bohaterów, potrafi piórem, podobnie z zamierzczłój przeszłości, wysnuć arcydzieło poetyczne.

Dnia 15 lipca r. b. kończy się lat 469 okrągło, jak przypadnie rocznica pamiętnej w dziejach naszych bitwy z Krzyżakami pod Grundwaldem, w której Władysław Jagiełło z Witoldem, na czele zastępów polskich i litewskich, złamał potęgę dumnego zakonu. Upłynie właśnie półpięta wieku z górą, jak wieść radosna przebiegła wszystkie ziemie Rzeczypospolitej, od Baltyku do Czarnego morza, od grodów Wielkopolskich do zapadłych puszczy Litwy i Żmudzi, o potężnym zwycięstwie. I odtąd w Krakowie, staréj stolicy, rokrocznie przez cztery wieki obchodzono uroczyste dzień 15 lipca, jako dzień tryumfu i chwały, procesyami ze wszystkich parafii krakowskich, do kościoła ś. Jadwigi

na Stradomiu, który założył Kazimierz Wielki, gdzie odprawiano solenne nabożeństwo, dziękując Bogu za daną przewagę orężowi naszemu ¹⁾.

W przeddzień bitwy, w poniedziałek 14 lipca, przeszła burza nad tém polem bojowém: straszna wichura z poświstem zmiatała tumany piasku, niosąc je na obóz krzyżacki, jakby zapowiadała im klęskę dnia następnego. Namioty ich barwiste, strojne, padły na ziemię, wyruszone siłą wiatru z posad swoich, konie spłoszone rozbiegły się po szerokiém polu; popłoch nieopisany był w obozowisku Krzyżaków, do którego zbiegły się tłumy w żelazo okutych rycerzy z całej Europy, na pomoc swój braci zakonnój, co rozwijała chorągwie krzyża nie przeciw poganom, ale przeciw dobroczyńcom swoim, którzy im dali ziemię i przytułek.

„Tój samej nocy (pisze Długosz w księdze XI-ój *Dziejów Polskich*) księżyc, który był właśnie w pełni, osobliwsze przedstawił dziwowisko, które zdawało się być wieszczbą, zapowiadającą królowi w dniu następnym zwycięstwo, jako skutek okazał i stwierdził. Widzieli bowiem niektórzy z czuwających w nocy na straży, na tarczy księżycy zwać walkę między królem a mnichem, która przez niejaki czas trwała; potem król owego mnicha zwyciężył i strącił z księżycy na ziemię. Ten dziw nazajutrz rozgłoszony w obozie, o którym wielu świadczyło, potwierdził Bartosz pleban Kłobucki, przydworny kapelan królewski, iż go własnymi widział oczyma. Byłlito obraz wymarzony w przeczcuciu przyszęłego zwycięstwa, czy widziadło nadziemskie wewnętrznych umysłu wrażeń, czy wreszcie inna jaka z tajemniczych przyczyn utworzona zjawia, powiedzieć nie umiemy. Niektórzy także z rycerzy krzyżackich opowiadali, a nie była to baśń płocho uklecona, ale powieść dowodnie i wszędy powtarzana, że przez wszystkie czas trwającej bitwy z Krzyżakami, widzieli ponad wojskiem polskiem, osobę w stroju biskupim, która błogosławiła Polakom i walczących ciągle podnosiła w boju, niewątpliwe obiecując zwycięstwo. Poczytano to za cud prawdziwy, który króla o przyszęłym zwycięstwie upewnił” (dotąd słowa Długosza).

Burza nie ustawała: czarnymi chmurami bałwanilo się niebo i przy pogwiździe gwałtownego wiatru, zwolna zbliżały się hufce polskie na oznaczone stanowiska.

W dzień wtorkowy, w dzień pamiątki rozesłania apostołów, pierwsze chorągwie nasze stanęły na pobojowisku. Rozległa to była okolica, dąbrowami opasana w około; przy zielonych pagórkach szerokie rowy, pole porośnięte krzakami po wyciętych borach, a w nich nizina

¹⁾ Kościół ten rozpoczęty przez Kazimierza W. 1361 r., siostra jego Elżbieta, żona króla węgierskiego Karola andegawońskiego, ukończyła, do którego sprowadziła Miechowitów, stróżów grobu Chrystusa Pana. Po zniszczeniu przez Szwedów, odbudowany w r. 1674; w r. 1795 kościół ten wraz z klasztorem i szpitalem na dom celny przemurowano.

umajona, do pięciu mil rozciągnięta. Tu założono obóz polski, na tej nizinie stanęły hufce litewskie, pod wodzą Witolda.

Naprzeciw wyniosła i obszerna góra dębina, przerastająca; z wierzchołka jej snadno całą okolicę przejrzeć można. Tu rozłożył się obóz krzyżacki, tu rozbito namioty, które zabezpieczono płotem z żelaznych łańcuchów, kobylic i ostrych drągów żelaznych przed natarciem jazdy.

Pod wsią Grundwaldem rozkazał Władysław Jagiełło rozbić swój namiot i w nim pobożnie słuchał Mszy Świętej, a co chwila nadbiegało rycerstwo, dając znać o bliskości nieprzyjaciela. Zwolna hufce polskie stanęły na stanowiskach i Witold na prawém skrzydle uszykował czterdzieści swych chorągwi.

Miecznik krakowski Zyndram Maszkowski, jako hetman pięćdziesięciu chorągwi polskich, stał już gotowy, postawiwszy na czele chorągiew Ziemi krakowskiej, którą niósł Marcin Wrocimowski. W zastępach litewskich stały hufce książąt ruskich i tatarskie cara Zawolskiego, jak w polskich chorągiew czeska, którą sprawował Jan Jencyk Morawiec herbu Odrowąż, którego ojciec wyprawił na pomoc Władysławowi Jagielle. W tym hufcu był także wstawiony później Żyszka, który w dziejach czeskich tak znakomite zajmuje miejsce.

Na widok zastępów polskich stojących w ordynku, powstał okrzyk wojenny w obozie krzyżackim. Lśnią blaskiem pancerze ich stalowe i przyłbice nabijane złotem i srebrem, rzą, rosły rumaki pod kosztownymi derami, okryte zbroją równie jak ich jeźdźce; germkowie za każdym rycerzem celniejszym i komturem w jedwabne, bogato wyszywane szaty przybrani, niosą oszczepy, długie kopie i ozdobne herbami tarcze. Stanęli i oni w gotowości do boju: przednie straże wyruszyły naprzód.

Jagiełło w namiocie wciąż słuchał nabożeństwa, gdy Witold, widząc zbliżającą się chwilę boju, przybiega doń, a wołając ażeby zaprzestał pacierzy, ruszył ku swoim chorągwiom.

Król po Mszy wsiadł na cisawego rumaka, a objeżdżając hufce zbrojne, zachęcał do męstwa, wyliczając krzywdy, jakie ponosi Rzeczpospolita od Krzyżaków i że ten krwawy bój, który wkrótce zawre, z ich tylko pochodzi przyczyną.

Wtém dają znać Jagielle, że z obozu zakonu przybywają posłowie. Byli to dwaj z armii pruskiej najprzedniejsi heroldowie, to jest herold króla węgierskiego Zygmunta, teraz nieprzyjaciela Polaków, Ramryk, i herold księcia szczecińskiego Kazimierza. Według zwyczajnego stroju heroldów, miał każdy z nich wyhaftowaną na piersiach dużą tarczę herbową z herbem swojego pana. Ramryk: Orła czarnego w złotém polu, herb Niemiec; herold Kazimierzów: Czerwonego Gryfa w białém polu, klejnot Pomorza. Obaj wzięli po jednym nagim mieczu i z nimi stanęli przed królem.

Gdy przywiedziono ich przed Jagiełłę, Ramryk przemówił w te słowa:

„Sławny królu! Mistrz pruski Ulryk przysłał ci oto dwa miecze: tobie jeden, a bratu Witoldowi drugi na pomoc, abyś z sobą nie trwożył a śmiało się potykał. Jeśli ciasne masz pole, chceć ustąpić swego miejsca.”

Jan Mężyk Wadwic z orszaku Jagiełły wytkómaczył przemowę zuchwałą posłów niemieckich. Wtedy król z pokorą westchnąwszy ku Bogu rzekł:

„Acz ci mieczów mamy dostatek, wszakże i te weźmiemy, które nam się mogą przydać na waszego mistrza. Bóg ci to najlepiej wie, zechmy skłonniejsi byli ku pokojowi z nim zawždy, aniż ku wojnie. Ale kiedy tak bardzo pragnie krwi naszej, cóż rzec? Nie wątpię nic w tém, że Pan Bóg przy sprawiedliwości naszej stanie, a onego zatém przepych skarże”¹⁾.

I kazał wziąć one miecze i w skarbcu przechować.

Król z dobranym hufcem, pod chorągwią mniejszą koronną, stanął na uboczu. W orszaku jego byli Ziemowit książę mazowiecki, Zygmunt Korybut i Feduska książęta litewscy, Jan Mężyk Wadwic, Zbigniew Oleśnicki, Jan Solawa czech, Bieniasz Wierusza, Piotr Madaliński, Zbigniew Czajka, który drzewce (lancę) za królem nosił i wielu innych²⁾.

Według dawnego zwyczaju, rycerstwo polskie chórem zaśpiewało pieśń *Boga-Kodzica*, i zaraz uderzano w trąby i kotły dając hasło do boju.

Krzyżacy odpowiedziawszy na hymn pobożny zuchwałym wraskiem z wyniosłej góry, dali ognia z dwu dział swoich, ale kule zgórowały bez szkody; po wystrzałach zaczęli się zwolna spuszczać na równinę, gdy chorągwie polskie nie bacząc na korzystniejsze dla wrogów pole, rzuciły się z kopyta i wsparły ich na miejscu. Bój zażarty trwał godzinę, przy grzmocie i chrzęście szabli i zbroi, przy trzasku druzgotanych kopii. Krzyżacy widząc tak silny opór w Polakach, rzucili całą potęgę swój jazdy na to skrzydło nasze, gdzie stali uszykowani: Litwa, Rusini, część hufców czeskich wraz z Tatarami.

Przed kolumnami w żelazo okutych Krzyżaków, pędzących cwałem, w lśniących pancerzach i hełmach, pod którymi głuchym stękiem zajęczała ziemia, niedotrzymała skórą dzikiego zwierza okryta Litwa w strzały tylko i lekki oręż zbrojna; pierwsze uderzenie wytrzymała dzielnie, ale złamana naciskiem przeważnej broni, pierzcha na spłoszonych koniach, za nią uchodzą Rusini, Czechi i Tatarzy. Daremnie usiłuje mężny Witold nawrócić: głos jego prośby, groźby, i przekleństwa ginie w okrzyku trwogi. Wszystko ucieka w nieładzie, a wielu nieoparło się aż na ziemi litewskiej, gdzie trwożną wieść o zwycięstwie Krzyżaków i o śmierci Jagiełły roznieśli.

Kłęska tego skrzydła naszych, byłaby zupełną, gdyby nie bohaterskie trzy chorągwie: Smoleńska, Wileńska i Trocka, które dotrzy-

¹⁾ Marcin Bielski: *Kronika Polska*.

²⁾ Maciej Strykowski: *Kronika*

mawszy pola, z boku uderżyły i zmusiły zwycięzkie hufce zakonu do odwrotu. Równocześnie straszny okrzyk zgromy powstał w środkowej armii polskiej. Upada wielka chorągiew koronna, Niemcy ją zdobyli! Na ten widok zemsta zapala serce polskiego rycerstwa: pierwsi Sieradzanie uderzają z niesłychanym zapałem, za nimi inne hufce nasze. Bój tu wre najkrwawszy, bo idzie o najdroższe godło narodowe. Złamani Krzyżacy uchodzą: chorągiew im wydarto, podniesiono w górę, a gdy powiała znów wspaniale po nad dzielnym rycerstwem, powitał ją gromowy okrzyk radości, który echo po całym rozniostem polu. Widząc pogrom Litwinów, podkanclerzy Trąba ruszył z hufcem świeżym na pomoc trzem chorągwiom: Wileńskiej, Smoleńskiej i Trockiej, z których jedna mężnie dotrzymując pola, już gestym trupem upadła. Przebywając las spotyka uciekający zastęp Czechów z wodzem ich Janem Żarnowskim. Oburzony podkanclerzy tém tchórzostwem nikczemnym niepożalował im słów obelżywych ¹⁾. Czesi poruszeni zniewagą, złożwszy winę na dowódcę, zbierają się, łączą z hufcem Trąby, którego szyki powiększają wracający z popłochu Litwini z Tatarami, i podają bratnie dłonie bohaterskim chorągwiom Smoleńszczan i bitnym Litwinom.

Już słońce dobiegało południa, gdy w połączeniu uderzył ten hufiec na znużonych walką Krzyżaków i zupełnie ich rozgromił. Kilku dziesięciu komturów padło trupem, a wielu pochwytych w niewolę, związanych w łyka, pędzono na długich smyczach surowcowych.

Wiatr gwałtownie szumiący z ponurym pogwizdem ucichł, dęszczy drobny a gęsty pokropił dobrze ziemię, tumany piasku opadły i kurza wnikła. Rozpogodziło się niebo, orzeźwiało duszące przed chwilą powietrze, a śliczna tęcza z brunatnym łukiem zajaśniała od strony dąbrowy, gdzie stał król Jagiełło ze szczupłym hufcem swoim ²⁾.

Pierwsze zastępy Krzyżaków zgromiono, uderżyły drugie.

Witold zebrał chorągwie swoje rozpierzchnęte: od gęstych strzał litewskich aż cień pada na pobojuwisko. Krzyżacy, całą siłę ataku wymierzają na te chorągwie. Swist strzał, łoskot potraskanych kopii, szcęk szabel, chrzęst stalowych zbroi, miesza się z okrzykiem wojennym, z odgłosem trąb i kotłów. Mężna Litwa, krwawym potem zlaną, ujrawszy upadającą swą wielką chorągiew ze świętym Jerzym, zwolna zaczyna ustępować z pola, gdy Witold nowe wyprowadza hufce Nowogrodzan i Wołyńców; za nimi w pomoc spieszą Łęczycanie, Kujawiacy, książęta Mazowieccy wiodą Płoczzanów, Warszawiaków i Rawianów. Zastępy te ostatecznie łamią zastępy żelazne Krzyżaków. Skarbek chyty w niewolę księcia Szczecińskiego, który częścią ich dowodził. Popłoch powstaje, Krzyżacy ustępują gromadnie; ale w tej ucieczce wię-

¹⁾ Po bitwie, Jagiełło Żarnowskiemu posłał kądziel i skórę zającą, za tchórzostwo, a żona jego z nim żyć nie chciała, że szańbił tym czynem dobre imię swoje.

²⁾ Maciej Strykowski: *Kronika*.

cój ich ginie, niż w otwartym boju, bo jazda polska dojeżdża na karaku, a niemogąc szkodzić w żelazo okutym Krzyżakom, długimi drzewcami kole i przebija konie, które padając zwalają ich z siodeł i gniotą własnych jeźdźców.

Z wyniosłości góry mistrz wielki widzi klęskę swoich. Daje znak, uderzają w trąby i kotły. Szesnaście chorągwi spuszcza się ze straszynym wraskiem, przy huku rusznic ognistych.

Polacy zmęczeni bojem, widzą że przysłała ostatnia stanowcza chwila, która rozstrzygnie zwycięstwo. Wielki mistrz Ulryk von Jungingen prowadzi ten gróźny zastęp, który potępiającej od kopyt ziemi, leciał właśnie w tę stronę, kędy był król ze szczupłą strażą swoją.

Posyła w tak nagłym razie Jagiełło Zbigniewa Oleśnickiego do bliższej nadwornej chorągwi z rozkazem, aby mu w pomoc biegła. W tej właśnie chwili gotowała się ¹⁾ ona do spotkania z Krzyżakami: gdy więc przyskoczył tam Zbigniew, dowódzca jój, doświadczony w boju wojownik Mikołaj Kiełbasa, dobywając miecza, kazał mu się cofnąć.

„Czy nie widzisz, nieszczęśliwy, zawołał, jak idzie na nas nieprzyjacieli, a chcesz nas zmusić, abyśmy odstępując walki, biegli na obronę króla? Cóżto będzie znaczyć, jak chyba że uciekamy z pola, a tył wrogom podając, nie tylko nas, ale i samego króla, w najjawniejsze podamy niebezpieczeństwo!”

Młody Zbigniew, szukając nadaremnie pomocy, wrócił do króla, zdając mu sprawę, że próżno i innych chorągwi wzywać wsparcia, bo wszystkie w gorącym opale. Dowódzcy przeto przybocznej straży, kazali copędzej zwinąć powiewającą przy królu mniejszą chorągiew koronną, aby nie wydać wrogom jego stanowiska, i ścisnęli szereg zakrywając własnym ciałem osobę monarchy. Ale Jagiełło nie mógł znieść dłużej bezczynności, zapragnął udziału w tej krwawej walce. Przybrany w lśniącą zbroję, w ozdobnym hełmie, spinał cisawego rumaka ostrogami a gdy jeden z przybocznych schwytał za uzdę jego wierchowca, król uderzył go żelazcem swój kopii. Wszyscy jednakże stanowczo oświadczyli, że gotowi zginąć, ale nie dozwolą mu narażać życia.

Mikołaj Kiełbasa dzielnie się sprawił z chorągwią nadworną: po uporczywym boju, zastęp Krzyżaków odparł i do ucieczki zmusił. Z tego oddziału wybiegł olbrzymiej postaci krzyżak, cały okryty żelazną zbroją, na którą przywdział biały kaftan ze złotym pasem, na gnładym koniu, a zwabiony świetną zbroją Jagiełły, na niego się zwrócił, i wymierzył swą kopię. Król na niego swoją zwrócił, gdy Zbigniew Oleśnicki, złamany tylko drzewiec ściskając w dłoni, uderza z boku na pędzącego krzyżaka, i silnym pchnięciem, dorazu go wysadzza z siodeła i zwała na ziemię. Gdy w tym upadku spadł mu szyszak z głowy, Jagiełło uderzył go w czoło obnażone kopiją, a straż dobiła zuchwałego harcownika. Był to Dippold Kiekeritz von Dieber z Luzacyi, ochotnik w służbie krzyżackiej.

1) Długosz.

Cały zastęp wielkiego mistrza tak groźny przed chwilą, rozbity legł trupem, lub poszedł w łyka niewoli. Sam Ulryk od prostego dra-
ba, oszczepem przebiły poległ.

Z ogólnego pogromu uciekł w lasy komtur Werner Jetinger: nie-
dobitki schroniły się do warownego obozu, chcąc w nim znaleźć ocale-
nie. Ale daremny opór stawiali: z za wału wozów spiętych grubemi
łańcuchami, zdobyto tabor i w pień wycięto wszystkich.

Beczki z winem przygotowane do zwyciężkiej uczty, Jagiełło ka-
zał rozbić i obfite strugi drogiego trunku, znięszwały się z krwią pięć-
dziesięciu tysięcy poległych Krzyżaków, spłynęły potokiem na pola
wiosek Grundwaldu i Tanenbergu.

Król po odniesioném zwyciężtwie dał rozkaz, aby uderzono w trą-
by na znak, żeby każdy stanął pod swą chorągwią. Zabrano jeńców
40,000, między temi 300 komturów, i celniejszych Krzyżaków, przy-
wiedziono zdobyte dwa działa, pięćdziesiąt dwie chorągwie i zbroi moc
wielką. W obozie znaleziono pełne wozy płótna smołą napuszczonego,
a przy niém mnóstwo łańcuchów przygotowanych, powrozów i pęt, któ-
remi spodziewali się dawni Krzyżacy krępować ręce niewolników pol-
skich. Rycerstwo nasze zdobyło bogate łupy w złotych i srebrnych łań-
cuchach i sprzętach, w kosztownych zbrojach i broni, w szatach jedwab-
nych i wełnianych.

Kronikarze nasi nie podają liczby poległych Polaków i Litwy;
miarkując jednakże z krwawego boju i walki tak zawziętej, przez pół
dnia toczonéj, wnosić musimy, że nie mało poległo, jak i ciężkie po-
niosło blizny. Ze znaczniejszej szlachty dwunastu tylko wspominają,
między tymi Jakóbowskiego i Czulickiego.

Boj ten, na śmierć lub życie, należy do owych starć historycznych,
które rozwiązują pewne idee dziejowe. Walka pod *Grundwaldem* roz-
wiązała pytanie światowego znaczenia, czy Germanizm ma pochłoniąć
najpiękniejsze ziemie starożytnéj Słowiańszczyzny, a po zdeptaniu Rze-
czypospolitej polskiej, zwyciężką nogę oprzeć o brzegi Niemna i Dnie-
pru, czy pozostać w granicach i tak już szerokich.

Wstrzymana niemiecka nawała, pod chorągwią Krzyżaków zgro-
madzona, po téj klęsce stanowczéj, już się wzmódz i podnieść nie zdołała.

Współcześni dziejopisowicze krzyżacy, z głęboką boleścią piszą:
„Jeden dzień pod *Grundwaldem* zniszczył wszystką chwałę i potęgę za-
konu: był to dzień jego najwyższej sławy rycerskiej, lecz zarazem osta-
tni dzień pomyślności i szczęścia. Od jutra, miały się zacząć dnie jego
upadku po wszystkie czasy”¹⁾.

Obfite w plon korzystny następstwa dla Polski, dało to zwycię-
stwo: ztąd walka pod *Grundwaldem* należy do najwydatniejszych wy-
padków, nie tylko na kartach historii naszéj, ale w dziejach powszechn-
nych, i ta zaprawdę idea musiała kierować pędzlem mistrza.

¹⁾ *Voigt. Gesch. preuss. Szajnocha: Jadwiga i Jagiełło.*

Powody do tak krwawego starcia już się zgromadzały zwolna od XIII stulecia, jak na pogodnym niebie chmury gromami brzemienne. Pierwszy szczupły zastęp Krzyżaków przyjęty gościnnie przez Konrada księcia Mazowieckiego, obdarowany nawet ziemią, zaledwie osiadł na swęj darowiznie, wprędce, rozrosł się w olbrzyma, umiał pod pozorem rozszerzania wiary chrześcijańskiej, zbierać tłumy nadbiegającego rycerstwa z Francyi, Anglii, Szkocyi i całych Niemiec, dla których do rozboju i pożądlivych łupów otwierali szerokie pole, w krainach litewskich pogan. Zachęceni korzystną łupieżą, gdy pogaństwo znikło a krzyż Chrystusa, rozciągnął swoje ramiona, ponad Litwą i Żmudzią, pod dawném hasłem, ponawiali swoje rozbójnicze napady, nieszczędząc ani kościołów ani chrześcian bezbronych. Już nie sama Litwa obudzała zakonu żądze podboju, teraz zwracali się ku samęj Polsce. Piastowie walczyć z Krzyżakami musieli: Łokietek pod Płowcami pierwszą im ciężką zadał klęskę, ale zakon po nięj, jeszcze dumnieję głowę podniósł: teraz dopiero przed Jagiełłą i Witoldem z pokorą czoła pochylić musiał.

Współczesny, lubo nam z imienia nieznaný rycerz-poeta ułożył pieśń, w której objął ważniejsze szczegóły tęj pamiętnęj bitwy. W sto lat przepisana w starym rękopiśmie, odkrył ją Leon Rzyszczewski i dał nam poznać ten starożytny a ciekawy zabytek pieśni historycznej (w *Bibliotece Warszawskiej*, 1843 r. t. III). Jestto ze znanych dotąd najpierwszy zabytek tego rodzaju poezyi polskiej. Podajemy go tu w całości, ale w dzisiejszjęj pisowni dla jaśniejszego zrozumienia.

Piessn o pruskiej porassze kthora sie stala za krotia Jagiello Wladislawa. Roku 1510 napisana.

„We wtorków dzień Apostolski,
Rzekł marszałek króla polski:
Wielki tu jest lud nad nami,
Trzeba by był Pan Bóg z nami.”

Król widząc iż blisko było
Aby się to dokończyło,
Acz się Niemcy hardzie brali,
Niż Polskiej mocy doznali.

Chorągiew wnet kazał podać
Chcąc swym serca więcéj dodać,
A iż ją podnosi sprawnie
Temi słowy dał znać jawnie:

„Boże! Ty mój, wiesz bez chyby,
Co pomyśli człowiek żywy;
Przed Tobą się nic nie skryje,
Kto źle albo dobrze żyje.

Ty wiesz zawsze żem uchodził,
Abym nikomu nie szkodził,
Iż wojna ta za mym żalem,
Świadcę Tobą, Bogiem samém.

Ale iż je *pych* unosi
 A ma składość wstydy odnosi,
 W Twą nadzieję wojnę wznoszę,
 A za krzywdy, pomsty proszę.

Ty wiesz, Panie, moją radę,
 Żem wołał pokój niż zwadę;
 Pokój choć z mém ulżwieniem,
 Niż wojnę z dobrém sumieniem.

Ale żęś mnie na to wysadził,
 Abym o Twym ludu radził,
 Ze krwawych je rąk wyrwać trzeba,
 Na pomoc im zstąp z nieba.

Chorągiew tę już rozciągam,
 W łaskę Twą z wojskiem dociągam;
 Kto ma prawo między nami
 Pomóż mu swemi rękami!

Wejrzyj, Panie, na krew onę,
 Która polała tę stronę;
 Ta woła sprawiedliwości,
 A już nie krew, ale kości.

Iż ci, którzy tu polegną,
 Płaczem swym Ciebie dosięgną,
 By nie żył ten i godzinę
 Kto tój wojnie dał przyczynę.”

Słyszą te królewskie słowa,
 Zapłakła każda głowa:
 Witul taką rzecz uczynił,
 Kto początkiem, tego winił.

Potém, płaczu zaniechali,
Boga-Rodzice śpiewali,
 Tusząc jutro każdy sobie,
 Wesolym być o tój dobie.

Potém do króla przysłano,
 O bliskiem wojsku znać dano:
 A król się modlitwą bawił,
 Nic nie czynił, niż to sprawił.

Witold a Maskowski dbali,
 By wtenczas lud szykowali;
 Król po skończeniu modlitwy,
 Na swym koniu czekał bitwy.

Polski lud wziął lewą stronę,
 Litewski prawęj obronę;
 Dziewięćdziesiąt wszystkich mieli
 Chorągiew, które widzieli.

Na czele lud co wybrańszy,
 A co dalój, to są tańszy;

Ku bitwie lud nieprzyjstojny,
Król w obóz odesłał z wojny.

A gdy poczęto trąb słuchać,
Już każdy jął swego szukać;
Wtém dwa posłowie przysłani,
Byli od króla słuchani.

„Mistrz pruski, dał ci powiedzieć,
Iż mu to tak dano wiedzieć:
Iż ci serca niedostawa,
Dla tegoż dwa miecze dawa.

Abyś te miał na pomoc,
Wszak poznasz co jest niemiecka moc,
A rozdzieli się z nimi z bratem,
A potykać się każ z atém.

A jeśliż pola niedostawa
Do szyku, otóż ci dawa,
Abyś niémiał żadnej obmowy,
Oto już masz plac gotowy.”

Wtém się ich wojsko cofnęło
Nasze się dobre poczęło,
Boć to był znak albo wiedzieli,
Iż tam nazać biegać mieli.

Król przyjął miecze z pokorą
I dał im odpowiedź skorą,
Która za prorocstwo stała,
Bo się im pycha znać dała.

„W mém wojsku acz dosyć broni
Poznał ten, kogo mój zgoni,
A wszakże ja za te dziękuję,
Wygrać sobie obiecuję.

Acz na przepych są posłane,
Ale jednak mnie są dane;
Bo się zwyciężonym czuje,
Kto komu broń ofiaruje.

Zna Pan Bóg zem ciągnął na zgodę
I wam tego dowiodę,
Ale gdyście krwie nie syci,
Da Pan Bóg, że w niej będziecie zmyoi.

Pan Bóg długo zwykł folgować,
Kogo chce wiecznie zepsować,
Aby ciężką znał odmianę,
Gdy nieszczęście zada ranę.”

Potém król swe napomniawszy;
Na próby ich odjechawszy,
Bo Polacy zwyczaj mają,
Iż za pana gardło dają.

Rozkazał dać znak spotkania,
A mało było czekania.

Niemcom przyszło bieżyc z góry
I szli by wyskoczyć z skóry:
A wtém z kilku dział strzelono,
Nikogo nieugodzono.

Trzask, wrzask, krzyk, płacz był niemały,
Uszy zdala to słyszały,
By się był miał świat wazystek złomić,
Niemógłby ich tak ogromić.

Zaczęła się bitwa sroga,
Krew, śmierć, dusza wnet nie droga,
A mąż się do męża kwapił,
Czém kto mógł swego poąpił.

Tak że się wo krwi mięszali:
Zbroja, trupy co spadali,
Miecze, tarcze, kordy, łuki,
Już mdłe konie, a drzew stuki.

Na godzinę nie znać było,
Gdzie się zwycięztwo chyliło;
Aż Niemcy wzięli tę radę,
Z prawém skrzydłem zacząć zwadę.

Potém się na Litwę puścili,
Na pomieszane trafili
Ich pędu strzymać nie mogli,
Tak Pan Bóg chciał iż je zmogli.

Wtenczas Wrocimowskiemu,
Chorażemu krakowskiemu,
Chorażew na dół strącona,
Ze krwią naszych jest wrócona.

Tam po téj przygodzie skoro:
Poczęło się naszym szczęśció sporo:
Bo się Niemcy pomieszali
A Polacy docierali.

Chelmińskie wojsko zostało,
Chorażwi szesnaście miało;
Wtém mistrz z Krzyżownicy jał stronió,
Chcąc Polaków w sak nagonió.

Król tam stał blisko w obronie,
Chciał bieżec ku tamtéj stronie,
Tak iż go ledwie wstrzymali
Ci, którzy mu wiarę dali.

A wtém jakiś rycerz zbrojny,
Chciał skosztować z królem wojny;
Ale mu się nie powiodła,
Bo wnet zaraz wypadł z siodła.

Chciał króla *drzewem* dojechać,
 A król go też nie chciał zaniechać;
 Oleśnicki węł zawadził,
 Bo go mężnie z konia zsadził.
 Helm mu dobił — został goło,
 A król go ugodził w czoło;
 Ci co króla pilni byli,
 Tam go do końca dobili.
 Ostatnie wojsko zostało,
 Ale i to za swe miało,
 W którém był mistrz z Krzyżownikami,
 Pomyłono wszystkim szyki.
 Owa wszyscy tył podali,
 Co pierwej hardo kazali
 I w obozie się nie skryli,
 Jak bydło Polacy bili.
 Pięćdziesiąt tysięcy na placu
 Zostało ich nie bez płaczu,
 A czterdzieści pojmano,
 A tak jako trzodę gnano ¹⁾.
 Pokora sama wygrała,
 Bo u Boga miejsce miała.
 Obóz, działa, wszystko wzięto:
 Tak Niemcom pychę odjęto;
 Łańcuchy co zgotowali,
 Temi je nasi wiązali.
 Po téj bitwie stał się koniec,
 Wtém do Polski posłan goniec,
 Iż król wygrał, a mistrz stracił
 I gardłem tego przyplacił.
 Tak ci Pan Bóg hardość traci,
 A pokorę hojnie płaci;
 Sprawiedliwość w bitwie zmoże:
 Tak daj zawzdy wygrać, Boże!

Piesń ta, podłożona pod nutę dobrze znaną i ulubioną, była śpiewaną w całej Polsce przez trzy wieki. Zapisali to w kronikach swoich: Marcin Bielski i M. Błazowski w tłumaczeniu kroniki Kromera. Melodya sama zaginęła, ale piesń ta przetrwała jeszcze całe panowanie Zygmunta III i pod Władysławem IV dopiero ucichła.

Warszawa, d. 10 lutego 1879 r.

¹⁾ W oryginalnym tekście czytamy takie dwa jeszcze w tém miejscu wiersze, które w staréj pisowni podajemy.

„Mistrz s kunthorij wszijsozi zbiczy,
 Mijeczse ozo przinijesli ij czij.”

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Dzieła Beaudrillard'a: *Historia zbytku w życiu publiczném i prywatném, od najdawniejszych czasów do dni naszych*.—*Pesymizm w XIX wieku*, przez p. Caro, profesora filozofii w Sorbonie: Leopardi, Schoppenbauer, Hartman.—*Młode lata lorda Beaconsfield*, przez Wiktora Valmont.—Muzeum techniczno-przemysłowe w Krakowie: jego paryzkie wydawnictwa.—Muzeum etnograficzne w Paryżu: dział polski.—Dzieło Legouvégo: *Nasze córki i nasi synowie*.—System p. Mękarskiego.—*Muzycyana* Winklerlina, przekład p. Alberta Sowińskiego.—*Dwadzieścia pięć melodyj do śpiewu*, z akompaniamentem na fortepianie.—Akademia Arcadi *Romani*.—Nowa nagroda Jana Reynaud w Instytucie francuzkim.

Członek instytutu Beaudrillard, profesor ekonomii politycznej w kolegium francuzkiem, rozpoczął wydawnictwo obszernego dzieła p. t. *Histoire du Luxe, Historia zbytku w życia publiczném i prywatném, od najdawniejszych czasów do dni naszych*. Przełożyliśmy *Luxe* na *Zbytek*, musimy jednak dodać uwagę, że wyraz nasz nie określa dokładnie rzeczy, a co więcej nie odpowiada myśli autora; tém bardziej nie odpowiedziałby jój wyraz *przepych*, gdybyśmy go użyli. Wszystko co zbyteczne, co pyszne, musi być z konieczności naganném; *luxe* tymczasem, oznacza ów polor, ów blask zewnętrzny, który ma zarówno stronę dodatnią jak ujemną, a przez nadużycie tylko staje się szkodliwym i godnym potępienia. Niechaj lingwiści rozświecą pytanie, dlaczego wyraz *luxe* nie znalazł równoznacznego, w bogatj mowie naszj, kiedy jednością cywilizacyi, związani ściśle z europejskiem społeczeństwem, spożywalimy z niém razem, tak zdrowe jak i skażone jój owoce? My przyjmujemy wyraz *zbytek*, w braku dokładniejszego orzeczenia.

Autór przeprowadza historycznie rozwój zbytku od czasów najdawniejszych, łącząc go ściśle z rozwojem cywilizacyi. Jeśli widzi w nim jedną z potężnych dźwigni, popychających ludy na drogę postępu, z drugiej strony mierzy okiem bezdenną otchłań, w jaką zbytek pogrążył tyle narodów, bez względu na ich ustrój społeczny. Obszerna praca obejmie tomów cztery. Pierwszy tom, który mamy właśnie przed sobą, zawiera najprzód teoretyczne zasady, pokazując stosunek zbytku do moralności, do ekonomii społecznej i polityki; następnie historyczny zarys, sięgający epoki kamiennj, przeprowadzony przez społeczeństwa azjatyckie do Grecyi, téj kolebki co wykołysała europejską cywilizacyą.

Przedmiotem drugiego, dotąd niewydanego tomu, będzie rozwój zbytku w starożytnym Rzymie. Tom trzeci ogarnie wieki średnie, oraz epokę odrodzenia. Czwarty, wieki nowożytne aż do chwili obecnej.

Wielka część tomu pierwszego, poświęcona teorii i polemice. Ekonomista walczy tu równie ostrą bronią, przeciwko szkole rygorystów, którzy jak niegdyś J. J. Rousseau, chcieliby cofnąć ludzkość do stanu barbarzyństwa, jak przeciw szkole apologistów zbytku, którzy widzą w nim najwyższy rozkwit cywilizacji.

„Słusznie mówi autor, postawiono aksyomat, że zbytek rozmiękcza i psuje. Niszczy on w duszy mężki hart, budzi rozmiłowanie w życiu i błyskotkach, zabija ducha ofiary, bez którego żadne społeczeństwo ostać się nie może, odbiera zarazem pochop do dobrego i siłę oparcia się złemu. Historycy i moralisci pokazali nam zarówno smutny wpływ zbytku na obyczaje, na upadek charakterów, jaki za sobą pociąga. Karmieni od młodu temi maksymami, widzieliśmy w nich piękną tylko deklamacją; później niestety, widok tyłu podłości spowodowanych chęcią używania i błyszczenia, dał nam poznać całą słuszność tych komunałów.”

Przebiega następnie Beaudrillard wszelkie formy ustroju społecznego; pokazuje czem jest zbytek w samowładnym rządzie, skupiony w jednej osobistości; pokazuje go w możnowładztwie, nakoniec w demokracji. Nadużycie jego wszędzie zgubne, ale w demokracji największemu grozi niebezpieczeństwem. „Kiedy masy dotknięte zarazą, pyta autor, i gdzie szukać lekarstwo? Niech co chcą mówią, niema innego nad moralną reformę! Niektórzy widzą zaradczy środek w kombinacjach politycznych, w pomysłach ekonomii społecznej, wskazujących nową organizacją pracy, kapitału i kredytu. Wszystko to próżne mrzonki! Cały blask zbytku publicznego, rzucany gwoździem zabawie tłumom, nie ugasi pragnienia. Tłum żąda coraz więcej i więcej. Na takie złe jedyny środek w religii i w moralności. Świat zewnętrzny z całym urokiem swoim, społeczeństwo z wszelkimi reformami w polityce i ekonomii, zupełnie bezsilne, wobec tej straszliwej choroby.”

Ramy nasze nie pozwalają nam iść za autorem w jego teoretycznych wywodach; przejdźmy czempredziej do historycznego zarysu, który stanowi najciekawszą część jego dzieła. Sięgając do gruntu, ekonomista nie rozpoczyna od Egipcyan ani Asyryjczyków, tych starożytnych reprezentantów cywilizacji; sięga on dalej w przeszłość: pokazuje wydobyte z jaskiń i kurhanów pierwsze ślady pracy, a zarazem pierwsze skazówki twórczej fantazyi człowieka, odnoszące się do czasów, kiedy renifery przebiegały Francją południową, kiedy mamut był tam jeszcze żywym zjawiskiem. Autor w prostych narzędziach z epoki kamienną, widzi już pierwsze zarody zbytku. „Człowiek pierwotny, mówi on, te same miał instynkta, jakie się okazują u ludzi wyżej ukształconych; próżny był i wymyślny, o ile pozwalała na to możność. Z drugiej strony, szlachetny popęd ciągnął go ku sztuce, czuł piękność świata zewnętrznego, odtwarzał ją w miarę sił własnych.”

Dowodem tego owe renifery i mamuty, rysowane na kości, odkryte niedawno w głębi dordońskich pieczar. „I cóż ztąd za wniosek, zapytuje autor. Oto cała przepaść staje między człowiekiem a bydłem. Tu już człowiek dalszym jest od zwierza, niż pierwsze bełkotanie sztuki, od jej najgenialniejszych arcydzieł.”

Urny wykopane w Grecyi, pod lawą i popiołami zgasłych wulkanów, dają poznać upodobanie ludów pierwotnych w stroju. Na tych urnach oznaczone ludzkie twarze, mają w uszach kolczyki. Toż samo widzieliśmy w urnach wykopanych niedawno pod Toruniem, które stanowiły główne bogactwo antropologicznej wystawy polskiej. W Jutlandyi odkopano kilka tysięcy drobnych przedmiotów bursztynowych zamkniętych w skrzynce; snąc kramik jubilera z epoki kamiennej, jak się wyraził Quatrefages. Epoka bronzowa obfitszych dostarcza płonów: pierścienie, śpilki i bransolety, tarcze i oręż, dobywane raz poraz z ziemi, pokazują stopniowy postęp w przemyśle jak i w poczuciu piękna.

Od ludów przedhistorycznych Beaudrillard przechodzi do plemion dzikich, rozrzuconych dziś po różnych stronach świata, od biegunów pod równik. U wszystkich ludzi popęd do stroju, z tą różnicą, że ludy stron północnych zdołają odzież, południowcy zaś własne ciało. Dzicy zpod równika malują się jaskrawemi barwy, czarno, żółto, czerwono. Sztuka ta ma swoje prawidła, a nawet swoją modę, zmieniającą się zarówno jak krój sukien.

Jeżeli w świecie cywilizowanym, moda tyranizuje niekiedy zbyt gorliwych swych holdowników, bardziej jeszcze pastwi się nad barbarzyńcami. Niektórzy przeciągają przez nos kość grubą na palec, długą na pięć albo na sześć cali. Eskimosy dziurawią twarz, w otworach obsadzają błyszczące kamyki. Toż samo istniało w Ameryce. Odkryto niedawno w Londynie ciekawy rękopism z XV wieku p. t. *Mundus novus*. Jestto relacya Ameryga Wespuciego o nowo-odkrytym świecie, spisana dla Wawrzyńca Medyceusza. „Mieszkańcy tutejsi, mówi Amerygo, dorodni i zręczni, ale szpecą się dobrowolnie, dziurawią bowiem policzki, usta, nozdrza i oczy. Widziałem na twarzy u jednego siedm dziur, każda wielka jak śliwka. W otwory te kładą błękitne kamyki, lub kawałki marmuru, kryształu i alabastru, wyrobione dość sztucznie. W każdym uchu trzy razy przekłutém, noszą po trzy mosiężne kolce ozdobione kamieniami.”

Pobudki do stroju, też same u dzikich plemion, jak i w ucywilizowanym społeczeństwie; próżność odgrywa tu ważną rolę; więcej jednak idzie im o wyróżnienie się od drugich, stosownie do stopnia hierarchii. Skóra tatuowana w rozmaite wzory, jest świadectwem godności rodowej. Naczelnicy z wyspy Nuka Hiwa, mają wykluty na ciele deseń, naśladujący kaftan barwistej materyi, lub żelazną kolczugę: im niższy stopień, tém nakłucie uboższe. Tubylcy z wyspy Viti, noszą piętrzaste fryzury, jak panowie francuzcy z czasów Ludwika XIV; farbują włosy na czarno, żółto albo czerwono: niekiedy na wszystkie

barwy razem. Inni gołą głowę, zostawiając tylko kilka barwistych pęków.

Kobiety więcej w ogólności zaniedbane, u niektórych jednak plemion Afryki środkowej, stroją się z upodobaniem. Palce u rąk i nóg obwijają liściem pewnego drzewa, co im nadaje kolor purpurowy. Zęby malują farbą żółtą i czerwoną, włosy maczają w indygu; błyszczą całe od mnóstwa paciorek i metalowych guzików.

Nigdzie jednak popęd do zbytku nie objawia się tak silnie, jak u czerwonoskórnych Indian. Wesela obchodzą tu nadzwyczaj uroczyste. Nowożeńcy stroją się w ogromne pęki piór, w kosztowne futra, w błyszczące naszyjniki. Młodzież wyprawia najdziwniejsze skoki i pantominy. Uczta składa się z ryb, mięsiwa, ciasta i wszelkiego rodzaju owoców; za napój służy sok z jesionowego i sumakowego drzewa. Krewni i przyjaciele znoszą pannie młodej liczne upominki: spódniczki i gorsety z morwowej kory, ciepłe futra, okrywki z piór w rozmaitych kolorach, pierścienie złote, kolce do nosa i do uszów.

Takie rozmiłowanie w zbytkach, doprowadziło do zguby tę nieszczęśliwą ludność. Przemysłni Amerykanie znając słabą ich siłę, korzystają z niej bez skrupułu. Zdarza się nieraz, że za świecideła i paciorki, za broń palną a szczególnie za wódkę, zdobywają od nich wielkie obszary żyznej ziemi.

Ze stepów nowego świata, Baudrillard przechodzi na Wschód, gdzie zbytek pogrążył w przepaść tyle kwitnących państw i grodów, gdzie szał ten przetrwał najdłużej. Ostatnim jego reprezentantem, był jak mówi autor, zmarły niedawno sułtan Abdul Azis. Miał on do służby sześć tysięcy dworzan i domowników; w stajnach utrzymywał sześćset dwadzieścia koni, pod dozorem dziewięciuset stangretów, koniuszych i masztalerzów. Harem sułtański pochłaniał wielką część dochodów Państwa: mieszkało w nim tysiąc dwieście sułtanek i niewolnic. Grono lekarzy i ulemów otaczało monarchę; miał nadworną kapelę i przybocznego astrologa. Miłośnik budowli wznosił przepyszne gmachy i pałace; wspaniałą rezydencją w Czeraganie, inną w Beglerbey, oprócz tego wielką moc kiosków i meczetów.

Pałac w Czeraganie nad Bosforem, tworzy jakby osobne miasto: kosztował miliony; pałac Beglerbey, mniejszy co do rozmiarów, lecz urządzony z niesłychaną wytwornością, nie mniej pochłonął złota.

Przypych ten dziś już należy do historii. Był on słabym odbiciem tego blasku, jaki otaczał tron dawnych Sardauapalów i Nabucho-donorów.

Autor zwraca się potem do najgłębszej starożytności; pokazuje rozwój zbytku w Egipcie. Przed laty pięćdziesięciu, mówi on, byłoby niepodobniństwem porwać się na taki zarys historyczny: dziś prace egiptologów otworzyły drogę badaniom. Hieroglify wypowiedziały tajemnice, zakryte dla tylu pokoleń; świątynie i pałace wydobyte z łona ziemi, przez Mariette-Beya, stawiły przed oczy światu żywy obraz starożytnej cywilizacji.

Nigdzie przepych religijny nie przybrał tak olbrzymich rozmiarów, jak w tém społeczeństwie, gdzie pierwotny monoteizm przerodził się nie w wielobóstwo, jak mylnie utrzymywano, ale w bardzo rozgałęzioną symbolistykę. Nie mogąc utrzymać się przy abstrakcyjnej idei jednego Boga, Egipcyanie obok niej, uczcili najprzód słońce, następnie synów słońca, Faraonów, nakoniec twory ziemi bądź dobroczynne, bądź złowrogie, jak apisy i krokodyle.

Faraonowie za życia już podniesieni do apoteozy, po śmierci odbierali cześć boską. Wznoszone dla nich piramidy, były zarówno świątynią i grobowcem. Aby dać pojęcie ich olbrzymich rozmiarów, autor przypomina, że piramida Cheopsa, pochłonęła taką masę kamieni, iż według najściślejszego obliczenia, zbudowany z niej mur, wysokości stóp sześciu, zająłby przestrzeń tysiąca mil francuzkich!

Baudrillard ukazuje po kolei wielkie ogniska cywilizacyjne starożytnego Egiptu: Abydos miasto święte, słynne grobowcem Ozyrysa; Meinfis, błyszczące przez siedm wieków, nieporównaną chwałą; Teby o stu bramach, opiewane niegdyś przez Homera, pełne kolosalnych posągów, ze złota, srebra, kości stoniowój. Obok tych stołecznych grodów ukazuje przepyszne świątynie Karnaku, Luksoru, Elefantyny, i owo Serapium, słynne cmentarzysko apisów, które Mariette Bey odgrzebał niedawno z pod wiekowego pyłu, równie jak przepyszny Ramassejon, przybytek zbudowany na chwałę Ramsesa Wielkiego, pokryty cały malowidłem i hieroglifami.

Z tych malowideł, z tych hieroglifów, kreślonych na gmachach i grobach, zabłyśta dziś w pełném świetle odwieczna cywilizacya Egiptu. Mury grobowców w Beni Hassan, pokryte freskami, dają poznać wszelkie rzemiosła i prace rolnicze, znane w Egipcie na 5,000 lat przed erą naszą. Tu oracz prowadzi po zagonie pług uprzężony w woły, tam żenicy ścinają sierpem garście płowego zboża. Inni posiewają ziarno w rolę, uprawiają winnice, wyciskają sok z jagód. Zduny lepią misy i garnki, rzeźbiarze kują młotem w marmur, lub wyrzynają z drzewa różne figury i ozdoby; szklarze wydmuchują butelki, szewcy zszywają dratwą skórę, cieśle obrabiają belki, niewiasty przędą len i tkają płótno w krosnach.

Te prace w niczem nie różniące się od dzisiejszych, widzimy w odkrytych świeżo freskach, których wierne reprodukcye podziwialiśmy niedawno na wystawie paryzkiej. Hieroglify tymczasem dają poznać moralne pojęcia tego starożytnego ludu. Na jednym grobowcu w Beni-Hassan, zmarły opowiada sam własny żywot. Za młodu był wodzem, prowadził wojnę w Sudanie; później zarządzał częścią kraju. „Wszystkie moje pola, mówi on, od południa do północy, zaorane były i posiane. W śpichlerzach moich strzegłem pilnie kradzieży. Nie skrzywdziłem sieroty, nie znieważyłem wdowy. Obdarzałem zarówno biedną wdowę, jak i młodą oblubienicę; w sądach moich nie pobłażałem wielkim, ze szkoda ubogiego.”

Gdyby napis ten był nawet czezą przechwałką, niemniej on świadczy o pojęciach moralnych, wysoko rozwiniętych.

Na odwiecznym papyrusie odczytano przestrogi wskazujące mężom obowiązki względem małżonek. „Jeżeli jesteś mądrym, mówi moralista, opatruj dom twój we wszystko, miłuj żonę, unikaj próżnej sprzeczki; nie żałuj dla niej pokarmu ani stroju, dostarczaj wonnych balsamów; staraj się radować ją dopóki żyjesz: niechże ten skarb go-dzien będzie tego kto go posiada. Nie bądź dla niej grubianinem!”

Stanowisko niewiasty w Egipcie, dodaje autor, wyższém było nierównie niż w krajach wschodnich. Ciężżyły na nich ważne obowiązki: zarządzała domem, czuwała nad dziećmi i służbą, wraz z małżonkiem składała ofiary, brała nawet udział w uroczystościach religijnych. Co więcej, przekazywała dzieciom prawa jakie jój ród nadawał, wraz z własném swém nazwiskiem. Godność tak wysoka wymagała okazałości w stroju. Dawne malowidła przedstawiają téż niewiastę egipską, przybraną w cienkie szaty; włosy jój sztucznie utrefione, palce pokryte pierścieniami; na ręku nosi bogate bransolety, na szyi ceny łańcuch.

Zbytki te musiały zwolna wpłynąć na obyczaje: pokazuje to słynna legenda o synu Sezostrysa, którą przytacza Herodot. Młody Faraon dotknięty był ślepotą. Mędrzec jakiś wezwany do rady, upewnił go że przewidzi natychmiast, skoro napotka żonę wierną mężowi swemu. Faraon udaje się naprzód do własnej małżonki, potem do wielu innych. Próżno, niestety! Oczy jego nie widzą światła! Spotyka wreszcie cnotliwą niewiastę, odzyskuje wzrok; zgromadza wtedy wszystkie przestępne żony, które nie zdołały spędzić pomroku z jego żrenic i pali je razem na stosie.

W podaniu tém jak utrzymuje autor, wiele być musi przesady: odbija w niém raczej satyryczna werwa Egipcyan niż rzeczywista prawda. Egipcyanka zajęta pracą obowiązkową, wolna, a zatem odpowiedzialna za własne postęпки, nigdy nie przyszła do takiego rozmyślowania w zbytkach, do takiego poniżenia moralnego, w jakie popadły bezczynne a wiecznie strzeżone niewolnice haremów wschodnich. Zbytek Egipcyan poważny ma charakter, odpowiedni ich cywilizacyi. Baudrillard zbadawszy go do gruntu w życiu publiczném i prywatném, zakończy rzecz ważną uwagą: „Ów lud, mówi on, miał tę wielką zaletę, że tak na życie jak na śmierć patrzył ze strony poważnej. Tym sposobem oddziaływał w dodatni sposób na lekkomyślność grecką. Cokolwiek jest głębszego w metafizyce i religii greckiej, przyszło niewątpliwie z Egiptu. Na polu sztuki, Egipcyanie byli mistrzami Helenów, a przez nich Rzymian i wszystkich ludów europejskich.”

Z Egiptu autor przechodzi do Assyryi i Babillonu. Oba te państwa wspomiane tylokrotnie w biblii, oba dotknięte klątwą proroków i mieczem sprawiedliwości Bożej, przedstawiają się jako wyraz najsza-leńszych zbytków i rozpasania. Od lat trzydziestu, nauka przyszła dzielnie w pomoc tradycyi. Starożytnicy francuzcy i angielscy, Botta,

Place, Rawlinson, wygrzebali z ziemi całe miasta, z bajecznym ich przepychem; lingwiści odczytali tysiące napisów, i pyszne grody biblijne wystąpiły przed oczyma współczesnych, w rzeczywistość swojej postaci.

Odkopany przez Place'a pałac Khorzabad, na zgliszczach starożytnej Niniwy, pokazuje nam czém był zbytek w absolutnych monarchiach Wschodu: naliczono w nim 235 sal, rozmiary ich ogromne. Z trzydziestu pięciu dziedzińców, niektóre mają po dziesięć hektarów rozległości. Zbudował go Senacheryb, na dwieście lat przed erą naszą; sam to poświadcza pełnym pychy napisem: „W miesiącu szczęśliwym zbudowałem według pragnień serca mojego, na tych podwalinach, pałac z alabastru i cedrowego drzewa, najwyższy jaki istnieje w stylu assyryjskim. Odnowiłem i wykończyłem ten pałac od fundamentów aż do szczytu, uświęciłem nim imię moje. Temu z synów moich, który powołanym będzie przez Assura i Istara, do straży nad krajem i ludźmi, powiadam: ów pałac zestarzeje się i rozsypie; niechże mój następca podejmie te gruzy; niech położy w właściwem miejscu, nakreślony przezemnie napis, niech odnowi malowidła i płaskorzeźby. Wtedy Assur i Istar wysłuchają modlitwy jego.

Ale ktoby naruszył moje pismo, i moje imię, niech Assur wielki bóg, ojciec bogów, skarci go jako buntownika; niech mu odbierze berło i tron, i poniży miecz jego.”

Dziwne urągowisko losu, dodaje autor: sześćdziesiąt lat nie upłynęło, a pałac ten zbudowany rękoma niewolników, rozsypał się ze szczerem. I prorok Nahum wyrzekł nad nim strasliwą klątwę, której wieki nie zagłuszyły.

Obok niesłychanych zbytków Niniwy, autor pokazuje bajeczniejszą jeszcze zbytki Babilonu. Stawia nam przed oczy, ten pyszny gród królewski, rozsiadły nad Eufratem, jego świątynie i pałace, i nadpowietrzne ogrody, i onę wieżę Babel, której gruzy odkryła dziś nauka.

Świątynia *siedmiu światel ziemi*, zwana przez Babilończyków *Val Zida*, mówi autor, wznosiła się w mieście Borsyppie, i sięgała najgłębszej starożytności. Ostatnie prace archeologów łączą ją z wieżą Babel, pomnikiem autentycznym. Ta wieża od czasów najdawniejszych, była tylko stosem gruzów, kiedy Nabuchodonozor postanowił ją odbudować. Napis odkryty wśród zwalisk przez Rawlinsona, zachowany dziś w British muzeum, poświadcza to w niezaprzeczony sposób. „Nie przemieniłem miejsca, nie naruszyłem fundamentów, zapisał król; w miejscu zbawienia czyli szczęśliwem, zbudowałem arkady i ściany okrągłe, położyłem napis na fryzach łuków. Przyłożyłem rękę do odbudowania Val Zidy, jaką być musiała w dawnych czasach, podniosłem ją do szczytu.”

Herodot opisuje z podziwem ten gmach, złożony z ośmiu wież, piętrzących się jedna nad drugą. Diodor maluje wewnątrz świątyni, pomieszczonej na najwyższem piętrze; wymienia trzy szczerozłote posągi, które zowie: Jowiszem, Junoną i Reą. „Ostatnia bogini sie-

dzi na wozie złotym; przy nim dwa lwy i dwa olbrzymie węże srebrne. Bogini, zwana Junoną, trzyma berto wysadzone klejnotami. W świątyni pełno złota. Przed posągami umieszczono złoty stół, długi na 40 stóp, ważący 500 talentów (75,000 kilogramów). Na nim stoją dwie kolosalne urny i dwie ogromne kadzielnice."

Pałac Nabuchodonozora, niemniejszym świeci blaskiem. Satripowie zbytkują na wzór króla; w haremach szalone uczyty i niesłychany bezrząd. Lud tymczasem gnije na barłogu; sucha ryba jedynym mu pokarmem.

Napróżno brzmiał nad miastem piorunujący głos Izajasza: głuszyły go dźwięki szalonej gędźby.

"Oto dzień Pański!—woła prorok—przyjdzie okrutny, pełen gniewu i zapalczywości i obróci ziemię w pustynię.

"I będzie on Babilon, zawołany w królestwach, wywrócon, jako Pan wywrócił Sodomę i Gomorę!

"I nie rozbije tam namiotów Arabczyk, ani pasterze odpoczywać tam będą. Ale kryć się tam będą zwierzęta i domy ich napełnią się smokami i mieszkac tam będą strusowie i w pustych domach pokwilać będą sowy."

Spełniło się proroctwo. Jednej nocy, kiedy Babilon, obłożony przez Persów, głuszył wewnątrzny niepokój, najszałeńszą orgią, Cyrus odwrócił bieg Eufratu do jeziora Nitokrys, przebrnął zniecka przez rzekę, opanował biesiadujące miasto. Z dawniej chwały zostały tylko zgłiszczka!

Naprzeciw tych ludów cywilizacji pasterskiej, autor stawia Aryów perskich. Inny to całkiem świat. To plemię rolników, przyrosłe do miejsca, ma właściwe sobie potrzeby. Silny wyrób indywidualizmu, ta główna cecha ludów aryjskich, nadaje cywilizacji Persów nadzwyczajną rozmaitość. Twórcza myśl rzuca te ludy na coraz nowe przedsięwzięcia; miłość pracy utrzymuje umysł ich w ciągłym ruchu.

Od czasów najdawniejszych, Aryowie kują miecze i włócznie, potrzebne im do obrony żyznych pól i domowych ognisk; wyrabiają pługi i wozy, nawet przedmioty stroju. Niestychane bogactwo płodów miejscowych, silnym staje się bodźcem do rozwoju przemysłowego. W górach, mieszkańcy Iranu, posiadają złoto, srebro i drogie kamienie, rola wydaje obficie wszelkie zboża, lasy morwowe dostarczają pokarmu jedwabnikom. W takich warunkach dobrobyt musiał zapanować w kraju całym.

Religia Zoroastra, polegająca na czci ognia, którą Baudrillard uważa po Mozaizmie za najidealniejszą ze wszystkich, przeciwną była wszelkiej symbolistyce, a tém samém nie dopuszczała żadnych wewnętrznych reprezentacji. "Niewolno Persom, mówi Herodot, stawiać ani świątyni, ani ołtarzy, ani posągów, wyobrażających bóstwa; tych, którzy to czynią, uważają oni za szaleńców. Składają ofiary na wierzchołkach gór; czczą słońce, księżyc, ziemię, ogień, wodę i powietrze."

Te siły przyrody były dla Persów uosobieniem Ormuzda, stwórcy wszelkich jestestw, ducha światłości i prawdy, walczącego wiecznie z duchem ciemności, złowrogim Arymanem. Każdy czuł się zapaśnikiem dobrego boga; życiem czystym, jak płomień, miał przygotowywać ostatni jego tryumf.

Przy tak idealnych pojęciach, długo Persowie zachowali prostotę obyczajów. Wpływ cudzoziemców sprowadził wkrótce zamęt. Persya była gościńcem koczowniczych plemion. Potracona napływem Tatarów z jednej, Arabów z drugiej strony, wyległa jak rzeka z łożyska; rozpoczęła podboje, opanowała wszystkie ościenne ludy.

Rozzuchwaleni zwycięstwem królowie, oddają się najszaleńszemu zbytkom. Dariusz zakłada sławny gród Persepolis, gniazdo bajecznego przepychu; Kserkses jaskrawszym przyświeca jeszcze blaskiem. Wielkorządzący podbitych krajów naśladowują przykład monarchy. Herodot opisuje wojenny strój tych wodzów perskich, ciągnących za sobą całe chmary ludów na Grecyą. Odziane w szkarłat, trzymają w ręku złote łuki i dziryty o głowniach złotych. Na szyi mają łańcuchy, w uszach kolce, na ręku manele, na palcach mnóstwo pierścieni i złocistych obrączek.

Przepych ten miał przetrwać długie wieki. Nie powstrzymały go klęski Salaminy i Platei, nie zdusiło jarzmo Aleksandra Wielkiego, ani twardsze jeszcze jarzmo Cezarów. Persya poniżona, zdeptana stopami Romy, stroiła się w błyszczące kolczugi i hełmy; jak na urągowisko, świadczą o tém medale.

Szalony zbytek monarchów, przetrwał do dziś dnia w Persyi, odartej z dawnego uroku. Dzisiejszy następca Daryuszów i Kserksesów, mimo smutnej roli, jaką odgrywa, posiada jeszcze najpiękniejsze brylanty w świecie. Pałac w Teheranie przypomina blaskiem bajeczne Persepolis. Tron szacha pokryty złotogłowiem, wsparty na lwach złotych, cały wysadzony rubinami i szmaragdami, niema równego sobie; przysłania go pyszna makata, zasiana tysiącem drogich pereł. Ponad nim błyszczy słońce dyamentowe.

Świetność ta przykro odbija przy ogólnej nędzy. Żyzna ziemia wkoło zarasta chwastem, lud pracowity niegdyś i przemysłny, gnuśniej w bezczynności; wie całe grzęzną wśród stęchłych bagnisk, chaty w nich ulepione z gliny, najsmutniejszy przedstawiają obraz. Miasta nie lepiej zbudowane. W roku 1874 gruzy powalonych domów w Teheranie, przygniotły 150 ofiar, głód i mór dokonały zniszczenia. Część miasta leży dziś w zwaliskach; ludność znika, reszta poddaje głowę pod wyrok nieprzebieganego fatalizmu.

Z Persyi Baudrillard wprowadza nas do innej, wspanialszej jeszcze siedziby Aryów, do tych Indyi Wschodnich, które przyroda sama uczyniła ostoją zbytku, zlewając na nie szczerze najwspanialsze dary. Poemata: *Ramayana* i *Mahabharata* pokazują ten zbytek, zrodzony w najgłębszej starożytności nad Gangesem. Autor przesuwając nami czarodziejskie obrazy, wzięte żywcem z obu epopei, ukazuje nam

starożytniejsze jeszcze gruzy Ellory, owe świątynie, wykute we wnętrzu gór, sięgające epoki bajecznych Troglodytów.

Nieszczęściem, religia, oparta na panteistycznym ubóstwieniu przyrody, stanęła w poprzecz rozwojowi cywilizacji, najwłaściwszej rolniczym Aryom. Prawodawca Manu tak się wyraża o uprawianiu ziemi: „Niektórzy zachwalają rolnictwo, ale mędrzy naganiają ten rodzaj życia, albowiem pług uzbrojony ostrém żelazem, szarpie ziemię i niszczy ukryte w niej istoty.”

Zbici z właściwego tropu Hindowie, rzucili się do tych misternych wyrobów ze złota, z kości słoniowej, jaspisu i drogocennych kamieni, w których do takiej doszli doskonałości; poczęli kłać owe pyszne kaszmiry, arcydzieła cierpliwości ludzkiej, któremi zasilają hojnie, rozmitowane w zbytkach społeczeństwa.

„Wiek toczył się za wiekiem, mówi autor, zdobywcy ustępowali z drogi zdobywcom, a Indyc, skryształizowane w sobie, zostały tém, czém były. Maharadzasy dzisiejsi przypominają sławnych ze zbytku Porrusów i Taksylów, współczesnych Aleksandra Wielkiego. Ich strzelby wykładane kością słoniową, tarcze i rzędy błyszczące od pereł i dyamentów, siodła i palankiny misternie haftowane, przepyszne dyfetyki i makaty niemają równych w świecie. Dosyć widziéć muzeum księcia Walii, złożone z darów, jakimi radzasy i nababowie obdarzyli przyszłego padyszacha, aby mieć pojęcie niesłychanych zbytków indyjskich.

Chiny i Japonia, dokąd przechodzimy z kolei, nie uchroniły się także zgubnego wpływu zbytków. Popęd ten w odmienny sposób objawił się w obu krajach, stosownie do różnic ich pod względem geograficznym, jak również pod względem ustroju społecznego. Już przed Konfucyuszem, współczesnym Solonowi, Chińczycy przeszli różne fazy dziejowe, mieli swoich Neronów i Heliogabalów, mieli monarchów pokutników, mieli niewiasty, które, jak cesarzowa Ta-Ki, dawały przykład wyuzdanego zepsucia. Potrzeba było Konfucyusza, aby siłą mądrości zatrzymał zgubną powódź. Znalazł on też gorliwych zwolenników, którzy nietylko że wygłaszali jego zasady, co więcej popierali je żywym przykładem.

„Jakże mądry mój uczeń Hoe, mówi prawodawca: garstka ryżu wystarcza mu za pokarm, kubek wody za napój, kącik ziemi za łożo. Człowiecze pospolity! w twoich oczach nędznym jest jego żywot, a przecież nie odbiera mu wewnętrznego wesela.”

Mimo przepisów mędrca, zbytek powstrzymany chwilowo, rósł w miarę centralizującej się monarchii. Cesarz Juan-Ti, posiadał 10,000 biegunów w stajniach swoich, tysiąc niewiast w haremie. Mandaryni zbytkowali za przykładem tronu: potrzeba było ograniczyć ten popęd siłą prawa.

Sztuki piękne znalazły w monarchach gorliwych opiekunów. Dwaj Arabowie, którzy w IX wieku wdarli się za mur chiński, opisują niesłychaną zręczność Chińczyków do wszelkich sztuk, szczególnie do

malarstwa. „Ktokolwiek, mówią oni, wykona piękne dzieło, zanosi je do cesarskiego pałacu; tam u proga wystawia je na widok publiczny. Jeżeli przez rok nikt nie dopatrzy w niem najmniejszej wady, robotnik odbiera nagrodę i przyjętym bywa do cechu malarskiego.” Potrzeba w rzeczy samej Chińczyków, aby dać przykład takiej jednomyślności: że istniała, świadczą o tém towarzystwa cechowe, które w ten sposób rekrutowały członków swoich.

Trudno tóż mierzyć Chińczyków na skalę europejskich pojęć; wszystko oni czynią naodwrot: ludy zachodnie usiłują przedstawić się w pięknych formach: wiadomo, jak Grecy idealizowali swoje typy. Realisci chińscy tymczasem, przesadzają brzydotę własną; pokazują się zawsze w karykaturze.

Autor kreśli bardzo ciekawy obraz tego skryzalizowanego społeczeństwa; daje go poznać w dziełach przemysłu, w utworach sztuki, w obyczajach. Wszystko tu, jak było od wieków. Takie same porcelany wychodzą dziś z pięciuset fabryk w Kiang-Si, jakie wychodziły w czasach, kiedy nasz Chrobry oznaczał żelaznemi słupami granice przyszłego państwa. Gdy Europa tyłu uległa zmianom, w Chinach nic się nie odmieniło.

Taż sama zastałość w obyczajach. Zobaczymy tylko obrzęd wesela, jak się dziś odbywa u Chińczyków; zdaje nam się, że czerwono-skórcy amerykańscy więcej zatracili w obrzędach cech pierwotnych, niż ludy odgrodzone od nas murem swoim kamiennym.

Kiedy młoda para już zaręczona, t. j. kiedy targ ubity i suma wyliczona rodzicom panny młodej, ta ze swój strony posyła oblubieńcowi inwentarz wszystkiego co posiada: wyprawy klejnotów, dzieł sztuki i t. p. Posyła mu przytém w darze maleńki trzewiczek, zaprawny piżmem, haftowany złotem i kamieniami. Oblubieniec zawiesza go u szyi na jedwabnym sznureczku i w zamian ofiaruje narzeczonej pięć sztuk atłasu w najjaskrawszych barwach.

W dzień ślubu panna młoda przywdziewa suknię szkarłatną, za-haftowaną w złote feniksy, te symbole niewieście. Długie kosy, które dotąd spadały jej na ramiona, podpina w górę dwoma berłami, rzeźbionemi z jaspisu: dwa berła są godłem wzajemnej sympatii. Głowę jej pokrywa siatka złota z długą frendzlą, spadającą na oczy i na lica.

Orszak weselny z muzyką na czele, zbiera się tymczasem u drzwi domu. Na dany znak, panna młoda pochyła się i kilkakrotnie uderza w ziemię czołem. Kiedy powstała, towarzyszyki kładą jej w lewą rękę jabłko, w prawą flaszkę napełnioną ziarnami zboża, na głowę zarzucają długi szkarłatny welon. Wtedy brat lub krewny wpada do pokoju, porywa narzeczoną, pomimo jej oporu i rozpaczliwych okrzyków, mieści ją w pysznej lektyce, wybitęj szkarłatnym atłasem, zamyka szczerze drzwiczki. Nad lektyką feniks roztacza złote skrzydła.

Strojny orszak puszcza się w drogę. Przed lektyką idzie družba z ogromnym biczem, dla rozpędzania natrętnych tłumów. Za lektyką po obu stronach, postępują sznurem muzykanci, w pośrodku służ-

ba strojna w czerwone szarfy, niesie wyprawę panny młodej, rozłożoną na wielkich lakierowanych stołach; dalej sprzęty domowe i kuchenne i wielką moc wspaniałych skrzyń, zdobnych malowidłem i rzeźbą. Te skrzynie zazwyczaj najęte, puste wewnątrz, służą jedynie do parady.

Młode pacholę niesie potem w koszyku kilka kaczek, symbol miłości małżeńskiej; dalej ciągną orszakiem goście weselni: jedni konno, drudzy w pojazdach i lektykach; zakończy pochód tłum pieszych z chorągwiami i latarniami.

Kiedy orszak stanie przed progiem małżonka, przyjmują go race i fajerwerki. Pan młody wychodzi wtedy z domu, strojny w błękitną szatę, w tunikę czarną aksamitową i wszelkie insygnia rodu swego; zbliża się do pałankinu, kołacze w zwarte drzwiczki: za trzecim uderzeniem panna młoda otwiera. Cztery druchny prowadzą ją po czerwonym kobiercu. W chwili, gdy przestępuje próg, obecni rzucają w twarz jej pięć garści rozmaitego zboża: to ją zabezpieczy od złej przygody. We drzwiach pokoju leży bogate siodło, oblubienica ma przejść niedotknięszy go stopką; wchodząc rzuca jabłko przed siebie.

Małżonkowie siadają w głębi sali, po obu stronach stołu. Obecni wchodzą: chwila to najuroczystsza przy obrzędzie. Oblubieniec zobaczy wreszcie tę, z którą podzieli przyszłe losy: wachlarzem strąca zastonę z jej oblicza.

Ceremonia religijna bardzo prosta, polega na modlitwach do niebios i do ziemi, do dusz umarłych naddziadów, do duchów opiekuńczych domowego ogniska. Kończą dzień wspaniałe, często zbyt kłowe uczy.

Co do Japonii, feudalny ustrój tego państwa, jaki się utrzymał w przeciągu siedmiu wieków, inaczej scharakteryzował w nim zbytek. Rycerski stan wyróżniał się niesłychanym bogactwem odzieży i rynsztunków, wielką ilością koni. Dwór Tajkuna głównie wyobrażał przepych rycerski; dwór Mikady był znów głównym wyrazem przepychu religijnego. Monarcha ten czczony jak bóstwo, nigdy nie dotykał stopą ziemi; noszono go nawet w pałacu, z wielką okazałością. W godzinach publicznego wystąpienia, miał na głowie koronę, siedział na tronie sztywny jak mumia. Najmniejszy ruch jego był wróżbą nie szczęścia dla obecnych. Nosił zwykle długą tunikę czarną, na niej krótszą barwy purpurowej.

Zastawiano do uczy stołów dwanaście: cesarz wybierał z nich jeden; jadał przy dźwięku hałaśliwej muzyki. Po obiedzie rozbijano wszystkie naczyńia, jakich użył. Nikt nie mógł przywdziać jego szaty, przypłaciłby chorobą tę zuchwałość.

Prawo pozwalało cesarzowi pojąć dwanaście małżonek, lecz jedna z nich tylko miała przywileje cesarszowej; otaczał go liczny dwór, złożony z kapłanów i świeckich dostojników. Szlachta nosiła herby wyszyte na piersiach i na plecach. Małżonki cesarskie stroiły się w suknie

ze złotogłowiowi tak długie, że trudno im było postąpić kilka kroków. Uprawiały muzykę i sztuki piękne, zajmowały się literaturą.

Dziś, jak wiadomo, wszystko zmieniło się w Japonii. Tajkunowie upadli, sam Mikado dzierży władzę tak duchowną jak świecką. Przebrany po europejsku, ukazuje się tłumom, jeździ po mieście odkrytym powozem w paltocie i okrągłym kapeluszu. Co wyniknie z tych przemian, to zagadką jest jeszcze dla świata. Wszyscy pytają: czy reformy dokonane „po ukazu,” mają przyszłość przed sobą? czy nowy ukaz nie powróci rzeczy do dawniejszego stanu?

Beaudrillard przechodzi nakoniec do Tyru i Kartaginy, pokazuje zbytek u Hebrajczyków i starożytnych Greków. Zanadto ważne te studia, abyśmy mieli zbyć je w kilku pobieżnych słowach. Poprzez stajemy dziś na tém, zamierzając wrócić do nich przy pierwszym sprawozdaniu.

Czytelnicy Biblioteki znają już w głównych zarysach nowy kierunek filozofii niemieckiej, dzięki ważnym a ciekawym sprawozdaniom p. Smolikowskiego. Nowy to kierunek, ale tylko dla Europy, jest on bowiem prostém naśladownictwem nirwany budystańskiej. Dawniejsi filozofowie niemieccy, doskonale przygotowali umysły ziomków swoich do złożenia hołdu dogmatom ludów mongolskich, dogmatom tak wstrętnym dla ludów naszego plemienia, że nawet główni przedstawiciele Aryów w Azji, odrzucili je z nienawiścią i wzgardą. Mimo to nirwanieści niemieccy znaleźli zwolenników, w różnych krajach Europy; ztąd téż oddziaływanie przeciw temu prądowi, stało się gwałtowną potrzebą czasu.

Na czele walczących we Francyi, wystąpił profesor filozofii Caro. Wydał on świeżo nie wielką ale bardzo nauczającą książkę p. t. *Le Pessimisme au XIX-me siècle*. Dziwimy się, że autor nie określił nowej dążności nazwą *nihilizmu*; pesymizm bowiem był zawsze udziałem zrozpaczonych samolubów; dziś zaś pod sztandarem mongolskiej nirwany, przejął się jój duchem, to jest uważa zniszczenie jako cel i powinność ludzkości, jako jedyny środek zupełnego wyzwolenia. Ztąd powtarzamy: nazwa nihilizmu byłaby mu zupełnie odpowiednią.

Profesor Caro wybrał trzech głównych reprezentantów tego smutnego zwrotu: Leopardiego, Schopenhauera i Hartmana; zbija kolejno ich zasady. Leopardi zreassumował w poezjach swoich całą doktrynę nowej szkoły. Nie rzuca on rozpaczliwych skarg w imieniu własnych cierpień, opłakuje raczej nędzę powszechną, systematyzuje niedolę, ową *infelicità*, ciążącą jak widmo nad całym rodem ludzkim. Aby ją tém lepiej uwydatnić, klasyfikuje wszelkie nadzieje i ułudy kołyszające tę biędną ludzkość i pokazuje całe ich nicestwo. W troisty sposób, według niego, człowiek rozumie szczęście: albo przyjmuje życie jakim jest, stara się wycisnąć z niego wszelką słodycz bądź zmysłową, bądź intelektualną; albo marzy o błogiej zaświatowej przyszłości; albo nakoniec ufny w prawo postępu, uważa dzisiejszy stan świata za przeję-

ściowy, i pracuje dla następnych pokoleń, czerpiąc w poświęceniu nagrodę i uspokojenie.

Poeta przeszedł te trzy fazy, żadna mu nie wystarcza. Szczęście w życiu obecnym, to pusta mrzonka: słodycz dzisiejsza stanie się jutro cykuta i piotunem. Wiara w życie zagrobowe, to szaleństwo: nieśmiertelność próżną ułudą. Pocieszająca myśl o szczęściu przyszłych pokoleń, to marzenie dziecięce: niech poświadczą cienie bohaterów ażali ofiara ich była czym więcej, jak bezrozumnym szalem? Leopardi nie wskazuje lekarstwa przeciw złemu; zaleca tylko rezygnację i pogardliwe milczenie.

Schopenhauer rozwija dalej teorią włoskiego poety. Człowiek według niego, najnieszczęśliwszym jest z pomiędzy żywych tworów, gdyż ma świadomość własnej nędzy. Inne ofiary czują boleść, lecz jej nie rozumieją; człowiek nie tylko że ją czuje, lecz ma pojęcie o niej. Rozumie on, że wola wymaga wysilenia, że wszelkie wysilenie jest boleścią. Życ i pragnąć, to jedno; pragnąć i cierpieć jedno także. Życie to walka o byt, walka rozpaczliwa, niewieńczona nigdy zwycięstwem. Wiadomo, że tak zwany postęp, według Schopenhauera, jest tylko coraz jaśniejszym pojmowaniem złego, na które człowiek rodząc się skazanym został; postęp zatem, może tylko powiększyć ludzką nędzę.

Jakież na to lekarstwo? Leopardi jak widzieliśmy, wskazywał rezygnację i milczenie; filozof niemiecki idzie dalej. I pocóż się poddawać? mówi on, myśl, która oswoodziła nas z ułudy, zwalnia nas zarazem z obowiązku. Ród ludzki zaginać powinien: przygotujmy zatem koniec świata.

I filozof, logicznie z głoszoną zasadą, niedość że przeżył dni w samotności, ale ilekroć widzi gody weselne, rzuca klątwę niebaczny nowożeńcom. Według niego, małżeństwo największą jest zbrodnią, mnoży bowiem na przyszłość liczbę ofiar: Ta apologia nicestwa, znalazła dziś zwolenników swoich. W Berlinie zawiązała się sekta Schopenhauerystów, która postanowiła wprowadzić w czyn, teorye filozofa nihilisty.

Uczeń Schopenhauera Hartman, nie przypuszcza, aby takie zasady mogły znaleźć powszechne zastosowanie; zarówno przeciw z mistrzem swoim, rozumie potrzebę wyzwolenia ludzkości. Według niego trzeba najsamprzód, zabić w człowieku wolę, doprowadzić go do bezwładności umysłowej. Niechaj ludzkość przyjdzie pomału, do zakosztowania pokoju w nicestwie, niech obojętnym okiem patrzy na własne cierpienia; zmordowana wreszcie powolnym konaniem, zechce kiedyś sama, położyć kres tym mękom. Wsparta dzielnie nauką, podejmie wtedy jakąś fizyczną siłę, np. elektryczność, i za wspólną zgodą jednostek, w danej chwili, wysadzi w powietrze nędzną planetę swoją.

Profesor Caro nie lęka się takiej ostateczności. Sama przesada w negacyi, mówi on, daje nam przekonanie, że wpływ tej burzącej cywilizacyi, może chwilowo tylko bałamucić umysły ludzkie. Czynność pożyteczna i konieczna, sumienne spełnianie codziennych obowiązków,

słowem praca, jak chroniła dotąd, tak i zawsze chronić będzie społeczeństwo od owych niebezpiecznych pokus. Gdyby, co trudno przypuścić, znalazł się lud jakiś dotknięty tą zarazą, konieczność życia, której nie usuną czcze teorie, wywiodłaby go wkrótce z błędu, i poprowadziła go znów ku celom niedowidzialnym, ale pewnym. Taki stan ducha, to dyletantyzm próżniaków, to chwila przesilenia, zbyt gwałtowna aby mogła trwać długo. Charakter sam pesymizmu, objawia nam jasno jego przyszłość: to filozofia przejścia. W polityce jest ona, jak widzimy w Niemczech, albo wyrazem chwilowego znużenia, lub cierpień tajemnie nurtujących. Pokazuje nieokreślone jakieś marzenia socjalistów, gotowe wybuchnąć za pierwszą sposobnością; tymczasem zaś przeklina w pień porządek społeczny i życie. W świecie myśli, przedstawia ona stan ducha, jakoby w zawieszeniu nad nieskończoną próżnią, pomiędzy tradycyjną wiarą w zburzone ideały, a pozytywizmem, gotowym pojednać się z rzeczywistością. To chwila przejścia, i nic więcej.

Rozum ludzki nie utrzyma się długo na tak tragicznym stanowisku. Albo ludzkość zaniecha rozpaczliwych walk i próżnych przekleństw, a pochyli czoło ku ziemi i żyć zechce po prostu dawnym trybem; albo rozwinie skrzydła i wróci do dawnych ideałów, które pozytywizm zburzył, nie mogąc ich niczem zastąpić, a idea Boga tém silniej, tém żywotniej, odrodzi się w ludzkim sumieniu.

Nieraz już zadawano pytanie, czyli autor oddający się literaturze pięknej, może być zarazem pierwszorzędnym mężem stanu? Stawiano za przykład genialnych polityków, którzy jak kardynał Richelieu, pomimo gorących usiłowań, nie umieli zabłysnąć w dziedzinie literatury; cytowano genialnych poetów, którzy jak Chateaubriand i Lamartin, przeniknieni na wskróś wieszczym żarem, nie mogli zstąpić z eterycznych wyżyn, do potrzeb rzeczywistego świata. Ztąd ogół, zwłaszcza we Francji, powziął szczególne uprzedzenie przeciw literatom. Wiktor Hugo opowiada, jak przed laty trzydziestu, w sali prawodawczej, wśród obelżywych wyrazów, jakimi go zasypywano, najgłośniej brzmiał wyraz *poeta!* rzucany mu w oczy z najcięższą pogardą.

Przez wzgląd na przesąd powszechny, Thiers zmusił przyjaciela swego Remusat'a, do zachowania w tece dwu dramatów: *Abellarda* i *Nocy Bartłomiejowej*, aby wydaniem ich, mąż stanu nie spospolitował się w opinii publicznej.

Nieulega wątpliwości, że zagadka ta została nakoniec rozwiązana, dzięki geniuszowi pierwszego mistrza angielskiego. Mężowie stanu, którzy niedawno pogardzili piękną literaturą, a przynajmniej uważali ję uprawianie za niewłaściwe dla umysłów politycznych, zmuszeni dziś czytać romanse Dizrae'ego, aby wysnuć z nich użytek polityki lorda Beaconsfielda. Nie jeden ustęp, nie jeden wyraz, rzucony może mimochodem w tej lub owej jego powiastce, jest dziś przedmiotem szerokich komentarzy.

Wśród wielu pism traktujących o tej przeważnej osobistości; zwróciła uwagę naszą nie wielka książeczka p. Wiktora Valmont, p. t. *La jeunesse de Lord Beaconsfield*. Jestto wstęp do obszernego dzieła, które ogarnie cały zawód polityczny słynnego męża stanu. Oto ciekawsze ustępy z ogłoszonej świeżo publikacji.

Beniamin Dizraeli urodził się w Londynie w 1805 roku, z niezamownej rodziny izraelskiej. Miał lat jedenaście, kiedy po śmierci dziadka, przywiązanego szczerze do wiary ojców, ochrzczony został w kościele anglikańskim. Ojciec w nieporozumieniu z synagogą, pozostał sam przy dawniej wierze, ale oderwał od niej syna, chcąc otworzyć szerszą drogę przyszłym jego działaniom. Zdolny chłopiec nie pobierał nauk w szkołach publicznych, rodzice bowiem nie chcieli narażać małego neofity, na niewczesne żarty kolegów. Oddali go do szkoły prywatnej. Po ukończeniu nauk, młodzian pracował przy adwokacie, niewiadomo dlaczego porzucił zawód prawny. Nie mając jeszcze lat dwudziestu, puścił się w podróż do Niemiec; za powrotem w r. 1826 napisał pierwszą powieść p. t. *William Grey*.

Powieść ta z wielu względów zasługuje na uwagę, raz dla swjej rzeczywistej wartości, powtóre, że obejmuje wiele rysów autobiograficznych. Mylą się jednak ci, którzyby chcieli sądzić Dizraeliego, według wymarzonego przezeń bohatera: fantazyja odgrywa tu wielką rolę.

Młody autor dał w pierwszym dziele, dowód głębokiej rozważliwej. Badał on do gruntu ludzkie serce, poznał jego najdelikatniejsze odcienia. Druga część zadziwia szczególniej trafnością psychologicznych poglądów. Krajobrazy wszystkie kreślone ręką mistrza; obszar wiedzy zdumiewa w tak młodym autorze. Obok tych połysków prawdziwie genialnych, ujemne strony utworu, tém silniej występują. Powieść pisana widocznie bez planu; autor przesuwając przed okiem czytelnika mnóstwo obrazów, w których fikcyja silnie się splata z rzeczywistością.

Wiliam wsiemdnastym roku życia, oddaje się nauce, bardzo pojętnej ale niebezpiecznej w tym wieku, nauce polityki: przedmiot ten pochłania go zupełnie. „Ileżto razy przebiega pokój wielkim krokiem, i serce drży mu gorączkowo, na myśl o parlamentarnej arenie.” Kiedy wybiera się na uniwersyteckie nauki do Oksfordu, ma już pragnienia męża dojrzałego, czyta w sercach, pewien, że siłą wymowy opakuje słuchaczy.

Ale jeśli z jednej strony, przeświadczenie o własnej inteligencji, daje mu otuchę na przyszłość, z drugiej, widzi że to nie wystarcza, że, aby użyć godnie tego daru, trzeba zająć wyższe stanowisko. Wiliam nie przebiera w środkach; bądź co bądź musi rzeczywistnie mary swój wyobraźni.

Krytyka ówczesna potępiła surowo tę część dzieła, przeciwnicy polityczni dziś jeszcze chwytają ten oręż, przypisują mężowi stanu, wszelkie nikczemności, jakich dopuścił się ich bohater.

Wiliam kłamca, obłudnik, pełzający nędznie, aby tém pewniej dość celu, oburza czytelnika. Widzimy go jak schlebia lordowi, sta-

remu niedołądze, jak po plecach jego wchodzi do parlamentu. Wśród magnatów wprowadzonych na scenę, jeden nosi tytuł lorda Beaconsfield. Postacie arystokratów wszystkie skarykaturowane; każdy niedołądźny lub nikczemny, każdy wyraża się po grubiańsku. Znać autor malował świat, jeszcze sobie nieznany.

Próżne zabiegi, odkryły się matactwa w chwili gdy miały doprowadzić do celu. Wiliam dręczony boleścią i wyrzutem, chce ukryć wstyd przed ludźmi. Opuszcza kraj, przedsięwzięcie daleką podróż.

W drugiej części młodzieniec nauczony smutnym doświadczeniem występuje w zupełnie innym świetle. „Doświadczenie! woła podnosząc głowę, ileż ja mu zawdzięczam! Ciężko zaprawdę zbudzić się ze snu wśród najświetniejszych nadziei, poznać że wszystko prózną, marą! ciężko widzieć stargany wątek naszych działań! a przecież los to nieuchronny. Ileż wieków ubyło od chwili, kiedy Salomon w cedrowym swym pałacu, opiewał znikomość rzeczy ziemskich! Acz miał złotą harfę i tron z kości słoniowej, niemniej on czuł i bolał. Ilużto mędrców, ze wszystkich krańców świata, powtórzyło za królem Jerolimym smutną jego filozofią! A przecież czczy bańka jeszcze świeci, i zawsze świecić będzie. Doświadczenie dzieckiem jest myśli, a myśl rodzi się z czynu. Nie poznamy ludzi z książek, żaden opis nie określi nam ludzkiego serca, tak samo jak nieda poznać tajemniczych działań przyrody. Trzeba wiedzieć potok rzucający się w przepaść i las wściekłą miotany burzą; trzeba schwycić żywce, na uczynku, potęgę pychy ludzkiej, gwałtowną żądzę zemsty: kiedyśmy poznali sami szłał namiętny i widzieli go w drugih, w tedy poznajemy całą czczość naszych pragnień. Godneż one przetrwanych męczarni? bynajmniej! Oto jest owoc doświadczenia.

Powieść urywa się nagle. Wiliam znika nam z oczu podczas gwałtownej burzy.

„Chciałem, dodaje autor, poprowadzić dalej mojego bohatera, lecz obawiam się nadużyć cierpliwości czytelników. Stanąłem dopiero u wrót ogrodu, ale patrząc przez złociste ich kraty, zaczynam wierzyć, że fantastyczna wyobraźnia, powiedzie mnie kiedyś w głąb oazy dotąd nieznaną, do gajów nietkniętych jeszcze ludzką stopą. Nadzieja ta zawiedzie może, jak zawodzą sny młodzieńcze, oblane tyłu łzami!”

Wiliam Grej, wydany bezimiennie, ogromne sprawił wrażenie; był to utwór prawdziwie oryginalny: przyjaciele autora, wydali tajemnicę. Disraeli nie posiadał się z radości. W dwudziestym roku życia zdobył już głośną sławę.

Odtąd pracuje gorączkowo. Od literatury przerzuca się do politycznych zapasów. Pewien własnych sił, wie że dojdzie do mety. Sława literacka otwiera mu progi arystokratycznych domów londyńskich.

Było to w ostatnich czasach panowania Jerzego IV; Canning stał u steru państwa. W wyższych sferach nadużycia, w niższych niechęć i głuchość skargi: w takim stanie rzeczy, księgarz Murray, powierza autorowi *Wiliama Grej*, kierunek dziennika politycznego: *The Representative*.

Dziennik upadł: przetrwał ledwie pół roku. Disraeli zawiedziony w nadziejach, puszcza się w nową podróż. Przebiega Grecyą i Włochy. Za powrotem ogłasza *Przygody Kapitana Popanilla*. Dowcipna to satyra wad politycznych i społecznych, wierny obraz tych czasów.

Pośpiesza potem na Wschód, zwiedza Egipt; podróż trwa cztery lata. Wraca do Anglii w roku 1831. Tymczasem umarł król Jerzy, nastąpił po nim Wilhelm IV. Rewolucya francuzka zapaliła umysły; lord Gray aby zapobiedz złemu, przeprowadza wyborczą reformę.

Disraeli nie miesza się jeszcze do spraw publicznych, wydaje powieść: *The Young Duke* (młody książę), obraz wysnuty z życia arystokracji angielskiej. W rok potem ukazują się dwie inne: *Contarini Fleming* i *Cudowny Hrabia d'Alroy*. W obudwu polem działania, świeżo zwiedzone kraje.

Młody Książę, to także obraz Disraeliego, ale postawiony w zmyślonej sytuacji. Nowy bohater, zarówno jak Wiliam Grej, zaczyna od błędów, kończy na upamiętaniu i poprawie; ale błędy jego wypływają z wysokiego położenia, ostateczny zwrot nierównie silniej przedstawiony.

Dobry z natury ale słaby młodzieniec, sierota bez rodziców, pociągnięty złym przykładem, wpada w otchłań zepsucia, oddaje się namiętnie grze w karty, pełną ręką rozrzuca złoto. Wśród najszaleńszych bezrządów tęskni jednak do życia domowego, widzi w niém jedyny warunek szczęścia. Mimo to wystawiony wciąż na pokusy, nie umie im się oprzeć. Przed zielonym stolikiem traci zupełnie rozum; wobec kobiet słaby jak trzcina.

Z téj otchłani wyprowadza go szczerą prawdziwą miłość. Autor kreśli idealny obraz Edyty. Córka wygnańca, katoliczka, gorąco kocha własny kraj, ale czuje się w nim, jak w pośród obcych. Wiara ojców tém droższą dla niej, że jest celem prześladowania i wzgardy. Edyta podnosi z upadku młodziana, rozbudza w nim pojęcia moralne, dobywa nowe iskierki z uśpionej jego inteligencji, nakoniec oddaje mu rękę. Autor objawia silne współczucie dla katolików angielskich, wyśławia ich wytrwałość w obec prześladowania.

Powieść *Contarini Fleming*, równie jak dwie poprzednie zawiera mnóstwo autobiograficznych szczegółów. Skreślona bez planu stawia nam przed oczy ekscentrycznego młodzieńca, przerzucającego się z jednéj ostateczności w drugą. Wśród gwałtownych walk, szlachetny instynkt odnosi zawsze tryumf, wszystkie porywy duszy, oddane silnie, jaskrawemi, częstokroć poetycznemi barwy.

Contarini Fleming jest synem saskiego magnata i szlachetnej wenezyjki. Dzieckiem jeszcze pokochał piękną Skandynawkę. Zaniedbany przez ojca i macochę, w uczuciu tém znalazł pierwszy w życiu promyczek szczęścia. Związany przyjaźnią ze szkolnym towarzyszem, rzuca się z nim na drogę literatury. Pierwszy zawód zbija z tropu młodego marzyciela. Wchodzi do kościoła, przepych architektury moc-

no działa na tak wrażliwy umysł. Obraz św. Magdaleny czyni go w mgnieniu oka żarliwym katolikiem.

Błaga świętą, aby za przyczyną jej mógł zostać kiedyś dożą Wenecyi. Wkrótce potem ucieka ze szkoły; schwytyany wśród cyganów, przywieziony do domu, ucześnie na uniwersytet. Tam zapala się do Woltera, podziwia w nim twórczość pomysłów, chłodny realizm obok jaskrawej fantazyi, wdzięk stylu a szczególnież ironicznego sarkazm w każdym pociągu pióra.

„Jeśli zapanujesz nad wyobraźnią twoją, rzecz przyjaciel, będziesz kiedyś wielkim człowiekiem.”

„Tak! wielka moja duma, odpowie Contarini. Życie byłoby mi ciężarem, gdybym niemiał stanąć wysoko, z całym przekonaniem, że na to zasłużyłem. Chwała konieczną dla szczęścia mego.”

Ojciec powołany wkrótce do ministryum; młody Contarini zostaje sekretarzem w radzie państwa. Rzuca się w politykę, daje dowód niesłychanej zręczności. Obsypany pochwałami marzy o tryumfach Richelieugo. Wydaje dzieło, odbiera najgorętszy poklask. Książka przebiega z rąk do rąk, wieńce sypią się pod stopy autora. Wreszcie złośliwy jakiś krytyk wykazuje słabe strony uwieńczonego utworu. Młodzian nie znosi téj zniewagi, porzuca urząd i miasto, chce ukryć przed światem bolesne upokorzenie.

Zetknięcie z przyrodą leczy go niebawem, z duszy jego dobywa nowe siły. „Ileżto razy, mówi on, kiedy słońce oświeciło modry widnokrąg, rzuciłem się na murawę, szczęśliwy że żyję, że mogę pełną odetchnąć pierśią! I nagle zrywałem się z miejsca, przestraszałem dzikie ptastwo okrzykiem dzikszym jeszcze.”

Powraca do ojczyzny; widzi że „nadeszła chwila politycznego jój odrodzenia. Postanawia przyłożyć rękę do wielkiej pracy: Europa w zamęcie, potrzeba ją ratować.”

W rok po Contarinim pojawił się *Cudowny hrabia d'Alroy*. To poemat prozą, osnuty na tradycjach hebrajskich. Autor utworzył go w Jeruzolimie, u grobu starożytnych królów Izraela; Alroy jest potomkiem tych królów, namaszczonego olejem świętym.

„Z duszą złaknioną panowania, woła królewski niewolnik, staje tu, i próżno wyciągam rękę po zatracone berło!”

„Zrodziłem się dla chwały, samotna moja młodość, była najlepszym do niej przygotowaniem!”

Żądają po nim, aby wyrzekł się wiary ojców: Alroy odtrąca pokusę; trwa niezłomny jak skała.

W tym dziwnym, pełnym poezyi utworze, Dizraeli pokazuje się biegłym orientalistą. Snać w podróży swojej zbadał Wschód gęboko i wszechstronnie.

Podczas gdy powieści te zjawily się kolejno, autor korzystając z literackiego powodzenia, stawał raz poraz jako kandydat do izby. Ojciec jego Izaak miał maleńką posiadłość ziemską, Dizraeli korzystał z tego prawa; ale wyborcy nie chcieli słyszeć o nim. Odtrącany, z szy-

derstwem, nie zrażał się tém wcale; występował znów z godną podziwienia wytrwałością. Torował sobie drogę, rzucając w świat broszury i okolicznościowe poemata.

Zrazu jak cała ówczesna młodzież, skłaniał się do liberalnych doktryn. Od r. 1835 nastąpiła zmiana w jego pojęciach. Pod chorągwią Roberta Peel stanął silnie przy władzy. Szanował on królewskość i arystokracją, ale pragnął aby te dwie instytucje pracowały dla dobra ludu. Przy tym sztandarze trwa dotąd niewzruszony.

W społeczeństwie londyńskiem Dizraeli zachował osobistość zupełnie odrębną od innych. Ponury, nieprzystępny, trzymał się dumnie na uboczu. Rysy jego przedstawiały piękny typ hebrajski. Czoło miał wysokie, cerę smagłą, oko czarne, płomieniste; brew gęstą, włos bujny, kędzierzawy; na ustach jego igrał zawsze szyderyczy uśmiech. Ubierał się starannie, lecz na właściwy sobie sposób. W wyrażeniach niemniej był oryginalnym, używał zwykle przenośni i napsuszystych zwrotów.

Mimo twardych zapór, jakie napotykał po drodze, szedł naprzód, wytrwale, krok za krokiem, powtarzając zawsze: *nil desperandum!* Po każdym zawodzie wyborczym, chwycił za pióro, rzucał w świat nową powieść. W r. 1836 ukazała się *Henryeta Temple*, historia serca ludzkiego; nie dotycząca w niczem polityki. W rok potém napisał ciekawą powieść p. t. *Wenecya*. Jestto obraz społeczeństwa angielskiego tych czasów. Uwydatnił tu, pod zmyślonemi nazwiskami, dwa sławne typy Byrona i Schelleya. Portret Byrona skreślony z drobiazgową ścisłością. Lord Cadureis, który go przedstawia, bożyszczem jest Londynu, kobiety pełzają u nóg jego, mężczyźni zawistnem poglądną nań okiem. Ztąd skandale i pojedynki. Żona opuszcza go po krótkim pożyciu; ogół staje po stronie obrażonej małżonki. Zuchwały lord szydzi z opinii publicznej: dnia jednego przybył konno do parlamentu; tłum otacza go, obrzuca zniewagą, zwłóczy z siodła, tarza po ziemi. Tak było w rzeczy samej z Byronem. Jak on, Cadureis wściekły z gniewu opuszcza kraj, nieśmiertelną pieśnią uwiecznia swoją rozpacz.

Obraz Schelleya z równą skreślony prawdą. Piękny jak Antinous, rozmiłowany w sztuce, istny poganin, szydzi z chrześcijańskich zasad, uwalnia się z wszelkich węzłów moralnych. Córka jego piękna *Wenecya*, główną jest bohaterką powieści. Utwór ten wzięty z życia, wielkie znalazł powodzenie u anglików.

Nadeszła wreszcie chwila oczekiwana. Wstąpienie na tron królowej Wiktorji, otworzyło nową drogę Dizraelemu. Po raz piąty stanął jako kandydat do wyborów, na ten raz nie doznał zawodu. Wstąpił w szranki parlamentarne w r. 1837.

Zajął miejsce, jako torys, pod przewodnictwem Roberta Peela. Tu nowe napotyka trudności. Ledwie że podniósł głos, szyderyczy śmiech rozlega się po izbie. Niezrażony tém powstaje raz drugi i trzeci; nowy śmiech, nowe szepty! Słowo przymarza mu na ustach, ale bądź cobądź trzeba mówić, trzeba zwalczyć powszechną niechęć, przebić się raz zwycięsko przez te lody. Nikt nie przewidywał w nim przyszłego ora-

tora: sam Peel pogląda nań z pogardą; Dizraeli tylko nie wątpi o sobie, przeczuwa rychły tryumf: „Przyjdzie godzina że słuchać mnie będziecie!” woła wśród szalonych okrzyków. Gdy to wyrzekł, godzina już wybiła!

Fortuna audaceis juvat: przysłowie sprawdziło się niebawem. Zimna krew i wytrwałość, popłaca wszędzie, szczególnież u Anglików. W drugim roku po wstąpieniu do izby, Dizraeli zyskał stawę znakomitego mówcy, mistrzem był w rzucaniu sarkastycznych pocisków.

Anglia w tych czasach wymagała od mężów stanu, znakomitego położenia pod względem majątkowym, aby tym sposobem zapewnić sobie ich nieskazitelność polityczną. Dizraeli czuł, że ma prawo sięgnąć po najwyższe zaszczyty, lecz ubóstwo zagradzało mu drogę. Bogate małżeństwo usunęło tę trudność. Umarł właśnie jeden z członków izby, milionowy Lewis, właściciel ogromnego browaru. Dizraeli poślubił czterdziesto-pięćioletnią wdowę, o lat dziesięć starszą od siebie. Związek ten stał się dla obojga źródłem prawdziwej pomyślności. Pani Dizraeli czciła i kochała świetnego małżonka, żyła wyłącznie dla niego. On ze swęj strony, przez lat blisko czterdzieści, do ostatniej chwili jęj życia, okazywał się najtkliwszym mężem, nie przepomniał długu wdzięczności. Zyskawszy rozgłos w Europie, powtarzał nieraz iż całą karierę winien jedynie żonie swojéj.

W lat kilka po wstąpieniu na tron Wiktorji, torysowie stanęli u steru. Dizraeli młody jeszcze, bogaty, przeświadczony o siłach własnych, śmiałem okiem poglądał w przyszłość. Wytrwałością i siłą woli, zwalczył przeciwne losy; czuł się bliskim zupełnego zwycięstwa. Autor zapowiada nowy szkic, w którym skreśli czterdziestoletni zawód polityczny, wielkiego męża stanu.

Muzeum techniczno-przemysłowe krakowskie, pod dyrekcją d-ra Baranieckiego, znalazło w Paryżu prawdziwie zasłużone uznanie, czego dowodem srebrny medal przysądzony téj instytucji. Uczni tutejsi powitali najżyźliwież *Album* świeżo wydane w Krakowie, staraniem tegoż Muzeum, obejmujące zbiór ozdób z kaplicy Zygmuntownskiej, oraz reprodukcye dwu nagrobków, umieszczonych w katedrze na Wawelu: kanonika Borka † 1556 r. i wielkiego marszałka Piotra Kmity † 1505 roku. *Album* to *in folio*, z szesnastu fotograficznymi tablicami, wyszło w r. 1878, w drukarni Wł. Anczyca. Wyjaśnienia tablic zredagowane w trzech językach: polskim, francuzkim i niemieckim. Tablice fotografował p. Awido Schubert z odlewów gipsowych, umyślnie na ten cel wykonanych na oryginałach. Kompletny zbiór tych fotografii, ma być pomieszczony za szkłem, w nowo urządzącém się tu *Musée des arts decoratifs*.

Druga serya tegoż *Albumu*, nabytą została przez p. Delagrave, znanego w Paryżu wydawcę szkolnych publikacyi. Muzeum techniczno-przemysłowe zastrzegło warunek, że własna jego firma położoną będzie na czele okładki tytułowéj, oraz że obok tekstu francuzkiego, niemieckiego i angielskiego, umieszczony będzie i tekst polski.

Nowy ten zeszyt obejmie rysunki szczegółów architektonicznych i ozdób z cerkwi wołoskiej *Kurtea d'Arghysch*. Modele kartonów w małych rozmiarach, wykonane przez jednego inżyniera niemieckiego, dostały się do Muzeum; znany drzeworytnik p. Dubrak, przerysował je na większą skalę. Te właśnie okazy posłużyły do ułożenia *Albumu*, którego głównym celem jest wprawienie młodzieży szkolnej do rysunków cyrklowych.

Trzecia serya *Albumu* składać się ma z haftów włościańskich: z Podola, Wołynia i Ukrainy, w ilości czterdziestu kilku tablic; wszystkie zdjęte z oryginałów, znajdujących się w Muzeum krakowskiem. Wielka część ich okazaną była w dziale antropologicznym wystawy paryżkiej. Wszyscy podziwiali w nich artystyczny zmysł ludu naszego wysoko rozwinięty. Wydawcy tutejsi okazali gotowość przedsięwzięcia téj publikacji, jeśli trzystu prenumeratorów zbierze się w kraju naszym. Przekonani jesteśmy, że kraj pośpieszy z odpowiedzią na to wezwanie, przez pośrednictwo d-ra Baranieckiego, zasłużonego dyrektora krakowskiego Muzeum.

Mówiliśmy już o urządzającym się w Paryżu Muzeum etnograficzném. Wielka ta instytucja obejmie przedmioty etnografii wszystkich na świecie ludów.

Zarząd jój posiada już okazy w ilości około stu tysięcy.

Głównym zawiązkiem przyszłego muzeum, są drogocenne skarby etnograficzne, zwiezione do Francji, staraniem misji naukowych, rozsyłanych przez ministerjum oświecenia po całej kuli ziemskiej. Te ciekawe okazy, rozrzucone po różnych działach wystawy, zwróciły powszechną uwagę, a tém samém zachęciły obce państwa do wzbogacenia licznemi daraniami tych znakomitych zbiorów. Między innymi Kedyw Egiptu, zostawił w Paryżu wszystkie reprodukcje pomników starożytnéj cywilizacji kraju swego, które stanowiły ozdobę historyczną wystawy.

Niesłychane powodzenie, jakie znalazły tu manekiny włościan szwedzkich i norweskich, z etnograficznego Muzeum stocholmskiego, stało się bodźcem dla zarządu francuzkiego Muzeum, do zwrócenia pilnéj uwagi na lud wiejski, ów, że tak powiemy, szpik kości każdego narodu. Osobny téż dział obejmie typy, chaty, ubiory i wyroby wieśniacze, zebrane tak z całej Francji, jak z ościennych i dalszych krajów. Towarzystwo antropologiczno-etnograficzne polskie ofiarowało zatém nowo tworzącój się instytucji, wszystkie ubiory i sprzęty ludowe, jakimi je kraj udarował. Hr. Dzieduszycki uczynił toż samo ze swéj strony. Ważny to na przyszłość zwiątek wystawy etnograficznój kraju naszego. Wiadomość ta niech będzie nagrodą dla osób, które życzliwie przyjęły udział w zebraniu i nadesłaniu okazów etnograficznych na paryżką wystawę.

W chwili, gdy kończymy Kronikę naszą, ukazało się w druku zapowiedziane dzieło Legouvégo: *Nasze córki i nasi synowie*. Ustęp z tego dzieła, o stosunku panów do sług, odczytany był, jak wiadomo, na akademickim zebraniu. Obszerny tom obejmuje po większej części luźne obrazki, któremi akademik zasila znakomitą publikację dla młodzieży p. t.: *Magasin d'Education et de Récreation*, wydawaną u Hetzla od lat kilkunastu. Oprócz tych obrazków, przeznaczonych wyłącznie dla młodego wieku, są tu i poważne rozprawy, tyżące się najżywotniejszych zagadnień pedagogicznych. Nie mieliśmy czasu rozpatrzeć się w tój księdze, z tego jednak cośmy dostrzegli za pierwszym rzutem oka, pewni jesteśmy, że znajdziemy w niej wiele myśli zdrowych i zdań mniej paradoksalnych, niż w owym ustępie o sługach, który rozbiegaliśmy w przeszłej korespondencji. Przyjdzie nam zapewne powiedzieć coś więcej o tём dziele. Poprzestajemy dziś na przytoczeniu krótkiego wiersza, zaplątanego między prozą, p. t.: *Respect à la vieillesse*. Poważny wiekiem autor, przemawia tu w imię tradycyi, przypomina cześć należną siwym włosom, od pokoleń wstępujących w szranki życia, w miejsce tych, którzy znijdą wkrótce z widowni.

Oto w przekładzie wiersz Legouvégo.

Pozostał-li na ziemi obcój a dalekiój
 Stary pomnik lub kościół, co tam przetrwał wieki;
 Serce drga na wieść o nim, żar nam z lic wytryska,
 Bięgniem ze czcią wiekowe powitać zwaliska!
 Gdy stajem u tych zrębów z pochyloną głową,
 Brak nam tchu i na ustach zamiera nam słowo
 I łza cicha zpod powiek na gruzy się stoczy:
 Tak widok onych zwalisk rzewny a uroczy!
 Bo wszystko budzi smutek, co zmierza do końca:
 Drzewo żółkłe jesionią, zachodni blask słońca,
 Zburzone dzieło sztuki, zwalony zrąb gmachu,
 Rodzi w duszy uczucie żalu i przestrachu.
 A człowiek, ta wśród tylu najdroższa na ziemi
 Ruina, powalona rękoma Bożemi;
 Człowiek, on gruz co cierpi i czuje się prochem,
 Gdy pada, wżgardę budzi w waszém sercu płochem.
 Wam-że miotać pociski w to bezsilne łono,
 W to czoło, ludzkiej myśli świątynię zburzoną?
 Stójcie! Urągać starcom niech się nikt nie waży!
 Czas idzie... oni pomrą... wy będziecie starzy!

Mówiliśmy już o systemie pociągowym naszego ziomka p. Mgarskiego. Dotąd otrzymał on liczne dowody uznania specjalistów, którzy zalecali jego prace, jako postępowe pod względem teoryi. Teraz dopiero teorya ta badaną została ze stanowiska praktycznego. Osobna w tym celu komisya, złożona z senatorów, deputowanych i in-

zynierów, puściła się w drogę pociągiem p. Mękarskiego, pchanym siłą ściśniętego powietrza. Próba odbyła się na przestrzeni 44 kilometrów w sposób zupełnie zadawalniający, mimo trudnych warunków z powodu nierównego poziomu. Ten pociąg, złożony z lokomotywy i wagonu, krążyć ma pomiędzy Paryżem a St. Denis. Główną zaletą nowego systemu: oszczędność w paliwie i uniknięcie dymu tak przykrego dla podróżnych. Przedstawia niemniej wszelkie warunki bezpieczeństwa.

Znakomity muzyk nasz p. Albert Sowiński, który tak zaszczytnie przedstawia sztukę polską w Paryżu; oderwany w roku zeszłym od fortepianu, w skutek złamania lewej ręki, w chwilach przymusowego spoczynku, przełożył dziełko Winkerlina p. t.: *Musiciana*. Jestto zbiór wszelkiego rodzaju wiadomości, mających związek z muzyką, przedstawiony w sposób bardzo popularny. Znajdujemy tu i początki muzyki u rozmaitych ludów i opis najdawniejszych instrumentów muzycznych i wyjątki ze starych dzieł, traktujących o téj sztuce i anegdoty biograficzne z życia wielkich kompozytorów, ich listy, notaty i t. p. Niewielka ta publikacya, dowodząca głębokiej erudycyi autora, pokazuje żywo, dostępne i wszechstronnie świat muzyczny od najdawniejszych do najnowszych czasów. Wdzięczność należy panu Sowińskiemu za tę podjętą pracę, a zwłaszcza za przypisy, dotyczące muzyki w Polsce, któremi wzbogacił swój przekład.

Na polu muzycznych utworów, niez mordowany pracownik wystąpił z nową publikacją. Mówimy tu o dwudziestu pięciu melodyach do śpiewu, z akompaniamentem na fortepian. Między temi 15 pieśni polskich, 10 francuzkich, ale i te ostatnie wyśpiewane w duchu polskim. Jest między niemi śliczna pieśń Beranżera, na skou księcia Józefa Poniatowskiego. Wśród polskich znajdujemy ową *Jaskółeczkę* ze słowami Adama Underowicza, obsypaną tylokrotnie oklaskami na koncertach paryżkich. Mamy tu także piękny wiersz Deotymy, ofiarowany szanownemu kompozytorowi pod tytułem: *Ziemia nasza*. Kończy go śliczna zwrotka:

Innym ludom los dał złoto
I ogrody strojne cudnie,
Ptaki z blaskiem i pieszczotą
I gorętsze dał południe;
A nam tylko ziemię dano,
Lecz tak hojną i kochaną,
Że za świat drogich kamieni
Lud téj ziemi nie zamienił

Tę piękną zwrotkę kompozytor moduluje na różne tony, z talentem godnym poetycznego utworu.

Wielka rozmaitość w tych pieśniach. *Czajka* ze słowami p. Hipolita Świejkowskiego, odbrzmiewa smętną nutą ukraińskiej dumki.

Pieśń *Do lutni* tegoż poety, dopełniona rzewną a pełną wdzięku melodyą, zachwycała nieraz słuchaczy na koncertach paryzkich. Dwa mazury: *Echo* i *Powrót*, do słów Underowicza, dziarskie i smętne zarazem. Kantata *Święta miłość* pełna wzniosłej powagi, godna słów Krasickiego, w całym znaczeniu tego wyrazu.

Nasz artysta, uleczony dziś zupełnie, odzyskał w ręku dawną krzepkość, o czém przekona wkrótce publiczność paryzką na koncercie, o który upominają się gorąco liczni jego przyjaciele i zwolennicy.

Wyszła w tym roku u Friedlejna w Krakowie nowa edycja *Ś. Wajciecha*, z tekstem przełożonym na język polski, przez autora francuzkiego tekstu hr. Krystyna Ostrowskiego. Oratorium to uważane powszechnie, jako najznakomitszy utwór Alberta Sowińskiego.

Papież Leon XIII przysłał królowi szwedzkiemu Oskarowi dyplom, na honorowego członka akademii *Arcadi Romani*. Król Oskar, jak wiadomo, jest autorem kilku narodowych poematów, wysoko cenionych w Szwecyi.

Akademia *Arcadi Romani* założoną była w Rzymie r. 1669, w celu badań naukowych i literackich. Rozpoczęła gorliwie te prace królowa Krystyna, córka Gustawa Adolfa, w czasie pobytu swego w Rzymie.

Godłem Towarzystwa: flet bożka Pana, otoczony gałązką wawrzynową.

Każdy członek, przyjęty do akademii, ma nadane sobie nowe imię. Królowi szwedzkiemu nadano imię Poliandro Samio. Z literatów naszych, o ile wiemy, Deotyma przed laty kilkunastu, otrzymała od Piusa IX tytuł członka, w powyższej akademii Rzymskiej.

Do bardzo licznych nagród konkursowych, któremi rozporządza instytut francuzki, przybyła w tych czasach jedna, w ilości 10,000 franków rocznie. Fundatorką téj wielkiej nagrody, jest wdowa po zmarłym przed kilkunastu laty filozofie Janie Reynaud. Ową nagrodą rozporządzać będą z kolei wszystkie pięć akademii, składające Instytut, za ważne dzieło, wykonane czyto na polu historyi, poezyi, zagadnień moralnych lub krytyki artystycznej, czy téż w wydziale nauk ścisłych. Jakknajzupełniejsza wolność, zostawiona w tym względzie akademiom. Nagroda nosić będzie nazwę *Jana Reynaud*.

PODRÓŻE I ODKRYCIA.

WYPRAWA NAUKOWA PROFESORA NORDENSKIÖLDA

NA MORZA PÓŁNOCNO-WSCHODNIE.

Prace dla ludzkości pożyteczne, rozwijają się zwykle w czasach wolnych od burz politycznych; położenie obecne zdaje się mało być dla nich przyjaznem, a uwaga publiczna grozą różnych i niełatwych do zrozumienia hasel zaniepokojona, na nie przedewszystkiem zwraca baczenie. Wszechstronna atoli ducha ludzkiego działalność, nie może nigdy zupełnie spocząć. Do takich objawów cywilizacyjnej energii, należy zaiste ekspedycja naukowa, wyprawiona w roku przeszłym na morza północno-wschodnie pod flagą szwedzkiej korony, lecz w większej części spowodowana i opatrzona z gorliwości prywatnej. Pisma nasze czasowe, podawały o niej kilka razy pobieżną wzmiankę, nie zwróciły jednak dostatecznie uwagi na jej znaczenie naukowe i na spodziewane z niej korzyści.

Przytomnemi dotąd pamięci naszej są kosztowne i pełne niebezpieczeństw wyprawy na morza polarne, wielokrotnie od lat kilkadziesiątu przedsiębrane; jedne w celach czysto naukowych: aby nieznanne strony te zwiedzić, dotrzeć, jeśli można, aż do bieguna, dla zbogacenia fizyki kuli ziemskiej wiadomościami zupełnie nieznanymi, może nieprzewidywanymi nawet; inne, niepomijające i celów praktycznych, jak badanie pobrzeży północnych Ameryki, nie tylko dla rozstrzygnięcia ważnej kwestyi geograficznej: czy cały łąd ten jest wyspą dokoła morzem oblaną, ale i prawdopodobnego otworzenia drogi krótszej na Ocean Spokojny, a przez nią zbliżenia z Europą wschodnich krain azyatyckich. Imiona tych pionierów cywilizacji, z których niejeden żywotem poświęcenie przytłacił, zapisane są zaszczytnie i z wdzięcznością w dziejach naszego wieku. Taką też jest i obecna prof. Nordenskiöld'a wyprawa północno-wschodnia, zamierzająca zbadać pod wszelkimi względami naukowemi, wybrzeża północnej Azji i stwierdzić możliwość tej nowej drogi przez cieśninę Berynga na ocean Spokojny, drogi nabierającej dziś takiego znaczenia wobec zmian dojrzewających tam widocznie: Japonii garnącej się do cywilizacji europejskiej, wznastającego coraz poważniejszej na tych wodach wpływu Stanów Zjednoczonych, i rozwijającej się kolonizacji w Kalifornii. Jakie losy czekają tę wyprawę, jakim powodzeniem uwieńczona zostanie, dotąd niewiadomo; to tylko pewna, że nie zdążyła przed zimą ujsć przez cieśninę Be-

rynga na morza wolne od lodów; zimuje tedy w więzieniu lodowem i tyko mocna budowa statku pozwala mieć nadzieję, że wyjdzie cało i z wiosną dokona zadania. W ciągu dotychczasowej podróży, dwa razy tylko ekspedycya miała sposobność przesłania do Europy o sobie wieści: pierwszą z ujścia Jenisseju, drugą z ujść Leny. Listy odebrane, jakkolwiek skąpe w szczegóły, donoszą jednak o niektórych osiągniętych już rezultatach.

Na mapie brzegów, nowo wykreślonej, sprostowano dawniejsze niedokładności, mianowicie pod względem długości geograficznej, dochodzące w niektórych miejscach do 3 a nawet 5 stopni. Przekonano się przytém, że w drugiej połowie lata, wody u tych brzegów, bezporównania mniej są narażone na przyływ lodów, nizeli pod mniejszą szerokością leżące brzegi Ameryki północnej. Wyższa temperatura tych wód i mniejsza ich stoność, tłómaczy się ogromną masą wód rzecznych, spływających tu z olbrzymich rzek syberyjskich. Na szczególne zupełniejsze, tyżące się natury tych krajów, czekać trzeba do otrzymania nowych, oby pomyślnych wiadomości. Teraz podać należy krótki rys powstania wyprawy.

Dickson, bogaty obywatel i kupiec szwedzki z Gothenburga, jest promotorem i wziął na siebie większą część kosztów całej wyprawy. Na jej usługi oddał odpowiednio mocno zbudowany statek parowy „Vega,” pod dowództwem porucznika marynarki szwedzkiej Palander'a, który, oprócz trudnego zadania prowadzenia statku, przyjął na siebie obserwacye astronomiczne i geograficzne, a raczej kartograficzne. Ogólne kierownictwo naukowe wyprawy, objął prof. Nordenskiöld, doświadczony podróżnik po morzach polarnych. Uczestnikami wyprawy są jeszcze: porucznik marynarki szwedzkiej Brusewitz, jako pomocnik kapitana okrętu Palander'a; botanik dr. Kjellman, zoolog dr. Stuxberg, lekarz ekspedycyi Almquist, tudzież porucznik marynarki duńskiej Hovgaard, porucznik marynarki włoskiej Giacomo Bove i młody oficer rosyjski Nordquist Finlandczyk. Dziewięć tych osób podzieliło między siebie w podróży zajęcia naukowe, mające wzbogacić geografiją spostrzeżeniami topograficznymi, hydrograficznymi, meteorologicznymi, tudzież ze wszystkich działów historyi naturalnej. Okrętowi ekspedycyi miał towarzyszyć, aż do ujść Leny, lekki parowiec „Lena” kupca rosyjskiego Sybiriakowa, przeznaczony do kursowania po Lenie, miały także w drodze przyłączyć się czasowo dwa statki kupieckie tegoż właściciela: „Express,” wiozący z Anglii ładunek węgla na dalszą drogę ekspedycyi, oraz towar, przeznaczony na Jenissej: dla ciągnięcia go był dodany holownik parowy „Fraser.”

Ekspedycya wypłynęła z Gothenburga na okręcie „Vega” dnia 4 lipca 1878 r., dnia 18 lipca w Tromsøe przyłączyła się do niej „Lena, d. 25 lipca opuściły już wszystkie cztery statki północny brzeg Norwegii. Tu doznały jedynéj w ciągu całej podróży burzy, która je rozpedziła czasowo, a z powodu słabéj w tych szerokościach usług igły magnesowéj, połączenie się było niełatwém. W dniu 1 sier-

pnia przeszły wszystkie cieśninę Jugorską i razem już płynąc, przebyły morze Karyjskie, nie spotkawszy nigdzie ani znaku kry. W dniu 6 sierpnia stanęły w małej, lecz wygodnej i dobrze zabezpieczonej zatoce wysepki, leżącej na wprost ujścia Jenisseju; przystań tę nazwano zatoką Dicksona. Tutaj statki: „Fraser” i „Express,” oddawszy „Vedze” węgiel potrzebny na dalszą drogę, pożegnały ekspedycyą i weszły w rzekę i przez nie to otrzymano pierwszą wiadomość o przybyciu pomyślném ekspedycy do ujścia Jenisseju.

W liście do Dicksona, opisuje prof. Nordenskiöld przygody podróży i wycieczkę na wyspę Wajgacz (zwiedzaną już raz przez niego w r. 1875), zwraca uwagę na obfitą jej roślinność i udziela wielu szczegółów o pogańskich ofiarach u Samojedów.

Z zatoki Dicksona wyruszyła Vega już tylko w towarzystwie Leny d. 9 sierpnia dalej ku północo-wschodowi, na wody prawie nieznanne, bo chociaż już w pierwszej połowie przeszłego wieku bywały one zwiedzane częściowo przez śmiałych podróżników syberyjskich, którzy jużto na saniach wzdłuż brzegów, już wreszcie z ujść wielkich rzek robili na nie wycieczki na wątych łodziach wiosłowych lub w małych szalupach żaglowych, teraz jednak dopiero przyszło im po raz pierwszy ujrzeć okazałe okręty, usłyszeć salwy dział i świstawkę parową. Teraz też dawniejsze relacye o położeniu i naturze brzegów, oraz zgodne dosyć podania o wodach na dalekiej północy, zupełnie wolnych od lodów pod nazwą połynja, miały się doczekać sprawozdania i uzupełnienia.

W dniu 20 sierpnia dosięgła ekspedycyą szczęśliwie punktu nadaliej ku północy na starym lądzie wysunionego, to jest przylądka północno-wschodniego, zwanego także Kapem Czeluskina (r. 1742), którego położenie oznaczono dokładnie na $77^{\circ} 42'$ Sz. Pn., a $121^{\circ} 41'$ Dł. Wsch. od Ferro ¹⁾, (szerokość o minut ośm większa, a długość o jeden przeszło stopień mniejsza niż na mapach dotychczas oznaczana). Jestto szerokość o stopni przeszło sześć większa niż Nordkap w Norwegii i najbardziej północne przylądki stałego lądu Ameryki. W okolicy przylądka napotymano miejscami smugi kry, lecz tak skruszałej, że żadnej przeszkody od niej niedoznano. Burzy też ani jednej niedoświadczono, częściej zupełny brak wiatru. Jedyłą niedogodnością podróży, oprócz bezpożyteczności igły magnesowej były ciągłe prawie i gęste mgły, które ani niebezpiecznych dla żeglugi miejsc, ani brzegów dostrzegać częstokroć nie pozwalały a utrudniały niezmiernie wszelkie obserwacye astronomiczne i fizyczne.

¹⁾ Mapa kap. Palandera dołączona do zeszytu pierwszego w tym roku (1879), Wiadomości geograficznych wydawanych pod imieniem Petermanna, narysowana jest, zwyczajem ogólnie dla map morskich przyjętym, według projekcy Merkatora z długością liczoną od Greenwich, którego południk leży o $17^{\circ} 40'$ ku wschodowi od Ferro. Podwójny na niej zarys brzegów wskazuje różnice od dawniejszej z roku 1873 mapy Petermanna.

Pomimo tych trudności podróż dalsza obu statków wzdłuż wschodniego wybrzeża półwyspu Tajmyrskiego odbywała się bez przygody. Sondowano ciągle cztery razy na dobrą głębokość morza, oznaczając zarazem temperaturę wody przy powierzchni i na dnie; gdzie czas i możliwość potemu były, dragowano w celu poszukiwań zwierząt i roślin morskich i znaczne porobiono zbiory, lub też wysyłano łódź na brzeg dla obejrzenia roślinności i robienia postrzeżeń nad fauną, zwracając uwagę na granice rozprzestrzenienia na północ niektórych ptaków, z których śnieguły, tryngi, niektóre gatunki kulików i gęsi Bernikle, dochodzą aż do ostatecznego krańca lądu. Kapitan Palander zdołał w kilku miejscach oznaczyć linią brzegów, która okazała się tu najbardziej odmienną od dawniejszych wykreśleń, a mianowicie wprost ujścia rzeki Chantangi do zatoki tegoż imienia; leży on o cztery stopnie przeszło ku zachodowi. Mała wysepka wprost zatoki, na mapach oznaczana nazwą W. Preobrażenija, zwróciła uwagę żeglarzy niepoliczonem mnóstwem na skalistym brzegu ptactwa wodnego; były to alki i mewy. Wylądowano przeto na godzin kilka dla zrobienia poszukiwań. Z ptaków dostrzeżono kilka sów w różnych gatunkach, zebrano nieco owadów, ubito dwa niedźwiedzie, z których jednego powalił porucznik Brusewitz, drugiego kapitan Leny Johannesen.

Dnia 25 sierpnia kierunek zwrócono wprost na wschód ku ujściom Leny i po dwóch dniach, 27 sierpnia Vega i Lena stanęły wprost delty jedną z największych rzek azyatyckich.

Ostatni to punkt do którego Vega miała towarzyszkę czterdziesto-dniową od Tromsøe podróży i ostatni o którym mamy wiadomości. Tutaj Lena musiała pożegnać ekspedycją i zwrócić się na wyznaczoną sobie drogę. Do Jakucka przybyła w 12 dni po rozłączeniu (9 września n. s.), ztąd wyprawione listy członków ekspedycji doszły do Europy w późnej jesieni. Wszystkie w najlepszym usposobieniu są pisane. Prof. Nordenskiöld zawiadamia, że wyrusza dalej na wschód ku wyspie Fadiejewskiej, załoga jest w dobrém zdrowiu i mocna duchem, węgla zapas dostateczny, z pełną otuchą obiecuje po przejściu cieśniny Berynga nadesłać wiadomości z Kamczatki lub z Yokohamy w Japonii. Napróżno wyczekiwano, widać komunikacją przecięły lody; jeżeli za nadejściem lata ekspedycją szczęśliwie z nich się wyzwoli, zawiadomi o tém zapewne z Petropawłowska w Kamczatce, gdzie spotka prawdopodobnie innego niezmordowanego zapaśnika nauki d-ra Dybowskiego, który po kilkunastu latach badań pełnych mokołu i wszelkiego rodzaju niewygód, wróciwszy w roku przeszłym z nad brzegów morza Japońskiego, odwiedził rodzinną Warszawę, Kraków i Lwów, lecz pędzony wewnętrzną żądzą wyjechał znowu w ostatnich dniach roku przeszłego, napowrót na Wschód daleki, przyrzekając żegnającym go serdecznie przyjaciółom, zaraz po przybyciu do Kamczatki o sobie i o Nordenskiöldzie nadesłać wieści.

A. W.

KORRESPONDENCYA.

Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Biblioteka Warszawska pomieściła w zeszycie październikowym 1878 r. następującą wzmiankę: *Preussische Jahrbücher*, wydawane przez T. i W. (t. 41, zeszyt 4 i 5) podają ciekawą pracę R. Roeppla: *Repin i Czartorysoy 1794—1797 r.*) Pod tym samym tytułem *Przewodnik naukowy i literacki* lwowski, drukował pracę Antoniego J. (dr. Rollego) w zeszytach majowym i czerwcowym, bez wymienienia pracy Roeppla. Sprawozdawca widocznie nie widział nawet żadnego z pism poszczególnionych, boby się przekonał, że dr. Antoni J. nie mógł korzystać z Roeppla, dla téj prostej przyczyny, że rokiem wcześniej ogłosił drukiem swoją pracę; że właśnie znakomity historyograf niemiecki posiłkował się rozprawą naszego ziomka, na dowód czego cytuje ją nie tylko na wstępie w liczbie źródeł, ale i w tekście do niej się odwołuje. Uważamy przeto za obowiązek sprostować omyłkę sprawozdawcy *Bibl. Warsz.* i przy niniejszej odezwie składamy w redakcyi zeszyt *Preussische Jahrb.* (maj 1878 r.), zawierający wzmiankowane wyżej studjum Roeppla.

A. R.

PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Renata Kartezjusza rozprawa o metodzie, jak dobrze kierować swym rozumem i szukać prawdy w naukach. Przytém list do księdza Picot, oraz reguły do kierowania umysłem, przetłómaczone przez Wojciecha Dobrzyckiego. Lwów, nakładem I związkowej drukarni 1878 r.

Tytuł ogólniejszy téj książki jest: „Biblioteka filozoficzna, zbiorek dzieł najznakomitszych myślicieli.” Mamy tedy przed sobą nie tylko ważną pracę w dziedzinie źródłowej literatury filozoficznej, lecz oraz zapowiedź wielkiej zbiorowej pracy, jakiej i miłośnik myśli i miłośnik powszechnego postępu rzeczy umysłowych w ogóle, z gorącym wyglądał utęsknieniem. Skoro program redakcyi *Biblioteki Filozoficznej* czynem uwieńczony będzie, a o powodzeniu znacznej myśli wśród naszego społeczeństwa powątpiewać się niegodzi—skoro posiadać będziemy we własnej mowie *najpiękniejszą roślinę mózgową*, jaką jest filozofia: wtedy nie tylko rozszerzy się widnokrąg filozoficznego pojmowania, ale zarazem wyrodzą się i nowe pobudki pracy w tym kierunku, nowy poczet potrzeb teoretycznych. Redakcyja, jak dowiadujemy się z przedmowy, w szeregu wybranych do przekładu myślicieli, uwzględni i kolejność historyczną i typowe znamiona uczelni filozoficznych. Mamy tu i Dekarta i Bakona; Locka, Condillaca i Montesquieugo; Spinozę i Humego; D'Alamberta, Littrego i Kanta. Przy małej zmianie programu, siły empiryzmu i apyryzmu prawie zrównoważonemi będą. Zresztą domyślać się należy, że sam tok wydawnictwa wywoła rozszerzenia, lub modyfikacye, co do wyboru treści. Wielkie prądy, szczególnie w pracach zbiorowych częstokroć unoszą dalej nad przewidziany zakres, i odmiennie nad inaugurowany kierunek. Naukowe przedsięwzięcia tego rodzaju obok treściwych korzyści dla czytelników, dają przytém urok ugrupowania wielkich sfer wiedzy ludzkiej, a zarazem przedstawiają przed oczy kolejność w wychowaniu się myśli z domysłnemi skazówkami: *baczności* w naszym osobistym rozwoju koniecznej. Jak historia polityczna mistrzynią jest życia, tak historia filozofii jest mistrzynią hodowaniu umysłu.

Z góry więc trudom redakcyi towarzyszyć winny głosy zachęty i życzenia pomyślnéj żeglugi. Ważnemi są sprawozdania, streszczenia lub wykłady źródeł, ale ważniejszymi jeszcze są źródła same, podane w najdokładniejszym kroju, w najbezpośredniejszym wcieleniu, bo w przekładzie na mowę ojczystą.

Z tego też względu o dwu stronach niniejszego wydawnictwa pomówić nam wypada: o pracy p. Dobrzyckiego, jako pojedynczym fakcie piśmienniczym, zasługującym na poważne uznanie ze strony czytelników, oraz o planie i duchu programu, wypowiedzianego przez redakcją samym wyborem przedmiotu pierwszej księgi, a przez p. Dobrzyckiego w jego wstępie o życiu i pismach Dekarta, oraz dopiskach wyjaśniających tekst rozprawy wykonywanego.

Odstaniając przed czytelnikiem tak jedną jak i drugą stronę, ani wymagamy, ani spodziewamy się, aby redakcja, prawdopodobnie posiadająca już w znacznej części wygotowany materiał, odstąpić miała od wytkniętej drogi. Prędzej rokowaćby sobie można rozszerzenie szeregu przedmiotów o jedną lub drugą zaakomitość, która czyto z powodu praktycznych, czy też i dla pewnej strony zasadowej, pominiętą została lub może odłożoną. Redakcja bowiem uznaje za stosowne uszanować pewne względy, sięgające poza sferę ściśle filozoficzną. Oblicza ona i wpływy ogólniejsze, idzie jej w wielkiej części i o społeczny wynik tej lub owjej grupy wyobrażeń. „Nasze przedsięwzięcie, mówi redakcja, nie jest przedsięwzięciem księgarskim, ale raczej zadaniem społecznym.” Otóż sądzimy, że nawet i w skrajnej lewicy upatrzeć się dają pewne utwory, które, bez przeniewierzenia się haśtu, podanemi być mogą. Jakkolwiek, np. wszelkie budowy pesymistyczne, na gruncie *społecznym* nigdy u nas w charakterze przewodniczącej myśli życia zaszczerpić się nie dadzą, boć w społeczeństwach także są i typy *filozoficzne*, jednakże i takich postaci już dla kolosalności ich wymiarów i genialnego kroju pomysłów bez pewnych wskazówek pomijaćby nie należało. Prawda, że w mędrców przekonań naszych wmawiać nie mamy prawa, ale każdy z nich, przy całej nawet skrajności, samym tokiem wykładu naprowadzany bywa na grunt neutralny, i wówczas wypowiada rzeczy zdumiewające czytelnika, budujące go nawet, bez względu na to, z pod jakiej wychodzą chorągwi. Takim np. jest dział etyki u Schopenhauera, a po części i jego filozofia piękności. Podobnie i szkoła mistykozy bezwarunkowo przeoczoną być nie może.

Tę i tym podobne uwagi nasze, jakie w ciągu rzecz nam sama nastreczy, jeśliby nawet i nie wymogły pewnych ustępstw ze strony redakcyi co do wyboru przedmiotów, to w każdym razie świadczyć powinny o żywych współczuciach ku jej zacnemu przedsięwzięciu. Otóż przedewszystkiem rzecz o „życiu i pismach Kartezjusza,” przez p. Dobrzyckiego jużto z powodu obszerności swojej, już z powodu poważności nastroju, i trafnych poglądów na ogólną sytuację myśli w wieku Dekarta, posłużyćby mogła i wystarczyć do reszty utworów jego ściśle filozoficznych. Owszem, poglądy p. Dobrzyckiego ogarniające powszechnego ducha dekartyzmu, znalazłyby tam całkowity rozświet i sprawdzenie: zwracając się więc do owego wstępu, skorzystamy przytém ze sposobności wypowiedzenia pewnych postulatów.

Chcąc otrzymać podstawę na oznaczenie stanowiska pewnego systemu wśród powszechnych dziejów filozofii, nie dosyć jest orzec

naczelne punkta, linie i przecięcia budowy, niedosyć jest *wypowiedzieć* całokształt nauki mędrca; trzeba przytém, ba i głównie: wysnuć przed czytelnikiem rodowy system, gościniec główny, dróżki i poboczne ścieżki, które poprowadziły mędrca do jego podjęcia. Taka skazówka genetyczna nietylko pomaga czytelnikowi do rozjaśnienia sobie danej filozofii, czyniąc go widzem i naocznym świadkiem wznoszenia się budowy; tłumaczy ona przytém i pewne ukryte sprzeczności, pewne nie licujące z sobą zasady i przedstawiające niejako: dogmat w dogmacie. Ta dwulicowość przedewszystkiem w Dekarcie ukazać się daje: otoczeniem historycznym, wśród którego rozmyślał i snuł nasz myśliciel, usprawiedliwić się ona daje bez wątpienia, ale zaprzeczycj jój niepodobna. Jako pomysł wielkiój, zwrotowój doniosłości, filozofia Dekarta wniesioną została pod sąd wszystkich a wszystkich współczesnych i potomnych uczelni. Potępiły ją stronnictwa niezależnego myślenia, uwielbiał areopag najsurowszój rutyny teozoficznój, i odwrotnie. Spirytualiści uznają go za swojego, ponieważ przyznaje istnienie duszy, jako substancyi, jako czystego ducha, ponieważ daje stanowczą odprawę poglądom antropologicznym. Rozbrat ze szkolnictwem Arystotelesa, hold oddany doświadczeniu jedna go z empirystami. Prawowierni obsypują go oklaskami za podany dowód matematyczny bytności Boga i za to, że Najświętszój Pannie przyrzeka uroczystą obiatę, jeśli go wspomże, i po kilku latach ślubu danego dopełnia. A tymczasem Parcker w swoich „dysputacyach o Bogu,” potępia go za to, że zamiast przyczyn celowych wprowadził *mechaniczne* w świat rzeczy przyrodzonych.

Szczególniejszego prześladowania doznał Dekart od teologów angielskich. Cudworth filozof wieku XVII, występując przeciw materyalizmowi Hobbes'a, zmierzającemu do *wykreślenia* bóstwa z księgi wszechświata, podobną dążność wmawia i w Dekarta. Kiedy z jednéj strony nasz myśliciel dosadnie ogłasza zasadę pośrednictwa Bożego (*assistentia Dei*) w zjawiskach świata, kiedy najwyraźniej mówi o substancyi: „substancya jest to, co istnieje w ten sposób, że do istnienia swojego, czegobądźkolwiek innego nie potrzebuje; że jednak to imię nie przypada w jedném znaczeniu Bogu i stworzeniom, te bowiem inaczej istnieć nie mogą, jedno pod współzarządzeniem Boga (*concurso Dei*),” pomimo to jednak spotyka go zarzut panteizmu, obwiniają go o uwiedzenie się zasadami Brunona, czyli, jak mówi Brucker o „oraniu jego włotem.” Zgoła, gdyby dać wiarę głosom krytyków, niéma szkoły, niéma systemu, do którego nauka Dekarta nie była to najpodobniejszą to najniepodobniejszą, stosownie do barwy krytyka.

Otóż w oceniu wagi historycznej filozofa, zdaniem naszym, nieodwołalnie potrzebném jest wystawienie samój genezy systematu. Bo tym sposobem, idąc ślad za śladem z myślicielem, dochodzimy do punktu, od którego system łamie się na dwie drogi, z których jedna jest organicznym ciągiem głównego wątki, i ta nas jedynie obchodzić może, gdy tymczasem drugą jako wyłącznie prawie drogę *ustępstw*,

myśliciel przeznaczają na pewne rokowania ze społecznością *ogólniejszą*, aby pod osłoną tych rokowań myśl główną ocalić.

Niema podobno myśliciela, z którego pomysłów tyleby usunąć należało treści poza-systemowej dla utrzymania rdzeni *główniej*, czysto filozoficzny przedstawiającej interes, jak Dekart. Tłómaczy się to, jak powiedzieliśmy, historycznymi warunkami i rodzajem atmosfery, zpośród której wychylała się ta bohatera postać. Czytelnik przypomni sobie ów rok 1600 d. 17 lutego (katastrofa Giordano Bruno), albo rok 1619 (podobna katastrofa Lucylusza Vanini, z powodu dwu jego dzieł: *Amphitheatrum aeternae Providentiae*, i *de admirandis Naturae, reginae deaeque mortalium arcanis*).

Rozdwojenie się systematu, od pewnego punktu, zaszło główne przy tych pobudkach w Dekarcie. Wskazać tu jednak należy jeszcze jeden czynnik, mniej już zasadowy, ale ważny: Dekart zamierzył związanie w jedną spójnię treści nagromadzonych przez przeszłość, zamierzył więc dokonać tego, czego w okresie starożytnym dokonał Arystoteles w swojej „metafizyce.” Z tego też względu zgadzamy się z zdaniem p. Dobrzyckiego, zestawiającem tych obu mocarzy myślenia, nie zgadzamy się tylko na to, ażeby Arystotelesowi mniej się powiodła wielka synteza.

Otóż Dekart zamierzył sobie odkrycia poprzedników wprowadzić do całokształtu swojej nauki, jako żywożyły. Spotykamy więc tu rozliczne szczegóły i teorie, szczególnie dotyczące filozofii natury (*principia rerum naturalium*). I tak np. zdanie to, że zwierzęta są to jedynie maszyny cielesne, pozbawione zgoła subiektywności: „że wszystko, co czynią lepiej niż my, nie świadczą o ich rozumie... lecz dowodzi tego, że w nich natura działa stosownie do budowy ich narzędzi na podobieństwo zegara, złożonego z kótek i sprężyn, który mimo to lepiej mierzy i liczy godziny, aniżeli my z całym naszym rozsądkiem” (np. Dobrzyckiego, str. 164 i 165)—zdanie to wypowiedział już pierwiel lekarz hiszpański Gomez Peirera.

Nieprzyjaciele Dekarta wielkimi głoskami wypisują te lub owe fakta, na dowód plagiatu. Sam nawet Leibnic, jak wiadomo, takim uznaniem zaszczycający Dekarta, podaje cały poczet jego pomysłów, z obcego źródła zaczerpanych.

Leibnic tak mówi: „Już to dawno zauważali uczeni mężowie (i jak się naocznie z listów okazuje, był niepomiarowanym lekceważycielem innych), iż żądzą sławy powodowany, nie cofał się przed takimi drogami, które za mniejszslachetne uważałyby można. Tak np. prawo odbicia pierwel jeszcze odkrył Willebrord Snellius, chociaż nie przeczy, że Dekart mógł i sam paść na to odkrycie. Najważniejszego punktu w prawie ciężenia Dekart nauczył się od Keplera. Zawnioskowanie o bytności Boga z tego, że w Istności najdoskonalszej albo Istności, nad którą nic doskonalszego pomyśleć się nie da, domyślnie tkwi i znamię istnienia; zawnioskowanie to, winniśmy Anzelmowi. W nauce o ciągłości, o pełni i miejscu poszedł za śladem Arystotelesa; w etyce zupełnie wy-

powiedział myśl stoikow, postępując sobie we wszystkiem, jak pszczoła w gajach kwiecistych...”

Wszystko to jednakże aureoli Dekartowskiej w oczach naszych zaćmiewać nie powinno. Hegel, jedno z najważniejszych kótek swojego systemu, a mianowicie dwa momenta bytu: możliwość i rzeczywistość (*dynamis i energeia*) wziął dosłownie od Arystotelesa. Cóż dawniejszego być może np., jak niedowierzanie zmysłom? Czyż w starłej szkole jońskiej niemamy już zadatków transformizmu? a wyrugowania czasu ze świata obiektywnego, już u Arystotelesa?

Pomimo przytoczonych faktów, naleciałości zewnętrzne bynajmniej nie wpłynęły na ducha systematu i sam Leibnic przyznaje, że Dekart myśli innych na rzecz swoją przerobił i użytkował jako swoje w dysputach z uczonymi w Szwecyi.

Zachodzi pytanie, gdzie rozpoczyna się właściwy system Dekarta? bezwątpienia w owem lapidarném, „myślę, więc jestem” w owym najpierwszym węźle *pewności*, zyskanėj po postawieniu się na zwątpieniu. Rzeczywiście zyskanego, napozór w tak prosty sposób, stanowiska, krocie dróg miał przed sobą Dekart. Od powzięcia zaś jednej z nich zależć miał i istotnie wywiązał się długotrwały i nadzwyczaj wydatny kierunek w nowszej filozofii. Ten kierunek, jak widzimy, jest idealistyczny, gdyż pewność *istnienia* naszego na tój zasadzie, że *myślimy*, pewność istnienia siłą myśli równa się bezwarunkowo postawieniu istoty naszej w dziedzinie odrębnej od ciała: w substancyi duszy. Jest tedy Dekart pierwszym apostołem idealizmu, a ze względu, że środek ciężkości przeniósł na myślenie, że je wysobnik i podniósł nad *inny*, dotąd samowładny, czynnik wiedzy ludzkiej, zasłużył sobie na imię odnowiciela filozofii, bohatera wiedzy ludzkiej (podług Hegla). Podług Shopenhauera, który realistyczny kierunek w filozofii uważa za narzucony nam przez judaizm, Dekartowi należy się hold za podanie pierwszego hasła do zwrotu subiektywnego.

Ale pytanie: czy Dekart rzeczywiście utrzymał się na całej linii w powziętym kierunku? czy nie zażbyt pośpieszył się z odbudowaniem tego, co poprzednio zburzył sobie postanowił w tym celu, aby w wysnuciu wiedzy rozpocząć od zera?

Otóż to odbudowanie właśnie upoważnia nas do wyrzeczenia, że w systemie Dekarta mamy drugi: system *dobudowany*, jako ustępstwo, może mimowolne, dla dogodzenia pewnym kółkom atmosfery otaczającej. Bo jakże użytkował nasz mędrzec ten pierwszy punkt stały, odkryty w sobie, t. j. przeświadczenie? Oto, rozpatrując się w tém przeświadczeniu, znajduje on tam pewne *pojęcia*, a przedewszystkiem: pojęcie najwyższej doskonałości. Pojęcie to naprowadza go z kolei na pojęcie o przyczynie, o sprawcy tego w niem pojęcia. Otóż w tym punkcie ciągłość przerywa się wyraźnie. Zbyt pośpieszne wprowadzenie przyczynowości zakrawa na machinę tragedyi; krytycyzm wiedzy, tak świetnie zagajony, cofa się napowrót do dogmatyzmu. Dogmatyzm ten, t. j. bezwarunkowe dowierzanie wyobrażeniom, jeszcze jas-

krawiej wykazuje się u Dekarta w odbudowaniu świata materialnego, czyli jak on nazywa: świata *przestrzennego* (w przeciwieństwie do *myślenia*). „Niepodobna, mówi on, aby Bóstwo tak ludzi nas miało i wzbudzać w nas wyobrażenia takich przedmiotów, których niema, którymy nic obiektywnego nie odpowiadało zewnątrz nas.” Nie jesteśmy sceptykami; jednakże, albo całe owe zwątpienie o wszystkim było tylko kosztownym, ale bezcelowym przyrządem dyalektycznym, albo, powtarzamy raz jeszcze, mędrzec zatrzymał się w pochodzie idealistycznym, a dalszego zidealizowania dopowiedzieć nie śmiał. Tym sposobem reszta dogmatów realistycznych, oszczędzoną została i zachowaną dla analitików angielskich. Jakoż ci, rozpatrując się w przeświadczeniu ludzkim, coraz to dalej okrawają z przedmiotów powłokę, niby obiektywną, przenosząc ją na rzecz spostrzegającego podmiotu. Zabór ten sformułowanym został przez Locka pod nazwą: znamion *wtórorzędowych*; barwy np. uznanemi zostały (przez Locka) za znamiona wniesione ze strony podmiotu. Dalej jeszcze na tej drodze posuwa się Kant, sprowadzając nawet czas i przestrzeń do znaczenia jedynie podmiotowych form. Znane są czytelnikom dalsze postępy idealizmu, tak w szkole szkockiej, jak przedewszystkiem u skrajnych Kantyanów, mianowicie u Szopenhauera („Świat jestto moje wyobrażenie”).

Otóż, streszczając nasze wrażenia, ograniczające się, jakto czytelnik widział, na teorii poznania, pojmujemy, że sprawiedliwie mędracy uchylają czoło przed Dekartem, że pomimo nałogowej czci, jaką on zachowuje dla idei wrodzonych, jest rzeczywiście patriarchą nowożytnego idealizmu i człowiekiem zwrotowej ery w dziejach filozofii wogóle. Nie poszedł on głębiej w organizacyą siły poznawczej, nie podejrzewając przepaści pomiędzy światem przeświadczalnym a obiektywnym, zatrzymał się jeszcze na dogmatyzmie; ale wskazał, że najważniejszym punktem odbicia od ładu jest przeświadczenie się o sobie i godło Sokratesa *obyczałowe*, przyjął za godło metafizyczne. Tęgo domagają się jednomyślnie prawie teoretycy poznania, wszelkich odcieni. „Ziemia i niebo, mówi Michelet, wołają na człowieka: *gnoli se-aulon*.”

Z tego to względu w zupełności uznajemy, jak wysoką zasługę redakcyi *Biblioteki filozoficznej*, tak i wybór Dekarta za przodownika w zamierzonyj przez redakcyą kolejności.

Poczet ten rozpoczyna „Rozprawa Renata Kartezjusza o metodzie, jak dobrze kierować swym rozumem i szukać prawdy w naukach, przytém list do księdza Picot, oraz reguły do kierowania umysłem,” przetłómaczone przez Wojciecha Dobrzyckiego.

Na wstępie czytamy głos redakcyi do czytelników, zapowiadający granice i pobudki wydawnictwa. „*Biblioteka filozoficzna*, powiedziano tam, ma pomieścić dzieła *wszystkich* tych wielkich myślicieli, którzy przyczynili się do odrodzenia myśli, a przez to do odrodzenia nauk...” „Cały postęp i bogactwo wiedzy nowoczesnej, jest owocem zasiewu tych wielkich ludzi, których czci cały Zachód i nasi uczeni cenią.” Ile

słów w tej odezwie, tyle gorących bodźców do popierania szlachejnych zamiarów redakcyi współdziałem wszelkiego rodzaju. Cóż pożądan- szego być może nad posiadanie *w domu własnym* owych zdobyczy naj- wyższej w świecie kultury, jaką jest filozofia-wiedza wiedzy! Praca, od jakiej p. Dobrzycki rozpoczął posągowe, można powiedzieć, zadanie redakcyi, wykonanie tego przekładu, również trudnego w swoim ro- dzaju, jak przekład jakiegoś arcydzieła poezyi, wróży nam, iż zadanie pojeto i przeprowadzić zamierzono z całą *uczuwością*, jakiej i potrzeby narodu i majestat przedmiotów gorąco się domagają. Pan Dobrzycki, obok przekładu podjął się jeszcze obowiązku pośredniczenia pomiędzy Dekartem a czytelnikiem, w miejscach jużto znaczeniem swoim wy- bitniejszych, jużto podlegających pewnemu złagodzeniu lub ogranicze- niu. Pośród takich odsyłaczy, spotykamy i rysy wyjaśniające znacze- nie tekstu, nieco zatrześciwie przedstawione w oryginale. W ustę- pach, dotykających kwestyi psychologicznych, p. Dobrzycki prostuje albo dopełnia Dekarta odkryciaini, przy dalszych dopiero postępach psychologii zdobytymi. Z podobnym pośrednictwem występuje p. Do- brzycki—i tém jeszcze stosowniej—w kwestyach fizyologicznych, jak np. w miejscu dotykającym pewnych *duchów zwierzęcych*, gdzie powodem do hipotezy Dekartowskiej była nader ograniczona w wieku XVII wia- domość o elektryczności. Pożądaną jest rzeczą, aby komentarze tego rodzaju szły jaknajgęściej jedno po drugim, tak w ustępach dotyczą- cych przedmiotu specjalnego, jak i w ustępach mniej przystępnych z powodu samego nastroju dyalektycznego. Są tam i wyjaśnienia, od- noszące się do dziejów filozofii. Jak np. na str. 126 w objaśnieniach czytamy o Rajmundzie Lulliuszu: „Hiszpan, urodzony w r. 1234 w Pal- ma na wyspie Majorce. Gorąca głowa, wymyślił nowy rodzaj logiki, za- pomocą której chciał reformować filozofią i nawrócić pogan. Po swa- wolnej młodości, został ascetą na pustyni, oddając się biczowaniom i u- martwieniom; następnie zajął się naukami, aż nareszcie wybrał się do Afryki, w celu nawracania pogan, a pobity przez nich, umarł r. 1315.”

Te i tym podobne szczegóły nie są do odrzucenia, ale należałoby jeszcze dodać fakta z dziejów filozofii, jak np. o Lulliuszu Rajmundzie to, iż jego dziełem jest „wielka, czyli powszechna sztuka” (*ars magna*) w tym rodzaju, jak *topiki* Arystotelesa, mające stanowić klucz do wszelkiego rozumowania. R. Lulliusz na wiek XIII był także refor- matorem (rok urodzenia R. Lulliusza prawdopodobniej był 1235 albo 1236, chociaż niekiedy, a pomiędzy nimi i Winc. Mutus, podają datę przyjętą przez p. Dobrzyckiego).

Prawdziwą przysługę sprawił nam p. Dobrzycki wyborem wstępem (str. 11—89) p. n.: *O życiu i pismach Kartezjusza* ¹⁾. W pracach tego rodzaju, jak zamierzone i rozpoczęte wydawnictwo, życiorysy bo-

¹⁾ Nie będziemy się spierali z szanownym autorem o to, czy nasz filo- zof był Dekartem, czy Kartezjuszem. Co do naszego osobistego przekona- nia, ponieważ stosunek jest ten sam, jak Janicyusza do Janickiego i t. p.,

hatérów myśli nietylko uczą, ale i pouczają, nietylko rozszerzają wiadomości naukowe, ale i budują, dając obraz wewnętrznej walki człowieka ideał z człowiekiem okoliczności. Ujął nas p. Dobrzycki wzmianką o przypisaniu przez Dekarta „zasad filozofii” księżniczce Elżbiecie, której imię związane jest poetyczną nicią z imieniem Władysława IV.

Nie możemy zarzucić p. Dobrzyckiemu, iżby w przedmowie nie wywiązał się z najistotniejszego zadania t. j. charakterystyki *filozofa*. Owszem prowadzi on ją pouczająco i obstawia ciekawymi faktami. Ponieważ od człowieka, dotykającego dziejów filozofii, wymaganem bywa zwykle wynurzenie się ze swójemi współzuciami względem tego lub innego obozu, przeto i p. Dobrzycki, jakkolwiek nie zapowiada nam z urzędu, do jakiego wyznania zaliczyć go mamy, w niejednym jednak miejscu barwę swoją nam odstawia. Jest on przeciwnikiem wszelkich dróg dedukcyjnych. Za źródło wielkich odkryć Dekarta i za istotnie doniosłe jego zdobycze uważa to, czego dopiął pracą empiryczną, że zaś zboczył nieraz w kierunku odwrotnym, że się dał uwieść popędowi *a priori*, tych zboczeń powodem „była matematyka,” która właśnie do tej drogi umysł zaprawia.

„Matematyka (mówi autor na str. 60) uwiodła Kartezjusza do owęj dedukcyjności, która zastosowana do przedstawienia rzeczy, do architektoniki dzieła jakiego, nadaje mu cechę wspaniałości i wielkiej powagi; ale zastosowana do wynajdywania prawdy, nie wprowadza człowieka na miękkie, zielone, kwieciste łąki zdrowej myśli, na bogate w kłosa pola wynalazków, lecz na pustynne piaski wymysłów, urojeń, dziwactw, wymęczonych oryginalności.”

Grzechy aprioryzmu Dekarta, podług zdania p. Dobrzyckiego, zmytemi zostały zdobyczami na tych polach, gdzie się najmniej posługiwał dedukcją, a najwięcej rozbiorem faktów. Nie mymawiamy wprawdzie autorowi jego filozoficznych chęci lub niechęci, to rzecz wolnego wyboru; ale zwracamy jego uwagę na to, że środkowy punkt historycznej wagi Dekarta, leży właśnie w tamtej dziedzinie. Zupełnie pod tym względem przypomina go Leibnic, o którego, jako o swoje-go, upominają się rozliczne państwa wiedzy, niby o Homera, ale z istotowej roli swojej jest on mężem filozofii przedewszystkiém, równie jak i Dekart. Owszem posuwamy się dalej w orzeczeniu: jedynie jako wielki *filozof* przedewszystkiém, Dekart mógł być i wielkim fizykiem i matematykiem. A wielkość jego filozoficzna tkwi właśnie w tém, że rozpoczął od przeświadczenia, ujętego w samej podstawie: w idealnej rzeczywistości. W orzeczeniu naszym popierają nas i wyrazy „przedmowy do czytelników” (str. 6), wypowiedziane niezawodnie w głosie zbiorowym i myśl szanownego współpracownika: „Na czele naszego wydawnictwa stawiamy Kartezjusza, którego imię nietylko w filozofii jest głośnym, ale także w fizyce; w matematyce zaś słynie jako twórca

przeto, mówiąc o filozofie naszym, stale używać będziemy nazwiska rodowego nie łacińskiego.

nowej gałęzi geometryi. Takiemu myślicielowi ufać można. To też *dzieło filozoficzne*, które podajemy, pierwsze przełamało lody, jest fundamentem *całej nowej filozofii*."

Zdaniem naszym obok niezaprzeczonej ważności rozprawy o metodzie, gdzie mamy przed sobą jedynie popiersie systematu Dekarta, pożądanem byłoby dać jeszcze przekład jego rozmyślań (*Meditationes de prima philosophia*), oraz dzieła: *Principia philosophiae*.

Z przedmowy dowiadujemy się, że po Dekarcie przedstawiony będzie w przekładzie: Fr. Bacon, Locke i Condiliac, Montesquieu (*Duch praw*); Spinoza, Hume, D'Alambert, Littré, Kant; na dalszym zaś planie spostrzegamy zasadnicze dzieła Platona, Arystotelesa i Cyserona; następnie filozofią patrystyczną, charaktery Labruyer'a, dalej Shaftesbury'ego i t. p.

Któż śmiałby wystąpić przeciw którejkolwiek z postaci w wymienionym poczcie? Czyż np. przeciw Shaftesbury'emu, który pojęcie doskonałości moralnej przeniósł na grunt piękna? D'Alambert ma dla siebie piedestał w świątyni dziejów rozumu, boć i Encyklopedya w ogóle nie przeszła bez śladu. Ale gdyby przyszło zachować się w promieniu postanowionym przez redakcyą, tedy zamiast Labruyer'a np., którego bynajmniej nie lekceważymy, wprowadziłby się dała najpoważniejsza może osobistość w filozofii XVII wieku: Leibnic. Wszakże imiona Locka i Leibnica są tak spojone w dziejach badaniu umysłu ludzkiego, że jedno bez drugiego pomyśleć się nie da. Gdybyśmy nawet zapomnieli o tém, ile to z Leibnicem przybyło dogmatów w metafizyce i filozofii natury, ile zdań moralnych prawie ewangelicznego majestatu, toż sama teoria poznania weszła w nowe stadyum, skoro Leibnic odkrył *ciągłość wyobrażeń*, to jest nieskończenie podzielną skalę wyraźności. Zamierzamy już bowiem o monadologii; wszakże badanie Locka o umysłowości ludzkiej wywołało Leibnicowskie *nowe badania*.

Zresztą czytelnik mając w ręku *Nowe Badania* Leibnica, tém samém będzie miał i Locka. Rzecz np. o pochodzeniu idei (czy dorobkowem czy nabytém) wziętą jest tu w dwa ognie, a tym sposobem czytelnikowi przedstawia się ona pod dwoma odwrotnemi światłami. Nadmieniliśmy dopiero co o ciągłości poznawczej, a owa ciągłość *metafizyczna*, (mało co więcej jak *zamierzona* przez Arystotelesa), z jakąż subtelnością rozsnutą została przez Leibnica! Zaprawdę, komu drogą jest święta kwestya osobowości, własnowolności ducha ludzkiego w obec wszechświata, ten o Leibnica nie dopytywać się nie może, nie powinien. Domagamy się go od zacnych pracowników *Biblioteki Filozoficznej*, domagamy się w imię równouprawnienia wszelkich barw i szkół, wobec wszechprawdy filozoficznej. Zresztą trzymamy za słowo samą redakcyą, która zapowiada: (str. 8) „z programu podanego czytelnicy poznają, że nie lękamy się wprowadzać do biblioteki dzieł najpowszechniejszych, najgłębszych, byle dążących do prawdy.” Następnie nie narzucamy jéj w prawdzie postaci łatwo domyślnych pod tém omówieniem: „nie umiścimy w Bibliotece żadnego z tych filozofów, którzy systemata swoje na

wyrazach opierają” (są to zapewne apostołowie filozofii bezwzględnej). Jednakże estetyka Hegla bardzoby nam się przydała, po usunięciu z programu np. Condillaca, który w szeregu nawet sensualistycznym tak podrzędnie stoi względem głównych jego przedstawicieli, jak np. względem kantyanizmu: Kizewetter. Nakoniec przedstawiamy do uznania redakcyi jeszcze jedną wymogę, a mianowicie: aby główny utwór filozofa, podawany w przekładzie, naturalnie tak wybornym, jak przekłady p. Dobrzyckiego, poprzedzało nakreślenie w treściwych zarysach systematu filozofa, w otaczających go ramach historycznych, z wyrozumowanym jego stanowiskiem w obec przeszłości.

Tom pierwszy tak wyborem przedmiotu, jak i obejściem się z wybraną treścią, daje nam wymowną rękojmię; a co się tyczy widoków poparcia prac redakcyi współzuciem ogółu, jesteśmy ich pewni. W żadnym podobno okresie żywota naszej umysłowości, silniej i samorodniej jak dziś, nie odzywała się potrzeba osadzenia swojej wiedzy na podstawach filozoficznych. Jakże to rumieniłyby się przyszło, gdyby praca, głęboko pomyślana, z istic heroicznym wysiłkiem prowadzona, we wszystkich kierunkach otwierająca widok, być miała nie latarnią morza, ale piramidą w pustyni.

Tak więc z wdzięcznością i niekłamanemi ślubami zamykając sprawozdanie o książce pana Dobrzyckiego, dodajemy staroświeckie *szczęść Boże* do ostatnich wyrazów wstępnego przemówienia redakcyi: „idź w świat tomiku pierwszy i sięj zamiętanie prawdy, pracy i poczciwości.
F. J.

Dwie mogiły; poemat na tle podań ludu Ukraińskiego osnuty; przez Stanisława Grudzińskiego. Warszawa, 1879 r.
Kiejstut, tragedia w pięciu aktach, przez Adama Asnyka. Kraków, 1878 r.

Rzeczą jest niezaprzeczoną, iż każdy wiek ma swoje interesa, kierunki i upodobania, a cechy skłonności swych wyciska na społecznych sobie produkcyach, zarówno moralnych jak naukowych, politycznych jak artystycznych. Dopóki Francya nadawała ton tym ostatnim, pozostało aż dotąd w Europie wiele nazw oznaczających rozmaite gusta i style, treści i formy utworów, z zakresem zarówno poezyi jak sztuki. Ze zmiany upodobań mas, niebawem wynikają odpowiednie modyfikacye w objawach twórczości mistrzów; i nic dziwnego: poeta i artysta są tak samo dziećmi wieku jak inni śmiertelnicy, i biegną za prądem, który ich magnetycznie pociąga. A jeżeli widzimy jakiś opór przeciwko duchowi czasu, fenomen ten jest albo sprawą geniusza, który wyprzedza kierunek i nową zakreśla drogę, kędy wkrótce uka-

żą się i inni, albo jest to ociąganie się konserwatysty, który rzadkich niewa współtowarzyszów. Jestżeto konieczność naturalna w tém ła-twém i kolejném przerzucaniu się z formy w formę dla oznaczenia etapów, któremi poezya i sztuka drogę swą znaczą? Jesteżeto lekko-myślność mało szanująca tradycyą? Możeby się znalazło jedno i drugie po części w tym objawie zmienności, ale w jakim stopniu, tego w téj chwili poszukiwać nie będziemy.

To pewna, że w naszym kraju, wpośród naszych mas myślących i czytających, popęd ku poezyi podaniowój, niegdys tak mocno wydatny, osłabł. Po wieszczeniach przyszłości, które przez pewien przeciąg czasu same jedne miały prerogatywę wstrząsania umysłów i serc, obecne upo-dobania kierują się głównie do rzeczywistości, do zadań najbliższych, do obrazów współczesnych; i treść, nie już nawet podaniowa, ale ściśle historyczna o tyle wchodzi w granicę rzeczywistych upodobań, o ile odpowiada jakimś interesowi społecznemu lub służy mu za objaś-nienie: dewiza „sztuka dla sztuki” najmniej dzisiaj u nas znajduje za-stosowania. Dowodem powieść, dowodem teatr, dowodem wreszcie poezya w swém ścisłym znaczeniu wzięta.

I to również co do ducha czasu zaznaczyć należy, iż w grani-cach saméjże poezyi, ze wszystkimi jój rozgałęzieniami, forma dra-matu wzięta górę w upodobaniach nad wszystkimi innymi, a wpo-sród rozgałęzień dramatycznych, formą najulubieńszą stała się kome-dya. Kto z poetów pragnie stać się popularnym, to jest najlepiej odpowiedzieć upodobaniom ogółu, niechaj pisze komedye, jeśli może. Syrokomla ze swemi poematami bohaterскими, Asnyk ze swemi pio-sneczkami, będą wkrótce na drodze popularności prześcignięci przez Narzymskiego, Bliżińskiego i innych. Minęła pora, kiedy wierszyki ulotne a czułe przepisywano na kilka rąk w seksterny, przesyłano sobie i uczono się ich na pamięć. Liryki słucho się dzisiaj jak sona-ty: posłuchają i odejdu; a o poecie dysputować będzie garstka odo-sobniona wybranych znawców. Dramat tylko elektrykuje i wstrząsa jeszcze nadwątłone ogółu nerwy, które jeśli nie zjedrnieją, nie wiem już jaką formę przybierze poezya, ażeby sprawić wrażenie.

I w takichto względem poezyi usposobieniach ukazuje się w War-szawie młody poeta, Stanisław Grudziński, niosąc cypielnikom: *Dwie Mogiły* stepowe, znane pod nazwą Perepiata i Perepiatychy. Istna to legenda, żadnego nawet poparcia nie znajdujaca w historii pozy-tywnéj; nadto, obrobiona wierszem w części epickim, w części lirycz-nym, ma po sobie wszystko, aby ze względu na upodobania ogółu sta-nąć poza ich granicami. Gdyby to było w czasach Zaleskiego a choć-by Aleksandra Grozy, to rzecz inna; Grudziński, napisawszy kilka podobnej treści poematów, jużby się uwydatnił: dzisiaj, taki nawet jedrny talent i od lat już dwudziestu przypominający się, jak Sowiński, który z pewnością jednę z najenergiczniejszych nut zaśpiewał *na Ukra-inie*, znanym jest zaledwie w kołach literackich. Grudzińskiemu dzisiaj już powiadają, niektórzy mniej więcéj w ten sens: Na co się to

zdało wygrzebywać stare temata w dzisiejszym wieku, który nie cofać się myśli, ale gwałtem wypycha się naprzód? Kogo zainteresuje ta uboga treść dotycząca bohaterów o wątpliwem istnieniu? i t. p.

Nam się wszakże wydaje, według tego cośmy na początku powiedzieli, że nie w tém rzecz. Jakikolwiek byłby temat, sposób jego obrobienia głównie ściąga na siebie uwagę gustów społecznych. I niechajby p. Grudziński tenże sam temat ujął w formę dramatyczną, wypełnioną żywiołem dramatu, dzisiaj na scenie najpożądańszym; fikcyi nadał pozory realności, która, bądź cobądź, w sztuce dzisiaj liczy najwięcej zwolenników, a wszystko to, rozumie się, wykonał z odpowiednim talentem, inaczéjby o tém mówiono, mniej więcéj tak: Ażeby ideę swą uwydatnić na szerokiém tle życiowém, poeta uznał za właściwe zagłębić się w przeszłość, w czasy wyprzedzające regularną historią, gdzie szczegóły dziejowe rzeczywiste nie kępują fantazyi, i t. p.

Lecz poeta dalekim był od tego wszystkiego. Nie myślał o ideach swoich, ale przystąpił wprost do idei podania, która istotnie ubozuchną jest w treść historyzoficzną. Opiéwa ona prosty wypadek. Książ mityczny Perepiat wyrusza przeciwko Połowcom, których sąsiedztwo mu bruździ, żonę pozostawiając w domu stęsknioną. Kiedy nareszcie mąż po długiej rozłące, zgromiwszy wrogów powraca, w zamku rozlega się fałszywy alarm, że to nadciągają Połowce. Bohaterska małżonka zbiera drużynę, i w nocnej pomroce uderza na huf rodaków nie oczekujących znikąd napadu. Ofiarą téj pomyłki pada Perepiat, a na jego trupie żona sama sobie zadaje śmierć. Oto i treść cała.

W takich granicach, istotnie, może ona stanowić wdzięczny przedmiot ballady lub, mówiąc językiem ukraińskim, dумы, której nie będzie zbywać na żywiole moralnym, skoro przyczyną katastrofy jest to właśnie bohaterskie drgnienie w sercu kobiety, rzucające ją, w zastępstwie naturalnego opiekuna, ku obronie ognisk domowych. Ale żywioł ten na budowę rozleglejszą od dумы bohaterskiej nie wystarcza. *Grazyna*, na przykład Mickiewiczowska, której treść spływa do podobnej katastrofy, posiada temat niedoporównania z tematem powyższym. Tam jest starcie się, a przynajmniej przeciwieństwo, dwu zapatrywań. Mąż ambitny i dla celów ambicyi gotujący zdradę społeczności wspólnej, z pomocą wrogów téjże społeczności. Żona inaczéj się na tę rzecz zapatruje, a nie mogąc perswazyą odwieść męża od czynu, który uważa za występny, z miłości dla kraju i z miłości dla męża, ażeby sumienie jego zbłąkane i honor jego ocalić, szlachetném podejściem sama się rzuca na ofiarę wrogiej fatalności. Przedmiot, ze względu na bogactwo żywiołów, godzien nie tylko powieści epickiej, w jakiej zamknął go Mickiewicz, ale nawet tragedyi najwznioślejszej. Porównajmy więc same tylko żywioły obu tematów, a łatwo przekonamy się jaki rozmiar powinnyaby mieć forma *Dwu mogli*, ażeby zachowała harmonią z treścią.

Tymczasem poeta, z tego co starczy samo w sobie na rapsod, tworzy powieść o przeszło tysiącu wierszy, czyli może obszerniejszą od *Grażyny*. Oczywiście więc, że takie kształty nadawszy utworowi, a niemogąc ich wypełnić żywiołem tkwiącym w samej osnowie, urozmaica ją epizodami. Epizody te przedstawiają różne okoliczności poboczne, jako to, opisy natury, wezbrania uczuć ludzkich, sceny wojackie, ukazują się w pieśniach, wieszczeniach, obyczajach. Tylko że kompozycja w jedności swój nie przedstawia całokształtu, w którymby części te trzymały się mechanizmem naturalnym jak członki i narządy w organizmie; ale wobec treści tak prostój i ubogiej, wielość ta jest przeciążeniem organizmu, nieproporcjonalnością, podobną tój jaką-byśmy zarzucili domowi o trzech oknach, mającemu liczne fasady, krużganki, perystyle, wdzięczne same w sobie, ale pod któremi główna idea budowy gdzieś niknie i niczem nie usprawiedliwia potrzeby wszystkich tych ornamentów. Ten błąd architektoniczny jest jedynym zarzutem poważnym, jaki uczynić można artyzmowi utworu.

Co do samej strony jego poetycznej, duch poezji powiewa wsząd, a nie posiadając siły oczarowywania, przypomina się jednak że żyje, daje znać o sobie rzewnym dźwiękiem tęsknoty, iskrą zapału, malowniczością obrazu.

Ażeby dać wyobrażenie o fakturze poematu, przytaczamy jedną z pieśni:

„Kędy Dniepru huczy wał
I nadbrzeżne szumią bory,
Tam do walki krwawej skory,
Dzielnych wojów hufiec stał,
Garstka orłów to stepowa,
Umie chmary kruków zmódzł
Silna dłoń i silna głowa:
Książ Perepiat orłów wódz.
Ledwo słońce zpoza wód
Wychyliło się jaskrawie
I zaczęło po murawie
Pić porannej rosy chlód;
Ledwie ptaków śpiewne chóry
Powitały dzienny brzask,
Wnet się rozległ krzyk ponury:
Połowieckiej hordy wrzask.
Połowiecki hanie, stój!
Wnet drużyna Perepiata,
Jak piorunna, jak skrzydlata,
Rzuca się we wściekły bój.
Na nic chmary twoje, hanie!
Szkoda twoich, hanie, sił:
Jeden za twych pięciu stanie,
A was zetrze w proch i pył.

Pod kopytem ziemia drży,
 Chmury strzał zakryły słońce,
 Tylko miecze krwią płynące,
 Świecą wśród ciemnej mgły.
 Pierś do piersi, dłoń do dłoni,
 Jak dwie chmury w czasie burzy!
 Młot o szable głośno dzwoni,
 Serca szuka ostry nóż.

A nad tłumem, jakby grom,
 Lśni jednego stal bułata,
 I głos wielki Perepiata,
 Grzmi: drużyno, śmierć nie srom!
 I jak śmierć on, gdzie się zwróci,
 Wali wrogi do swych stóp,
 A już ten się nie ocuci,
 Kogo on powalił w grób.

Pod względem kolorytu całości, który w poematach tego rodzaju, specjalnie odnoszących się do pewnej epoki i pewnej ludności, ważną odgrywa rolę, nie możemy przyznać, ażeby był oryginalnym i ludowym. Nie wiemy ile autor wstuchiwał się w tok skazek i pieśni ludowych, ale to pewna że się dużo wczytał w ich reprodukcje z literatury piśmiennej a pamięć nasunęła mu w formie niektóre reminiscencye. Powraca on często w swém opowiadaniu do téj formy pytającej, zanadto już wyzyskiwanéj:

„Czy to chmura hulaszczych sokołów
 Na bojową się zbiera wyprawę?
 Czyli wietrzą obfity gdzieś połów
 Czarne kruki żarłoczne i krwawe?”

Powtarza, często zjawiające się w poezji ludowej, porównania ludzi do zwierząt, kobiet do roślin i innych jestestw natury. I zobaczymy jak pod tym względem jest obfitym.

„Ani słonko różowe o wschodzie,
 Ni kalina kwitnąca nad wodą;
 Ni kwiat żaden w kniaziowym ogrodzie
 Nie dorówna kniaziowej urodą.”

Kilkanaście znowu wierszy dalej, Perepiat mówi o téjże saméj kniaziowéj:

„Byłaś zawsze jak młoda orlica...
 Czemuż dzisiaj, gdy jadę na krótko,
 Jak zuzula orlica się zali.”

I znowu kilka wierszy potem, o téj saméj powiada poeta:

Jak ta brzoza wichrami targana...

A jeszcze gdzieś dalej:

W lwicę w jednę zmieniła się chwili.

Słowem, co sytuacja to nowe porównanie.

Takich figur wziętych albo bezpośrednio od ludu, albo, co większa, zapożyczonych z poezyi już książkowej, moglibyśmy więcej jeszcze przytoczyć, na dowód że autor, z siebie samego snując istotę obrazów poetycznych, koloryt ich po części czerpał z kądinąd, nie zważając że najpiękniejszy zwrot, najpiękniejsza forma, powtarzane często, tracą świeżość i zamieniają się w rutyniczną receptę. Oczywiście, że po koloryt odpowiedni do poematu ludowego nie gdzieindziej udawać się trzeba, tylko do źródła, do ludu; prawda, ale pod dwoma warunkami: 1) ażeby nie czerpać materiału z drugiej ręki, choćby tą ręką była ta co napisała „Słowo o pułku Igorowym”; 2) ażeby czerpiąc nawet u pierwszych pokładów, unikać tych min które wyzyskiwali już inni, a poszukiwać nietkniętych. Kopalnia ludowa jest tak bogata, że byle samemu być dobrym górnikiem, co chwila nowe żyły w niej odkrywać można, a przyswojenie sobie takiego materiału, w którym spoczywa duch ludowy na różne rozstrzelony formy i figury poetyczne, będzie istotnym dla poezyi narodowej nabytkiem, tak jak jest dla historii każdy fakt objaśniany z dokumentów nietkniętych.

Kiedyśmy mówili o rodzaju tematów w poezyi najodpowiedniejszych upodobaniom chwili obecnej, wątki historyczne postawiliśmy na drugim planie, pierwszy bezwarunkowo pozostawiając interesom społecznym, które mają prerogatywę najmocniej zainteresowywać umysły i wstrząsać serca. Są jednak wątki historyczne bratające się ideą z chwilą obecną, tłumaczące jej potrzeby i zajęcia, podszycujące niejako fakta z przeszłości pod interes tegoczesny, a siłą wspomnień niezatarzonych grające na sercach współczesnych. Taki interes przedstawia tragedia Asnyka: „Kiejstut,” którą autor zagrał na jednej z najczulszych strun naszej arfy dziejowej.

Osnowę tragedyi téj stanowi fakt zamordowania Kiejstuta, jakoby z rozkazu Jagiełły, w więzieniu Krewy: fakt prostego barbaryzmu, wątpliwy w znaczeniu historycznym, którego niemożna kłaść nawet na karb usposobień pogańskich, ponieważ nie lepiej czynili i chrześcianie owéj epoki. Cóżby spowodowało Jagiełłę do owego sromotnego czynu: obawa ażeby Kiejstut, stryj jego, książe trocki, korzystając z nie-doświadczenia młodego ówczesnego księcia litewskiego, nie pozbawił go tronu. Jestto zatem zwyczajna intryga dynastyczna, nie opromieniona żadnym światłkiem idei wyższej, dla której czasami i zbrodnia przybiera charakter największego poświęcenia, intryga prozaiczna, pod którą poeta musi podłożyć cały świat zjawisk fantazyjnych, ażeby wynik tragiczny okazał się rezultatem walk stoczonych przez jakieś niepowściągnięte potęgi psychiczne.

Tak też uczynił autor, tylko że niejednorodne potęgi sprowadził do walki: ażeby powalić takiego lwa, jakim jest Kiejstut, nie stawia on przeciw niemu stworzenia podobnej natury, ale tak jak w bajce Trembeckiego, wypuszcza nań muchę, jestestwo *urodzone z kału*. Jeste-

stwem t \acute{e} m jest Marya (osoba niehistoryczna i dziwnie tu z t \acute{e} m imieniem chrześcijańskim wyglądająca na dworze pogan), siostra Jagiełły.

Nie miłość ludzka, ale jakaś chuć zwierzęca pociąga ją do polskiego nędznika Wojdyłły, którą ona kreśli mu namiętnie w ten sposób:

„Ja nie wiem,
 Ja sama nie wiem, czyś ty rzucił czary
 Na moje serce? że pali zarzewiem
 Taki \acute{e} j szalonej miłości bez miary.
 Bo mówią wszyscy żeś ty niski rodem,
 A ty mi świecisz jako gwiazda przodem
 Nad ziemią jaśniej od wszystkich mocarzy.
 Mówią żeś brzydki, a tyś mi piękniejszy
 Od jutrzni, która na niebie się żarzy;
 Mówią że jesteś z ludzi najchytrzejszy
 I jadowity złością jakby zmija,
 A moje serce chętniej z ust twych spija
 Ten jad palący niż słodczye wszelkie...
 Kocham wszystko w tobie:
 Czy złe, czy dobra, czy niskie, czy wielkie!
 I to co szpetne jeszcze pięknem robię,
 I kocham wszystko, co ci tylko drogiem,
 A nienawidzę to, co ty jedynie.
 Kto cię obraża, ten jest moim wrogiem,
 A kto się targnie na ciebie, ton zginie.
 Jabym ci wszystko poświęciła inne,
 Ludzkie uczucia i związki rodzinne
 I kraj i prawo i wolność i brata,
 I całą jasność słonecznego świata.”

Przytoczyliśmy ustęp ten dlatego, że w nim maluje się (a jak dosadnie i poetycznie) cały charakter głównej działawczyni dramatu. Bez wstydu i żadnej oględności pojmuje ona wybrańca swego za męża, którego toleruje Jagiełło, ale którym pogardza Kiejstut, widząc w nim nietylko jednostkę wyszłą z szeregów służalczych, a więc niegodną bratać się z rycerską rodziną książąt, ale co większa, wszystkie te brzydoty duszy, które wymieniła Marya. Walka zatem tragiczna zawiązuje się węzłem nienawiści pomiędzy zacością uosobioną w Kiejstucie, a nieprawością uosobioną w Maryi i Wojdyłły. Kiejstut stoi zbyt wysoko, ażeby zwracał uwagę na robactwo pelzające u jego nóg; robactwo tymczasem wspina się coraz wyżej do jego serca, ażeby je przeźrzeć. Dostyć byłoby jednego ruchu Kiejstuta, ażeby unicestwić tę plugawą parę, ale ona bezpieczną jest od jego ciosu, bo czuje za sobą książęcą potęgę Jagiełły, i Kiejstut wreszcie nie walczy z takim nieprzyjacielem.

Pomimo takiego upozorowania przeciwieństw, z t \acute{e} m wyznajemy, że nie dochodzą one miary tragicznej i nie mają w sobie nic prze-

ważnie groźnego, przed czémby truchlał umysł czytelnika. Jeżeli tragic postawi ideę ludową Tella przeciw idei państwowej Gesslera, Pozę przeciw Inkwizycyi, ambicyą Wallenstejna przeciw władzy cesarza, czystość duszy Arryi przeciw przewrotności i zepsuciu Messaliny, opasującym się wzajem potężnym kołem, czujemy w arenie bohaterów godnych siebie, nie pamiętamy na to co jest moralnie dobrém lub złém, ale przypatrujemy się walce dwu idei, dwu potęg, i jeden przeciwnik rośnie nam w oczach wielkością drugiego. Tu nie otrzymujemy tego wrażenia grozy estetycznej, Kiejstut nasz nie zyskuje przez przeciwnika ani całą wzrostu bohatera: to człowiek, który pada jakby od apopleksyi lub dżumy; żal nam go, bo mąż uczciwy, ale nie dał nam sposobności do podziwiania swój siły, jako bohater tragiczny.

Marya i Wojdyłto, nie są to przeciwnicy imponujący potęgą własną, ale pożyczają jej zzewnątrz, od położenia, od osoby trzeciej: drobne ich cele egoistyczne i zmysłowe źle figurują jako przeciwieństwo mające stanowić harmonijny kontrast z ideą ojczyzny wyobrażaną przez brata Olgierdowego. Pomiędzy niemi i Kiejstutem staje mocarz, którym oni się posługują, strasząc go stryjem, jako gotowym tronem jego uzurpatorem. A że Kiejstut na swym księżącym zamku w Trokach, jest potęgą samą w sobie, z którą gra niebezpieczna, więc należy przybrać do pomocy Krzyżaków, cichaczem, zdradliwie. Na téj to intrydze pałacowej, w której Maryi i Wojdyłle chodzi o pozbycie się Kiejstuta więcej niż Jagielle, bez innéj racyi nad owo francuzkie: *Ôte toi, afin que je m'y mette*, polega akcyja główna.

Ale jest tam akcyja podrzędna, i ta stanowi prawdziwy żywioł tragiczny, wzniosły, istnie rozdzierający duszę; tylko że ten żywioł nie jest pomysłem samego autora. A jakkolwiek sympatycznie przyjmujemy assymilacye, czerpane z wielkiego wzoru, który przyjemnie i korzystnie jest przypominać narodowi, assymilacye jednak takie nie przyczyniają nowych bogactw literaturze, i dla tego wolelibyśmy pomysł samodzielny. Mówimy tu o „Konradzie Wallenrodzie” Mickiewicza, którego ideę główną autor przyswoił swemu utworowi, i to tak szczęśliwie że się z tego przyswojenia utworzyła tragedia w tragedyi, łamiąca jedność interesu, schodząca niby na drugi plan pod względem akcyi, ale górująca nad nią szerokością kolorytu dramatycznego.

Przypominamy sobie, że poemat Mickiewicza przedstawia lukę w życiu Wallenroda, pomiędzy ucieczką jego z domu zamłodu, od żony i teścia, a jego starością, kiedy już jako mistrz Krzyżacki dokonywa planu któremu poświęcił życie, szczęście, rodzinę i uciechy młodości. Lukę tę objaśnia powieść Wajdeloty, i do niej to, *mutatis mutandis*, udat się nasz autor, ażeby cząstkowo wystawić w akcyi to co Wajdelota wspomina tylko w sposób opowiadawczy.

Co do tego punktu, nie możemy powiedzieć inaczej, tylko że *Wajdelota* Mickiewiczowski godnego znalazł komentatora w Asnyku. Dopuszczył się ten ostatni pewnej licencji, ale ta była mu do jego zamiaru potrzebną. Gdy Mickiewicz czyni Aldonę córką Kiejstuta, której daje za męża „obcego młodzieńca;” Asnyk przeciwnie, Konrada

czyni synem Kiejstutowym, Aldonę stawiając na stanowisku synowej, wielce ukochanej i kochania godnej, przeciwko której to tylko ma do zarzucenia szwagier jój, młodziuchny jeszcze Witold, że zły uczyniła wybór, w narzeczonym swym nie domyślając się przyszłego zdrajcy ¹⁾.

Taka bowiem opinia jest w Litwie o zaginionym po pierwszych chwilach małżeństwa młodym Litwinie. Mówią, że umknął z domu, ażeby się skrzyżaczyć i przepadł bez wieści. Ale w pośród tych intryg, knutych przez Maryą i Wojdytę, zjawia się on kilkakrotnie na dworze książęcym razem z innymi Krzyżakami, którzy, jako pośrednicy, delegaci Zakonu, przybywają to do Kiejstuta, to do Jagiełły. Konrad, w rozwinięciu swego planu, musiał już dać Zakonowi rękojmię wierności, skoro wypuszczają swobodnie, wprawdzie pod nadzorem innych, młodego sokoła, „ażeby braci sokołów wojował.” I autor sprowadza go tu, przed oczy nasze, ażeby ukazać całą tę wielkość ofiary, którą uczynił, odkryć to wewnątrz ludzkie, z którego myśl wielka a szalona wyjęła serce przeszłości, by wstawić serce nowe, sztuczne, obmierzłe, jakie człowiek ten nosić musi w łonie razem z odzieżą przybraną dla niepoznania od swoich.

Hał niemitosiernym uczynił się autor (za co muza poezyi powinna mu być wdzięczną), w kreśleniu szczegółów tego stosunku. Pocóż go Zakon wysła do Wilna, do Trok, do obozów litewskich i żmudzkich? Po to, ażeby intrygował przeciw rodzonemu ojcu, przeciw żonie i braciom. Krzyżacy chcą przed stanowczym bojem osłabić przeciwników, sprawić, ażeby się półwiertowali własnymi rękami, nim Zakon uderzy na szczątki rozbitków. Konrada misją przyczyniać się do tych bratobójstw i klęsk. On widzi jasno plany Maryi i Wojdyty, zmierzające ku zgubie jego ojca i brata; ale cóż uczyni, ażeby im przeszkodzić, jeśli taka jest wola Zakonu? Pilnują go, więc on tylko ukradkiem szepnie słówko Kiejstutowi, niewyraźnie, zapóźno; któremu Kiejstut, jako pochodzącemu z ust Krzyżaka, ufać nawet nie może. I niejednokrotnie Konrad upada pod gwałtownością tego rozdarcia serca między odległym widokiem zbawienia ojczyzny, a blizkiem męczeństwem, jakiego doznaje wobec obowiązku rodzinnego; zanadto ta rola ciąży na jego sumieniu i chciałby ją zrzucić, ale wtedy staje za nim Halhan i nawołuje do do tej wielkości, która powinna być ślepą na ofiary czasowe. Więc Konrad musi przykładać rękę do zraty tego, co ukochał nad życie; musi sobie zadać gwałt okropny, piekielny, jako syn, mąż, brat, ażeby kiedyś, osiągnąwszy najwyższą władzę w Zakonie, jako bohater okupić to wszystko ratunkiem wszystkich synów, braci i sióstr, a względem wrogów, „jak Samson, jedném wstrząśnieniem kolumny zburzyć gmach cały i runąć pod gmachem.”

Ileż to pięknych, wzruszających scen rozbudził autor tém postanowieniem Konrada, którego położenie stało się istnie tragiczném

¹⁾ Co do niektórych części *Kiejstuta*, warto porównać Słowackiego złamek dramatu *Wallenrod*. (*Pisma Pośmiertne* J. S. 1866 r., t. III, str. 298—327),
P. R. B. W.

wobec faktów sprowadzonych przez zamach intrygantów wileńskich przeciw Kiejstutowi. Boli go dola ojca, a po tylu krokach, jakie uczynił gwoli myśli powziętej, już cofnąć się nie może, i ten wyrok szepcze mu duch jego, słowami Halbana:

„Jeżeliś żywił w ducha twego tajni
Prawdziwą miłość dla sprawy ojczyźstęj,
Jeżeliś chciał zrzucić jarzmo co nas gniecie
I Litwie tryumf zgotować wieczysty;
To idź, jak dotąd, milczący na wyłom
Przeciw piekielnym czy niebieskim siłom,
Przez łyż, przez ogień i przez krwi strumienie:
Zapomnij, że masz serce lub sumienie.”

Wzruszającą jest scena pierwszego jego widzenia się z Aldoną, która go jedyna wśród wszystkich poznała, gdy na jęj gorące zaklęcia, tłumiąc okrzyk duszy kochającej, rozrywający mu piersi, zimny i zdziwiony, obłądowi przypisuje jęj zapewnienia, mówiąc:

„Mylisz się, niebogo,
Ja tu na Litwie nie znałem nikogo!”

Aż nareszcie, rozbrojony żarem boleści młodej niewiasty, rzuca jęj z serca ten dawny wyraz, który z ust kochanka zwracając się do ukochanej, zawiera całe życie uroków i nadziei: „Adono!” Ale niebawem rzeczywistość przyprowadza go do porządku.

„Precz ztąd odemnie! weźcie tę szaloną!”

woła Konrad do nadchodzących, i dalej pozostaje w swęj roli. Trzeba mieć twarde życie, ażeby po scenie takiej nie skonać.

Ale nie bardzieję wzruszającego jak scena końcowa, w której Konrad nie mogąc wystąpić jawnie dla ocalenia ojca, zstępuje z pomocą sprzedajnego stróża do więzienia, by go uprowadzić skrycie. Kiejstut uwięziony zakuwa się w uporne milczenie i zrazu na przełożenia Konrada nic nie odpowiada, dopóki ten występuje w przybranym charakterze Krzyżaka. Doprowadzony do ostateczności, Konrad nareszcie wyznaje mu, że przed nim stoi syn. Wtedy Kiejstut pierwszy raz zrywa milczenie.

„Syn? jaki?”

Był jeden wprawdzie, któregom opłakał
I w duszy po nim zatarł wszystkie znaki,
Bo on, to moje nieszczęście i zakał.
Więc chociaż potem odgadłem odrazu,
Jaką twarz nosi krzyżacka gadzina:
Zamknąłem oczy przed śladami płazu,
Poznałem zdrającę, nie poznałem syna.”

A lubo syn wyjaśnia mu istotny stan rzeczy, ojciec odpięra pomysł fatalny groźném potępieniem:

„Jam w życiu sobie wytknął prostą drogę:
Kraj swój kochając i ocząc swoje bóstwa,
Żyłem wciąż prawdą, więc się znać nie mogę
Na krętych ścieżkach fałszu i oszustwa;
Jam przywykł sędzić czyny, nie zamiary
I to rozumiem, na co patrzą oczy,
Znam jedną prawość: więc nie daję wiary
Cnocie, co chytrze śladem zbrodni kroczy.”

I w dalszym jeszcze ustępie dodaje:

„A w mojej starej głowie się nie mieści,
Że ma kraj zbawić, kto się pozbył cześci.
Trudno, ach! temu co raz fałszu zarwie,
Choć w dobrej myśli duszę swoją splami,
Ożyć nanowo w niewinności barwie
I szlachetnemi zajaśnić czynami.”

Lecz prośbom i protestacyom syna musiał nareszcie ustąpić nie-
szczęśliwy starzec i przygotowany do śmierci niechybnęj, którą sam
wyzywał, błogosławi go:

„Wy, niewdzięczne dzieci,
Nie wiecie nawet co miłość rodzica,
Która za wami aż w przepaście leci
I własnym swoim bolem się podsyca;
A choć głos gniewnej przybierze rozpaczy,
Wszystko zapomni i wszystko przebaczy.
O! synu, synu!”

Daremne jednak usiłowania Konrada: ojciec ulega przygotowa-
nemu przez nienawiść i intrygę losowi. I wtedy to, rozwiązany z naj-
bliższych uczuć serca, Konrad (Aldona umiera jeszcze przedtém), zry-
wa się i nad zwłokami ojca wyrzuca z piersi ten straszny okrzyk przy-
szłego Wallenroda:

„A więc wszystkie węzły
Serca starganel... Teraz myśli moje
Nazawsze w krwawej kałuży ugrzęzły;
Nic mnie nie trzyma... Sam jeden już stoję...
Więc śmiało naprzód! gdzie wytknięta droga:
Truć i zabijać i niweczyć wroga.”

A Halban dopowiada mu:

„Idź i zabijaj!”

Dziwna rzecz, iż autor taki sobie zestawwszy materiały w inten-
cyi tragicznej, nie nadał w utworze swym przewagi temu właśnie ży-
wiotowi, odnoszącemu się do Konrada, co uczynić mógł nawet bardzo
łatwo, począwszy od jakiegoś faktu, choćby fikcyjnego, który w mło-
dym Litwinie obudził pierwsze drgnienie myśli wallenrodycznej. By-

łaby to wtedy, przy odpowiedniem rozwinięciu, treść istnie tragedyi godna i jednolita, gdy tu, upodrzędzona, stanowi tylko wspaniały epizod, to zaś co figuruje na planie głównym, dla braku żywiołów nie może się na rozmiary tragiczne rozwielmożyć.

Charakter Kiejstuta już sam przez się, jest tego przyczyną. Charakter to moralnie śliczny, wzniosły, rycerski, wspaniałomyślny, bez złości i namiętności, skłonny do ustępstw na każdym kroku, gotowy przebaczyć stu zbrodniarzom, by przypadkiem nie mieć na sumieniu krzywdy jednego niewinnego: słowem Marek-Aureliusz, albo święty chrześcijański. I nietylko tak pojętym jest ten charakter ze strony moralnej, lecz i ukształtowany ze strony poetycznej: świadczy on o sobie jawnie, głośno, wyraziście. W pierwszym zaraz akcie, na wieść, że Jagiełło, za sprawą Wojdyłły i Maryi, czepia się Krzyżaków, Kiejstut, ażeby uprzędzić skutki konszachtów, wymierzonych przeciwko sobie, ale zarazem grożących ojczyźnie, wpada z Trok na zamek wileński i zajmuje gród, gotując się sądzić winowajców. Mowa jego zacna i poważna, zwraca się do synowca z wyrzutami nieosobistemi:

„Gdybys sam godził na moje dzierżawy
I chciał mnie wyzuć i z tronu i sławy,
Gdybys był nasłał tajemne siepacze
Splamić krwią starca wiekowe siwizny,
Bylbym przebaczył; ale nie przebaczę:
Zmowy z wrogami, a zdrady ojczyzny!”

Wyszumiawszy się i wypiorunowawszy, rozkazuje winnych wtrącić do więzienia i zwracając się osobno do Jagiełły, oświadcza:

„A gdy księżęca przybędzie rodzina,
Będziem cię sądzić, Jagiełło...”

I kochający, pomimo wszystkiego, poczciwy stryj, dodaje ciszej: „jak syna!”

Jednym tym wyrazem już odkrył się cały! Ten jeden wyraz, to mistrzowski rys poety, pełen wrażenia. Bez tego wyrazu, Kiejstut, pomimo długiej sceny, stawiającej go wobec przeciwników, byłby jeszcze zagadką: uzurpator—li to, korzystający z pierwszylepszej sposobności, by wedrzeć się w prawa drugiego i pięknymi słówkami nadzicie usprawiedliwić, czy też człowiek dobrej wiary. Wyraz ten, a nadewszystko ów cichy giest, jakby z obawy przed drugimi, tajemną dający otuchę synowcowi, rzuca światło prawdy na całą poprzednią scenę i odrazu zjednywa serca dla bohatera dramatu. Czekamy teraz na objaw jego siły i stanowczości,—nadaremnie; wszędzie już odtąd napotykamy, w podobnie poetycznym blasku przedstawioną, też samą tylko dobrotliwość i miękkosć, do której przyznaje się sam Kiejstut, ale która, pomimo przyznania, nie przestaje być w danej chwili słabością. Takim samym, konsekwentnie, pozostaje on i w akcie piątym, z którego przytoczyliśmy ustępy; pomimo niezadowolnienia, nie śmie

przekląć zamiarów Konrada i wstrzymać go na obranej drodze, którą potępia: ustępuje. Tacy święci nie stanowią bohaterów tragicznych: to charaktery czysto liryczne.

Podobnyż zarzut słabości, jako bohaterowi tragedyi, uczynić można i Jagielle. Bez względu już na to, jak się właściwie mają postacie Asnyka do historyi pozytywnej, przeciwko czemu możnaby wiele powiedzieć, jego Jagiełło jestto charakterem moralnie szpetnym, ale toby mu nie przeszkadzało być artystycznie pięknym. Nie dotrzymuje tego warunku Jagiełło: jestto raczej postać pod obu względami licha. Niema w nim stanowczości i téj ekspresyi w złem, która, jako wyraz dobra, zachwyca w Kiejstucie. Jego przewrotność, jego działania podstępne, wszystko to jest albo chwiejne, albo w przedstawieniu niejasne: Jagiełło sam nic nie śmie, albo nie może, radby wykonać czyn podty względem stryja, ale pragnąłby, ażeby go doń zmusiła jakaś konieczność niepokonana i najlepiej określa sam siebie, mówiąc:

„Bo gdy do czynu chcę wyciągnąć ręce,
Jakieś wspomnienia łamią mnie dziecięco,
I twarz szlachetna książęcego stryja
Wzrokiem mnie mierzy i wzgardą zabija.”

Życzeniem więc tylko zamiary swe posuwając naprzód, od działań się usuwa, pozostawiając je w ręku Maryi, Wojdyłły i Krzyżaków, dzieląc z nimi hańbę i wszystko, prócz trudu, i gdyby ci naraz zawiesili czynność lub ją puścili w kierunku odwrotnym, ciemieggia pozostałby nieruchomym. Jestto ten sam człowiek, który później, jako król polski, pozostawił tak samo sprawy krajowe w ręku Zbigniewa, smucąc się, płacząc, ale nie mogąc zdobyć się na własną wolę. Jestże to działacz tragiczny?

Oprócz Aldony, która tu przesuwa się nieszczęsna i opuszczona, powiewne widmo, nakształt Ofelii w *Hamlecie*—bez wahania godzi się przyznać, że bez względu na lichy motyw, jedynym żywiołem dramatycznym jest tu Marya. Oto postać, z którą istotnie rachować się trzeba. Mniejsza że o nią i do niej powiada Kiejstut:

„Two serce pijane
Szaleństwem zmysłów, żądzą szpetną, niską,
Wstyd swój zawlekło na brudne śmiecisisko
I czystą miłość stargało rodzinną,
Aby pragnienia ugasić nieskromne.”

Mniejsza o to, powiadamy: Marya jest z tém wszystkiém piękną artystycznie, bo wszędzie u niej wyraz zewnętrzny, czyn, giest, czy słowo jest ekspresyą duszy i myśli. Idzie do celu żywo i energicznie, wyzyskuje korzyści swego położenia umiejętnie, nie wstydi się swego wstydu, nie pyta o skutki i wiernie trzyma się swych ślubów, wykonanych duchowi złęgo. Wcielony demon, posiada jego brzydotę, ale ma i jego namiętny powab. Marya téż jest istotnym a jedynym motorem

tej części tragedyi, która dotyczy doli samego Kiejstuta, i to do tego stopnia, że przy niej Kiejstut wygląda nie jako przeciwnik bohatérski, ale jako dobrowolna ofiara obcej siły i woli niezłomnej.

Z téj nierówności charakterów, w zastosowaniu do dramatu tragicznego, wynika i nierówność w budowie dzieła. Pierwszy akt, jako ekspozycya charakterów i zawiązek działania, akt piąty jako skoncentrowanie promieni dramatycznych, mało mają równych sobie pięknością w literaturze naszéj, tak co do wykończenia poetycznego, jak i co do akcyi; ale trzy akta pośrednie często gubią akcyą przez brak energicznych żywiołów dramatu i schodzą na opisy albo abstrakcyjne kontrowersye, powtarzające się w sytuacjach podobnych, co pochód sztuki opóźnia i uleniwia.

Zkądinąd atoli, tu i owdzie rozwijająca się sytuacja interesująca, efekt sceniczny rzucony jakby od niechcienia a silny, samo wreszcie zakończenie pełne ruchu, grozy i wrażenia, daje świadectwo że Asnyk ma w sobie temperament dramaturga skali wyższéj, a potrzebuje tylko wytrwać w tym kierunku pracy, i nabyć więcej doświadczenia scenicznego, ażeby skalę tę posuwać. Byłoby to rzadkie połączenie sceniczności z poezyą, która w Kiejstucie stanowi ornament dzieła wspaniale zdobiący całą budowę.

Wobec piękności poetycznych utworu, zaledwie śmiemy zalecić autorowi, ażeby więcej zwracał uwagi na pewne drobiazgi językowe, które aczkolwiek z pozoru nieznaczne, wpływają wszelako na wdzięk i harmonią całości.

Kazimierz Kaszewski.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Luty 1879 r. — Znany z talentu artysta malarz Tytus Malezewski wydał w kroju arkuszowym wizerunek słynnego kaznodziei z czasów Zygmunta III Piotra Skargi, podług dawnego obrazu. Litografowany starannie przez Władysława Walkiewicza, znajduje się w naszych księgarniach.

Biblioteka najcenniejszych utworów literatury europejskiej, wychodząca przy czasopiśmie ilustrowaném *Kłosa*, przygotowuje wydanie Fausta Goëtego obu części razem. Przekładem całości zajmuje się p. Feliks Jezierski, tłumacz *Złotój Legendy* i *Iliady* Homera. Będzie to przekład wzorowy, jak wszystkie dotąd przez tego pisarza wykonane.

— Księgarnia B. Cassiusa nakładowa i sortymentowa, wydała obszerny katalog dzieł nakładowych i najświeższych. W 4-ce, str. 32.

— Godną poparcia jest myśl wystawienia pomnika grobowego w kościele Św. Krzyża w Warszawie, dla genialnego muzyka a rodaka naszego Fryderyka Szopena (Chopin), którego serce jest zachowane w pomienionym kościele. W tym celu dyrektor Towarzystwa Muzycznego Władysław Żeleński zamierza w pierwszej połowie marca r. b. urządzić wielką uroczystość muzyczną na cześć Szopena.

Fundusz z tego zebrany, postużyłby do urzeczywistnienia tak szlachetnego zamiaru.

— Teofil Lenartowicz pracuje nad płaskorzeźbą, mającą przedstawić apoteozę Mikołaja Kopernika. Rzeźba ta wysoka na 80, a szeroka na 60 centymetrów, zostanie ofiarowaną do Muzeum Kopernika w Rzymie, którego otwarciem zajmuje się tak gorliwie dr. Artur Wołyński.

— Uniwersytet Jagielloński wzmocnił się młodeymi siłami. Otrzymali nominacje na profesorów doktorowie: Czerny, Janczewski, Olszewski, Kosiński, Smolka i Straszewski; ostatni objął katedrę po Józefie Kremerze.

— A H. Kirkor, przewodniczący sekcji wykopalisk komisji archeologicznój Akademii Umiejętności w Krakowie, wydał dwa odczyty publiczne, jakie miał w Muzeum techniczno-przemysłowém w Krako-

wie: *O znaczeniu i ważności zabytków pierwotnych, oraz umiejętne ich poszukiwaniu.* (Kraków, w 8-ce, str. 30).

— Komisya historyczna Akademii Umiejętności w Krakowie, odbyła posiedzenie swe d. 18 lutego r. b., na którym odczytano protokóły posiedzeń grona lwowskiego, uchwalających treść i rozkład prac, mających stanowić tom IV *Monumentu historica Poloniae*. Dzieła rozpoczętego przez A. Bielowskiego. Tom ten obejmuje: 1) Żywoty i legendy. 2) Źródła pruskie. 3) Źródła klasztorne. 4) Varia. Opracowania takowych podjęli się członkowie Akademii: dr. Ksawery Liske, Kętrzyński, Smolka, Pawiński, Hube, Semkowicz, Ćwikliński, Maurer, Papée, Kałużniacki, Wierzbowski i Wiślocki.

— Cenniejsze prace pisarskie naszych badaczy starożytności przedhistorycznych zaczęły się ukazywać zblorowo w przekładzie i streszczeniu niemieckim, na sposób wychodzących w Warszawie *Wiadomości archeologicznych*. Wydawnictwo niemieckie, o którym tu mowa, wychodzi w Jenie pod redakcją A. Kohna i d-ra Melisa, a nosi tytuł: *Materialen zur Vorgeschichte des Menschen im östlichen Europa*. Gruby i pięknie wydany pierwszy tom tego wydawnictwa jest przeważnie tłumaczeniem i streszczeniem polskich prac, dotyczących odkryć i wykopalisk archeologicznych na obszarze między Bałtykiem, Karpatami i Dnieprem. W tekście znajduje się 162 starannych drzeworytów, w końcu książki 13 chromolitograficznych tablic, a tytułowa okładka ozdobiona jest podobizną włóczni żelaznej ze srebrnymi runami, znalezionej w Suszyczynie na Wołyniu i opisaniej przez prof. Szumowskiego w *Wiadomościach archeologicznych*, którejto włóczni nadał wysokie znaczenie prof. Wimmer w Kopenhadze, znany badacz i znawca run skandynawskich. Najstarsze ślady pobytu człowieka na ziemiach naszych, wykryto w jaskiniach, które na całym świecie były najprzód schronieniem ludów pierwotnych i zwierząt przedpotopowych. Najprzód więc traktowane są pieczary nasze. Tutaj króluje pan Zawisza, a państwem jego, piękna, wspaniała, arcy-malownicza dolina Prądnika pod Ojcowem. Dalej idą mieszkania palowe, nawodne, tak zwane palafity, czyli po polsku najwłaściwiej *nawodziska*. Metropolią ich jest jezioro Czeszewskie, w majątku ś. p. Karola Libelta w Wielkopolsce położone. Po palafitach idą groby najstarsze, z płyt kamiennych budowane, tak zwane skrzynkowe, po większej części z epoki kamienniej pochodzące. Następnie groby i żalnik, stacye krzemienne i mogiły sypane czyli kurchany. Drzeworyty i litografie są z dzieł polskich dokładnie naśladowane. Spotykamy się tu z mogiłą Perepiatychy, której widok ciekawego rozkopu podał Michał Grabowski w dziele: *Ukraina dawna i teraźniejsza*.

W dziele niemieckim znajdujemy badania prof. Przyborowskiego, Zygmunta Glogera i kilku innych w całości tłumaczone. W ogóle pan Albin Kohn i dr. Mehlis zużytkowali prace pp.: Zawiszy, Alta, Kirkora, Przyborowskiego, Pawińskiego, Stawiskiego, Zielińskiego, Glogera, Kopernickiego, Ossowskiego, Jagmina, Tyszkiewicza, Łoskiego i kilku innych. Dzieło powyższe przyjęte zostało z wielkim zaję-

ciem przez uczony świat niemiecki, a jeden z poważnych krytyków prof. Franc. Toula, wypowiada wysokie zdziwienie, że polscy badacze tyle zdziałali na polu antropologiczném. „Europa zachodnia, pisze Toula, nie wiedziała nic o obfitości opracowanych tam materiałów do pierwotnych dziejów człowieka i t. d.”

— O testamencie amerykańskim Kościuszki ciekawe podaje szczegóły p. Sygurd Wiśniowski w *Gazecie Lwowskiej*.

Z listu jego wyjmujemy następujące ustępy:

„Czcigodny Wilhelm Wertenbaker, mianowany bibliotekarzem przy rządowym uniwersytecie w Richmond (w Wirginii, Stanach Zjednoczonych) jeszcze w r. 1824 przez słynnego prezydenta Tomasza Jeffersona i piastujący ten urząd do dnia dzisiejszego, ogłosił w początku r. b. następujący ciekawy dokument, wyrażający wolę Tadeusza Kościuszki co do wielkiego obszaru ziemi, którą kongres go obdarzył, gdy wyzwolony z więzienia petersburskiego przybył powtórnie do Ameryki. O rozmiarze i dokładném położeniu tych obszarów nie mamy żadnej wiadomości, pomimo licznych poszukiwań tak ze strony rządu i spadkobierców, jak historyków, albowiem dziwnym zbiegiem okoliczności lub dziełem ręki świętokradzkiej zginęły bez śladu, patent darowizny i mapy urzędowe, na których ich położenie i rozmiar były oznaczone.

Wedle p. Wertenbakera oryginał testamentu spoczywa między zapyłonemi aktami obwodowego sądu (County Court) hrabstwa Albemarle, w Wirginii i aczkolwiek spęłzył i nosi cechy starości, jest dobrze zachowany, czytelny i cały napisany znanym, śmiałym charakterem bohatera. Urzędowa legalizacya i pieczęć, tudzież pamięć i słowo czcigodnego bibliotekarza dają rękojmią jego autentyczności.

W r. 1819, dość późno po nadejściu z Europy wiadomości o zgonie Kościuszki, pisze p. Wertenbaker, byłem świadkiem rozprawy sądowej w sali obwodowego trybunału hrabstwa Albemarle. Sędzia Archibald Stuart prezydował. Nagle przerwało rozprawę wejście słynnej osoby, której każde wystąpienie publiczne bywało powodem objawów ogólnej miłości i uwielbienia. Wszystkie oczy utkwily w ostatnim z ojców ojczyzny, twórców naszej swobody i konstytucyi, w powierniku i następcy Washingtona. Spostrzegłszy poważną, zgrzybiałą ale czerstwą postać starca, prezydent trybunału skłonił się nisko i ofiarował gościowi próżne krzesło na estradzie sędziowskiej.

Skoro Wasza Cześć (your honour) znajdzie wolną chwilkę, odparł Tomasz Jefferson, gdyż on był tym znakomitym gościem, przedstawię interes osobisty.

Strony i obecni adwokaci zgodzili się natychmiast na odroczenie rozprawy, by wielki obywatel załatwił swą sprawę. Jefferson wy dobył więc dokument i przedłożył go sędziemu jako testament swego przyjaciela generała Tadeusza Kościuszki, zmarłego niedawno w Szwajcaryi,

tudzież ofiarował stwierdzić autentyczność dokumentu przysięgą, albowiem znał bardzo dobrze pismo zmarłego przyjaciela.

Wedle brzmienia téj woli, dodał Jefferson, ja sam mam być jég egzekutorem, lecz życzę sobie uchylić się od tego obowiązku z powodu zgrzybiałości i braku sił.

Po tém oświadczeniu złożył były prezydent zwykłą przysięgę, a sąd uznał autentyczność i prawomocność dokumentu i kazał go złożyć w swych archiwach, gdzie téż dotąd się znajduje. Opiewa on jak następuje:

„Ja, Tadeusz Kościuszko, przygotowując się właśnie do wyjazdu z Ameryki, oświadczam i rozporządzam niniejszém, że gdybym nie zrobił innéj dyspozycyi moją własnością w Stanach Zjednoczonych, mój przyjaciel, Tomasz Jefferson, jest upoważniony do użycia całej téj własności na wykupienie murzynów, czy z pomiedzy własnych czy do innych osób należących, tudzież do obdarzenia ich wolnością w mojem imieniu, i o nadaniu im stosownéj edukacyi w rzemiosłach lub innych rzeczach, oraz po nauczeniu ich stosownie do nowego stanu owych obowiązków moralności, która może ich zrobić dobrymi sąsiadami, ojcami i matkami i obowiązków obywatelstwa, pouczających, że mają być obrońcami swobody, ojczyzny i ładu społecznego, jako téż wszystkiego, cokolwiek może ich uczynić szczęśliwymi i użytecznymi. Zarazem mianuję rzezonego Tomasza Jeffersona egzekutorem niniejszég woli.”

Dnia 5 maja roku 1798.

T. Kościuszko.

Na ćwiartce dodanéj do testamentu czytamy:

„Przed obwodowym sądem zasiadającym w hrabstwie Albemarle dnia 12 maja 1819 r. Niniejszy dokument, który jest ostatnią wolą i testamentem Tadeusza Kościuszki, został przedłożony sądowi, a po dostarczeniu dowodów, iż był napisany własną ręką rzezonego Tadeusza Kościuszki, nakazano wciągnąć go w pamiętnik trybunału, poczem Tomasz Jefferson, egzekutor wymieniony w nim, przychylił się do brzemienia wykonania rzezonej woli.”

Teste

*John Carr.
Clerc of Court.*

Do tych słów czcigodnego b. bibliotekarza wypada dodać krótką uwagę. Sądząc z wypadków późniejszych, trybunał zaniedbał mianować innego egzekutora w miejsce Tomasza Jeffersona, a testament Kościuszki zaległ w aktach, poszedł w zapomnienie, więc nie wyzwolono żadnych murzynów, ani oddano własności ziemskiej, którég wartość musiała już być znakomita w r. 1819, legalnym spadkobiercom naczelnika. Wszelkie patenta i pergaminy odnoszące się do téj własności, mapy jég i opisy zginęły, a nawet wspomnienie, że kongres obdarzył nią zasłużonego generała, zatarko się z lat upływem.

Ktokolwiek ją zagarnął prawem usadowienia się na niég, został po latach trzydziestu jég legalnym właścicielem, na mocy znanego we

wszystkich krajach prawa dzierżenia. Gdy nareszcie spadkobiercy Kościuszki zgłosili się o spuściznę, kongres amerykański nie mógł i nie chciał poszukiwać ziemi, lecz nabył pretensyę sukcesorów ryczałtową sumą, której szczupłość zupełnie nie odpowiadała teraźniejszej wartości kilku lub kilkunastu tysięcy akrów gruntu, w okolicach gęsto zaludnionych.

Wedle informacji udzielonej nam w Washingtonie, spadkobiercy stracili i tę sumę, gdyż niefortunnie wybrany przez nich pełnomocnik, jakiś pokątny adwokat amerykański, znikł z nią bez wieści. Wiemy z pewnością, że rząd amerykański posiada zupełne skwitowanie wszelkich dalszych pretensy do spadku po Kościuszcze, podpisane przez legalnego przedstawiciela spadkobierców, i że nieuznał pretensy tego rodzaju, gdy zostały odnowione przed kilku laty. W ten sposób humanitarne życzenie bohatera, aby jego własność wyzwoliła pewną ilość murzynów, pozostało czczą literą, a sukcesorowie stracili spuściznę, którą dzisiejsza wartość obliczyłaby się na krocie tysięcy; ów zaś testament jest tylko ciekawym i rozrzewniającym dowodem wspaniałomyślności Kościuszki. Najpoważniejsze dzienniki amerykańskie powtarzają go téż w tym sensie.

— Z drukarni J. Buszczyńskiego w Toruniu wyszedł pierwszy *Rocznik Towarzystwa Naukowego* w Toruniu, nakładem tegoż Towarzystwa. Zajmującym niezmiernie jest objaw w Starych Prusach żywiołu polskiego. Pięć rozpraw obejmujących ten *Rocznik*, są głównie treści historyczno-archeologicznej. Obudza on i smutne wspomnienie, bo główny założyciel tego zebrania naukowego ś. p. Działowski, zmarł w kwiecie wieku. Śmierć tego godnego obywatela, nietylko załobą, odbiła się w okolicy którą zamieszkiwał, ale i w dalszych stronach kraju, gdzie umiano ocenić jego znaczą gorliwość i szlachetne usiłowania w sprawach krajowych.

— Otrzymujemy wiadomość, że Ludwik Mierosławski, autor kilku dzieł strategicznych znakomitej wartości, umarł we Francyi w grudniu 1878 r. Na kilka lat przed zgonem znacznie się podstarzał.

— Towarzystwo akademików Polaków w Berlinie, d. 2 lutego r. b. obchodziło uroczyste 40 letnią pamiątkę swego istnienia, a dziesięcioletnią zatwierdzenia statutów przez senat uniwersytecki. Przewodniczącą obecnie temu Towarzystwu jest p. Tadeusz Dobrowolski, jego zastępcą Leon Iculewicz, a sekretarzem Jan Karchowski.

— Ogłoszone zostało drukiem sprawozdanie biblioteki polskiej w Rumunii za rok 1878. Mimo niepokojów wojennych, biblioteka w roku 1878 wzrosła tak w książkach, jak i w funduszach. Obecnie obejmuje ona 1255 numerów a 2046 tomów. Opiekunowie biblioteki czynnie ją popierali, tak że w ogóle ofiarowano w r. 1878 136 dzieł. Prócz tego redakcyja *Ruchu literackiego* dawała darmo to pismo, a *Kłósów* za połowę ceny.

Fundusz żelazny, który wynosił z końcem roku 2,050 fr., obecnie urosł do 3,200 fr. Celem tego funduszu jest, aby kiedyś kupić dom, w którymby się mieściła: biblioteka, czytelnia a co najważniejsza

szkoła dla polskich dzieci, zostających obecnie bez nauki i wychowania na obczyźnie. Na tém miejscu właściwą będzie rzeczą, sprostować mylne wyobrażenie o instytucji téj, zwłaszcza w kraju rozpowszechnione. Zdaje się wielu, zwłaszcza panom księgarzom i autorom, że biblioteka polska w Rumunii jest zwykłą czytelnią, zawiązaną przez kilkudziesięciu członków ku własnej przyjemności umysłowej. Biblioteka polska w Rumunii, atoli od lat już dwunastu istniejąca, pragnie stać się instytucją publiczną, pożyteczną dla całego ogółu rodaków, rozrzuconych w Rumunii i wzięła sobie za wzór choć w skromnych granicach stać się tém, czém jest biblioteka Ossolińskich dla Galicyi a biblioteka Raczyńskich dla Poznańskiego; co więcej, pragnęłaby być ogniskiem moralnego życia rodaków na Wschodzie, pośredniczką w kształceniu dziatwy tutejszej przez szkołę.

Dochód w r. b. był: pozostałość z 1877 r. 36 fr. 6 cent.; składki członków 1,152 fr.; dochód z czytelnii Paszkańskiej 178 fr.; dochód z czytelnii Jaskiej 279 fr. 25 cent.; za zgubione książki 19 fr. 50 cent.; nadzwyczajne datki 167 fr. Razem 1,834 fr. 80 cent.

Rozchód w roku bieżącym był: kupno książek 491 fr. 70 cent.; oprawa 91 fr. 30 cent.; pomieszkanie biblioteki 120 fr.; kupno szafy 35 fr.; transport książek i korespondencja 41 fr. 80 cent.; wydatki czytelnii Jaskiej 84 fr. 90 cent.; przekazano do funduszu żelaznego 944 fr. 50 cent. Razem 1,809 fr. 70 cent.

Adres w sprawach biblioteki: „Dr. Łukaszewski à Jassi en Roumaine, poste restante.”

— Profesor Fr. Kurszat wydał gramatykę litewską, z narysem topografii języka litewskiego i studyum o ludowej poezji Litwinów, oraz nutami melodyi litewskich *dajnos*. Nie dorównywając, być może, Szlajcherowi potęgą dekurkyi porównawczo-filologicznych, Kurszat przewyższa go specjalnością, albowiem dokładnie zbadał język litewski. Dzieło jego zyskało wielkie uznanie w sferach mowoznawców i zasługiwałoby na obszerniejszy rozbiór. Tytuł książki: *Grammatik der litauischen Sprache*, Fr. Kurschat, Halle.

— Walter Bagehots: *Studyja literackie (Literary Studies)*, wydane przez Ryszarda Holt, Londyn 1879 r., zawierają nadzwyczaj udane rysy krytyczne wielkich postaci, tak politycznych jak i literackich, jakie się w ciągu obecnego stulecia przemknęły po widowni. Mamy tu i sądy o Szekspirze i Miltonie. Autor zarzuca Thierry'emu, że fałszywie zrozumiał stosunek potomków normandzkich zdobywców, z ogólną ludnością angielską. Nieraz odezwaniam się rażą ekscentrycznością, *Raj utracony* podług niego, ma być *mniej potwornym*, niż *Piekło* Danta. W tragedji Szelleja *Cenci* widzi on owoc psychicznego nastroju poety. *Cenci* należy do téj warstwy, która zawsze wstrętną była dla Szelleja.

Bajrona chciałby uczynić postacią drugiego rzędu: Skott jest dla niego szczytem geniuszu twórczego i głębokości, żałuje tylko że się dał uwieść Thierry'emu. Schelleja Keatsa i Wordswortha uwielbia, ale nie

szczędzi im i docinków. Niemniej *angielskiemi* są głosy naszego krytyka (już nieżyjącego), o malarzach włoskich; żaden z nich nie uszedł bez mniej lub więcej jaskrawego znaku po żądle, którym Bagehot przypomina Wolfganga Mencla.

— Wysokiej doniosłości filozoficznej są odczyty prof. M. Müllera: *O początkach i wzroście religii* (*On the growth and Origin of Religion*. Londyn 1878 r.). Autor odnosi początek religii do dwu pierwiastków: do podmiotowego ustroju natury ludzkiej, gdzie dopatruje się on zmysłu nieskończoności, wskazując specjalną na jego poznanie funkcję wśród samowiedzy ludzkiej, oraz do jakiegoś pierwiastku zewnątrz nas: w świecie. Podniety w tych badaniach, dodała autorowi religia Indyan, która, jak wiemy, dziś leży na stole anatomicznym, na powszechny użytek myślicieli ostatniego kroju. Dzieło to, z powodu wielostronnej ważności swojej, tak co do rozumowania, jak i co do faktów, służących za ilustracyą, również obszerniejszemu rozbirowi winno być poddane.

— Lamartine jako poeta, polityk a przede wszystkim: mąż Francyi „la grande figure nationale,” jak go nazywa Coiquet, doczekał się swojego dziejopisarza, a raczjéj powiedzmy: swojego historyzoza. Uczeń i przyjaciel jego Ludwik Ronchard, w dwutomowém dziele: *La politique de Lamartine* (Paryż, Hachette) wynownie, ściśle a sprawiedliwie rozesnuwa przed czytelnikiem epos o wielkim człowieku, który przeszedł po świecie, na świadectwo, ile to: słowo ludzkie przetworzyć i stworzyć jest mocne. Jeżeli strona literacka stanowi tu wzniosłą budowę, tedy strona państwowa daje jeszcze wzniośle sklepienie działalności Lamartina. *Podróże na Wschód*, autor uważa za dobę przesilenia się téj wielkiej duszy, a stratę córki (Julii) za smutny, ale stanowczy bodziec do poświęcenia się życiu wewnętrznemu i życiu Francyi. Przejście do opozycyi i postawa na tym gruncie zachowana wytrwale, niezuchwianie, w porywających rysach jest przedstawioną. Lamartine *wierzył w swoją wiarę*, nie oglądając się na liczbę współwyznawców. Kiedy opozycya dawała znaki chwiejności, zwątpienia, Lamartine wówczas odzywa się: „więc sam pójdę na bankiet, *sam z cieniem moim.*” Półczwarta miesiąca rządów i dalsze koleje męża stanu, również wymownie, a naszym zdaniem: również sprawiedliwie przedstawionemi zostały.

— *Podróże po Patagonii, czyli życie wśród polujących na strusia*, p. Juliusza Beerbohm. Oprócz wiadomości etnograficznych, rozszerzających dotychczasowy widnokrąg nauki, dzieło to jest prawdziwie zajmującym obrazem wypadków. Zdobi je przytém karta geograficzna i ilustracye. Autor w swojej podróży przebył około tysiąca mil, pokażna to cyfra, a znany z badawczości i nauki umysł autora, z góry nastraja uwagę czytelnika do natężenia i czujności, które téż nie doznają zawodu. Jasny, w wielu miejscach malowniczy styl, rozumny wybór faktów, ten rzadki przymiot turystów, nadają wielką poczytność

tę książce. Jęj tytuł oryginalny jest: *Wanderings in Patagonia, or life among the Ostrich Hunters*. Londyn 1879 r.

— Dla dziejów kolonizacji francuzkiej w wieku XVI, ważną jest praca profesora Gaffarel'a, p. t. *Histoire du Brésil français au XVI-e Siècle*. Paryż 1878. W pierwszej części p. Gaffarel opisuje wyprawę Jana Cousin, choć to fakt nie dowiedziony jeszcze dostatecznie; gdyby zaś został kiedy stwierdzonym, tedy okazałoby się, że jeszcze przed Kolumbem, bo w r. 1488 okręta francuzkie dotarły do brzegów Ameryki. Cousin tedy miał odkryć Brezylją około ujścia Amazonki.

Bohaterem drugiej części jest Villegaiquou, z którego imieniem wiążą się pierwsze usiłowania Francuzów zmierzające do założenia kolonii w Brezylji w wieku XVII. Villegaiquou, jak go autor przedstawia był to człowiek nie zwykle czynny, prawdziwa postać wieku XVI tak „płodnego w typy zadziwiające,” marynarz, wojak, dyplomata, dziejopis, erudyt, agronom, filolog nawet, przemysłowiec, chwytający się sporów religijnych, dziś kalwinista, jutro zajadły obrońca kościoła prawowiernego. Francuzi w wieku XVI najświetniejsze upatrzyli punkta do usadowienia wpływu i kultury w Ameryce. Ale Kolbert był sprawcą niepowodzenia i przyszłego upadku tych wpływów, powierzając sprawę rękóm żołnierskim, nieświadomym, rubasznym. Zadziwia się autor, że i Villegaiquou, popełniwszy tyle błędów podczas swojej wyprawy, nie popełnił ich jeszcze więcej.

— *Geografia Galii rzymskiej dziejowa i administracyjna (Geographie historique et administrative de la Gaule Romaine)* p. Ernesta Desjardins. Paryż 1878 r. Pod względem geograficznego uzasadnienia dziejów Francyi, ku któremu wskazał drogę Michelet w swojej Historii, praca ta wysoką ma wagę. Autor nie ogranicza się na opisie wojen Cezara, lecz przytém daje nam położenie podziału granicznego i urzędzeń politycznych, oraz ze szczątkowych wskazówek układu zarzys języka i religii Gallów.

— W ścisłym związku z poprzednią, zostaje praca pana Lougnon *Geographie de la Gaule au VI siècle*, z mapami i figurami (Paryż, 1878 r.). Tam mieliśmy epokę podbicia, tu mamy epokę romanizacji. Ważną zasługą autora jest sprostowanie upowszechnionego dotąd poglądu, jakoby prawdziwym królem Francyi miał być ten władca, któremu ulegał Paryż; kiedy tymczasem Paryż stanowczo został stolicą niewczesniejszą, jak w wieku X. P. Lougnon jest powagą pierwszego rzędu w starożytnej etnografii francuzkiej. Już poprzednio zasłużył sobie na uznanie swoją monografią o *pagach (pagi Gallorum=powiaty)*. Ale większy jeszcze rozgłos zjednała sobie jego krytyka niemieckiej publikacji: *Monumenta Germaniae*, w której wykazał liczne a grube błędy (bodajby tylko nierozumne) badaczy niemieckich. W tej zwyciężkiej krytyce, powiada H. Gaidoz, „przybyła nam jeszcze jedna historia o Goliacie, powalonym przez Dawida” (*Revue polit. et littér.*, 1878 r., nr. 26).

— Pośrednie miejsce pomiędzy kroniką a historią rozumowaną, zajmuje przychylnie przyjęta w świecie naukowym książka prof. W. Müllera: *Historja polityczna chwili obecnej* (*Politische Geschichte der Gegenwart*. Berlin 1878 r., Springer). Stanowi ona tom XI całego zbioru i zawiera r. 1877, wraz z rocznikiem wypadków politycznych tego roku, a mianowicie: wojnę turecką, przesilenie we Francyi, oba w obszernych rozmiarach przedstawione. Wykład jest jasny, ożywiony, stanowisko pragmatyczne.

SPROSTOWANIE.

W zeszytcie za luty r. b., w którym mowa o konkursie historycznym z fundacyi ks. Czartoryskich, wydrukowano: iż trzecią nagrodę otrzymał p. Czajewski; jestto błąd, gdyż takową otrzymał *Wiktor Czajewski*.



Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca *Józef Berger*.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

Z R. 1879.

stron.

Historya.

- W sprawie Szczerbca Bolesławowego. Przez Kajetana Kraszewskiego i Seweryna Smolikowskiego (z tablicami). 1
- Warszawa, jój życie umysłowe i ruch literacki w ciągu lat trzydziestu (od 1800 — 1830 r.). Przez K. Wł. Wójcickiego. 59, 372
- Pamiętniki Kantora katedry krakowskiej. Przez Lucyana Siemieńskiego. 177
- Bitwa pod Grundwaldem 1410 r. Przez K. Wł. Wójcickiego. 427

Filozofia.

- Sumienie i moralność. Przez K. Luczykiego. 287

Etnografia.

- Zabobony meteorologiczne ludu nadnarwiańskiego. Przez Zygmunta Glogera. 302

Dramat.

- Syn Margrafa. Tragedya z X wieku w pięciu aktach. Przez Bronisława Grabowskiego. Bolesławowi Ładnowskiemu w hołdzie autor. 212, 406

Literatura zagraniczna.

Voltaire i Rousseau na polu ekonomii politycznej. Przez J. K. Corvin Piotrowskiego.	108
Rzut oka na piśmiennictwo w Ameryce południowej (według źródeł hiszpańskich). Przez A. G.	192

KRONIKA PARYZKA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Dziela nagrodzone przez akademią Francuzką: dwie konkursowe rozprawy o Buffonie.— <i>Życiorys kardynała de Retz</i> , p. Chantelausa.— <i>Monografia domu Saulx-Tavannes</i> , p. Pingaud.— <i>Historja Guizyuszów</i> , p. Forneron.— <i>Historja Monteskiusza</i> , p. Vian.— <i>Życiorysy generała Pajol i Klebera</i> , p. Pajol.— <i>Obraz literatury francuzkiej, 1800—1815 r.</i> , p. Gustawa Marlot.— <i>Epoka odrodzenia</i> , Gobineau.— <i>Historja Rossyi</i> , p. Al. Ramband.— <i>Szkoły w krajach północnych</i> , p. Hippeau.— <i>Biografia Dawida z Angers</i> , p. Jonin.— <i>O harmonii dźwięku</i> , p. Rambosson.—Przekład z angielskiego dzieła <i>O Rossyi p. Makenzie Wallace</i> , przez Bellanger'a.— <i>Gramatyka historyczna</i> , p. Desperouse.— <i>Filologiczne rozprawy Darmestettera</i> .— <i>Człowiek dawnych czasów</i> , p. Costa de Beauregard.— <i>Montcalm i Kanada francuzka</i> , p. Bouvechosc.— <i>Powieść Dosia</i> , p. Henri Greville.— <i>Wśród pastwisk</i> , Gustawa Levasseur.— <i>Przy ognisku</i> , Oktawiusza Noel.— <i>Życiorys panny Sauvau</i> , p. Emila Gossot.— <i>Poemata i pieśni p. Blanchemin</i> .— <i>Zarysy krytyki artystycznej</i> , p. Bougot.— <i>Wycieczka na Mont-Blanc</i> , Karola Durjer.— <i>Podróż po Egipcie</i> , p. Rhone.— <i>Od bieguna pod równik</i> , p. Dubois.—Doroczne zebranie pięciu wydziałów Instytutu.—Mowa Laboulaya przeciwko ewolucjonistom.—Ustęp odczytany przez Logouvégo z dzieła p. t.: <i>Nasze córki i nasi synowie</i> .—Zbiór poezyi Franciszka Coppée: <i>Les Recits et les Elegies</i> .— <i>Questions d'Art et de Litterature</i> pośmiertne dzieło Georgos Sand, tomów 3. <i>Poliunkt</i> , opera Gounoda, libretto Juliusza Barbier.—Ocenianie narzędzi ptycznych p. Prażmowskiego, przez dr. Polletan.—Nowe hipotezy o pochodzeniu Aryów, Teodora Poesache.—Filibrowie prowansalscy w Paryżu.— <i>Szczerbiec bez szczyrby</i> .—Malarze i rzeźbiarze polscy na tegorocznej wystawie sztuk pięknych w pałacu przemysłowym.—Statystyka nagród otrzymanych przez różne państwa na wystawie powszechniej.	118
Dziela Beaudrillard'a: <i>Historja zbytku w życiu publiczném i prywatném, od najdawniejszych czasów do dni naszych</i> .— <i>Pesymizm w XIX wieku</i> , przez p. Caro, profesora filozofii w Sorbonie: Leopardi, Schoppenhauer, Hartman.— <i>Młode lata lorda Beaconsfield</i> ,	

przez Wiktora Valmont. — Muzeum techniczno-przemysłowe w Krakowie: jego paryżkie wydawnictwa. — Muzeum etnograficzne w Paryżu: dział polski. — Dzieło Legouvégo: *Nasze córki i nasi synowie*. — System p. Mękarskiego. — *Muzycyana Winklina*, przekład p. Alberta Sowińskiego. — *Dwadzieścia pięć melodji do śpiewu*, z akompaniamentem na fortepianie. — Akademia *Arcadi Romani*. — Nowa nagroda Jana Reynaud w Instytucie francuzkim. 439

Podróże i odkrycia.

Podróże i odkrycia. Wyprawa naukowa prof. Nordenskiölda na morza Północno-Wschodnie. Przez Antoniego Waleckiego. . . 464

Przemysł i handel.

Wpływ dróg żelaznych na ruch ekonomiczny w Rosyi. Przez Jana Blocha. 37, 263
O potrzebie poprawy kanału Ogińskiego. (Wodozbiór rzeki Niemna i kanału Ogińskiego). Przez Alberta Szulca (inżyniera). . . 353

Bibliografia.

Hieronim Spiczyński (wiedomość bibliograficzna). Przez Gustawa Zielińskiego. 306

Korespondencya.

Kronika lwowska. Przez Wład. Zawadzkiego. 92
Kronika poznańska. 315
Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej:
Od Zygmunta Glogera: O stacyach krzemienych. 148
Od Aleksandra Tyszyńskiego: O przekładach z języków obcych. . . 145
Korespondencya do redakcyi Bibl. Warsz. Przez A. R. 468

Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego.

Marya Malczeskiego, w nowym przekładzie niemieckim Alberta Zipper. Napisał F. J. 148
Poezye Goethego wybrane, tłómaczył Hugo Zathej. W Krakowie w drukarni Czasu, pod zarządem J. Łakocińskiego 1879 r. Przez F. J. 153

Kilka uwag o recenzji książki: Filozofia i jej zadanie (w zeszycie wrześniowym Bibl. Warsz. z r. 1878). Przez X. M. M.	158
Alfred de Musset. Szkic biograficzno-literacki, według nowych źródeł, przez Jadwigę Krausharową. Warszawa, 1879 r. Przez Kazimierza Kaszewskiego.	326
Artur Grottger. Szkic biograficzny, przez Klemensa Kanteckiego. Lwów. Nakładem Przewodnika Naukowego i Literackiego. 1879 r. (w 8-ce, str. 150). Przez R.	335
Pamiętnik Instytutu Warszawskiego głuchoniemych i ociemniałych z roku szkolnego 1877/8. Warszawa, w drukarni Instytutu głuchoniemych i ociemniałych, 1878 r. (w 8-ce, str. 221, i LVI). Przez K. Wł. W.	339
Renata Karcezyusza, rozprawa o metodzie, jak dobrze kierować swym rozumem i szukać prawdy w naukach. Przytém list do księdza Picot, oraz reguły do kierowania umysłem, przetłómaczone przez Wojciecha Dobrzyckiego. Lwów. Nakładem i związkowej drukarni, 1878 r. Przez F. J.	469
Dwie mogiły; poemat na tle podań ludu Ukraińskiego osnuty, przez Stanisława Grudzińskiego. Warszawa, 1879 r.	478
Kiejstut, tragedia w pięciu aktach, przez Adama Asnyka. Kraków, 1878 r. Przez Kazimierza Kaszewskiego.	—
WIADOMOŚCI BIEŻĄCE, NAUKOWE, LITERACK. I ART. 171, 342, 492	
NEKROLOGIA.	176, 352
SPROSTOWANIE.	500

